

**ALLAN COLE & CHRIS BUNCH**

**WIR**

**CYKL: STEN TOM 7**

**(VORTEX)**

**PRZEKŁAD TADEUSZ MALINOWSKI WYD. ANG. 1992**

**WYD. POL. 1996**

**ALLAN COLE & CHRIS BUNCH**

**WIR**

**CYKL: STEN TOM 7  
(VORTEX)**

**PRZEKŁAD TADEUSZ MALINOWSKI WYD. ANG. 1992  
WYD. POL. 1996**

Księga pierwsza  
KONWEKCJA

# Rozdział 1

Plac Khaqanów ukorzył się przed burzowymi chmurami pokrywającymi niebo czernią.

Pomiędzy nimi przedzierało się słabe słońce, wznecając na wznoszących się kopułach i budynkach błyski złota, zieleni i czerwieni.

Plac robił wielkie wrażenie: dwadzieścia pięć kilometrów kwadratowych pokrytych okazałymi budowlami, oficjalne serce Mglawicy Altaic. Na zachodnim krańcu wznosił się ozdobny wachlarz Pałacu Khaqana - domu starego i gniewnego Jochiańczyka, który rządził mglawicą od stu pięćdziesięciu lat. Przez siedemdziesiąt pięć lat ten władca pracował nad swoim placem, marnując miliony kredytów i godzin. To był pomnik jego samego i jego czynów - tych prawdziwych i wymyślonych. Na jednym z odległych i rzadko odwiedzanych krańców mieścił się mały park, mający upamiętnić jego ojca, pierwszego Khaqana.

Plac znajdował się w centrum stolicy planety Jochi, Rurik. Wszystko w tym mieście było olbrzymie; mieszkańcy musieli stale biegać, przytłoczeni i przerażeni rozmiarami wizji Khaqana.

W Rurik panował tego dnia spokój i cisza. Wilgotne ulice opustoszały. Obywatele tłoczyli się w swoich mieszkaniach, aby przymusowo oglądać wydarzenia, które miały się rozgrywać na ekranach telewizorów. Na całej planecie Jochi działo się to samo.

W rzeczywistości na wszystkich zamieszkałych światach Mglawicy Altaic ludzie i inne rozumne istoty zostały spędzone z ulic przez pojazdy z głośnikami i skierowane do swoich siedzib.

Wszyscy musieli włączyć odbiorniki. Małe czerwone czujniki na dole ekranu badały wymagany poziom natężenia ich uwagi. W całym mieście rozlokowano oddziały strażników, gotowych do otwarcia drzwi kopniakami i wywleczenia każdej istoty, która nie okazuje należytego skupienia.

W samej siedzibie Khaqana trzysta tysięcy istot miało odegrać rolę świadków. Ich ciała stanowiły czarną plamę dookoła krawędzi placu. Ciepło wydzielane przez tę żywą masę wznosiło się w postaci obłoków pary i podążało w kierunku kłębiących się chmur. Przez tłum przebiegało ciągle, nerwowe drżenie. Nic nie zakłócało ciszy. Ani płacz dziecka, ani kaszel starca.

Błyskawica rozjarzyła się ponad czterema złożonymi filarami, wytyczającymi koniec placu i nad ogromnymi posągami, upamiętniającymi bohaterów Altaic i ich czyny. Grzmot huczał i przetaczał się pod chmurami. Spokojny tłum nadal trwał w milczeniu.

Zgromadzeni w centrum placu żołnierze trzymali broń w pogotowiu, lustrując otoczenie w poszukiwaniu oznak zagrożenia.

Za ich plecami złowieszczą wznosiła się Ściana Straceń.

Sierżant warknął rozkaz i oddział egzekucyjny postąpił naprzód, krocząc ciężko pod brzemieniem przytroczonych do pleców każdej z istot pojemników. Giętkie rury biegły z nich do dwumetrowych

dysz.

Następny rozkaz, i dłonie obleczone w cienkie, ognioodporne rękawice nacisnęły na spust miotaczy. Strugi płomieni wydobyły się z dysz. Palce w rękawicach zwiększyły nacisk i powietrze wypełniło się rykiem ognia eksplodującego naprzeciw Ściany Straceń.

Żołnierze przytrzymywali spusty przez chwilę. Zgromadzonych omiotło straszliwe gorąco i gryzący dym. Płomienie ciężkimi falami waliły w ścianę. Na sygnał sierżanta wstrzymano ogień.

Ściana Straceń pozostała nietknięta, poza głęboką czerwienią rozgrzanego metalu.

Sierżant splunął. W chwili dotknięcia ściany ślina wyparowała. Obrócił się i uśmiechnął.

Oddział egzekucyjny wykonał swoje zadanie.

Lunał nagły deszcz, mocząc zbitą masę istot i zmieniając się w kłęby syczącej pary przy zetknięciu ze ścianą. Znikł tak szybko, jak się pojawił, pozostawiając nieszczęśliwy tłum w wilgotnym powietrzu.

Tu i tam odzywały się podenerwowane szepty. Strach był silniejszy niż przymus utrzymania ciszy.

- To już czwarty raz w krótkim czasie - szepknął młody Suzdal do swojej towarzyszki. - Za każdym razem, kiedy policja Jochi wali do drzwi, aby wywlec kogoś na plac, mam wrażenie, że teraz przyszli już po nas. - Jego mały pyszczek zmarszczył się ze strachu, ukazując ostre, szczękające zęby.

- Nie musisz się bać, kochanie - powiedziała jego towarzyszka. Futrzanym garbkiem, który wznosił się ponad jej pyskiem pogłaskała swojego młodego towarzysza, rozpylając uspokajające feromony. - Oni szukają tylko tych, którzy mają coś wspólnego z czarnym rynkiem.

- Ale przecież to dotyczy nas wszystkich - zaskowyczał przerażony Suzdal. - Nie ma innego sposobu na życie. Umarlibyśmy z głodu, gdyby nie czarny rynek.

- Cii, bo ktoś usłyszy - ostrzegła jego towarzyszka. - To zajęcie dla ludzi. Jak długo zabijają Jochiańczyków i Torków, tak długo my pilnujemy własnego nosa.

- Nic nie poradzę. To wygląda tak jakby nadszedł dzień, który ludzie nazywają Dniem Sądu Ostatecznego. Jakbyśmy wszyscy byli przeklęci. A jaką mamy pogodę? Każdy o tym mówi.

Nikt niczego takiego dotąd nie widział. Nawet starszyzna twierdzi, że nigdy tak nie było na Jochi.

Jednego dnia mrozący chłód. Duszący upał następnego. Burze śnieżne. I jeszcze powodzie i tornada. Kiedy wstałem dziś rano, zdawało mi się, że czuję nadchodzącą wiosnę. A teraz? - Wskazał na ciężkie, burzowe czarne chmury pokrywające niebo.

- Sam siebie doprowadzasz do nerwowego wyczerpania - powiedziała samica. - Nawet Khaqan nie jest w stanie kontrolować pogody.

- W końcu dobierze się i do nas. A wtedy... - Młody Suzdal zadrżał. - Czy znasz chociaż jedną straconą dotąd istotę, która miałaby na sumieniu coś naprawdę poważnego?

- Oczywiście, że nie, kochanie. A teraz bądź już cicho. Zaraz się skończy. - I znów potarła garbkiem o jego futro, rozpylając więcej feromonów. Wkrótce przestał szczękać zębami.

Nastąpił zgrzyt i łomot, z wielkich głośników zaczął wydobywać się ryk muzyki, tak potężny, że listowie nielicznych drzew na placu zadrżało od uderzenia. Odziana w złote szaty Gwardia Khaqana wyszła na zewnątrz i ustawiła się obok pałacu w szyku przypominającym strzałę. U szczytu strzały znajdowała się latająca platforma unosząca Khaqana na jego wysokim, złożonym tronie.

Cała ta grupa przemaszerowała na pozycję tuż obok Ściany Straceń. Platforma osiadła na ziemi.

Stary Khaqan zlustrował otoczenie podejrzliwymi, kaprawymi oczami. Zmarszczył nos, kiedy poczuł smród, bijący od stojącego nieopodal tłumu. Zawsze czujny zausznik zauważył ten gest i spryskał władcę jego ulubionymi perfumami o słodkim zapachu. Starzec wyciągnął z kieszeni bogato

zdobioną flaszkę mocnego alkoholu, odkorkował ją i pociągnął długi łyk. Poczował żyłach ogień. Serce przyspieszyło, a oczy rozjarzyły się entuzjazmem.

- Wyprowadzić ich - warknął.

Jego głos, choć starczy i drżący, budził ogromny strach.

Wzdłuż szeregu przekazywano szeptem rozkazy. Przed Ścianą Straceń zaświstał metal na naoliwionych łożyskach, pojawiła się ogromna dziura. Zahuczały maszyny i na powierzchnie, wyjechał szeroki pomost.

Od strony tłumy dał się słyszeć długi, drżący pogłos, gdy widzowie ujrzeli więźniów w łańcuchach, którzy mrugali oślepieni mdłym światłem. Żołnierze postąpili naprzód i poprowadzili czterdziestu pięciu ludzi - mężczyzn i kobiety - pod ścianę. Z muru wysunęły się metalowe klamry i przycisnęły skazańców.

Więźniowie patrzyli na Khaqana osłupiałymi oczami. Władca pociągnął następny łyk ze swojej flaszki i zachichotał, rozgrzany alkoholem.

- Zróbcie, co do was należy - powiedział.

Odziany w czarną szatę oskarżyciel wystąpił z szeregu i zaczął wymieniać nazwiska i czyny każdego z tych nieszczęśników. Rejestr ich zbrodni rozbrzmiewał z głośników: spisek w celu uzyskania korzyści... gromadzenie racjonowanych dóbr... kradzież ze sklepów dla elity Jochi... obraza urzędu... i tak dalej, i tak dalej.

Stary Khaqan podnosił brew przy każdym zarzucie, a potem kiwał głową i uśmiechał się, gdy stwierdzano winę oskarżonego.

Nareszcie lista dobiegła końca. Oskarżyciel wsunął kartkę do rękawa i obrócił się, oczekując na decyzję władcy.

Starzec znowu pociągnął z flaszki i włączył swój mikrofon. Jego drżący, ostry głos wypełnił plac i huczał przez głośniki odbiorników w milionach domów Mglawicy Altaic.

- Kiedy patrzę na wasze twarze, moje serce wypełnia się żalem - powiedział. - Ale także i wstydem. Wszyscy jesteście Jochiańczykami... jak ja sam. Jako wiodąca rasa Altaic, to właśnie Jochiańczycy powinni wskazywać innym właściwą drogę poprzez dobry przykład. Co mają myśleć nasi ludzie bracia, Torkowie, słysząc o waszych złych uczynkach? A nasi niehumanoidalni współobywatele, z ich słabszym kręgosłupem moralnym? Tak... Co mają myśleć Suzdalowie i Bogazi, kiedy wy, Jochiańczycy - moi najcenniejsi poddani - łamiecie prawo i narażacie całe nasze społeczeństwo przez swoją chciwość?

To są straszliwe czasy. Wiem o tym. Te długie lata walki z podłymi Tahnijczykami.

Cierpieliśmy, poświęciliśmy się i umieraliśmy podczas tej wojny. Ale bez względu na to, jak ciężki był nasz los, staliśmy twardo przy Wiecznym Imperatorze.

A później - kiedy wierzyliśmy, że został zamordowany przez nieprzyjaciół - stawialiśmy opór, pomimo niesprawiedliwych ciężarów nakładanych na nas przez tych, którzy spiskowali, aby zabić Imperatora i rządzić na jego miejscu.

Podczas tych wszystkich wydarzeń prosiłem was o pomoc i poświęcenie, aby utrzymać naszą wspaniałą mglawicę bezpieczną aż do powrotu Wiecznego Imperatora, w który wierzyłem przez cały ten czas.

Nareszcie stało się. Udało mu się pozbyć tej złej Rady. A potem rozejrzał się dookoła, aby zobaczyć, kto pozostał wierny podczas jego nieobecności. Odnalazł mnie - waszego Khaqana. Tak samo silnego i lojalnego, jak podczas niemal dwustu lat. I zobaczył was, moje dzieci. I uśmiechnął

się. Od tej chwili Antymateria Dwa zaczęła znowu napływać. Nasze fabryki jeszcze raz ożyły.

Nasze statki kosmiczne podały do wielkich targowisk Imperium.

Nadal jednak nie jest całkiem dobrze. Wojny tahnijskie i działalność zdradzieckiej Rady poważnie nadszarpnęły zasoby Wiecznego Imperatora. Nasze także. Mamy przed sobą długie lata ciężkiej pracy, zanim życie stanie się na powrót normalne i dostatnie.

Dopóki owe czasy nie nadejdą, wszyscy musimy zacisnąć pasa w imię dobrobytu w przyszłości. Każdy z nas cierpi teraz głód. Ale przynajmniej mamy dość pożywienia, aby przeżyć.

Nasze zaopatrzenie w AM2 jest bardziej niż szczodre, dzięki mojej bliskiej przyjaźni z Imperatorem. Niestety, wystarcza jedynie na podtrzymywanie handlu.

Khaqan przerwał na chwilę, aby zwilżyć gardło łykiem alkoholu.

- Chciwość stanowi teraz największe przestępstwo w naszym małym królestwie. Czy w takich czasach spekulacja i złodziejstwo nie jest morderstwem na masową skalę?

Każde ziarenko zboża, które kradniecie, każda kropla płynu, którą sprzedajecie na czarnym rynku jest odjęta od ust dzieci, które na pewno umrą z głodu, jeśli chciwość nie zostanie ukarana.

To samo dotyczy zaopatrzenia w AM2 a także surowców na narzędzia do odbudowania naszego przemysłu czy innych materiałów.

Dlatego więc skazuję was z ciężkim sercem. Czytałem listy od waszych przyjaciół i rodzin, błagających o moją litość. Płakałem nad każdym. Naprawdę. Opowiadały one smutne historie o ludziach, którzy zblądzili. Istotach, które słuchały kłamstw naszych wrogów albo popadły w złe towarzystwo.

Khaqan starł nieistniejącą łzę z suchych powiek.

- Lituję się nad każdym z was. Ale muszę odepchnąć od siebie tę litość. Inaczej postąpiłbym zbrodniczo i samolubnie.

Tak więc mam obowiązek skazać was na najbardziej hańbiącą śmierć, jako przykład dla tych, którzy okażą się na tyle głupcami, aby ulec pokusom chciwości.

Mogę uczynić jedno małe ustępstwo na rzecz mojej słabości. I mam nadzieję, że moi poddani wybaczą to, albowiem jestem stary i łatwo doznaję uczucia żalu.

Pochylił się na swoim tronie, a kamera robiła najazd, dopóki jego twarz nie wypełniła jednej strony ekranu na odbiornikach w domach. To była maska współczucia. Na drugiej połowie ekranu widniały postacie czterdziestu pięciu skazańców.

Głos Khaqana zabrzmiał oschle.

- Mówię to do was wszystkich razem i każdego z osobna... Przykro mi.

Wyłączył swój mikrofon i odwrócił się do doradcy.

- A teraz szybko kończcie z tym. Nie chcę tu siedzieć, kiedy zacznie się burza.

I oparł się wygodnie na tronie, aby patrzeć.

Wykrzyczano rozkazy i oddział egzekucyjny zajął swoje stanowisko. Podniesiono lufy miotaczy ognia. Tłum westchnął głęboko. Więźniowie z rezygnacją zwiesili głowy.

Trzasnął grzmot z nisko zwieszonych chmur.

- Wykonać! - warknął Khaqan.

Miotacze ognia przebudziły się z rykiem. Olbrzymie płomienie ognia runęły na Ścianę Straceń.

Niektóre istoty w tłumie odwróciły wzrok.

Przywódczyni sfory, Suzdalka o imieniu Youtang, warknęła z odrazą.

- Ten smród mnie dobija - szczeknęła. - Odrzuca mnie potem od jedzenia. Wszystko smakuje jak

pieczony Jochiańczyk.

- Ludzie śmierzdzą wystarczająco paskudnie bez podgrzewania - zgodził się jej towarzysz.

- Kiedy Khaqan zaczął te czystki - powiedziała Youtang - pomyślałam sobie: no i co z tego?

Jest tak wielu Jochiańczyków, może to nieco zmniejszy ich szeregi. Więcej zostanie dla nas, Suzdalów. Ale on nie popuszcza. I to zaczęło mnie denerwować. Niedługo zaczniesz szukać swoich ofiar gdzie indziej.

- Wydaje mu się, że Bogazi są najgłupszy, więc pewnie kolej na nich przyjdzie na końcu - stwierdził jej towarzysz. - Z nami rozprawi się tuż przed nimi. Torkowie to rasa ludzka, jeśli więc ma zamiar kierować się tym, co uważa za logikę, to pewnie teraz dojdzie do nich.

- Jeśli już mowa o Torkach - dodała Youtang - widziałam niedaleko jednego z naszych przyjaciół. Wyglądał na nieco wystraszonego. - Słowa jednego z naszych przyjaciół - wypowiedziała z niesmakiem.

- Spójrz. To baron Menynder. Trajkocze coś z jakimś innym człowiekiem, Jochiańczykiem, sądząc po kroju szat.

- To generał Douw - zaskowytał z podekscytowaniem jej towarzysz.

Przewodniczka sfory rozmyślała przez chwilę. Człowiek, na którego patrzyła, był niewysoką, przysadzistą istotą z całkowicie łysą głową. Mięsista twarz miała w sobie tyle brzydoty, że mogła należeć do jakiegoś zbira, ale baron Menynder nosił okulary, które sprawiały, że jego brązowe oczy wydawały się wielkie, szeroko otwarte i niewinne.

- Ciekawe, o czym minister obrony Khaqana może rozmawiać z Menynderem?

Nieemożliwe, aby prosił o radę w sprawach zawodowych, nawet jeżeli Menynder kiedyś pełnił tę samą funkcję. Ale to przeszłość. Po nim było już pięciu czy sześciu ministrów obrony. Khaqan spalił albo zabił wszystkich pozostałych. Cholera, ten Menynder to szczywany stary lis - Youtang mruzczała, jakby do siebie. - Wydostał się z tego w samą porę. A teraz pilnuje swoich własnych spraw i trzyma głowę nisko schyloną.

Jeszcze przez chwilę zastanawiała się nad sytuacją, przyglądając się bliżej Douwowi.

Jochiańczyk wyglądał jak idealny generał, wysoki, smukły, atletyczny - przynajmniej obok przysadzistego Menyndera. Jego srebmoszare loczki otaczały głowę jak ciasny hełm, ostro kontrastując z gołą czaszką barona.

- Douw chyba aprobeje to, co słyszy - powiedziała w końcu przewodniczka sfory. - Menynder gada bez przerwy od chwili, kiedy zaczęliśmy patrzeć.

- Może stary Tork czuje się w ostatnich dniach bardziej śmiertelny - stwierdził jej towarzysz. - Pewnie ma jakiś plan i właśnie o tym dyskutują cały czas.

Zadanie przy Ścianie Straceń zostało wykonane. Tam, gdzie kiedyś stali skazańcy, pozostały tylko prochy. Na zachodnim krańcu placu Suzdalowie mogli widzieć Khaqana i jego gwardię znikających w pałacu. W centrum żołnierze formowali szyk do wymarszu.

Youtang spojrzała na dwóch ludzi głęboko pogrążonych w dyskusji. Wpadła na pewien pomysł.

- Sądzę, że powinniśmy przyłączyć się do nich - stwierdziła. - Jeśli chodzi o Menyndera, to jestem pewna jednego - że ma olbrzymią wprawę w sztuce przetrwania. Idziemy.

Jeżeli istnieje jakiś sposób na wydostanie się z tego koszmaru, to nie chcę, aby Suzdalowie pozostali gdzieś na boku.

Obie istoty odłączyły się od tłumu.

Wybuchła burza. Na placu rozległy się krzyki strachu i bólu, kiedy grad walił z czarnych chmur,



uderzając jak szrapnele.

Menynder i Douw pospieszyli razem ku wyjściu. Ale zanim dotarli do głównej bramy, dołączyło do nich dwoje Suzdali. Cała czwórka zatrzymała się pod osłoną stojącego przy bramie olbrzymiego pomnika Khaqana. Wymieniono kilka słów. Potem kilka kiwnięć głową. W chwilę później cała czwórka wyszła pospiesznie.

Spisek został zawiązany.

## Rozdział 2

- Drinka, proszę pana? - Jakiś głos dotarł do uszu Stena.

Sten wrócił do rzeczywistości i stwierdził, że puszy się przed oprawionym w dębowe drewno lustrem na ścianie jak ziemski paw. Poczerwieniał.

Właścicielką głosu była czarnowłosa kobieta, doskonale zbudowana i ubrana, trzymająca tacę z wypełnionymi szklankami. W środku lekko musował ciemny płyn.

- Czarny Welwet - stwierdziła.

O tak, to ty - pomyślał Sten. Ale nic nie powiedział, tylko rzucił pytające spojrzenie.

- Kombinacja dwóch składników ze Starej Ziemi - ciągnęła kobieta. - Ziemskiego szampana - Taittinger Blanc de Blancs - i rzadko warzonego mocnego piwa z wyspy zwanej Irlandią. Nazywa się Guinness.

Przerwała i uśmiechnęła się. Była w tym jakaś intymność.

- Powinien pan się dobrze bawić tu, na Primie, panie ambasadorze. Gdybym pozostawiła pana... niezadowolonego, odczułabym to jako osobistą porażkę.

Sten wziął jedną szklankę, pociągnął łyk i podziękował. Kobieta stała jeszcze przez chwilę, a nie doczekawszy się niczego więcej, posłała następny uśmiech - tym razem bardziej zdawkowy - i poszła dalej.

Starzejesz się, pomyślał o sobie Sten. Dawno, dawno temu, za górami, za lasami podziwiałbyś, poprosił i uzyskał albo odrzucenie oferty, albo odłożenie jej realizacji na później.

Potem wypiłbyś sześć szklanek, aby pomogły przebrnąć przez tę idiotyczną uroczystość. Ale teraz jesteś dorosły. Nie upijasz się, chociaż nadal uważasz parady za głupotę. Ani nie przyklepiesz się do pierwszej kobiety, która ci się przedstawi.

Poza tym... ta uśmiechająca się pani na pewno należy do wywiadu - Korpusu Merkurego, i przewyższa rangą admirała w rezerwie, jakim był Sten.

Wreszcie, nie miał nastroju do zabawy. Dlaczego nie? Kiedy część jego mózgu zastanawiała się nad tym, skosztował napoju. Dziwna kombinacja. Próbował już przedtem przefermentowanego i wzmocnionego musującego soku winogronowego, ale rzadko tak wytrawnego. Ten drugi składnik - Guinness? - dodał ostrego, solidnego kopa, coś jak mocne walnięcie w głowę. Zanim opuści Primę, wypije więcej tego, zdecydował.

Sten przesunął się do tyłu, dopóki jego ramiona nie dotknęły ściany - stary zwyczaj, nabyty w czasach, kiedy był imperialnym zabójcą - i rozejrzał się po olbrzymiej komnacie.

Zamek Arundel wyrósł triumfalnie na swoich własnych ruinach. Wybudowany jako manieryczna rezydencja Wiecznego Imperatora na świecie Primy, został zniszczony przez Tahnijczyków od razu

na początku wojny. Podczas trwania pożogi wojennej Arundel pozostawał symboliczną ruiną; kwatera dowództwa Wiecznego Imperatora znajdowała się w niezmiernie przepelnionych pomieszczeniach pod spustoszonego obszarem.

Kiedy zamordowano Imperatora, jego zabójcy pozostawili Arundel jako pomnik.

Odbudowano go po powrocie władcy, i teraz był nawet bardziej wyniosły i groźny niż przedtem.

Sten znajdował się w jednym z zamkowych holów. Poczekalnia, ale taka, że łatwo mogłaby służyć jako hangar dla niszczyciela floty.

Pomieszczenie zapełniały grube ryby, wojskowe i cywilne, humanoidalne i nie.

Sten raz jeszcze popatrzył w lustro i wzdrygnął się. „Grube ryby” pasowało aż za dobrze.

Skoro skończyłeś już z ostatnim zadaniem, zleconym przez Imperatora, pomyślał, to może czas popracować nad sylwetką? To lustro, które tak podziwiałeś przed chwilą, ukazywało wszak spore brzuszysko. A ten sztywny kołnierzyk powodował tworzenie się drugiego podbródka. Może to jednak nie jest wina kołnierzyka?

Do diabła z tobą, powiedział Sten swojemu wewnętrznemu głosowi. Teraz jestem szczęśliwy. Zadowolony z siebie, zadowolony ze świata, zadowolony z tego, co mam.

Trzeci raz spojrzął w lustro, powracając do myśli przerwanych przez kelnerkę.

Cholera.

Nadal nie przywykł do patrzenia na siebie w tym dyplomatycznym stroju. Bardziej odpowiadałby mu mundur. Ten ubiór, archaiczna koszula, żakiet z rozdwojonym ogonem, zwisającym niemal do kostek, spodnie, sięgające lśniących pantofli... co za ekstrawagancja!

Zastanowił się nad tym, co zdarzyłoby się, gdyby Sten, ten dawny Sten - biedna sierota ze świata niewolniczej pracy, farciarz, wystarczająco szybki w użyciu noża - spojrzął w to lustro.

Gdyby stało się ono ekranem, ukazującym przyszłość? Co pomyślałby ten młody Sten, patrząc na to i wiedząc, że ogląda samego siebie w nadchodzących latach?

Latach? Więcej ich już minęło niż chciałby liczyć.

Cóż za dziwaczne myśli, zwłaszcza tu, w tym miejscu, podczas oczekiwania na Wiecznego Imperatora, aby przyjąć gratulacje i nagrodę za służbę na najwyższym poziomie.

Tak. Co pomyślałby ten młody Sten? Albo powiedział?

Sten uśmiechnął się. Zapewne coś takiego: - „Dlaczego, u diabła, nie pijesz tego Czarnego Welwetu?” Odetchnął z ulgą. No tak. Cholera, żyjemy. Nigdy nie sądziłem, że nam się to uda. Jego prawa ręka nieświadomie przesunęła się, dotykając mięsistego jedwabiu okrycia.

Pod spodem - pod pokrytym diamentami rękawem koszuli - nadal tkwił nóż.

Chirurgicznie ukryty w przedramieniu. Sten zrobił go - wyhodował i obrobił w biomłynie - podczas niewolniczej pracy na Vulcanie. To była jego pierwsza własność. Nóż stanowił cienkie, obosieczne żądło, przystosowane wyłącznie do dłoni właściciela. Mógł przeciąć ziemski diament na pół samym naciskiem ostrza. Prawdopodobnie był to najbardziej śmiertelny nóż, jaki człowiek, z jego niegasnącą fascynacją narzędziami destrukcji, kiedykolwiek wykonał. Na miejscu utrzymywał go chirurgicznie zmieniony mięsień.

Ale minął już więcej niż rok, nie, niemal dwa lata, odkąd go ostatnio wyciągnął w gniewie.

Cztery cudowne lata pokoju, po tak długiej wojnie. Pokój... i rosnące poczucie, że w końcu wykonuje zadanie, do jakiego został stworzony. Coś, co nie wymagało...

- Jak wspaniale - powiedział ktoś płaskim, śmiertelnie monotonnym głosem. - Zawsze przypominałeś mi alfonsa. Widzę, że się nim stałeś. Albo przynajmniej założyłeś takie ubranie.

Zaczepony powrócił do rzeczywistości; ręka opadła, palce się zacisnęły, nóż opadł w swe zabójcze gniazdo. Sten odsunął się nieco od muru, lewa stopa do tyłu, postawiona na palcach, lekkie wychylenie...

Cholerny Mason.

Poprawka. Cholerny admirał floty Robher Mason. W białym mundurze, z piersią pełną orderów, zapewne dobrze zasłużonych. Pewnie to mniej niż jedna trzecia tych, na jakie zarobił.

Nigdy nie zadał sobie trudu, aby pozbyć się blizny, przecinającej mu twarz. Sten pomyślał, że Mason chyba uważa to za swój dodatkowy urok.

- Panie admirale - zapytał - jak idzie rzeź niewiniątek? Dobrze - odparł Mason.

- Kiedy tylko nauczysz się, jak to robić, nie ma problemu.

Mason i Sten nienawidzili się od pierwszego wejrzenia. Mason był jednym z instruktorów Stena podczas treningu w szkole lotniczej i robił wszystko, aby Sten nigdy jej nie ukończył.

Studenci Masona uważali go za wyjątkowego skurwysyna. I mieli rację. Po dyplomie nie okazało się - jak to często bywa w filmach - że kamienne serce Masona to tylko poza. Pod granitem kryła się najtwardsza stal.

Podczas wojen tahnijskich Masona awansowano na admirała. Miał po temu doskonałe kwalifikacje - był błyskotliwy i despotyczny, doskonały strateg, zabójca, brutalny służbista.

Przywódca, który wiódł swoich podwładnych do grobu i dalej. Na przykład, kiedy zorientował się, że nie może znaleźć żadnego sposobu, aby wylać Stena ze szkoły, dał mu najlepsze możliwe oceny.

Mason był prawdopodobnie najdoskonalszym pilotem w siłach Imperium. No, może drugim z kolei, mruknął pilot w Stenie.

Szczerze oddany Imperatorowi, Mason przeżył czystki Rady dzięki odrobinie szczęścia.

Teraz bez wątpienia znów spełniał rozkazy Imperium, tak jak niegdyś - skutecznie i brutalnie. Tak, pomyślał Sten, panował pokój. Ale tylko w porównaniu z koszmarem wojen tahnijskich. Nadal ginęli ludzie.

- Słyszałem, że zostałeś gońcem Imperatora - powiedział Mason. - Nigdy nie mogłem zrozumieć, jak prawdziwy mężczyzna może wytrzymać żyjąc w świecie, gdzie wszystko jest szare i nie ma prawdy.

- Polubiłem ten kolor - odparł Sten. - Nie barwi tak rąk jak czerwień. I zmywa się.

Huczący głos przerwał tę miłą pogawędkę.

- Szanowni państwo, proszę o uwagę.

Szmer uprzejmych, dyplomatycznych rozmów zamarł.

- Jestem Wielki Szambelan Bleick.

Mówca był śmiesznie ubraną, niewielką istotą, mówiącą najgłośniejszym przypochlebnym świergotem, jaki Sten kiedykolwiek słyszał. No jasne. Miał mikrofon krtaniowy i przenośny wzmacniacz.

- Pragniemy upewnić się, że każdy z szanownych gości został prawidłowo zidentyfikowany i ceremonia przebiegnie według planu. Dlatego musimy podporządkować się pewnym zasadom.

Nagrody będą wręczane zgodnie ze stopniem ważności odznaczenia, w porządku malejącym.

Każda kategoria zostanie osobno ogłoszona przez herolda.

Kiedy zostanie wywołana wasza kategoria, uformujecie pojedynczy szereg tu, przy wejściu.

Gdy herold - Bleick wskazał na istotę w czerwieni - ogłosi czyjeś nazwisko, ten ktoś wejdzie do

głównej komnaty. Należy iść prosto do przodu mniej więcej siedemnaście kroków, aż do linii na podłodze. Na drugim końcu tej linii będzie stał Imperator.

Jeżeli dane odznaczenie przypada tylko jednej osobie, ma ona zatrzymać się dokładnie naprzeciw Wiecznego Imperatora. Gdy liczba osób jest większa, należy przesunąć się wzdłuż linii i zająć miejsce obok najbliższej istoty po lewej stronie. Obowiązuje postawa na baczność.

Urzędnik Imperium przeczyta uzasadnienie przyznanej nagrody. Drugi urzędnik wręczy ją, zawieszając szarfę lub przypinając wprost do munduru. Jeśli znajdzie jakaś pomyłka, proszę ukryć ewentualną bolesną reakcję. Uroczystości będą, oczywiście, nagrywane celem późniejszego wyemitowania na waszych macierzystych światach. Chcę dodać, że dodatkowe kopie można nabyć potem w moim biurze za rozsądną opłatą.

Nie przyznano żadnych odznaczeń Rady Imperialnej. Następne w kolejności są tytuły dziedziczne: księcia, barona i tym podobne. Ci, którzy otrzymają jeden z nich...

- Szlachectwo - Sten westchnął ze zdziwienia.

Jego wargi nie poruszały się, a głos nie docierał dalej niż do uszu Masona.

Zdobył tę umiejętność podczas pobytu w wojsku i w więzieniu.

Mason także się tego nauczył.

- Wieczny Imperator znalazł sposób na odkrycie wielu nowych i wyjątkowych dróg, aby nagrodzić tych, którzy dobrze mu służyli. - Głos Masona przepełniała ironia. - To zadowala nie tylko tych biurokratycznych drani - dodał - ale też i ich znacznie gorszych szefów.

Dezaprobatą obu mężczyzn nie uwidoczniła się w żaden sposób na ich twarzach.

Lecz mocne uczucia odnalazły swój wyraz kilka metrów dalej.

Mężczyzna był wielki i bardzo biały - od fruwającej grzywy po sumiaste wąsy i oficjalny dworski strój. Wyglądał także na lekko pijanego.

- Kompletnie kretyństwo - oświadczył głosem, przetaczającym się jak grom. - Przez te cholerne tytuły ci nuworysze myślą, że stali się szlachcicami. Niedowarzone młokosy wyobrażają sobie Bóg wie co! Pierwszy raz słyszę o takim gównie! Na Boga, Imperator oszalał, pozwalając rządzić się bandzie skretyniałych idiotów! Niech mnie diabli wezmą, jeśli wezmę udział w tym małpim tańcu. Powiedźcie temu Imperatorowi, że jeśli chce...

Cokolwiek Wąsacz chciał zasugerować Imperatorowi, nie miał na to szansy. Jego przemowa została łagodnie przerwana przez czterech bardzo, bardzo dużych ludzi, którzy pojawili się znikąd i otoczyli go szczerlnie.

Sten słyszał dalsze protesty, ale niezwykle delikatnie obezwładniono tego mężczyznę i poprowadzono - był zbyt duży, aby go wlec - w kierunku pobliskiego wyjścia.

Tych czterech ludzi nosiło nowe mundury typu policyjnego, których Sten nie mógł sobie przypomnieć. Chyba nie widział ich przedtem w pałacu czy na Primie. Zdołał dojrzeć jeden z naramienników z okrągłym złoto-czarnym godłem i okalającą je literą S.

- Kim są te wielkoludy? - zamruczał nie poruszając ustami do Masona.

- Nowa formacja. Służba Wewnętrzna. Dalej moja wiedza i zainteresowania nie sięgają.

- Komu oni podlegają? Mercury? Mantis?

Naturalna ciekawość Stena wypływała z jego poprzedniego - przynajmniej formalnie - członkostwa w obu organizacjach.

- Powtórzę raz jeszcze - stwierdził Mason nieco chłodniej i głośniej. - Bojówkarze, żandarmi, zgadywanki nie leżą w obszarze moich zainteresowań.

Sten uznał za stosowne podążyć za falą, gdy nagradzani posuwali się do przodu, przechodzili przez drzwi i znikali.

Nadawanie dziedzicznych tytułów... Krzyże zasługi... Odznaczenia wojskowe..

Odznaczenia cywilne...

Sten stanął przed szambelanem, który spojrzał na listę.

- Panie Ambasadorku Pełnomocny Sten, jest pan jedyną osobą uhonorowaną dzisiaj tą nagrodą.

Może pan wejść.

Sten podszedł do wysokich drzwi. Dwie istoty w czerwonych strojach - i jak mu się zdawało, białawych perukach ze sztucznych włosów - otworzyły przed nim podwoje.

Jakiś głos oznajmił:

- Wielce Szanowny Sten... ze Smallbridge.

Wielka Komnata Nagrodzonych niemal wypełniła się tymi, których odznaczono wcześniej.

Sten podążył naprzód, tym nieco wolniejszym niż zwykle krokiem, jakiego uczy się każdy dyplomata, bo tak najlepiej prezentuje się w telewizji. Przybrał formalny wyraz twarzy.

Wielce Szanowny, pomyślał. Bardzo ciekawe. O ile sobie przypominam, kiedy ostatni raz przebywałem na dworze, byłem tylko Bardzo Szanownym. Czy dzięki temu dostanę większą wypłatę?

- Ambasadorku Pełnomocny Sten, w warunkach poważnego zagrożenia dla osobistego bezpieczeństwa, spełnił najwyższe wymagania Służby Imperialnej podczas ostatniej misji mediacyjnej pomiędzy Thorvaldiańczykami a mieszkańcami Markel Bat. Został uratowany pokój, a ponadto do gwiazdozbioru wprowadzono nową erę równowagi. Specjalnie dla niego ustanawia się nową kategorię: Towarzysz Imperatora.

Co oznacza, pomyślał Sten, dokładnie to, co zechce Imperator. To jest wszystko oprócz odznaczeń Rady Imperialnej, czymkolwiek one są. Przynajmniej te obrzydliwe kreatury nie kręcą się ostatnio, aby pomordować się nawzajem. Nie miał też ochoty na zabicie któregoś z nich, jak to bywało kiedyś.

Żadna z tych myśli nie ujawniła się na jego obliczu. Nie zmienił też wyrazu twarzy, kiedy podchodził do linii, omiatając spojrzeniem wielką komnatę.

Tam wysoko... ten irys w kandelabrze... wieżyczka karabinu maszynowego. Ten wielki portret - jednostronny ekran, za którym zapewne ukrywa się oddział strzelców.

Tam, i jeszcze tam.

Na poziomie pasa. Dookoła ukryte działka laserowe...

Po obu stronach wejścia do komnaty czuwali Gurkhowie. Cisi, mali, brązowi mężczyźni o pustych twarzach, w mundurach; paski od ich kapeluszy o obwisłych rondach zapinały się tuż pod dolną wargą. Po jednej stronie biodra spoczywał w kaburze miniaturowy karabin Willy'ego, a po drugiej śmiertcionośny, bezlitosny nóż zwany kukri, który przyczynił się do tego, że uważano ich za najbardziej przerażających i szanowanych żołnierzy Imperium. Poza tym Sten zauważył jeszcze około dziesięciu tych umundurowanych na szaro typków ze Służby Wewnętrznej, porozrzucanych po całej komnacie.

No i co z tego? Czy nie zadbałbyś o własne bezpieczeństwo, gdyby kilka lat wcześniej pojawiło się kilku drani i cię zabiło?

Jakiś mężczyzna stał tuż za linią.

Wieczny Imperator.

Czarne włosy. Błękitne oczy. Dobrze umięśniony. Wyglądał na najwyżej czterdzieści kilka lat.

Nie, poprawił się Sten, wyraz oczu postarzał go nieco.

Ale na pewno nie do tego stopnia, aby uważać go za wystarczająco starego na to, kim był - człowiekiem, który przez przeszło tysiąc lat w pojedynkę zbudował swoje Imperium, rozciągające się poza granice wyobraźni, Imperium, które zostało niemal zniszczone, a teraz ulegało odbudowie.

Sten stanął sztywno na baczność. Imperator dokładnie obejrzał go od stóp do głów, a potem skinął głową z formalną aprobatą.

Dwóch urzędników - ten, który czytał uzasadnienie i drugi, trzymający coś w rodzaju medalu w otwartej, aksamitnej skrzynce - wystąpiło do przodu.

I wtedy Imperator złamał tradycję. Odwrócił się do urzędnika i wyjął odznaczenie ze skrzyneczki. Podeszedł bliżej, założył szarfę na szyję Stena.

- Czterdzieści pięć minut - wymamrotał Wieczny Imperator w ten sam więzienny sposób, tak samo wprawnie, jak przedtem Sten i Mason. - Tylnymi schodami... moje komnaty... musimy się napić.

## Rozdział 3

Sten wszedł na podest stanowiska bezpieczeństwa. Na znak oficera Służby Wewnętrznej otworzył dłoń, aby umożliwić pracę promienia rozpoznającego. Coś zaszumiało i cała postać Stena została skąpana w powodzi rozmaitych kolorów. Gdzieś we wnętrzu Arundelu zebrała się cała masa danych; Sten był badany przez najbardziej wymyślne szpiegowskie wyposażenie w całym Imperium.

Pierwszy poziom stanowiła identyfikacja. Gdy tylko dwukrotnie sprawdzono odciski palców Stena, w poszukiwaniu oznak wrogości do Imperatora przestudiowano całą jego biografię.

Sięgnięto też do najnowszych, pochodzących z ostatnich dwudziestu czterech godzin danych, uzyskanych z Korpusu Merkurego.

Drugi poziom był biologiczny. Zanalizowano jego organizm w poszukiwaniu ewentualnych bakterii czy wirusów, groźnych dla władcy. Już od dawna istniała możliwość zbudowania żywej bomby bakteriologicznej.

Trzeci, ostatni, stanowiło sprawdzenie, czy ma jakąkolwiek broń, od widocznych pistoletów lub noży po nieco mniej widoczne, wbudowane chirurgicznie ładunki wybuchowe.

Albo, jak w przypadku Stena, nóż w ręce. Wiedział, że gdyby skanery uchwyciły to, jego upoważnienie do noszenia tej broni w obecności Imperatora uciszyłoby każdy alarm.

Sten otrzymał pozwolenie, zszedł z podestu i ruszył wzdłuż korytarza do kwater Imperatora.

Z powodu zbliżającej się konferencji z szefem czuł się nieco niepewnie. Minęło już wiele czasu od chwili, kiedy po raz ostatni spotkali się twarzą w twarz. Musiało zajść coś niezwykle ważnego.

Ale właściwie nie to tak go denerwowało. To ta wyjątkowo dokładna kontrola trochę go wkurzyła, choć nie powinna: kiedyś kierował osobistymi ochroniarzami Imperatora.

Wtedy gryzł się z byle powodu, przestraszony skłonnościami władcy do „gubienia” się w tłumie, czy wymykania po kryjomu, aby przeżyć jakąś przygodę.

Sten nie winił Wiecznego Imperatora za poważne wzmoczenie środków bezpieczeństwa po tym, co się wydarzyło. Ale ponieważ miał teraz własne doświadczenia jako osoba publiczna, wiedział też, że niebezpieczne jest dla kogoś posiadającego władzę przyjęcie „mentalności bunkrowej”. Im ostrzejsze były rygory, tym trudniejsze stawało się zadanie mordercy, to prawda.

Ale też faceci bez złych zamiarów zaczęli mieć większe kłopoty z dotarciem do władcy. Kiedy patrzył na te istoty ze Służby Wewnętrznej, dostawał gęsiej skórki. Sam nie wiedział dlaczego. W miarę zbliżania się do celu coraz bardziej przeszkadzało to Stenowi.

Wyglądali... jakby znajomo.

Kiedy zobaczył w drzwiach wysokiego, przystojnego młodego człowieka, wreszcie zrozumiał. Ten mężczyzna mógł być bliźniakiem Imperatora - tak, jak wszyscy spotkani przez Stena od czasu,



gdy wszedł do prywatnych pomieszczeń władcy. Główna różnica polegała na tym, że Imperator był nieco od nich niższy.

Sten niechętnie przyznał, że to rozwiązanie miało niezaprzeczalne plusy. Każdy funkcjonariusz SW wystarczająco przypominał władcę, aby ściągnąć na siebie ogień mordercy. A jako grupa mogli stanowić żywą tarczę.

Oficer SW stuknął obcasami przed Stenem.

- Jest pan oczekiwany, panie ambasadorze - stwierdził łagodnym głosem, pozostającym w dziwnym kontraście z kamienną twarzą.

Podejrzliwe oczy szacowały Stena. Porównywały. Sten poczuł się nieco urażony, kiedy miejsce podejrzliwości zajęła ulga. Ten dureń myślał, że da mu z łatwością radę.

- Może pan wchodzić - powiedział oficer.

Mięśnie Stena zadrżały; przypomniał sobie czasy, kiedy sam bawił się w ową grę w szacowanie. Funkcjonariusz zmrużył oczy. Wiedział, o co chodzi.

Sten roześmiał się.

- Dziękuję - tylko tyle powiedział.

Drzwi otworzyły się, wszedł do środka. Zobaczył wyraz zaskoczenia na twarzy tamtego człowieka, kiedy ów zorientował się, jak kiepsko go oceniono. Sten mógł rozprawić się z nim z łatwością. Jasne, był nieco wolniejszy, nieco wyszedł z wprawy. Ale nadal nie stanowiło to dla niego problemu.

Stegg zmył wspomnienie Czarnego Welwetu i myśli o kłopotach, a potem nagle wszystko stało się proste. Sten poczuł, jak jego wnętrze rozgrzewają się przyjemnie.

Wieczny Imperator popatrzył na niego i znowu nappełnił kieliszki ognistym trunkiem, nazwanym tak przez Bhorów na pamiątkę pewnego starożytnego nieprzyjaciela.

- Jak mawia nasz stary irlandzki przyjaciel Ian Mahoney, „ten jeden będzie po to, żeby nasz dobry Bóg wiedział, że nie żartujemy”. - Imperator spełnił toast.

Sten podążył za swoim przywódcą. Jeśli szef chce, żeby spotkanie przebiegało na alkoholowym rauszu, to on sam nie miał innego wyjścia, jak tylko wziąć w tym udział - i to z entuzjazmem. Poza tym Wieczny Imperator miał rację. Jak zwykle. Sten naprawdę potrzebował tego drinka.

- A teraz zobaczmy, co słyhać z tym obiadem, który ci obiecałem - powiedział Imperator. - Jesteś, panie ambasadorze, odpowiedzialny za pełne szklanki, aż do odwołania rozkazu.

Zaczął uwijać się dookoła tego, co stanowiło połączenie starych wartości i nowoczesnego tempa, jak zwykły mawiać o swojej kuchni., - To trudne zadanie, sir - stwierdził Sten - ale zrobię wszystko, co w mojej mocy.

Roześmiał się, nappełnił szklanki i zaniósł je do lady kuchennej. Przycupnął jak zwykle na jednym z wysokich stołków.

Z przyjemnością wdychał powietrze. Poczuł mieszaninę znajomych zapachów, mających lekki posmak intrygującej tajemniczości. Wieczny Imperator mógłby uczyć szefa kuchni. Nawet Marr i Senn, najwięksi specjaliści od bankietów, przyznawali mu to.

Władca uwielbiał odtwarzanie przepisów ze starej Ziemi. Chociaż z jego punktu widzenia te przepisy nie były aż tak stare, pomyślał Sten. Przecież rządził od trzech tysięcy lat.

Sten znowu wciągnął powietrze.

- Azja? - zgadywał.

Nie miał nic przeciwko gotowaniu. Przejął to hobby - zapewne pod jakimś wpływem swego

szefa - umilając sobie długie godziny na zapomnianych posterunkach, gdzie wyżywienie wydawało się nawet bardziej jałowe niż na niewolniczym świecie.

- Tak ci się tylko wydaje - powiedział Imperator. - Ale są tu pewne takie wpływy, jak sądzę.

Natomiast końcowy efekt osiągnięto w nieco inny sposób. To Chińczycy byli najlepszymi kucharzami. Jednak za bardzo uganiali się za pieniędzmi. Niektórzy ludzie twierdzą, że byli i lepsi od nich. Sam nie wiem.

Dotknął przycisku na ladzie i pokrywa lodówki przesunęła się, odsłaniając bogactwo garnuszków i naczyń wypełnionych różnościami. Wyjął je na blat.

- Dzisiejsza myśl przewodnia to Indie - stwierdził Wieczny Imperator. - W jakiś sposób koresponduje to z zadaniem, które ci wyznaczyłem.

Uśmiechnął się. Sten widywał już przedtem swego szefa w przyjaznym nastroju, ale nigdy jeszcze nie był on aż tak jowialny. O rany. Następne niemożliwe zadanie. Sten poczuł tylko lekkie zakłopotanie. Potencjalne trudności zaintrygowały go. Ale przecież nie mógł poddać się zbyt łatwo.

- Nie mam nic przeciwko temu, sir, ale szczerze mówiąc, miałem nadzieję na mały urlop.

Twarz zwierzchnika zadrgała z oburzenia. Świetnie.

- Nie przeciągaj struny - warknął Wieczny Imperator. Zaalarmowany Sten stwierdził, że irytacja władcy błyskawicznie przeradza się w furję. - Mam już dość sprzeciwów.

Czy wy nie możecie tego zrozumieć? To wszystko trzyma się kupy jedynie dlatego, że udało mi się jakoś powiązać końce psim swędem i... - Głos Imperatora zanikł.

Sten patrzył, jak szef powoli opanowuje gniew. To była wyraźna walka. Imperator potrząsnął głową i posłał Stenowi głupawy uśmiezek.

- Przepraszam - powiedział. - To wynik stresu i w ogóle. Czasami zdarza się, że zapominam, kim są moi starzy przyjaciele. Moi prawdziwi przyjaciele. - Wzniósł kieliszek, przepijając do Stena.

- To moja wina, sir - stwierdził Sten. Instykt podpowiedział mu, że lepiej, aby wziął to na siebie. - Zapach tego dobrego jedzenia obudził we mnie leniwca.

Imperator zaaprobował to stwierdzenie. Energicznie kiwnął głową i wrócił do pracy. I do sprawy.

- Coś, co ostatnio pełni rolę wrzodu na moim tyłku - powiedział - przypomina miejsce, z którego pochodzi to pożywienie. W obrębie granic Indii mieszkali ludzie o bardziej zróżnicowanych poglądach niż w jakimkolwiek innym miejscu na Ziemi. To była jedna wielka zbita masa nienawidzących się nawzajem ugrupowań, które od tak dawna trzymały się za gardła, że wszyscy już zapomnieli, od czego to się niegdyś zaczęło. Nie, wróc. Pamiętali to aż za dobrze.

Hindus czy Sikh mógłby ci powiedzieć z dokładnością do dnia tygodnia i koloru nieba, jaką zbrodnię popełnił pra-pra-pra-pradziadek tego drugiego faceta.

Przesunął miseczkę, wypełnioną jakąś zielonkawą masą.

- To dhal - powiedział. - Rodzaj fasolki, a raczej puree w tym przypadku. Jest łagodne - zrobiono je tak specjalnie. Równoważy resztę. Oczyszcza podniebienie. Ugotowałem to wczoraj.

Musimy tylko podgrzać.

- A co z tym problemem? - napomknął Sten.

- No tak - Imperator pociągnął następny łyk alkoholu. - Mógłbym użyć innego przykładu, nie pochodzącego z Indii. Ale ich jedzenie składało się głównie z ziemniaków i świńskiego mięsa, jeśli tylko mogli je zdobyć. Robili piekielne kielbaski. Otaczali je w mące i smażyli. Ale jakoś nie mam ochoty na kielbaski.

Sten powąchał składniki, które Imperator układał w znanym tylko sobie porządku.

- Indie zupełnie wystarczą, sir - powiedział.

- Miejsce, gdzie cię wysyłam, to Mglawica Altaic - stwierdził Imperator.

Sten podniósł brwi. Nie wiedział zbyt dużo na ten temat.

- To Jochiańczycy, pomiędzy innymi, tak? Ale zdawało mi się, że oni byli jednymi z naszych najwierniejszych sprzymierzeńców.

- Nadal są - stwierdził stanowczo Imperator. - I chciałbym, aby tak zostało.

Kłopot polega na tym, że Khaqan - tak sam siebie nazywa ten gość, który tam rządzi - jest po uszy ubabrany w gównie.

Imperator podniósł stertę pokrojonego mięsa. Chyba ze dwa funty, stwierdził Sten.

- To jest koźlę - powiedział Imperator. - Mam pole, przygotowane specjalnie dla niego i jego braci i sióstr. Na tym polu zasadzono te same rośliny, jakie niegdyś jedli przodkowie tego koźlęcia w Indiach - miętę, dzikie cebule i tak dalej. - Wrzucił masę do ogniodopornego naczynia.

- Khaqan starzeje się i staje nieco nieudolny - kontynuował Imperator w typowy dla siebie sposób, co chwila zmieniając temat. Ale przez lata Sten stwierdził, że tak naprawdę cały czas chodziło o to samo; każda wzmianka miała coś wspólnego z innymi.

- Tak czy siak - mówił dalej Imperator - to on sam powoduje kłopoty... Mimo wszystko, nie mogę sobie pozwolić na jego utratę.

Sten skinął głową. Cokolwiek reprezentował sobą Khaqan, Mglawica Altaic była ważnym sprzymierzeńcem. I jeszcze do tego leżała cholernie blisko świata Primy.

- Co mu zagraża, sir?

- O, nic szczególnego, oprócz wszystkiego i wszystkich - stwierdził władca.

Zaczął posypywać jagnięcinę przyprawami. - Nieco imbiru - mrucał, sprawdzając jeszcze raz przepis. - Parę goździków, kardamon, chili, kminek... kilka ząbków czosnku i jeszcze stara, dobra sól i odrobina pieprzu.

Dołożył trochę jogurtu i soku cytrynowego, zamieszał wszystko i odstawił na bok.

Zaczął smażyć cebulę na oleju arachidowym.

- Na Altaic mieszkają trzy różne gatunki istot - powiedział - które dzielą się na cztery rasy.

Każda z nich jest okropna. Po pierwsze, Jochiańczycy. Ludzie. Główna rasa.

Khaqan urodził się jako Jochiańczyk.

- Jasne - powiedział Sten.

Tak właśnie zwykle działo się pod panowaniem jedynowładcy. Nie mówiąc o tu obecnych.

W Imperium było o wiele mniej istot ludzkich niż innych gatunków.

- Ich główny świat to Jochi, tam Khaqan ma swoją siedzibę. To centralny punkt mglawicy.

Wracając do innych czarnych charakterów, występujących w tej opowieści...

Połowę usmażonej cebuli wrzucił do jagnięciny i zamieszał. Zdjął z ognia ryż.

Woda gotowała się mniej więcej przez pięć minut. Osaczył ryż, wymieszał go z cebulą i wysypał wszystko na mięso.

- Odrobina masła topiąca na się wierzchu - powiedział Imperator - i... voila!

Nazywam to bombay birani, ale tak naprawdę to jest po prostu stara, dobra potrawka z koźlęcia.

Położył ściśle dopasowaną pokrywkę i wsunął naczynie do piekarnika.

- A teraz trochę pooszukuję - powiedział. - To powinno piec się przez godzinę w temperaturze trzystu osiemdziesięciu stopni, potem zmniejszasz ją do trzystu dwudziestu pięciu stopni i trzymasz

potrawkę w piekarniku przez następną godzinę.

Sten zapamiętał to sobie, tak jak i resztę przepisu.

- Ale świętej pamięci Marr i Senn wymyślili nowy piekarnik. Skraca czas pieczenia o połowę, a może nawet bardziej. I nie można poznać różnicy.

- A co z tymi czarnymi charakterami, sir?

- No właśnie. Cóż, mamy Jochiańczyków. To ludzie, jak już mówiłem. Poza tym, że są oni rasą dominująca, mają też stare pozwolenie na handel ze mną. Dałem je im jakieś pięćset lat temu.

To było wtedy dzikie i surowe pogranicze.

- No i dochodzimy do Torków. To także rasa ludzka. Typy rodem z epoki gorączki złota.

Sten nie za bardzo rozumiał, co Imperator ma na myśli, ale łapał ogólny zarys.

- Torkowie znaleźli się w mgławicy wcześniej, kiedy w tym rejonie odkryto substancję o nazwie Imperium X. To górnicy. Kaprowie. Sklepiarze. Prostytutki obu płci. Ten rodzaj ludzi.

Gdy odnaleziono Imperium X, zostali na miejscu, zamiast powędrować w kierunku następnej przygody.

Imperium X to był jedyny materiał, zdolny wytrzymać uderzenie cząstki AM2. To Antymateria Dwa stanowiła paliwo, na którym zbudowano Imperium. Pozostawała pod ścisłą kontrolą Wiecznego Imperatora. Aż tak ścisłą, że kiedy Rada go zamordowała, wszystkie dostawy AM2 natychmiast się zatrzymały. Przez sześć lat Rada bezskutecznie szukała jej źródeł. W tym czasie Imperium popadało w ruinę - stan, któremu Sten właśnie starał się przeciwdziałać. Chociaż czasami nie był pewien, czy uda mu się to zobaczyć.

- Oczywiście, Torkowie sprzeciwili się Jochiańczykom. Ale to przycichło, kiedy owi kupcy-awanturnicy zebrali kilka osób i pokazali moje pozwolenie.

- Czas mijał, Jochiańczycy rozproszyli się nieco. Nie byli niczym więcej niż kilkoma oddzielnymi od siebie światami - miastami-państwami. Ojciec obecnego Khaqana połączył ich znowu jakieś trzysta lat temu.

Sten nie komentował. Taka była sprawiedliwość pogranicza. Sam użył kilku starych sposobów, aby poradzić sobie z Radą.

- A co z tymi dwoma innymi gatunkami? To rodowici mieszkańcy mgławicy, jak sądzę?

- Tak jest. Podzielili się na Suzdalów i Bogazi. Nie wiem zbyt wiele na ich temat. Mają zapewne te same słabe punkty, co każda istota rozumna. Najwyraźniej Torkowie przybyli w momencie, kiedy tubylcy właśnie zaczęli opuszczać rodzinne światy i odkrywać siebie nawzajem. Mieli żałosne statki kosmiczne, ale całkiem nieźle radzili sobie z lokalną wojenką.

Wtedy przybyli Torkowie, którzy nie musieli nawet zbyt wiele wysilać. Napęd międzygwiazdny wprawia każdą, nieco niżej stojącą cywilizację w przerażenie.

Sten mógł sobie wyobrazić ten szok. Dopiero co zdołałeś podnieść drabinę techniki z kamienia do gwiazd. Rozglądasz się po otaczającym świecie, czując wielką dumę.

Stoisz u szczytu, tworzysz historię. Nikt nigdy nie doszedł tak daleko, jak ty.

I wtedy bum! Obcy - a w tym przypadku ludzie - pojawiają się ze swoimi szpanerskimi zabaweczkami, bronią, tym wszystkim, co jest w stanie cofnąć cię do epoki kamienia łupanego.

Oprócz tego, cud nad cudami, mogą skakać od gwiazdy do gwiazdy, od galaktyki do galaktyki.

Napęd AM2. Największe osiągnięcie w historii.

Po raz pierwszy Sten zdał sobie sprawę, jak to musiało wyglądać, kiedy wiele setek lat temu Imperator pojawił się na scenie z AM2 pod pachą. To uderzało w każdą istniejącą cywilizację,

powalając ją na kolana; wszystkie błagały, aby dane im było ujrzeć światło.

Imperator mruczał nad jakimś na wpół zapomnianym składnikiem.

- Cilantro - powiedział. - To jest to. - Pokruszył trochę liści do naczynia z pokrojonym ogórkiem i jogurtem.

Tak, pomyślał Sten. AM2 i sekret wiecznego życia... To naprawdę było coś.

To był niesamowity obiad. Niezapomniany. Jak zwykle.

Na stole piętrzyły się stopy jedzenia. Dhał i chłodnik ogórkowy. Trzy rodzaje przypraw: z zielonego mango, bengalska i z prawdziwej ostrej papryki. Małe talerzyki z wyjątkowymi, pikantnymi sosami i maleńkimi czerwonymi papryczkami. I świeżo przygotowane płaskie chlebki - chiapaty, jak nazwał to Imperator. I bombay birani. Pachnąca para unosiła się znad naczynia.

- Wiosłuj - powiedział Imperator.

Sten wiosłował.

Przez długie minuty po prostu jedli, rozkoszując się każdym kęsem i splukując je czymś, co władca nazywał tajskim piwem.

Kiedy głód przestał już dokuczać, Imperator nadział na widelec kawałek koźleciny i zaczął mu się przyglądać.

- Wracając do mojego dawnego kumpla, starego Khaqana - powiedział. Włożył mięso do ust i zaczął je przeżuwać. - To tyran pierwszej klasy. Problem polega na tym, że kiedy ktoś jest tyranem, nie może nigdy się zagapić. Nie powinien ani na chwilę pofolgować, aby upuścić trochę pary; jeśli tak robi, jego wrogowie uznają to za oznakę słabości. I wtedy pojawiają się kłopoty.

Nie może też zniedołężnieć ani się postarzyć. Khaqan, jak przypuszczam, stał się ospały. Z tego, co słyszałem, nawet chyba trochę zramolał. Na pewno wiem, że ma do dyspozycji wszelkie systemy podtrzymywania życia, stałą możliwość wymiany krwi czy organów wewnętrznych, dawki hormonów, i podobne rzeczy. Przy odrobinie szczęścia może żyć wystarczająco długo, abym zdążył podjąć decyzję, co dalej robić. Teraz nie mam na to czasu.

Sten kiwnął głową. Mógł tylko wyobrazić sobie, jak wiele zajęć ma Imperator. Nie miał co prawda pełnego obrazu spraw, ale jego doświadczenia - głównie ze służby dyplomatycznej podpowiadały mu nieco.

Kiedy władca powrócił, jego Imperium waliło się w gruzy. Całe regiony przez długi czas pozbawione były dostaw AM2. Kiedy zabrakło taniej energii, przemysł się załamał.

Wybuchły bunty. Każdy radził sobie sam jak umiał.

Wieczny Imperator trudił się cały czas, próbując ratować sytuację. Czasami zaniedbywał niektóre rejony, wciągając pozostałe w swoją strefę wpływów i narzucając ścisłą kontrolę ekonomiczną i militarną. Wśród jego sprzymierzeńców przybyło wiele nowych twarzy. Istot, z którymi nie miał do czynienia w przeszłości, wątpiących, przestraszonych, patrzących z przerażeniem na swoje wynędzniałe narody i zmęczonych ciągłą konspiracją i zamachami stanu.

- Dałem Khaqanowi znacznie więcej AM2 niż na to zasługiwał - stwierdził Imperator. - Ale on ją roztrwonil. Zużył na budowanie swoich wielkich pomników, zamiast na nakarmienie własnych poddanych. Oni mają tego dość. Nawet ostrzegałem go, że źle się zachowuje. Jakiś rok temu nasz ambasador na Altaic został odwołany. W zwykłym trybie - minęła jego kadencja.

Niezwykłe było to, że nie wyznaczyłem jeszcze jego następcy.

To dosyć ciężka kara dla Khaqana, pomyślał Sten.

- Dziwię się, że go to nie przebudziło - stwierdził.

- Ja też. Ale, jak już powiedziałem, on jest stary. Skostniały w swoich przyzwyczajeniach.

Jeśli jednak będzie tak dalej, wszyscy ci niewierni Tomasz pośród moich sprzymierzeńców pójdą za nim. Będą domagać się więcej AM2. A to rozwali całą ekonomię.

Sten zrozumiał. Waluta opierała się na podstawowej jednostce energetycznej całego Imperium. Wytwarzanie jej w większych ilościach spowoduje inflację, natomiast zmniejszenie produkcji - deflację. I w tym tkwił cały problem: jeśli było mniej energii, to mniej dóbr pokazywało się na rynku. Ceny szły wtedy w górę, powodując następne komplikacje. Czarny rynek. A w konsekwencji niepokoje społeczne.

Imperator kroczył po piekielnie cienkiej linie.

- Kto jest najbardziej prawdopodobnym następcą Khaqana? - spytał Sten.

Imperator westchnął.

- Nikt. Nie ma żadnych żyjących spadkobierców. Muszę też dodać, że za bardzo zajmuje się detalami. Decyduje o każdym szczególe, od tego, jak wiele wody ma znajdować się w głównym basenie pałacu po wyznaczanie ładunku, jaki mogą unieść pojazdy antygravitacyjne. Unicestwia każdą inicjatywę. Jako kapitalista, da się jeszcze znieść. Jako władca śmierdzi.

Imperator nalał jeszcze piwa.

- Mimo wszystko, stał się ostatnio zupełnie zdesperowany. Błagał mnie o jakikolwiek znak poparcia. Chce pokazać swojemu ludowi, że jestem z nim. Wraz z moim AM2, rzecz jasna.

- I chce pan, abym to ja stał się tym poparciem? - spytał Sten.

- Właśnie. Musisz dać dla niego wielkie przedstawienie. Jesteś jednym z moich najważniejszych bohaterów. Medale. Honory. Zwycięstwa. Na polu bitwy i w salonach dyplomacji, i tak dalej. Moi ludzie z mediów zrobią z tego wielkie halo. Nie, żebyś tego potrzebował.

Spojrzał na Stena. Ale na jego twarzy zamiast uśmiechu widniał wyraz zamyślenia.

Sten stwierdził, że woli nie wiedzieć, o czym myśli jego szef.

Imperator przerwał i uśmiechnął się krzywo.

- Weź, kogo zechcesz - swoich kumpli Bhorów, jakichś żołnierzy, zwykły zespół ekspertów, co tylko przyjdzie ci do głowy. Tylko upewnij się co do ich inteligencji. I żeby zrobić z tego rzeczywiście pokazówkę na całego, chcę, żebyś zabrał mój osobisty statek, „Victory”.

To z kolei przywołało uśmiech na twarz Stena.

Imperator też się roześmiał.

- Tak myślałem, że ci się ten pomysł spodoba.

„Victory” to był statek jak ze snów. Nowej klasy krążownik, zbudowany według wskazówek Imperatora. Królewski jak jasna cholera. Przepych ma wywierać wrażenie na tubylcach, powiedział. Cały okręt ociekał luksusem, od kwater personelu po prywatne apartamenty Imperatora.

- No, to jest naprawdę wspaniałe zadanie - powiedział Sten, przepijając do szefa. - Rozumiem, że chce pan, abym publicznie ścisnął i całował Khaqana, ale jak mam się do niego odnosić na osobności?

- Z chłodną uprzejmością - stwierdził Imperator. - Dużą rezerwą. Przeróżająco, jak tylko potrafisz. Chcę, aby widział moje oczy w twoich. Powiedz mu, że obiecałem nowego ambasadora i dotrzymałem słowa. Mimo wszystko... chcę też, aby nastąpił jakiś postęp w wyznaczaniu jego sukcesora. Dzięki temu będę mógł rozpocząć prywatne rozmowy z tamtym gościem.

Zobaczmy, czy uda nam się uczynić życie w Altaic przyjemniejszym - i bardziej stabilnym - kiedy ten starzec odejdzie.

Sten kiwnął głową, że rozumie polecenia. Zorientował się też, że Imperator zażąda także i jego opinii na temat tego, kto powinien zostać ewentualnym następcą.

- Jeszcze jedno - powiedział Imperator. - Przekaż mu, że wpisałem go na listę moich osobistych zaproszeń. To krótka lista. Będę oczekiwał jego wizyty za mniej więcej rok.

- Spodoba mu się to - stwierdził Sten. - Kolejny propagandowy atut dla poddanych.

- Na pewno tak - potwierdził Wieczny Imperator. - Ale nie spodoba mu się to, co mam zamiar mu powiedzieć. Na osobności.

I wyłowił ostatni kawałek mięsa. Zdjął go z widelca ostrymi, białymi zębami.

Sten ani trochę nie współczuł Khaqanowi. Wyglądał na - mówiąc słowami Kilgoura - „prawdziwego skurwysyna”.

## Rozdział 4

- Nie podoba mi się myśl, że mogłeś mnie uratować - zamruczał Alex. - A teraz ja postawię kolejkę.

Wstał, podszedł do baru, zapłacił barmanowi i wrócił z tacą. Cztery kufle piwa i cztery kieliszki jakiejś przezroczystej cieczy. Sten z pytającym spojrzeniem wskazał na kieliszki.

- To quill. Nie stregg. To nie jest to samo, co piją Bhorowie, ani to z imperatorskiego pałacu. Ten trunek pomoże ukoić wszelkie smutki.

Sten nadal czuł lekkie otępienie, spowodowane długotrwałym maratonem obiadowo-alkoholowo-rozkazowej sesji z Imperatorem, którą odbył kilka dni wcześniej.

Posłusznie wlał zawartość kieliszka do gardła, zaniemówił na chwilę i splukał to piwem.

- Nie mogę okazać nieuprzejmości i dlatego tylko dotrzymam ci kroku - powiedział Alex, robiąc to samo. - Nie powinieneś myśleć, że nadal nieco nadużywam alkoholu.

Skończyłem z tym już jakiś czas temu.

Siedzieli we dwójkę, anonimowi w szarych kombinezonach, na tyłach portowego baru przy spustoszonej kosmicznej lądowisku Soward City. Bar zapełniał tłum marynarzy, wystarczająco pijanych, aby wystartować albo wystarczająco pijanych na to, aby stwierdzić, że wreszcie wylądowali. I kilka dziwek i naciągaczy pomagających obu tym rodzajom istot.

- Naprawdę cię uratowałem?

- O tak - powiedział Alex. - Ona była maleńka, chętna, wspaniała, nawet miała swoje własne pieniądze.

- To może jednak powinieneś ożenić się z nią.

- O cholernie mały włos tego nie zrobiłem. Ciasta już upieczono. Salę wynajęto.

Znalazłem pilota, który umiał przejść przez całą ceremonię bez chichotu. Nawet przedstawiłem ją mojej kochanej mamusi.

- I co ona o tym sądziła?

- Rozważyła to i powiedziała, że jeżeli już muszę się żenić, chociaż jestem taki młody i dopiero co wyszedłem z kołyski, to ona jakoś sobie poradzi z obecnością tej panienci w naszym życiu.

- Jeszcze raz powtórzę: może powinieneś już się ustatkować, zacząć myśleć o następnym panu Kilgour z Kilgour?

Alex lekko wzruszył ramionami.

- Sam nie wiem, chłopie. To była chwila... ale potem myślałem sobie, że przeminą lata, osłabnie ten rozum, jaki kiedykolwiek miałem, stracę zęby, będę żuł papki, wlewał mleko do brandy, a dzieciaki bawiąc się dookoła wleżą mi na głowę. Zacznę gadać o tym, że współczesne chłopaki nie



dorastają do pięć tym, którzy odeszli, ludziom z dawnych lat, kiedy mężczyźni byli mężczyznami, a owce biegały szybko jak cholera.

Obrzydliwe. Potwornie obrzydliwe. Więc rozważyłem to wszystko... spojrzałem na wiadomość od ciebie... napisałem odpowiednią karteczkę i wyslizgnałem się za jej plecami tuż przed świtem.

- Panie Kilgour - stwierdził Sten. - Co za akt tchórzostwa! Powinieneś co najmniej zostać i wszystko wyjaśnić.

- Myślałem nad tym. Ta panienka zrobiła wrażenie na mojej mamusi, ponieważ pokonała ją w zapasach. Jestem może szalony, ale nie aż tak.

Sten spojrzał na zegarek.

- Powinniśmy być na „Victory” za dziesięć minut. Pijmy i chodźmy.

Kilgour wrócił do rzeczywistości, odzyskał stare nawyki bojowe. Piwo i alkohol znikły ze stołu. Czknął z uprzejmości, wstał i skierował się ku wyjściu, przedzierając się między stołami.

Sten szedł za nim.

Drogę Alexa zagroził bardzo wielki czworonóg, którego szara skóra na oko mogła stanowić całkiem niezłą zbroję. Istota obwąchiwała wielki, plastikowy balon, a potem rzuciła go w kąt. Każde z trojga jej? jego? oczu rozglądało się oddzielnie, a potem spoczęły na Kilgourze.

Bliźniacze manipulatory istoty napięły się.

- Ludzie! Nie lubię ludzi!

- Ja też nie - powiedział uspokajająco Alex.

- Ty człowiek.

- Nie.

- To co?

- Jestem pingwinem. Z Ziemi. Małym, biegającym, tchórzliwym ptaszkiem, który żywi się śledziami.

Sten gorączkowo przebiegał w pamięci różne opisy niehumanoidów, usiłując zidentyfikować istotę. Żaden nie wspominał o czymś, co ma cztery nogi, troje oczu, dwie ręce, przyćmiony umysł - to ostatnie niezbyt pewne, istniało niejaki prawdopodobieństwo, że owo stworzenie jest geniuszem - wysokość około dwóch i pół metra, wagę kilku tysięcy kilogramów i przerażający wygląd.

O rany. Jeszcze i niezupełnie szczałkowe pazury.

Sten poczuł, że prawie mu żal tej istoty.

- Ty nie pingwin.

- A skąd ty to wiesz, słoneczko? Ja nie ośmieliłbym się powiedzieć o tobie, że nie wyglądasz jak pingwin-zboczeniec.

- Ty człowiek.

- Słuchaj, synu. Jesteś zmęczony. Jesteś trochę... naćpany, schlany, nawalony, ożłopany Usiądź sobie na chwilkę, a ja kupię ci mały nowy balonik.

- Nie lubię ludzi! Bić ludzi! Najpierw bić ciebie, potem bić jego.

- No cóż - powiedział Kilgour. - Sten, jesteś naocznym świadkiem i przekażesz mojej kochanej mamusi, że nie zachowałem się jak szczeniak i chciałem dobrze.

- Powiem jej.

- Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć.

Stworzenie sięgnęło do szyi Kilgoura - jaką małą szyję miał ten przysadzisty człowiek!

Ręce Alexa owinięły się dookoła ramion istoty, tam, gdzie u człowieka byłby nadgarstek.

Potem pociągnął w dół. Napastnik skrzeknął z bólu i upadł na to, co prawdopodobnie stanowiło kolana, tak samo bez wdzięku, jak ziemski wielbłąd. Kilgour, nadal trzymając za „nadgarstki”, postąpił krok do przodu - i czworonóg przewrócił się, klapnąwszy niezgrabnie.

- No - powiedział Alex. - Widzisz, jak łatwo przychodzi pacyfizm, jeżeli już o nim pomyśleć?

- Skończył pan zabawę, panie Kilgour?

- Już skończyłem, panie admirale. Ale muszę jeszcze postawić kolejną kolejkę mojemu kumplowi.

Tak, jak mu to obiecałem.

Kilgour, dumny i honorowy mężczyzna ze świata Edinburgh o sile ciężenia znacznie przeważającej ziemską, długotrwały towarzysz i pomocnik Stena i jeden z najlepiej wyszkolonych, elitarnych komandosów Imperium, naprawdę dotrzymywał słowa. Kupił spokojnemu teraz stworzeniu następny balon, zanim wyszedł na inspekcję imperialnego krążownika bojowego „Victory”.

- Zastosowałem zasadę dźwigni - brzmiało jego jedyne wyjaśnienie, skierowane do Stena. - To jak przedzianie książki telefonicznej.

- Co to jest książka telefoniczna?

- To całkiem niezły statek - stwierdził Alex trzy godziny później.

- No tak - zgodził się Sten.

Zdjął z siebie hełm sensoryczny, który nosił, i zaprzestał wirtualnej wędrówki po zapasowych i trzeciorzędnych systemach „Victory”.

Oczy Alexa dokładnie obieły pokój, zanim znów zaczął mówić. W zasięgu słuchu nie było żadnych członków załogi, a skrzynki komunikatora nie włączono.

- Może się starzeję - kontynuował - ale sposób, w jaki skonstruowano tę łajbę, nie przypomina tego, co było... kiedyś, dawno temu.

- Masz na myśli czasy przed zamordowaniem Imperatora?

- Tak - potwierdził Kilgour. - To wydaje się nieco zbyt błyszczące i wyrafinowane, jak na gust dawnego Starego. A może wydaje mi się tylko, że przeszłość była lepsza niż teraźniejszość?

- Mnie również się tak zdawało - powiedział Sten.

Dotknął klawiszy i komputer posłusznie wyświetlił w powietrzu, ponad stołem mesy, w której siedzieli, trzymetrowy hologram „Victory”. Następna kombinacja klawiszy i komputer zaczął obracać obraz, pokazując nowy krążownik bojowy ze wszystkich stron, pokład po pokładzie.

- Słyszałem, że to ma mieć dwojakie zastosowanie - stwierdził Alex. - Ale wygląda raczej na coś, co ma służyć trzem czy czterem celom naraz.

Sten kiwnął twierdząco głową. Martwił się, i to z wielu powodów. Przede wszystkim niepokoiło go całkowicie pragmatyczne traktowanie „Victory” jako statku bojowego. Sten był obyty z narzędziami, pojazdami i statkami, zaprojektowanymi rzekomo jako wielofunkcyjne.

Niemal bez wyjątku oznaczało to, że dany przedmiot robi wiele rzeczy źle i nic dobrze.

Na przykład budowę krążowników oparto na liczących eony lat planach statku, który ma dość mocy, aby zwyciężyć prawie wszystko - oprócz pancerników - i dość pary, aby przed nimi uciec. Często okazywało się jednak, że są one zbyt powolne, aby móc złapać i zniszczyć mniejsze statki, i zachowują się fatalnie przy ucieczce. Oprócz tego, jeśli już taki krążownik daje się złapać, to jego uzbrojenie, całkiem niezłe przy atakowaniu zbłąkanych niszczycieli, jest zbyt lekkie przy spotkaniu z pancernikiem, a systemy obronne, aktywne i pasywne, zdradzają wiele słabości.

Sten przewertował opis obiecywanych przez budowniczych potencjalnych możliwości „Victory”, porównując go z aktualnymi obserwacjami zachowania się krążownika podczas inspekcji. Jeżeli

werbownicy Imperatora nie zawalili sprawy - co nie jest niemożliwe, ale bardzo mało prawdopodobne - wyglądało na to, że „Victory” może stać się całkiem efektywną bronią.

Najważniejszy problem stanowiło użycie jej jako statku-bazy dla fregat, co najwyraźniej miało dla Imperatora wyjątkowo duże znaczenie. Ponad третią część „Victory” stanowiły pomieszczenia hangarowe i magazynowe dla całej flotylli fregat - trzy szwadrony po cztery statki w każdym. To były jednostki klasy Bulkeley-II, opracowane i udoskonalone podczas wojen tahnijskich. Stanowiły stumetrowe igły zniszczenia. Zbudowano je tak, aby mogły rozpędzić się szybko, uderzyć mocno i uciekać. Wszystko inne - wygoda załogi, możliwości obrony, tarcze - miało znaczenie drugorzędne lub nie istniało zupełnie. Piloci w pełni zdrowi na umyśle nienawidzili tych statków - wymagały całkowitej, niepodzielnej, ciągłej uwagi pilota i nie wybaczały najmniejszej omyłki, karząc ją śmiercią. Sten je uwielbiał.

Tak więc z jednej strony ta dodatkowa zdolność „Victory” budziła podziw Stena.

Ale oznaczało to także wyposażenie powierzchni magazynowych w latające bomby zegarowe, wypełnione delikatnymi materiałami wybuchowymi, paliwem i amunicją. Jakiegokolwiek uderzenie w wielki hangar i otaczające go obszary mogło pociągnąć za sobą zniszczenie całego krążownika.

Poza tym „Victory” w okolicach rufy była bardziej niż trochę ślepa i bezbronna.

- To będzie kłopot - stwierdził Kilgour. - To znaczy, że nie moglibyśmy po prostu walnąć i uciekać, tylko trzeba by wycofywać się rakiem, pilnując tyłka i żeglując niczym damska parasolka.

Ostatnim dziwactwem „Victory” było wyposażenie wnętrza. Przywodziło na myśl obraz ziemskich czasów wiktoriańskich - całkowity luksus. Sten wiedział już, że nawet najmniej ważny pomywacz miał swój własny mały pokoik. Większość korytarzy wyłożono drewnianą boazerią i marmurami. Kuchnie bez żadnego wysiłku mogły przygotować i podać dania na imperialny bankiet.

Sten do pewnego stopnia doceniał to wszystko. Mała, czyściutka kabinka - to ładnie brzmi, ale Sten wiedział z doświadczenia zdobytego na fregatach, że po czterech tygodniach spędzonych w drodze jedyną rzeczą, jakiej nie znośił, był prysznic, do którego należało wciskać się na siłę.

Zwłaszcza, gdy ów prysznic przypadkiem miał ostre krawędzie, wciskające się dokładnie w łokieć czy kolano.

Ale tu miał do dyspozycji imperialny apartament, zawierający pomieszczenia tak na oko wystarczające dla całego dworu imperialnego, oprócz tego pokoje gościnne, kwatery ochrony i zbrojownię z salą ćwiczeń.

Imperialny apartament - jeśli to była odpowiednia dla tak wielkiej przestrzeni nazwa - znajdował się na wyższych pokładach „Victory”, pomiędzy hangarami dla fregat a kwaterami załogi statku. Przekrój poprzeczny mógłby pokazać, że apartament ma kształt litery T, której noga rozciąga się daleko w centrum statku. Jak wszystkie jednostki flagowe, tak i tę zaprojektowano i zbudowano w ten sposób, że owe imperialne rejony były niezależne od kwater okrętu wojennego.

Od tysięcy lat każdy admirał wiedział doskonale, że jest lepszy niż kapitan jego statku flagowego i może łatwo próbować grać rolę kapitana roku.

Tak. Sten zgadzał się z Alexem, że ten imperialny apartament to trochę jakby za dużo.

Klamki były pokryte złotem. Wanny zrobiono z prawdziwego marmuru. Komnaty sypialne bogato ozdobiono. A jeśli chodzi o łóżka, zwłaszcza te - liczba mnoga jak najbardziej na miejscu - w prywatnych pokojach apartamentu, to Stena zachwycił ich opis w inwentarzu:

Łóżko, Mark 24 (zapewne). Odpowiednie dla wielu użytkowników. Strukturalnie wzmocnione, pozwala na wykorzystanie nieograniczonej pomysłowości użytkownika.

System hydrauliczny umożliwia wszelkie zmiany kształtu podczas użytkowania, od owalnego po konwencjonalny; zmianę wysokości łóżka w każdym jego miejscu. Wiele różnych dodatków, między innymi wewnętrzne oświetlenie, projektor holograficzny, możliwość nagrywania hologramów.

Zawiera lodówkę i obszar jadalny. Ma wszelkie możliwości łącznościowe. Dodatkowa półka (chowana) zdolna pomieścić do trzech istot. Przystosowane do światła stroboskopowych.

Właściciel takiego łóża, podsumował Sten, może się uważać za człowieka dobrze przygotowanego do odbywania orgii.

Imperator?

Sten nie dałby za to głowy - ale wydawało mu się dziwne, że wtedy, kiedy służył jako dowódca osobistej straży władcy złożonej z Gurkhów, nie zauważył, aby Wieczny Imperator szczególnie uganiał się za seksem. Nie myślał o tym co prawda zbyt wiele, ale zgadywał, że może po kilku tysiącach lat możliwości wyczerpały się całkiem.

Ale teraz?

Do diabła, mógł się mylić - nie sprawdzał przecież osobiście każdego centymetra powierzchni pałacu Arundel, aby upewnić się, czy to, co wymieniono w inwentarzu jako magazyn, nie stanowi przypadkiem imperialnego burdelu.

Spanie w tym łóżu może okazać się kłopotliwe, pomyślał Sten. Ale dlaczego, ty purytański mały bękartie, zdrwił sam z siebie. Były przecież czasy, szydził, kiedy tarzałeś się z przyjaciółmi po wielkiej poduszce. A jeśli już o tym mowa, myślał dalej, to kto zobaczy, jak śpisz w tym wielkim łóżu? Równie dobrze możesz już od dawna być starym kastratem.

Sten zmusił się do powrotu do rzeczywistości.

- Panie Kilgour - powiedział - nie jestem pewien, czym okaże się to zadupie, które nazywają Mglawicą Altaic. Ale wydaje mi się, że nasz szef nie dał nam tych wszystkich wspaniałości tylko dlatego, że podobają mu się moje nogi.

- Prawdopodobieństwo wynosi dziewięćdziesiąt procent zgodził się Alex.

- To znaczy, że będę potrzebował wszystkich moich aktywów. A więc, hmm, lordzie Kilgour, czy uważa pan, że pana talenty znajdą właściwe wykorzystanie, jeśli zostanie pan szyprem tego wykładanego złotem domu publicznego?

Kilgour jakby cofnął się nieco.

- Ja? To stopień admirała, w dodatku dwugwiazdkowego. A najwyższą rangą, jaką kiedykolwiek miałem, był sierżant, o ile dobrze pamiętam, nic lepszego.

- Nie sądzę, aby stanowiło to problem - powiedział Sten. - I nie o to ciebie pytałem.

Alex zastanowił się. Potem powoli pokręcił głową.

- Chyba nie, stary. Ale jestem wzruszony jak diabli. Do dziś żaden Kilgour nie był admirałem. Oprócz piratów, rzecz jasna.

- Mamusia by się ucieszyła.

- Ale... nie. Te wszystkie wyprawy, przepychanie tej stalowej łajby przez niebo., to mnie nie bierze. Bardziej interesują mnie te cholerne sprawy, które mamy wyprostować - zdaje mi się, że to mój główny talent, szefie.

Sten poczuł się dumny z niego. Poza tym, że bardzo sobie cenił przyjaźń Kilgoura i jego żołnierskie zdolności, to także wiedział, że ten przysadzisty mężczyzna, nazywany przez Imperatora osobistym zbirem Stena, ma prawdziwy talent do dyplomacji, analizy sytuacyjnej i rozwiązywania problemów.

I w tym momencie przemknęła mu przez głowę pewna myśl. Sten uśmiechnął się krzywo - to zakrawało nieco na farsę. Ale może okazać się godne zastanowienia.

Wyłączył komputer i wstał.

- No cóż, lordzie Kilgour. Chodźmy może z powrotem do baru i zobaczmy, czy ten nosorożec jest gotów do postawienia nam kolejki.

Alex skoczył na nogi, po czym zmarszczył brwi i spojrzał przed siebie.

- Niezły pomysł, szefie. Ale nie możemy. Będziemy mieli gości w naszych kwaterach.

- Gości? Kilgour, masz zamiar wyciąć mi następny numer?

- Nieee, chłopie. Czy kiedykolwiek widziałeś, abym był zdolny do wsadzenia ci zapalki między palce u nogi tylko po to, aby zobaczyć, jak wysoko skaczesz?

Sten nie zadał sobie nawet trudu, aby odpowiedzieć lub kopnąć swego „dyplomatycznego doradcę” w żebra.

- Niedługo całkiem zwariuję - stwierdził Sten.

- To wszystko, co masz zamiar powiedzieć? Nie: „Ten cholerny Kilgour znowu mi to zrobił?”

Nie: „Ale obowiązki wzywają, pani, muszę więc iść?”

- Nic z tych rzeczy.

Sten wkroczył do swojego apartamentu w pałacu Arundel i stanął przy barku.

- Najlepsze, co mogę zrobić - powiedział - to stwierdzić, że właśnie wyszedłem z pokoju, który chciałbym ci pewnego dnia pokazać.

- Wyjaśnij mi to?

- Nie.

- Czy zobaczę ten pokój?

Sten nie odpowiedział. Podniósł butelkę i przyjrzał się jej zawartości.

- Stregg?

- Tak... stregg.

- Jest jeszcze wcześniej, ale napiję się trochę, jeśli będziesz mi towarzyszyć.

Sten znalazł dwa kieliszki, nalał do pełna i podał jeden Sind. Dziewczyna pół siedziała, pół leżała na jednej ze stojących w pokoju kanap.

Sten spotkał Sind wiele lat wcześniej w okolicznościach, które oboje pragnęliby nieco zmienić. Sind była istotą żeńską rodzaju ludzkiego, wywodziła się, z rodu elitarnych wojowników, którzy kiedyś bronili fanatyków religijnych w Mglawicy Lupus, znanej jako Światy Wilka. Sten obalił tam skorumpowane rządy kościoła wojującego w czasach, gdy działał jako tajny agent w Sekcji Mantis.

Już po fakcie Sten zadecydował - przy mrukliwie udzielonej zgodzie Imperatora - że zwycięzcami i nowymi władcami Światów Wilka są Bhorowie, wyjątkowo nieludzkie, barbarzyńskie i zapijaczone goryle, z urodzenia gospodarze tego regionu.

Sind wzrastała w podupadającej kulturze wojowników - i nabywała wiadomości o wojnie, aż stała się ona jej miłością i wręcz obsesją. Dołączyła do Bhorów i została wojowniczką - do jej specjalności należało między innymi snajperstwo i abordaż.

Część opętania z jej młodych lat stanowił superbojownik, który zniszczył jej rodzimą kulturę Jannissarów. Człowiek z baśni o imieniu Sten. A potem spotkała go. I stwierdziła, że to nie brodaty przodek, jakiego sobie wyobrażała, ale nadal młody, pełen energii żołnierz.

Pełna uwielbienia dla swego bohatera, znalazła drogę do jego łóżka. Ale Sten wtedy właśnie był jeszcze w szoku po pewnej misji, zakończonej śmiercią całej jego drużyny, i nie miał ochoty na żaden

romantyczny związek, zwłaszcza z siedemnastoletnią naiwną panienką. W jakiś sposób udało mu się, właściwie przez przypadek, poradzić sobie z tym tak, żeby Sind nie poczuła się jak głupia, albo on jak kompletny idiota.

Podczas walk o to, aby zniszczyć Radę, spotykali się od czasu do czasu - ale zawsze na gruncie zawodowym. Nie wiadomo kiedy stali się przyjaciółmi.

Kiedy powrócił Imperator, a Rada przestała istnieć, Sind podróżowała ze Stenem do swoich rodzinnych okolic, Mglawicy Lupus. Sposób, w jaki patrzyli na siebie nawzajem, zmienił się nieco przez cały ten czas. Ale nadal do niczego między nimi nie doszło.

Gdy Sten wyjechał, aby podjąć swoje nowe obowiązki jako ambasador Imperium, Sind także zaciągnęła się jako żołnierz, ale raczej z myślą o badaniu przyczyn i skutków wojny niż własnoręcznym zabijaniu.

Oboje pociągnęli łyk streggu, wzdrygnęli się, znowu ryknęli.

- Rozumiem - powiedział Sten - że przybyłaś nijako część tego całego imperialnego cyrku i dyplomatycznej misji na Altaic.

- To właśnie tam jedziemy? Alex mówił, że ustalono już cel.

- Tak jest. Zgłoś się do pana Kilgoura, to poda ci krótką informację o całej sprawie.

Cisza w pokoju. Od dawna odczuwane seksualne napięcie pomiędzy nimi ogrzewało atmosferę.

- Dobrze wyglądasz - stwierdził w końcu Sten.

- Dziękuję bardzo. Od czasu, kiedy widziałam ciebie ostatni raz, zdecydowałam, że powinnam częściej nosić cywilne ciuchy.

Sten podziwiał - dobrze odrobiła lekcje. Sind, tuż po dwudziestce, wystrojona w staroświecki czteroczęściowy garnitur, z włosami ciasno upiętymi, z makijażem takim, aby upiększał, ale nie był widoczny, łatwo mogła być uważana przez większość ludzi za szefową jakiejś wielkiej, międzyplanetarnej korporacji.

Nikt nie mógł zauważyć - i niewielu poza Stenem o tym wiedziało - że obcas jej pantofelka to rękojeść ukrytego noża, że torebka zawiera minikarabinek, a naszyjnik może pełnić podwójną rolę jako stryczek.

Sind obserwowała go.

- Czy pamiętasz pierwszy raz, kiedy się spotkaliśmy?

Sten prychnął streggiem przez nos, czując się zdecydowanie niewyraźnie.

Sind roześmiała się z jego reakcji.

- Nie, nie o tamto mi chodziło. Przedtem... na bankiecie. Witałam wtedy gości.

Hmm... pomyślał Sten. Ta kobieta - wówczas dziewczyna - nosiła... wydawało mu się, że miała na sobie coś w rodzaju jakiegoś uniformu. Ale czuł, że zachowa się jak ostami dupek, jeśli to powie.

- Ubrałam się w wyjściowy mundur - stwierdziła. - Ale nie to wybrałam najpierw.

Teraz nadeszła kolej Sind, aby spojrzeć w przeszłość. Z rumieńcem wspominała obcisły, seksowny strój, za który zapłaciła niemal całą swoją pensję, włożyła, a potem zdarła z siebie i wyrzuciła.

- Wyglądałam jak jakaś cholerna dziwka - opowiadała. - I... i później zorientowałam się, że tak naprawdę to wiedziałam tylko, jak ubierają się żołnierze - umiałam tylko być żołnierzem. To oznaczało także żołnierską dziwkę, jak sądzę.

I znowu to samo, pomyślał Sten. Z nie znanych mu powodów Sind potrafiła, będąc z nim, mówić zadziwiające rzeczy, o jakich inne kobiety opowiadały tylko po długiej, intymnej znajomości.

Zorientował się, że to samo dotyczyło także i jego.

Doszedł do wniosku, że należy zmienić temat rozmowy.

- Czy możemy zachowywać się bardziej oficjalnie? - spytał.

- Możemy, admirale.

- Nie admirale. Tym razem jestem cywilem.

- Bardzo dobrze.

- A to dlaczego?

Sind uśmiechnęła się znowu. Oho, pomyślał Sten. Żadnej wojskowej hierarchii.

Żadnego „to nie po wojskowemu, żeby chcieć trzymać za rękę niższego (wyższego) rangą żołnierza”.

- Czuję się dość niezręcznie - powiedziała Sind, przybierając wygodniejszą pozycję i tym samym stawiając Stena w nieco kłopotliwej sytuacji. - Jestem teraz majorem.

- Gratulacje.

- Zapewne. Czy chcesz poznać szeregowca, oddanego do mojej dyspozycji?

Sten czekał. Sind wstała, podeszła do drzwi i otworzyła je.

- Szeregowy? Wejść!

Rozległ się nieoczekiwany chrzęst skóry i jakaś kreatura wtoczyła się do pokoju.

Wysoka na około sto pięćdziesiąt centymetrów postać musiała ważyć tyleż kilogramów - mniej więcej dwadzieścia więcej niż wtedy, kiedy Sten ostatnio ją widział. Wygięte, włochate łapy stworzenia zamiatały podłogę, tak jak i olbrzymia, pędzłowata broda, gdy potwór przesuwał swój wielki, na w pół wyprostowany tułów, rycząc przy tym donośnie.

- Na brodę mojej matki! - brzmiał krzyk. - Siedzicie tu sobie we dwójkę, ambasador i major, popijając stregg, podczas gdy biedny, spragniony szeregowiec, który kocha was jak brat, umiera z pragnienia i zapomnienia, zagubiony w straszliwych ciemnościach.

- Na lodowate pośladki mojego ojca, twojego ojca, do diabła, ojca Sind - co ty tu robisz, Otho? - zapytał Sten.

- Jestem tylko prostym żołnierzem, podążającym drogą wojowników, tak jak mi nakazali wielcy bogowie Sarla, Laraz i - jak się nazywało to inne, nic nie warte bóstwo?

- a, tak, Kholeric.

- On już wypił trochę streggu - stwierdził Sten.

- Zapewne - zgodziła się Sind.

- Wprowadź resztę tego błazeńskiego towarzystwa - powiedział Sten. - Zadzwoń po Kilgoura. Każ mu, żeby postawił kuchnię na nogi - mają przygotować bufet do pokoju. Niech zamówi też więcej streggu, trochę tego straszliwego trunku, który Imperator nazywa szkocką, aha, i jeszcze na wszelki wypadek to, co jest potrzebne do Czarnej Welwetu. I niech zabiera tyłek w troki i zjawia się tu, najlepiej niezłe spragniony. A teraz co do ciebie, Otho.

Jak wielu przeklętych Bhorów mam na składzie?

- Tylko stu pięćdziesięciu.

- O mój Boże - westchnął Sten. - A do odjazdu zostały nam jeszcze całe tygodnie.

Majorze Sind, czy przygotowałaś pomieszczenia dla swoich podkomendnych?

- Tak jest. Mamy całe skrzydło obok nowych, oficerskich kwater, niedaleko stąd.

Przygotowane do czystej i czarnej roboty.

- A więc Bhorowie nie będą mogli wydostać się na zewnątrz, aby kaleczyć, rabować i najeżdzać

Prime?

- Przy odrobinie szczęścia.

- Dobrze. A teraz, szeregowy Otho. Nalej nam wszystkim drinka i wytłumacz się. I to szybko.

Sten potrzebował tego wyjaśnienia, ponieważ kiedy ostatni raz przebywał w awanturycznym towarzystwie Otha, to istota ta pełniła rolę herszta, władcy - jeżeli można nazwać Bhora władcą czegokolwiek - całej Mgławicy Lupus. A teraz występował jako wojownik niskiej rangi, jakby był młodym Bhorom, którego broda ma się dopiero wykluwać..

- Nie wiedziałem - stwierdził Sten po wypiciu trzeciego kieliszka streggu, ale zanim jeszcze Kilgour i reszta Bhorów doszli do towarzystwa i trzeźwość diabli wzięli - że wy macie drugie dzieciństwo..

- Nie bądź głupi - mruknął Otho, ponownie napełniając swój kielich. - Po pierwsze, w Światach Wilka panuje pokój. I niech lepiej tak zostanie, jeśli nikt nie chce ginąć. To dobrze, jak sądzę. Ale to teraz beznadziejne miejsce, przyjacielu. Dawno, dawno temu, kiedy eksterminowali nas Jannowie, nie domyślałem się nawet, jak nudny może być pokój. A więc zwałem, żeby dołączyć do tego cyrku.

Westchnął - albo Sten tylko arbitralnie uznał za „westchnięcie” strumień naładowanego alkoholem gazu, który wydobył się z wnętrzości Otha.

- I stałem się cywilizowany - oświadczył Otho.

- Co ty wygadujesz? - spytał Alex, kiedy wszedł, i opowieść Otha została przerwana przez obowiązkowe pomruki, krzyki, objęcia, mokre pocałunki i toasty, które czynią powitanie Bhorów porównywalnym z morderstwem drugiego stopnia.

Potem przyniesiono guinnessa i tattingera. Sten został zmuszony do zaprezentowania swoim gościom Czarnej Welwetu. Otho stwierdził, że ten trunek to słaba mieszanka, odpowiednia dla ssących niemowlaków. Alex preferował picie guinnessa prosto z naczynia, jak to robiono w Irlandii. Sind dotknęła swoim kieliszkiem naczynia Stena. Wypili, patrząc sobie głęboko w oczy.

Sten spróbował wprowadzić w rozmowie coś w rodzaju porządku.

- Otho, powiedziałeś, że miałeś coś wspólnego z cywilizacją.

- Na lodowatą dupę mojego ojca, tak było. Nawet używając ludzkich norm. Jeżeli jestem cywilizowany... a do tego wielki ze mnie przywódca - co zapewne jest prawdą, biorąc pod uwagę fakt, że moja broda nadal nie została obcięta - to teraz przysła kolej na moje dzikie lata. Co, jak rozumiem, oznacza spędzenie pewnego czasu pośród prymitywnych istot. Ostatnio znalazłem biografię kogoś, kogo najwyraźniej wy, ludzie, uważacie za wielkiego człowieka.

Jego nazwisko brzmiało Illchurch, albo coś w tym rodzaju. I jak myślicie, co on zrobił jako przywódca, gdzie spędził swoje dzikie lata?

Otho wymachiwał swoją szklanką, wylewając płyn dookoła.

- Powiem wam, gdzie. Pomiędzy prymitywnymi szczepami ziemskimi, które nazywał Amerykanami. Ponieważ nie udało mi się znaleźć żadnych pozostałości owego szczepu, zdecydowałem iść pomiędzy tych, którzy muszą być drudzy w hierarchii najbardziej prymitywnych istot... - Otho podniósł swoją szklankę w toaście. - Za rasę ludzką.



## Rozdział 5

- Chciałbym - stwierdził Sten oficjalnie - prosić o przyjemność towarzyszenia pani dziś wieczorem.

- Cała przyjemność po mojej stronie, sir. Jak wielu żołnierzy mam wziąć ze sobą jako ubezpieczenie?

- Zacznę jeszcze raz. Czy mogę zaprosić panią na obiad?

- Aha. Proszę chwilkę poczekać. Muszę sprawdzić w terminarzu. Tak. Będę zachwycona, Sten. Jaki strój obowiązuje?

- Podręczna broń nie powinna rzucać się w oczy, ale pasować kolorem do ubrania.

O... dziewiętnastej trzydzieści?

- Wpół do ósmej pasuje doskonale - stwierdziła Sind i przerwała połączenie.

- Ależ ślicznie wyglądamy, chłopie. Dziś wieczorem mamy zamiar podrywać czy rozmawiać?

- Trochę tego, trochę tego.

- Aha. - Alex strzepnął z jedwabnej koszuli Stena nieistniejącą nitkę. - No cóż, jesteś wyszykowany od stóp do głów. Czy mam się dzisiaj wynosić z mieszkania, czy dasz sobie radę inaczej?

- Mój Boże - powiedział Sten. - Nigdy dotąd nie zauważałem radości płynących z tego, że jestem sierotą. Matko Kilgour, nie mam zielonego pojęcia, czy pozostanę gdzieś przez całą noc, a nawet czy mam zamiar dać się pocałować, i czy w ogóle to jest twój interes.

- Ja tylko chciałbym ci przypomnieć, że masz o jedenastej piętnaście spotkanie z Imperatorem, w celu ustalenia ostatecznych rozkazów.

- I stawię się tam. Coś jeszcze?

- Nieee... a, tak. Twój szalik całkiem się przekrzywił. - Kilgour poprawił go. - Jak moja mamusia zawsze radziła, nie rób nic takiego, czego nie mógłbyś opowiedzieć potem wszystkim w kościele.

- Naprawdę tak mówiła?

- Tak. I teraz już wiesz, dlaczego klan Kilgourów tak rzadko bywa w kościele.

Kilgour wyslizgnął się. Sten szybko sprawdził wszystko raz jeszcze - cholera, zdaje się., że ostatnio spędzam mnóstwo czasu przed lustrem - i był gotowy. Wsunął ukryty pistolet do zamszowej pochewki przy kostce, dwa razy zacisnął palce - nóż łatwo wysunął się ze swojego stałego miejsca w ramieniu - i mógł już wychodzić do miasta.

Ktoś zapukał do drzwi.

- Otwarte.

Zastanawiał się z jakim nowym, nie cierpiącym zwłoki utrapieniem przyszedł znowu Alex.

Ale nikt nie wchodził. Zamiast tego ponownie rozległo się pukanie.

Sten podniósł brwi, podszedł do drzwi i otworzył je.

Stało tam trzech niewysokich, dobrze umięśnionych młodych ludzi. Nosili cywilne ubrania - ale wszystkie one wyglądały jednakowo, jak gdyby zatwierdzone przez jakiś centralny urząd.

To byli Gurkhowie. Zerwali się na baczność i zaszalutowali.

- Wybaczcie mi, szlachetni panowie. Ale ja już nie jestem żołnierzem.

- Pan nadal pozostaje żołnierzem. Pan nazywa się Sten. Pan jest Subadarem.

- Dziękuję wam raz jeszcze - powiedział Sten. - Czy zechcecie wejść? Mam tylko chwilę czasu.

Sten wprowadził ich do środka. Stali w kłopotliwej ciszy.

- Czy mam posłać po herbatę? - spytał Sten. - Albo whisky, jeśli jesteście panowie po służbie?

Muszę przeprosić za kiepski gurkhali. Mój język wydaje się zbyt zardzewiały.

- Dziękujemy za wszystko - powiedział jeden z nich.

Dwaj pozostali spojrzeli na niego i kiwnęli głowami. Został teraz wyznaczony na ich rzecznika.

- Nazywam się Lalbahadur Thapa - powiedział. - Ten mężczyzna to Chittahang Limbu. A drugi to Mahkhajiri Gurung. Wydaje mu się, że należy do wyższej kasty, ale proszę nie pozwolić, aby jego arogancja sprawiała panu kłopot. Mimo to jest dobrym żołnierzem.

Wszyscy mamy stopień Naika.

- Lalbahadur... Chittahang... Nosicie szlachetne nazwiska.

- Tacy są - tacy byli nasi ojcowie. Ojciec Mahkhajiri 'ego prowadzi punkt rekrutacyjny na Ziemi. W Pokharze.

Havildar-Major Lalbahadur Thapa poległ, ratując życie Imperatora podczas zamachu, wiele lat wcześniej. Dawno temu, Subadar-Major Chittahang Limbu zastąpił Stena jako dowódca Gurkhów - na własną prośbę Stena. Chittahang był pierwszym Gurkhą dowodzącym jednostką, ustalającym tradycję.

Gurkhowie, oprócz swoich licznych zalet, mieli także bardzo dobrą pamięć, zwłaszcza w odniesieniu do swoich przyjaciół i wrogów.

- A więc czym mogę wam służyć, panowie? - spytał Sten.

- W biurze administracji znajdowało się pismo, ogłaszające, że poszukuje pan ochotników do misji specjalnej, i wszyscy członkowie dworu Imperatora są proszeni o zgłaszanie się.

- Wy?

- Jest nas jeszcze dwudziestu czterech.

Sten usiadł. Czuł się tak, jakby ktoś walnął go w głowę. Musiał dojść do równowagi.

- Ale Gurkhowie służą wyłącznie Imperatorowi.

- To była prawda.

- Była?

- Tylko krowy i góry nigdy się nie zmieniają. Przedyskutowaliśmy tę sprawę z naszym dowódcą. Zgodził się z tym, że służenie Imperatorowi poprzez udział w pańskiej misji, czymkolwiek ona się okaże, będzie sabash - w porządku.

- Czy owo zgłoszenie - powiedział ostrożnie Sten - zostało dokonane za zgodą Imperatora?

- A czy może być inaczej? Pismo kończyło się słowami „w imieniu Imperatora”.

Gurkhowie niekiedy zachowywali się bardzo naiwnie. Czasami uważano, że robią to rozmyślnie, używając pozorów gapiostwa jako narzędzia, dzięki któremu mogą postąpić dokładnie tak, jak zamierzali od początku.

Sten pomyślał, że jeśli władca nie wie - i nie aprobuje - ich zgłoszenia, to rozpęta się całkiem niezłe piekło. Poza wszystkim, jednym z większych powodów do dumy Imperatora było to, że po morderstwie Gurkhowie odmówili służenia pod rozkazami Rady, wrócili na Ziemię i czekali na powrót władcy.

Sten nie pozwolił, aby ten potencjalny problem odzwierciedlił się na jego twarzy czy w słowach. Przeciwnie, promieniał.

- Jestem niesłuchanie zaszczycony, panowie. Porozmawiam z waszym komendantem i bahunem, a potem zaczniemy właściwe uroczystości.

Na szczęście Gurkhowie nie przywiązywali nadmiernego znaczenia do długich ceremoniałów, więc po paru minutach Sten mógł wskazać trzem mężczyznom drogę do wyjścia bez obrażania niczyjej godności. Potem pozwolił sobie na kilka minut zastanowienia i łyk streggu.

Cholera, pomyślał. Dlaczego ja? Dlaczego oni? Sądzę, że lepiej będzie, jeśli bardzo pokornie przedstawię sprawę Imperatorowi. Potem uderzyło go spostrzeżenie: jeśli się uda i wezmę kilku Gurków, pomyślał, to władca uzyska pewność, że mam cały ten blichtr, o który mu chodziło. Oprócz tego, odpowiedział mu jakiś duszek, nie będę musiał się przejmować, kto w razie czego ochroni moje tyły...

Sind nie miała zielonego pojęcia, o co tu chodzi.

Najpierw Sten zaprosił ją towarzysko. Potem zrobił tę dziwną uwagę o tym, że broń ma nie rzucać się w oczy, ale pasować kolorem.

Postanowiła zadzwonić do Kilgoura, bo czuła, że ten mężczyzna trzyma jej stronę.

Być może. Ale co stanowiło ową „jej stronę”, nie była całkiem pewna.

Oczywiście Szkot okazał się mniej niż pomocny.

- Pamiętasz panie Kilgour, rozmowę, jaką przeprowadziliśmy jakiś czas temu - zaczęła Sind. - Kiedy stwierdziłaś, że jestem, hmm, zbyt młoda i narwana jak na szpiega?

Alex pomyślał. Coś sobie niejasno przypominał.

- Tak.

- Sten zaprosił mnie dziś wieczorem na obiad. Wydaje mi się, że... że to na pół służbowe zaproszenie.

- To całkiem niezłe na początek, skarbie. Ten nieszczęśnik nie jest w stanie robić niczego, co nie ma powiązania z pracą. To może zbyt wcześnie zaprowadzić go do grobu, obawiam się.

- Dokąd idziemy?

- Co masz na myśli - aspekty moralne, społeczne czy historyczne?

- Po prostu pytam, dokąd Sten zabiera mnie na obiad? I jak mam się ubrać?

- Aaa, nie zrozumiałem. To miejsce jest bezpieczne, a ty powinnaś założyć na siebie coś ładnego.

Śliczne ubranko. Takie rozgrzewające krew i w ogóle. Ale będziesz bezpieczna.

- Nie masz zamiaru powiedzieć mi nic więcej?

- Jasne, że nie, Sind. Wiesz, pomyślałem - mówię prawdę - że zmieniłaś się bardzo, dorosłaś od czasu, kiedy ostatni raz się widzieliśmy. Pomyślałem też, że gdybyś nie była taka młoda, i gdybyście nie kochali się ze Stenem, sam zabrałbym cię do domu, żeby przedstawić mojej mamie.

Więc dlaczego miałbym lekceważyć twoją inteligencję i mówić, co się dzieje, podczas gdy ty, głęboko w środku, jesteś już na wszystko gotowa?

Nie czekając na odpowiedź Kilgour rozłączył się.

Cholerni faceci, pomyślała Sind.

Cholerni... I w tym momencie zrozumiała, co mówił Alex. Miłość? Ja i Sten, ten wspaniały Sten? To oczywiste, że chyba go kocham, jeżeli miłość to coś takiego, co powoduje, że nie można w nocy spać, buduje się w chmurach wiele wspaniałych zamków i zamieszkuje w nich, i w ogóle człowiek zachowuje się, jeśli utraci choć na chwilę samokontrolę, jak pod wpływem narkotyków.

Ale...

Ale Sten? Miłość?

Chrzanić facetów, zdecydowała, to zdecydowanie bardziej racjonalny i bezpieczny sposób myślenia.

Przynajmniej wiedziała teraz, jak ma się ubrać.

Suknia Sind stanowiła koncentrat zmysłowości. Była niby zwyczajna, bez kołnierzyka, z głębokim dekoltem w kształcie litery V. Przylegała ciasno do bioder, a tuż nad kolanami rozszerzała się lekko. Nie miała żadnych guzików, suwaków, rzepów, niczego, co tak na oko trzymałoby ją na miejscu. Biodra opasywał prosty pasek. Oczywiście, jak wszystkie „zwyczajne, proste, dobrze skrojone” rzeczy, kosztowała niesamowitą sumę.

Niezwykły był, poza krojem, tworzący ją materiał. Sekcja Mantis - superelita pośród tajnych sekcji wywiadu Imperium - używała podobnego do szycia mundurów maskujących - fototropicznych, zmieniających kolor w zależności od podłoża, na którym znajdował się żołnierz.

Cywile zakupili prawa handlowe do tego materiału, a potem zmienili go nieco.

Tkanina pozostała fototropiczna, ale odzwierciedlała podłoże sprzed pięciu minut. Pamięć koloru i opóźniacz czasowy stanowiły część stroju, mieściły się w pasku sukni Sind. Był tam też mały chip, zawierający proste koło koloru, który mógł zmieniać fototropiczne komendy tak, aby właścicielka stroju nie stwierdziła nagle, że nosi różową sukienkę znajdując się na pomarańczowym tle.

Odpowiednie sensory zmieniające natężenie koloru odpowiednio do poziomu światła także umieszczono w pasku. Stamtąd przesyłane były również obrazy stroboskopowe do poszczególnych części, tylko po to, aby utrzymywać widownię w stanie permanentnego zainteresowania. Ubranie przybierało niekiedy barwę czegoś, co znajdowało się obok, a potem stawało się przezroczyste na mgnienie oka. Te przezroczystości mogły być programowane, w zależności od stopnia skromności nosicielki. Albo, jak w przypadku Sind, po to, aby nigdy nie ukazać noża, ukrytego z tyłu, czy pistoletu w kieszonce na plecach.

Sind zatem spotkała Stena ubrana zabójczo, nie tylko w jednym tego słowa znaczeniu.

I chociaż raz to męskie zwierzę nie zawiodło. Sten nie tylko zauważył i skomplementował jej strój, ale także zadawał inteligentne pytania - jakby go to naprawdę interesowało - jak to wszystko działa.

A nawet przyniósł jej kwiat.

Tak naprawdę, kwiat to zupełnie właściwe słowo. Eony lat wcześniej, na Ziemi, pewien wywodzący się z tropików hodowca orchidei wyhodował wspaniały storczyk oncidium - wiele, wiele maleńkich pączków na pojedynczej łodydze, mających właściwości podobne do kameleona.

Jako rezultat powstał żywy bukiet-naszyjnik, dokładnie odzwierciedlający barwę stroju tego, kto go nosił.

Sind dostojnie pocałowała Stena w podziękowaniu i uściśnęła go. Kiedy się odsuwała, pozwoliła, aby jej małe paznokcie przebiegły przez jego szyję i w dół piersi.

Nie chciała przecież, mimo wszystko, aby uważał ją za zupełną dziewicę...

Bar - restaurację ukryto dyskretnie w przemysłowym ślepych zaułku, niezbyt daleko od dzielnicy

ambasad. Sten pomylił skrzyżowania i musiał zawrócić swój wynajęty pojazd - uprzejmie odmówił przyjęcia rzucającego się w oczy służbowego środka transportu, który mu zaoferowano - do poprzedniej przecznicy. Budynek stał samotnie, ponuro odosobniony, niemal niewidoczny. Ale kiedy grawitoty grawitacyjne osiadły na podłożu, zajaśniały jaskrawe światła.

Oślepiąca Sind mrugnęła. Wydawało się, że latarnie nie tyle mają oświetlać ulicę, ile służyć głównie do tego, aby osoby przebywające wewnątrz mogły przyjrzeć się przybywającym gościom.

W połowie wysokości zakrzywionego muru tkwił bardzo mały szyld:

The Western Eating Parlor. Number Two.

- Jadłodajnia zachodnia numer dwa. Niezbyt wymyślna nazwa - zauważyła Sind.

Sten uśmiechnął się krzywo.

- To tak, jak rosyjska baba w babie. Przypuszczam, że rzecz cała zaczęła się na starej Ziemi.

Bardzo dawno temu. Przed Imperium. Na obrzeżach miasta zwanego Langley. Karmiła bardzo ekskluzywną klientelę, jak mówi opowieść. I to nie zmieniło się przez wieki.

- W porządku, spróbuję to rozgryźć. Kim są goście? - podniosła rękę, zanim Sten zdołał odpowiedzieć. - Nie mów. Podpowiedz tylko trochę.

- Dobrze. Weź pierwsze litery każdego słowa z tej nazwy: T-W-E-P.

- Twep - namyślała się Sind.

Och. Jak w starym, archaicznym zwrocie „Terminate With Extreme Prejudice”

(Usunąć z najwyższą ostrożnością). Sind słyszała ten termin w wypowiedziach starszych typów z wywiadu.

Oficjalnie usankcjonowane morderstwo.

Wewnątrz restauracji panował szmer cichych rozmów.

Szef sali sprawiał przerażające wrażenie.

Połowa jego twarzy zniknęła, zastąpiona plastikową maską. Sind zastanawiała się, jak wiele czasu musiał być pozbawiony pomocy medycznej - bardzo rzadko zdarzało się widzieć, przynajmniej w tak zwanym cywilizowanym świecie, kogoś, komu nie dała rady rekonstrukcyjna chirurgia plastyczna.

W pierwszej chwili nie zauważył Stena i Sind. Nadzorował dwóch pomocników, zakrywających wielką dziurę w ścianie. Potem pozdrowił przybywających, jak gdyby ich wcale nie znał.

- W czym mogę pomóc, sir?

- Ona jest w porządku, Delaney.

Delaney uśmiechnął się pozostałą mu połową twarzy.

- Na pewno. Przygotowałem przytulny salonik na górze, kapitanie. A pana przyjaciółka czeka w barze. Przyprowadzę ją.

- Byłeś tu już kiedyś? - zaszepotała Sind do Stena, kiedy Delaney wiódł ich przez luksusowe wnętrza.

- Nie, Delaney i ja znaleźliśmy się przedtem.

Delaney miał bardzo ostry słuch. Zatrzymał się.

- Tak naprawdę, to kapitan zniósł mnie kiedyś z gór. Z naprawdę wielkich gór. W bardzo kiepskich warunkach. Nie pamiętam z tego zbyt wiele. - Jego palce dotknęły tego, co niegdyś stanowiło jego twarz.

- Musiałem - powiedział Sten. - Byłeś mi winien pieniądze. - Nieco zakłopotany, zmienił temat rozmowy. - Co stało się z tą ścianą?

- Czy kiedykolwiek współpracował pan z Ośmiornicą o pseudonimie Quebec Niner Three Mike? Nazywającą siebie samą Szaloną Daisy? Całkiem niezła, jeśli ktoś lubi ten rodzaj istot.

Sten pomyślał, potem pokręcił głową.

- Przeszła na emeryturę jako kapitan, z Sekcji Mantis numer trzy-sześć-pięć - przypominał cierpliwie Delaney.

- To chyba było przede mną - czekaj chwilę. Czy trzy-sześć-pięć to ta banda, która zwinęła arenę sportową?

- Tak jest.

- Dobra. Znam ten zespół. Ale jej samej nigdy nie spotkałem. Nie jest przypadkiem na jakiejś liście renegatów?

- Musi pan myśleć o kimś innym - Delaney wzruszył ramionami. - Nikt tutaj nie ma nic przeciwko niej.

- Przepraszam. Nie chciałem przerywać.

- Tak czy siak, była tu dziś po południu. Coś świętowała. Ciągle wylaziła ze swojego pojemnika, człapała po barze. Zrobiła się uciążliwa. Wylewała drinki. Kupiła sobie zabawkę. Starą broń palną, którą doprowadziła do porządku. Nazwała to strzelbą na króliki.

Zdecydowała, że chce pokazać ją wszystkim dookoła. Może powinienem był coś powiedzieć, ale...

W każdym razie zademonstrowała, jak się ładuje tę broń - miała trochę specjalnie skonstruowanych naboji - a potem stwierdziła, że robi w murze taką dziurę, że można przez nią przetrząść człowieka.

Jeden facet, który siedział na końcu - ex-członek Korpusu Merkurego, powinien dalej siedzieć cicho, ale wymądrzył się, że gówno prawda. I Daisy zrobiła tę dziurę w ścianie i zaczęła wciskać w nią tego gościa. Miał rację, dziura była za mała. Ale Daisy nie przestawała próbować.

Po jakichś trzech, czterech razach musiałem jej powiedzieć, żeby skończyła z tym i poszła do domu.

Sind z trudem opanowała chichot. Delaney wprowadził ich do małego pokoju i wskazał miejsca.

- Czego pan się napije, szefie? Szkockiej, czy może dziś wieczorem ma być stregg?

Sten zdecydował, że zachowa się rozsądnie.

- Szkocka. Jeszcze wcześniej.

- Czy podajecie Czarny Welwet? - spytała Sind.

- Podajemy wszystko. A jeśli to nie da się nalać, serwujemy igły, inhalator, to, co potrzeba.

Powiem Aretcie - woli używać tego imienia - żeby tu się zjawiała. - Wyszedł.

- To jest - stwierdziła Sind - bar dla szpiegów. Mam rację?

- Tak, masz. Głównie dla Mantis.

Każdy zawód ma swoje własne miejsca dyskretnych spotkań, od polityków do pederastów. I każdy ma swoje własne wymagania. „The Western Eating Parlor” stanowił niemal idealny bar dla agentów wywiadu. Choć usytuowany w stolicy stolic, nie rzucał się w oczy. Swoim klientom - nadal aktywnym czy emerytowanym - mógł zaserwować dowolne cudactwo, do jakiego przywykli na tysiącach tysięcy światów. Cała obsługa miała w jakimś stopniu pewne doświadczenie w wywiadzie, od Delaneya, szefa sali, poprzez barmana, który czekał na skierowanie do odpowiedniego uniwersytetu, syna ostatnio zmarłego pianisty, do pomocników kelnera, którzy po prostu kiedyś mogli wykonać jakąś mokrą robotę. Salon nie był na podsłuchu; pilnowano tego za

pomocą częstych, nader skrupulatnych oględzin. Przedstawiciele prasy zniechęcano do odwiedzin, poza dziennikarzami, którzy okazali doskonałe referencje i nie zdradzali nigdy swoich źródeł informacji.

Salon, jak tuziny innych barów dla szpiegów, dawał gościom nie tylko szansę na to, że wyjdą stąd bez większych obrażeń, ale także sposobność zdobycia nowych wiadomości albo wysondowania, co naprawdę oznacza to nowe zadanie, które przydzielono nieszczęśliwemu agentowi, gdy jego prowadzący nie byli zbyt hojni w przedstawianiu faktów.

Dlatego właśnie Sten poprosił Alexa, aby zamówił mu tu kolację. Wieczny Imperator wydawał się zdecydowanie zbyt szczodry, aby to mogło oznaczać coś innego niż straszliwy koszmar.

Aretha wsunęła się do pokoju i ułożyła na wielkiej sofie, chowając kopyta pod sobą. Ta samica wyglądająca jak znak zapytania wydawała się sześcionogim roślinożercą, z uwagi na zakrzywiony grzbiet, ostre jak igły rogi, nakrapiane białobrazowe futro i kopyta na pierwszej i ostatniej parze nóg. Ale kiedy odchyliła głowę i zaryczała z zadowoleniem, jej uzębienie, charakterystyczne dla drapieżników, powiedziało coś innego. Do picia zamówiła wodę mineralną - Sten i Sind natychmiast odstawili na bok swoje drinki - i płat surowej zwierzęcej tkanki. Sten dostał gotowanego na parze ziemskiego łososia, z masłem i koperkowym sosem. Sind także spróbowała łososia. Na surowo.

Aretha udzieliła im informacji - tak treściwie, jak tylko potrafi doświadczony agent Mantis. Już po pierwszych, wstępnych pozdrowieniach Sten cieszył się, że mówiła przez translator. Tłumaczenie cudzych słów, nawet na własny język, może stać się nużące, zwłaszcza jeżeli mówca ma podwójną diafragmę i w oczywisty sposób świetnie się czuje, używając języka pełnego chrząknięć i syczeń.

Znała reputację Stena i powiedziała, że pomoże, jak tylko będzie umiała.

Stwierdziła, że kobieta powinna też to wiedzieć. Najlepiej pomogłaby, kontynuowała, gdyby kopnęła Stena wprost w genitalia, aby nie mógł się podjąć tego zadania.

Trzy lata wcześniej Aretha pełniła funkcję attache militarnego w ambasadzie Imperium na Jochi. Została odwołana za jakąś pomniejszą sprawę. Sten ustalił, że miała stopień podpułkownika.

- To koszmar - ciągnęła. - Prawdziwy koszmar. Pozwól mi najpierw opowiedzieć sobie o ludziach, mój drogi przysły ambasadorze. Potworni. Potworni. Potworni. Byli górnicy, z wszystkimi tego konsekwencjami. Pójdą tak daleko, jak się da, aby uniknąć regulaminu, a potem zwiewają jak wystraszone szczeniaki, kiedy wysadzany materiał zaczyna się walić.

Jako cywilizacja, Torkowie mają dość wyobraźni, aby chcieć wszystkiego, ale zbyt mało zdolności, aby to osiągnąć. To znaczy, że ochoczo zabiorą czyjąkolwiek własność - głównie same wyimaginowane skarby. Ponieważ Mgławica Altaic może być uważana za coś cennego tylko wtedy, jeśli znasz sposób na zapakowanie i eksportowanie nienawiści i etnocentryzmu.

Weźmy Jochiańczyków. Być może nie wiesz, że nazwali się kiedyś sami Społeczeństwem Awanturników. Dostali od naszego własnego Wiecznego Imperatora prawa do grabieży...

- Wiem o tym. - Sten nie czuł potrzeby informowania Arethy, że ta wiadomość pochodzi od samego Imperatora.

- Awanturnicy i piraci jednocześnie. Potem ich cywilizacja popadła w anarchię i rozdzieliła mgławicę na planety-miasta, dopóki nie przybył Khaqan. Ten pierwszy. Było ich tylko dwóch.

Khaqan był także kłamcą, złodziejem, i lubił wbijać nóż w plecy. Rzecz w tym, że umiał to robić szybciej i lepiej niż jakikolwiek inny Jochiańczyk. A więc wspiął się na szczyt. Jak szumowina na stawie.

Umarł albo został zabity przez swojego syna, obecnego Khaqana. Miał on wszystkie zbójckie

talenty ojca oraz upodobanie do budowania pomników samemu sobie, z wykluczeniem wszelkiej logiki. Lubił też ogłaszać roboty publiczne albo nadawać swoim poddanym różne przywileje socjalne. Kiedy byłam tam, Imperium nie robiło nic, aby powstrzymać jego ekscesy.

Zapewne Imperator miał większe kłopoty. Być może nie słyszał wcale o tym, jak naprawdę poważne były te problemy.

Niestety, nasz ukochany władca wyznaczył ambasadora. Nie powinnam robić nic innego, jak tylko prawić komplementy, ale pozwól mi powiedzieć, że w czasie dwóch lat mojej obserwacji stwierdziłam, iż główny talent ambasadora Nallasa to umiejętność przyrządzania lunchu.

- A co z pozostałymi mieszkańcami mgławicy? - spytał Sten.

- Litościwie niebiosa, ci inni zdołali doskonale dopasować się do ludzi. Spójrzmy najpierw na Bogazi. Czy widziałeś kiedykolwiek film o planecie Ziemia?

- Byłem tam.

- Racja. Zapomniałam. Wyobraź sobie kurczaki.

- Co? - powiedział Sten.

- Wielkie kurczaki.

Sten parsknął, niemal opryskując Sind szkocką.

- Nawet mi się nie śni żartować. Podobne do drobiu. Wielkie, wysokie na dwa i pół metra, dwunożne. Mają młotowate dzioby, obrzeżone zębami. Dwa ramiona - ręce jak najbardziej zdolne do duszenia i używania broni. Wysuwane ostrogi. Temperament zupełnie nie kurzy.

Kiedy ogarnia ich panika, rzucają się w przód i tył, tam i siam, wymachując całą tą cudowną, zapewnioną przez ewolucję bronią.

Zdaje się, że wyewoluowali z jakiegoś gatunku ptaków wodnych. Sądzę, że podobnie jak u kurczaków, ich udka są bardzo smaczne. Ale niestety nie zajmujemy stanowiska, które pozwalałoby na jakikolwiek bogazifagizm.

Żyją jak kotowate drapieżniki - jeden samiec, pięć czy sześć samic. Takie stadko - tego też nie zmyślam - nazywa się kojcem.

Samiec jest mniejszy, słabszy, wyjątkowo kolorowy, ma worek jak torbacze. Ich młode rodzą się żywe. Samice polują, przy czym mają naturalny kamuflaż - nie fototropiczny, jak twoja milcząca asystentka, ale niemal równie skuteczny. Są bardzo demokratyczne, ale powinieneś posłuchać dyskusji, przebiegającej przed podjęciem jakiejś decyzji. Istna kolonia gawronów.

Spodoba ci się.

Stenowi naprawdę podobał się opis i towarzystwo Arethy. Podano posiłek. Zaczęli jeść.

- Sten pokazał mi wszystkie dane - powiedziała Sind w trakcie pochłaniania swego dania. - A co z czwartym rodzajem istot - Suzdalami?

- Mogłabyś - w każdym razie mnie się to udało - niemal do nich przywyknąć.

Rozwinęły się z jakichś form prymitywnych ssaków. Początkowo były to stadne drapieżniki, niewielkie, półtora metra do dwóch. Stado liczy sześcioro osobników. To atrakcyjne istoty o pięknym, złotym kolorze futra.

- Dlaczego miałaś z nimi problem?

- Prawdopodobnie to ich język - bezustanne ujadanie - przeszkadza mi w nich. Na pewno budzi wstręt ich gwałtowność. Suzdalowie lubią zabijać. Ich główną rozrywkę towarzyską stanowi puszczenie wolno jakiegoś zwierzęcia i stadne polowanie na otwartym terenie.

Zdaje się, że jednak posiadają pamięć genetyczną.



Cokolwiek to jest, Suzdalowie doskonale pasują do pozostałych istot zamieszkujących Mglawicę Altaic, które nienawidzą się nawzajem, i dzieje się to już od tak dawna, że zapomnieli nawet dlaczego. Ale to nie powstrzymuje ich od małego, dokonanego z premedytacją ludobójstwa, jeśli tylko uzyskają po temu sposobność.

- Wspaniale - stwierdził Sten. Następne pytanie artykułował bardzo ostrożnie. - Słyszałem opinie, że dostawy energii z Imperium niekiedy... znikają.

- Masz na myśli to, że ktoś kradnie AM2 - powiedziała Aretha. - Tak właśnie się dzieje.

Mówiąc wprost, to Khaqan kradnie.

- Dokąd to trafia?

- Nie jestem pewna. Próbowałam się dowiedzieć - ale przeszkadzał mi w tym mój ukochany ambasador. Część z tego, jak sędzę, trafia do kumpli Khaqana mieszkających w mglawicy. Część jest sprzedawana, a zysk przeznaczony na budowę jego pomników. Większość po prostu gdzieś znika.

Aretha skończyła swoje danie i wypila ostatni łyk wody mineralnej.

- Bez wątpienia mówiono ci o upodobaniu Khaqana do wielkich, ozdobnych struktur.

Ale dopóki na własne oczy nie zobaczysz, jak masywne i imponujące budowle każe wznosić, nie uwierzysz w to.

- Dziękuję, Aretho. Zdaje mi się, że najbardziej logicznym sposobem na utrzymanie porządku w Mglawicy Altaic jest utrzymywanie wszystkich czterech ras w odrębnych sektorach.

Albo przynajmniej oddzielenie ich na długość ręki, aby nie mogli wyrzynać się nawzajem.

Aretha zdławiła śmiech.

- Nie powiedziano ci.

- Najwyraźniej nie powiedziano mi kilku rzeczy - stwierdził Sten.

- Wiele, wiele lat temu Khaqan postanowił rozwiązać ten problem. I ostrzegł ich wszystkich.

- Co?

- Arbitralnie wybrał przesiedlenie. Na przykład Suzdalowie, którzy mogliby powstać przeciwko niemu, zostaliby przeniesieni po zdławieniu rebelii. Ich nowe domy znajdowałyby się pomiędzy światami Bogazi.

- O cholera - powiedział Sten.

Nalał sobie nie rozcieńczonej szkockiej. Zaczął osuszać kieliszek, potem zaproponował drinka Sind. Pokręciła głową.

- Jest coś jeszcze bardziej zabawnego - ciągnęła Aretha. - Khaqan utworzył różne milicje.

Każdą z jednego gatunku.

- To nie ma sensu - stwierdziła Sind.

- Och, ależ ma. Jeśli poszczególnych formacji używa się tylko przeciwko ich tradycyjnemu nieprzyjacielowi, to ukierunkowuje to gniew wszędzie, tylko nie na Khaqana. I kolejna zaleta: siły milicyjne, stacjonujące o całe światy i lata świetlne od swoich macierzystych sektorów, są nie tylko potencjalnymi zakładnikami, ale także utrudniają rewolucje czy wojny domowe.

Nastąpił głośny huk, który brzmiał jak strzelanina gdzieś w dole schodów, potem grzmiący śmiech. Aretha tęsknie popatrzyła na drzwi do pokoju.

Sten uśmiechnął się.

- Dziękuję, pułkowniku. Jestem ci winien kolejkę. Czy mogłabyś poprosić Delaneya o przyniesienie rachunku na górę?

- Mam ochotę postawić wam drinka. Co wy na to?

- Niestety - oświadczył Sten. - Mam jutro rano spotkanie i... facet, z którym się zobaczę, nie byłby pewnie zachwycony tym, że jego ulubiony ambasador ściga białe myszki.

Z pomrukiem zadowolenia Aretha wyszła z pokoju i zaczęła schodzić po schodach.

Sekundę później Sten i Sind usłyszeli jeszcze głośniejszy huk.

- Mam nadzieję, że to miejsce ma tylne drzwi - powiedziała Sind.

- Ma - stwierdził Sten. - Czy słyszałaś kiedy o miejscu spotkań szpiegów, gdzie by ich nie było?

Język Stena zniżał się powoli, pieszczotliwie po szyi Sind, obwodząc linię dekoltu. Sind westchnęła... głęboko, gardłowo... niemal jęknęła. Jego ręce poruszały się we wnętrzu jej ud.

Ich wynajęte sanie grawitacyjne miały autopilota, utrzymującego szybkość zaledwie pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, a wysokość na poziomie prawie sześciu tysięcy metrów, poza normalnym ruchem ulicznym. Sten zdołał włączyć wszystkie czujniki, zanim oboje opadli na szerokie siedzenie, tuląc się do siebie.

Dłoń Stena odnalazła zapięcie jej paska i zaczęła przy nim gmerać. - Czuję się jak nastolatek - jęknął.

- Powinieneś - zamruczała Sind. - Powiedziałeś mi wszystko o owym olbrzymim imperialnym łożu, a potem rzuciłeś mnie na tylne siedzenie wynajętego wraku, jakbyśmy byli napalonymi gówniarzami. Dobrze ci robi, jeśli jakiś patrol nas przyłapie - mruzczała mu wprost do ucha. - Bohaterski ambasador znaleziony z nagim ochroniarzem.

- Ale ty nie jesteś...

Jego palce nagle odzyskały sprawność.

- O tak, jestem - powiedziała gardłowo Sind, kiedy sukienka opadła z niej, a sutki małych piersi zalśniły w świetle księżyca.

Ich usta złączyły się, a języki poruszały łagodnie, jakby się już dobrze znały.

Potem jej ciepło schwytało go, wciągnęło i poprowadziło do wieczności.

## Rozdział 6

W komnacie Imperatora panowała jesienna atmosfera. W zasięgu wzroku nie było żadnego alkoholu. Sten czuł, że ogarnia go coraz większy wewnętrzny chłód, kiedy zmierzał ku końcowi informacji na temat swojej misji w Mgławicy Altaic, pospiesznie omawiając kilka ostatnich spraw.

- Kodowanie... procedury awaryjne... nagłe pogotowie... to wszystko znajduje się w tych aktach. Jesteśmy gotowi. „Victory” może wyruszyć za trzy dni, kiedy zostanie załadowany prowiant i broń.

Sten położył dwie kopie swoich akt na biurku Imperatora. Zostały one zaszyfrowane i oznaczone jako ściśle tajne. Imperator zignorował je.

- Widzę - powiedział - że udało ci się także wykonać doskonałą robotę przy dobieraniu personelu do tego zadania. Twój wieloletni towarzysz - ten ze świata o zwiększonej grawitacji.

Bhorowie. Ich przywódczyni. Bardzo fotogeniczna. Cóż to za doskonały sposób na uniknięcie... obcych przeszkód.

Ktokolwiek miał spotkanie przed Stenem, musiał naprawdę wkurzyć Imperatora. Ale Sten przywykł do zmiennego usposobienia swego szefa i nie zwracał na to żadnej uwagi.

- Jeszcze jedno, sir. Potrzebuję dodatkowego personelu.

- Czego chcesz?

- Kapitana dla „Victory”. Sądzę, iż zorganizował to pan w ten sposób, że na Jochi będę miał dużo zajęć.

- Czy zależy ci na kimś szczególnym?

- Admirał floty Robher Mason. Oczekuje teraz na Primie na przydział nowego zadania.

Z początku pomysł ten wydawał się Stenowi niemal żartem. Ale po dłuższym namyśle okazywał się coraz lepszy i lepszy. Mason być może rządził jak tyran, ale morale załogi „Victory” nie leżało w sferze zainteresowań Stena. Natomiast jak najbardziej interesowało go utrzymywanie się przy życiu - Sten wiedział, że Mason, surowy służbista, był w tym dobry jak nikt inny. Poza tym wiedział, że admirał będzie przestrzegał rozkazów. Trochę ciekawiło go to, czy Masonowi przeszkodzi fakt, że służy pod kimś, kogo nie lubi. Zapewne nie - Mason prawdopodobnie żywił takie same uczucia dla każdej rozumnej istoty. Sam Sten nauczył się kiedyś, jeszcze jako buntownik, a potem żołnierz, że nie trzeba się z kimś przyjaźnić, aby móc współpracować.

- Mmm. Bardzo dobrze. Ale masz brzydki zwyczaj zabierania mi najlepszych ludzi.

A więc Imperator słyszał o potencjalnych rekrutach - Gurkhach.

- Tak jest, sir. A to przypomina mi o następnej sprawie. Do tej misji zgłosiło się na ochotnika dwudziestu siedmiu Gurkhów.

- Co im powiedziałaś?

- Powiedziałem im, że jeżeli będzie to w zgodzie z polityką imperialną, to powitamy ich z radością. Zdaje się, że uważali, iż posiadają twoją, panie, łaskawą aprobatę.

Imperator obrócił się z fotelem i patrzył przez okno na porozrzucane budynki pałacowe.

Powiedział coś, czego Sten nie dosłyszał.

- Słucham, sir?

- Nic.

Cisza. Potem Imperator obrócił się znowu. Uśmiechnął się. Nawet raz zachichotał.

- Obecność kilku Nepalczyków - stwierdził - z pewnością zasugeruje istotom z Altaic, iż twoja misja traktowana jest bardzo poważnie - i że masz dostęp do najwyższych szczebli władzy, nieprawdaż?

Sten nie odpowiedział.

- Weź ich - zgodził się Imperator. - To im dobrze zrobi. Być może zaczniemy wysyłać Gurkhów na pewne okresowe posterunki polowe. To da im doświadczenie i ustrzeże przed stagnacją.

- Tak jest, sir.

- Sądzę - powiedział Imperator - że doskonale przygotowałeś siebie i swoją załogę do tego zadania. Życzę ci sukcesu... i szczęścia.

Wstał i wyciągnął dłoń. Sten uściśnął ją, potem stanął na baczność i zasalutował, chociaż był po cywilnemu. Uśmiechnął się oficjalnie i skierował do wyjścia. Żadnych szklaneczek, pomyślał z roztargnieniem. Największe wrażenie wywarło na nim to, że kiedy Imperator obrócił się do niego plecami, powiedział: - A więc wszystko się zmienia...

Imperator utrzymywał na ustach ceremonialny uśmiech do chwili, kiedy drzwi zamknęły się za Stenem. Potem zmienił wyraz twarzy. Przez dłuższą chwilę stał i wpatrywał się w stronę, gdzie zniknął Sten, potem znów usiadł i nacisnął guzik wzywający szambelana, prowokując następną katastrofę.

Sten zatrzymał się w Biurze Administracji Arundel wystarczająco długo, aby upewnić się, że wysyłają rozkaz kierujący Masona na „Victory” i powiedziec dowódcy Gurkhów, iż prośba ochotników została przyjęta i powinni oni spakować się i zameldować następnego dnia na pokładzie. Potem, w naprawdę posępnym nastroju, skierował się ku swojemu pojazdowi. Do diabła. Powinien był powiedziec Lalbahadurowi Thapa aby poszedł, wsiadł na jeden z nepalskich ośmiotysięczników i poczekał, aż mu tyłek zamarznie, zabierając ze sobą swoich dwudziestu sześciu przyjaciół.

A poza tym nie podobała mu się też myśl, że ktoś będzie się kręcił dookoła i odkryje, iż on i Sind sypiają ze sobą, chociaż przecież nie trzymali swojego świeżo nawiązanego związku w przesadnej tajemnicy.

Sten wiedział na pewno, że Imperator przeżył tak długo tylko dlatego, iż zapewnił sobie wywiad na najwyższym możliwym poziomie. Wiedział też, że każdy członek świąty władcy ma co najmniej podstawowe przeszkolenie wywiadowcze, a większość z nich to znakomici specjaliści.

Uważał za sensowne zdobywanie informacji dotyczących ambasadora pełnomocnego: czy jest kompetentny, pracowity, czy potrafi należycie zablęsnać.

Ale nie lubił tego.

Kiedy zszedł w dół szerokich schodów, aż do placu defilad, automatycznie dotknął czoła w odpowiedzi na salutowanie stojących tam wartowników. Zbyt wielu jest cholernych, wścibskich ludzi na tym świecie, pomyślał smętnie. Nagle zachichotał. Stwierdził, że szpiedzy chyba nigdy nie lubią, kiedy ktoś zagląda im pod prześcieradła.

Obok jego pojazdu czekał drugi, niemal bliźniaczo podobny. To dziwne... Sanie grawitacyjne Stena były gładkie, wrzecionowate, wręcz ociekające bielą, luksusem i oficjalnością, począwszy od uzbrojonego kierowcy i ochroniarza - jednego z Bhorów Sind poprzez małą, ambasadorską flagę umieszczoną na każdym z rogów pojazdu, po fototropiczny, okrągły dach. Nic niezwykłego na Primie. Ale ten dyplomatyczny pojazd Stena miał poza tym jeszcze imperialne oznaki na solidnych, czerwonych tarczach po każdej stronie drzwi.

Tym drugim saniom brakowało jedynie ambasadorskich chorągiewek - poza tym stanowiły doskonale podobny model. Otworzyły się drzwi... i wyszedł z nich Ian Mahoney.

Mahoney był eks-szefem Korpusu Merkurego, eks-szefem Sekcji Mantis, człowiekiem, który wydobył Stena z niewolniczego świata na Vulcanie i wciągnął do Służby Imperialnej.

Mahoney został potem dowódcą elitarniej Pierwszej Dywizji Gwardii, a następnie głównodowodzącym podczas końcowych etapów wojny tahnijskiej. A kiedy zabito Imperatora, rozpoczął działania w celu zgładzenia jego morderców, członków Rady.

Powróciło Imperium, Mahoney otrzymał przydział bardzo podobny do tego, jaki miał Sten: pracę w charakterze objazdowego „likwidatora problemów”, z najwyższymi uprawnieniami.

Zadanie połączenia w całość części spustoszonego Imperium wydawało się olbrzymie. Tak więc Sten i Mahoney widzieli się tylko dwa razy podczas ostatnich lat, a i te dwa spotkania trwały bardzo krótko.

Mahoney kpiąco spojrzał na ramiona Stena.

- Nie mogę ocenić twoich naramienników - powiedział. - Czy tym razem przewyższam cię rangą, czy to ty całujesz mój pierścień?

Sten wybuchnął śmiechem, zastanawiając się, dlaczego nagle poczuł się tak dobrze.

Uświadomił sobie, że przecież jest tak niewielu ludzi, z którymi może całkiem otwarcie rozmawiać i właściwie tylko jeden, który choć trochę przypomina mentora. Wyciągał Mahoneya z tarapatów tyle samo razy, co Ian jego.

- Do diabła z tym - stwierdził Sten. - Nie jestem pewien, jaki stopień otrzymałem tym razem. Uzgodnijmy, że nie będę mówić do ciebie „sir” - w ten sposób nie muszę przeproszać za stare nawyki. Czas na drinka?

Mahoney pokręcił głową.

- Niestety, wzywają mnie obowiązki. A to naprawdę kamienisty trakt. Mam wygłosić dzisiaj przed Parlamentem mowę, jeszcze bardziej pozbawioną znaczenia niż zwykle. I chociaż niczego tak nie pragnąłbym, jak stanąć na podium, zionąć streggiem i zacząć wyklinać wszystkich polityków w cholere, wysyłając ich nie istniejące dusze do piekła, to obawiam się, że w takim przypadku szef - Mahoney wskazał kciukiem w kierunku komnat Imperatora - mógłby zamienić ze mną parę słów.

- Cholera - powiedział Sten. - Ty i ja toczyliśmy walkę, aby zakończyć wojny, a oni dalej nie pozwalają nam się wycofać.

Mahoney podniósł brwi, nagle zatopiony w myślach.

- A może zabijemy trochę czasu przed moją przemową? To da nam szansę na rozmowę i pozwoli nieco poćwiczyć - obu nam się to przyda. Jeżeli możesz, rzecz jasna.

- Oczywiście.

- Czy to nie gdzieś tutaj - powiedział Mahoney - Imperator miał swój warsztat?

Robił w nim... co to było?

- Gitary - stwierdził Sten.

- Zastanawiałeś się kiedyś, dlaczego nie odbudował go nigdy po... swoim powrocie? - spytał Mahoney.

Sten wzruszył ramionami. Naprawdę pragnął wypuścić nieco pary, ale jak dotąd Mahoney utrzymywał rozmowę na irytująco trywialnym poziomie.

- To były czasy, prawda...

I w tym momencie grzecznościowy ton Mahoneya uległ zmianie.

- Cholera, chłopcze, nie odsłaniaj się tak łatwo. Utrzymuj uśmiech na twarzy.

Wyszliśmy właśnie z zasięgu mikrofonów parabolicznych, ale jesteśmy obserwowani przez lunety z jednego z budynków. Oni tam potrafią czytać z ruchu warg.

Ośłupienie Stena trwało jedynie przez ułamki sekund. Potem stał się znów w pełni profesjonalistą.

- Skąd wiesz, że tu jest bezpiecznie?

- Mam kopie wszystkich planów systemów bezpieczeństwa - i ich zmian - w obrębie Arundel. Jedna kobieta w departamencie technicznym była mi winna przysługę.

- Co się tu dzieje?

- Cholera, Sten, chciałbym móc jasno odpowiedzieć. Na to jednak potrzeba więcej czasu niż te dwie minuty, zanim znajdziemy się znowu w zasięgu mikrofonów. Ale nie jestem pewien. Coś... coś po prostu nie jest w porządku. I nie było, o ile mogę stwierdzić, od momentu, kiedy on wrócił. - Mahoney chrząknął. - Albo to ja powoli staję się podstarzałym, paranoicznym maniakiem. Z mojego punktu widzenia wina leży po stronie Imperatora.

Sten odczuł ogromną ulgę. A więc jednak ktoś inny też coś zauważył.

- I jeżeli spróbuję to ująć w słowa, stwierdzisz, że przesadzam - kontynuował Mahoney. - Bo... To wszystko są małe rzeczy. Małe rzeczy, które wiodą do wielkich spraw.

- Jak ci nowi facyci w szarym - zastanawiał się Sten. - Ta Wewnętrzna Służba Bezpieczeństwa.

- To jedna z większych rzeczy. Tym większa, że oni nie odpowiadają przed Merkurym czy Mantisem. I dziwne wydaje mi się, że im są bliżej samego Imperatora, tym bardziej wyglądają jak jego cholerni synowie czy coś takiego. Czas!

- Właśnie. Po prostu czuję się zmęczony. Ostatnio coraz bardziej pociąga mnie myśl o emeryturze i powrocie do Smallbridge - podjął Sten gładko. - Niech świat toczy się sam i tak dalej.

- Zawsze mówiłem, że brak ci ambicji - stwierdził Mahoney.

- I brak mi jej coraz bardziej, im jestem starszy.

- Jasne - powiedział Mahoney. - Czy spędziłeś dużo czasu na dworze?

- Nie bardzo.

- To ostatnio zaczęło mieć duże znaczenie - powiedział Ian. - Kiedyś było to miejsce, gdzie Imperator przechowywał niemiłych czy głupich ludzi, z siłą czy pieniędzmi. Dawał im tytuły, zabierał na Primę i w ten sposób nie mogli powodować kłopotów u siebie w domu.

Większość z nich nadal puszy się jak koguty. Ale wydaje się, że teraz Imperator spędza z nimi coraz więcej czasu. I jakoś przybyło osób, które nie robią wrażenia fanfaronów.

- Co to znaczy?

- Nie wiem - odpowiedział Mahoney.

- Czy zauważyłeś, że Imperator ostatnio chyba nieco słabiej panuje nad sobą? - spytał Sten.

- Widzisz - Mahoney zaczął rozkładać bezradnie ręce, ale potem zmienił zamiar - nie mam pojęcia, czy on jest roztrzęsiony, nawet nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie.

Może zawsze taki był. Może po prostu za ciężko pracuje, próbując zebrać te resztki i stworzyć z nich Imperium na nowo. Ja... ja naprawdę nie wiem - powtórzył Mahoney.

- Myślę jeszcze o jednej rzeczy stwierdził Sten. - To naprawdę poważna sprawa, i bardzo się o to martwię. Czy to cholerne Imperium można uratować? Może połączenie wojen tahnijskich i działań Rady poczyniło zbyt wiele zniszczeń?

- Wyczyszczenie tego... trzy, dwa, teraz... Nie mam pojęcia, Sten, istnieje zbyt mało danych.

Szli dalej, a ścieżka wiodła w kierunku sztucznej góry, którą zbudował Imperator rzekomo po to, aby nie musiał patrzeć na tych durni w parlamencie. Rozmawiali o tym i owym. W końcu Mahoney oznajmił, że wyszli z zasięgu podsłuchu, i spytał Stena o ostatni przydział.

- Mamy teraz dziesięć minut, a więc opowiedz mi o tym dokładnie, ze wszystkimi szczegółami.

I Sten tak zrobił. Mahoney nic nie mówił, tylko od czasu do czasu kręcił głową czy chrząkał.

- I to jest najlepszy przykład na to, co podejrzewałem - powiedział Mahoney. - Mgławica Altaic. Dobrze rozpracowana przez szefa, ale zastanawiasz się, dlaczego pozwolił, aby to ciągnęło się aż tak długo. Zrucasz winę na to, że zajmował się poważniejszymi katastrofami.

Nie podoba mi się to, że kazał ci jechać tam, położyć na Khaqanie uświęcające dłonie i pobłogosławić jego krzątanię. Równie dobrze, a zapewne mądrzej postąpiłby, posyłając ciebie po to, abyś rozeznał się w sprawach i potem podjął decyzję dotyczącą rozwiązania problemu, na przykład czy podtrzymać tego starego złodzieja czy też po prostu wysłać Sekcję Mantis, żeby poderżnęli mu gardło.

- Coś przyszło mi właśnie do głowy i mocno przeraziło. A co będzie, jeżeli on już nie jest tak cierpliwy i wnikliwy jak dawniej?

- O rany - powiedział Mahoney. - O rany.

- Problem tkwi w tym - stwierdził Sten, uśmiechając się odrobinę krzywo - że Imperium stanowi, o ile mi wiadomo, jedyną liczącą się kartę w grze.

- Jestem pewien, że to wszystko jakoś się wyjaśni - powiedział wymijająco Mahoney. - No dobra. Wchodzimy w zasięg wielkich uszu. Pozwól, że zatroszczę się o swoje interesy. Nie robiłem sobie takich cholernych kłopotów tylko dlatego, że szczególnie obchodzą mnie twoje zasrane problemy osobiste. Dla takich śmieci istnieją odpowiednie kaplice.

Sten roześmiał się, nagle bardzo podniesiony na duchu. Mahoney powiedział to ze starą, jeszcze z czasów Mantis, szorstką sympatią: „Przykro mi, że wykrwawiasz się na śmierć, ale czy mógłbyś używać innego koloru, bo nienawidzę czerwieni”.

- Po pierwsze, masz to. - Dłoń Mahoneya ujęła rękę Stena, wsuwając w nią kwadracik plastiku. - To jest czule na temperaturę ciała. Trzymaj przy sobie. Jeżeli upuścisz, ulegnie zwęgleniu.

- Co na tym jest?

- Bardzo wypracowany, ogromnie skomplikowany program komputerowy, i jego dwaj braciszki. Włóż to w którykolwiek imperialny komputer posiadający odpowiednie wejścia i wprowadź kody. Ten pierwszy wymaze wszystkie wiadomości, we wszystkich zbiorach Imperium, razem z tymi „wyłącznie do wiadomości Imperatora” i tymi należącymi do Mantis, dotyczące niejakiego Iana Mahoneya. Drugi robi to samo w stosunku do osobnika o nazwisku Sten, imiona nieznane; a trzeci skasuje dane tego zbira Kilgoura. Po wymazaniu ulega zmianom i samozniszczeniu.

- Po co, u diabła, miałbym tego potrzebować? - powiedział kompletnie zszokowany Sten.

Mahoney milczał przez chwilę.

- Jeszcze jedna sprawa. I słuchaj uważnie, bo nie mam zamiaru tego powtarzać.

Chcę, żebyś to sobie dobrze zapamiętał. Kiedy zaczniesz działać źle, naprawdę źle, a jeśli tak będzie, zrozumiesz dokładnie, co miałem na myśli - zacznij od powrotu do domu. Tam coś czeka.

- Mały...

- Myśl, do ciężkiej cholery - warknął Mahoney. - Trzymasz głowę w chmurach, jakbyś był kompletnym żółtodziobem. To jest to. Cztery narzędzia, być może. Albo etapy osuwania się starego człowieka w starcze zniedołężnienie?

Mahoney nagle chrząknął.

- ...mówiłem, wy głupki, ta linijka brzmiała: jest nadzieja w jej duszy.

Roześmiał się. Sten, który lepiej niż dobrze znał sytuacje, kiedy konieczna okazywała się nagła wesołość bez przyczyny, też wybuchnął śmiechem.

- Nieźle, Ian. Jeśli już opowiadamy stare kawały, to przytoczę opowiastkę Kilgoura, choć nie umiem powtórzyć dokładnie jego słów.

Gdy zaczął opowiadać na wpół zapomniany żart, darował sobie pełne winy spojrzenie przez ramię na Arundel... i skoncentrował się na żartach, obscenach, grubiaństwach, głupotach.

Jakiś czas później Ian Mahoney stał w cieniu niedaleko hangarów portu lotniczego. W odległej dali smuga fioletu zerwała się w ciemność „Victory” podniosła się gładko na napędzie Yukawy na tysiąc metrów w górę. Potem kapitan przeszedł na napęd międzygwiazdny i nagle nie było już nic, oprócz ciszy i nocnego nieba.

Mahoney przez dłuższą chwilę stał, patrząc w pustkę.

Powodzenia, stary. Większego niż moje. Bo zaczynam myśleć, że coś cienko przędę.

I mam nadzieję, że dowiesz się, iż może nadejdą czasy, kiedy to miasto wejdzie do innej gry - i weźmiesz w niej udział.



# Rozdział 7

W pokoju zgromadziło się około dwudziestu istot. Atmosfera tchnęła konspiracją, ciężka od rozmów i zapachów. Słodkie piżmo Suzdalów. Miętoworybi odór Bogazi. I przesycony metanem i amoniakiem zapach ludzi.

- Cuchną jak wychodki - zagdakał samiec Bogazi. - Ich własne wychodki.

- Cicho. Mogą słyszeć - ostrzegła jedna z jego żon. Nachyliła się nad nim, poprawiając nastroszone pióro w jego bajecznym ogonie.

Nazywał się Hoatzin. Uderzył wielkim młotem swego dzioba tuż przy niej, okazując zadowolenie.

- Ja o ludziach czytać tylko w książkach - stwierdził. - Kilku widzieć w szkole.

Ale z daleka.

Machnął delikatną chwytną kończyną w stronę ludzi, znajdujących się w pokoju.

- Ci bardzo, bardzo blisko. Podoba się. Nie zapach. Możliwość badań. - Hoatzin był nauczycielem, jak większość samców w jego społeczeństwie. Wychowywali młode. Ich domenę stanowiło gniazdo i książki, a żony polowały.

Hoatzin z dumą spojrział na główny stół. Tam właśnie przywódcy czterech grup trzymali się razem, szukając sposobu albo przynajmniej zgody na porozumienie. Jego główna żona, Diatry, siedziała przy tym stole. Teraz właśnie przemawiała.

- Rozmawiać my w kołach - oznajmiła. - Wielkich jajowych kołach. Ale w jaju wielkie nic.

Gadanie i gadanie. Może trwać całą noc. Ale jaja dalej zbuki. - Zniżyła swój wielki dziób w stronę znacznie niższych postaci, skupionych wokół niej. Była wysoka nawet jak na standardy Bogazich: prawie trzy metry.

Przywódczyni sfory Suzdali pokazała zęby. Przyćmione światło zalśniło na ostrych krawędziach.

- Podsumowane, jak przystało na prawdziwych Bogazi - powiedziała Youtang. - Zapomnijmy o drobiazgach. Przejdźmy do sedna tej sprawy. - Komplement w stosunku do niedawnego wroga nie był zamierzony. Youtang zmęczyło już całe to gdakanie.

Zdziwiłaby się pewnie bardzo, dowiedziawszy się, że ma jedną rzecz wspólną z Bogazi: łączyła je nienawiść do zapachu ludzi.

Generał westchnął. Nie bardzo wiedział, jak to się stało, że dał się namówić na to spotkanie.

Ten Tork, Menynder, wykazywał niesamowite zdolności perswazyjne. Douw był przerażony.

Chciał po prostu zdobyć trochę informacji, a teraz sytuacja wymagała pełnego zaangażowania.

Ciągłe narzekanie irytowało go. Jako minister obrony Jochi z pewnością miał najwięcej do stracenia.

- Co jeszcze mam powiedzieć? - wzruszył bezradnie ramionami. - Warunki są nic do zniesienia? Jasne, że tak. - Rozejrzał się nerwowo dokoła. - To znaczy... przynajmniej niektóre. Z drugiej strony...

- To nie książka - wtrącił się Menynder.

- Co? - twarz Douwa była pozbawiona wyrazu.

Jak krowa, pomyślał Menynder. Srebrnowłosa krowa.

- To nie książka. Tu nie ma stron. Nie jesteśmy na spotkaniu pańskiego personelu, generale - powiedział. - Każda z tych istot naraża życie na szwank. Musimy zacząć rozmawiać rozsądnie.

Inaczej nie warto ryzykować.

Powiódł ręką dokoła pokoju.

- Powiedziałem wam, że to miejsce jest czyste. Przejrzałem je kamień po kamieniu w poszukiwaniu pluskiew. A więc, jak dotąd, zapewniłem bezpieczne miejsce do spotkań. W samym środku najbardziej plotkarskiego otoczenia Torków na Jochi. - Wskazał palcem na resztę. - Youtang ryzykowała głową, kontaktując się z Bogazi. A Diatry, tę tutaj, zapewne umieszczono na liście najbardziej poszukiwanych przez Khaqana, a więc naraża się samym tylko wyjściem z domu.

Tork poprawił na krześle swoje ciężkie ciało.

- Pomyśl, generale. Jeżeli on wie, że tu siedzimy, to wszyscy jesteśmy już martwi. No, do roboty.

Douw przeżuwał to, zmuszając do myślenia swój konserwatywny, wojskowy umysł.

Menynder miał rację.

- Po dokładnej obserwacji Khaqana - stwierdził całkowicie oficjalnie Douw - doszedłem do wniosku, że jest on chory psychicznie.

Nikt się nie roześmiał. Każda istota w pokoju знаła wagę tego oświadczenia. To było tak, jakby wypowiedział te słowa niemal w samym środku pałacu królewskiego.

- Co więcej, wierzą w to, że stał się niebezpieczny nie tylko dla siebie samego, ale też dla każdej istoty żyjącej w Mglawicy Altaic.

Generał wciągnął powietrze i pozwolił mu wydostać się z wielkim szumem. Dokonało się.

Pokój wybuchł gwarem.

- Ja też twierdzę, że on nie jest normalny - powiedziała Youtang. - Zabił przecież wszystkie swoje szczenięta, czyż nie?

- Jedno pisklę było kłopot - gdała Diatry. - Robiło powstanie.

- Jasne. Ale co z innymi? Trzy córki i syn. Zabił ich wszystkich. Bał się, że nie poczekają, aż umrze, i spróbują zrobić przewrót.

Youtang ten grzech gniewał wyjątkowo. Suzdalowie byli bardzo opiekuńczy w stosunku do swoich młodych.

- W obżarstwie on żyje - powiedziała Diatry. - Jedzenie. Picie. Seks. Pieniądze.

Władza. Ma za dużo wszystkiego. Na całym Altaic domy są zimne. Rynki puste. Sklepy otaczają kolejki.

Stoimy godzinami. Co to za życie?

- Gówno. Dokładnie tak - warknęła Youtang.

- Co z tym zrobimy? - naciskał Menynder.

- A co możemy zrobić? - spytał Douw.

Menynder zahuczał śmiechem.

- No cóż, sądząc ze stanu rzeczy w tym pokoju, wszyscy zgadzamy się z tym, że ten stary łobuz

musi odejść.

- Musimy zdecydować o trzech sprawach - powiedziała Diatry. - Po pierwsze: czy zabijamy? Po drugie: jeśli zabijamy, to jak? Po trzecie: jak odejdzie, kto rządzi? Mam rację, tak?

Nie było sporów.

- Zaczniemy od ostatniego pytania - stwierdził Menynder. - Jako Tork, mam dosyć tego, że jesteśmy dyskryminowani, bo stanowimy mniejszość. Ktokolwiek zajmie miejsce Khaqana, będzie musiał liczyć się z tym.

- Zgadzam się - dodała Youtang.

- Bogazi też - stwierdziła Diatry.

- A jeżeli wypróbujemy doktora Iskrę? - zastanawiał się Menynder. - Jest szanowany w całej Mgławicy. I ma reputację człowieka, który widzi wszystkie strony problemu.

Iskra należał do dominującej rasy Jochiańczyków. Ale był też sławnym naukowcem, który wyrobił sobie markę w imperialnych kręgach. Następny plus stanowiło to, że w danej chwili pełnił funkcję gubernatora Imperium w jednym z regionów zdobytych podczas wojen tahnijskich.

Nastąpiła długa cisza; istoty znajdujące się w pokoju rozważały tę sugestię.

- Nie wiem - stwierdziła w końcu Youtang. - Dużo dymu. Niezbyt wiele ognia. To znaczy, kto wie, co on naprawdę myśli?

Wszyscy obrócili się, aby zobaczyć, co ma do powiedzenia generał Douw. Jego brwi marszczyły się z zamyślenia.

- Czy naprawdę uważacie, że musimy zabić Khaqana? - spytał.

Usłyszał pomruk pełen frustracji, ale zanim ktokolwiek zdążył zabrać głos, drzwi otworzyły się z trzaskiem.

Każda ze znajdujących się w pokoju istot straciła dech, kiedy spojrzeli na swój najgorszy koszmar: Khaqana. Stał w drzwiach, otoczony przez umundurowanych w złote uniformy żołnierzy z gotową do strzału bronią.

- Zdrajcy! - zagrmiał Khaqan. - Planujecie moje morderstwo!

Postąpił do przodu, z twarzą jak bezkrwista maska śmierci, kościsty palec dźgał powietrze jak ostrze przeszywające każde serce, pozbawiające tchu.

- Upiekę was żywcem - zaskrzeczał Khaqan. Był już przy stole, porażając ich swoją furią. - Ale najpierw rozedrę was na sztuki - kawałek po kawałeczku. I każę zjeść te kawałeczki waszym dzieciom. A potem waszym przyjaciołom. I to właśnie oni staną przy Murze Śmierci.

Wściekłość wzbierała mu w piersi jak balon. Zakrzyknął:

- Zabrać ich do mojego...

Nagła cisza. Wszyscy patrzyli na Khaqana. Jego usta tworzyły szerokie O. Oczy wyszły na wierzch, śmiertelnie blada twarz poczerwieniała. Nawet żołnierze gapili się na niego.

Khaqan upadł twarzą wprost na stół. Małe kości pękły z trzaskiem. Krew rzuciła mu się z ust. Potem ciało powoli osunęło się na podłogę.

Menynder kucnął przy nim i położył dłoń na jego gardle.

Wstał. Zdjął okulary. Przeczyścił je. Potem włożył na nos.

- No i co?

Dziwne, ale pytanie wyszło od kapitana gwardii.

- Nie żyje - oznajmił Menynder.

- Dzięki Bogu - stwierdził żołnierz, zniżając broń. - Ten stary skurwiel był nieźle pomyłony.



## Rozdział 8

Ambasador i wojowniczką spali w łóżku. Ich nagie kończyny opasywały się dookoła siebie tak, że dwa ciała przypominały ciasno spleciony, erotyczny węzeł. Pachwinę ambasadora przykrywała jej czapka.

Poprzez grube, izolowane ściany ambasadorskiego apartamentu dobiegały dalekie odgłosy zmiany wachty. Gdzieś we wnętrznościach „Victory” włączyła się pompa, zaczynając filtrować płyny w zbiornikach hydroponicznych.

Najpierw poruszyły się blond loki wojownicy. Długie rzęsy zamrugwały. Potoczyła spojrzeniem po twarzy śpiącego ambasadora. Oczy leniwie podążyły w dół, aż do czapki, potem rozszerzyły się z niedowierzaniem. Małe ząbki błysnęły w złośliwym grymasie.

Sind ostrożnie rozsupłała swoją część węzła. Wysuwając piękne ciało z objęć Stena, uklękła na imponującym łożu Wiecznego Imperatora. Na jego jedwabnej pościeli starczyłoby miejsca na cały dywizjon kochanków. Ale dla celów Sind aż tak olbrzymia przestrzeń nie była konieczna.

Delikatnie zabrała czapkę. Jej zręczne palce dosięgły celu. Jasna głowa i miękkie wargi podążyły za nimi.

Sten śnił o Smallbridge. Włączył się właśnie po śnieżnych polach, rozciągających się od lasu do jego chaty nad brzegiem jeziora. Z jakiegoś powodu miał na sobie ciasną zbroję bojową.

Jeszcze dziwniejsze, zbroja nałożona była na nagie ciało. To nie wydawało się niewygodne czy coś w tym rodzaju. Po prostu dziwne.

Nagle znalazł się w swojej chacie, leżąc obok trzaskającego ognia. Zbroja znikła. Ale Sten nadal nie miał ubrania - i działo się coś cudownego. A potem zorientował się, że śpi. I śni. No, może nie wszystko było snem. Nie ta część o nagości. Albo dziejących się cudach.

A potem ogień trzasnął głośnie.

- Panie ambasadorze, potrzebny jest pan na mostku! - mówił ogień.

- Co? - zamruczał cicho.

- Ambasadorze! Czy pan mnie słyszy?

- Idź sobie, ogniu. Jestem zajęty.

- Ambasadorze Sten. Mówi admirał Mason. Bardzo proszę, potrzebuję pana na mostku.

Cuda nagle zniknęły. Sten otworzył oczy, niespodziewanie czując się podle. Jego nastrój pogorszył się jeszcze, kiedy ujrzał ponętne zaokrąglenia Sind i jej niezadowoloną twarz. Z ruchu warg wyczytał: „Przykro mi”. Wzruszyła ramionami.

Sten włączył guzik komunikatora, wbudowanego w łóżko.

- W porządku, Mason - powiedział, z wszystkich sił starając się nie warknąć, ale nie bardzo mu

to wyszło. - Zaraz będę.

Sind zaczęła się śmiać. Niezadowolenie Stena wzrosło. Cholerny Mason.

- Daj mi tylko rozkaz - stwierdziła Sind - a wyprowadzę oddział bojowy i zastrzelę go na miejscu.

Sten w końcu dojrzał zabawną stronę tej sytuacji i też się roześmiał.

- Czy będę mógł potorturować go najpierw trochę? - burknął. - Dokładnie wiem, od czego bym zaczął.

Wygramolił się z łóżka i szybko się ubierał.

- Zaczynam zmianę dopiero za dwie godziny - powiedziała Sind. - A więc jeżeli wrócisz, zanim zdążę wziąć prysznic... - zawiesiła sugestywnie głos.

- Pospiesz się - obiecał Sten.

Dwie godziny później spojrzął na zegar, tęsknie pomyślał o Sind i odwrócił się do Masona.

- Może sami zagłuszamy własne czujniki - zasugerował Sten z wahaniem. -

„Victory” jest całkiem nowa. Niezbyt długo idzie na silnikach. Może są jakieś przecieki?

Blizna na twarzy Masona spurpurowiała. Osobiście sprawdził przekroje wszystkich rur, ewentualne możliwe miejsca awarii. W żaden sposób nie mógł pozwolić na to, aby jakaś omyłka upokarzała go w obecności tego syna ścierwojada. Raczej wolałby jeść gówno.

- Zdarzyło się tak na mojej pierwszej fregacie - skłamał gładko Sten, wiedząc, o czym myśli Mason. Nie miał zamiaru go poniżyć. Mimo wszystko, Mason dowodził statkiem. Sten chciał tylko, aby jakoś rozwiązać ten problem. - Była zupełnie nowa i jeszcze nie używano napędu międzygwiazdowego, kiedy ja i pan Kilgour dostaliśmy ją w swoje ręce.

Sten powołał się na przyjaciela, którego wiedza techniczna była aktualnie wykorzystywana przez oficera łącznościowego statku. Dyskutowali we dwóch, ich ręce fruwały nad centralnym panelem komunikacyjnym. Grube słowa latały w powietrzu.

- Projektant nie wziął pod uwagę wpływu włączenia silników międzygwiazdowych na powstawanie przecieków - ciągnął Sten. - Wysadziło cały układ odbiorczy.

Nadawczy zresztą też.

Blizna Masona wróciła do normalnego koloru.

- Dobra myśl - stwierdził. - Sprawdzę to. - Wydał rozkazy swojemu głównemu inżynierowi, ganiać się w myślach za to, że nie przyszło mu to wcześniej do głowy.

Kilka minut później nadeszła odpowiedź.

- To nie było to - powiedział Mason. Jako profesjonalista nie przejawiał zadowolenia. Też przecież chciał rozwiązać ten problem. - Miał pan rację w odniesieniu do przecieków. Ale nie są poważne. Nie mogły wywrzeć aż takiego wpływu.

Sten kiwnął głową. Popatrzył na Alexa i oficera łącznościowego, chcąc zapytać, jak im idzie. Ale trzymał usta zamknięte; byłoby to nie na miejscu.

- Coś wiadomo? - zapytał Mason oficera łącznościowego.

Oficer i Kilgour wymienili spojrzenia.

- On to lepiej panu objaśni, sir - stwierdził oficer.

- Sam się zastanawiałem, czy to nie wina tych przecieków, sir - stwierdził Kilgour. - Ale one przeszkadzają tylko przy transmisji. Przy nadawaniu. Nie przy słuchaniu.

- Poza pewnymi zakłóceniami, powodowanymi przez stare echa radiowe, sir - powiedział Masonowi oficer łącznościowy - na całej planecie nie nadaje dosłownie nikt.

Jochi milczy. Nie ma też żadnych transmisji telewizyjnych. A wie pan, jak szerokie są te pasma nadawania?

Wypróbowałem każdą długość fali, jaka tylko przyszła mi na myśl, żeby przyciągnąć uwagę kogokolwiek. Pan Kilgour dorzucił kilka własnych pomysłów. Dwukrotnie zgłaszałem się jako „Victory”. Mówiłem nawet, że mamy na pokładzie osobistego wysłannika Imperatora.

- Złożył Stenowi wystraszony ukłon. - I nadal nie ma odpowiedzi.

- A co z innymi planetami w systemie? - spytał Mason.

- Nic, sir. Tak samo milczące jak i Jochi. Ale jedna rzecz wydaje mi się nieco dziwna... - Głos mu się załamał.

- Tak? Mówże, człowieku.

Oficer łącznościowy spojrział na Kilgoura i zacisnął wargi. Kilgour uspokajająco skinął mu głową.

- To naprawdę upiorne, jeśli wolno mi tak powiedzieć, sir. Nic nie nadaje, tak jak już wspomniałem. Ale każdy skaner, jaki mamy, pokazuje, że są oznaki życia. Tak, jakby wszyscy na Jochi przyczaili się w tym samym czasie. Słuchają. Ale nie mówią.

- Ta cisza odbija się jakimś echem, sir - dodał Alex. - Jak duch, którym moja stara babka straszyla nas, kiedy byliśmy mali.

Mason posłał Alexowi mordercze spojrzenie i zwrócił się do swojego oficera łącznościowego.

- Utrzymujcie nadawanie - polecił.

- Tak jest, sir.

Oficer łącznościowy włączył mikrofon.

- Tu okręt Jego Imperialnej Wysokości „Victory”. Wszystkie stacje odbiorcze proszone są o odpowiedź.

Wyłączył. Czekał. Cisza. Spróbował jeszcze raz.

- Tu okręt Jego...

Mason podszedł do Stena i skierowali się razem w cichy koniec mostku.

- Nie rozumiem, co tu się dzieje - stwierdził Mason. - Zdarzało mi się już tak, że zrobiłem dywanowy nalot rujnując pół planety, i nawet z dymiących zgłiszcz jakieś nędzne resztki zdołały nadawać. Urywana transmisja, owszem. Ale nigdy taka całkowita cisza.

- Jest tylko jeden sposób na to, aby znaleźć odpowiedź na te pytania, jak sądzę - powiedział Sten.

- Ma pan na myśli, żeby lądować mimo wszystko?

- Taki właśnie miałem zamiar.

- Ale Imperator chciał wielkiej rewii. Gwardia honorowa. Ja w białym mundurze, pan w smokingu i orderach, i cały zespół grający dla rozentuzjzmowanych tłumów, kiedy pan i Khaqan witacie się nawzajem.

- Później coś zorganizuję - stwierdził Sten. - Imperator martwi się o to miejsce. Raczej zapomnę o przedstawieniu i zorientuję się, co się dzieje. - Potrząsnął głową. - Nie mogę sobie wyobrazić, co on by powiedział, gdybym wrócił i stwierdził: „Przykro mi, sir.

Misja nie powiodła się. Wydaje się, że mieszkańcy Jochi cierpią chorobę gardła czy coś takiego”.

- Wyląduję - powiedział Mason. - Ale pozostaniemy w pełnym pogotowiu bojowym.

Zdecydowani na wszystko.

- Oddaję się w pańskie kompetentne ręce, admirale - stwierdził Sten.

Mason prychnął i wrócił do centrali łączności. Sten po cichu wyslizgnął się z mostku.

- Dziwne te duchy, Kilgour - powiedział Sten.

Wytarł pot z brwi i podniósł kołnierzyk, aby ochronić kark przed ostrym słońcem Jochi.

- Może tak się zdarzyło, że na tego małego duszka spadła jakaś bomba - zasugerował Kilgour.

Sten ponownie rozejrzał się po porcie kosmicznym Rurik. Poza nimi samymi, w zasięgu wzroku nie było żadnej istoty. No, żadnej żywej, w każdym razie. Zdawało mu się, że widział zwęglone zwłoki leżące w leju wyglądającym na krater po bombie. A może to było tylko złudzenie optyczne, spowodowane upałem i zatapiającą płuca wilgotnością.

Cały obszar portu usiany był podobnymi dziurami w podłożu oraz śladami po miotaczu ognia na czymś, co niegdyś musiało stanowić kilka zaparkowanych fregat i wiele wozów bojowych.

Rozległ się nagły ryk i mała trąba powietrzna zniżyła się, wsysając kawałki rumowiska przy dotknięciu gruntu. W dziwny sposób, charakterystyczny dla małych i dużych cyklonów, obiegała wzdłuż obrzeży wielki krater w centrum pola. Następna dziura po bombie.

Wielkiej, cholernej bombie. Dziura zajmowała miejsce, gdzie kiedyś stała wieża kontrolna lądowiska.

Wir powietrza podniósł się i odpłynął.

- Teraz wiemy już, dlaczego nikt się nie odzywał - powiedział Sten. - Tubylcy są zbyt przestraszeni. Nie chcą, aby ich zauważono.

- Ale mimo wszystko słuchają - stwierdził Alex.

Sten kiwnął głową.

- Czekają na to, aby dowiedzieć się, kto zwycięża.

Zalśniła błyskawica. Potem rozległ się ciężki odgłos grzmotu.

Gurkhowie podnieśli nagle broń. Coś - albo ktoś - zbliżało się. Sten mógł rozpoznać małą postać, gramolącą się pośród ruin wieży kontrolnej. Sind i jej drużyna? Nie. Oni udali się na zwiad w zupełnie innym kierunku.

- A jednak ktoś tu żyje - zauważył Kilgour.

- Może to właśnie orkiestra - stwierdził sucho Sten.

Mała postać stawiała się stopniowo coraz większa. Sten rozpoznawał już przysadzistą, baryłkową postać ludzką, pocącą się niepowstrzymanie w upale. Tkwiąc w beznadziejnie przemoczonym ubraniu, mężczyzna uparcie posuwał się do przodu. Wymachiwał z wysiłkiem trzymaną w lewej ręce białą flagą wielkości chusteczki do nosa.

- Przepuście go - polecił Gurkhom Sten.

Rozdzielili się, a mężczyzna gramolił się z wdzięcznością, aby stanąć przed Stenem. Zdjął staroświeckie okulary. Chuchnął na szkła. Przetarł je flagą. Założył z powrotem na nos. Spojrzał na Stena swoimi dziwnie poważnymi brązowymi oczami.

- Mam nadzieję, że pan to ambasador Sten - powiedział. - A jeżeli tak, to naprawdę bardzo mi przykro z powodu tak kiepskiego powitania. - Rozejrzał się po otaczających ich lejach po bombach. - O rany. Zdaje się, że naprawdę trochę tu poszaleli.

Odwrócił się z powrotem.

- Ambasador Sten, prawda?

- Tak, to ja - Sten czekał.

- Och, proszę mi wybaczyć. Ten upał naprawdę daje mi się we znaki. Jestem Menynder, Tork. Chyba tylko ze mną może pan porozmawiać o moich ludziach.



Wytarł spoconą dłoń o przemoczone ubranie i z zakłopotanym uśmiechem wyciągnął rękę.

Sten uściśnął ją. Potem wskazał na oznaki zniszczenia.

- Co się stało?

Menynder westchnął.

- Nienawidzę być tym, który przynosi złe wieści, ale... Khaqan nie żyje.

Sten musiał błyskawicznie sięgnąć do swojego dyplomatycznego doświadczenia, aby rodzące się na jego twarzy osłupienie zmienić w profesjonalne zaskoczenie.

- Cholera, co? - powiedział Kilgour. - I kto zabił tego starego...

- To z przyczyn naturalnych - upewnił ich Menynder. Rozluźnił kołnierzyk, odciągając go od szyi.

- Byłem tam osobiście. Widziałem wszystko. Wy dawało się to całkowitym koszmarem.

Mieliśmy właśnie wszyscy usiąść do... obiadu, kiedy Khaqan opadł na stół.

Martwy. Tak po prostu.

- Strzelił palcami.

- Przeprowadzono sekcję? - spytał chłodno Sten.

- Mój Boże, czy przeprowadziliśmy sekcję - powiedział Menynder. - Nikt nie chciał, ale w tych okolicznościach pomyśleliśmy, że tak będzie rozsądnie. Dwa zespoły pracowały nad nim. I naprawdę dokładnie przestudiowaliśmy te raporty. Po prostu po to, żeby się całkiem upewnić. - Znowu rozluźnił kołnierzyk. - To naprawdę był zgon z przyczyn naturalnych.

- Kiedy pogrzeb? - spytał Sten.

To przewracało wszystko do góry nogami. Imperator nie będzie zadowolony.

- Hmm... trochę trudno powiedzieć. Widzi pan, ustaliliśmy między sobą, że zawrzemy rozejm, dopóki nie nadejdzie ostateczny raport koronera. A potem wszystko jakoś się rozpadło, zanim zaczęliśmy rozmawiać o pogrzebie. - Menynder wskazał na leje po bombach. - Chyba pan widzi, co mam na myśli.

Sten widział.

- Nie chciałbym na nikogo wskazywać palcem - ciągnął Menynder - ale to Jochiańczycy zaczęli. Pokłócili się między sobą, kto ma być nowym Khaqanem. Nie konsultowali się z pozostałymi grupami. Chociaż mówiliśmy im wprost, jeszcze przed strzelaniną, że mamy też swoje własne pomysły.

- Oczywiście - powiedział Sten.

- No więc, kiedy Jochiańczykom skończyły się mocne słowa, zaczęli strzelać. My wszyscy się pochowaliśmy. Potem zabłąkany pocisk wylądował w samym środku osiedla Torków. To było... naprawdę fatalne. Mój macierzysty świat postanowił, że najlepiej zrobi przysyłając milicję.

- Och? - Sten wyraził zaskoczenie.

- Tylko po to, aby chronić moich ludzi. Nie po to, aby wdawać się w cokolwiek z Jochiańczykami.

- No i jak to zadziałało?

- Niezbyt dobrze - westchnął Menynder. - I nie sądziłem, że się uda. Zaszły pewne... hmm... ostre wymiany zdań, jeśli pan rozumie, co mam na myśli.

Sten rozumiał doskonale.

- Kiedy nasza milicja się pokazała, to Bogazi i Suzdalowie zdecydowali, że ich narody też potrzebują ochrony.

- Mogę sobie wyobrazić - stwierdził Sten.

Sprawa wyglądała coraz gorzej.

- No dobrze, ma pan już cały obraz. A teraz mam kilka naprawdę złych nowin dla pana - powiedział Menynder, spoglądając na swój zegarek i rozglądając się nerwowo po porcie kosmicznym.

- Och, a więc dotychczas były dobre nowiny, tak? - mruknął Kilgour, któremu to wszystko podobało się jeszcze mniej niż Stenowi, o ile to w ogóle możliwe.

- Widzi pan, każdy przykleił się do pasm awaryjnych, modląc się o pojawienie zbawczej kawalerii. Słyszeliśmy pańską audycję. Ludzie pewnie przeładowali złącza informacyjne, szukając wiadomości o „Victory”. - Wskazał na groźny cień statku Imperatora majaczący za plecami Stena.

- Ja osobiście już wiedziałem. Dumny jestem, że utrzymałem się w kursie. Ale o panu słyszałem jak dotąd niewiele.

Sten zaklął pod nosem, przypominając sobie, że oficer łącznościowy mówił, iż próbował wszystkiego.

- A więc... to ja jestem tą kawalerią - stwierdził Sten.

- Właśnie tak, panie ambasadorze - powiedział Menynder. - Sprawdziłem imperialne Who is Who. To naprawdę robi wrażenie. Bohaterski żołnierz. Znakomity dyplomata. Główny specjalista Wiecznego Imperatora. A przynajmniej tak to wygląda na Jochi.

Sten zdecydowanie nie tak planował sobie ten nieszczęsny dzień.

- Wszyscy są teraz w drodze - ciągnął Menynder. - Spieszyłem się jak głupi, żeby ich wyprzedzić. Mają zamiar zażądać, aby ich pan wysłuchał. Wyduszą z siebie krokodyle łzy i będą usiłovali wytrzeć je o pana, o ile okaże się to możliwe.

Menynder pozwolił, aby echa jego słów rozbrzmiewały jeszcze przez chwilę, zanim zaczął znowu mówić.

- Widzi pan, ktokolwiek będzie z panem, to właśnie on rozgromi tę walkę buldogów. - Wstrząsnął się. - Muszę uważać na siebie. Kilku moich najlepszych przyjaciół to Suzdalowie - Podejrzewam, że ma pan coś w rodzaju planu - stwierdził Sten. - Inaczej by tu pan nie przychodził.

- To oczywiste - powiedział Menynder. - Chociaż mogę mieć pewien kłopot z przekonaniem pana co do moich dobrych intencji.

- Aha. Rozumiem - Sten uśmiechnął się. - Myślał pan, że moglibyśmy pogadać sobie trochę w spokoju w jakimś miłym, bezpiecznym zaułku Torków. Mam rację?

Menynder uśmiechnął się krzywo.

- A co, do diabła. Warto spróbować. Jeżeli nie, może lepiej wydostanie się pan stąd. I to szybko.

Sten zignorował to. Myślał. Nagle coś mu błysnęło.

- Jak daleko do ambasady?

Teren neutralny. Nikt nie ośmielił się strzelać do ambasady, a nawet w jej pobliżu.

- Przez całe miasto - powiedział Menynder. - Nigdy się panu nie uda.

Rozległ się zgrzyt i ciężki chrzęst gąsienic. Sten obrócił się i zobaczył uzbrojony pojazd naziemny przedzierający się poprzez gruzy. Mała flaga powiewała z rury, wystającej tuż obok broni maszynowej czołgu. Sten nie musiał pytać. To byli Jochiańczycy.

Z drugiej strony pola dobiegł krzyk. Sten odwrócił się i zobaczył Sind pędzącą jak wiatr.

Obok niej gnała jej drużyna Bhorów. Dziewczyna wrzeszczała coś w rodzaju ostrzeżenia i pokazywała na niski budynek znajdujący się za jej plecami.

Z budynku posypał się nagle tynk. Zapadł się cały fronton. Następny czołg nadjechał pod gradem

metal i cegiel. Także był uzbrojony. Miał broń maszynową i powiewała na nim flaga - także jochiańska.

Sind sapiąc dotarła do Stena.

- To jeszcze nie wszystko - powiedziała, wskazując czołg. - Jest ich więcej. I żołnierze do tego. A sądząc z dochodzących hałasów, zbliża się jakiś większy pojazd bojowy.

Główne wieżyczki z bronią obu wozów obróciły się nagle dookoła. Dostrzegli się nawzajem. Równocześnie otworzyli ogień.

Głos admirała Masona zaskrzeczał z zewnętrznych głośników „Victory”.

- Proponuję, abyśmy opuścili to miejsce, panie ambasadorze.

Sten zgodził się z nim. Obrócił się do Menyndera.

- Niech pan się lepiej usunie - poradził mu. - Powodzenia.

- Będziemy potrzebować czegoś więcej, niż powodzenia - stwierdził Menynder, i wycofał się w poszukiwaniu schronienia. Sten i jego grupa ruszyli sprintem w kierunku statku i wbiegli na rampę.

Tuż za nimi wybuchł najpierw pierwszy pojazd, potem drugi. Zahuczały moździerze.

Pojawiło się więcej wozów. Trwała strzelanina.

Usiłując utrzymać się na nogach mimo przeciążenia spowodowanego szybkim wznoszeniem się „Victory”, Sten patrzył na scenę bitwy rozgrywającą się przed nim na głównym ekranie mostku.

Cóż za powitanie, pomyślał. A teraz jak on ma sobie poradzić z całym tym bałaganem?

Sten tłoczył się z Masonem w admirałskiej kabinie, usiłując ustalić, co mają teraz robić.

Kiedy zastanawiali się nad kilkoma możliwościami - wahającymi się od kiepskich do zupełnie głupich - nadal napływały raporty. Jochi przestała milczeć.

Oczy Stena przesunęły się po pliku tłumaczeń, który podał mu właśnie oficer łącznościowy.

- Oni całkiem zwariowali - podsumował. - Wszyscy nadają do wszystkich możliwie jak najwięcej brzydkich słów, wyzywając tych drugich, żeby wyszli i walczyli jak prawdziwe istoty. - Czytał dalej, potem gwizdnął cicho i podniósł oczy. - I właśnie tak się dzieje.

- Postukał w jedno ze sprawozdań. - Milicja Jochi złapała kilku Torków w jakimś budynku. Nie chcieli wyjść na zewnątrz, aby dać się zarżnąć. Jochiańczycy spalili więc cały budynek wraz z zawartością.

- Wspaniale - powiedział Mason. - Oprócz tego mamy tyle strzelania, że główny komputer przegrzał się na złączach próbując przewidzieć, jak szybko rozwinie się to wszystko. Prychnął. - I to by było tyle, jeśli chodzi o dyplomację. Udowadnia to prawdziwość mojej teorii o zachowaniu przeciętnych obywateli. Jediną rzeczą, jaką rozumieją, jest dobry wystrzał tuż obok głowy.

- Nie wydaje mi się, aby ta strategia zadziałała tutaj - stwierdził sucho Sten.

- Imperator pragnie ich serc i umysłów. Skalpy nie zadowolą go ani odrobinę.

- Mimo wszystko - powiedział Mason.

- Tak, wiem - stwierdził Sten. - To strasznie kusi. Niestety, to co się teraz dzieje zostało spowodowane przez nasz przyjazd.

- Nie biorę na siebie winy za to - powiedział Mason nieco cieplej.

Sten westchnął.

- Nikt pana o to nie prosi, admirał. To mój tyłek Imperator upiecze na rożnie.

Jednak jeśli sytuacja znacznie się pogorszy, może nie zadowolę się tylko mną.

Mason otworzył usta, aby odpowiedzieć. Sten podniósł dłoń, uciszając go. Wpadła mu do głowy pewna myśl.

- Mój ojciec zwykł opowiadać mi o pewnych bestiach - powiedział. - Muły, tak chyba je nazywał. To były zwierzaki. Podłe i uparte stworzenia. Mówiono o ich, że jedyny sposób na przyciągnięcie ich uwagi to, po pierwsze, porządny cios w głowę.

- Proponowałem już chyba coś podobnego - stwierdził Mason.

- Tak, wiem. Ale dla istot, z jakimi mamy do czynienia, walnięcie w głowę może okazać się zbyt subtelne... No dobrze. Wypróbujmy ten pomysł, może się uda...

Mason pochylił się bliżej, kiedy Sten przekazywał główne założenia swego planu.

Tłum Jochiańczyków przysuwał się do barykady Bogazi, spuszczać deszcz skał, gruzów, przekleństw na małą grupę obrońców z sąsiedztwa. Sklepy po obu stronach szerokiej głównej ulicy Rurik straszyły pustymi oczami z potrzaskanego szkła. Wiele z nich stało w płomieniach.

Nad głowami południowe niebo czerniało od gwałtownych burz. Ciężkie chmury nacierały jedna na drugą, wywołując grube błękitne łuki ogni elektrycznych.

Wysoki Jochiańczyk pospiesznie wspiał się na stertę mebli i połamanego drewna, tworzącą barykadę. Rzucił granat, obrócił się i zaczął uciekać.

Nagły strzał ściał go z nóg. W tym samym momencie wybuchł granat. Eksplozja rozrzuciła odłamki na Bogazi. Rozległy się krzyki bólu i gniewu.

Wielka samica Bogazi precyzyjnie przecisnęła się przez wyrwę w barykadzie, utworzoną przez granat.

Z wystającymi ramionami ostrogami dopadła dwóch Jochiańczyków. Opuściła w dół swój wielki młotowaty dziób. Raz. Drugi. Czaszki trzasnęły jak skorupki jaj, pociemniałe od zanieczyszczeń.

Upuściła ciała na ziemię i wróciła w poszukiwaniu następnych ofiar. Ciężka belka trafiła ją prosto w szyję. Bogazi padła obok obu trupów.

Więcej Bogazi zaczęło wylewać się przez wyrwę. W jednej chwili kanały burzowe głównej ulicy zapełniły się krwią.

Z wysoka dobiegło nagle zawodzenie silników. Ciężki wiatr runął wzdłuż ulicy, pokrywając tłuszczyk pyłem i małymi odłamkami gruzu. Tłum w samym środku strzelaniny uspokoił się - i zagapił w górę.

Jaśniejące, białe cielsko „Victory” służyło ku nim w dół bulwaru. Nie wysoko na niebie, ale tuż pod poziomem dachów wieżowców, wyznaczających ulicę; groźny kolos zupełnie nie na miejscu w centrum miasta.

Tuż przy barykadach ryk urósł jeszcze, i okręt wojenny przeszedł na napęd McLeana, przechodząc wystarczająco blisko tłumu, aby wszyscy mogli dobrze i dokładnie obejrzeć imperialne znaki na obu burtach.

To była obecność Imperium - groźna pięść i opieka w jednym.

- Mój Boże, spójrzcie tylko na to - westchnął jeden z Jochiańczyków.

- Może teraz zapanuje sprawiedliwość - powiedział Bogazi.

- Czeka! Co on robi? - następny zadziwiony Jochiańczyk z roztargnieniem zaczął szarpać za rękaw najbliższego Bogazi.

„Victory” przybliżyła się nadal, aż znalazła się w odległości nie większej niż dwadzieścia metrów nad głowami istot. Tłum garnał się do siebie pod czarną chmurą jej masywu. Zawyły silniki i statek zaczął powoli przesuwać się do przodu, prosto w dół szerokiej alei.

Obie strony konfliktu gapily się na to przez dłuższą chwilę. A potem obrócili się i spojrzeli na siebie nawzajem. Prowizoryczna broń wysunęła się na ziemię z rąk i chwytnych kończyn.

Ponad nimi nagle rozjaśniło się błękitem czarne dotychczas niebo. Słońce malowało delikatne

chmury na różne kolory. Powietrze było świeże i pachniało wiosną.

- Jesteśmy uratowani - powiedział jakiś Jochiańczyk.

- Wiedziałem, że Imperator nas nie opuści - dodał inny.

- Statek kieruje się do ambasady Imperium! - zakrzyknął ktoś ze szczytu dachu.

Oczarowanie prysło i tłum, śmiejąc się i krzycząc z ulgi, ruszył za statkiem.

„Victory” żeglowała dostojnie tuż ponad chodnikiem. Ulica poniżej zapełniła się nagle po brzegi morzem istot. Bogazi, Jochiańczycy, Suzdalowie i Torkowie, przemieszani ze sobą, żartowali i klepali się nawzajem po plecach.

Tysiące innych istot wychylało się z okien wieżowców, pozdrawiając „Victory” i jej majestatyczny lot.

Na całej Jochi - a faktycznie również w całej mgławicy - wszyscy porzucili swoje zajęcia i pospieszyli oglądać przybycie przedstawiciela Imperatora.

Zanim statek dotarł do budynków ambasady, dosłownie miliony istot otaczało jej szerokie, ogrodzone tereny. A biliony następnych patrzyły na ekrany.

Zapomniano o wszelkiej wrogości.

Wewnątrz „Victory” Sten szybko czyścił swoje ubranie. Sind przebiegła palcami po jego włosach, układając pukle na miejscu.

Alex spojrział na ekran odbiornika i olbrzymi tłum, czekający na zewnątrz.

- Jesteś cholernym Szczurołapem z Hamelin, młody Stenie - powiedział.

- Nie gadaj tak - zganił go Sten. - Jemu płacili w szczurach. Albo domowych małpach, i sam nie wiem, co jest gorsze.

Członek załogi wcisnął klawisze sterujące śluzą. Drzwi zaskrzypiały. Sten poczuł na twarzy świeżą bryzę. Usłyszał uderzenie rampy spadającej na podłogę.

- No dobra - powiedział. - A teraz pozwólcie tym draniom przyjść do mnie.

Wśród feerii powitalnych okrzyków wyszedł na dwór.

Księga druga  
KOCIA ŁAPA

## Rozdział 9

- Nigdy nie miałem zwyczaju zabijania posłańców, przynoszących złe wieści - stwierdził Wieczny Imperator.

- Tak jest, sir - powiedział Sten.

- Jednak w tym przypadku - ciągnął władca - to dobrze, że znam cię już od tylu lat.

- Tak jest, sir - powiedział Sten.

- Czy rozumiesz, że nie jestem zadowolony?

- Rozumiem, Wasza Wysokość - jękał się Sten. - Całkowicie... sir.

Holograficzny obraz Imperatora zafalował, gdy szef Stena podszedł w swojej komnacie do antycznej ludy z drinkami i nalał sobie szkockiej na dwa palce.

- Masz tam coś do picia? - spytał Imperator z pewnym roztargnieniem.

- Tak jest, sir - powiedział Sten. - Pomyślałem, że najlepiej będzie postarać się o własne zaopatrzenie. - Pojął podpowiedz, podniósł butelkę szkockiej z biurka poprzedniego ambasadora i nalał sobie do szklaneczki solidną porcję.

Imperator wznosił ironiczny toast:

- Aby moi wrogowie zdziwili się jeszcze bardziej - ale boję się, że jeżeli tak się stanie, to my pierwsi trafimy do diabła na obiad.

Wypił. Sten poszedł za jego przykładem.

- Czy wiesz, że nie mam sposobu, aby to powstrzymać? - powiedział władca.

Sten milczał. Tak naprawdę nie było to przecież pytanie.

- Media nadawały już sprawozdania, donoszące o wzrastającym kryzysie w Mglawicy Altaic. Tylko czekać, jak zorientują się, że sprawy stoją rzeczywiście źle. - Imperator ponownie napełnił szklanekę, zamyślił się. - Naprawdę przeszkadza mi to, że osiągnąłem już pewne zasadnicze ustalenia, podjęte w najwyższym sekrecie. Najmniejsza oznaka tego, że coś się pruje w tej strukturze, którą odbudowałem, odsunie te uzgodnienia na najdalszą orbitę. I wtedy... kiedy coś idzie źle... cała reszta także może być wątpliwa.

Sten westchnął.

- Chciałbym, aby istniał jakiś sposób na to, żebym mógł odmalować nieco lepszy obraz, Wasza Wysokość - stwierdził. - Ale to chyba najbardziej paskudne zadanie, jakie wykonywałem w twojej służbie, panie. A przecież nie zaczęło się jeszcze naprawdę.

- Jestem tego świadomy, Sten - powiedział Imperator. - Khaqan wybrał sobie po prostu fatalny czas na śmierć. - Pociągnął łyk napoju. - Czy jesteś rzeczywiście pewien, że nikt mu w tym nie pomógł?

- Przeczytałem wszystkie sprawozdania - powiedział Sten. - I wyjaśniono tam w wiarygodny sposób, jak i dlaczego zmarł. To był aneurizm. Arteria po prostu pękła. Jediną sprawą, której nie jestem pewien, są okoliczności. - Sten pomyślał o oświadczeniu Menyndera dotyczącym obiadu ku czci Khaqana. - Osobiście sędzę, że nie ma to większego znaczenia. Jeżeli tworzyli właśnie coś w rodzaju konspiracji... no cóż, z tego co widziałem, wnoszę, że nie byłoby to niezwykle.

- Zgadza się - powiedział Imperator. - Sędzę, że gdyby nie istniały żadne oznaki konspiracji, stałbym się cholernie podejrzliwy. No dobrze. Zostawmy te okoliczności w spokoju na jakiś czas.

- Tak jest, sir - powiedział Sten.

- Po pierwsze - stwierdził Imperator - musimy jak najszybciej opanować tę sytuację. Jeżeli ma to obserwować całe Imperium, to nie chcę, aby ktokolwiek myślał, że nie mam całkowitej pewności. Zawsze może znaleźć się ktoś, kto powie, że to ja zawałem sprawę.

Zawsze też może znaleźć się ktoś inny, kto powie, że straciłem dawną werwę... od czasu, kiedy wróciłem. I jeszcze pozostają ci, którzy po prostu mają nadzieję, iż zmiękłem na tyle, że pozwolę im na robienie zamieszania i sprawianie kłopotów. A więc, mając to wszystko na uwadze, chciałbym od samego początku ustalić, jak to załatwić...

To znaczy: jeżeli nie podobają nam się czyjeś posunięcia, zgniatamy go.

Powołujemy nowy rząd. Natychmiast. Z moim całkowitym poparciem. Jeżeli to zostanie raz wykonane, nie będzie żadnych obiekcji. Na pewno nie w zasięgu mojego słuchu. I, jeżeli są jakieś głośne czy gwałtowne klótnie dotyczące moich decyzji na Altaic, to mają zostać uciszone. Szybko.

Nieważne, w jaki sposób. Nie zniosę żadnej litości!

Imperator wałną ręką w biurko. Nawet przez głośniki zabrzmiało to jak strzał.

Imperator nagle przestał mówić i obdarzył Stena słabiutkim, chłodnym uśmiechem.

- Chcę mieć cholerną pewność, że zarówno moi wrogowie, jak i przyjaciele wiedzą, iż nie dam się nabrać.

- Tak jest, sir. Ja... ma pan rację, sir...

- Czy słyszę jakieś milczące „ale” w tej twojej zgodzie?

- Nie, jeśli chodzi o całościowe ujęcie sprawy, Wasza Wysokość. Nie. To nie jest czas na wahanie. Jednakże, kiedy wysyłał mnie pan do tego miejsca, nie przesadził pan mówiąc o tym, jak klótniwi są tutejsi mieszkańcy. Nawet jeżeli użyjemy wielkiego młota, aby zjednoczyć ich ze sobą, wydaje mi się, że nadal będziemy musieli bardzo uważnie obserwować, jak to wszystko działa razem.

Sten zawahał się, usiłując odczytać coś z twarzy Imperatora. Nie miała wyrazu, ale nie było na niej gniewu.

- Mów dalej - rozkazał władca.

- Jak pan wie, sir, rozmawiałem z przywódcami - albo przynajmniej z istotami, które twierdziły, że nimi są. Dopóki nie otrzymam lepszych danych, opartych na analizie komputerowej, muszę zaufać swojemu instynktowi. Ta społeczność może rozdzielić się na więcej niż cztery części. Do diabła, to już się stało. Kiedy przybyłem, dwie frakcje Jochiańczyków walczyły ze sobą w porcie kosmicznym.

- Słuchaj tego instynktu - powiedział Imperator.

- Kiedy tylko się pokazałem - ciągnął Sten - wszyscy ci przywódcy frakcji, humanoidalni i obcy, wydrapywali sobie drogę do ambasady, każdy błagał o to, aby zrobić go nowym wodzem.

Kazałem im czekać na oficjalne zaproszenie. Wzywałem jednego po drugim.

- I dałeś im niezły wycisk - stwierdził Imperator. - Ochłodziłeś ich nieco i kazałeś żałować za



grzechy popełnione w stosunku do mnie. Podoba mi się sposób, w jaki to przeprowadziłeś.

- Dziękuję, sir - powiedział Sten. - Mówiąc szczerze, skoro to miejsce już uległo podziałowi, naprawdę wątpię, czy uda się to znowu skleić. Nie będzie już tak, jak przedtem.

Wszyscy siedzą teraz w swoich dzielnicach, sir. I na swoich macierzystych światach - gdzie nic ich nie obchodzi oprócz osobistych problemów. Liżą swoje rany. Myślą o rzeczach, które mogą stać się zupełnie inne. A w tym przypadku, sir, samo myślenie ma już moc sprawczą. Oczywiście, każda z grup ma własną wizję czegoś w rodzaju rajy dla swojego gatunku.

Osobiście sądzę, że jeszcze przez długi czas będzie się tu rozgrywało prawdziwe piekło.

- Dopóki nie poradzimy sobie z tym - powiedział Imperator.

- Dopóki nie poradzimy sobie z tym, sir - zgodził się Sten.

- Na początek - stwierdził Imperator - posyłam ci batalion Gwardii Imperialnej.

To powinno pomóc w sklejanui.

Sten zachnął się.

- Tak wiele... sir? Miałem nadzieję, że może z jedną z Sekcji Mantis. Jeżeli nie będziemy się za bardzo afiszować, a rzeczy nie pójdą dobrze... to nie obwinia nas za bardzo. Poza tym, sir, naprawdę wierzę, że lepiej poradzę sobie ze skalpelem niż z młotem.

- Nie mogę podjąć tego ryzyka - powiedział Imperator. - Dostaniesz batalion. Już jestem celem dla szyderców. W porządku. Pójdę im na rękę. Poza tym, mam jeszcze jeden powód.

- Tak jest, sir.

- Jeszcze jakieś pomysły? - spytał Imperator.

- Tak jest, sir. Spośród tych smętnych durniów wybrałem jednego, który jest naprawdę dobrym kandydatem. Jeżeli tylko na jakiś czas.

- Kto?

To pojedyncze słowo zawierało pewne ukryte ostrze. Sten nie dostrzegł tego w porę, dopiero później.

- Menynder, sir. Tork, stary, sprytny wyjadacz. Ale to jedyna istota, którą wszyscy zdają się szanować. Lista jego wrogów jest naprawdę krótka. I wydaje mi się, że może zmusić ludzi do posłuchu na tyle, aby zdołać opanować sytuację. Może uda im się pozbierać.

- Dobry wybór - powiedział Imperator. - Ale... jak sam powiedziałaś, on stanowi tylko tymczasowe rozwiązanie. Ja myślę o czymś na stałe. - Pociągnął łyk swojego drinka. - Nazwisko tego człowieka brzmi Iskra. Doktor Iskra. To Jochiańczyk.

Sten podniósł brew. Słyszał już o nim. Niewiele. Wy starczające jednak, aby wiedzieć, że Iskra zdobył sobie wielki szacunek. Musiał więc uwierzyć Imperatorowi na słowo, że Iskra ma zdolności przywódcze.

- Rozmawiałem z nim już - stwierdził Imperator. - Jeden z moich statków poleciał po niego.

Będzie u ciebie niebawem. To on stanowi ten drugi powód, dla którego wysyłam batalion Gwardii.

Poprosił o nich. Użyje ich jako osobistej ochrony. Na początku.

- Bardzo dobrze, sir - powiedział Sten.

Poczuł jednak wewnętrzne drżenie na wieść, że Iskra poprosił o żołnierzy zanim nawet zobaczył Altaic i ocenił bieżącą sytuację. Opanował swoje obawy, ale nie zapomniał o nich.

Poza tym, liczyło się tylko to, czy działania dadzą pozytywne wyniki. Sten nie przejął żadnego z tradycyjnych, złych nawyków Imperialnej Służby Dyplomatycznej, takich jak stawianie siebie na

pierwszym planie.

- Coś jeszcze? - spytał Imperator.

Wydawał się niezmordowany, niecierpliwy, gotów podjąć wszelkie zadania.

- Nie, sir.

- A więc... do następnego sprawozdania... - Imperator pochylił się do przodu, aby wcisnąć guzik na swoim biurku.

Ale kiedy obraz holograficzny Stena w pokoju ambasady na Jochi zanikał, władca szybko sprawdził wyraz jego twarzy. Był prawidłowo pełen szacunku. Potem postać Stena znikła.

Wieczny Imperator z roztargnieniem podniósł swoją szklankę i łyknął, pogrążając się w myślach. Pełna koncentracja stanowiła jedną z jego wielu umiejętności, opanowanych podczas wielu wieków. Poświęcił Stenowi pięć sekund tego skupienia.

Czy był lojalny? Bez wątpienia. Podczas nieobecności władcy Sten współtworzył plan obalenia Rady. Zwornik sojuszu, który zbudował, stanowiło całkowite poświęcenie pamięci Imperatora.

Tak, Sten był lojalny. I władca obdarował go wieloma zaszczytami. Ale tylko niewielu orientowało się tak naprawdę, jak wielkim bohaterem był Sten w rzeczywistości.

Chyba po raz pierwszy Imperator uświadomił sobie, że miał szczęście, znajdując w Stenie sojusznika. Z jakichś przyczyn ta myśl nieco go uwierała.

Odsunął na bok to uczucie. Później może umieści je gdzieś jako część większej całości.

Zebrał na nowo myśli i przeszedł do innych spraw.

Potrzebował pomocy innego człowieka. Z bardzo cichego - i śmiertelnego - rodzaju. Tak.

Nie może podejmować żadnego ryzyka w sprawie Altaic. Absolutnie żadnego.

# Rozdział 10

Wiadomości telewizyjne pełne były doniesień o hałaśliwym rajdzie Stena na „Victory”.

Specjaliści Imperatora od propagandy wypełnili media dramatycznymi obrazami majestatycznego przelotu statku ponad głowami zachwyconych tłumów i powitania bohatera, jakie zgotowano Stenowi po jego wylądowaniu na terenie ambasady.

Zrobiono równie wiele hałasu wokół uspokajającego wpływu flagi Imperatora na nieszczęsne, rozhisteryzowane istoty Mgławicy Altaic. Zgon Khaqana przeszedł niemal jako coś już zapomnianego, przy odpowiednio smutnych słowach Imperatora, żałującego śmierci „drogiego przyjaciela i zaufanego sprzymierzeńca”.

Były także zwykłe zapewnienia ze strony głównych doradców, że przywrócono już porządek, i że ludzie Imperatora „blisko współpracują z lokalnymi przywódcami, aby zapewnić właściwe powołanie rządu”.

Sten westchnął, wciskając wyłącznik i przerywając w ten sposób w pół słowa ten potok słodkości, wylewający się z ekranu. Oczekiwał podobnej kampanii propagandowej ze strony Imperatora. Niestety, opowieść, jaką snuł zespół doradców była tak optymistyczna, że Sten obawiał się, iż nawet najmniejsze niepowodzenie zostanie poczytane za całkowitą klęskę.

A on sam z całych sił starał się temu zapobiec. Skupił się nad swoim zadaniem, ignorując gwar techników pracujących pod komendą Alexa w pokoju łączności ambasady. Po raz dziesiąty zmagał się z notą dyplomatyczną. Problem tkwił w tym, w jaki sposób miał zawiadomić przywódców takich jak generał Douw, Menynder, Youtang, Diatry o tym, że odcięto ich od władzy. Że nowy Khaqan został wybrany bez porozumienia się z nimi?

Doktor Iskra był już w drodze. A Sten musiał powiedzieć im o tym szybko, inaczej znalazłby się w niezręcznej sytuacji.

Mógł to sobie wyobrazić:

- Dzień dobry państwu - powiedziałaby. - Przedstawiam wam waszego nowego tyrana.

Ma świetne referencje. Być może nawet wszyscy go już znacie. Przykro mi, że nie wspomniałem o nim wcześniej. Ale Imperator nie ufa żadnemu z was. I zwiisa mu totalnie, czy żyjecie, czy nie. Dopóki nie robicie zbyt wiele hałasu. A teraz... Wybaczcie mi, proszę. Mam zamiar naprawić barykady, abyście mogli powybić się nawzajem. - I zniknąłby tak szybko, jak jochiańska trąba powietrzna.

O rany. To niemal niemożliwe, aby zrobić dobrą minę do tej gry. Ale nie ma sposobu, aby to obejść. Musi napisać tę notę, fakt. Ale powinien ją przekazać osobiście.

Złapał go pisarski kurcz. Spojrzał w górę, aby sprawdzić, jak Alex radzi sobie ze swoją małą

misją szpiegowską. Nie po raz pierwszy Sten zastanowił się nad tym, jak wielu z ich dawnych paskudnych umiejętności wymagał ten świat pokoju.

Jego oczy przesuwaly się po ekranach, wypełniających całą ścianę pokoju łączności w ambasadzie.

- No chodźcie, wy małe Frick i Frack - przymilał się Alex, naciskając guziki. - Bądźcie dobrymi nietoperzami.

Kilgour zrobił wstępne przeszukanie ambasady, aby zobaczyć, jakie dobra zostawił poprzedni ambasador. Pierwszy przegląd natychmiast przyniósł coś użytecznego.

Szperając w magazynach piwnicznych, Kilgour znalazł setki małych zrobotyzowanych kamer. Miały skrzydła i wyglądały jak nietoperze. Alex nazwał je Frick i Frack. Jeden do tysiąca czy więcej, na pamiątkę prawdziwych, żywych, podobnych do nietoperzy istot, które poległy podczas działalności Mantis.

Naładował na nowo akumulatory robotów, skonsultował się z technikami i ekspertami od miejscowej kultury, zaprogramował obszary patrolowania i wysłał nietoperze w świat na przeszpiegi.

Nadawały obrazy scen rozgrywających się w całym Rurik. I te obrazy ukazywały zupełnie inną historię, niż audycje Imperatora.

Taa, przywrócono spokój. Ale tylko w porównaniu z bałaganem, jaki zastał Sten zaraz po przybyciu. Ekran w lewym górnym rogu pokazywał scenerię obok koszar Jochiańczyków. Spokój... na powierzchni.

Ale kiedy Alex przesunął bliżej swoich małych szpiegów, Sten dostrzegł kilka uzbrojonych transporterów. Bezczynnych, ale gotowych do natychmiastowej akcji. Personel techniczny krzątał się dookoła innych. Sten widział też windy, uginające się od amunicji i części zapasowych.

Nieco niżej ekran pokazywał zbuntowanych Jochiańczyków, przechodzących intensywne szkolenie. Inny, w obozie Torków, przekazywał obraz broni i gorących dyskusji.

Na innych monitorach były analogiczne obrazy: barykady Suzdałów i Bogazi odbudowywano i umacniano; milicje patrolowały ulice swoich dzielnic, w jednym przypadku wyraźnie ignorując grupę niedorostków napełniających szklane butelki skradzionym łatwopalnym płynem.

Główna dzielnica handlowa Rurik była pusta. Sklepy dokładnie zamknięto, przed niektórymi stali opryszkowicie wynajęci jako strażnicy. Sten widział gangi młodych istot przetaczające się po ulicach w poszukiwaniu bójki i łupu. Jeden z nietoperzy Alexa pokazywał obraz wypalonego sklepu. Przez tylne wyjście wynoszono wartościowe przedmioty. W tym przypadku rabusiami byli żołnierze, między których zaplątało się kilku policjantów.

- Popatrz, Sten - powiedział Kilgour. - To jest laseczka, którą chciałbym ci pokazać. - Przerzucił obraz z jednego monitora na duży ekran, zajmujący całą ścianę. Sten ujrzał dziwkę przechadzającą się po ulicy. Mapa wskazywała, że rzecz dzieje się obok obozu wojskowego Jochiańczyków. Głośny gwizd, przeszywający uszy przez głośniki powiedział mu, jak blisko.

Obraz powiększył się i Sten zobaczył kilku żołnierzy reagujących na wyzywająco ubraną kobietę. Dzwka stanęła i położyła rękę na biodrze, wypinając pośladki i inne swoje atuty.

Żołnierze zawołali na nią. Kobieta nadąsała się, potrząsnęła głową, obróciła na wysokich obcasach i wróciła w głąb ulicy.

Żołnierze popatrzyli po sobie i roześmiali się. Dwóch odłączyło od grupy i poszło za kobietą.

- A teraz zobacz ją przy pracy - powiedział Alex, pociągając za mały joystick, którym posyłał

swojego nietoperza w ślad za obserwowaną grupą. Żołnierze dotarli do dziewczyny. Przez chwilę trwały targi. W końcu uzgodniono cenę i dziwka pochyliła się w stronę muru. Walcząc z ubraniem i żartując z kumplem przezornie, pierwszy z żołnierzy zaczął zabierać się do roboty.

Gdy schylał się już nad dziewczyną, nastąpiło nagłe poruszenie, tak szybkie, że Sten go o mało nie przeoczył.

Dziewka miała kilku oprychowatych przyjaciół. Powalili żołnierzy na ziemię. Zanim zdążyła poprawić ubranie, nieprzytomne ciała ofiar zostały pozbawione broni, mundurów i dowodów tożsamości.

Sten obserwował dziewczynę i jej znajomych gdy odchodzili, aby zastawić następną pułapkę.

- Ilu już obrobili?

- Około dwudziestki czy może więcej. Ale liczę dopiero od niedawna. Ona jest bardzo szybka. Ma jeszcze kilku gości do tego, żeby dostarczać łup buntownikom.

- Łobuzy na rzecz Wolnych Jochi, co? - powiedział Sten. - Mógłbym się nawet pośmiać, gdyby nie to, że wydaje mi się, iż cały ten kocioł za chwilę wybuchnie.

- Największy problem w tym, że nie możemy zbyt wiele zrobić. Pozostaje nam siedzieć cicho, mieć nadzieję, że będzie dobrze i tubylcy zachowają cierpliwość. I czekać, aż na scenie ukaze się doktor Iskra.

- Kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy - stwierdził Kilgour - nie byłeś jeszcze takim słodkoustym łgarzem. Cieszę się, że zrobiłeś postępy.

- Dziękuję... - powiedział Sten. - Rzecz w tym, że naprawdę musimy coś wymyślić.

-

Stuknął w notę dyplomatyczną, którą właśnie tworzył. - Gdy Iskra przybędzie, kilka istot może się na serio obrazić.

- Dasz sobie radę, stary. Kłamcą nikt się nie rodzi, dopiero później nim zostaje. W innym przypadku nasze kochane mamuśki udusiłyby nas jeszcze w kolebce.

Sten mruknął twierdząco. Ale czy miał jakiś wybór? Wiedział doskonale, że tylko wtedy, kiedy na Jochi panuje względny ład, to reszta mgławicy także pozostaje w pokoju.

Radosny entuzjazm, którym powitano jego przyjazd, trwał mniej więcej tyle czasu, ile nagła wiosenna pogoda, która niemal natychmiast zrobiła się paskudna. Wraz ze wzrostem wilgotności rosła wybuchowość usposobienia. Czarne chmury kłębiły się w powietrzu. Nastroje zmieniały się od euforii po ponure przygnębienie. I to właśnie, jak zdążył się już nauczyć Sten, charakteryzowało naturę wszystkiego na Jochi.

Kilka godzin przed zmierzchem drugiego dnia cały tabun cyklonów pojawił się na niebie Rurik. Trąby powietrzne grzmiały wokół z dziwną logiką żywiołu. Uderzały na miasto.

Przerażały wszystkich śmiertelnie, potem wycofywały się, i za sekundę znów wsysały w siebie drzewa, glebę, budynki, co potęgowało strach. Nagle zawirowały po raz ostatni i odeszły.

Jeszcze długo później mieszkańcy Rurik spoglądali nerwowo na horyzont i siebie nawzajem.

A potem, zupełnie nagle, powróciła zima z ostrym mrozem, jak gdyby wiosna, a potem wilgotność i upał nie zdarzyły się wcale. Następny dziw Jochi.

Sten powrócił do swojego kłamliwego pisma. „...Podczas gdy Wieczny Imperator... w swoim głębokim uczuciu do wszystkich istot w Mgławicy Altaic...”

- Rany boskie! Spójrz na to!

Głowa Stena podskoczyła do góry. Spojrzał tam, gdzie wskazywał Alex. Na centralnym ekranie

panował kompletny chaos. Sten podszedł bliżej, aby lepiej zobaczyć.

Zbity tłum istot maszerował przed frontonem jakichś wyglądających oficjalnie budynków; najwyraźniej zbudowane przez zmarłego Khaqana, były ogromne i pretensjonalnie kolorowe.

Według Stena wyglądały jak skrzyżowanie olbrzymiego ula z sięgającymi nieba ścieżkami.

- To Uniwersytet Pooshkan - powiedziała młoda gorliwa techniczka. Sten przypomniał sobie, że ma na imię Naomi.

Jęknął.

- Studenci? O, nie!

- No tak. Mamy zakłócenia, stary - stwierdził Alex.

Pokręcił coś przy guzikach i nagle tuzin różnych obrazów z terenu uniwersytetu pojawiło się na głównym ekranie.

W jednym miejscu umundurowani strażnicy byli łapani przez młodzież i wyrzucani główną bramą. W innej części Sten mógł zobaczyć studentów tłuczących coś, co wyglądało na oszkloną kafejkę. W pół sekundy wybuchła dzika walka na talerze.

Nauczyciele szukali schronienia, niezbyt skutecznie unikając fruującego jedzenia i odłamków gruzu. Małe ogniska wybuchały na całym terenie. Sten był pewien że podsycano je aktami wszystkich studentów, którzy oblali.

Zdołał też dojrzeć przez krzaki i drzewa błyski nagiego ciała i usłyszeć krzyki rozkoszy.

Widocznie niektórzy studenci protestowali z większym uczuciem.

W głównej bramie Uniwersytetu Pooshkan wznoszono wielką barykadę. Stertę śmieci układano na tyle porządnie, że był pewien, iż brali w tym udział studenci kierunków politechnicznych. To wymagało planowania.

Następny dowód na to pojawił się w postaci starannie wydrukowanych transparentów.

Napisy na nich domagały się wielu spraw. Ale wołały głównie: „Teraz demokracja!”

- Cudownie - powiedział Sten. - To jedyna rzecz, której nikt tutaj nie dostanie.

Przyjrzał się bliżej jednemu z obrazów, pokazujących studentów - i zorientował się, jak byli dziwni. Po pierwsze, stanowili mieszaną grupę. Znajdowali się tam zarówno Suzdalowie i Bogazi, jak i Torkowie i Jochiańczycy. Po drugie, wszyscy pracowali - a tak naprawdę rzucali - razem. To prawie nigdy nie zdarzało się na Jochi, jeszcze rzadziej w pozostałych częściach mgławicy, gdzie segregacja stanowiła cenioną część socjalnego status quo.

- Cóż to za miejsce? - spytał Sten, zauważając jeszcze, jak dobrze odżywiona - i ubrana - była ta młodzież.

- Daj nam odczyt, skarbie - powiedział Alex do młodej techniczki.

Naomi pokręciła głową.

- Nie muszę patrzeć. Pooshkan jest najlepszym uniwersytetem w mgławicy. To właśnie tutaj najwyższa warstwa Altaic posyła swoich synów, córki, kurczęta i szczenięta.

- Bogate dzieciaki - jęknął Sten. - Podwójnie cudownie. - Potem wzruszył ramionami. - No cóż. To mi wygląda na lokalny problem. Gliny sobie z tym poradzą.

- Ho, ho - powiedział Kilgour.

- A co to za ho, ho? - Sten aż bał się pytać.

- Zażyczyłeś sobie, więc masz - stwierdził Alex. - Te małe świnię wychodzą.

Fajnie wyglądają.

Sten zobaczył falangę policjantów zmierzającą w kierunku głównej bramy, uzbrojoną w hełmy,

tarcze, elektryczne paralizatory i - tuż za nimi poruszył się mały czołg - gaz łzawiący.

- Cholera jasna! - Sten nie powiedział nic więcej.

- A tu mamy tych innych.

Kilgour wskazał na tłum dorosłych, gromadzący się na krańcu terenu uniwersytetu.

Niektórzy z nich wrzeszczeli na policjantów. Inni na studentów. Jeszcze inni znów na siebie nawzajem. Podzieleni byli wyraźnie na ścisłe grupki według gatunków.

- Do diabła z tym - stwierdził Sten. - To nadal lokalny problem. Nie ma sposobu, żebyśmy się w to wmieszali.

Kiedy to mówił, pulpit kontrolny rozświetlił się od telefonów. Ludzie Alexa zaczęli je odbierać.

- ...Ambasada Imperium. Tak, słyszeliśmy o zamieszczeniu na uniwersytecie. Nie, ambasador nie ma na ten temat nic do powiedzenia... Ambasada Imperium... Zamieszki na uniwersytecie? Tak, proszę pana. Nie, proszę pana... Ambasada Imperium..

Całkowicie zde gustowany, Sten złapał za swoje pismo i zaczął iść w stronę drzwi.

- Nie wołaj mnie, dopóki sytuacja się nie pogorszy - zawołał przez ramię. - A właściwie... w ogóle mnie nie wołaj...

- Ten lepiej odbierz, stary - powiedział Alex, podając słuchawkę.

- Kto to jest? - spytał Sten, niemal warcząc.

- Jakiś chłopaczek z Pooshkan - mówił Alex. - To ten. - Wskazał na ekran, przekazujący obraz władczego młodego Jochiańczyka. Przystojny chłopak, pomimo pewnych tendencji do tycia w okolicach podbródka. Sten widział go, jak mówi do aparatu najwyraźniej połączonego z ambasadą.

- To jeden z przywódców, jak sądzę - ciągnął Alex. - Podał nazwisko Milhouz.

Naomi gwizdnęła.

- To przewodniczący studentów - powiedziała. - Jego rodzice są w zarządzie Banku Jochi.

To wyjaśniło Stenowi, jak niebezpieczne miejsce stanowił uniwersytet. Krwawiący nos mógł być w pewnych kręgach widziany jako morderstwo.

- Tak, panie Milhouz - powiedział Sten do słuchawki, gładko jak po maśle. - Mówi ambasador Sten. Jak mogę panu pomóc?

Kiedy słuchał młodego głosu, brzęczącego przy uchu, i patrzył na zarumienioną, podekscytowaną twarz na ekranie, wiedział, że musi złamać pierwszą z reguł, jakie narzucił sobie w pierwszej fazie tej operacji. Brzmiała ona: nie opuszczać ambasady. Niech oni przychodzą.

- Może pan oczekiwać nas za kilka minut, młody człowieku - powiedział i przerwał połączenie. Kiedy odwrócił się z powrotem, zobaczył Sind wchodzącą do pokoju. Z wyrazu jej twarzy odgadł, że wie doskonale o tym, jaka jest sytuacja.

Jeden z ekranów pokazał studentów rzucających gruzem w policjantów.

- Ta cholerna sprawa może stanowić iskrę, która rozpali wielkie ognisko - powiedział Sten do Sind. - A więc zrobimy tak. Potrzebuję około dziesięciu Gurków i z pięćdziesięciu Bhorów.

Ale nie możemy rzucać się w oczy. Broń ukryta. Bez mundurów. Nie powinniśmy wyglądać jak oddział szturmowców.

- Trochę trudny do wykonania rozkaz dla Bhorów - powiedziała Sind. - Zwłaszcza dla Otho.

- Jeżeli pójdzie jak trzeba - stwierdził Sten - to wszyscy będą zbyt ciekawi Otha i innych, żeby sprawiać kłopoty. Alex?

- Gotowy jak i ty, stary - powiedział Kilgour.

- No dobra, chłopcy i dziewczynki - ciągnął Sten. - Wracamy do szkoły.





# Rozdział 11

Dzień był jasny i mroźny, kiedy Sten wraz z załogą podążał ku placowi Khaqanów.

Rozglądał się po wznoszących się ponad nimi pomnikach. Czuł się jak owad, maszerujący przez ziemię gigantów. Ciągłe mi się zdaje, że jeden z nich na mnie nadepnie - powiedziała Sind, jakby odpowiadając na jego własne myśli.

- Na długą i poplątaną brodę mojej matki - zahuczał Otho - ten człowiek mógłby swoim duchem obdzielić całą flotę.

Otho podniósł owłosioną łapę, aby ochronić oczy, i zamyślił się nad wyjątkowo zadziwiającym przykładem złego gustu. Dotyczyło to platformy, spoczywającej na ramionach dwunastu postaci. Posągi - każdy o wysokości chyba dwudziestu metrów - przedstawiały doskonale wyrzeźbione ciała ludzi obu płci, zapewne Jochiańczyków. Były one zupełnie nagie. Na szczycie platformy usytuowano wyidealizowaną statuetkę Khaqana ubranego w złote szaty.

Trzymał on w górze pochodnię, z której buchał wiecznie płonący ogień.

- Mogę zrozumieć ludzi, budujących bary z wyszynkiem - stwierdził w końcu Otho.

- To o wiele lepszy sposób zdobywania popularności. Poza tym, jeśli dobrze zastawisz stół i nie skąpisz streggu, to i klienci mają lepsze samopoczucie. - Spojrzał na Stena swoimi nabiegłymi krwią oczyma. - Ja tam wolę, aby to goście wysławiali moje czyny.

Sten wskazał na inskrypcję, umieszczoną w jednym z rogów. Brzmiała ona: „Temu, który oświetlił Altaic swoją Chwałą”. Pod spodem, mniejszymi literami: „Od wdzięcznego ludu”.

- Może i on myślał podobnie - powiedział Sten. - Chociaż najwidoczniej zapomniał o dobrych czasach.

Masywna brew Otho zmarszczyła się na te słowa.

- Dlatego właśnie twierdzę, że bary dają lepszy efekt. Jak na istotę, która rządziła tak długo, ten Khaqan nic nie wiedział o sztuce rządzenia.

Sten roześmiał się z aprobatą i powiodł swoją grupę do przodu. Zdecydował, że lepiej się stanie, jeżeli na uniwersytet pójdą piechotą. Odległość nie była zbyt duża, a spacer na pewno mniej rzuci się w oczy niż przejazd kolumny uzbrojonych samochodów.

Jako dyplomata, Sten przyswoił sobie niezwykle istotną regułę: nie wolno stać się wyizolowanym. Znał wielu ambasadorów, których stopy nigdy nie dotknęły prawdziwej gleby.

Przez cały czas trwania służby przenoszono ich wprost ze stopni ambasady na oficjalne bankiety i z powrotem. Zauważył, iż rady owych osób niezmiennie okazywały się błędne.

W tym przypadku stwierdził, że wygląd ulicy nie różni się znacznie od tego, co widział na ekranach pokoju łączności. No, poza tym, że było bardziej pusto. Ale czuł się zupełnie inaczej tutaj,

w jasnym słońcu i na ostrym mrozie. Jego oddech przemieniał się w parę.

Jakieś cienie znikwały z pola widzenia szukając ukrycia, gdy jego oddział maszerował do przodu, trzymając ręce i łapy blisko pasów z bronią.

Wszędzie, gdzie tylko spojrzął, widniały gigantyczne portrety albo posągi Khaqana, spoglądające w dół na nędznych śmiertelników, podążających ulicami na swoje nic nie znaczące spotkania.

Szczególnie denerwujący był niski odgłos grzmotu, dobiegający stale zza odległych gór.

Zdecydowanie pogarszało to wszystkim nastrój.

Sten brał to pod uwagę, kiedy przygotowywał się psychicznie na spotkanie z młodym Milhouzem i innymi przywódcami studenckimi.

Wszystkie owe myśli znikły, kiedy weszli na plac Khaqanów. Jego nonsensowny rozmiar przekraczał wszelkie ludzkie wyobrażenie. Tak, jak oślepiające kolory oszałamiały zmysły. To miejsce utrudniało jakiegokolwiek obserwacje. Oczy odzyskiwały zdolność widzenia, kiedy odwróciło się wzrok od ozdobnych kolumn, tylko po to, aby natychmiast ulec w konfrontacji z posągiem tak wielkim, że aż ogłupiającym.

Pomimo olbrzymich rozmiarów placu Sten czuł się przerażająco uwięziony. Miał ku temu powód. Jego profesjonalne oko zauważyło, że plac zbudowano w taki sposób, aby zapewnić maksymalną kontrolę nad tłumem. A potem ujrzał Ścianę Straceń. Nie musiał nikogo pytać, co to jest, gdy tylko zobaczył jej czarną, gładkość. Pomnik nienawiści. Władzy, która dotarła do granic szaleństwa.

Zatrzęsło nim nagle poczucie bezsilności. Doznał wrażeń, iż zadanie go przerasta. Jego umysł podpowiedział mu jednak natychmiast, że to głupota. Ten plac zbudowano dokładnie po to, aby osiągnąć taki cel. Mimo to, nadal było mu trudno pozbyć się tego uczucia.

W końcu dotarli do drugiego końca. Uniwersytet Pooshkan znajdował się tuż, tuż.

Gdy Sten usłyszał groźny pomruk gniewnych studentów, jego nastrój natychmiast się poprawił, a kroki odzyskały sprężystość. Przynajmniej było to coś, z czym mógł się zmierzyć. A może nawet poradzić sobie.

- Ci gliniarze tracą resztki swojej mizernej odwagi - powiedział Alex. Poszedł przodem na zwiad, zabierając ze sobą kilku Gurkhów. - Pojazdy za chwilę wkroczą do akcji. Z posiłkami. I mogą zrobić wiele krzywdy, zanim się przebiją.

- To nędzni wojownicy - warknął Otho. - Dowodzą z tyłów, atakując nawet dzieci.

Mówię ci, przyjacielu, nie ma tu honoru. Przysięgam, że nie poczuję żadnej radości, kiedy porozbijam im głowy.

- Spokojnie, Otho - łagodził Sten. - Nie masz obowiązku rozbijania głów. To misja dyplomatyczna, pamiętasz?

Wszyscy słyszeli i widzieli toczące się w dole ulicy starcie, stanowiące cel ich misji. Sten ustalił, że znajdowało się tam pewnie około miliona istot, gotowych do walki na paznokcie, zęby, gaz łzawiący i broń palną. Grad kamieni grzmotnął w tarcze milicjantów.

- Obiecuję, że nie wezmę żadnej innej broni niż ta, przyjacielu - powiedział Otho, potrząsając zaciśniętą łapą. Inny Bhor chrząknął twierdząco.

- Twoje rozkazy - warknęła Sind - mówią, że masz nie używać niczego poza gołymi rękami.

Albo łokciami czy kolanami. Lekkie kopniaki są także dozwolone.

Nastąpiła długa cisza, gdy Otho patrzył na małą istotkę wydającą rozkazy. Sind odwzajemniła spojrzenie.

- Czy to rozumiałe... szeregowy? - spytała.

Otho zahuczał śmiechem.

- Na zamrożone półdupki mojego ojca - powiedział - gołe ręce wystarczą. - Spojrzał na Stena i wytarł wilgoć z kącika jednego z podbiegłych krwią oczu. - Ona wprawia mnie w dumę - stwierdził. - Udowadnia wartość treningu i ideałów Bhorów.

Gdy Otho walczył ze swoimi emocjami, w dole ulicy rozległy się następne głośnie krzyki.

Milicyjny megafon wychrypiało ostrzeżenie. A potem znów runął grad kamieni.

- Przestańmy gadać, mój drogi owłosiony przyjacielu - powiedział Alex. - Musimy zająć się tym starciem, pamiętasz?

- Najpierw powinniśmy uporać się z tym - stwierdziła Sind, wskazując na masę istot kłębiącą się na ulicy i w łukowatym wejściu na teren uniwersytetu.

W tym momencie Sten usłyszał znajomy głos:

- Istoty Jochi - grzmiało przez przenośny mikrofon - słuchajcie błagań swoich dzieci...

To był młody Milhouz. Sten dostrzegł go stojącego wysoko nad ziemią, na podstawie kolejnego posągu zmarłego, nie tak wielkiego znów Khaqana.

- Przynosimy wam wieść o nadziei i... - głos urwał się, gdy grupa ukrytych za tarczami milicjantów natarła na studentów. Rozległy się okrzyki gniewu i bólu, zagłuszone natychmiast pomnikiem dochodzącym z tłumu dorosłych widzów.

Nastąpiły wiwaty i śmiechy, gdy nacierający milicjanci gwałtownie zmienili kierunek i wycofali się pospiesznie. Milhouz wznosił ręce w geście zwycięstwa.

Ale Sten widział, że to zwycięstwo nie miało trwać długo. Milicjanci zostali poniżeni i przestraszeni nawet bardziej niż przedtem. Widział, że mieli zamiar ponowić szturm, tym razem w większej i śmiertelnie groźnej sile.

Skinął na Sind.

- Znasz zasady.

Ruszyli do przodu. Alex osłaniał boki, poruszając się z Gurkhami obok milicjantów. Sind wzięła kilku Bhorów, aby odcięli Alexa od gniewnego tłumu dorosłych cywilów.

Sten, Otho i około dwudziestki Bhorów szło pośrodku, przez kolumnę milicjantów.

- Ooops! Przepraszam - powiedziała Sind, wbijając łokieć w brzuch krzepkiego dokera - Torka. - Jak to nieuprzejmie z mojej strony - przepraszała, łagodnie waląc Suzdala w szczękę.

- Tak mi przykro - kajał się Lalbahadur Thapa, gdy ostry palec jego nogi wszedł w kontakt z golenią wysokiego Bogazi. Przecisnął swoją smukłą postać pomiędzy dwoma następnymi i nastąpił ciężko na palce wielkiego Jochiańczyka, który zagrażał mu drogę.

- To moja wina - powiedział Alex, zawadzając ramieniem milicjanta i odrzucając go w grupę jego kolegów. Ramię wróciło na miejsce, w zadziwiającej reakcji na swoją własną niezręczność. Następny milicjant pofrunął. - Och! To przez przypadek. Wybacz mi, przyjacielu.

- Przechodzimy! - krzyczał Sten. Podniósł kolano i trafił w potężnego milicjanta.

Mężczyzna zwałił się twarzą na ziemię. - Przykro mi. To sprawy Imperium.

Potężny gliniarz złapał Otho za szyję. Dwóch następnych podążyło za nim, podnosząc gotowe do ataku bagnety.

- Na brodę mojej matki - powiedział Otho - moje buty znów potrzebują oczyszczenia. - Schylił się na moment i mężczyzna poleciał przez jego głowę wprost na swoich nacierających kolegów.

Ktoś złapał Sind za koszulę. Ktoś duży. Wsadził mu palec w oko. Ten duży ktoś zaskowytał z bólu i upadł.

- Nie wiem sama, co się dzisiaj ze mną dzieje - usprawiedliwiła się Sind. - Jestem taka niezdarna.

Jakiś Suzdal warknął na Chittahanga Limbu. Mały Gurkha złapał go za ucho w chwili gdy szczęki chwyciły go za gardło. Obrócił się. Suzdal wirując wpadł na grupę swoich sióstr ze sfory.

- Jestem dzisiaj taki niemądry - uzalał się Chittahang. Potem mruknął pod nosem: dupek.

- Zrobić przejście! Sprawy Imperium! Zrobić przejście! - krzyczał Sten.

Niesamowite, ale to zadziało. Większość milicjantów rozstąpiła się, aby ich przepuścić.

Tych, którzy tego nie zrobili, spotykał łokieć albo ciężkie uderzenie Bhora.

Alex doszedł do dwóch milicjantów bijących małego studenta. Nie zatrzymując się podniósł ich do góry i uderzył nimi o siebie. Potem puścił. Upadli na ziemię nieprzytomni.

- Och, mam nadzieję, że nie uszkodziłem waszych małych główek. Sten nie pogłaskałby mnie za to. - Poszedł dalej.

Otho i czterech Bhorów przedarło się do posągu. Obrócili się jak żywe, uzbrojone czołgi, oczyszczając szeroką, pustą przestrzeń dookoła siebie. Parę sekund później Sten znalazł się w samym środku tej przestrzeni. Kilka następnych i cała grupa sformowała szyk wokół niego.

Sten spojrzał w górę na Milhouza. Młody Jochiańczyk miał policzki czerwone z zadziwienia.

- Przepraszam, że się trochę spóźniłem - powiedział Sten. - A teraz, jeśli dasz mi tę rzecz, to pogadam sobie chwilę z tymi dobrymi ludźmi.

Wskazał na przenośny mikrofon w dłoni chłopaka. Młody Jochiańczyk otworzył usta ze zdziwienia. Potem kiwnął głową i wręczył mikrofon Stenowi.

- Nie mogę uwierzyć, że się panu udało - stwierdził.

- Ja też nie - powiedział Sten.

I odwrócił twarz w stronę publiczności.

- Po pierwsze... domagamy się poszanowania dla godności wszystkich gatunków zamieszkujących Mglawicę Altaic - powiedział Milhouz, stukając palcem w dokument, zredagowany przez niego i jego towarzyszy.

- Nie sądzę, aby ktokolwiek mógł się z tym spierać - stwierdził Sten.

Rozejrzał się po skupionych przy kawiarnianym stoliku innych przywódcach studenckich.

Wszyscy byli tacy młodzi, tacy poważni.

To dziwne, pomyślał Sten, jak podobne są do siebie młode istoty. Czy należeli do Suzdalów, Bogazi czy ludzi, patrzyli tymi wielkimi, niewinnymi oczami w okrągłych, bezradnych twarzyczkach. Zabójczo sympatyczni, pomyślał. Doszedł do wniosku, że to ma coś wspólnego z uniwersalnym programem genetycznym. Prawdopodobnie rozważni rodzice nie zabijają swoich dzieci zaraz po urodzeniu.

- Po drugie - kontynuował Milhouz, a jego policzki wydymały się jak u małego gryzonia - równość wszystkich gatunków musi stanowić kamień węgielny polityki przyszłego rządu.

- Zdanie Imperatora jest zupełnie jasne w tym punkcie - powiedział sucho Sten. - To zagorzały zwolennik równości.

- Ale to musi być wyraźnie powiedziane - wtrąciła studentka Bogazi.

Jej imię, jak przypomniał sobie Sten, brzmiało Nirsky. Ze sposobu, w jaki inni samcy Bogazi gapili się na nią, wywnioskował, że jest ładna.

- Mówcie więc - stwierdził Sten.

Milhouz przeczyścił sobie gardło.

- Po trzecie. Wszystkie milicje muszą wrócić na swoje macierzyste świąty.

Niezwłocznie.

- Podejrzewam, że znajdzie się to na jednym z pierwszych miejsc w wykazie spraw do załatwienia każdej nowej władzy - zgodził się Sten.

- Traktuje nas pan protekcjonalnie - poskarżył się Milhouz.

- Ależ nie. Ja po prostu podsumowuję fakty - oświadczył Sten z kamienną twarzą.

- Nikt nie słucha - zaskowytał Suzdał.

Przedstawiono go Stenowi jako Tehranda.

- Tak, to prawda. Przez całą noc opracowywaliśmy te żądania.

Mówcą była istota rasy Tork. Bardzo ładna istota, w oczywisty sposób zapatrzona w młodego Milhouza. Na imię miała Riehl.

- Ja słucham - powiedział Sten. - Miałem pewien kłopot z dotarciem tutaj, przypominacie sobie? Dlaczego nie kontynuujecie?

- Po czwarte - ciągnął Milhouz - domagamy się amnestii dla wszystkich studentów Uniwersytetu Pooshkan, którzy brali udział w tym zrywie wolności. I to musi dotyczyć także nas - członków komitetu.

- Zrobię, co w mojej mocy - powiedział Sten całkowicie szczerze.

- Za mało - stwierdziła Nirsky. - Obietnica, ty musi.

- Obietnice są łatwe do dawania - zaprotestował Sten - ale trudne do dotrzymania.

Powtarzam - zrobię, co będę mógł.

Twarz Milhouza przybrała wyraz świętej naiwności.

- Jestem gotów podjąć wyzwanie - powiedział. - Z radością oddam swe życie w obronie ideałów.

- Nie rozmawiajmy o tym teraz - stwierdził Sten. - Nie chodzi o czyjeś życie.

Chcę tylko powiedzieć, że kiedy nastanie nowy rząd, niektórzy ludzie mogą mieć wam nieco za złe te zniszczenia, które spowodowaliście. Mogą was skazać najwyżej na krótkie więzienie. Zrobię, co w mojej mocy, aby temu zapobiec. Ale nie muszą mnie usłuchać. Bądźcie więc przygotowani.

Wybuchł gwar. Sten oparł się na krześle, podczas gdy studenci rozważali to, co powiedział.

Tehrand rzucił mu kosę spojrzenie, jego zęby błyszczały. Sten nie zwrócił na to uwagi, tak jak ignorował trzydziestu czy więcej studentów, z których większość patrzyła na niego złym wzrokiem.

Zgodził się przyjść samotnie na spotkanie, ponieważ wątpił w to, aby grupa była w stanie zrobić coś, z czym nie mógłby sobie poradzić.

- Przykro mi - powiedział Milhouz - ale to żądanie nie podlega negocjacom.

- A jeżeli nie zostanie zaakceptowane? - spytał Sten.

- Spalimy uniwersytet do fundamentów - oświadczyła Riehl, jej śliczna twarz pałała z podniecenia.

- Nie radzę - stwierdził Sten. - W rzeczywistości wolałbym, abyście rozważyli zaprzestanie wszelkich grózb. To da mi lepsze pole manewru przy negocjacjach z milicją.

- Tylko jeden tydzień - powiedziała Nirsky - Potem my spalić.

- Wszyscy zgadzamy się co do tego - dodał Tehrand. - Głosowaliśmy nad tym.

- A więc zagłosujecie jeszcze raz - zaproponował Sten. - Możecie powiedzieć, że w nowych okolicznościach, jakie przedstawił wam pan Sten, musicie przemyśleć to ponownie.

- Nie tworzy się w ten sposób demokracji. Wszelki wybór jest ostateczny - oświadczył

pompatycznie Milhouz. - Co prowadzi do naszego najważniejszego żądania... Władza Khaqanów musi się skończyć. Tak naprawdę, musi się skończyć wszelka forma tyranii.

Domagamy się nowego porządku. Tylko drogą demokratyczną problemy Altaic mogą zostać ostatecznie rozwiązane!

- Aby przyspieszyć ten koniec - dodała Riehl - sporządziliśmy listę kandydatów zaakceptowaną przez Komitet Pooshkan.

- Chwileczkę - powiedział Sten. - Chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej o owej „zaakceptowanej” liście. To nie brzmi dla mnie zbyt demokratycznie.

- Och, ależ tak - sprzeciwił się Milhouz. - W najczystszy tego słowa znaczeniu.

- On nie mówi o tej prymitywnej teorii, że każda żywa istota dostaje prawo głosu, nieważne, czy na to zasługuje, czy nie.

Riehl przesłała Milhouzowi pełne uwielbienia spojrzenie. Sten zorientował się, że Milhouz jest pośród tych „zasługujących”.

- Rozumiem - powiedział Sten. Dyplomatycznie mruczał coś pod nosem w zastanowieniu. - Jakie to interesujące, że rozumiecie w ten sposób.

- Dobrze. Rozumie pan mój punkt widzenia - stwierdził Milhouz, biorąc to za akceptację. - Bądźmy szczerzy. Większość istot - to znaczy, no cóż, klasy pozbawione wykształcenia - chce, aby im powiedziano, co mają robić. - Porwany własnymi słowami, pochylił się do przodu. - Są... skrupowani, kiedy muszą podejmować ważne decyzje. Pragną porządku w swoim życiu. To powoduje, że czują się...

- Wygodnie - pomógł Sten.

- Jak mądrze pan to ujął, panie ambasadorze. Tak. To dokładnie to słowo.

Wygodnie. I także szczęśliwie.

- Wykształceni wiedzieć najlepiej - powiedziała Nirsky.

- To od dawna wiadomo - zaskowyczał Tehrand.

- Nie może istnieć tyrania tam, gdzie są wykształcone elity, tak mówi Milhouz.

Nieprawdaż, ko... hmmm, hmmm. Nieprawdaż? - Riehl zaczerwieniła się, speszona tym, że o mało co nie zdradziła się ze swoimi uczuciami.

Milhouz ciepło klepnął ją w udo, pozwalając dłoni przylgnąć na chwilę.

- Tak. Tak właśnie mówiłem... coś w tym rodzaju. Ale nie jestem przecież żadnym geniuszem. Inni też wpadali na podobne pomysły. - Obdarzył Stena bardzo poważnym spojrzeniem. - Ta myśl nie jest więc całkowicie oryginalna.

- Jak to skromnie z twojej strony - powiedział Sten.

- Dziękuję, panie ambasadorze. No, ale wracajmy do naszego... manifestu.

Wierzmy w to, że nowi przywódcy Altaic powinni zostać wybrani ze wszystkich ważnych rodów mgławicy.

Najlepiej wykształceni Suzdalowie, Torkowie, Bogazi i Jochiańczycy - jak ja sam.

- Czy sukces uniwersytecki pomoże przy ich... kwalifikacji? - prowokował Sten.

- Nie ma lepszej skarbnicy wiedzy niż Uniwersytet Pooshkan. To niewątpliwe.

- Jak mogłem sam na to nie wpaść - powiedział Sten.

- Chociaż tu także widzimy konieczność wielkich zmian - stwierdziła Riehl. - Wiele wykładów zawiera... niewłaściwe treści.

- Rozumiem, że zrewidowanie programu uniwersytetu także należy do waszych żądań?

- spytał Sten.

- Oczywiście.

- I spalicie uniwersytet, jeżeli nie zostanie ono spełnione?

- Tak. Kto powstrzyma? - powiedziała Bogazi. - Mój ród bardzo ważny. Jeśli ktoś zranić mnie - kłopot.

- To samo dotyczy nas wszystkich - stwierdziła Riehl. - Dobrze się stało dla milicjantów, że pan przyszedł. Gdyby zrobili coś głupiego... cóż, nasze rodziny zniszczyłyby ich. Proszę mi wierzyć.

Milhouz wręczył Stenowi kartkę papieru, będącą manifestem komitetu. - To są nasze żądania. Proszę je wziąć... albo zostawić. Sten przeciągnął tę chwilę bardzo długo.

- A więc... zostawiam. - I podniósł się, aby wyjść.

Pokój wybuchł totalną paniką.

- Chwileczkę - powiedział Milhouz. - Dokąd pan idzie?

- Z powrotem do ambasady - oznajmił mu Sten. - Nie mam tu nic do roboty. Poza tym, to naprawdę nie moja sprawa, tylko zdecydowanie lokalny problem. Proszę mi więc wybaczyć... Idę zobaczyć na ekranie telewizyjnym, co się z wami dalej stanie. I będę popijał miłego, porządnego drinka.

- Ależ nie może pan iść! - krzyknęła Riehl, bliska płaczu.

- No to zobacz - powiedział Sten.

- Ale milicja...

- Zabije was wszystkich - stwierdził Sten. - Są całkiem szaleni. Nie sądzę, aby wiele czasu zabrało im przystąpienie do roboty. Wasze pochodzenie zapewne rozwścieczy ich jeszcze bardziej.

Wiecie, jacy są gliniarze? Wrażliwi. Bardzo wrażliwi. To zabawne, nieprawdaż? Wy sądzicie, że powodujecie zamieszki. Ale to milicjanci mają ostatnie słowo. Zdarza się.

- Czego pan od nas chce? - spytał płaczliwie Milhouz. Jego policzki zbieleły ze strachu.

Sten odwrócił się w drzwiach.

- Mam lepsze pytanie. Czego wy naprawdę chcecie? I nie dawajcie mi znowu tego manifestu.

Nastąpiła całkowita cisza.

- Powiem wam coś - oznajmił Sten. - Zobaczę, czy ktoś zechce z wami porozmawiać.

Wysłuchać waszych wizji.

- Ktoś... ktoś ważny? - spytał Milhouz.

- Tak. Ktoś ważny.

- A co z publicznym wystąpieniem?

- Nie wiem. Być może.

- Chcemy świadków - zaszczekał Tehrand.

- Zapytam - powtórzył Sten. - A teraz... czy to wystarczy? Uczciwe wysłuchanie waszych pomysłów. Rozważenie ich przez tych, którzy podejmują decyzje. W porządku?

Milhouz rozejrzał się po pokoju i zobaczył lekkie kiwnięcia głów.

- Zgoda.

- To dobrze. - Sten ruszył ku drzwiom.

- Ale... jeżeli nas przynajmniej nie wysłuchają... - Milhouz usiłował uratować resztki dumy całej grupy.

- Spalicie uniwersytet do fundamentów - zakończył za niego Sten.

- Za tydzień! - warknął Milhouz.

- Zapamiętam.  
I Sten wyszedł.



## Rozdział 12

Sten powrócił do ambasady w morderczym nastroju.

Spojrzał na tę kłamliwą dyplomatyczną notę, nadal napisaną tylko do połowy, i rzucił nią z całej siły tak, że przeleciała przez pokój.

Zachował się jak zupełny dzieciak. A do tego nie czuł żadnej satysfakcji.

Pomyślał o skopaniu biurka, ale powstrzymał się w samą porę, biorąc pod uwagę masę olbrzymiego, drewnianego mebla, zrobionego jak na miarę Khaqana. Zauważył też, że nóżki sprzętu nosiły już ślady ciosów, pozostałości po samookaleczeniach dokonanych przez poprzedniego ambasadora niewątpliwie w wyniku kontaktów z uroczymi, altruistycznymi, natchnionymi mieszkańcami Mglawicy Altaic.

Potem Sten pomyślał o wezwaniu Masona do swojej kwatery w nadziei, że uda się go sprowokować do nieoficjalnej bójki, ale zamiast tego poprzestał na głośnym, dzikim jęku, odwracając się ku zamkniętemu oknu, w które waliła ulewa z burzy obejmującej całe Rurik.

Ktoś zakasłał.

Potem zachichotał.

Sten nie odwracał się.

- Czy nasz chłopaczek nie ma przypadkiem kłopotów? - zanucił Alex. - Odkrył właśnie, że to on ma sprawować imperialną opiekę nad całą gromadą wściekłych psów?

- Oto - powiedziała Sind równie melodyjnie - jest ten dzielny Sten. Wielki wojownik, którego ubóstwiałam wzrastając. Człowiek, jak mówi legenda, co powiódł wszystkie istoty ze Światów Wilka do pokoju i obfitości, nigdy nie tracąc uśmiechu na twarzy ani pieśni w sercu.

Sten nadal się nie odwracał.

- Czy jest chociaż jedna cholerna istota w całej tej cholernej mglawicy, która cholernie nie chciałaby zamordować każdej innej cholernej istoty?! - wykrzyczał. - Czy jest ktokolwiek, poczynając od głupich aparatczyków w pieluchach i studentów myślących, że są nieomylni, po tych, którzy mają swoje prywatne armie i innych cholernych idiotów, kto pierwszy naciśnie ten cholerny guzik? Kto wprowadzi na ten cholerny tron tego cholernego kretyna Iskrę. Ten cholerny Wieczny... - Przerwał, stwierdził, że nie ma już w płucach powietrza, wziął oddech i mówił dalej, nieco bardziej oględnie, ze względu na obecność Sind: - ...wymyślił, że mamy trzymać cholerne klucze do cholernego królestwa. Czy jest tu ktokolwiek, kto ma choć nędzną odrobinę ludzkich uczuć ukrytych gdzieś w zakamarkach osobowości?

- Ciii - zamruczał Alex. - Ten cholerny język. W odniesieniu do naszego cholernego władcy i w ogóle.

- Niech ktoś naleje mi drinka.

- Jeszcze nie, szefie. Być może nie będziesz chciał mieć alkoholu w swoim krwioobiegu. Sten odwrócił się w końcu. Zarówno Alex jak i Sind nosili cywilne ubrania Jochiańczyków. Takie dla ubogich ludzi. W ciemnych kolorach.

Na ramionach mieli odpowiednie płaszcze.

Co jeszcze ciekawsze, oboje nosili też bojowe kamizelki. Każda z nich posiadała mały komunikator, krótkolufowy wielostrzałowy karabinek w pochwie ukrytej pod ramieniem, dwa zapasowe magazynki z wyjątkowo śmiertczonośnymi nabojami AM2 i schowany nóż komandoski.

Kamizelki nie były widoczne pod cywilnymi strojami.

A najciekawsze wydawało się to, że Kilgour trzymał pod pachą okrągły tobołek, zawierający trzeci strój.

Podśpiewując starą, złodziejską piosenkę, Alex rozwijał pakunek, zawierający, tak, jak Sten miał nadzieję, komplet zużytych cywilnych łachów, uzbrojoną kamizelkę bojową i fototropiczny kombinezon.

- Wy, klauni, idźcie i bawcie się w swoje szpiegowskie gierki na zewnątrz, a mnie zostawcie z tymi papierami.

- Dostojny ambasador - powiedziała z ironią Sind - nie może tkwić na dworze w deszczu i zimnie, zajmując się zwykłymi sprawami.

- Masz rację. Muszę stosować się do reguł związanych z moim nowym stanowiskiem.

Kilgour, nie zapomniałeś o moim kukri? - Czując się nieco lepiej, niż przed chwilą, Sten zdejmował swoje ambasadorskie szaty.

- Będziesz potrzebował tego kombinezonu Mantis, szefie. Na wszelki wypadek.

- Co was tu sprowadziło?

- Jednym ze zmartwień Imperatora było to, że jak mi powiedziałeś, Khaqan sprzedawał AM2 na czarnym rynku. Szła gdzieś poza system, żeby pokryć koszty jego gigantycznych budowli, mam rację?

- I co z tego?

- Biorąc pod uwagę to, że z kradzieżą trudno skończyć, złodzieje muszą teraz poszukiwać nowego szefa. Pomyślałem, że może odważnie i skutecznie spróbujemy się dowiedzieć, jak działa ten czarny rynek.

- Bardzo dobrze. Cholernie doskonale - zaaprobował Sten. - Przynajmniej ktoś tutaj myśli.

Dobry Boże, na pewno to nie jestem ja. Kto więc jest tym wspaniałym obywatelem, który nagle chce donieść na swojego przywódcę?

Alex wyjaśnił. Szef agentury Korpusu Merkurego na Mgławicę Altaic, stosunkowo młody i niedoświadczony agent o nazwisku Hynds, piastujący funkcję attache kulturalnego, uruchomił jednego ze swych lepszych jochiańskich agentów.

- Jak dobrego? - chciał wiedzieć Sten.

Kilgour wzruszył ramionami.

- Nasz mały szpieg ocenia go na piątkę. Ale z raportów i z jednego ze spotkań, na których byłem, wynika, że raczej zasługuje on na czwórkę. Mimo wszystko, szefie, jest to jakieś narzędzie, które można by wypróbować. Ten agent Hynds twierdzi, że ma jednego ze szmuglerów.

- Czy masz jakieś drugie źródło potwierdzające, że ten kanarek, który chce przyjść i pośpiewać, ma coś więcej niż ochotę na zebranie kilku imperialnych kredytów za twórcze kłamstwo?

Kilgour wyglądał na urażonego tym, że Sten podejrzuje go o naiwność, ale mówił dalej.

Człowiek, którego mieli spotkać twierdził, że był właścicielem oraz kapitanem małej linii używanej przez Khaqana do przewozu AM2. Agent Hyndsa otrzymał od tego człowieka dzienniki pokładowe jednego ze statków i dwie teczki akt dotyczących ładunku.

- Rzecz jasna jako cargo wymieniono gruszki, śliwki, mak i tak dalej, ale przeznaczenie było naprawdę interesujące. Szło to do Honjo, które nigdy nic broniło się przed kupnem AM2, nie zadając zbyt wielu pytań na temat tego, dla kogo była ona pierwotnie przeznaczona.

- Cieniutko - ocenił Sten.

- Niezbyt dobrze - zgodził się Kilgour. - Dziś w nocy jest spotkanie. W niebezpiecznej części miasta. I nie ma możliwości wezwania wsparcia. Dlatego zabieram broń.

Pomyślałem sobie, że Sind może być mocną kartą w rozgrywce. Ty zresztą też, jeśli masz na to dość pary.

- Chodźmy - Sten uśmiechnął się. Perspektywa małej akcji ekscytowała, nawet jeżeli niemal na pewno miało to być spotkanie w ciemnej uliczce z kłamliwym typem, usiłującym sprzedać im fałszywe informacje.

- Chyba orientuje się pani, kapitanie Sind, że pewien szeregowy o imieniu Otho zmusi nas, żebyśmy obcięli sobie brody - tak tylko dla zasady, dlatego, że nie bierzemy go na wycieczkę, która nie wyklucza małego starcia?

A potem pomyślał o czymś jeszcze.

- Ale jak my wyjdziemy? Nagle przypomniałem sobie, że jestem ambasadorem i nie mogę tak zwyczajnie wyjść po kryjomu, aby nikt tego nie zauważył.

Sind wyglądała na zadowoloną z siebie.

- Podczas gdy ty bawiłeś się w dyplomację z tymi gówniarzami, ja doszłam do wniosku, że może warto sprawdzić, jak bezpieczna jest nasza sypialnia. I zaczęłam podejrzewać, że poprzedni ambasador miał lekkie skłonności do dziwaczenia.

Sind podeszła do panelu sterującego światłem i wyciągnęła jeden z wyłączników.

Część ściany przesunęła się na bok.

- Oho - powiedział Sten. - Co to za życie bez sekretnego przejścia?

- Zaczyna się z tego miejsca, potem biegnie obok naszej sypialni - wyjaśniała Sind. - Następnie w dół, obok skrzydła dla urzędników i służby. Schodzi pod ziemię tuż obok kuchni, jak sądzę, a wychodzi na powierzchnię pod osłoną tylnego muru.

- Ma dziury do podglądania i drzwi wychodzące wprost na łóżko służącej. Ten chłopak był romantyczny - stwierdził Kilgour.

- Perwersyjny - poprawiła Sind.

- A cóż to za różnica? - zdziwił się Alex. - Prowadź, szefie. Pani kapitan, jeśli pójdziesz za nim, to ja na końcu. I nie martwcie się o pluskwy. Nikt nie wie o tym przejściu oprócz mnie i Sind.

Kilgour bardzo się mylił...

Miejsce spotkania było oddalone od ambasady o cztery przecznice. Ulice opustoszały niemal całkowicie, tylko od czasu do czasu jakiś pojazd przebijał się przez oślepiającą burzę, a raz czy dwa przemknęła zblakana istota podążająca gdzieś w niewątpliwie mało chwalebny cel.

Ich droga wiodła poprzez olbrzymi terminal transportu publicznego Rurik. Gdy zbliżali się do budynku, Sten zastanawiał się, dlaczego wszystkie takie stacje usytuowano w slumsach. Co było pierwsze? A może transport zachęcał do przeprowadzki?

Para gliniarzy tuż za wejściem popatrzyła na nich, zidentyfikowała trio jako podmiejskiego

wieśniaka, jego żonę i przyjaciela czy dalszego krewnego, którymi nie warto zawracać sobie głowy. Kilgour prowadził Sind i Stena okreśną drogą poprzez wielki budynek.

Ławki zapełniały różne istoty, wydawało się, że czekają już nieskończenie długo. Niektórzy spali, niektórzy jedli, inni czytali, a jeszcze inni patrzyli na niechlujne otoczenie albo na ekrany przyjazdów - odjazdów.

Większość po prostu gapiała się w przestrzeń. Na Rurik umiejętność czekania w kolejce bez dostawiania szalu na skutek koszarnej nudy była czymś więcej niż sztuką. Była koniecznością.

Przystanęli przy małym barze. Nie serwowano tam żadnych ciepłych napojów, za to sprzedawano trzy rodzaje lodów. Jedyne jedzenie, jakie Sten zauważył, stanowiła cienka zupka z brukwi podawana w brudnych wazach. Obrzydliwy tłuszcz unosił się na wierzchu.

Sind, uważając się nadal za ucznia w szpiegowaniu, studiowała zachowanie swoich towarzyszy, podczas gdy oni z kolei obserwowali ludzi znajdujących się w pobliżu, z pozoru nie zwracając na nich żadnej uwagi.

Jak dotąd otoczenie wydawało się w porządku, chociaż Sten wiedział, że istniała niewielka możliwość wykrycia kogoś, kto śledziłby ich profesjonalnie, kiedy to jeden agent idzie za kimś tylko przez chwilę, doprowadzając obiekt do następnego wywiadowcy.

W końcu Kilgour wzruszył bezradnie ramionami, wskazując na jedną linijkę mrugającą na ekranie: „Usługi zawieszono do odwołania z powodu pogody”. Mrucząc pod nosem jak prawdziwy wieśniak, któremu właśnie powiedziano, że nie może dostać się do domu, poprowadził ich do wyjścia.

Mijali drzwi oznaczone napisem: „Tylko dla personelu”, kiedy Alex dał głową sygnał i prześlizgnął się przez nie bokiem. Sind zawahała się przez chwilę, zaskoczona, ale Sten złapał ją za ramię i pociągnął za Kilgourem. Wrota zamknęły się za nimi, Alex kopnął klin przytrzymujący je, wciskając go w futrynę, i znaleźli się na wilgotnym podeście schodów. W dole widniała otwarta brama, a za nią deszcz.

Kilgour zasygnalizował rękami: Sind, na miejsce. W dół schodów, na zewnątrz, zabezpieczaj wyjście.

Sind spłynęła w dół jak rtęć, rozchyliła nieco płaszcz, położyła prawą dłoń na broni, trzymając palec ostrożnie obok, ale nie na cynglu, gotowa do natychmiastowego przyjęcia pozycji strzeleckiej. Wyślizgnęła się w noc i wtopiła się w ścianę obok.

Znalazła chwilę na podziw dla Stena i Alexa. Znowu uczyła się od nich. Nigdy przedtem nie brała udziału w akcjach prowadzonych przez zespoły bojowe, gdzie rozkazy wydawał ten, kto najlepiej potrafił ocenić sytuację i warunki, a nie ten, kto miał najwyższą rangę.

Sten wyszedł i też przycisnął się do ściany po drugiej stronie wyjścia. Alex podążył za nim.

Znalazł chwilę na osobiste uwagi: ta panienska jest niezła, nieprawdaż? - pomyślał. Nie była w tym szkolona, ale pasuje do najlepszych z Sekcji Mantis. Chyba będę musiał powiedzieć Stenowi, że daję im swoje błogosławieństwo.

A potem i on znalazł się w strugach zacinającego deszczu, i wszyscy zaczęli przesuwać się po zaniedbanych uliczkach na tyłach terminalu. Kawalek dalej znaleźli schronienie w bramie i zatrzymali się, aby sprawdzić, czy nikt za nimi nie idzie.

Ulice były ciemne od deszczu i puste. Kilgour kiwnął głową z zadowoleniem. Wyjął z kamizelki wykrywacz podsłuchu i szybko sprawdził całą trójkę. Nikt im nic nie podrzucił, kiedy przechodzili przez terminal.

- Skąd wiedziałeś, że te drzwi na stacji nie będą zamknięte? - spytała Sind.

- Ależ skarbie - odpowiedział Kilgour. - Myślałem, że jesteś mądrzejsza. A kto, jak sądzisz, je otworzył? Kto twoim zdaniem zawiesił ten napis? Za kogo właściwie ty mnie uważasz?

Nie czekał na odpowiedź.

- No, chodźmy już na spotkanie z naszym nowym przyjacielem.

Ruszyli do przodu, trzymając się blisko ścian. Szli niezauważeni - w tym rejonie każdy poruszał się tak, jakby miał coś do ukrycia, chował coś na potem lub unosił się na poduszce powietrznej.

Rudery, obok których przechodzili, wyrastały pionowym, osamotnionym rzędem, niesamowicie wielkim, jak wszystko inne na Jochi. Budynki zbudowano ponad sto lat wcześniej jako kosztowne apartamenty dla pracowników administracji, nagradzanych taką ilością wszelkich luksusowych dóbr, aby ci, którzy oliwili koła napędowe władzy Khaqana nie czuli się nieszczęśliwi. Czas mijał. Domy postarzały się. Pracownicy rządowi znaleźli czystsze, bezpieczniejsze, nowsze dzielnice. Wprowadzili się biedacy. Windy McLeana stanęły, a do wspinaczki pozostawało wiele, wiele schodów. Nadzorcy budynków bali się albo byli skorumpowani. Zdziałało też jedno z przekleństw Jochi - Jochiańczycy byli dobrzy w budowaniu, ale jakby nie zauważali, że budynki, drogi czy pomniki wymagają konserwacji.

Teraz okna wybito lub zamurowano. Wyższe piętra domów tonęły w ciemnościach. Od czasu do czasu migąło tylko światełko lampki oliwnej jakiegoś włączki czy latarki złodzieja.

Fasady budynków obłożono czymś, co miało wyglądać jak kamień. Pozostałości tego czegoś smętnie zwisały, łuszczyły się, leżały w wielkich stosach na wyszczerbionym chodniku.

Odpadki pokrywały ulice i tworzyły wysokie sterty w wąskich przejściach.

Szlak grupy Stena wiódł obok jednej z rzek, które przepływały przez Rurik.

Właściwie był to bardziej ściek, płytki, wypełniony śmieciami i porzuconymi wrakami zepchniętymi z wysokiego mostu wznoszącego się ponad głowami.

Lata wcześniej zapewne wybrzeże stanowiło miłe miejsce przechadzek podczas wakacji czy letnich wieczorów. Ale nie teraz. Sten stwierdził, że nie podoba mu się to otoczenie - zwłaszcza, że tu właśnie mieli się spotkać z agentem. Gdyby miejsce kontaktu wyznaczono na moście, można by przewidywać pułapkę. A pod mostem, obok rzeki? Sten zadrżał. Nawet Alex, z całym jego nadzwyczajnym i zwykle uzasadnionym zaufaniem do własnej przeczności, mięśni i doświadczenia, nie poszedłby chętnie o pomocy na spotkanie z tym koszmarem.

- Ustalmy sposób postępowania zaproponował Kilgour. - Powiedziałem temu agencikowi, że nie jestem głupi, i przyprowadzę ze sobą wsparcie. To ty, Sind. Nie mówiłem, gdzie będziesz, a więc wolałbym, żebyś znikła w głębokim cieniu i szła moim śladem. Ja sam przejdę się nabrzeżem na spotkanie z tym szpiclem. Nie podoba mi się ten plan, ale facet trząś się ze strachu. Szefie, jeżeli się zgodzisz, to zniknij jak mucha w gównie. Będziesz krył mnie od drugiej strony. I z przodu, jeśli łaska.

- Dzięki, Kilgour. Mam przedzierać się przez rzeczny muł, i poruszać się szybciej niż ty?

- Tak jest. I ciszej. Dlatego właśnie jesteś admirałem, a ja tylko zwykłym kontaktem agenta.

Sten sprawdził swoją broń. Gotowa.

- Jeżeli pogrzebiesz głębiej w tej kamizelce, to znajdziesz kilka granatów.

- Jakie są prognozy co do kłopotów? - zaszepiała Sind, - Niezłe. Inaczej dałbym Stenowi haubicę do niesienia. Nie więcej niż siedemdziesiąt procent. Dość gadania.

Ruszamy.

Ktoś, kto przyjrzałby się nabrzeżu z bliska, mógłby zauważyć poruszający się cień. Ale to było

tylko odbicie światła od mostu, błysniecie ledwo widoczne spoza chłoszczącego deszczu.

Cień, którym okazał się Sten, znikł za murem podtrzymującym na brzegu rzeki.

Sam cud. Stopy Stena grzęzły w czymś, co jeszcze zupełnie niedawno było świeżym gnojem. Jego nos drgnął. Miękiesz, synu. Przypomniawszy sobie, jak kiedyś podczas treningów Sekcji Mantis czołgał się pół kilometra przez otwarty kanał ściekowy, a po powrocie do bazy oznajmiono im, że nie mogą się umyć. Wymiotnik, tak to się nazywało w slangu Mantis.

Sten zauważył, że nieco wyszedł z wprawy w szpiegowaniu, kiedy zanurkował jak portowy szczur w poszukiwaniu ścierwa. Za nim, ledwo słyszalnie przez szum deszczu, Alex z rozmysłem uderzał obcasami butów w chodnik nabrzeża.

Sind trzymała się blisko zrujnowanych budynków po drugiej stronie ulicy, prześlizgując się z cienia do cienia, mniej więcej pięćdziesiąt metrów za Alexem - Wielką Tarczą Strzelniczą.

Kilgour zadrżał, ale nie z powodu przenikliwego, zimnego deszczu. Ileż to już razy czaił się w oczekiwaniu na spotkanie z jakimś lokalnym agentem? Niezliczoną ilość, panie Kilgour, pomyślał. I czy kiedykolwiek nie czuleś tego zimnego dreszczu pomiędzy łopatkami, czekając, aż uderzy w ciebie pocisk?

Naprzeciw niego, tuż obok rozwalonego słupa latarni, stał mały budynek. Mógł kiedyś być przystankiem czy budką strażnika.

Ruch. Alex natychmiast sięgnął po potężną broń schowaną w kamizelce, ale w końcu zdecydował, że mały pistolet okaże się przydatniejszy. Ostrożnie odbezpieczył broń, chociaż nikt nie mógłby nawet usłyszeć cichego trzasku pośród szalejącej burzy. Opuszka palca dotykała spustu, stał w pełnej gotowości do strzału, lufę przykrywała tylko poła płaszcza. Bezwiednie przyjął odpowiednią postawę: nogi lekko przygięte podczas ruchu, jedna stopa lekko oderwana od ziemi, środek ciężkości odpowiednio wyważony, potem lekkie poruszenie drugiej nogi.

Cień miał ludzkie rozmiary. Jeszcze raz przesunął się nieco. Za nim błyskały jakieś światła.

Kilgour lekko zmniejszył nacisk palca na spust. Potem odprężył się. Cień okazał się człowiekiem, noszącym płaszcz przeciwdeszczowy z kapturem, długi do kostek. W błysku światła Alex zauważył puste ręce mężczyzny wystające z rękawów płaszcza.

To kontakt.

- I słońce przebija się przez najciemniejsze chmury - powiedział Kilgour, przeklinając się za idiotyczny wybór hasła, które wydawało się takie błyskotliwe w zaciszu ciepłego, suchego biura.

Czekający informator - kapitan statku - powinien odpowiedzieć: „Tak jak honor przebija się przez najgorsze zło”.

Nic, tylko ryk burzy.

Ponad murem, kilka metrów za budką strażniczą, Sten pozostawał w stanie alarmu.

Żaby z kloaki odskakiwały na boki, ściek wypełniał się gnojem, podczas gdy dłoń ambasadora wyciągnęła broń z kabury i kciuk przesunął selektor z pozycji „zabezpieczone” przez „ogień” do „ogień ciągły”; druga dłoń gmerała przy zapasowym magazynku, kolana grzęzły w szlamie, a oczy poruszały się szybko w poszukiwaniu celu.

Kilgour sapnął ze zdziwienia, wydawał sam sobie rozkazy. Nie, nie, nie możesz paść na ziemię i rozpląszyć się na niej. Jesteś w strefie umarłaków.

Masz tylko kilka sekund, chłopie. To więcej niż trzeba.

Nagle zauważył jakiś przelotny odbłysek światła nad mężczyzną, cieniutki drut albo tylko złudzenie.

Informator nie odpowiadał, bo informator był zimnym trupem. To nie odbiegało zbyt od normy w mrocznym świecie Kilgoura i Stena. Zdarzało się czasem, że stwierdzali, iż ich agent napotkał na jakieś trudności znajdując go zaopatrzonego w dodatkowy uśmiech.

Powieszenie na drucie zwisającym z latami nie było znowu taką wyjątkową formą zabójstwa. Ale jeśli ktoś pozostawił ciało, czekając, aż się na nie natkniesz...

Zasadzka.

Alex wyszarpnął granat z kieszeni swojej kamizelki bojowej, wyciągnął zawleczkę i cisnął go wysokim łukiem, w tej samej chwili rzucając się do przodu trzema wielkimi susami.

Zanurkował, przeleciał kawałek, a potem uderzył w śliski od deszczu chodnik i prześlizgnął się o metr. Za mało ćwiczyłem, pomyślał, jutro będę miał sińce od tych uderzeń.

Jeżeli będzie jakieś jutro, zastanawiał się dalej, kiedy skoncentrowany ogień uderzył w budkę strażniczą.

Trójkąt, analizował Sten. Wzięli nas z trzech stron. To poważne natarcie... Jego palec tymczasem nacisnął na spust i jeden z nieprzyjaciół został przecięty w pół.

Sind przez mikrosekundy gapiła się w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą był Kilgour.

Granat Kilgoura, rzucony wysoko w powietrze całą siłą mięśni, uderzył w piaskowiec na wysokości sześćdziesięciu metrów - i wybuchł, niemal tuż przed nią Fronton budynku rozleciał się, cegły runęły kaskadą na drugiego zabójcę, a pociski AM2 z broni Sind definitywnie zakończyły sprawę.

Trzeci napastnik właśnie naciskał spust, aby oddać swój drugi strzał, kiedy Alex zauważył go i strzelił. Pocisk chybił. Kilgour zamruczał coś na temat cholernych pistoletów o zbyt małym zasięgu, równocześnie wypuścił dwa pociski - i ostatni z wrogów także padł martwy.

Zespół nie stał w miejscu. Sten ruszył w górę w stronę muru zaporowego, Alex potoczył się przez ulicę jak piłka plażowa w kierunku jakichś gruzów, a Sind wskoczyła najpierw w jedne drzwi, a potem w drugie. Kilgour schował pistolet z powrotem do kabury i ustawił mały karabinek w gotowości do strzału.

Grzmot burzy zahuczał tuż przed nimi i Sten zorientował się, że liczy po cichu: grom uderzył w odległości zaledwie dwóch kilometrów, i minęło nieco więcej niż sześć sekund od chwili, gdy zauważyli, że ten cień był człowiekiem.

Zasadzka. Dlaczego? Tylko po to, aby dać znak Kilgourowi, że jakaś grupa innego wywiadu go śledzi? Melodramatyczny sposób na przekazanie informacji - ten kontakt, nawet jeżeli facet był genialnym szmuglerem, nic im nie dał. To nie może też być żadna profesjonalna organizacja. Zawodowcy nigdy nie zabijają się nawzajem. Po prostu nie ma takiej potrzeby, kiedy już zlikwiduje się aktualny czy potencjalny przeciek.

Nieważne. Wszystkie kto, co, dlaczego mogą rozważyć później. Na razie muszą się wydostać. Zwiewać jak diabli. Sten nie obawiał się pojawienia policji Jochi - wątpił w ich poświęcenie dla policyjnej roboty i wiedział doskonale, że nie patrolowałyby tej zakazanej dzielnicy w pojedynkę. Ale byłoby kłopotliwe, gdyby ktoś zobaczył imperialnego ambasadora w pospolitej potyczce, takiej jak ta.

Sten wystartował, podświadomie obejmując dowodzenie, mimo iż do tej pory poddawał się rozkazom Alexa.

Usłyszał cichy brzęk i dostrzegł kątem oka nagły błysk z tyłu i z góry, z mostu.

Pocisk z mózdzierza pacnął w muł rzeczny. Muł rozprysnął się, zabójczy szrapnel utonął.

Potem odezwała się broń maszynowa. Rakiety dalekiego zasięgu pokryły ogniem błoto tuż przed Stenem. Przeczłogał się przez mur, przetaczając wylądował na ramieniu i zobaczył wylot lufy z okna na trzecim piętrze naprzeciwko. Podniósł broń, ale kiepskie warunki strzału nie pozwoliły mu wycelować dokładnie. Bluznął ogniem w tamtym kierunku. Lecz ostrzał nadal trwał, martwa ręka zacisnęła się na spuście, gdy strzelec padał, opróżniając resztę magazynku w niebo nad sobą. Dwa pozostałe karabiny nie ustawały.

Sten zorientował się, że wylądował obok Kilgoura. Obaj cieszyli się niezmiernie ze schronienia przy tym cudownym stosie gruzu, który jednak malał od chwili, gdy celowniczy moździerza wstrzelił się w cel, i druga bomba wybuchła na chodniku.

- Te dranie nie żartują, szefie.

Rzeczywiście - to szło o wiele dalej, niż zwyczajne próby usunięcia kłopotliwego agenta wywiadu. Gdy pierwsze uderzenie nie powiodło się, nacierający powinni rozpocząć wycofywanie.

Kimkolwiek były te istoty, zastawiły pułapkę wyposażoną w siłę uderzeniową całej armii, nie zważając na koszty.

Wojsko, zastanawiał się Sten. Nie. To nie oni - przynajmniej tak mu się zdawało.

Jeszcze nie.

Gdzie u diabła jest Sind? Uzyskał odpowiedź na swoje pytanie, gdy granat wywalił szerokie okno i dziewczyna krzyknęła:

- Kryć się! Biegiem!

Sten kopnął Alexa w tyłek, Kilgour poderwał się na nogi, pobiegł do przodu i zanurkował do porzuconego sklepu. Sten wypuścił serię w kierunku nadchodzącej śmierci; nawyki piechoty wzięły górę i rzucił się przed siebie, pod osłoną ognia Alexa przeskoczył przez okno, przetoczył się pod jedną ze ścian. Sind poszła jego śladem jak przemykająca się przez śnieg ziemską kuna, dookoła niej rozpryskiwał się deszcz pocisków.

Ich chwilowe schronienie mogło łatwo przerodzić się w śmiertelną pułapkę, Sten doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Na szczęście, pomyślał, nie grozi im brak amunicji.

Przynajmniej nie w ciągu najbliższych godzin - każdy zapasowy magazynek mieścił tysiąc czterysta jednomilimetrowych kul AM2.

Po raz kolejny celowniczy moździerza namierzył ich, następna bomba wyskoczyła z lufy i skierowała się ku nim, a Sten zapadł w cuchnące podłoże tak samo, jak wiele innych szczurów przed nim.

Bomba poszła górą i eksplodowała ponad nimi, naprzeciw fasady budynku. Cegły zwały się na dół, tak, jak od granatu Kilgoura, nie czyniąc im żadnej krzywdy.

- Na brodę mojej matki - powiedziała w zamyśleniu Sind - to pierwsza dobra rzecz od chwili, kiedy zaczęło się to całe party.

Miała rację - przeciwnik właśnie ofiarował im odpowiednie przedpole do walki.

Ale Sten zaczął chichotać.

- Co twojej matki?

- Daruj sobie - odpowiedziała Sind. - Widzisz, co się dzieje, kiedy uciekasz sobie i pozbywasz się Bhorów?

- Jak już o tym mowa - odezwał się Kilgour. - Chciałbym teraz, żeby kilku tych goryli było tu razem z nami, no nie?

- To fakt. Prawda. Ty chciałbyś mieć Bhorów, a ja tylne wyjście. Zgadnij, co łatwiejsze do



znalezienia - dodał Sten.

Wstali i prześlizgnęli się na tyły budynku, ledwo widząc w mroku, przedzierając się przez wszechobecne odpadki.

- Czy domyślacie się może, komu nie podobał się sposób, w jaki robimy sobie przedziałek?

- spytała Sind.

Żaden z mężczyzn nie odpowiedział. Sądząc po tym, jaki sposób myślenia panował w tej mgławicy, to mógł być każdy.

Na tyłach sklepu Sten odnalazł zapasowe wyjście. Było zablokowane skrzyżowanymi belkami i zabite gwoździami. Nie ma sprawy, pomyślał Sten, przy udowodnionych talentach Kilgoura.

Mniej więcej sekundę później ich wrogowie również odnaleźli tylne drzwi i rozprysnął się przy nich granat, wybijając dziurę w płycie. Sten zauważył ruch przez tę dziurę i wysłał serię w tamtym kierunku, a potem granat czasowy. Rozległy się krzyki, które gwałtownie ucichły, gdy granat eksplodował. Niestety, broń ta porażała wszystkich, znajdujących się w jej zasięgu - dwie godziny leżeli nieprzytomni, nie mając nawet pojęcia, że upłynęła choć sekunda.

- Nie masz litości, szefie.

- Jak cholera - warknął Sten. - Rzuciłem nieodpowiedni pocisk. Powinienem siekać i rozdzierać, dopóki nie uda nam się zwać z tego cholernego miejsca.

- O jej - powiedział Kilgour. - W te dni - i noce - magia jakby przestawała działać.

Złapał za jedną ze skrzyżowanych belek i pociągnął. Ciężki pień - i reszta drzwi - dały się wyszarpnąć.

- Resztę budynku możesz zostawić - powiedział Sten.

Cała trójka wysunęła się przez dziurę. Sten spojrzał na czterech mężczyzn leżących obok drzwi. Ludzie - to znaczy Torkowie albo Jochiańczycy. Frakcja Douwa? A może jakaś inna grupa Jochiańczyków, której celów i przywódców Sten miał dopiero wysłuchać? Zbyt mało danych.

Wszyscy czterej nosili kombinezony bez oznak.

- Zwijajmy się. Nie ma tu żadnej zabawy, do której moglibyśmy się przyłączyć, a i kilku chłopaków zostało.

Sten podzielił punkt widzenia Kilgoura i pobiegli do przodu, w dół ulicy, poruszając się tak szybko, jak tylko mogli i nadal zachowując kompletną ciszę.

Ich chwilowe powodzenie skończyło się dwiema różnymi katastrofami. Burza zupełnie niespodziewanie ucichła, tak samo nagle jak wybuchła. Co gorsza, niebo przejaśniło się i pokazały się na nim dwa z księżyców Jochi, oblewając ich swoim światłem.

- Sind, czy Bhorowie mają boga od pogody?

- To Schind. Rządzi burzami śnieżnymi.

- Cholera.

I właśnie wtedy uderzyło w nich kolejne nieszczęście. Światło szperacza przyszpiliło całą drużynę jak owady. Sten wyobraził sobie sylwetki całej trójki wyraźne jak na starym negatywie, a potem przemówiła ich broń i światło zadrżało, zasyczało i zgasło, a oni rozplaszcyli się za rozbebeszonym, spalonym i porzuconym wrakiem pojazdu.

- Widziałem ich! - zabrzmiał zdziwiony krzyk. - To ten! To ten z Imperium, którego widzieliśmy w telewizji!

Sten zaklął. To będzie wymagało pewnych wyjaśnień.

Po pierwsze, prowincjonalnym kacykom na Jochi. Także i Wieczny Imperator może usłyszeć o

tym incydencie i zadać kilka pytań na przykład o to, co jego ambasador pełnomocny robił szwędając się po ulicach w poszukiwaniu zupełnie niepotrzebnej bójki.

No cóż. Przynajmniej nie zostaną teraz zabici. I może uda mu się jakoś wykręcić później od imperialnego obdzierania ze skóry.

Nagle usłyszeli czyjś głos.

- Ten cholerny ambasador?

- Taa.

- Zabij drania! Natychmiast!

- Nie mam pojęcia, kto jest na tyle durny, aby zabijać wysłannika Imperatora - powiedział Alex - ale rozważmy to później. Wracamy. Tą samą drogą, którą przyszedliśmy.

Mały pocisk przeciwpiechotny uderzył w mur ponad nimi - ta droga także została zamknięta.

- Wzięli nas w dwa ognie - oznajmiła Sind. - Czy ktokolwiek umie lewitować?

- Bądź poważna. Teraz nie mam nawet pojęcia, jak kichnąć, a co dopiero fruwać - powiedział z ponurą miną Alex.

Byli naprawdę złapani w porządną pułapkę. Potężne pociski rozbijały wrak przed nimi.

- Jak to się dzieje - zastanawiał się Sten - że w filmach, w których bohater kuca za głupim pojazdem, wszystkie pociski rykoszetują zamiast roznieść go na miazgę, jak w prawdziwym życiu?

Nikt nie odpowiedział.

Ogień ucichł. Usłyszeli odgłos zbliżających się ku nim kroków.

Sind podniosła broń. Sten pokręcił głową, zobaczyła ostrze kukri połyskujące w bladym świetle księżyca.

Komandoski nóż Sind wysunął się z ukrycia.

Było czterech atakujących.

Pierwszy nic nie dostrzegł - nóż Sind anodyzowany na czarny mat nie powodował żadnych refleksów świetlnych, gdy ostrze zanurzyło się pod żebrami docierając do serca, i powalił mężczyznę na ziemię.

Drugi nic nie usłyszał, gdy dwie potężne pięści Kilgoura trafiły w bok jego głowy, miażdżąc czaszkę jak skorupkę jajka.

Trzeci ledwie zdążył mrugnąć, gdy zakrzywione ostrze krótkiego miecza Gurkhów trafiło go, gładko przecięło ramię na pół, potem żebra, i zanurzyło się w brzuchu.

Czwarty miał zbyt dużo czasu. Zdążył machnąć strzelbą na boki, trafić Stena, tak, że ten cofał się potykając, a jego ręka ześlizgnęła się z rękojeści kukri. Lufa strzelby celowała prosto w Stena.

Sten skulił się, prawa dłoń opadła; zaciśnięcie palców sprawiło, że śmiertelne ostrze wysunęło się ze swego ukrycia.

Czwarty zobaczył lufę swojej broni przeciętą na pół.

Sten wstał, ostrze poszło w dół i zabłysło zagłębiając się w splot słoneczny Czwartego, coraz głębiej, aż wnętrzości wypłynęły jak z patroszonej ryby.

Nóż Stena został wytarty do czysta o mundur trupa i wrócił na swoje miejsce.

Wytarł kukri o ciało Trzeciego, unikając patrzenia na człowieka, którego tak gładko zabił.

Następny, pomyślał Sten. Po prostu następny na długiej liście.

Sind i Alex czekali na rozkazy.

Sten podniósł swoją broń i stuknął w magazynek. Pozostałych dwoje kiwnęło głowami.

Dziesięć minut zabrało wrogowi zorientowanie się, że chociaż nie było żadnych hałasów ani

strzałów, to czwórka wysłana na spotkanie już nigdy nie powróci.

Teraz wysłali siedmiu mężczyzn.

Sten pozwolił im podejść do wraku pojazdu na cztery metry, zanim dał sygnał.

Bluzgnięcie ognia - i siedem ciał leżało na chodniku.

Trzecia fala nadeszła po niespełna dwóch minutach.

Drogę torowały im granaty, wybuchy rozbijały mury alei.

- Nie grają fair - stwierdził Alex.

- Nie mam zamiaru dać się złapać - powiedziała Sind.

- Ja też nie - dodał Sten. - Ale samobójstwo nic nam nie da.

- Czekamy, chłopie. Na jakiś mały pomysł.

Sten zastanowił się... i grzmot zahuczał, burza wybuchła na nowo. Zaklął. Gdyby tak pięć minut wcześniej...

Bardzo dobrze, pomyślał. Użyj tego, co masz. Dodaj trochę zamieszania.

- Kilgour, dasz radę dorzucić do nich granatem?

Alex rozważył.

- Spróbuję.

- Kiedy wybuchnie... idziemy. Piętnaście metrów, potem na ziemię, znowu granat, i trafiamy na nich.

Sind i Alex spojrzeli na niego. Ich twarze nie miały żadnego wyrazu.

- I nikt nie wypije za nasze dusze w piekle - westchnęła Sind, odpinając granat od pasa i przykucając.

- No cóż, no cóż - westchnął Alex. - Przynajmniej nie umrzemy w łóżku.

Opuścił broń, odbezpieczył granat i stanął w klasycznej pozycji do rzucenia go.

Wspaniała sprawa, pomyślał, i rzucił.

Granat uderzył, podskoczył i wybuchł ledwie o metr od pozycji nieprzyjaciela, i cała trójka podniosła się, kiedy błyskawica otworzyła dla nich wrota piekieł i huknął grom.

Sind wydała z siebie wojenny okrzyk Bhorów i poszli do ataku, troje przeciwko... kto wie, jak wielu.

Sten, trochę blefując, z wściekłością zahuczał:

- Ayo... Gurkhali!

Można umierać z okrzykiem bojowym na ustach tak samo, jak z każdym innym.

Zawodzenie odbiło się echem o piaskowiec.

Gurkhowie usłyszeli je.

I zaatakowali.

Brązowa fala mężczyzn wyszła spomiędzy nocnych ciemności, ich broń bluznęła ogniem.

Podeszli blisko do nieprzyjaciela. Tamci obracali się w zdumieniu zaskoczeni atakiem od tyłu, a Gurkhowie opuścili broń i zarzynali ich swoimi kukri.

Dwie grupy bojowe Gurków przebiegły obok Stena i reszty, każdy z potężnym karabinem maszynowym. Poruszając się sprawnie jak automaty, przypadli do ziemi i otworzyli ogień; pociski omiatały całą aleję i otworzyły wyjście.

Sten zdążył zorientować się, że jest cały i żywy, i takim pozostanie - albo przynajmniej uda mu się wydobyć z tej cuchnącej ulicy. Żaden z atakujących go przeciwników nie miał takiej szansy.

Krople deszczu na twarzy wydały się Stenowi samym cudem. Ramiona Sind, które objął, były

najwspanialszą rzeczą na świecie. Rozpromieniona twarz Alexa miała nader przyjazny wyraz.

Przenośne latarnie rozjaśniały miejsce, gdzie przedtem stały wrogie oddziały.

Cała trójka potykając się ruszyła w ich kierunku.

Czekał na nich Mahkhajiri Gurung.

- Mieliśmy duże trudności z odnalezieniem pana, sir. Stwierdziliśmy, że ta dzielnica jest bardzo niebezpieczna. Wolałbym, aby wezwał nas pan wcześniej. I kiedy znowu wyjdzie pan na spacer, czy mógłby pan mieć ze sobą nadajnik systemu lokalizującego?

- Jak - opamiętał się Sten - zorientowaliście się, że opuściłem ambasadę?

Mahkhajiri wzruszył ramionami.

- Po tym, jak pan Kilgour znalazł sekretne przejście, my też na nie natrafiliśmy. Ponieważ nie założył tam podsłuchu, my to zrobiliśmy. Widzi pan, my nie jesteśmy tacy dobrzy jak on i nie potrafimy wyczuć podczas głębokiego snu, że jakiś morderca zbliża się, aby pana zabić. My, Gurkhowie, musimy się dobrze zaasekurować.

Sten, Sind i Alex spojrzeli po sobie.

- W porządku - stwierdził w końcu Sten. - A więc wiecie wszystko. Zdaje mi się, że jedyne pytanie, jakie mogę zadać, to gdzie są Bhorowie?

- W górze, na moście, i obok, na nabrzeżu. Było tu wielu ludzi z bronią i sądziliśmy, że należy się nimi zająć. Bhorowie pragnęli tego zaszczytu. Zgodziliśmy się sądząc, że są o wiele zdolniejsi w dyplomacji niż my.

To znaczyło, że nie będzie żadnych jeńców.

- Potrzebny mi jest - powiedział Sten - jakiś pojazd, żeby dostać się do ambasady i napić czegoś mocniejszego.

- Czeka - stwierdził Mahkhajiri Gurung. - Na ulicy.

Kiwając głową Kilgour pociągnął Stena na stronę, kiedy szli w dół ulicy.

- Stary, to było trochę za wiele jak dla mnie. Nie uważasz, że trzeba by postudiować jeszcze trochę zasady wojny?

- Masz rację.

- Ty wiesz, zapewne, co jest najbardziej interesującą rzeczą w całym tym wieczorze?

Sten wiedział. Ktoś najwyraźniej z rozmysłem usiłował zabić pełnomocnego ambasadora Wiecznego Imperatora. Nie w gorączce bitwy, ale na bezpośredni rozkaz.

Każda rozsądna istota zdawała sobie sprawę z tego, że takie morderstwo pociągnęłoby za sobą natychmiastową i śmiertelną odpowiedź Imperatora.

Sten zorientował się, że istnieli ludzie - całe grupy - tu na Jochi, które potrafiły sprawić, że szaleńcy, którymi się przedtem zajmował, stawali się na pozór jak najbardziej normalnymi, pokojowo nastawionymi istotami.

Narzucało się następne pytanie: do kogo należało to niby wojsko? Moździerze... karabiny maszynowe... ludzie atakujący jak wytrawni albo przynajmniej szkoleni żołnierze.

Musieli komuś podlegać.

Sten czekał na wybuch złości, zastanawiając się nad tym, jaką przekonującą historyjkę ktoś wymyśli w celu wyjaśnienia krwawej śmierci jednej czy dwu kompanii uzbrojonych ludzi.

Ale mijały dni i nikt nawet nie wspomniał o tym incydencie.

Zupełnie nikt.

Włączając w to siły policyjne Rurik.



# Rozdział 13

Propozycja była bardzo zwięzła. Napisana ręcznie na trzech kartkach czegoś, co wyglądało jak antyczny papier. Błady mężczyzna siedzący naprzeciwko Wiecznego Imperatora skończył ją czytać i położył kartki z powrotem na biurku.

- Twój komentarz? - spytał Imperator.

- Interesujące, sir - odrzekł zapytany neutralnym tonem. Należało to uznać za normalne, ponieważ wszystko, co dotyczyło Poyndexa, było neutralne. Niegdyś piastował stanowisko szefa Korpusu Merkurego - wywiadu Imperium - podczas końcowych dni wojen tahnijskich.

Kompetentny, pozbawiony pasji żołnierz, kontynuował służbę podczas rządów Rady.

Później, w wyniku wewnętrznych rozgrywek, stał się jej młodszym członkiem.

Ale kiedy Imperator powrócił, Poyndex zdradził Radę dla Imperium. Prosił jedynie o to - wiedział, że tylko o to może prosić - aby darowano mu życie. Nie brał udziału w zamachu na Imperatora. Nie miał też nic wspólnego z różnymi okrucieństwami popełnianymi przez Radę.

Imperator przyjął jego ofertę - w plecy Rady wbito sztylet, a Poyndex znikł w czeluściach Imperium.

- Nie okazujesz żadnego zdziwienia - stwierdził władca.

- Mogę mówić szczerze, sir?

Teraz Imperator popadł w milczenie. Poyndex wolał zinterpretować to jako pozwolenie.

- Dziwię się tylko temu, że nadal żyję, Wasza Wysokość. Kiedy rozkazał pan, abym powrócił na Primę, byłem pewien...

- Nie - oświadczył Imperator. - Gdybym chciał twojej głowy, zostałyby to wykonane po cichu i w czasie największego zamieszania. Zdecydowałem, że okresu bezkrólewia nie należy upamiętniać pokazowymi procesami. Poza tym uważałem ciebie zawsze za najbardziej wydajnego szefa wywiadu.

Teraz potrzebuję twoich usług. Chcę, abyś objął dowództwo tej nowo utworzonej jednostki bezpieczeństwa wewnętrznego. Ma ona być prowadzona nieco inaczej niż Merkury.

Jej agenci byli i nadal będą rekrutowani poza kanałami wojskowymi. Wymaga się od nich przysięgi na wierność w stosunku raczej do mnie osobiście niż do Imperium. Ich zadania i obowiązki pozostaną znane tylko mnie. Jediną sprawą, do jakiej są zobowiązani, w zapisach publicznych czy tajnych jest ochrona mojej osoby. Mam zamiar interpretować to możliwie jak najszerzej.

Wszystkie misje BW będę wyznaczał osobiście, a ich rezultaty zostaną podane do mojej wyłącznej wiadomości. W łańcuchu dowodzenia nie znajdą się żadne inne elementy.

Jednostka otrzyma najwyższe priorytety. Wszelkie raporty zostaną sporządzone w jednym egzemplarzu przeznaczonym tylko dla mnie albo przekazane ustnie. W imperialnych archiwach nie

będą przechowywane żadne kopie. A teraz... jak brzmi twoja odpowiedź?

- Nie mam zbyt wielkiego wyboru, Wasza Wysokość - powiedział Poyndex. - Sama wiedza o tej jednostce może... sprawiać kłopoty. I... - postukał w papiery leżące na biurku. - Ten plan, i problem jaki ma rozwiązać, z całą pewnością nigdy nie powinny dostać się do publicznej wiadomości.

- Twoje rozumowanie jest prawidłowe. Jesteś, tak naprawdę, jedyną osobą, poza mną samym, której znana jest zarówno cała sprawa, jak i planowane rozwiązanie - stwierdził Imperator.

- Ale zanim przyjmiesz moją propozycję, chciałbym usłyszeć odpowiedź na jedno pytanie: co powstrzyma ciebie przed zdradzeniem mnie tak, jak zdradziłeś Radę?

Nastąpiła bardzo długa cisza. Poyndex wstał i zaczął chodzić po pokoju.

- Odpowiem na to, sir - powiedział - mimo że wolę nigdy nie omawiać moich własnych, osobistych zamysłów. Sądzę, że jest to... krępujące. Jeżeli pan pozwoli, to być może łatwiej mi będzie przy użyciu pewnego porównania.

Poyndex wziął głęboki oddech.

- W szkole dla szpiegów opowiadali historię o pewnym sławnym agencie. Służył pewnemu władcy na starożytnej Ziemi. Uważa się go za twórcę nowoczesnego wywiadu - takiego, gdzie każdy szpieguje swojego brata i jest śledzony przez kogoś innego. Jego władca, pełen podziwu, chciał go wynagrodzić. Mężczyzna nie chciał niczego oprócz jednej rzeczy - naramienników marszałka polnego.

Władca zdziwił się bardzo i odmówił. Szpiegowie nie dostają nagród przeznaczonych dla uczciwych żołnierzy. Ani - tego już nie dodał - nie są publicznie znani.

- Nazwisko tego mężczyzny brzmiało Fouche, a jego władcy - Napoleon Pierwszy - powiedział Imperator.

- A więc zna pan tę historię, sir. No cóż, opowiada się ją po to, aby zniechęcić zdobywających doświadczenie, młodych specjalistów wywiadu do pragnienia sławy i chwały. I zdawało mi się, że wziąłem to sobie do serca i nauczyłem się zapominać o tym, że lubiłbym przeczytać swoje nazwisko w prasie. Ale kiedy zmarły pan Kyes zaofiarował mi awans do Rady, co, jak się później zorientowałem, miało służyć głównie jego własnym interesom, odkryłem, że nadal jestem ambitny. Po upadku Rady - i moim - pozbyłem się tej słabości.

- Doprawdy? - zastanawiał się Imperator. - Ambicja to hydra.

- Czy to ma jakieś znaczenie, sir? - spytał Poyndex. - Po prostu nie sądzę, aby w przeciwieństwie do owych cymbałów z Rady kiedykolwiek odwrócił się pan do mnie plecami.

Imperator kiwnął głową. Uświadomione - albo powodowane strachem - właściwe pojmowanie własnych interesów stanowiło wystarczającą motywację. Zwłaszcza w przypadku zadania, jakie planował dla Poyndexa.

- Przyjmuję pańską ofertę, Wasza Wysokość. To oczywiste. Czuję się zaszczycony.

- To dobrze. Będzie jeszcze kilka osób przypisanych do ciebie. Część z nich także wywodzi się... z szarej strefy. A kilku otrzyma zadania, o których nie musisz nic wiedzieć.

- Rozumiem, sir.

- Takie, jak to. - Imperator wskazał na kartki papieru. - W mojej propozycji zawarłem trzy pytania - kontynuował. - Czy chciałbyś wiedzieć coś więcej na temat tego urzędnika?

- Nie, sir. I nie słuchałbym żadnych informacji na ten temat. To, co już wiem, wystarczająco naraża na szwank moje szanse przeżycia.

- Czy twoim zdaniem zadanie może zostać wykonane?

- Tak - odparł beznamiętnie Poyndex. - Wykonywaliśmy bardziej skomplikowane operacje, jeśli chodzi o podwójnych czy potrójnych agentów i odszczepieńców, Wasza Wysokość.

- Dobrze. Bardzo dobrze - powiedział Imperator.

- Potrzebujemy około miesiąca na skompletowanie personelu, sir i, oczywiście, kompletne wyposażenie. Oraz dwa dni na samo zadanie.

- Myślałem już o tym. - Imperator sięgnął przez biurko i podniósł kartki. Wziął zapalniczkę, skrzesał ogień i przyłożył do papieru. Arkusze zajęły się momentalnie i po chwili stały się tylko garstką popiołu.

- Miejscem będzie stara Ziemia.

Poyndex wstał, zasalutował i wyszedł.

Imperator popatrzył za nim. Szkoda, że nigdy nie zaofiarował Poyndexowi drinka dla uczczenia czegoś, ani nie ugotował dla niego obiadu po skończeniu planowania zadania, jak to robił kiedyś dla Iana Mahoneya czy Stena.

Ale to było dawno temu, w innych czasach.



## Rozdział 14

- Zwiesiłeś nos na kwintę, młody Stenie. Nie chcę wiedzieć, że się martwisz - powiedział Alex. - Nie masz w tej sprawie żadnego wyboru. To rozkaz Imperatora.

- To mi wcale nic ułatwia zadania - stwierdził Sten.

- Zgadzam się z Alexem - oświadczyła Sind, w głębi serca pełna fanatyzmu w stosunku do Bhorów. - Wiem, iż nie podoba ci się myśl, że masz tak po prostu beznamiętnie oznajmić tym ludziom, co ich czeka. Nowy przywódca jest już w drodze i oni mogą jedynie polubić to albo się tym zadławić. Ale nie widzę żadnego sposobu, aby to osłodzić. Takie są fakty, a oni muszą z tym żyć.

- Nie szukałem sposobu na osłodzenie - zaprotestował Sten.

- Zdecyduj się szybko, chłopie - poradził Alex. - Nasza przyjacielska czwórka dotrze tu lada chwila.

- Sytuacja może być trudna - powiedział Sten. - Kiedy przybędzie doktor Iskra - a nadal nie wiem dokładnie, kiedy to się stanie, cholera jasna - tak czy siak, kiedy już się tu znajdzie i obejmie przywództwo, sprawy szybko mogą pójść w diabły. A co będzie, jeśli wszyscy powiedzą Imperatorowi, żeby wziął swego nowego nieustraszonego przywódcę i wsadził go sobie tam, gdzie słońce nigdy nie dochodzi?

- Imperator ich zgniecie stwierdziła beznamiętnie Sind.

- Zapewne - zgodził się Sten. - Trudno przewidzieć, co się stanie. Istoty robiły już dziwniejsze rzeczy. Aż do zbiorowego samobójstwa włącznie. Zdaje mi się, że oni nadal nie wierzą, że coś takiego może im się przytrafić.

Sten zadumał się nad milionami ofiar i straszliwymi zniszczeniami, jakie Tahnijczycy zadali sami sobie.

- Chcę zrobić to we właściwy sposób - powiedział. - Inaczej poniesiemy odpowiedzialność za kilka wojen domowych. Chcę, aby bali się odmówić zgody na uznanie doktora Iskry, a potem zaakceptowali wybór Imperatora.

Sind nie zrozumiała.

- Jeżeli oni wszyscy są aż tak szaleni a z tego, co widziałam wynika, że każda istota w tej zapomnianej przez Boga i ludzi mgławicy z całą pewnością nie jest zdrowa psychicznie - to nie obawiasz się, że możesz tylko powiększyć problem?

Alex był zamyślony.

- Nie tak szybko, skarbie. Nasz Sten ostrzy swój dowcip rodem z Sekcji Mantis.

-

Odwrócił się do Stena. - A może dodalibyśmy coś osobistego, co, stary? Sam strach może

spowodować napływ odwagi. Ale jeżeli dodamy do strachu odrobinę poczucia winy, to często znajdziemy trzęsącego się tchórza.

Sten spojrzał na Alexa. Coś mu zaświtało.

- Buziaczka, doktor Rykor - roześmiał się.

- Nie jestem taki tłusty - prychnął Alex.

Ale Sten nie zwracał już na niego uwagi. Niecierpliwie szkicował plan zadania. I właśnie w chwili, kiedy nabrał on kształtów, zahuczał interkom.

Nadszedł czas.

- Zanim zaczniemy, panie ambasadorze - powiedział generał Douw - nasza czwórka chciałaby wyrazić swoje... - srebrnowłosy Jochiańczyk rozglądał się nerwowo po sterylnym pokoju, który Sten wybrał na spotkanie - swoje uznanie dla pańskiej... hmm... gościnności.

Sten ostentacyjnie spojrzał na zegar tykający na przeciwległej ścianie. To była jedyna dekoracja.

- Cała przyjemność po mojej stronie - stwierdził znudzonym głosem. Bębnił po stole palcami.

- Wiemy, że jest pan zapracowanym człowiekiem, panie Sten - powiedział Menynder, spoglądając przyjaźnie spoza staroświeckich okularów. - Tak więc, gdy tylko dostaliśmy wiadomość, że chce nas pan widzieć, zebraliśmy się razem, aby zaprezentować panu wyniki naszej pracy.

- Och? - Sten nie miał nic więcej do powiedzenia.

- Jesteśmy niezwykle dumni z naszego wysiłku - wtrącił się generał. - Tak naprawdę ja osobiście uważam to za historyczny moment. - Wyciągnął plik dokumentów. - Oto projekt nowego rządu. Jest podpisany przez całą czwórkę. Sądzę, że będzie pan pod wrażeniem.

- Trzeba to tylko uzgodnić z macierzystymi światami - powiedziała Diatry, przywódczyni Bogazi.

- Gwarantuję za Suzdałów - warknęła Youtang.

Sten podniósł brwi i podejrzliwie puknął palcem w dokumenty.

- Czy coś nie tak? - spytał Menynder.

Dzwony alarmowe w głowie starego rozdzwoniły się na dobre. Zaczęły cichutko pobrzękiwać, kiedy weszli do tego całkowicie białego pokoju. Był zdecydowanie nieprzyjazny.

Przypominał mu pokój przesłuchań. Zauważył też, że ściany są na tyle grube, aby nie przepuszczać krzyków. Jedyne umeblowanie stanowiło pięć twardych krzeseł i długi, pusty stół, przy którym siedzieli.

- Czy jesteście pewni, że chcecie mi to dać? - spytał Sten, stukając palcem w leżące dokumenty.

- Oczywiście, że tak - stwierdził generał Douw. - To jest projekt, już mówiłem panu, od niego zależy przyszłość naszej mgławicy.

Sten po prostu patrzył na Douwa.

Pod tym spojrzeniem generał zaczął czuć lekkie przerażenie. Odwrócił się do Menyndera.

- Tak właśnie pan mówił, prawda?

- Cicho, generale - ostrzegł Menynder.

- Dlaczego mam być cicho? Przyszliśmy tu, aby omówić nasz punkt widzenia, prawda?

Mieliśmy zachowywać się stanowczo, ale poprawnie. Zgodziliśmy się, czyż nie?

- Ty mówić, mówić, mówić - stwierdziła Diatry, usiłując się zorientować, z której strony wieje wiatr.

Coś tu zdecydowanie śmierdziało.

Ale Douw nadal trzymał się kursu, prowadzącego do samozagłady.

- Nie mam zamiaru brać na siebie całej winy - zaskomlał. - To nie moja wina!

Panie ambasadorze, proszę...

- Chcecie to usunąć? - spytał Sten, przyjmując łagodny ton i popychając papiery z powrotem w kierunku generała. - Będę udawał, że nigdy tego nie widziałem.

- Oczywiście. Nie ma sprawy. To i tak tylko bzdury - mamrotał Douw, łapiąc dokumenty.

- A co pana zadowoli, panie ambasadorze? - spytał Menynder. - Jak możemy ułatwić pańską misję?

- Dwie rzeczy. Pierwsza, to głównie sprawa ciekawości. Ciekawości Wiecznego Imperatora, chciałbym dodać.

- To znaczy? - spytał Menynder.

- To przyjęcie, które wydaliście dla Khaqana. Owej tragicznej nocy.

W pokoju zaległa ciężka cisza. Mam was, pomyślał Sten. Pozwolił, aby ta cisza trwała przez długi czas.

- Wasza czwórka brała w tym udział, prawda? - spytał w końcu.

- Hmm... no cóż... ja przybyłem tam strasznie późno - powiedział generał Douw.

- A więc był pan tam - powiedział Sten.

Stwierdził fakt.

- Oczywiście, że byłem. Nie ma w tym nic podejrzanego, nieprawdaż?

- Czy ktoś mówił coś o podejrzeniach? - spytał Sten.

Obdarzył Douwa spojrzeniem mówiącym: „Dlaczego zachowujesz się jak ktoś winny?”

- To oczywiste - jękał się Douw. - To znaczy, pan nie... to znaczy...

- Tak, panie Sten. Wszyscy braliśmy w tym udział - wtrącił się Menynder.

- To dziwne - powiedział Sten.

- Przyjacielskie zebranie tylko - stwierdziła Diatry. - To dziwne spotykać przyjaciół tam, gdzie pan pochodzi?

Sten zignorował ją.

- I nie było żadnych oznak tego, że Khaqan choruje? - spytał. - Jakiejś bladości albo słabości? A może... jakiejś oznaki gniewu?

- Dlaczego miałby się gniewać? - zaszczekała Youtang. - To był tylko wieczór towarzyski.

- Sądzę, że on być bardzo szczęśliwy przed śmiercią - powiedziała Diatry. - Nie zły. Mówić duże kawały. My śmiać. Ha, ha. Potem on umierać. My wszyscy bardzo smutni.

Płakać buu, buu.

Sten znowu zmienił kurs.

- Przejrzałem jego kalendarz - stwierdził. - Tego obiadu tam nie zanotowano.

- Zorganizowany był... w ostatniej chwili - szybko powiedział Menynder.

- To wyjaśnia tę małą tajemnicę, jak sądzę - stwierdził Sten.

- Czy właśnie to pana trapiło? - spytał Menynder. - Kalendarz spotkań?

- Nie mnie. Wiecznego Imperatora.

- Tak. Oczywiście - powiedział Menynder. Zdjął okulary i wytarł je wyjętą z kieszeni chusteczką.

- Czy możemy wyjaśnić jeszcze jakiś małe tajemnice?

- Nie. Nie sądzę. Och. Tak. Jeszcze jedno. A miejsce, gdzie ów sławny obiad się odbywał?

Do kogo należy?

- Do mojego przyjaciela - odrzekł Menynder. - Khaqan chciał prywatności.

Zadbałem o to.

- W dzielnicy Torków? - spytał Sten.

- Dlaczego nie?

Sten patrzył na Menyndera. Pozwolił spojrzeniu spoczywać tak długo, aż Menynder zaczął się pocić. Potem Sten przenosił wzrok z twarzy na twarz, obserwując każdego wnikliwie. Podnosił napięcie, dopóki nie stało się wyczuwalną kulą energii kinetycznej, tylko czekającą na uwolnienie.

A potem pozwolił mu opaść.

- W istocie, dlaczego nie.

Udawał, że nie zauważa, jak cztery przerażone istoty wzdychają z ulgą.

- A teraz chciałbym przedstawić główny powód, dla którego was tu zaprosiłem.

Douw, Menynder i reszta pochylili się, aby lepiej usłyszeć słowa Stena. Skupił całą ich uwagę.

- Po dogłębnych badaniach i długim namyśle Imperator znalazł rozwiązanie waszych dylematów.

I sądzę, że wszyscy zgodzicie się, iż wykazał się w tym prawdziwym geniuszem.

- Jestem tego całkowicie pewien - powiedział Douw; nie dałby w tej chwili za to złamanego grosza.

Menynder wycierał pot z czoła, podczas gdy Diatry i Youtang liczyły w myśli grzechy, których nie udało się Stenowi wywęszyć.

- Szanowni państwo - powiedział Sten. - Mam przyjemność oznajmić, że Imperator wybrał istotę, która poprowadzi was do nowej ery pomyślności... Jej imię, szanowni państwo, brzmi Iskra.

Doktor Iskra.

Sten rozejrzał się łagodnie po pokoju. Jego plan zadziałał. Nie było najmniejszych oznak protestu.

- Dobry wybór - zaakceptował Menynder. - Pamiętam, że to imię padło podczas owego obiadu, o którym dyskutowaliśmy wcześniej. Nieprawdaż, generale Douw?

Douw zadygotał. Znowu ten cholerny obiad!

- Tak, tak. I jesteśmy zaszczyceni, że Imperator osobiście zainteresował się naszymi błahymi sprawami.

- Kiedy można się go spodziewać? - chciał wiedzieć Menynder.

W tej właśnie chwili wielki statek przeleciał nad ich głowami i zacumował w porcie kosmicznym. W ambasadę uderzył ryk przekraczanej bariery dźwięku.

O kurwa, pomyślał Sten. W samą porę. Mimo to kontynuował, jakby nigdy nic.

- Właśnie teraz, szanowni państwo. Właśnie teraz.

# Rozdział 15

Doktor Iskra przybył z niesamowitą pompą, mimo, że objawił się cokolwiek przedwcześnie.

Sten wolałby, aby ten efekt wysiłku Wiecznego Imperatora, ten dyktator oczekujący na objęcie władzy, przybył kilka dni później, kiedy różni potencjalni kandydaci zdążyliby się zorientować, że nie mają szans na nominację - i mieli czas na to, aby zdecydować, jak postępować z nową władzą.

Ale Sten już eony lat wcześniej, na początku swej imperialnej służby, nauczył się, że warto w realnym życiu trzymać życzenia w jednej dłoni, a w drugiej kubek do gry w kości, i patrzeć, co wypełni się pierwsze.

Hałaśliwe statki kosmiczne Iskry poleciały na szczęście nieco za daleko i Sten miał dość czasu, aby złapać Alexa i Gurkhów i kazać Sind zebrać tylu trzeźwych Bhorów, aby zaprezentować się w porcie kosmicznym jako robiąca wrażenie grupa. Upewnił się też, że pojawi się dwóch operatorów kamer z ambasady, tak na wszelki wypadek, gdyby nikt inny nie pamiętał o dokumentowaniu owego historycznego wydarzenia.

Dwa ciężkie krążowniki zawisły nad lądowiskiem, świszczwały generatory McLeana, a niszczyciele i fregaty uganiały się dookoła. Cztery transportowce floty osiadły na podłożu. Opadły rampy i wypęzły ciężkie czołgi, wypuszczając po drodze oddziały żołnierzy. Inni żołnierze formowali wewnętrzną tarczę w środku kwadratu, utworzonego przez transportowce.

Sten, Alex i Sind przyglądali się temu krytycznie.

- Ta gwardia - powiedział Alex - nadal nie doszła do siebie po wojnach i po czasach Rady.

- Alex - upomniał go lekko Sten - czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy, że żadna jednostka, do której byliśmy kiedykolwiek przypisani, nie wytrzymałaby ataku najgorszego ze znanych nam szeregowców? A przynajmniej nie w sposób, jaki pamiętamy.

- I co z tego? - spytał zraniony Kilgour. - To przecież tylko prawda, nie?

- Ciii. - Sten postąpił do przodu.

Z obu stron miał imponujących Gurkhów i Bhorów. Największy z krążowników wylądował w środku kwadratu uformowanego przez transportowce.

Galowo umundurowana gwardia wysypała się ze statku i wyciągnęła się w szeregu, zanim Sten dotarł do rampy. Kapitan krążownika i dowódca batalionu Gwardii Imperialnej zaszalutowali Stenowi. Oddział żołnierzy pochodził z Trzeciej Gwardyjskiej, jednostki, z którą Sten nigdy nie współpracował i nic o niej nie wiedział. Kiedyś, dawno temu, jako kamuflaż w pewnej operacji Mantis służyła mu historyjka o zdegradowanym oficerze Trzeciej Gwardyjskiej, i zastanawiał się, nieco ubawiony, czy pozostało to gdzieś w aktach jednostki. Wywiad Imperium przygotowywał takie opowiastki bardzo poważnie. Sten nie chciał wyjaśniać temu pułkownikowi Gwardii, bardzo

poważnie wyglądającemu osobnikowi, który nazywał się T'm Jerety, dlatego ambasador pełnomocny Imperium miał w swej ponurej przeszłości zwolnienie ze służby z powodu różnych okrucieństw, niejasności i w ogóle nie określonych bliżej zbrodni, jakie jeszcze popełniła jego fałszywa tożsamość.

Suchy, gorący wiatr przeleciał przez pole, gdy doktor Iskra zszedł z przedniej rampy krążownika.

Nikt nie zmienił wyrazu twarzy. Nowo przybyłe siły Imperium miały wpojony taki nawyk.

Sten jednak był pod wrażeniem profesjonalizmu swojej drużyny. Usłyszał tylko ciche westchnięcie Kilgoura, zduszony jęk ze strony Otha i komentarz wygłoszony półgłosem przez Sind, którą najwyraźniej trzeba było oduczyć paskudnego języka i swobodnego sposobu wyrażania się, jakie przejęła od swoich Bhorów:

- O cholera! - zaszeptała. - On wygląda jak wieszający sędzia, który pod togą nosi elastyczne majtki. Elastyczne i z różowymi koronkami.

Jej opis odpowiadał prawdzie.

Doktor Iskra z odległości dwudziestu metrów sprawiał wrażenie dość kiepskie. Był szczupły, niewysoki. Nosił nieokreślone, pomięte cywilne ubranie, w które ubrałaby roztargnionego profesora jakaś podława stacja telewizyjna. Profesora, zdecydował Sten, Podskórnych i Nieuświadomionych Myśli i Obscenicznych Wyobrażeń u Agrarnych Nierytmizujących Poetów, o Których Nigdy Nie Mogłeś Słyszeć. Łysawy, w czasach, kiedy naturalne włosy dawało się łatwo dodać czy zastąpić. I te włosy rozdzielił i zaczesał na łysinę tak, jakby chciał ją ukryć.

Z odległości dwudziestu metrów stanowił obraz śmieszny i żalony.

Przy trzech metrach zapewne ulega to zmianie, pomyślał Sten.

Doktor Iskra emanował groźbą. Sten nie potrafił powiedzieć dlaczego. Być może brało się to stąd, że twarde, szare spojrzenie oczu doktora, które chyba nigdy nie mrugały, mierzyło prosto w twoje trzewia. Może powodowały to małe, ostre bruzdy przy zaciśniętych ustach bez warg. A może fakt, że żadna ze zmarszczek na twarzy nie pasowała do uśmiechu.

Iskrę otaczali cywile, doradcy czy też uczniowie, zwykle spotykani u boku polityków na wygnaniu.

Sten zsalutował. Iskra nie odpowiedział mu.

- Ty jesteś Sten, tak? Bardzo dobrze. Dość tych ceremonii. Mamy wiele do zrobienia.

Żądam natychmiastowego transportu do pałacu.

- Mam grawilot ambasady gotowy do jazdy - powiedział Sten.

- Nie, nie. - Iskra odwrócił się do pułkownika Jerety. - Potrzebuję sześciu ciężkich czołgów.

Pojadę za kilka sekund. Pierwszy powinien mieć przymocowane flagi. Jedna kompania z twojego batalionu będzie zabezpieczać trasę. Druga kompania niech czeka na mój przyjazd w strefie bezpieczeństwa Placu Khaqanów. Trzecia kompania ma pilnować pałacu. Zamieszkał, rzecz jasna, w tych samych pokojach, które zajmował poprzedni uzurpator. Dopilnujcie, aby je sprzątnięto. I każdego służącego ma pilnować jeden z gwardzistów, dopóki cała służba nie zostanie zlustrowana.

Pułkownik Jerety zsalutował i wykrzyczał rozkazy, najwyraźniej nie zdając sobie sprawy, że większość polityków oczekuje gwarancji bezpieczeństwa, odczuwając jednocześnie brak kontaktu pomiędzy sobą a adorującym ich pospółstwem. Najwidoczniej Jerety zdążył już przywyknąć do takich żądań ze strony Iskry. Sten zastanawiał się, czy Iskra ma także kogoś do próbowania posiłków.

Iskra odwrócił się z powrotem do Stena.

- Jak już powiedziałem, mamy przed sobą wiele pracy. Proszę iść ze mną do pałacu, tam

będziemy mogli przedyskutować właściwy sposób obejmowania przeze mnie władzy, aby jak najmniej zakłócić porządek.

Sten kiwnął głową. Jego twarz nic nie wyrażała, podobnie jak twarze Alexa, Otho i Sind.

Na Placu Khaqanów czekała na nich owacja. W tłumie przeważały istoty ludzkie, została więc zapewne zorganizowana przez Douwa albo Menyndera. Biorąc pod uwagę to, że ministrowi obrony zwykle dość wiele czasu zabierało podjęcie jakiegokolwiek decyzji, dokonała tego chyba jedna z sekcji Menyndera.

Iskra szedł powoli, wiedząc, że jest filmowany przez stacje telewizyjne, potem zaczął piąć się w górę po stopniach głównego wejścia do pałacu. Odwrócił się i spojrział w dół, na wiwatujący tłumek. Sten zastanawiał się, czy wygłosi mowę. Ale Iskra po prostu kiwnął sztywno głową, jakby tylko wypełniał uciążliwy obowiązek, i odwrócił się do grupy czekających urzędników, złożonej z przywódców Jochiańczyków i przedstawicieli Bogazi i Suzdalów.

Jego oczy przejechały po nich jak aparat fotograficzny. Równie beznamiętnie.

Jeszcze raz skinął głową.

- Dziękuję wam za powitanie mnie w domu - powiedział. - Jutro musimy się spotkać, aby omówić jak ci z was, którzy zostaną do tego wyznaczeni, pomogą mi ustanawiać Nowy Porządek w mgławicy. Teraz jestem zbyt zmęczony. Zjem coś, odpocznę i przejrzę notatki.

Ktoś z mojego personelu skontaktuje się z wami co do dokładnego czasu i miejsca konferencji.

Nie czekając na odpowiedź przeszedł przez otwarte, wysokie wrota prowadzące do pałacu.

Sten podążył za nim.

Kilku oficerów gwardii i jeden wystraszony lokaj pałacowy czekali wewnątrz.

- Jestem... - zaczął lokaj.

- Nazywasz się Nullimer - przerwał mu Iskra. - Byłeś majordomusem Khaqana. Jak twój ojciec. A ojciec twojego ojca służył tej świni, która zrodziła Khaqana.

Nullimer wyglądał tak, jakby miał zamiar zemdleć.

- Jesteś też - ciągnął Iskra - tym, który kiedyś ostrzegł mojego ojca, piastującego stanowisko na dworze, że Khaqan źle o nim mówił.

Nullimer stał z osłupiałym wyrazem twarzy, najwyraźniej nie pamiętając o owym wydarzeniu, potem ożył.

- Tak - kontynuował Iskra. - I zostaniesz za to wynagrodzony, pomimo tego, że twoje ostrzeżenie nie spotkało się z należytą powagą. Mam jedynie nadzieję, że będziesz służył mi tak wiernie, jak służyłeś temu wściekłemu psu.

Nullimer zaczął padać na kolana. Iskra natychmiast znalazł się przy nim, podnosząc go.

- Nie, człowieku. Nie będzie żadnego klęczenia w naszym Nowym Porządku.

Iskra odwrócił się, jakby przemawiał do wiwatującego tłumu lub dygnitarzy nadal paplających na tarasie.

- Widzicie? Wszystko jest mi znane. I wszystko zostanie nagrodzone. - Obniżył głos. - Albo ukarane.

A potem, jeszcze mocniej:

- Wszystko!!

Odwrócił się jeszcze raz do majordomusa:

- Słyszałeś. A teraz idź. Powiedz w kuchni, że będę jadł. Podam temu oficerowi moje tygodniowe menu.

Nullimer, na zmianę czerwieniejąc i blednąc, zdołał wyjść z pokoju. Iskra zwrócił się do jednego ze swoich pomocników:

- Po tym wszystkim będzie mi dobrze służył. Ale przeczeszcie starannie jego pokoje - na wszelki wypadek, gdyby mój osąd miał okazać się błędny.

Pomocnik kiwnął głową i podał Iskrze drukowany wykaz. Iskra wręczył go jednemu z oficerów gwardii.

- To jest to, co zwykle jadam - oznajmił. - Proszę przekazać to kuchni. I poinformować ich, że ta dieta oczywiście nie dotyczy bankietów i wyjątkowych okazji.

Iskra przyjął na moment wyraz twarzy, mający zapewne oznaczać uśmiech, i podążył dalej.

Sten nie mógł się oprzeć. Zatrzymał się obok imperialnego żołnierza i zerknął na listę. To był tygodniowy wykaz dziennych jadłospisów, z notą mówiącą o tym, że ma się powtarzać od początku. Zdołał zobaczyć propozycje na jeden dzień:

Rano Czarny chleb Herbata ziołowa Południe Zupa jarzynowa Woda mineralna Wieczór Zupa z porostów Kotlet z orzechów Sałata, bez sosu Tort śmietankowy Jedna szklanka zwykłego białego wina Podkurek Krakery z otrębami Herbata ziołowa Sten miał nadzieję, że konferencje z ambasadorem Imperium odbywane w porze posiłku zostaną uznane za specjalne okazje. Zwłaszcza wieczorem. Pomyślał również, że te potrawy, szczególnie owa zupa z porostów, mają przypominać Iskrze o dniach biedy na wygnaniu. Nie daj Boże, aby ją naprawdę lubił.

Ale tort śmietankowy? Może to jedyna rozpusta, na jaką sobie Iskra pozwala?

Gdyby ktoś zrobił Stena dyktatorem, myślałby on raczej o konkubinach, mocnych drinkach, substancjach halucynogennych czy złym towarzystwie. Ale każdy tyran ma swoje gusty.

Iskra czekał, wyglądając na zniecierpliwionego. Sten pospieszył za nim.

- To, jak sędzę, była sypialnia Khaqana?

- Tak - odpowiedział jeden z kręcących się cały czas w pobliżu pomocników Iskry.

- Teraz więc będzie moja. Chcę jednak przeprowadzić pewne zmiany.

- Oczywiście, panie doktorze.

Iskra rozejrzał się w zamyśleniu dookoła wielkiego pokoju.

- Po pierwsze, pozbądźcie się tego obscenicznego łóżka. Nie będę naśladował seksualnych praktyk tego płaza. Wiecie, na czym zwykle sypiam. Te obrazy. Zmieńcie je.

Dajcie do muzeum albo spalcie. To nieważne. Nie mamy wiele czasu na oglądanie paskudnych okazów minionej epoki.

Na tej ścianie proszę umieścić ekran projekcyjny; mapę na tej drugiej. Szafy na akta i półki na książki na następnej. Ten kominek proszę przenieść do drugiego pokoju, w którym będzie mój gabinet.

A teraz idźcie. Już. Ty, J'Dean, wróć na statek Imperium. Poinformuj resztę mojej załogi, że mogą rozlokować się w pałacu. Zapewnij im obstawę żołnierzy Imperium.

Doradca kiwnął głową tak samo sztywno jak Iskra. Może to była ich własna wersja salutowania. Wyszedł. Drzwi zamknęły się, Iskra i Sten pozostali sami.

Nie było żadnego wstępu.

- Pozostaje pan w kontakcie z Wiecznym Imperatorem?

- Tak - odpowiedział Sten.

- Dał panu instrukcje? Że mam otrzymać pańskie pełne i całkowite poparcie, bez kwestionowania?



- Muszę pana poprawić, doktorze, żeby uniknąć przyszłych nieporozumień.

Rozkazano mi, abym zapewnił pełne wsparcie ze strony Imperatora. Mimo wszystko ani ja, ani nikt z mojej ambasady nie pozostaje pod pana rozkazami. My tu, w Mglawicy Altaic, reprezentujemy Imperatora, Imperium, jego interesy i jego obywateli. Jesteśmy tu także, zgodnie z instrukcjami Imperatora, aby zapewnić utrzymanie pokoju i stabilnego rządu u władzy.

- To tylko inne słowa - stwierdził Iskra. - Ale mają to samo znaczenie.

Sten wolał nie brać udziału w dyskusji.

- Czy mogę zapytać o pańskie najbliższe plany?

- Mam zamiar spowodować, aby ta mglawica żyła w pokoju, jak sam pan powiedział przed chwilą. I chcę doprowadzić do tego, żeby okrucieństwa, niesprawiedliwość, i zło Khaqana i jego zauszników natychmiast się skończyły.

- Bardzo chwalebne zamiary - powiedział Sten, usiłując wykrzesać odrobinę ciepła w głosie.

- Dziękuję.

- Jak słyszałem, dwa razy użył pan słów Nowy Porządek - ciągnął Sten. - Co, dokładnie, rozumie pan przez to?

- Nie zna pan moich prac? Moich analiz?

- Proszę mi wybaczyć. Ale ostatnio byłem bardzo zajęty, usiłując zapobiec nadciągającemu pożarowi. I dowiedziałem się o pana przybyciu dopiero niedawno.

- Musi pan je przeczytać - powiedział ostro Iskra. - Inaczej nie jest możliwe zrozumienie Mglawicy Altaic, a co dopiero udzielenie mi pomocy w rządzeniu.

- A więc uczynię to. Natychmiast. Ale wróćmy do tego, co pan właśnie powiedział.

Ma pan zamiar rządzić tą mglawicą. Proszę wybaczyć moją ignorancję. Jaką formę to przyjmie? A dokładniej, jak reprezentatywny będzie pański rząd?

- Bardzo - stwierdził zdecydowanie Iskra. - Ale nie będzie przypominał żadnej formy tyranii Khaqana. Jeszcze jedna rzecz, ambasadorze Sten. Pochodzi pan z cywilizowanego świata, ale nie powinien pan czynić pomyłki polegającej na antropomorfizowaniu istot z mojej mglawicy.

Cywilizowany świat, pomyślał Sten. Vulcan? Stworzona przez człowieka planeta niewolniczej pracy i niespodziewanej śmierci? Utrzymał beznamiętny wyraz twarzy, podczas gdy Iskra kontynuował.

- Należy pamiętać o tym, że nikt z nas, Torków, Jochiańczyków, Bogazi czy Suzdalów nigdy nie znał demokracji. Istoty tutejsze mogą krzyczeć o niej, ale to dla nich niepojęta idea w odniesieniu do rzeczywistości. To coś takiego, jak oczekiwać od ślepego od urodzenia, aby docenił zachód słońca, nie sądzi pan?

- Mój Nowy Porządek oznacza zatem wyznaczenie pewnych kierunków działania. To jedyny sposób na to, abyśmy znaleźli ostateczną wolność. Oczywiście nie za mojego życia, ani zapewne nie za czasów moich, jeszcze nie narodzonych synów.

- Ale to nadejdzie.

- To jest przysięga, jaką złożyłem na grobie mego ojca, i którą ponowiłem, kiedy Khaqan zamordował mi brata. Mglawica Altaic pozostanie w pokoju. I moje święte posłannictwo wypełni się - nieważne, jaki koszt poniesie ta generacja! Nie może istnieć żadne prawdziwe bohaterstwo ani czynienie dobra bez poświęcenia złożonego u ich stóp!

Oczy doktora Iskry rozjarzyły się czerwienią, odbijając blask zachodzącego na dworze słońca.

# Rozdział 16

- Dlaczego - zastanawiał się Alex Kilgour - mam wrażenie, że to nie jest nic więcej, jak tylko rycząca chabeta?

Wskazał na ekran ścienny, na którym widniał obraz tarasu pałacu Khaqana. Muszę zmienić napisy, powiedział sobie Sten. To Iskra teraz nosi koronę.

Na tarasie stał doktor Iskra. Podniósł ręce z lekkim uśmiechem na twarzy, kiedy tłum na skwerze u jego stóp wybuchnął wiwatami.

Przed nim stała siła Altaic. Ludzie, przynajmniej na pozór, wszyscy mieli na twarzach wyraz tej samej ulgi, słysząc o przejęciu władzy. Sten nie miał doświadczenia w odczytywaniu emocjonalnego nastawienia Suzdalów czy Bogazi, nie potrafił więc odgadnąć ich stosunku do sprawy. Pomyślał, że to spotkanie musi się po prostu odbyć według scenariusza obowiązującego przy zmianie dowództwa, tak jak wtedy, gdy ktoś obejmuje nową jednostkę i ma spotkać się z niższymi rangą oficerami i udawać miłego. A potem zaczyna się terror i spadają głowy.

Wiwaty ustały i Iskra podsumował swoje przemówienie.

- ...czas uzdrowienia. Czas dla nas wszystkich, aby porzucić przeszłość, ciemne cienie zemsty, i zjednoczyć swe siły w celu zapewnienia pomyślnej przyszłości dla nas samych i dla tych pokoleń, które nadejdą.

Wszyscy pochodzimy z Altaic. Łączy nas ten sam system. Te same planety. Ale zamiast realizować nasze wspólne przeznaczenie, marnujemy siły w walkach, rozpoczętych z dawno zapomnianych powodów. Nienawidzimy naszych sąsiadów, ponieważ ich kod genetyczny różni się od naszego. A przecież wszyscy pochodzimy z tej samej uniwersalnej protoplazmy, i ani gatunek, ani rasa czy macierzysta planeta nie mają znaczenia.

Znacie mnie. Znacie sprawiedliwość i honor, które reprezentuję. Wiecie, że spędziłem lata w wygnaniu, walcząc w każdy możliwy sposób, aby zniszczyć to plugastwo, jakim był Khaqan. I udało mi się.

- Tak. Ty i mały atak apopleksji. Zaraz powie, że wynalazł też AM2 i szkocką - stwierdził Alex.

- Nadszedł czas na nasze następne zadanie. Nadszedł czas na nas, a przeszłość...

Sten wyłączył głos, pozostawiając gestykującego w milczeniu Iskře. Siedzieli we dwójkę z Alexem w apartamentach ambasady należących do Stena, dokładnie zabezpieczonych i nieustannie sprawdzanych, czy nie ma podsłuchu.

- Zdaje ci się, że to chabeta - powiedział do Alexa - bo tak jest. - Wskazał na wielki stos fiszek, opracowań i analiz.

- Przekopałeś się przez te wszystkie wypociny naszego doktoraka?

- Tak jakby. Przeczytałem kilka, resztę w streszczeniach. Iskra nie jest przejrzysty jak kryształ, kiedy pisze. A ma być niby takim wspaniałym mówcą.

- Ten pierdoła wcale nie pobudził mojej adrenaliny - zgodził się Alex.

- Ani mojej. I o ile mogę stwierdzić, chociaż na pewno nie jestem geniuszem politycznym, jego główna teoria polega na tym, że najpierw należy zniszczyć wszystko, co zdziałał Khaqan, a potem zobaczy się, co dalej robić. Ten Nowy Porządek, jak gdzieś twierdzi, „musi pozostawać giętki i czuły na zmiany i wyzwania”. Kocha się w patetycznych słówkach.

- Taaa, dupek z niego. I rzecz jasna tym, kto ma być najbardziej giętki i podejmować te wyzwania, jest nasz dobry doktor Iskra?

- Oczywiście. To on podróżował. To on studiował. To on zrobił analizy porównawcze każdej istniejącej teorii politycznej, włączając w to działania Imperatora. Nie wiedziałem, że Imperator ustanowił go po wojnie jednym z gubernatorów w Systemie Tahnu.

Sprawdził się - przynajmniej tak twierdzi.

- Nie dziwię się - powiedział Alex. - Ci Tahnijczycy niczego nie rozumieją tak świetnie, jak buta przyciśniętego wprost do szyi. W takich warunkach wyrastali. Doktor Iskra mógł być przez nich nawet uważany za liberała.

- A co z rzeczywistym problemem? Wszystkimi tymi rasami, które nie są szczęśliwe, jeśli nie wyrzynają się nawzajem? Czy on ma jakiś plan, jak to zakończyć?

Sten pokręcił głową.

- Wiele gada o równości. Ale funkcjonuje to w taki sposób, że niektórzy obywatele Mglawicy Altaic są jakby odrobinę równiejsi od innych.

- Pozwól mi zgadnąć. Iskra jest Jochiańczykiem, mam więc wrażenie, że to Jochiańczycy będą nieco lepsi od innych.

- Trafione.

- Cholernie wspaniale. „Jestem waszym nowym szefem. Będziemy robić wszystko po nowemu. Ale co nieco zostanie po starym”. Iskra, własnoręcznie wybrany przez Imperatora złoty chłopak. Nie mam nic przeciwko temu, że jest dyktatorem, Bóg jeden wie, ilu ich kiedyś razem z tobą wsadziliśmy na stołki. Ale nie dam złamanego grosza za to, że ten facecik ma chociaż najmniejsze pojęcie o subtelności czy cierpliwości. Sądzę raczej, że to taki rodzaj gościa, który chce mieć cały świat, i to już na wczoraj.

- Mogę to jakoś przeżyć - stwierdził Sten. Patrzył na ekran, na należycie entuzjastycznie nastawione istoty dookoła Iskry. - Zastanawiam się tylko, co poza zwykłymi miłymi słówkami powiedział Iskra swojemu rozgadanemu parlamentowi... Jak sądzisz, moglibyśmy tam kogoś przekupić?

Kilgour pomyślał.

- W tej chwili każdego - stwierdził. - Ale jeżeli chcesz mieć tę muchę na ścianie od wczoraj, to zacząłbym od Menyndera. Zdaje mi się, że najbardziej miał oko na wszystko. I nie jest głupi.

- Zgoda - powiedział Sten. - Zobaczmy, czy uda nam się przerobić go na porządne, wiarygodne źródło informacji.

- Nie ma sprawy. - Kilgour zamilkł na chwilę. Potem, jakby mimochodem, spytał: - Czy kiedykolwiek pozwoliłeś sobie na przerażający luksus zastanawiania się nad tym, że nasz Nieustraszony Przywódca się starzeje?

Sten drgnął, jak by trafiła go lodowata kula. Nie odpowiedział, ale podszedł do barku i nalał dwa

duże drinki. Nie szkockiej; nie stregga. Czystego, mocnego spirytusu, jaki nauczył się pić jako frontowy żołnierz. Wręczył jedną szklankę Alexowi.

- Jeżeli tak jest - powiedział Sten po pociągnięciu dużego łyka - i wybór doktora Iskry stanowi tego dowód, to przyszłość zaczyna wyglądać jak to. - Wskazał na zewnątrz, gdzie za potężnym oknem kształtował się wał wielkich, czarnych chmur, przynoszących następną wiosenną burzę nad stolicę.

- Nie martw się, chłopie - stwierdził Kilgour, wychylając swoją szklankę, czekając, aż Sten zrobi to samo i idąc po następną porcję. - Jesteśmy wszak przednią strażą Imperatora. Jeśli on się poszkapi, to my nie dożyjemy tego, żeby zobaczyć, co będzie później.

Sten nie czuł się uspokojony.

- Teraz - powiedział, idąc za przykładem Alexa i wychylając szklankę do dna - będziemy mieć zabawę patrząc, jak doktor Iskra pokazuje swoją ciężką rękę i obserwując, co stanie się z tymi, którzy się z nim nie zgodzą.

- Na to też mam odpowiedź - oświadczył Alex. - Jest cholernym idealistą. To znaczy, że krew będzie się nam nalewać do butów. Za sześć miesięcy, kiedy spojrzą wstecz, powiedzą, że świętej pamięci Khaqan to był taki łagodny, uprzejmy, subtelny człowiek. Schowaj się i patrz. A może chciałbyś założyć się ze mną, że Iskra to nieśmiałe, miłe jagniątko?

Sten pokręcił głową.

- Może jestem szalony, ale nie pomyłony. Mam już pewne doświadczenia. Nie. Nie sądzę, aby doktor Iskra został zapamiętany za swoją słodycz i beztróskę.

- Mam nadzieję - stwierdził doktor Iskra - że mogę mówić do was, szanowni państwo, i przedstawić swoją wizję przyszłości bez obawy posądzenia o dwuznaczność.

Jesteście profesjonalistami, macie świadomość nieuniknionych procesów historycznych, i tak samo jak ja troszczycie się o chwałę Mglawicy Altaic.

Rozległ się pomruk. Wyglądało na to, że słuchacze wyrazili zgodę.

W wielkim audytorium znajdowało się tylko piętnaście istot. Stanowiło ono część kompleksu koszar, należącego do bardzo znaczącej, elitarnej jednostki, znanej niegdyś jako Ochrona Khaqana, której zadanie polegało przede wszystkim na ochronie życia zmarłego Khaqana, jego własności, krewnych i przyjaciół. Ściany zostały niedawno odnowione, a nowe freski ukazywały żołnierzy ochrony na służbie, czekających z zatroskanym spojrzeniem na barykadach, aby wystąpić przeciwko zakulisowemu nieprzyjaciółom, lub pomóc niewinnym obywatelom w przezwyciężaniu nieszczęścia. Wszyscy żołnierze i wszyscy cywile na tych freskach byli Jochiańczykami.

Piętnaście istot zostało wybranych spośród najwyższych rangą oficerów wojska Khaqana. Ale nie byli to sami najwyżsi dowódcy. Iskra dobierał ich starannie.

Każdy z nich otrzymał ustny rozkaz utrzymywania się w gotowości do wypełnienia wyjątkowego zadania. Jeden po drugim, bez doradców czy pomocników, byli oni wyławiani przez reprezentantów Iskry i dostawiani do tego bezpiecznego miejsca.

Wszyscy zrobili w wojsku karierę. Wszyscy pochodzili z rodzin służących od pokoleń temu, co Khaqan nazywał „Państwem”. I wszyscy byli Jochiańczykami. Iskra nie chciał obecności tych kilku Torków, Bogazi czy Suzdalów, którzy też otrzymali swoje gwiazdki.

Pomiędzy nimi znajdował się wysoki, srebrnowłosy mężczyzna. Generał Douw. Robił, co tylko mógł, aby nie rzucać się w oczy - dopóki nie zorientuje się, z której strony wieje wiatr.

- My z Altaic - ciągnął swoją mowę Iskra - jesteśmy istotami, które z natury potrzebują skał, do jakich można przylgnąć, podczas gdy fale zmian pienią się dookoła.

Jedną z owych opok stanowić powinno - ale nigdy tak nie było pod rządami Khaqana - wojsko. Istoty, które są bez wątpienia przygotowane do ryzykowania własnym życiem w obronie swego państwa. I dotyczy to nie tylko żołnierzy walczących w polu, ale także i tych, którzy poświęcają całe swoje życie służbom wspierającym tę walkę.

To są te istoty, które ja jako dziecko, nauczyłem się kochać i szanować. Muszę się przyznać, mam nadzieję, że nie wyjdzie to poza ten pokój: płakałem w chwili, kiedy dowiedziałem się, iż moje zdrowie nie pozwala mi zaciągnąć się do wojska.

Iskra przerwał, oczy przesuwały się po twarzach siedzących przed nim ludzi.

Zatrzymały się przez chwilę na Douwie. Tylko na tyle długo, aby go nieco wystraszyć. Douw kiwnął głową i starał się przybrać współczujący wyraz twarzy.

Iskra kontynuował.

- Oczywiście, kiedy podrosłem jeszcze trochę i zobaczyłem ogrom zbrodni, jakie musiał popełniać żołnierz pod rządami Khaqana, a mój ojciec i nieodżałowany brat stwierdzili, że jestem wystarczająco dojrzały, aby powiedzieć mi prawdę, wiedząc, że nie rozgadam tego dalej podczas dzieciennych pogaduszek, bardzo ucieszyłem się ze swojej choroby.

Ale wystarczy już tej dygresji.

Nie mamy zbyt wiele czasu. Wasza piętnastka to kobiety i mężczyźni, jakich potrzebuję do wprowadzenia mojego Nowego Porządku. To wy reprezentujecie wojsko. Nie ten motłoch, który Khaqan nazywał swoją armią i marynarką wojenną. I wszyscy jesteście Jochiańczykami.

Iskra przestał i pozwolił, aby cisza nabrzmiała i stała się męcząca.

Nikt, kto osiągnął wysokiego stopnia w jakimkolwiek wojsku, nie przeoczyłby takiej wskazówki.

- Zauważyłam to - powiedziała kobieta o ostrych rysach twarzy, której mundur obwieszony był medalami. - Czy mamy wyciągnąć z tego takie wnioski, jakie chcielibyśmy?

- To znaczy, generale F'lahn? - Iskra podprowadzał ją tak, jakby zachęcał zdolnego ucznia.

- Czytałam pańskie prace, doktorze. Opowiadały one o mgławicy, gdzie my wszyscy, Torkowie, Suzdalowie i Bogazi zjednoczeni podążamy ku wspólnym celom. A najlepsi, Jochiańczycy, prowadzą, dzierżąc chorągiew. Czy może źle coś zrozumiałam?

- Zrozumiała pani doskonale - zgodził się Iskra. I właśnie dlatego stwierdziłem, że mogę mówić szczerze. To ma być nowy dzień. Nowy Porządek. Ale ten dzień dopiero nadejdzie. A teraz musimy przywrócić ład. Powinniśmy zacząć od tego, że wszystkie istoty na Altaic poznają poczucie bezpieczeństwa. Nie będą bać się o swoje domy, pracę, dzieci.

Znów rozległ się następny szmer - ten wyrażał całkowitą zgodę. Generał F'lahn powinna zostać wynagrodzona za swoją odwagę.

- To się nigdy nie zdarzy - burknął jakiś admirał. - Na pewno nie, dopóki mamy te kieszonkowe armie, te milicje, włóczące się dookoła i nazywające siebie żołnierzami.

- Zajmiemy się tym, obiecuję panu, admirale Nel. Zostaną albo rozpedzeni, albo oddani pod komendę odpowiednio wyszkolonych oficerów, albo...

Nie dokończył. I nie musiał. Piętnastka oficerów promieniała już zupełnie otwarcie.

- Tak - ciągnął Iskra. - Kiedy wreszcie Nowy Porządek da innym istotom poczucie właściwego miejsca... Na przykład ten nonsens na Uniwersytecie Pooshkan.

- Doktorze Iskra, Khaqan popełnił wiele potwornych zbrodni. I niektórzy przedstawiciele naszego wojska, a nawet ku mojemu nieskończonemu wstydnemu pewni Jochiańczycy, byli mordercami. Czy

rozważał pan ten problem?

Pytanie zadała jedna z niższych rangą osób, brygadier S'Kt. Jako uczennica Iskry, została zmuszona do rezygnacji. Przed zamordowaniem przez Khaqana ocaliło ją wyłącznie to, że pochodziła z wyjątkowo bogatej rodziny, która tradycyjnie wspierała byłego władcę. Jedną z pierwszych rzeczy, jaką zrobił Iskra po przybyciu do Rurik, stanowiło „poproszenie” o to, aby wróciła ona do służby.

- Rozwazałem to. Owe gwałty i morderstwa były porażające. Popelniono je przeciwko Jochiańczykom, Torkom, Suzdalom, Bogazi. Właśnie teraz wydawane są rozkazy, aby każdy zamieszany w nie wojskowy został ujęty i dokładnie przesłuchany.

Zebrani zamarli. Generał Douw skulił się na krześle.

Ale Iskra zaprezentował swój uśmiech.

- Jest dla mnie oczywiste, że jeżeli ktoś z tu obecnych miał przydział do jednostki, zamieszanej w owe zbrodnie, to świadczy tylko, pod jak wielką presją pozostawaliście podczas rządów Khaqana. Mówiąc szczerze, żadne z was nie jest uważane przeze mnie za kogoś innego niż godnego honorów żołnierza. Każdy, kto sądzi inaczej, zasłuży na moje najsurowsze potępienie.

I docenię waszą pomoc w tej sprawie. Kiedy będziecie wychodzić, zostaną wam udostępnione akta dotyczące jednostek i oficerów, których proponuję przesłuchać.

Jeżeli wiecie o tym, że ktoś z nich jest niewinny, a moi informatorzy się mylą, to proszę poinformować o tym natychmiast mój personel. I odwrotnie, jeżeli jakiś kryminalista czy jednostka nie zostały uwzględnione w aktach, będę wdzięczny za dołączenie ich danych.

Zapadła cisza. Kilku oficerów - zwłaszcza generał Douw - odważyło się na uśmiech.

Nakazy aresztowania i zsyłki wróciły do łask.

- A więc zrozumieliśmy się, tak?

Kilkoro przytaknęło, niektórzy zdobyli się na szczery uśmiech.

- Ostatnie pytanie.

- Tak, pani generał F'lahn.

- Pańska własna rodzina... była traktowana w sposób budzący najwyższe oburzenie.

Twarz Iskry przybrała kamienny wyraz.

- To inna sprawa. Nie ma związku z wami. Nie ma związku z państwem. Krew to krew. Na krew odpowiada się krwią. Ci, którzy pomogli temu koszmarnemu robalowi, co sam siebie nazywał Khaqanem, prześladować i zniszczyć mojego ojca, moją rodzinę i mojego brata, zostaną zniszczeni.

Znam ich od lat. Leżąc bezsennie na mojej pryczy, marząc o ojczyźnie i sądząc, że jej już nigdy nie ujrzę, widziałem ich twarze, i poprzysięgłem, że jeżeli tylko otrzymam taką szansę, to się zemszczę. Ta zemsta jest teraz w zasięgu ręki.

W sali zaległa kompletna cisza, przerwana nagle przez aplauz, przyjęty w Mgławicy Altaic - przedramię uderzające ciężko w ciało. Najgłośniej robił to generał Douw.

No cóż, każdy z nich, każda z rodzin, miała wrogów.

Na krew rzeczywiście odpowiada się krwią.

- ...jeżeli tylko otrzymam taką szansę, to się zemszczę. Ta zemsta jest teraz w... - mężczyzna wyłączył magnetofon.

- I co pomyśli o tym pański imperialny zwierzchnik? - spytał doktor Iskra z nutą wyzwania w głosie.

- Ta sprawa go nie dotyczy - odpowiedział mężczyzna. - Imperator wybrał pana do rządzenia Mgławicą Altaic po tym, jak zdecydował, że jest pan najbardziej nadającą się do tego istotą. W jaki

sposób zbierze pan swoje siły - nie ma znaczenia, zwłaszcza jeśli chodzi o pomniejsze sprawy, jak czystka wśród generalicji wojskowej.

Doktor Iskra wyraźnie się odprężył. Mężczyzna pozwolił mu na chwilę odpoczynku, po czym podszedł do stołu i nalał dwie filiżanki ziołowej wieczornej herbatki Iskry.

- Rozumiem - powiedział nagle - że ta akcja prowadzona jest we właściwy sposób.

Co oznacza, że powinien pan być ostrożny, pozwalając swoim generałom na dodawanie do listy ich prywatnych nieprzyjaciół... I należy się z tym uporać natychmiast.

- Tak będzie oświadczył Iskra. - W sposób, jaki wskazał pan jako najbardziej efektywny.

Oczywiście muszę wprowadzić tu pewne modyfikacje, podyktowane socjologiczną charakterystyką mojego ludu.

Mężczyzna spojrział na Iskrę i postanowił nie zadawać więcej pytań.

Był on łącznikiem pomiędzy Wiecznym Imperatorem a Iskrą, odkomenderowanym do działania w głębokiej konspiracji. Nikt, poza samym Imperatorem, nie wiedział o jego zadaniach, a zwłaszcza nikt z imperialnej misji w Rurik. To wyłączenie specjalnie wskazywało na Stena, ambasadora Imperium.

Sten znał tego mężczyznę.

Był to doświadczony szpieg, człowiek, który nie służył nikomu innemu, tylko samemu sobie i swojemu chwilowemu chlebodawcy, temu, kto dał najwięcej.

Jego nazwisko brzmiało Venloe.

Człowiek, który odpowiadał za zamordowanie Wiecznego Imperatora.

# Rozdział 17

Bór był daleko na północy od Rurik. Zaczynał się tam, gdzie kończyły się równie olbrzymie bagna, i rozciągał na wiele kilometrów, prawie do wybrzeża niemal pozbawionego pływów wewnętrznego morza.

W dialekcie miejscowych chłopów bór nazywano „Miejscem Dymów”. W lecie trąby powietrzne przebiegały przez las, podnosząc wielkie chmury pyłu wysoko w atmosferę. Podczas wiosny i jesieni ciężkie mgły wpełzały na suchy, cichy ląd. A w zimie polarne burze czyniły „dym” białym.

Blisko wewnętrznego morza, wiele lat wcześniej, Khaqan postanowił zbudować sobie schronienie. Ponieważ wszystko w Rurik było wielkie, a Khaqan lubił wszystko, co olbrzymie, miały tu stanąć budynki wystarczające na pomieszczenie całego dworu.

Zmierzono całą posiadłość.

Tu i tam nadal można było zobaczyć kolorowe znaki, wstrzelone w pnie drzew czy głązy.

Zrobiono przecinki, ale ich nie wybrukowano.

Khaqan stracił zainteresowanie, zanim wzniesiono jakiegokolwiek budowle, a Miejsce Dymów wróciło do swego osamotnienia. Teraz jedynymi gośćmi puszczy byli nielegalni wypalacze węgla drzewnego w lecie i jesieni, i łowcy futer zimą.

Nie pozostawali długo. Bór przerażał ich swą wielkością i ciszą.

Długa linia ciężkich sań grawitacyjnych rozciągała się wzdłuż pozostałości drogi, głęboko w sercu puszczy.

Ładunek każdego z pojazdów stanowiły istoty rozumne, ludzie i niehumanoidzi.

Niektórzy z nich nosili mundury, pospiesznie wciągnięte, kiedy rozległo się wściekłe walenie do drzwi, a teraz podarte i brudne. Inni mieli na sobie tylko to, co zdołali złapać, kiedy zabierano ich nagle z domów czy miejsc pracy.

Strzegły ich pilnie istoty, noszące takie same mundury. Ale wszyscy strażnicy byli ludźmi.

Więźniowie trwali w ciszy. Niektórzy z nich opatrywali rany.

Pojazdy skręciły w węższą przecinkę, a potem jeszcze raz, na trakt. Droga otwierała się na to, co kiedyś było łąką.

Pojazdy osiadły na gruncie.

Wykrzyczano rozkazy. Więźniowie wysiedli.

Niektórzy z nich pozostali we wnętrzach grawisań. Leżeli, nie ruszając się, rozciągnięci na pokładach. W tym momencie martwi czy też bliscy śmierci nie zaprzęтали uwagi strażników.

Ci, którzy przeżyli, na rozkaz ustawili się w szeregu.

Pomiędzy więźniami były Acinhow i N'ern. Jedna z nich pracowała przedtem jako niższy rangą



oficer w więzieniu, druga jako urzędnik podatkowy. Obie miały dość czasu, aby podczas aresztowania chwycić kilka racji żywnościowych. Utrzymało je to przy życiu podczas długiej podróży na północ.

- A teraz - zaszepiała N'ern - co z nami będzie? Nie widzę tu żadnego więzienia.

Czy mamy je sami wybudować pośród tej puszczy?

Acinhow lekko pokręciła głową i wskazała kierunek.

W połowie łąki znajdowały się długie, otwarte rowy. Sprzęt do robót ziemnych czekał w pobliżu.

Inne rowy przed nimi zostały wykopane wcześniej. Ale te już wypełniono. Ziemia nad nimi poruszała się.

Twarz N'ern stała się szara.

Rozległy się szepty, kiedy inni więźniowie też zobaczyli te rowy. Straż zaczęła wrzeszczeć, żeby się uciszyli.

N'ern dwa razy próbowała coś powiedzieć, zanim jej się to w końcu udało.

- Dzieci nigdy nie... - urwała. Acinhow zadrżała.

N'ern spróbowała ponownie.

- Przynajmniej... przynajmniej - zamruczała - odbędzie się to z honorem.

# Rozdział 18

Sten po same uszy utonął w R-U-T-Y-N-I-E. Na Jochi oznaczało to permanentny stan krańcowej paniki. Dwie trzecie ze światełek na konsoli łączności błyskało żółtym alarmem. Reszta była czerwona.

Jego technicy łączności - wszyscy szkoleni jako dyplomatyczni ombudsmeni - krzżeli się dookoła. Brodzili w gównie. Łagodzący sytuację tam, gdzie wystarczyły zwykłe słowa. Odsyłali rozmówców do odpowiednich agend - wiedząc, że minie sporo czasu, zanim którekolwiek rządowe ministerstwo zacznie efektywnie pracować. Tam gdzie mogli, oddawali małe przysługi.

Wszystko, co było tego warte, przelewano na gorąco na formularze wywiadu i przesyłano Stenowi. Napływało tak wiele raportów, że Sten przesiedział cały ranek w pokoju łączności, ślęcząc nad sprawozdaniami i zajmując się mnóstwem telefonów, które mógł przyjąć tylko ambasador.

Pierwszy tego dnia zadzwonił Milhouz, pilnie chcąc rozmawiać z ambasadorem. Sten uznał to za błahostkę w obliczu innych spraw do załatwienia. Tak, obiecał studentom Pooshkan posłuchanie u kogoś, kto ma władzę. Po spotkaniu z doktorem Iskrą nie był jednak pewien, jak wypełnić tę swoją obietnicę.

Zajmie się tym później. Coś wymyśli - kiedy tylko wyciągnie jakieś wnioski z tych wszystkich raportów mówiących o trwających na całej Jochi zamieszkach. Zwłaszcza w dzielnicach i gettach Rurik.

Toczyło się nieco więcej niż zwykle walk, w których polała się krew. Ale bez strzelaniny.

Jakieś milicyjne manewry uliczne na małą skalę, jednak bez oddawania strzałów - przynajmniej nie w gniewie. Trochę więcej rabunków. I przemocy rodzinnej.

Sten przewijał zapis. Doszedł do następnego naglącego telefonu od Milhouza.

Oficer łącznościowy skrócił przekaz do następujących słów: „Udało się odwlec sprawę ultimatum.

Komitet zgodził się przesunąć termin o następny tydzień”. Sten zauważył, że oficerem tym był Freston, jego najstarszy i najbardziej zaufany człowiek od załatwiania takich telefonów. Niestety, wyraźnie marnował się on w tej pracy, i Sten chciał uratować go przed najwyraźniej niepożądaną i potwornie nudną karierą, jaką jest prowadzenie wysoko cenionego zespołu łącznościowego.

W rubryce „uwagi” Freston wpisał: „Sposób mówienia obiektu wyraźnie łagodny.

Głos zdecydowanie napięty, co wskazuje na niestabilność osobowości. Widzi ambasadora Stena jako postać ojcowską. Sugerowany sposób postępowania: kontynuacja zdecydowanej linii.

Miękkie podejście może zaowocować dalszym pogłębieniem się rozkojarzenia”.

Kurewsko wspaniale, pomyślał Sten. Postać ojcowiska dla zepsutego, bogatego dzieciaka.

On przecież nawet nie lubił Milhouza, myślał o nim jak o pieczeniaku o drżącym głose, wykorzystującym grupę równie bezużytecznych osobników. Do diabła z nim!

Oddzwoni, kiedy będzie do tego gotowy. Ojcowska postać, niech to cholera!

Sten ruszył do przodu, przedzierając się poprzez kolejne raporty. I uderzyło go następne ostrzeżenie. Wybuchła panika i gorączka robienia zapasów. Na całej planecie sklepy sprzedające zakonserwowaną żywność i napoje wyprzedawały swój towar. Paliwo i olej jadalny także znikwały.

Nie podobało mu się to. Oznaczało, że aby przekonać ludzi, iż czeka ich w miarę znormalizowane życie, trzeba czegoś więcej, niż tylko kilku dobrze przygotowanych przemówień Iskry.

Sten obserwował, jak draństwo rośnie coraz wyżej. Alex twierdził, że kłopoty się potrajają.

Sten nie zgadzał się z tym, nawet jeśli twierdzenie pochodziło od świętej „mamusi” Kilgoura. W opinii Stena problemy napływały, aż wreszcie nie mogłeś już tego znieść. A potem uderzały ze zdwojoną siłą.

Zapisały otwierające się drzwi i do pokoju łącznościowego weszła Sind.

Ucieszył się, że ją widzi. Ale zmartwił go wyraz jej twarzy.

- Wydaje mi się, że nie zjawiała się po to, aby mi powiedzieć, że idea rajy Iskry zajaśniała na ulicach Rurik - stwierdził Sten.

- Nie, chyba że w rajy także zdarzają się natarcia żołnierzy i masowe aresztowania - powiedziała Sind.

Sten zareagował w swój najbardziej dyplomatyczny sposób.

- Co ty, cholera, mówisz?

- Sprawdziłam te pogłoski o znikających obywatelach - stwierdziła. - To nie są plotki. Mam naocznych świadków. Ojcowie rodzin, a czasami całe rodziny są łapano na prawo i lewo przez żołnierzy Iskry.

- W co gra ten człowiek? - spytał Sten. - Utonie w tym po uszy, zanim jeszcze zacznie na dobre.

Jeden z oficerów łącznościowych zasygnalizował do niego.

- Mam następny telefon od młodego Milhouza - powiedział. - Jest właśnie na linii. Mówi, że to bardzo ważne, aby mógł z panem porozmawiać. To pilne, jak twierdzi.

- No jasne - powiedział Sten. - Skłam jakoś. Zawiadom go, że zachorowałem na beri-beri czy coś takiego. A potem połącz mnie z doktorem Iskrą. Chcę z nim rozmawiać.

Natychmiast!

Kilka minut później twarz Iskry o zaciśniętych wargach pojawiła się na centralnym ekranie.

- Rozumiem, że ma pan jakąś niezwykle pilną sprawę - wycedził Iskra.

- Chciałbym otrzymać pewne wyjaśnienie, jeśli pan pozwoli, doktorze.

- Nie podoba mi się pański ton, panie ambasadorze.

- Mam zamiar nadal mówić tym tonem - powiedział Sten - ponieważ usłyszałem, że przywódca, którego mam wspierać, robi rzeczy, mogące sprawić kłopoty człowiekowi, przed którym odpowiadam. Wiecznemu Imperatorowi.

- A cóż ja takiego robię?

- Mam potwierdzone raporty, doktorze Iskra, że pańscy żołnierze dokonują masowych aresztowań.

- Gdyby zapytał pan najpierw mnie - stwierdził gładko Iskra - potwierdziłbym to panu sam.

To zaoszczędziłoby panu kłopotów i nieporozumień.

- W porządku. A więc pytam.

- Tak, były pewne aresztowania - powiedział Iskra. - Sądzę jednak, że nazywanie ich masowymi jest pewną przesadą. Ze zrozumiałych względów wszyscy podejrzani zostali ujęci w mniej więcej tym samym czasie, zaraz potem odtransportowano ich i są teraz trzymani w jednym więzieniu - Fortecy Gatchin. Stanowi ona tradycyjne miejsce na Jochi, gdzie przebywają istoty pod publicznym nadzorem, na których ciążyą podejrzenia. Jednak zapewniam pana, iż to są rutynowe działania podejmowane w celu przywrócenia stabilności mgławicy. Moi obywatele chcą zapewnienia, że sprawiedliwość powróciła do Altaic.

Podejrzani osobnicy zostali oskarżeni o wiele przestępstw. Niektóre są poważne.

Jednakże, aby pozostać absolutnie szczerym, oczekuję, iż wiele z owych oskarżeń okaże się nieprawdą. Że stanowią oni ofiary podłych istot szukających zemsty. Ale, jak już mówiłem, obywatele domagają się procesów. I dlatego ja załatwię im te procesy. Sprawiedliwe procesy. Tak więc każdy fałszywie oskarżony będzie mógł publicznie oczyścić swoje imię.

Co za piękny ładunek gówna, pomyślał Sten.

- A co z winnymi? - zapytał.

- Czy przypadkiem nie zapuszcza się pan w obszary, które nie powinny pana obchodzić? - spytał Iskra. - Co ma wspólnego ambasador Imperium z systemem sprawiedliwości na Altaic?

- Zupełnie nic - przyznał Sten. - Ale zdecydowanie chciałbym zobaczyć, że rozkazy Imperatora są przestrzegane. Oczekuje on powrotu stabilności w Altaic.

Prowokowanie nowych krwawych starć, doktorze, nie jest dobrym sposobem dojścia do tego.

- Obiecuję panu, panie ambasadorze, że procesy będą całkowicie sprawiedliwe. I że w stosunku do winnych okażą się na tyle miłosierny, na ile to możliwe. Czy to pana zadowala?

- Tak - brzmiała wymuszona odpowiedź.

To, że Iskra kłamie, było oczywiste. Ale Sten nie mógł pozwolić sobie na otwartą walkę z tym człowiekiem. Istniało prawdopodobieństwo, że straci całą kontrolę i misja poniesie fiasko.

- Miło mi było rozmawiać z panem, panie Sten - powiedział Iskra, kiedy skończyli. Ekran opustoszał.

- Lepiej zwiększmy nadzór - nakazał Sten Sind. - Wyślijcie w niebo następną partię tych nietoperzy Kilgoura.

- Będziesz potrzebował czegoś więcej niż tylko tego - stwierdził Alex. Sten podskoczył. Nie słyszał, że Kilgour wchodzi do pokoju. - Jeżeli moje uszy nie są całkowicie zatkane woskiem, to na uniwersytecie właśnie trwa strzelanina.

Sten osłupiał.

- Studenci? A skąd oni dostali broń?

- Nie wydaje mi się, żeby to dzieciaki strzelały - stwierdził Alex.

- O kurwa!

Sten nie powiedział nic więcej. Rzucił się w kierunku drzwi, Alex i Sind pospieszyli za nim.

Biegł przez pomieszczenia ambasady, wołając dyżurną kompanię Bhorów i Gurków.

Przeskoczył próg drzwi i ruszył pędem przez otwartą przestrzeń. Przed oczami miał obraz kompletnego zniszczenia. Ten mały gówniarz Milhouz miał rację przynajmniej w jednej sprawie.

Jeżeli cokolwiek stanie się tym rozgadany młodym istotom na Pooshkan, czyste piekło rozszaleje się w całej mgławicy.

Kiedy Sten dobiegł do bram ambasady, mógł usłyszeć odgłos broni maszynowej dochodzący ze strony uniwersytetu.

I wtedy musiał zwolnić. Bulwar na zewnątrz był wypełniony wieloma żołnierzami Jochi.

Ludźmi Iskry. Dwa uzbrojone czołgi stały u ich boku.

Krzepki major zagroził mu przejście.

- Zejdź mi z drogi - powiedział chrapliwym głosem Sten.

- Przykro mi, panie ambasadorze - stwierdził major - ale nie mogę pozwolić panu wyjść.

- Na czyj rozkaz?

- Na rozkaz doktora Iskry, sir. Ale proszę mnie źle nie zrozumieć. To dla pańskiego bezpieczeństwa. Zostałem także poinstruowany, aby przeprosić za wszelkie niedogodności.

Dostanie pan pozwolenie na przejście natychmiast, kiedy tylko zostanie odwołany stan wyjątkowy.

Sten usłyszał więcej strzałów dochodzących z Pooshkan.

- Czy to właśnie ów stan wyjątkowy?

Major wzruszył ramionami.

- To strzelają młodzi chuligani. Popełnili straszliwe czyny. Zniszczyli własność publiczną. Mordowali. Rabowali. Gwałcili. To przerażające, okropne rzeczy.

- Parszywy łgarz! - usłyszał szept Sind.

- Muszę to sam zobaczyć - powiedział Sten.

Major pozostał profesjonalnie uprzejmy. Ale Sten widział, że żołnierze dookoła niego sprężyli się. Ktoś zaszeptał i rozległ się szum wieżyczek, obracających się w stronę ambasady.

- Naprawdę nie mogę na to pozwolić, sir - powiedział major. - Naprawdę. To dla pańskiego własnego bezpieczeństwa. Proszę już nie naciskać i nie zmuszać mnie, abym wypełnił swój obowiązek.

Sten poczuł pustkę wewnętrzną, kiedy odwrócił się z powrotem. Znowu usłyszał terkot broni maszynowej i coś, co brzmiało jak oddalone krzyki.

Co, u diabła, mógł zrobić? Pomyślał o Milhouzie i tych innych nieszczęsnych, przeklętych bogatych dzieciakach. Jasne, nie potrafił w niczym pomóc. Mógł tylko życzyć studentom, żeby udało im się ujść z życiem.

Gdyby tylko wcześniej odpowiedział na telefony Milhouza. Gdyby tylko...

O cholera!

Alex i Sind próbowali pocieszyć go, kiedy zmierzał ku drzwiom ambasady.

Nie zostało już nic do zrobienia - oprócz zbierania sił.

# Rozdział 19

Dzieci Altaic nie umierały bez walki.

Ponad dwadzieścia pięć tysięcy studentów wypełniało kampus, kiedy uderzyły oddziały Iskry. Zaczęło się to od pozorowanego natarcia na barykadę. Sześćdziesięciu uzbrojonych w maczugi policjantów zaatakowało dziesięciometrowy stos gruzu.

Niczego nie spodziewający się studenci zaczęli obrzucać ich kamieniami. Oddział policjantów przedarł się na drugą stronę i pałował na prawo i lewo, rozbijając czaszki i łamiąc kończyny.

Para młodych Suzdali wpadła pomiędzy nich. Ciała padały pod ich ciosami, ostre zęby szarpały. Policjanci wycofali się. Udawali, że przegrupowują się do następnego szturmu.

Młodzi obrońcy barykady krzyczeli o pomoc. Setki pospieszyły im na ratunek.

W głównej kwaterze Komitetu Pooshkan Milhouz i inni przywódcy usłyszeli wrzaski.

- Zostaliśmy zdradzeni! - krzyknął.

- Chodźmy. Musimy im pomóc! - powiedziała Riehl załamującym się głosem.

Skierowała się do drzwi razem z Tehrand i Nirsky.

Milhouz nie odpowiedział. Właśnie uchwycił jakiś dziwny błysk za oknem. W perspektywie długiej alei pomiędzy budynkami Wydziału Języków a Sztuk Pięknych dostrzegł sylwetkę czołgu poruszającego się po ulicy równoległej do Pooshkan.

- Milhouz! - krzyknęła znowu Riehl. - No chodźże. Musimy ich powstrzymać!

Milhouz zobaczył zamazaną sylwetkę następnego czołgu, jadącego z dużą szybkością.

Nakazał sobie spokój i odwrócił się do Riehl. Wraz z Tehrand i Nirsky stała niepewnie w drzwiach.

- Spróbuję jeszcze raz złapać ambasadora Stena - powiedział. - Zagrozę prawdziwym piekłem, jeśli tego nie powstrzyma.

Podszedł do telefonu, który zainstalowali studenci politechniki, i spojrział przez ramię na swoich towarzyszy.

- Idźcie - powiedział. - Zaraz was dogonię.

Cała trójka wybiegła na dwór.

Milhouz zatrzymał się. Odwrócił głowę, aby spojrzeć w otwarte drzwi. Czekał przez chwilę, nasłuchując następnych błagań o pomoc dobiegających od strony barykady.

A potem podbiegł do okna, otworzył je, przełożył nogę przez parapet - i skoczył.

Policjanci znowu natarli na barykadę, tym razem pod ciężkim gradem kamieni, płyt chodnikowych i kawałków muru.

Riehl i reszta przywódców studenckich wkroczyli na scenę. Zostali rozpoznani.

Młode istoty ze szczytu barykady machały do nich, wołały ich imiona, prosząc o pomoc w zebraniu studentów przed następnym szturmem.

Riehl rozejrzała się dziko w poszukiwaniu Milhouza. Potrzebny był dowódca, natychmiast, do cholery!

- Trzeba na szczyt - skrzeknęła Nirsky.

- Idziemy w górę - warknęła Tehrand.

Nadal mając nadzieję, że jej kochanek zaraz się pojawi, Riehl pospieszyła do przodu. Młode dłonie złapały ją, podniosły wysoko i podawały z rąk do rąk. Wyżej. I jeszcze wyżej. Tehrand i Nirsky podążały za nią.

Postawiono ją na nogi. Riehl spojrzała w dół, na zbity tłum policjantów.

Odwróciła twarz ku studentom i podniosła wysoko ramię, zaciskając pięść.

- Wolność dla Altaic! - krzyknęła.

Studenci podjęli okrzyk.

- Wolność! Wolność!

Poprzez hałasy Riehl usłyszała dźwięk ciężkich silników. Odwróciła się i zobaczyła policjantów formujących szeregi, przepuszczających jeden czołg. Potem następny.

Wielkie pojazdy pełzły do przodu. Przed nimi szli żołnierze podwójnym szeregiem.

Z bronią gotową do strzału.

Pierwszy czołg stanął. Szczęknęła wieżyczka.

Wybuch... potem następny.

Pociski z gazem łzawiącym wzniosły się wysokim łukiem i trafiły w tłum studentów.

Rozległy się krzyki bólu i strachu.

Z oczami pełnymi łez Riehl trzymała się mocno na nogach. Potrząsnęła pięścią w stronę czołgów.

Jakby na sygnał, oba pojazdy zaatakowały, uderzając z pełną siłą w barykadę i przedzierając się przez nią, jakby zbudowano ją z papieru.

Gruz rozprysnął się na boki.

Riehl zobaczyła ostry odłamek drewna lecący ku niej, wirujący w powietrzu jakby w zwolnionym tempie.

- Milhouz! - krzyknęła.

Odłamek dotarł do niej i przeciął jej gardło. Powoli, jak szmaciana lalka, spadła z walącej się barykady.

Żołnierze otworzyli ogień.

Tehrand i Nirsky zginęły tam, gdzie stały.

Niektórzy studenci uniknęli natychmiastowej śmierci. Inni utrzymali swoje pozycje tylko po to, aby ogień żołnierzy rozniósł ich na strzępy albo rozgniotły ich gaśnice czołgów. Mimo wszystko... wielu z nich dało powód do dumy swoim rodzicom.

W końcu żołnierze pokonali buntowników i wdarli się na kampus, opróżniając w tłum magazynek za magazynkiem. Ostatni szaniec obrony załamał się i studenci rozbiegli się, szukając w popłochu kryjówek.

Żołnierze byli tuż za nimi.

Kiedy zapadła noc, nadal od strony uniwersytetu dochodziły odgłosy broni maszynowej.

Nie był to ciągły ogień. Tylko pojedyncze serie - jak gdyby żołnierze polowali na dzieci Jochi i zabijali je.

Jedno po drugim.



## Rozdział 20

Poyndex miał przez jedną chwilę poczucie niesamowitej mocy.

Dał rozkaz Wiecznemu Imperatorowi - i ten człowiek go posłuchał.

Potem sam się zreflektował. Jesteś potwornym głupcem, a nawet jeszcze gorzej, pomyślał.

Miałem wrażenie, że już się zmieniłeś, odciąłeś tę ślełą ambicję od swojej duszy, jakby to był rak.

Z całą siłą, jaką miał, Poyndex zacisnął rękę na zardzewiałym kolczastym drucie, który przed nim leżał. Ostry metal wbił się w palce i dłoń. Po minucie zwolnił uścisk i spojrział na krwawiącą rękę. Niech się zaogni, jeśli tak ma być, pomyślał gwałtownie. Niech się paskudzi i ropieje. Ponieważ ten niedojrzały głód prawdziwej władzy, jaki czujesz, już raz omal cię nie zniszczył. A z pewnością nie będzie drugiej szansy.

Poyndex stłumił uczucie bólu dochodzącego z dłoni, uciszył łoskot swoich nerwów.

Przez druty spojrział w dół, na rzekę Umpqua, spienioną wiosennym przyborem wód.

To już, pomyślał, drugi raz, kiedy jestem w kolebce człowieka, na planecie Ziemia. Za pierwszym razem służyłem Radzie, a robiłem to dobrze. Zwłaszcza tutaj, blokując tę zabójczą drużynę Stena. Co by się zdarzyło, co by się zmieniło, gdybym okazał się bardziej czuły na zmianę wiatru i nie powstrzymał go wtedy? Gdybym pozwolił na śmierć Rady?

Nie wypełniłbyś swoich obowiązków.

Prawda. Ale czyż nie zapobiegłoby to... innym wydarzeniom?

Kto to mógł wiedzieć, rozmyślał. Mogłem przecież pozostać tylko pułkownikiem, tylko dowódcą Korpusu Merkurego. Może nigdy nie zostałem zauważony przez Wiecznego Imperatora po jego powrocie, albo zostałem wysłany na emeryturę po objęciu władzy przez Imperatora, jak wielu innych.

Nie pozwól sobie na gdybanie, dotyczące przeszłości. Ucz się na własnych błędach... ale nie myśl, że coś mogłoby czy powinno się zmienić. Teraźniejszość i przyszłość mają o wiele większe znaczenie - zwłaszcza ten powrót na Ziemię. To przypomina nieco chwilę triumfu.

Polecenie, jakie dał mu Imperator było bardzo dokładne, pomimo swojej zwięzłości:

Wieczny Imperator musi poddać się pewnej operacji chirurgicznej. Z głębi jego ciała należy wydobyć jakiś sztuczny element. Ale zabieg trzeba zaplanować i przeprowadzić w taki sposób, aby Imperator nawet nie zorientował się, co się dzieje.

Dla Poyndexa wyglądało to na niezbyt skomplikowane. Jak powiedział Imperatorowi, dość często zajmował się agentami wroga, którzy mieli wewnątrz zakodowane samobójcze programy - od fizycznych urządzeń powodujących śmiertelne urazy po najtrudniejsze do wykrycia, psychologiczne

bomby wywołujące samodestrukcję osobowości agenta.

Ostrzegł Imperatora, że plan zostanie wdrożony bez jego wiedzy, biorąc pod uwagę charakter urządzenia znajdującego się w ciele władcy. Mogą nastąpić pewne zdarzenia.

Imperatorowi nie wolno mieć zastrzeżeń, ani wpadać w panikę, kiedy poczuje lekkie oszołomienie.

Cokolwiek się stanie, musi to zaakceptować jako rzecz zwyczajną i naturalną.

Wieczny Imperator długo milczał, zanim się zgodził.

Pierwszym krokiem było skompletowanie zespołu chirurgicznego. Dużo wcześniej, kiedy Poyndex awansował z agenta terenowego na prowadzącego, a potem na planistę, dowiedział się, że hołdował przedtem trzem fałszywym mitom o zawodzie lekarza:

1. Lekarz ma zasady etyczne czy też kodeks wymagające, aby wierzył i podtrzymywał świętość życia.

Prawda brzmiała zaś tak, że lekarz nie jest mniej czy bardziej idealistą niż jakikolwiek inny członek społeczeństwa. Co dla Poyndexa oznaczało, że nie ma on żadnej moralności poza dbaniem o własny interes, zysk, albo podtrzymywanie owej ślepej wiary w lekarzy.

Zupełnie bez problemów przychodziło mu rekrutowanie lekarzy do takich projektów, jak fizjologia tortur, masowa eutanazja czy przymusowa sterylizacja osób nieprzystosowanych społecznie, aby wymienić tylko kilka obszarów, jakimi zajmował się Poyndex przez te lata.

2. Jedyne lekarzami, którzy mogą podejmować „nielegalne” zadania są osoby mniej niż kompetentne.

Prawda zaś była taka, że nigdy nie miał kłopotów z zatrudnieniem najwyższej klasy profesjonalistów, jeśli otrzymali oni wystarczającą dawkę „patriotyzmu”, albo „obowiązku wobec Imperium” czy nawet, w szczególnych przypadkach, „obowiązku wobec życia”.

3. Kiedy lekarz popełni ów wymagany od niego czyn, zżerają go wyrzuty sumienia, poczucie winy, a czasem potrzeba porozmawiania o tym, co zaszło.

Fakty zaś wyglądały tak, że jedyne poczucie winy, jakie Poyndex widywał u przedstawicieli medycyny występowało wtedy, kiedy zmieniły się zwyczaje społeczeństwa, a lekarz nie był tego świadomy, albo nie zapłacono mu honorarium, lub ubezpieczenie za błędy w sztuce nie pokryło kosztów wyczynu. Przy tym zdawało się, że każdy lekarz nienawidzi innych przedstawicieli swojego zawodu, co powodowało, że rozmowy o sprawach zawodowych zawsze porażały optymizmem.

Nie więcej niż dwie godziny zajęło Poyndexowi zebranie zespołu chirurgów do tej operacji.

Znajdowali się w nim najlepsi i najslawniejsi lekarze Imperium. I wszyscy oni od lat pozostawali na liście płac Poyndexa.

„Legenda” - o czym Poyndex wspominał tylko mimochodem podczas rozmowy z jedną z pielęgniarek - instrumentariuszek, będącą agentką Merkurego - brzmiała, że operacja zostanie przeprowadzona na jednym z sobowtórów Imperatora. Wszyscy „wiedzieli”, że Imperator ma dublerów, którzy są posyłani tam, gdzie grozi jakieś ryzyko, albo tam, gdzie grozi nuda. W rzeczywistości owe sobowtóry nigdy nie istniały.

Skompletowany zespół został wysłany na Ziemię. Imperator miał rację: miejsce było doskonałe.

Wieki wcześniej Imperator zdecydował, że lubi łowić łososie. Odkupił od rządu ziemskiego i lokalnego rządu prowincji Oregon całą rzekę Umpqua, od jej źródeł aż do ujścia do Pacyfiku.

Przez całe dekady rugował także wszystkich, którzy mieszkali lub pracowali na rzece czy też obok niej. Kilku tubylcom pozwolono żyć i pracować obok Umpqua - ktoś przecież musiał zapewnić

wyżywienie, przewodników, naganiaczy i tak dalej. Potem Imperator wyruszał na swoje połowy z miejsc, gdzie można było ustawić tylko kilka namiotów.

Pewien przemysłowiec, Tanz Sullamora, także zbudował sobie biwak nad rzeką.

Stwierdził on jednak, że nie zniesie równocześnie łowienia ryb i obozowego trybu życia, jego obóz zmienił się więc w luksusową chatę. Sullamora, niegdyś najbardziej lojalny zwolennik i pomocnik Imperatora, stał się jego zagorzałym wrogiem i przywódcą morderczego spisku. Ale kiedy bomba zabiła Imperatora, on także zginął.

Jego odosobnienie stało się miejscem, gdzie reszta konspiratorów, nazywająca sama siebie Radą, odbywała swoje spotkania.

Teraz...

Teraz właśnie tam udał się Imperator na zasłużony - jak to określały stacje telewizyjne - odpoczynek od swych niezliczonych obowiązków.

Tym razem władca nie wiedział nawet, że podróżuje na Ziemię.

Na długo przed datą wyjazdu zaczęto łagodnie faszerować jego pożywienie środkami nasennymi. Imperator nie zorientował się, że dryfuje we mgle. Nadal wypełniał swoje obowiązki i konsultował w ważnych sprawach z doradcami.

Nie spostrzegł się też, że ci doradcy - żadnego z nich nie znał - byli starannie przeszkolonymi przez Korpus Merkurego agentami, prezentującymi mu sprawy o coraz mniejszym stopniu trudności. W końcu stały się one tak łatwe, że nawet jednokomórkowy pierwotniak, Amoeba quaylus, mógłby je rozwiązać. Cały scenariusz opracowano już dawno temu, nazwano Reagan/Baker. Przewidywał utrzymanie starzejącego się przywódcy przy władzy tak długo, jak to możliwe.

Poyndex i jego technicy obniżali poziom świadomości Imperatora, dopóki nie stał się całkowicie nieprzytomny. Ale nadal podawali niewielkie dawki leku, teraz w postaci kroplówki.

Każdy zajmujący się pozostającym w stanie śpiączki pacjentem uznałby to za zwyczajny roztwór odżywczy.

Poyndex nie pominął żadnego potencjalnego ryzyka.

W końcu technicy zameldowali mu, że władca pozostaje tylko o jeden krok od stanu hibernacji, jaki stosowano we wczesnych liniowcach, hibernacji, która zabiła większość pasażerów i załóg owych olbrzymich statków, które pęłżyły z Ziemi na najbliższe gwiazdy przed wynalezieniem napędu międzygwiazdowego i odkryciem AM2, które pozwoliło ów napęd wdrożyć do użytku.

Poyndex nakazał wtedy ustabilizować stan Imperatora i przetransportować go na „Normandie”, należący do władcy jacht - okręt wojenny, który oficjalnie nie istniał.

Imperator był utrzymywany, bardzo wygodnie i bezpiecznie, w tym stanie. Poyndex czuł się z tego dumny.

A teraz natura owego urzędnika - czy też urzędzeń - ukrytych we wnętrzu Imperatora powinna zostać zbadana elektronicznie. Poyndex nie mógł tego zrobić. Był niemal pewny, że nie ma tam żadnych pułapek uniemożliwiających sprawdzenie. Przecież Imperator mimo wszystko mógł przechodzić przez wszelkie ekrany bezpieczeństwa bez żadnych niespodzianek.

Ale nie miał całkowitej pewności.

Czując się więc tak, jakby żył w średniowieczu, nakazał głównemu chirurgowi rozpoczęcie operacji bez wstępnych badań. Przedtem powiedział mu, że operacja musi być wykonana z dużą szybkością, jakby się znajdowali na ostrym dyżurze, a pacjenta od śmierci dzieliły tylko sekundy.

Poyndex zrobił dobrze, wydając takie instrukcje. Wyszorował ręce, przebrał się w sterylne

ubranie i poszedł na salę operacyjną, gdzie wszystko było mu już całkiem niezleznane. Pierwsze nacięcie otworzyło jamę ciała, i Poyndex ujrzał urządzenie. Odtrącił rękę chirurga na bok i przycisnął opuszkę palca do plastikowego owalu, który stawał się coraz cieplejszy.

- Wytnij to - warknął.

- Ależ...

Skalpel ciął dwukrotnie, i urządzenie zostało uwolnione. Ty draniu, pomyślał Poyndex. Mam cię, zanim zdążyłeś wybuchnąć.

- Tu. Następne.

- Ale jest krwawienie!

- Olej to! Tnij!

Drugi przyrząd.

- Jak tam oznaki życia? - spytał szorstko Poyndex.

- Stabilne.

- Dobrze. Doktorze, proszę otworzyć klatkę piersiową.

Ciężki laser do cięcia kości zrobił swoje.

- Tu. Następne. Wyjmij to.

Wykonano cięcie. Poyndex ociekał potem. Może być jeszcze jedno. Ale nie mógł przecież wysłać po prostu drużyny z maczetą.

- Wykonaj badanie. Sprawdź rdzeń przedłużony.

- Tak jest, sir.

Czas się zatrzymał.

- Coś tu chyba jest... jakiś rodzaj przekaźnika o krótkim zasięgu. Bardzo krótkim - jedna trzecia metra. Jeśli chce pan usłyszeć moją opinię, powiedziałbym, że to bardzo precyzyjny encefalograf.

Poyndex niemal przysiadł.

- A więc to już wszystko. Możecie kończyć. Ustabilizujcie go. Zatrzymajcie krwawienie. I zaszyjcie.

- A co z tym? - Drugi chirurg wskazał na trzy wykonane przez człowieka urządzenia, które zostały wyjęte z ciała Imperatora.

- To moje. Nie widzieliście tego.

Trzy plastikowe przedmioty poszły do natychmiastowej analizy technicznej.

Pierwsze urządzenie było bardzo wymyślną bombą, do której użyto konwencjonalnych środków jako detonatora i AM2 jako materiału wybuchowego. Wystarczyłoby tego na utworzenie dość głębokiego parkingu z salą operacyjną jako poziomem zero. Poyndex uśmiechnął się lekko.

Teraz już wiedział, skąd pochodził ten tajemniczy błysk, który pojawił się natychmiast po tym, jak zabójca działający na zamówienie Rady zastrzelił Imperatora. Bomba miała przynajmniej zapobiec sekcji zwłok.

Drugie urządzenie stanowiło kombinację odbiornika i pułapki minowej nastawionej na detonację, gdyby kiedykolwiek rozcięto ciało Imperatora. Zawierało także pewne zaprogramowane ograniczenia. Kilka godzin zabrało Poyndexowi rozwiązanie zagadki celu owego urządzenia.

Elektroencefalograf, który nadal znajdował się w czaszce Imperatora, nadawał jego myśli w sposób ciągły. Jeśli te myśli odbiegłyby od normy poza zaprogramowane granice, urządzenie powinno wybuchnąć.

Ciekawe, pomyślał. Sposób na to, aby uchronić się od popadania w szaleństwo.

Albo...

Zdecydował, że lepiej o tym nie myśleć.

Trzecie urządzenie wydawało się najbardziej interesujące. To był przekaźnik o dużej mocy.

Jego mechanizm aktywacyjny podłączono do najważniejszych organów Imperatora.

Więc to tak, pomyślał Poyndex. Jeśli Imperator zostanie zabity, przekaźnik to sygnalizuje.

Albo, teoretyzował, jeśli Imperator jest torturowany i zmuszany do robienia czegoś, czego nie powinien, lub doprowadzany narkotykami do jakiegoś stanu, czy może ulegnie neurozie bądź psychozie ponad dozwolony poziom - bomba wybucha i przekaźnik przekazuje.

Komu?

Gdzie?

I w jakiś czas później Wieczny Imperator powraca.

Poyndex czuł potrzebę kontynuowania swego śledztwa.

Ale sam się powstrzymał.

Jakie są szanse na to, że Wieczny Imperator, kiedy odzyska świadomość po tej operacji, nakaze usunięcie osób, związanych z tą sprawą?

Duże.

A jakie są szanse, że nawet jeżeli wszyscy przeżyją, to Imperator rozkaże, aby każdemu, kto miał coś wspólnego z tą operacją, wykonać skanowanie mózgu, aby sprawdzić, co wie o tym nieprawdopodobnym sekrecie?

Większe niż duże.

Poyndex zyskał nagle całkowitą pewność pozostającą poza doświadczeniem, że gdyby odkrył, dokąd skierowany jest ów tajemniczy sygnał, jego szanse na przeżycie maleją do wartości ujemnych. Przeklinając ten brak wiedzy, ale mając silną wolę przetrwania, osobiście zdetonował wszystkie trzy urządzenia.

Nie do końca zdawał sobie sprawę z tego, co właśnie zrobił. Ani dlaczego Imperator miał te bomby w ciele, ani dlaczego chciał je usunąć. To, że chciał się uchronić przed porywaczami, miało przecież sens.

Ale... jeżeli był wieczny, a zapewne tak, co się działo, kiedy bomby eksplodowały? Jak on przeżył ten wybuch?

Psychiczna projekcja?

Do diabła z tym. Zaraz zaakceptuje te głupawe wierzenia Kultu Wiecznego Imperatora, które twierdziły, że ich władca co jakiś czas komunikuje się ze Świętymi Sferami.

Niech to cholera. Nadszedł czas, by stać się wyłącznie wyjątkowo lojalnym sługą.

- Pan krwawi, sir.

Poyndex wydobył się z kalejdoskopowego wiru myśli i odwzajemnił salut żołnierza Mantis.

- Dziękuję. Musiałem się zaciąć. Zaraz pójdę na opatrunek. Żołnierz kiwnął głową i kontynuował swój patrol; oczy omiatały gąszcz, czujne na jakąkolwiek oznakę przemykającego się wroga Imperium.

Wdzięczny losowi za ból, swoją decyzję i za przerywnik, Poyndex poszedł do izby chorych.

Przez jedną sekundę czuł się dumny.

Od tej chwili Imperator wspierany przez swe sługi - nie podlegał już kontroli przeszłości.

Wieczny Imperator otworzył oczy.

Stwierdził, że znajduje się w zimnym, sterylnym miejscu. Nagi.

Czy jeszcze raz trafił na ten statek? Błysk paniki. Czy popełniono jakiś błąd?

Czy znowu był tym kwilącym mięczakiem, którego zaczął nienawidzić?

Nie. Czuł jakiś ból. I nie zauważył ociążałości mięśni, jak po ponownych narodzinach.

Pamiętał...

Tak.

Musi być na Ziemi. I Poyndex, tak, jak obiecał, wypełnił swój obowiązek.

Imperator wciąż żył.

Pozwolił swoim myślom na swobodne wędrowanie, nadal na wpół znieczulony. Ale pomimo ośpienia zorientował się, że nie czuje się już obserwowany. Nie odnosi wrażenia, jakby musiał pilnować każdej myśli.

Połączenie zostało zerwane.

Oczy strażnika, zabójcy, Głosu na statku, zamknęły się.

Teraz żył.

Teraz mógł rządzić tak, jak tego wymagało jego przeznaczenie.

Był wolny.

Wieczny Imperator uśmiechnął się.

Księga trzecia  
ŚCIANA CHMUR

# Rozdział 21

Masakra na Uniwersytecie Pooshkan odbiła się echem po całej Mglawicy Altaic.

Plotki o tragedii wybuchły na ulicach Rurik. Opowiadano o tym, jak „żołnierze otwierali ogień”. Sten wpisywał to do akt, równocześnie usiłując znaleźć jakiś sens w panującym dookoła chaosie.

Otoczony przez jochiańskich żołnierzy, którzy niby to mieli strzec ambasady, Sten siedział w samym oku cyklonu, patrząc na rozwój wydarzeń i tworząc błyskawiczne sprawozdania „Tylko dla oczu Imperatora”.

Samą masakrę obserwował za pośrednictwem dwóch zespołów „nietoperzy”, unoszących się nad żołnierzami, którzy strzelali do studentów. Nie miał żadnych wątpliwości co do tego, że to Iskra nakazał atakować. Ale udowodnienie tego mogło sprawić pewien kłopot.

Szturmujące oddziały nie nosiły żadnych insygniów na mundurach. Na pewno składały się z ludzi. Ale łatwo można było dociec, że tworzyli je zbuntowani członkowie milicji Jochi. Albo nawet Torkowie.

Sten stwierdził także, że pierwsze plotki głosiły, iż atak przeprowadziły jednostki milicji Suzdalów.

Ta smakowita dezinformacja nadeszła wtedy, kiedy patrzył na Riehl spadającą z barykady.

Za tą plotką nadeszły następne, moment później opowiadano, że to Bogazi dopuścili się tych potworności.

Sten, który w swoim życiu widział wiele przelewanej krwi, zmusił się do obserwowania krwawego dramatu rozwijającego się na jego oczach. Usłyszał, że kilku młodym oficerom łączności zebrało się na wymioty na ten widok. Nawet Freston, szef jednostki, odwrócił się tyłem.

- Ten człowiek nie jest głupi... - zamruczał Alex, zobaczywszy tę rzeźnię na ekranie. - On jest cholernie szalony.

Sten zignorował go, po raz dziesiąty usiłując połączyć się z Iskrą przez linię ambasady, aby zażądać, żeby przywołał swoje psy. I po raz dziesiąty na jego telefon odpowiedział jakiś niski rangą funkcjonariusz twierdzący, że Iskra „medytuje” i zostawił wyraźny rozkaz, aby mu nie przeszkadzać.

- Ja mu pomedytuję - warknął Sten. A potem zwrócił się do Alexa: - Daj mi widok z pałacu.

Kilka sekund później para „nietoperzy” unosiła się nad Placem Khaqanów.

Więści stamtąd były równie złe. Grupa protestujących, wzburzonych plotkami o masakrze w Pooshkan, ruszyła pod pałac Khaqana.

Żołądek Stena się skurczył, kiedy zamiast oczekiwanej konfrontacji pomiędzy tłumem a gwardią Jochi zobaczył oddział Gwardii Imperialnej wynurzający się z pałacu i schodzący po schodach.

Natarli na tłum, uderzając jak burza. Starcie było gwałtowne i krótkie. W jednej chwili motłoch



został zmieciony i zmuszony do ucieczki. Kiedy przerażone istoty uciekały, zobaczył wiele ciał cywilów leżących na ziemi.

Aby jeszcze pogorszyć sprawę, wielu żołnierzy Gwardii Imperialnej ścigało uciekających, uderzając w nich paralizatorami.

Sind zakłęła.

- Oni zachowują się jak gliniarze, nie jak żołnierze. I to jak kiepscy gliniarze.

Sten nie komentował. Trzymał teraz swoje emocje pod żelazną maską, ale miał przeczucie, którego nie mógł zignorować. Kiedy to się skończy, wiele palców będzie wytykać winnych z wielu stron. A Gwardia Imperialna sama z siebie robi potencjalny cel.

- Chcę, żeby ogłoszono czerwony alarm w całej placówce - kazał Sten Kilgourowi.

-

Zawiadom kuchnię, że ma cały czas gotować kawę. I powiedz działowi gospodarczemu, żeby przygotował łóżka polowe. Aż do odwołania wszyscy pracujemy, dopóki nie padniemy.

Alex wyszedł, żeby odpowiednio nastawić personel. Sten odwrócił się z powrotem do monitorów. Oczy miał już zaczerwienione i podkrążone. Poczul, że miękkie ręce Sind dotykają jego karku.

Nie powiedziała ani słowa. Ale to lekkie dotknięcie dało mu siłę. Sten zabrał się ostro do paskudnego zadania.

Mijały godziny, tragedia podążała za tragedią.

Milicja Suzdali, dzięki plotkom rozpalona do białości nienawiścią, przyłapała dzielnicę Bogazi na drzemce. Podpalili ją. Potem ustawili się i mordowali przestraszonych Bogazi, którzy wypadali ze swoich gniazd.

Zemsta nadeszła niemal natychmiast. Kiedy troje dorosłych Suzdali prowadziło dwadzieścioro czy więcej szczeniąt na posiłek, grupa Bogazi wypadła ze swojej kryjówki. Dorośli Suzdale zginęli w mgnieniu oka, potem zamordowano szczenięta. Jedna z Bogazi podniosła małe szczenię wysoko w powietrze. Wrzuciła je sobie do dzioba i połknęła w całości.

- Babcia miała rację - zagdakała do przyjaciół. - Suzdale do niczego. Poza jedzeniem.

Incydent dolał tylko oliwy do ognia. Suzdalowie należeli do najbardziej opiekuńczych rodziców w całym Imperium, byli genetycznie uwarunkowani do mordowania wszystkiego, co zagraża ich młodym.

Napływało jeszcze więcej raportów o zamieszkach.

Tego wieczoru mały oddział milicji Torków zaatakował targowisko Jochi. Ale Jochiańczycy tylko na to czekali. Na spotkanie Torkom wysypali się żołnierze.

Napastnicy wrzasnęli ze strachu, odwrócili się i zaczęli uciekać. Jochiańczycy za nimi. Nie zdążyli ich jednak dopaść, kiedy całe mnóstwo Torków wypadło, uderzając od tyłu. Więcej niż dwieście ofiar, przeważnie cywilów, upadło na targu.

I tak toczyło się to coraz dalej. Rurik był jednym olbrzymim polem walki. Sten ledwie nadążał za wydarzeniami. Otepiał, wypełniał raporty, usiłował dodzwonić się do Iskry i nie otrzymywał żadnej odpowiedzi. Podobne szczęście miał w przypadku Wiecznego Imperatora. Jego szef był niedysponowany. Sten zdziwił się lekko. Nigdy przedtem nie słyszał, aby Imperator chorował.

Następnego dnia Sten patrzył zamglonymi oczami, kiedy - o cudzie nad cudami - pokojowo nastawiona grupa obywateli zmierzała do Pooshkan. To był mieszany tłum, złożony w równych proporcjach z czterech ras Altaic. Nieśli wieńce, aby położyć je na miejscu ku czci zamordowanych

studentów.

Grupa niosła wielkie, ręcznie wykonane transparenty, błagające o przywrócenie pokoju i porządku w Altaic. Niektóre z nich nawet głosiły miłe słowa na temat Iskry.

Sten nie był zdziwiony tym, co nastąpiło później. Ściszył dźwięk i odwrócił się od ekranu, kiedy żołnierze strzegący uczelni otworzyli ogień. Spojrzał na Sind. Stała prosto jak żołnierz, szczęki miała mocno zaciśnięte, czarne cienie pod oczami. Zadrżała mimowolnie, kiedy oboje usłyszeli wrzaski strachu dochodzące od uniwersytetu.

Otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć. A potem znów je zamknęła.

Ona chce, żebyśmy położył temu kres, pomyślał. Ale wie, że nie mogę nic zrobić.

Sten nigdy przedtem nie czuł się tak mały. Jak ostatni tchórz. To nie znaczy, że wierzył w bohaterstwo. I jeżeli Sind miała na jego temat jakieś tego typu wyobrażenia, to na pewno w ciągu ostatnich kilku godzin zniknęły one bez śladu.

Usłyszał, że Freston go woła. Odwrócił się.

- To doktor Iskra, sir - powiedział oficer. - Zastanawia się, czy nie moglibyście się spotkać.

Sten wyruszył uzbrojony jak na walkę z Ursus horribilis. Zresztą, zapomnijmy o grizzli.

Jego dyplomatyczna nota do Iskry mogłaby równie dobrze powalić niedźwiedzia polarnego.

Chociaż nie oskarżał Iskry wprost o zarządzenie masakry na Pooshkan, zrobił kilka poważnych aluzji na ten temat. Wspomniał też o ataku na składających wieńce, a także użyciu bez upoważnienia żołnierzy Imperium do ataku na cywilną ludność.

Owinięta w bawełnę groźba zapowiadała, że Sten zasugeruje Imperatorowi ponowne przemyślenie poparcia dla Iskry.

Niestety, Sten doskonale zdawał sobie sprawę, że nurkuje pod grubym na dwie mile lodem.

Mgławica Altaic miała takie znaczenie, że wymagała zastosowania trzech podstawowych reguł dyplomacji. Po pierwsze - najpierw skonsultować się z szefem. Po drugie - najpierw skonsultować się z szefem. I najważniejsze: po trzecie - najpierw skonsultować się z szefem.

Mimo tego jednak, że nieco paraliżowało go, iż nie zdołał skontaktować się z Imperatorem, Sten podążył na spotkanie, postanawiając blefować.

Iskra skoczył na równe nogi, gdy tylko Sten wszedł do pokoju.

- Panie ambasadorze - powiedział. - Protestuję przeciwko pańskiej odmowie wspierania mojego rządu!

Sten popatrzył na niego chłodno, zacisnął wargi, podniósł brew.

- Co więcej, mam zamiar prosić Imperatora, aby wycofał pana ze służby w Mgławicy Altaic.

- Jak to uprzejmie z pana strony, że mówi mi pan o tym osobiście - stwierdził sucho Sten. -

Spodziewam się, że prośba pana...

- Żądanie, sir. Nie prośba.

- A więc żądanie. Chociaż sugerowałbym, aby nie używał pan tego wyrażenia w rozmowach z Imperatorem. Wracajmy do mojego pytania. Czy owo żądanie... ma coś wspólnego z chaosem panującym tuż za drzwiami? A może po prostu nie lubi pan kroju mojego wizytowego garnituru?

- Obwiniam pana za udrękę, jakiej doświadcza mój nieszczęsny naród, to prawda.

Czy może pan zaprzeczyć, iż pan i pański... personel... wykazaliście wyraźny brak entuzjazmu podczas mojego przyjazdu?

- Mogę. Bez żadnego trudu. Entuzjazm jest dla amatorów. Moim zawodowym obowiązkiem jest wspieranie pana. Ale - i to poważne „ale”, sir - moją misję stanowi przywrócenie porządku w

Mgławicy Altaic. Misja owa, jak muszę dodać, znalazła się w śmiertelnym niebezpieczeństwie, jeśli nie została całkiem zniszczona. I to właśnie pan, sir, musi wziąć na siebie całkowitą za to odpowiedzialność. I mam zamiar poinformować o tym Imperatora.

- A więc miałem rację - zaświszczał Iskra. - Pan mi się przeciwstawia.

- A spodziewał się pan może oklasków po tym, co zdarzyło się na Pooshkan?

Wojskowej orkiestry, która odtrąbiłaby zwycięstwo?

- Pan przypisuje tę... tę ohydłą akcję mnie? Mnie!

Iskra zrobił teatralną minę wyrażającą najwyższą wściekłość. Sten roześmiałby się, gdyby nie mówili o przelewie krwi.

- Udowodnię panu, że jestem zbulwersowany całym tym incydem. Zarządziłem drobiazgowe śledztwo. Prowadzone przez człowieka, którego reputacja nie budzi wątpliwości: generała Douwa.

Ho, ho, pomyślał Sten. A więc tak to wygląda? Douw został uwiedziony i wprowadzony w orbitę Iskry.

- Poinformuję Imperatora - powiedział Sten. - Będzie... zainteresowany. Co nie jest słowem, jakiego użyłbym, doktorze, na opisanie jego reakcji na bałagan, wprowadzony przez pana.

- Cóż, silniejsza ręka to wszystko, czego im trzeba. To są moi ludzie, panie ambasadorze.

Pan ich nie rozumie. Krwawe walki stanowią integralną część naszej historii. To tkwi w naszej naturze i zawsze kipi pod powierzchnią. I właśnie dlatego, skoro pańskie poparcie dla mnie okazało się tak znikome, wystarczył jedynie mały przypadek - taki, jak tragedia Pooshkan - aby zagrozić chaosem.

- No i właśnie chaos zapanował na planecie - powiedział Sten. - Co pan w związku z tym proponuje?

- To moja sprawa - warknął Iskra. - Prywatna sprawa tej mgławicy. Proszę o tym pamiętać.

- Zrobię, co będę mógł - powiedział Sten.

Pomyślał o nocy w kieszeni, która wprawi Iskrę w zupełny szal. Jeśli ją wręczy tak, jak zamierzał, to nie ułatwi sobie przyszłych kontaktów z tym człowiekiem.

Pomyślał o młodych ludziach umierających na barykadach Pooshkan. Niech diabli wezmą przyszłe kontakty. W tym momencie Sten zdecydował, że pozbędzie się Iskry.

Wydrapie każdy atom dowodów jego winy. I kiedy będzie rozmawiał z Imperatorem, znajdzie sposób, aby wyrzucić Iskrę z Altaic.

Poza tym, ten człowiek już zdążył zdeklarować się jako wróg. W takiej sytuacji większość podręczników dyplomacji sugerowała cios prosto w brzuch.

Sten wyciągnął notę i wręczył Iskrze.

- Mała lektura do poduszki - powiedział. - A teraz proszę mi wybaczyć... - Opuścił pokój, pozostawiając wściekającego się Iskrę.

Kiedy tylko wyszedł, wkradł się Venloe.

- To nie było konieczne - burknął. - Właśnie zrobił pan sobie bardzo poważnego wroga.

- Jego? Sten to nędzny urzędnik.

- Następną pomyłką, doktorze. Proszę mi wierzyć, on nie jest wyłącznie urzędnikiem.

Z lekkim drżeniem Venloe wspominał swoje spotkanie ze Stenem i Ianem Mahoneyem.

Przeżył je wyłącznie dlatego, że był im potrzebny.

- Miał także rację, jeśli chodzi o uniwersytet - dodał Venloe.

- To było konieczne - stwierdził Iskra. - Jak już mówiłem temu głupcowi, ambasadorowi, mój lud

potrzebuje ciężkiej ręki nad sobą. Rozumieją tylko to. Incydent na uniwersytecie dał mi doskonały pretekst do zastosowania tej ciężkiej ręki. Całe pokolenia będą błogosławić moje imię, kiedy to się skończy. Proszę mi wierzyć. Znam swoje miejsce w historii.

Spojrzał na Venloe z lekkim uśmiechem w kąciu ust.

- Pan mnie zdumiewa. Nie sądziłem, że będzie pan skomlał nad odrobiną krwi rozlanej w słusznej sprawie. To dziwne, jak czasem nie zna się ludzi.

Venloe tylko chrząknął niezrozumiale. Przemknęła mu przez głowę myśl, że gdyby jego zadanie polegało na tym, co zawsze, to zabicie Iskry nie sprawiłoby mu najmniejszego problemu.

Właśnie teraz. Bez zlewania się potem czy zostawiania śladów po sobie.

- Myślę, że źle mnie pan osądzał - powiedział.

Iskra spojrzał na niego, usiłując wciągnąć go w dziecinną grę w to, kto pierwszy spuści wzrok. Venloe czuł, jak świerzbią go palce, aby wylupić oczy Iskry. Zamiast tego umknął spojrzeniem.

- Dobrze - zamruczał Iskra. - A teraz mam parę spraw do omówienia. Potrzebuję kilku rzeczy. Rozpaczliwie. Chcę, żebyśmy przejrżeli te prośby. Sądzę, że Imperator zrozumie moje wymagania.

Zaczął wymieniać pozycje z wielkiej listy. Venloe był pewien, że Imperator nie spojrzy na nią przychylnym okiem.

- Cały zamieniam się w słuch - powiedział.

Sten oparł się wygodnie o siedzenie grawilotu. Ciężki, burzowy deszcz walił w szyby.

Zupełnie nie miał pojęcia, co teraz robić. Iskra był jedną z takich istot, jakie każdy dyplomata spotyka chociaż raz w swojej karierze, ale nie staje się dzięki temu mądrzejszy.

Jak można zająć się władcą, który sam sobie szkodzi? Najłatwiejsze wyjście - po prostu odejść. Ale na nieszczęście niemal nigdy nie wchodziło to w grę.

Trudność pierwsza: w sytuacji takiej jak ta, prawie nigdy nie istniał potencjalny sukcesor.

Jeśli władca ginął, ginęło i królestwo. Co mogłoby być nawet całkiem miłe dla partii poza królestwem, gdyby nie...

...trudność druga: władcy ze skłonnościami do samounicestwienia są zawsze wspierani przez cudzoziemców, których własne losy zależą od dobrobytu zagrożonego królestwa. Innymi słowy, natura nie może oczyścić się sama. Jeśli błyskawica uderza w to, co złe, wiele narodów z wyciem syren spieszy gasić pożar.

Sten zorientował się, że otrzymał od Iskry ważną lekcję. Mgławica Altaic, stwierdził, została przeklęta w chwili, kiedy przybyli pierwsi Jochiańczycy, ściskając w garści pozwolenie od Imperatora.

Pozwolenie - cóż za zabawne słowo na określenie relacji w interesach zachodzących pomiędzy Imperatorem a Jochiańczykami - nadało im wyjątkowe prawa, postawiło ponad wszystkimi. Dało im moc rządzenia jak boskie pomazanie starożytnym monarchom. I w końcu pozwolenie stworzyło Khaqanów, którzy rządzą niechętnym im społeczeństwem.

Bez wsparcia z zewnątrz, ze strony Wiecznego Imperatora, istoty zamieszkujące Altaic zostałyby zmuszone do znalezienia innego rozwiązania. Polałaby się krew, ale w końcu Jochiańczycy, Torkowie, Suzdalowie i Bogazi mogliby osiągnąć jakiś rodzaj konsensusu. Kiedy podejmował się tego zadania, Sten miał wizję stworzenia takich sytuacji, które doprowadziłyby do wspólnego rządu. Miał nadzieję, że przynajmniej uda mu się skonstruować fundament, na którym staną inni, budujący wspólny dom.

Zamiast tego... Zamiast tego miał tego cholernego Iskrę i furę kłopotów. Co za gówno miał w

głowie ten szef?

Sten zdusił w sobie gniew. Nic dobrego nie wyniknie z wściekania się na decyzje szefa.

Imperator może był i wieczny, ale nie nieomylny. Jeśli Sten chciał, żeby wybrał on lepszy kurs, to musiał nad tym popracować.

Kierowca dał sygnał. Zbliżali się do ambasady Suzdali, pierwszego przystanku Stena. To był też pierwszy krok w jego planie budowania zgody.

Kiedy spojrział przez okno stwierdził, że jedna trzecia tego planu wzięła w łeb.

Ambasada Suzdali świeciła pustkami. Kilku młodych, podejrzanie wyglądających Torków grzebało w stosach porzuconych pośpiesznie rzeczy osobistych.

Sten wysunął się z pojazdu. Młode istoty dostrzegły go i stężały, gotowe do ucieczki. Sten odesłał swoją ochronę, która w pośpiechu wysypywała się z własnych grawilotów.

Podszedł ostrożnie do młodzieży.

- Dobra zdobycz? - spytał jednego z większych dzieciaków, zgadując, że wzrost ma coś wspólnego z przewodem.

- A co ci do tego? - warknął najmniejszy z Torków.

To tyle, jeśli chodzi o zgadywanie. Ten dzień zdecydowanie nie był dla niego dobry.

- Mam lepsze pytanie - powiedział Sten. - Czy to coś znaczy dla ciebie?

Wyjął kilka kredytów i zamachał nimi przed błyszczącymi małymi oczkami. Nieduży Tork chwycił je. Sten złapał go za rękę. Kiwnął głową, wskazując na ambasadę.

- Dokąd oni poszli?

- Do cholernego domu, właśnie tam poszli. A co myślałeś?

Chłopak spojrział na pieniądze, zacisnął wargi. Sten dołożył jeszcze kilka kredytów.

- Powiedz mi coś więcej - stwierdził. - Zaczynaj od tego, kiedy wyjechali.

- Trzy, cztery godziny temu - powiedział dzieciak. - Bawiliśmy się w tamtym końcu ulicy, kiedy nagle ni z tego, ni z owego wybuchło wielkie zamieszanie. Suzdale szczekali i szczekali, jak to oni. Wszędzie dookoła roiło się mnóstwo ich żołnierzy i ciężkich grawilotów.

Zanim się spostrzeżliśmy, zapakowali wszystko i już ich nie było.

Sten dorzucił jeszcze kilka groszy.

- Ktoś podążył za nimi?

- Nie. I nikt się już później nie pokazał. Suzdale pojechali sami, z własnej woli. I nie mówili tak, jakby byli wystraszeni.

- O czym rozmawiali? - spytał Sten, dając jeszcze jedną porcję pieniędzy.

- O zabijaniu Bogazi, a co myślałeś? - Młody Tork był najwyraźniej zadziwiony żalną ignorancją Stena. - Kręciliśmy się tu w pobliżu, wiesz? Sprawdzaliśmy śmieci, żeby zobaczyć, czy nie zostawiają czegoś cennego. Słyszeliśmy, jak przywódczyni sfory rozmawiała z tym krzywonogim typem, który dowodzi milicją. Mówiła, że będzie wielka bitwa. Z Bogazi. I dlatego jadą do domu. Pomóc w walce.

Dzieciak spojrział na Stena. Miał stare, zmęczone oczy.

- Zdaje mi się, że Suzdale nie mają szans - powiedział. - Są duzi. Ale kurczaki są jeszcze większe. Jak myślisz? Suzdale czy Bogazi?

Sten dał mu resztę kredytów.

- Obchodzi cię to?

- Cholera, nie! Próbuję tylko przewidzieć wynik. W naszej dzielnicy stawiają na Bogazi.

Dziesięć do jednego. Pomyślałem, że może powiesz mi coś, to trochę zgarnę.

Postawię kilka groszy.

Machnął ręką pełną pieniędzy przed twarzą Stena.

- Zdaje mi się - powiedział - że trzeba łapać każdą szansę, jaka się nadarza. To znaczy, można cały dzień kręcić się koło szczęśliwego trafu i nawet o tym nie wiedzieć.

Jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

- Z całą pewnością - powiedział Sten.

Odszedł, jeszcze gorzej myśląc o swoich szansach niż przedtem.

- Mój pomysł jest prosty, generale - powiedział Iskra. - Chyba zgodzi się pan, że prostota koncepcji to zasadnicza sprawa.

- Bez wątplenia - stwierdził generał Douw. - To jedna z pańskich zalet, którą podziwiałem z daleka od lat. Widzi pan jakąś rzecz, wielce skomplikowaną, a po niewielkim przetasowaniu wszystko staje się proste, prawdziwe, genialne.

Douw nie miał najmniejszego pojęcia, co plecie, ale to nie było ważne. Generał był mistrzem w pochlebstwach. Pociągnął łyk wody, którą wręczył mu Iskra jako odświeżający drink - udawał, że smakuje ją jak wino.

- To jest jak łyk wody - powiedział, łapiąc się jakiegokolwiek analogii. - Ja widzę wodę, a pan widzi... - Przerwał. Zmylił krok. Co u diabła może widzieć Iskra? Może też dostrzega tylko wodę.

Douw osobiście mógł ujrzeć zielonoskórego płaza. Tego, który skrzeczy rech, rech, rech.

- Tak. To ciekawe. Proszę mówić dalej - stwierdził Iskra. - A co ja widzę, generale?

- Symbol - wykrztusił Douw. - Właśnie tak! Któż, jak nie geniusz, mógłby dostrzec symbolikę w zwykłej szklance wody?

Szybko sprawdził wyraz twarzy Iskry, aby zobaczyć, jak poszedł mu ten werbalny taniec.

Doktor promieniał i kiwnął głową. Tak! Udało się. Dzięki Bogu.

- Trafił pan w samą dziesiątkę, jak zwykle - powiedział Iskra. - Dlatego właśnie czułem, że jest pan mi potrzebny. Wiedziałem, że znalazłem pokrewną duszę.

- Absolutnie - stwierdził Douw, przeczesując nerwowo ręką swe srebrne włosy. - Nie ma co do tego wątpliwości.

Co za stary głupiec, pomyślał Iskra.

- Jest pan chyba w wojsku najbardziej szanowanym człowiekiem, generale - powiedział.

- Ach, dziękuję bardzo.

- To tylko prawda. Ma pan reputację bardzo lojalnego żołnierza. I wiernego obrońcy tradycji Jochi.

- Stare sposoby są najlepsze - powiedział Douw. To był temat, na który mógł dyskutować godzinami. - Czasami zdaje mi się, że dawne wartości zbyt szybko zostały porzucone.

- I tego właśnie dotyczy moja wizja - powiedział Iskra.

- Naprawdę?

- Oczywiście. Ale przywrócenie dni chwały dawnych Jochiańczyków będzie nas wiele kosztowało.

- To niewątpliwe.

- Nie chciałbym, oczywiście, aby został pan wplątany w naprawdę nieprzyjemne sprawy. Są jednak pewne rzeczy, które muszą być wykonane. Obawiam się, że mogłyby one zniszczyć reputację prawdziwego żołnierza Jochi. Utworzę... Jednostki Specjalne, szkolone i wyposażone w odpowiedni

do tych zadań sposób. Będą odpowiadać bezpośrednio przede mną, poza zwykłą wojskową ścieżką służbową.

Douw promieniał.

- Jak to rozsądnie z pana strony, sir.

- Chciałbym jednak, aby dowodził pan moimi konwencjonalnymi siłami podczas walki o przywrócenie pokoju w naszej wspaniałej mgławicy. To wymaga chłodnego myślenia i pewnej ręki.

- Jestem więc pańskim człowiekiem - powiedział Douw. - I dziękuję za ten zaszczyt.

- Kiedy nasi ludzie przybyli po raz pierwszy do tej mgławicy - kontynuował Iskra - stanęli w obliczu wrogiego terytorium, wypełnionego nieprzyjawnymi istotami i barbarzyńską rasą ludzi.

- Straszliwe czasy. Straszliwe - mamrotał Douw.

- Nie było nas wtedy zbyt wielu.

- To prawda. Zawsze tak mówiłem. Nie było nas wtedy wielu. Ale odwagą nadrabialiśmy liczbę.

- I jeszcze jedną rzeczą - powiedział Iskra.

- Tak. Ta kolejna rzecz. To był... hmm...

- Rozsądek - powiedział Iskra.

- O właśnie. Rozsądek. Miałem to na końcu języka.

- Aby zwyciężyć te bestie... Proszę mi wybaczyć staroświeckość. To są bestie.

Nic więcej.

Aby je zatem zwyciężyć, nasi przodkowie użyli taktyki, którą można określić za pomocą prostej, eleganckiej formuły. Ta formuła i wszystko, co za nią się kryje, stanowi, jak wierzę, witalną część dziedzictwa Jochi.

- Znam odpowiedź - powiedział Douw - ale pańskie słowa są o wiele subtelniejsze niż moje.

Proszę to wypowiedzieć za nas obu.

- Dziel i rządź - stwierdził Iskra. - Powaliliśmy te bestie na kolana za pomocą prostego podstępu. Nasi przodkowie oskarżyli Suzdałów i Bogazi. Torków też. I rzucili ich sobie nawzajem do gardeł. Mieliśmy nawet niezłe zyski ze sprzedawania broni wszystkim stronom.

Pozwoliliśmy im powybijać się nawzajem. A potem objęliśmy władzę.

- Mój Boże, teraz też musimy zrobić to samo! - Douw trzasnął pięścią w dłoń, jego patriotyczne serce zakołatało. - Dziel i rządź. Powrót do uświęconej tradycji.

- A więc... akceptuje pan funkcję, jaką panu oferuję?

- Z dumą, sir - zahuczał Douw. - Z dumą. - Wytarł z kącika oka łzę, której nie było.

Menynder miał odrapaną, małą, otoczoną murem posiadłość w centrum dzielnicy Torków.

Sten profesjonalnym okiem zauważył, że ten odrapany wygląd był starannie kultywowany.

Mury osypywały się, porastało je dzikie wino. Wielka brama wejściowa wyglądała na starą i przechylała się. Ogród tuż za bramą porastały chwasty. Ale druty systemu alarmowego okalające mury lśniły nowością. Bramę wzmocniono stalą. A ogrodu strzegł kolczasty żywopłot albo cierniste paprocie.

Wywiad, przeprowadzony w sprawie Menyndera wykazał, że ma on pieniądze. Dużo, jak na Torka. Ale starał się ich nie pokazywać. Tak, jakby zachowywał czujność, aby móc w każdej chwili ukryć się, gdy tylko zagrozi niebezpieczeństwo.

- Jestem w żałobie - wyjaśnił Menynder, zarzucając wędkę w zielone wody stawu.

Sten usiadł koło niego na brzegu jeziora. Deszcz ustał, świeciło piekące słońce. Ale pod drzewami, które ocieniały ulubione miejsce wędkowania starego Torka, było chłodno. Menynder

wyciągnął wędkę, sprawdził haczyk i przynętę, i zarzucił na nowo.

- Śmierć w rodzinie? Bardzo mi przykro to słyszeć - powiedział Sten.

Menynder zdjął okulary, wytarł nieistniejącą łzę i założył je na nowo.

- To młody kuzyn... Zginął na uniwersytecie.

Sten zaczął znowu mówić, że mu przykro, gdy uchwycił cyniczny błysk w oku rozmówcy.

- A jak blisko byliście spokrewnieni? - spytał.

Menynder uśmiechnął się krzywo.

- Nie wiem - w siódmym, może ósmym stopniu. Nie znaliśmy się zbyt dobrze. Ale, mimo wszystko, przeżyliśmy szok.

- Wyobrażam sobie - stwierdził Sten.

- Jestem tak wstrząśnięty - kontynuował Menynder - że obawiam się, iż przynajmniej przez rok nie będę mógł pokazywać się publicznie.

- Czy naprawdę uważa pan, że do tego czasu Altaic się uspokoi? - spytał Sten.

- Jeżeli nie - powiedział Menynder - to zapewne pogorszy mi się. Żal to podstępna choroba.

Pojawia się i znika. Pojawia i znika.

Sprawdził wędkę, zarzucił ją na nowo.

- Jak gorączka - porównał Sten.

- Taaa. I nie trzeba martwić się objawami. Można żałować i łowić w tym samym czasie.

- Zabawna rzecz, to łowienie powiedział Sten. - Cały czas wyglądasz tak, jakbyś był całkowicie zajęty. Nikt nigdy nie odważa się przeszkadzać komuś, kto łowi.

- Wydaje mi się, że nie tylko ja tu łowię, panie ambasadorze - stwierdził Menynder.

Jeszcze raz zarzucił wędkę, wypróbując inne miejsce.

- Sądzę, że tylko usiłuję znaleźć właściwą przynętę.

Menynder zdecydowanie pokręcił głową.

- Proszę o tym zapomnieć. Nie ma wystarczającej ilości kredytów czy zaszczytów, aby mnie stąd wyciągnąć. Długo już żyję. Chciałbym zakończyć to w naturalny sposób.

- To trudne w dzisiejszych czasach - powiedział Sten.

- Święta prawda. - Żyłka od wędki ugrzęzła w gruzach. Menynder pociągnął mocniej, haczyk się urwał. - Szczerze mówiąc, nie sądzą, aby się polepszyło. Nie za mojego życia.

- To da się rozwiązać - stwierdził Sten stanowczo. - Tak czy inaczej.

- Podejrzewam, że ma pan pewne plany w stosunku do mnie, jeśli chodzi o owo rozwiązanie?

- Tak.

- Myśli pan tak, bo byłem na tyle głupi, aby wyciągnąć szyję.

- Zebrał pan kilka istot, które potrafiły normalnie rozmawiać zamiast walczyć.

- Wydawało mi się kiedyś, że jestem niezły w te klocki. - Menynder nałożył nowy haczyk.

- Nadal tak jest, jak sądzą.

- Zmarnowany, niepotrzebny talent. Jeżeli to w ogóle talent. Osobiście myślę, że jestem po prostu cholernie dobrym kłamcą.

- Niedługo wydarzą się bardzo ważne rzeczy - powiedział Sten. - Dawno temu - w podobnych okolicznościach - doradziłem komuś podobnemu do pana, aby wycofał się z linii ognia.

Powiedziałem mu, że najlepszą rzeczą jest dorobienie się duszącego kaszlu.

- Przyjął pańską radę?

- Tak.



- Czy żyje?

- Tak. I kwitnie.

- Ale chce pan przecież, abym zrobił coś zupełnie przeciwnego?

- Taaa.

- Tamtemu facetowi dał pan lepszą radę.

- To było wtedy. Teraz jest teraz.

- Bez obrazy, panie Sten, ale nie chroni mnie imperialny majestat. Mam tylko mały oddział dla bezpieczeństwa. A gdyby nawet było inaczej, to właśnie tu przede wszystkim nasz dobry doktor przysłałby bataliony z armatami i czołgami.

- Nie sądzi pan, że Iskra w końcu da sobie radę?

- Cholera, nie! Naprawdę wkurza mnie fakt, że ja sam wymieniłem kiedyś jego nazwisko. Z aprobatą. Proszę powiedzieć swojemu szefowi, że tym razem nieźle się pomylił.

Ale proszę nie powoływać się na mnie. Raczej wolę zejść z oczu, jeżeli to panu nie przeszkadza.

- Nie będę kłamał i mówił, że był pan moją jedyną nadzieją - powiedział Sten. - Ale mógłby pan stać się kimś ważnym.

- Sądzi pan, że zaryzykowałbym życie własne - i rodziny - dla jakiejś szalonej walki z wiatrakami? Ocalenia Mgławicy Altaic?

- A nie warto?

Menynder zarzucił wędkę, pomyślał. Potem westchnął.

- Nie wiem.

- Pomoże mi pan?

- Może innym razem - wymamrotał Menynder.

Sten wstał. Spojrzał na zielone wody stawu, zastanawiając się, dlaczego nie widział nawet śladu ryby.

- Czy tu w ogóle coś żyje? - spytał.

- Kiedyś tak - powiedział Menynder. - Zarybiałem go co roku. Potem pogoda zaczęła wydziwiać. Chyba pan to zauważył. Coś stało się z wodą. Zmieniła się równowaga czy coś w tym rodzaju. Wszystkie ryby zginęły.

- Ale pan nadal łowi.

Menynder roześmiał się i zarzucił znowu wędkę.

- Jasne. Nigdy nie wiadomo, co można złapać.

Sten odnalazł Kaebak, ministra spraw zagranicznych Bogazi, w budynkach ambasady.

Zdejmowała akurat flagę. Była sama, poza własną ochroną. Wszyscy pozostali właśnie wyprawili się do portu kosmicznego. Kaebak planowała dołączyć do nich. I to szybko.

- Nie ma takiej potrzeby - przekonywał Sten. - Mogę zagwarantować bezpieczeństwo waszej ambasady.

- Bogazi nie trzeba bezpieczeństwa - powiedziała Kaebak. - Strach nie ma w nas.

Gniew jest. Suzdale zapomnieć gniew Bogazi. Pożalują zapomnienia.

- Dlaczego oskarżacie Suzdalów o to, co się zdarzyło? Ich szczenięta także zginęły na uniwersytecie.

- Phi. To kłamstwo. Suzdale robić propaganda. Oskarżać Bogazi o własne złe czyny. To wymówka. Chcą wojny. Dobrze. My dać im wszystko, co chcą.

Kaebak uważała rozmowę za skończoną. Podeszła do swojego grawilotu. Sten uczynił ostatni

wysiłek.

- Proszę pójść ze mną do ambasady Imperium - powiedział. - Pokażę akta mojego wywiadu.

Zobaczy pani, że Suzdalowie zostali tak samo oszukani, jak wy.

Grawilot zaczął ruszać. Sten odsunął się. Kaebak wytknęła dziób przez okno.

- Pana też nabrali. Nie trzeba patrzeć w kłamstwa Suzdali. Ja jechać do domu.

Pomóc stadu robić psi befszytk.

Pech Stena trwał przez cały dzień i wczesne godziny następnego. Raz za razem usiłował dodzwonić się do Wiecznego Imperatora.

Ciągle jednak otrzymywał tę samą wiadomość, że Imperator jest niedysponowany - i nikt nie umiał mu powiedzieć, jak długo potrwa ta choroba.

Sten poruszał się po omacku i desperacko potrzebował przewodnika. Sytuacja pogarszała się z godziny na godzinę.

Było jasne, że Iskra musi odejść.

Ale tylko jedna istota mogła podjąć tę decyzję. Los Altaic zawisł na włosku.

Jeszcze raz spróbował.

- Niesłychanie mi przykro, panie ambasadorze - brzmiał łagodzący głos sekretarki Imperatora. - Jestem pewna, że Imperator odezwie się do pana, jak tylko stanie się to możliwe. Tak, przekażę mu pańskie wiadomości. Tak, wspomniałam o ich niesłychanej pilności.

Bardzo mi przykro z powodu tych niewygód, panie ambasadorze. Ale jestem pewna, że pan to rozumie.

Sten zacisnął zęby. Gdzie, u diabła, był Imperator?

## Rozdział 22

- Już dawno temu miałem zamiar spotkać się z tobą - powiedział Imperator. - To opóźnienie jest doprawdy niewybaczalne. I tobie, i twojej organizacji bardzo wiele zawdzięczam.

Starsza kobieta zachichotała w odpowiedzi.

- To nasza sprawa, hi, hi, aby służyć, hi, hi, Wasza Eminencjo. Przecież właśnie po to istnieje, hi, hi, Kult Wiecznego Imperatora, nieprawdaż?

- A jednak. Trwaliście przy mojej... pamięci... w trudnych czasach.

- Jak czasy kiedykolwiek, hi, hi, mogą być trudne - spytała Zoran - kiedy ty zawsze jesteś, hi, hi, z nami?

Imperator nawet nie próbował odpowiedzieć. Pozwolił, aby cisza zaległa pomiędzy nimi, ciemna jak pokój, do którego wprowadził starą kobietę. Chciał stworzyć atmosferę posępnego majestatu, odpowiednią do swojego zadania. Ale diabelski chichot Zoran rozświetlał zmrok. To go złościło, bo oznaczało kiepski start. Była takim dziwnym starym ptakiem.

Miała ponad sto pięćdziesiąt lat, ale pod pomarańczowymi szatami kryło się dobrze ukształtowane ciało młodej kobiety. Jako najwyższa (wybieralna) kapłanka kultu, powinna mieć - tak, jak oczekiwał - pstro w głowie. I potwierdzał to jej nieustanny chichot - dopóki nie zorientował się, że jest to sztuczka, mająca na celu zmylenie rozmówcy. A jej oczy błyszczały raczej inteligencją, niż podnieceniem spowodowanym ujrzeniem go we własnej, uświęconej osobie.

- Czy to prawda - powiedział w końcu - że organizacja wasza wierzy w to, iż jestem, hmmm, bogiem?

- Reprezentantem Świętych Sfer, hi, hi, to raczej lepiej oddaje nasze wierzenia, Wasza Wysokość.

- A więc... nie wierzycie we mnie jak w Boga.

- Wiara to takie, hi, hi, nieokreślone słowo, Wasza, hi, hi, Eminencjo. Nie składamy ofiar, hi, hi, z tłustych owieczek albo naszych, hi, hi, pierwородnych. Ale naprawdę, hi, hi, szanujemy cię, panie.

- Jako boga?

- Jako wieczną, hi, hi, istotę.

- Cholera, kobieto! Jestem bogiem czy nie!

Chichot zamarł. Zoran wstrzymała oddech. Imperator przerażał ją. Kiedy wchodziła do pokoju, nie spodziewała się, że jego głowę będzie otaczała aureola. Tak naprawdę, sądziła raczej, że ujrzy zwyczajnie wyglądającego człowieka. I tak się stało - poza tym, że lepiej wyglądał i był wyższy niż na ekranach telewizorów.

Poza ciemnością w pokoju, którą, jak sądziła, zrobiono na jej benefis, niepokoiły ją oczy

Imperatora. Nigdy nie patrzyły na nią wprost, ale przesuwaly się z jednej strony na drugą. Bez końca. Niemal... patologicznie. Myślenie o tym przygnębiało ją jeszcze bardziej.

- Wybacz, proszę, moje zniecierpliwienie - powiedział Imperator. - Mam wiele poważnych spraw na głowie i w ogóle. - Pochylił się ku niej, uśmiechając tak uroczo, jak tylko potrafił. Mimo wszystko Zoran zauważyła, że jego oczy nadal były rozbiegane. - Czy wybaczysz mi moją niegrzeczność?

- Och, Wasza Wysokość powiedziała Zoran, wylewnie reagując na jego wdzięk - to ja muszę raczej błagać o wybaczenie. Jestem tylko głupią starą kobietą. A ty, panie, okazałeś mi taką cierpliwość.

Wieczny Imperator odetchnął. Tak lepiej. Zauważył, że skończył się chichot.

Jeszcze lepiej.

- A teraz, czy możesz być tak uprzejma i wyjaśnić, o co w tym wszystkim chodzi?

- Oczywiście, sir. Jeśli zabrzmiało to mętnie, to tylko z przyzwyczajenia. Jest tak wiele różnych istot. Słowo „bóg” nie oznacza dla nich tego samego.

- To prawda - powiedział Imperator, dumny ze swojej wiedzy o religii.

- Jednakże w ludzkich kategoriach - kontynuowała Zoran - sądzę, że bóg to odpowiednia nazwa dla twojej świętej osoby.

Imperator roześmiał się.

- Wyobraź sobie. Ja - bóg.

- Och, ależ my to wyobrażamy sobie cały czas, Wasza Wysokość - powiedziała Zoran. - Tak naprawdę, to wyznawcy Kultu Imperatora są zobowiązani do robienia tego dwa razy dziennie.

W naszych modlitwach. Do ciebie, panie.

- Jakież to ekscytujące - powiedział Imperator.

Oczy zwęziły mu się w uśmiechu, ale cały czas krążyły, krążyły... Tam i z powrotem. Tam i z powrotem.

- To naprawdę jedna z najbardziej interesujących rozmów, jakie ostatnio przeprowadziłem.

- Jestem bardzo szczęśliwa, że udało mi się zadowolić Waszą Wysokość - oświadczyła Zoran.

- Powiedz mi, jak wiele istot wierzy teraz we mnie, ha, ha?

- Tysiące wiernych, Wasza Wysokość. Może nawet miliony.

- Miliony, tak?

- Trudno to w tej chwili określić, panie. Ale mogę powiedzieć, że nasze rejestry wzbogaciły się znacznie podczas twojej nieobecności. A po powrocie wzrosły jeszcze bardziej. Na jakiś czas.

Imperator zacisnął usta.

- To znaczy, że wystąpił jakiś spadek?

- Tak, Wasza Wysokość. Przykro mi o tym mówić. Ale tego należało się spodziewać.

Istoty są takie słabe. I spowszedniało im to, że wróciłeś.

- Tak szybko? - zaświszczal Imperator.

- Taka już natura istot rozumnych. Poza tym, nasz skarbiec to już nie to, co kiedyś.

Imperator wiedział, kto ją niegdyś opłacał. Pieniądze pochodziły w sekrecie od Kyesa, jedyne go inteligentnego członka Rady. Zoran nie była świadoma prawdziwych celów Kyesa.

Imperator postanowił, że tak pozostanie.

- A czego potrzebujesz do zwiększenia, hmmm, entuzjazmu swoich wiernych?

- Niewiele, Wasza Wysokość. Mówię potencjalnym sponsorom, że członkowie naszego kultu są

najbardziej skłonni do poświęceń w całym Imperium. To zwykle istoty, które prowadzą pożyteczne, produktywne, codzienne życie. W wolnym czasie zmieniają swoje codzienne stroje na świąteczne szaty i okrażają świat, głosząc twoją, panie, chwałę wszystkim, którzy chcą słuchać.

- Innymi słowy, nie ma żadnych pośredników marnotrawiących dotacje? - zapytał Imperator.

- Dokładnie, Wasza Wysokość. Dziewięćdziesiąt procent każdego darowanego nam kredytu trafia dokładnie tam, gdzie trzeba. Tylko dziesięć procent idzie na administrację, transport, koszty pocztowe i inne rzeczy tego rodzaju.

- Imponujące - stwierdził Imperator.

Naprawdę tak myślał. Miał także swoich agentów, którzy potwierdzili ten fakt podczas intensywnej pracy wywiadowczej nad kultem.

Wyciągnął akta z biurka i wręczył je Zoran.

- Moi ludzie zrobili małe... rozpoznanie. Znajdziesz tu jego wyniki. To analiza - region po regionie całego mojego Imperium. Oraz charakterystyka, jakby to powiedzieć, moich najlepszych poddanych.

Zoran stwierdziła, że trzęsą się jej ręce, kiedy brała akta. Szybko ukryła tę reakcję.

- Jak możemy się odwdziżyć, Wasza Wysokość?

- Och, to nic takiego. Ledwie mała pomoc w waszej pożytecznej pracy. A teraz... jeśli chodzi o fundusze. Nie może istnieć żadne powiązanie pomiędzy nami, czy to rozumiałe?

- Tak, Wasza Wysokość. To by było... niewłaściwe.

- Całkowicie. Spotkania będą krótkie. Udostępnimy wielkie dotacje. Zróbcie z nich dobry użytek. Później nadejdzie jeszcze więcej, jeżeli zajdzie potrzeba.

- Tak, Wasza Wysokość.

- Cieszę się, że się rozumiemy - powiedział Wieczny Imperator.

Zoran nie była taka zadowolona. To dowód, pomyślała, że nie zawsze jest mądrze modlić się o coś tak żarliwie. Bo istnieje wielkie niebezpieczeństwo, że modły zostaną wysłuchane.

A teraz nie miała odwagi, by tym wzgardzić.

## Rozdział 23

- Zaobserwowałem - stwierdził Alex - mały cud.

- Uczysz się ładnie mówić?

- Czy coś nie tak ostatnio z twoim węchem?

Sten ostentacyjnie pokazał język, sprawdził, czy nadal ma nos na swoim miejscu i pokręcił głową. Kilgour był bardzo inteligentny, i za to głównie tak ceniono go w Sekcji Mantis.

Poza tym miał najwyraźniej wrodzoną zdolność do mordowania...

Alex wręczył Stenowi akta. Sten spojrział na nie. To był ściśle tajny cotygodniowy raport, jaki otrzymywał komendant policji Jochi. Zobaczył zwykły zbiór morderstw, gwałtów, rabunków.

- Możesz to przeglądać, jeśli chcesz, ale ja jestem chodzącym i oddychającym źródłem informacji.

- Mów.

- Na całej Jochi obrabowano arsenały, mały Stenie. Niektóre policyjne, ale głównie wojskowe. To postępuje w niepohamowany sposób.

- Jakoś mnie ta sprawa nie dziwi - stwierdził sucho Sten. - Biorąc pod uwagę to, w czym teraz tkwimy, gdybym był mieszkańcem tego zadupia, poszukałbym czegoś dla wyrównania rachunku. Na przykład pancernika. I to tylko w charakterze wsparcia.

- Napij się, szefie. Sind, nalej małego naszemu kochanemu kumplowi. On szaleje.

Czuje się zagubiony jak sierotka, stokrotka, bo wspaniały Imperator nie chce się do niego odezwać.

- Znasz, kochanie, kłopoty, jakie powoduje szefowanie. Pamiętam te czasy, kiedy Sten był szczęśliwy, tańczył po ulicach, cieszył się z pełnego brzucha i pustej ładownicy, napełnionej szklanki w garści i gorącej barmanki w drugiej.

- Noo, a teraz stał się cyniczny i ma dalekosiężne spojrzenie. Całkiem zapomniał, że jutro nie nadejdzie, jeżeli ja nie zechcę.

- Ty, Alex? - zdziwiła się prowokacyjnie Sind, odstawiając butelkę. - Czy sądzisz, że jesteś Najważniejszą Istotą?

- Oczywiście - powiedział Alex, nalewając kolejkę. - I mogę to udowodnić. Jeśli ten stregg został zatruty, i ja padnę w konwulsjach, wijąc się jak Nessie, jak wąż, to nie będzie jutra. Pasuje?

- No, na pewno nie tobie.

- Tak. Jeśli stregg nie został zatruty, to wy, lekkodupki, możecie pić i trzymać się na nogach. I to jest dowód. Jeśli nie ma jutra dla mnie, i ja jestem najważniejszy, to nie ma jutra dla wszystkich, pasuje?

Sten i Sind spojrzeli na siebie. Kilgour, rzecz jasna, wyprzedzał ich co najmniej o dwie szklaneczki streggu.

- Noo - ciągnął Alex. - Wracając do tych zbrojowni, które obrabowano. Wszystkie raporty z zaobserwowanych wypadków, jakie mają główni gliniarze, wziąłem sobie dla nas, zaraz po tym, jak robiłem za świnkę doświadczalną pijąc tutejsze piwo i stwierdziłem, że nie nadaje się ono ani dla człowieka, ani dla bestii, ani tym bardziej dla Szkota. Zauważyłem dziwną rzecz przy tych kradzieżach, szefie. Broń ginie na lewo, prawo i prosto, ale żaden raport nie wspomina o zabójstwie przy takiej okazji.

- Och.

- Co znaczy to „och” - zdziwiła się Sind.

- Naprawdę trudno jest - wyjaśnił Sten - włamać się do zbrojowni, przypuszczalnie pilnowanej przez armię, rezerwistów czy kogokolwiek, bez tego, aby jakiś patriotycznie nastawiony idiota nie przeciwstawił się temu. Zawsze jakiś na wpół emerytowany sierżant postanawia zagrać rolę bohatera i albo kogoś zabija, albo sam ginie.

- Taaa. Ta cholerna armia bierze w tym udział.

- Do diabła - powiedziała Sind. - Może ja lepiej będę trzymać się prostej żołnierki. To szpiegowskie gówno, w jakim się babrzecie, robi z was cyników.

- Mówiłem o tym - stwierdził Alex - wieki temu, na Newtonie, a ty chciałaś trzymać Stena za rękę, kiedy wybierał się na Primę.

Sam Sten nie słuchał tego, o czym na boku gawędzili.

- Nie miałbym nic przeciwko małej niezależnej akcji - powiedział. - Po pierwsze, to nam zrobi dobrze na morale. Po drugie, miło byłoby powiadomić tutejszych drani, że świat nie toczy się dla ich szczególnej przyjemności. Po trzecie, nie podoba mi się pomysł, że ci cholerni lokalni militaryści sądzą, iż mogą tworzyć prywatne organizacje terrorystyczne - albo mieć kogoś na każde zawołanie. Spróbujmy dowiedzieć się, dokąd idzie ta broń.

Sind spojrzała sceptycznie.

- A jak to zrobimy? Poślemy nietoperzyki do każdego składu broni, którego jeszcze nie obrobili? To wymaga wielu czujników.

- A właśnie, że nie. Oni mają motyw, my dostarczymy im sposobności. Użyjemy gambitu, który nazwałbym, hm, hm, Wyprawą Śpiewającej Broni.

- Jak z podłego filmu - powiedziała Sind.

- Nie szkodzi. Potrzebujemy tylko...

- Tego - stwierdził Kilgour, kładąc karabin na biurko Stena. - Jeżeli te dranie szukają jakiegokolwiek broni, to chyba boli ich serce, że nie mogą dostać się do składów Imperatora. Na pewno się nie mylę, bo czytałem raport o tym, że trzech zbirów kręciło się koło posterunków przy bramie przez kilka ostatnich nocy.

- Nigdy mi nie pozwalasz na to, żebym był mądrzejszy od ciebie, panie Kilgour.

- Ależ, szefie. Nie miałem pojęcia, że tak jest. Poza tym, masz szansę się wykazać jeszcze wiele razy. Na przykład, kto nakarmi tego kota?

- Przecież... o cholera jasna!

- Tak właśnie. Nie ufam ochronie ambasady. Gwardziści pułkownika Jerety nie mają dość rozumu, aby to pojąć. Bhorowie obciąliby sobie brody, gdybym zasugerował im coś takiego. I wiem dobrze, że Gurkhowie też na to nie pójda.

Sten kiwnął głową.

- Zapłaciłbym nieźle za usługi dwóch paskudnych typów, jakichś złych agentów Mantisa, którzy by to dla mnie zrobili.

- Nie wiem za dobrze, co jest grane, ale pójdę - powiedziała Sind.

- Nie. Za bardzo uważają na ciebie.

- Panie Kilgour. Nigdy nie domyśla się, że najlepszy as ambasadora może wyjść na dwór w noc taką jak ta, nieprawdaż? Zwłaszcza w żołnierskim mundurze.

- Oj, szefie, myślałem nad tym, ale to się nie uda. Nawet po zmroku widać, że jestem dość okrągły - Alex z dumą poklepał się po wydatnym brzuchu - za okrągły jak na starego żołnierza. I wszystko weźmie w łeb. Nawet w noc taką jak ta coś widać. Ale jeżeli popatrzą i ujrzą młodego żołnierzyka, małego chwata, który wypił w kantine zbyt wiele piwa, i jakoś musiał opuścić swój posterunek czy coś w tym rodzaju...

- Kilgour, takie wypadki robiłeś z zamkniętymi oczami już wtedy, kiedy byłeś rekrutem Mantisa. Ty chcesz żebym ja, sam ambasador Sten...

- Trzeba czasem, kochany, przypomnieć sobie własne korzenie. Ku żalowi nauczyciela.

- Skurwiel.

- Znowu rozmawiałeś z moją mamusią.

- Nie ociągaj się. Tylko zostawcie mi trochę stregga.

- Może - powiedziała Sind. - Mam zamiar wypić jeszcze trzy głębsze, podczas gdy Kilgour będzie mi wyjaśniał, o co tu naprawdę chodzi.

- Dotrzymam ci kroku, skarbie. Późno już, kilka następnych minut przyniesie nam ulgę, o ile podejrzewam właściwie tych chłopaków z drugiej strony ulicy. I puszcę nietoperza za Stenem.

Upewnię się, że wznowienie działalności Sekcji Mantisa przyniesie właściwy skutek.

Sten zrobił obsceniczny gest. Zastanawiał się nad następnym kieliszkiem, ale zrezygnował.

Ciężko jest udawać pijanego, kiedy naprawdę huczy w głowie. Poza tym musiał znaleźć pasujący na niego mundur gwardzisty.

Mniej niż godzinę później imperialny patrol ochrony robił swój zwyczajny obchód.

Stawał przy każdym posterunku. Dyżurny oficer wykrzykiwał rozkaz. Zwalniany wartownik salutował, prezentował broń i dołączał do formacji. Nowy wartownik salutował, przejmował jego posterunek.

Patrol ruszał dalej.

Nowy wartownik przez chwilę obchodził swoje stanowisko wojskowym krokiem, potem przystanął, by odetchnąć. Dwaj obserwatorzy po drugiej stronie szerokiej alei zauważyli, że opuścił broń w dół i przytrzymał się muru jedną ręką.

Uchronił się przed upadkiem i odwrócił. Potem przypomniał sobie o karabinie i pospiesznie założył go sobie z powrotem na ramię. Przeszedł kilka kroków, ale broń najwyraźniej zaczęła mu ciążyć. Znowu przystanął i poluzował rzemienie.

Dwukrotnie obszedł swój teren. Jednemu z obserwatorów wydało się, że widzi błysk butelki koło ust wartownika, którego krok stał się najwyraźniej bardziej chwiejny.

Żołnierz wrócił do bramy i schronił się przed wiatrem w niszy, kilka metrów od budki strażniczej.

Nie ruszał się przez kilka minut.

Dwaj mężczyźni wymienili spojrzenia. Pierwszy zaczął coś szeptać, a wtedy w budce zabuczał



interkom. I buczał. I buczał. Gwardzista podniósł się, podszedł pospiesznie do budki i odebrał telefon.

Karabin pozostał, zapomniany przez chwilę, w niszy - a wartownik był odwrócony do niego plecami. Zanim skończył głośne i skomplikowane wyjaśnienia i odłożył słuchawkę, broń znikła.

Kilgour, obserwujący w ciepłym, suchym biurze Stena całą scenę przekazywaną przez „nietoperza”, poczekał jeszcze kilka minut, zanim uruchomił Fazę Drugą, kiedy to sierżant gwardii miał odnaleźć pijanego wartownika bez broni i przekazać go do karnego raportu.

Nalał Stenowi podwójnego drinka, kiedy usłyszał, że nadchodzi korytarzem.

A teraz kolej na Fazę Trzecią, W kolbie karabinu ukryto mały przekaźnik. Był nastawiony na odbiór. Za godzinę czy dwie, kiedy broń zostanie przeniesiona tam, gdzie złodzieje przechowywali swoje łupy, Kilgour miał poprzez bezpośredni sygnał uruchomić nadajnik. I niezależnie od tego, czy broń kradziono dla zysku, czy po to, aby zaopatrzyć prywatną armię, efekt mógł okazać się ciekawy.

Wtedy Sten i Alex mieli zdecydować, na czym będzie polegała Faza Czwarta.

- Pięknie, stary. Pięknie, jak za dawnych czasów - pogratulował Kilgour Stenowi, gdy ambasador wszedł do pokoju i opadł na fotel.

- Do diabła ze starymi czasami. Ten cholerny wiatr przenika do kości. Gdzie Sind?

- Nasz mały skarb powiedział, że my dwaj stanowimy doskonały zespół roboczy, a ona nie jest nam potrzebna. I mruczała coś jeszcze o rozgrzewaniu kości jakiegoś starego żołnierza.

Sten uśmiechnął się i podał nietknięty kieliszek Kilgourowi.

- A więc mówię ci dobranoc, panie Kilgour. Idę na emeryturę, aby skorzystać z dobrodziejstw bycia starym żołnierzem.

- Dobra. A ja, pogrążony w niedoli mojego celibatu, porozmyślam sobie o tym, jakie przykrości jeszcze na nas czekają.

Następne świństwo, jak można się było spodziewać, zostało popełnione przez czarujące istoty Altaic i stanowiło rzecz o wiele poważniejszą, niż pluskwa w jakimś karabinie.

Admirał Mason, bardziej skrzywiony niż zwykle, poinformował Stena o tych wydarzeniach.

Ostatnio ani on, ani „Victory” nie mieli zbyt wiele do roboty dzięki jakiemś dobroczynnemu bożkowi, który musiał zablądzić i trafić do Mgławicy Altaic, Sten kazał mu więc patrolować okolice swoim statkiem.

Mason trochę się sprzeciwiał - głównie dlatego, że to właśnie Sten wydał ten rozkaz - ale zamknął się, gdy Sten podkreślił, iż nie ufa nikomu innemu tu, na Altaic, włączając w to własny personel ambasady, który przecież powinien był wcześniej ostrzec ich o tym, co się tutaj dzieje.

Mason zameldował się formalnie, prosząc o rozmowę ze Stenem na osobności. Sten wyprosił z pokoju sekretarkę, szyfranta i szefa protokołu, a potem włączył zabezpieczenie przed podsłuchem. Zauważywszy to, Kilgour natychmiast zaczął podsłuchiwać w swoim pokoju tuż obok.

Mason, bez żadnych wstępów, postawił małą przegładarę i włączył ją. Na biurku Stena uformował się hologram. Pokazywał barykady postawione przy głównej bramie uniwersytetu Pooshkan, stojących przy nich studentów, a potem atak. Film, zamazany i krótki, na pozór został zrobiony przez turystę z obcego świata, którego taksówka zgubiła się i przez to skończył wyprawę w samym środku zamieszek. Rzecz jasna była to fałszywka - nie pokazywała tarcz, których używała policja przy ataku na studentów, a szturmujący nosili raczej zwykłe kombinezony, a nie mundury.

- Widział pan to? - spytał Mason.

- Owszem. W zeszłym tygodniu, raz na godzinę, w przekazie wszystkich pirackich stacji w

okolicy.

- Wersja B - powiedział Mason i włożył kolejną kasetę.

Ta sama scena, poza tym, że na uniwersytecie nie było żadnych humanoidów.

Barykad broniły szczenięta Suzdali, a atakowali Bogazi.

- Cudownie - stwierdził Sten. - Skąd pan ma tę wersję?

- Jak pan kazał, zrobiłem z „San Jacinto” jedno wielkie ucho pomiędzy Suzdalami a Bogazi.

Nadawali to otwartym pasmem, jakie łapie każdy ze światów Bogazi.

- Założy się pan - powiedział Sten - że gdyby „San Jacinto” poczekał jeszcze chwilę, to miałby ten sam film, ale z Bogazi jako ofiarami?

- Nie zakładam się, sir.

„San Jacinto” stanowił jeden z kolejnych sekretnych atutów Stena - niszczyciel był nowiutki, zbudowany na pamiątkę szpiegowskiego statku, który został zniszczony jako pierwszy okręt wojenny podczas wojen tahnijskich. Składał się głównie z broni, silników i czujników, i nadawał się do mieszkania nieco tylko bardziej niż korweta.

- A więc każda maszyna propagandowa ma swoje turbodoładowanie - stwierdził Sten.

- Jak długo to potrwa, zanim zacznie się krucjata? Och, ma pan tego więcej.

I rzeczywiście - ale można było przekazać to tylko słowami.

Dżihad już się zaczął. Nacierają dwie pełne floty Suzdali - jedna, oficjalnie zaakceptowana przez Khaqana dla „lokalnego bezpieczeństwa” i druga - pospolite ruszenie uzbrojonych transportowców, szmuglerów i patroli badawczych.

Pośrodku jazgotu analitycy Imperium określili cel. Suzdalowie mieli zamiar ni mniej, ni więcej, tylko zniszczyć całkowicie światy Bogazi. Raka należy wyrwać z korzeniami, nieważne, ile to będzie kosztowało każdą ze stron. Bogazi zbyt długo mogli robić zbyt wiele...

- Mogli atakować, palić, ciąć, eliminować, i tak dalej, i tak dalej - powiedział Sten. - Oczywiście równie spokojni i pragmatyczni Bogazi skomasują swoje siły, aby bronić macierzystych światów.

- Obrona, jeżeli się powiedzie, stanie się atakiem do ostatniej kropli krwi na dzikich Suzdali, tak?

- Tak, sir.

- Ta robota staje się przyjemniejsza z minuty na minutę. Kilgour, wejdź, proszę.

Alex, nie zwracając sobie głowy wyjaśnieniami, stanął w drzwiach.

- Trzymasz redutę. Mason i ja mamy zamiar pokręcić się dookoła i zapobiec pogromowi.

- Tak jest, sir.

Kilgour stanął na baczność. Jeżeli złościł się, że go wykluczono, to był na tyle profesjonalistą, aby tego nie okazać.

Mason przez chwilę miał wyraz niedowierzania na twarzy, wreszcie także zamarł w postawie na baczność.

- Czy przejmuje pan komendę?

- Tak, admirale.

- Bardzo dobrze. Muszę ostrzec, że nie ma wystarczającej ilości czasu, aby jakiegokolwiek imperialne posiłki zdążyły do nas dotrzeć, zanim Suzdalowie i Bogazi staną twarzą w twarz.

Zrobiłem już prognozy.

- Tak właśnie sądziłem - powiedział Sten. - Nie myślałem że otrzymamy jakieś wsparcie.

Imperium dość cienko przędzie ostatnio, chyba pan to zauważył.

- Weźmy więc trochę potrzebnego złomu; my dwaj i „Victory” oczyścimy nieco pole.

- Odtrąbiono, admirale?

- Czy mam rację, Alex, przyjmując spokojnie to, że Sten zostawił ciebie, mnie, Gurkhów i Bhorów na miejscu dlatego, iż oficjalnie nadal przebywa w rezydencji?

- A widzisz, majorze Sind? Uczysz się już czegoś. W następnym życiu, a może trochę później, masz szansę coś osiągnąć.

- Idź do diabła, Kilgour.

- To znaczy, niech pan idzie do diabła, panie Kilgour, jak dla ciebie. Czyżbyś nie wiedziała, że pełnię obowiązki ambasadora i należy mi się odrobina szacunku?

- I to właśnie dostaniesz. Maleńką odrobinę szacunku...

Nuda zabiła więcej żołnierzy niż bagnety.

Zabiła też braci Tukungbasi.

Nie tylko oni się nudzili, ale także sierżant, który stał się nieco mniej ostrożny, oraz inni - od dowódcy kompanii aż do pułkownika Jerety. Pilnując bezpieczeństwa doktora Iskry i pałacu Khaqanów wpadli w rutynę.

Bracia Tukungbasi, dla których był to pierwszy przydział do jednostki bojowej, nie czuli się specjalnie szczęśliwi. Nie zaciągnęli się tu po to, by służyć jako gwardia honorowa czy policjanci.

Nie wiedzieli o tym, że nikt z Trzeciego Batalionu Gwardii nie lubił tego przydziału, zwłaszcza karierowicze. Ale, jako zawodowcy, nie zważając na to, że piechota nigdy nie jest zbyt dobra w zaprowadzaniu pokoju, trzymali gęby na kłódkę i robili swoje.

Robili swoje, utrzymując koszary i wyposażenie w nieskazitelnej czystości, od czasu do czasu popijając marne piwo w miejscowej kantine i klnąc. Złorzeczyli zwłaszcza na temat ograniczeń, które dla żołnierzy nie miały żadnego sensu. Byli tu przecież dobrze widziani.

Dlaczego więc pozostawali w swoich kwaterach i na terenach rekreacyjnych, zamkniętych i starannie strzeżonych?

No, może na Jochi czyhały jakieś niebezpieczeństwa, ale przecież oni byli frontowymi wiarusami, no nie? Nic im nie zagrażało, póki uważali na siebie.

Żołnierze nie zdawali sobie sprawy z tego, że krążyło zbyt wiele filmów pokazujących, jak używają minimalnej, lecz koniecznej siły, aby strzec bezpieczeństwa Iskry, a także jak strzegą budynków w pełnym uzbrojeniu. I na pewno nie wiedzieli o komentarzach, które często towarzyszyły tym obrazom, pozwalając na rozprzestrzenianie się plotki powtarzanej w kawiarniach i barach Jochi.

Nuda...

Na szczęście bracia Tukungbasi mieli przyjaciółkę. Jedna ze starych kobiet pracujących w kantine zawsze witała ich uśmiechem i grubym żartem. Mówiła, iż szkoda, że nie mogą wyjść na zewnątrz i spotkać się z mieszkańcami Jochi. Zwłaszcza z jej wnuczką.

Pokazała im hologram.

Obaj bracia zgodzili się, że te ograniczenia to coś więcej niż przykrość - to potworna niesprawiedliwość. Kobieta na hologramie była bardzo piękna. Staruszka spytała, czy może napisaliby liścik do jej wnuczki. Jeden z nich zrobił to. Otrzymał odpowiedź.

Młoda kobieta naprawdę miała chęć spotkać się z nim i nadmieniła, mimochodem, że ma koleżankę, która czuje tak samo. Obu im było przykro, że mieszkają na takim głupim świecie jak Jochi, i chciały mieć szansę na spotkanie prawdziwego człowieka z zewnątrz. Ze światów, gdzie

wszystko może się zdarzyć.

Braciom Tukungbasi, pochodzącym z bardzo prowincjonalnej, zapyziałej planetoidy, nader to pochlebiło.

Liściki od młodej kobiety i jej przyjaciółki stawały się coraz ciekawsze. Bracia Tukungbasi stracili wszelkie zainteresowanie romansami z obywatelkami Imperium. Żadna z kobiet służących w batalionie - przynajmniej żadna z wolnych kobiet - nie mogła równać się z tymi dwiema dziewczynami.

Pewnego wolnego od służby dnia liścik powiedział im, aby podeszli do drutu granicznego.

Z drugiej strony, pociągając blisko, w odległości około stu metrów, stały dwie młode kobiety.

Naprawdę bardzo piękne. Pomachały im, a niemożność natychmiastowego podziękowania za to omal nie zabiła braci Tukungbasi.

Zdecydowali, że przedostaną się na drugą stronę.

Mogliby wyjść o zmierzchu i wrócić przed świtem, a ich marzenia spełniłyby się.

Zaczęli szukać jakiejś dziury. I ponieważ jednostka Gwardii była piechotą, a nie siłami bezpieczeństwa, a granica została ustawiona po to, aby powstrzymać tych z zewnątrz przed dostaniem się do środka, a nie odwrotnie, udało im się coś takiego znaleźć.

Należało tylko ominąć jeden z automatycznych szperaczy i wyslizgnąć się po przejściu patrolu. Oczywiście patrol także wykonywał swoje zadanie rutynowo.

Gdyby tak przemknęli pod drutem w piżamach i ściągnęli je zaraz za przejściem...

Pod nimi kryłyby się wyjściowe mundury. Za mundurem panny sznurem...

Bracia, niedoświadczeni w sztuce uwodzenia, postanowili wziąć ze sobą mały prezent.

Kupili w sklepie komercyjnym dwie butelki alkoholu, marki takiej, iż żaden z nich nie mógł sobie na nią pozwolić. Ale ponieważ i tak nie mieli gdzie wydawać swojego żołądka, doszli do wniosku, że stać ich na to, żeby się szarpnąć. Przecież ten wieczór miał być wyjątkowy.

Stara kobieta w kantynie dała im plan dojścia do mieszkania swojej wnuczki.

Żaden z braci nie uważał, że to trochę dziwne, iż starucha aktywnie uczestniczy w uwiedzeniu własnej wnuczki - plotki koszarowe głosiły, że na Altaic panuje swoboda obyczajów.

Nie było to zbyt dalekie od prawdy - ale niekoniecznie w takim znaczeniu.

Kobieta mieszkała na wyższym piętrze jednego z podupadłych wieżowców. Braciom Tukungbasi powinno wydać się dziwne, że tylko ten jeden budynek miał wyraźnie napisany adres i przy wejściu paliło się światło.

Znaleźli mieszkanie i zapukali.

Usłyszeli kobiecy chichot i łagodny głos:

- Otwarte.

Starszy brat ujął za klamkę. Otworzył drzwi. Zobaczył miękką kanapę, stół, dwie mrugające świece. Potem dwa cienie zamajaczyły po obu stronach wejścia, poczuł jak ciężki koc spada na jego głowę, ramiona przyciśnięto mu do boków i usłyszał zdławiony charkot swojego brata.

I już nic więcej nie zobaczył.

Na początek wypalono mu oczy.

Trzej wartownicy obchodzący swój teren przy bramie do pałacu Khaqana znaleźli braci Tukungbasi.

Ich ciała zwisały z dwóch pospiesznie wzniesionych trójnogów około pięćdziesięciu metrów od granicy.

Zostali zidentyfikowani tylko dzięki swojej nieobecności na pospiesznie zwołanej zbiórce.

Tortury sprawiły, że nie można ich było rozpoznać.

Nie istniał żaden powód, aby zabijać tych młodych żołnierzy, zamruczał pułkownik Jerety do swoich ludzi.

I właśnie dlatego ich zamordowano.

Byli pierwsi.

- Mam pytanie, panie Kilgour.

- Proszę pytać, majorze.

Z jakiegoś powodu Sind zachowywała się oficjalnie, a Alex poszedł za jej przykładem.

- Kiedy ktoś zostanie aresztowany i czeka na proces, to chyba wolno mu posiadać coś w rodzaju reprezentanta? Nawet jeśli proces byłby sfigowany? Nawet tu, na Jochi?

- Zgadzam się.

- I normalne jest to, że więźniowie mogą kontaktować się ze swoimi bliskimi?

Nawet tu, na Jochi?

- Nie chcę się na ten temat wypowiadać, ale biorąc pod uwagę uroczą naturę tych osobników, którymi się zajmujemy...

- Przestań się ze mnie nabijać!

- A co ci chodzi po głowie?

Zanim Sind coś odpowiedziała, Alex zaczął kłąć. Zgadywał już, o co jej chodzi.

Sind stała się ciekawa, co przydarzyło się owym istotom, aresztowanym przez Iskrę.

Istotom, co do których Iskra gwarantował, że będą mieć uczciwe procesy.

Nic na ten temat nie słyszała, a szybki przegląd lokalnych mediów w zbiorach ambasady także nic nie dał. Najbardziej doświadczony z łącznościowców Stena, Freston, również nic sobie nie przypominał.

Sprawdziła więc u Hyndsa, miejscowego rezydenta Korpusu Merkurego. Po niegdysiejszej zasadzce w slumsach Hynds stracił zupełnie wiarę we własne umiejętności analityczne i teraz dzielił swoje źródła na niewiarygodne, potencjalnie przechwycone przez przeciwnika oraz na podwójnych agentów.

Miał dostęp do trzech osób w wojsku. Wszystkie były niskie rangą i poza głównym kręgiem poinformowanych. Hynds skontaktował się z nimi. Byli przerażeni, nie chcieli szukać jakichkolwiek danych, i żadne z nich nic nie słyszało o tym, co stało się z żołnierzami i urzędnikami złapanymi podczas czystki.

Dowiedział się tylko jednego: trzymano ich, tak jak to powiedział Iskra Stenowi, w Fortecy Gatchin, daleko na północ od Rurik. Kilgour analizował w myślach dane Sind.

- Ummm.

- Jesteś rzeczywiście zajęty.

- No pewnie. Sprawdziłaś pogodę?

- Tak jest. Pakuj kurtkę puchową.

## Rozdział 24

- Mamy pełną projekcję - dokładność prognozy sześćdziesiąt procent. Można to zobaczyć w kabynie, jeśli pan sobie życzy, sir.

- Nie, admirale - powiedział Sten. - Jestem pewien jak cholera, że nie potrafię tak jak pan rozszyfrowywać tych migających światełek, a cała ta skrzynka mówi mi tylko, jak bardzo jesteśmy zaplątani.

- Czekam na pańskie rozkazy.

Sten miał już dość zachowania Masona.

- Admirale, czy możemy porozmawiać na osobności?

Mason skinął na oficera na mostku, aby przejął komendę, i poszedł za Stenem do kabiny.

- Admirale - zaczął Sten - poprosiłem, aby przydzielono pana do tego zadania, ponieważ ufałem, że jest pan w wystarczającym stopniu profesjonalistą, aby wykonywać rozkazy, zapominając o osobistych urazach. Myliłem się. Od czasu, gdy przybyliśmy na Jochi, zachowuje się pan jak rozżłoszczony bachor, który właśnie dostał swoje gwiazdki i myśli, że to czyni z niego Boga.

- Panie ambasadorze...

- Zaczniemy chociażby od tego. Ta cywilna ranga nie ma znaczenia. Nigdy nie zrezygnowałem z mojego stopnia wojskowego, ani nie prosiłem o przeniesienie do rezerwy.

Pytał pan na Jochi, czy przejmuję dowodzenie, powiedziałem że tak. A więc zwracanie się do mnie moim stopniem wojskowym jest jak najbardziej właściwe.

Ma pan być cicho, admirale Mason. I będę wdzięczny, jeśli stanie pan na baczność. Nie mam ani czasu, ani energii na rywalizowanie z panem w konkursie męskości. Nie ma też takiej potrzeby. Jeżeli pan chce, to możemy wyjść z tej kabiny, i zwolnię pana z dowodzenia przed obliczem pańskiej załogi i oficerów „Victory”. Dowie się pan, że ów rozkaz jest jak najbardziej legalny i zostanie uznany podczas pańskiego procesu przed sądem wojennym. Czy życzy sobie pan tego?

Mason milczał.

- Dopóki nie zarządzę inaczej, proszę się do mnie zwracać per admirale. Ja zaś będę respektował pański stopień i nadal będę przekazywał moje rozkazy za pana pośrednictwem. Nie mam zamiaru podrywać pańskiego autorytetu. Ale nie mam też ochoty na znoszenie pańskiego dzieciennego zachowania. Poniżej pan siebie samego i swój stopień wojskowy w oczach podwładnych.

I tu go miał. Mason poczerwieniał, zeszywniał i potrzebował chwili, aby opanować się w pełni.

- To wszystko, co miałem do powiedzenia. Czy ma pan jakieś uwagi albo sugestie?

- Nie. Nie, sir.

- Dobrze. Ten problem mamy już z głowy. Czy możemy teraz wyjść stąd w zupełnej zgodzie?

Salut Masona rozległ się jak wystrzał; obrócił się i wyszedł na mostek.

Sten pozwolił sobie na uśmiech. Do diabła, wszystkie te absurdalne slogany, jakie wykrzykiwano nad jego głową, kiedy przedzierał się poprzez awanse nadal działały, zwłaszcza że słuchająca ich osoba naprawdę wierzyła w całe to gówno.

No cóż...

Poszedł za Masonem, obiecując sobie, że jak będzie już po wszystkim, to na pewno dorwie tego drania w ciemnej uliczce i posiniaczy na półtora tygodnia.

Następnym krokiem Stena było „poproszenie” admirała Masona o zebranie czterech najważniejszych członków załogi i kapitana „Victory” w pokoju narad i połączenie, przez zabezpieczony ekran, z dowódcami statków eskorty.

- Panowie - zaczął bez wstępu Sten - sytuacja jest dość oczywista.

Oficerowie pokiwali głowami.

„Victory” dryfowała pomiędzy dwiema otwartymi mgławicami. Na ekranie dostosowanym do ludzkich oczu, ludzkich uprzedzeń co do przestrzeni kosmicznej i ludzkich uwarunkowań, mała flota błyszczała pośród najczarniejszej nocy, a po obu bokach jaśniały gęste chmury światełek.

Bardziej szczegółowy ekran ukazałby małe świetlne strzałki na lewo i prawo od projektowanej orbity „Victory”. To była pospiesznie zebrana flota (floty?) Bogazi, gotowa do obrony swojego macierzystego świata i mgławicy; a po prawej stronie, w mroku nocy, czaiła się atakująca flota Suzdali.

„Victory” mogła iść przed siebie, dokładnie pomiędzy dwiema flotami, aż do...

- Czas kontaktu? - zapytał Sten.

- Trudno ustalić, sir. Około dwóch dni czasu miejscowego, sir. Dokładnie...

- Nie trzeba. Dziękuję, komandorze. Czy są jakieś dane świadczące o tym, że oni wiedzą o nas?

- Nie, sir.

Nie było w tym nic dziwnego - jedną z niewątpliwych zalet statków Imperium stanowiło to, że miały one znacznie lepszy system czujników. I jedną sekretną sztuczkę: zanim jakaś dostawa Antymaterii Dwa trafiała do odbiorcy spoza Imperium, otrzymywała „uzupełnienie” z pochodnej Imperium X. Każdy obcy statek, idący na gwiazdym napędzie, powodował dzięki temu tworzenie się purpurowej smugi na imperialnych ekranach, dostrzegalnej ze znacznej odległości. Własne statki, mające paliwo bez tej domieszki, były znacznie mniej widoczne. Ot, taki drobiazg, pozwalający wygrać wojnę od czasu do czasu.

- Cel naszej małej zabawy zaczął Sten to rzecz jasna powstrzymanie naszych drogich przyjaciół, Suzdalów i Bogazi, od wymordowania się nawzajem. I dodatkowo jeszcze pilnowanie, żeby każdemu z osobna lub wszystkim naraz nie przyszło do głowy, że ten, kto wbija klin pomiędzy przyjaciół, zasługuje na dobrego kopniaka.

Oficerowie ukrywali uśmiechy. Admirał Mason inaczej prowadził takie spotkania.

- Jedyne sposoby - kontynuował Sten - w jaki moglibyśmy to powstrzymać, wiąże się z włożeniem w sam środek gówna. Na szczęście admirał Mason jest, jak wszyscy wiecie, jednym z najbardziej doświadczonych w kłamstwie przywódców Imperium.

Sten tak naprawdę miał ochotę wyrazić się nieco inaczej i powiedzieć, że Mason jest pełen gówna i w związku z tym bardziej nadaje się do takiego zadania niż ktokolwiek inny, ale zdołał się pohamować.

- On i ja przedyskutowaliśmy nasz problem i udało mu się znaleźć interesujące rozwiązanie.

Mam też kilka pomysłów, które mogą okazać się warte rozważenia. Nasz plan jest pięcioetapowy.

Etap pierwszy jest zdecydowanie złośliwy, drugi honorowy, a czwarty może zaowocować medalem czy dwoma dla kogoś tutaj. Etap piąty to czysta, oczywista nieuczciwość, którą sam popełnię.

- A etap trzeci, sir? - zapytał kapitan krążownika „Princeton”.

- To mój własny pomysł - powiedział Sten. - Wszystkie ręce na pokładzie „Victory” zajmowały się tym po godzinach.

Sten nieświadomie potarł palce. „Wszystkie ręce” należało rozumieć dosłownie - jego własne naszpikowane były kawałkami metalu i prawdziwymi drzazgami drewna.

- Dojdziemy do tego w swoim czasie. Etap pierwszy zaczyna się natychmiast, podczas naszej narady. Proszę nakazać, aby wszyscy artylerzyści i załogi obsługujące wyrzutnie Kali stanęły w pogotowiu bojowym.

Rakiety Kali, już piątej generacji, były monstrualnymi rozbijaczami statków.

Kali klasy V miały prawie trzydzieści metrów długości. Wymagały wielkich nakładów, ponieważ każde pokolenie dostawało nowsze i bardziej skomplikowane wyposażenie uderzeniowe, naprowadzające, sensoryczne i tak dalej. Napęd stanowiła AM2 - Kali tak naprawdę były miniaturowymi statkami gwiazdnymi. Jediną rzeczą, której nie musiano poprawiać z generacji na generację, był ładunek wybuchowy. Sześćdziesiąt megaton zupełnie wystarczało do rozwalenia każdego statku, niezależnie od klasy. Nawet „Forez”, pancernik tahnijski, najmocniejszy z kiedykolwiek „zwodowanych” okrętów wojennych został wyeliminowany z boju przez Kali.

Kali była naprowadzana na cel bezpośrednio przez artylerzystę. System kontrolny znajdował się w hełmie i był pobudzany bezpośrednio przez mózg. Kontrolę zapewniał stary, ręczny joystick i mała przepustnica, reagująca na impulsy nerwowe „pilota”, świadome i nieświadome. Można też było nastawić Kali na używanie innego, automatycznego systemu naprowadzania. Ale wykorzystywano go tylko w szczególnych przypadkach - artylerzystów wybierano przede wszystkim pod kątem ich instynktu zabijania, a dopiero w drugiej kolejności miały znaczenie ich zdolności jako pilotów fregat; ponadto mieli oni skłonności do udawania kamikadze.

Etap pierwszy stanowiło odpalenie wszystkich dostępnych rakiet Kali.

Wystrzelono je z wyrzutni na „Victory” i niszczycielach osłony, utrzymano na pełnym biegu przez trzydzieści sekund, a potem wyłączono napęd. Rakiety oddalały się od statków Imperium.

Tuż za nimi podążyły fregaty „Victory”, poruszając się w tym samym rytmie - pełna moc, stop, cichy bieg.

To była karta atutowa Stena.

Etap drugi musiał poczekać kilka minut, zanim oficerowie czuwający na nasłuchu nie zameldowali, że flota Bogazi została zaalarmowana. „Zobaczyli”, iż zbliża się niezidentyfikowany statek, to znaczy „Victory”. Ponieważ czekali na Suzdalów, ich czujniki zwiększyły wydajność, zwłaszcza że nie zakłócała ich emisja z własnych napędów. Sten przeczekał jeszcze kilka godzin czasu miejscowego, rozkazując nie dawać żadnych odpowiedzi na jakiegokolwiek wezwania ze strony zarówno Suzdalów, jak i Bogazi, po czym włączył swoich aktorów do kolejnej partii rozgrywki.

Wszystkie kanały komunikacyjne Bogazi i Suzdalów zostały oślepięte potężną transmisją z „Victory”.

Wszędzie ekrany pokazywały tę samą scenę:

Dobrze znany imperialny ambasador Sten stoi na mostku okrętu wojennego w pełnym, oficjalnym



umundurowaniu. Po obu jego stronach tkwią równo skrzywieni oficerowie, Mason i jego kapitan, także w pełnym rynsztunku.

Przemowa była bardzo krótka i rzeczowa. Sten poinformował obie strony, iż naruszają zawarte pomiędzy Imperium a Altaic długoterminowe pakt, a także powszechne porozumienia o prawach międzyplanetarnych. Mają rozkaz natychmiast powrócić do swoich macierzystych światów i nie czynić więcej agresywnych kroków. Nieposłuszeństwo zostanie ukarane z najwyższą surowością.

Audycja nie miała przekonać, ani nawet grozić. To był tylko punkcik na mapie, aby uprawdopodobnić prawdziwe oszustwo, jakie przygotował Sten.

Miał nadzieję, że nikt nie zorientuje się, że zrobił to coś z metalowej folii i śmieci - całkiem dosłownie.

Reakcja wyglądała dokładnie tak, jak przewidywano.

Ze strony Suzdali nie nadszedł żaden odzew na audycję, ani z macierzystych światów, ani ze strony floty. Bogazi, nieco bardziej wyrafinowani, nadali ostrzeżenie, że wszystkie neutralne statki powinny trzymać się z daleka od podanych współrzędnych. Każde wtargnięcie na dany teren spotka się ze zbrojnym odzewem. Każdy błąd, choć z żalem, zostanie uznany za prowokację do działania w ramach samoobrony.

Ze strony „Victory” nie nadeszła żadna odpowiedź.

Sten miał nadzieję, że to zdenerwuje nieco obie strony.

Następna przerwa. Miną cztery godziny, zanim „Victory” znajdzie się dokładnie pomiędzy dwoma wrogami.

A oni z kolei wylądują w zasięgu „Victory” za pięć godzin, a w swoim - wzajemnie - za dwanaście. Sytuacja rozwijała się w ciekawy sposób.

- Trzy godziny, sir. Flota Bogazi uruchomiła swój napęd.

Sten wstał z hamaka, jaki pożyczył sobie, aby podrzemać. To była wykalkulowana brawura, która miała udowodnić tym wszystkim młodym żołnierzom, iż Sten jest tak pewien swego, że może drzemać przed akcją.

Oczywiście nie zmrużył nawet oka.

Trapiło go nieco to, że w przeszłości przegrał trzy czy cztery razy, kiedy próbował tego fortelu.

Mason wyszedł ze swojego gabinetu.

- Jesteśmy gotowi, sir.

- Bardzo dobrze.

Mason podszedł blisko do Stena.

- Pan także nie spał, prawda?

Oczy Stena rozszerzyły się. Czy Mason naprawdę usiłował zachowywać się po przyjacielsku? Czyżby ów absurdalny wywód spowodował, że admirał postanowił zmienić swoje nastawienie?

Nieeee. Mason tylko ustalał fakty, aby kiedy nadejdzie następny raz, móc czekać w ciemnej alejce z kijem w dłoni.

- Zapewne możemy zaczynać etap trzeci.

- Wydam rozkazy.

Etap trzeci stanowił naprawdę monstrualny bluff.

Na Jochi Sten usiłował szybko przypomnieć sobie wykaz rzeczy, które naprawdę unieszczęśliwiają ludzi. Mgliście pamiętał historyjkę opowiadaną jako żart, ale także jako materiał do przemyśleń, dawno temu, podczas szkolenia w Sekcji Mantis. Mówiła o tym, jak dawno temu

pewien młody dowódca partyzantów próbował zatrzymać konwój wojskowy. Musiało się to dziać w średniowieczu, bo pojazdy były najwyraźniej naziemne, i nic nie wspomniano o wsparciu z powietrza. Konwój posiadał tarcze i ciężkie uzbrojenie. Oficer partyzancki miał dwudziestu ludzi, uzbrojonych tylko częściowo.

Partyzanci mogli polec godnie i zatrzymać bieg konwoju na jakieś pięć minut za cenę życia całej grupy. Zamiast tego dowódca zarządził zajęcie pobliskiej farmy. Zabrał stamtąd całą zastawę i ostrożnie umieścił wszystkie talerze na drodze, spodem do góry.

Miny lądowe. Sten miał obiekcje - komendant wojskowy musiałby być zupełnym głupcem, ponieważ miny nigdy nie wyglądały jak naczynia kuchenne, nawet w tych średniowiecznych czasach.

Zanim Sten skończył wówczas wykonywanie pompek, którymi każda militarna szkoła zdaje się nagradzać swoich rekrutów w regularnych odstępach czasu za wszelakie grzechy, od oddychania po rabunek, instruktor wskazał na fakt, że oczywiście wojskowy dowódca nie pomyliłby talerzy z lądowymi minami, jakie znał. Mogły natomiast być czymś nowym. Na przykład pułapkami. A jeśli okazałyby się prawdziwe, a on przejechałby przez nie i stracił pojazdy, trafiłby przed pluton egzekucyjny.

Dlatego bez pośpiechu, zapobiegliwie wysłał przodem oddział saperów, który podnosił każdy talerz, ustalał, że to talerz, i przesuwał się do następnego. Przywódca partyzantów regularnie likwidował saperów, pomimo ognia konwoju.

- Konwój został zatrzymany na dwie pełne godziny bez żadnej straty ze strony partyzantki.

Pomyślcie o tym, rekruci. Panie Sten, może pan przestać robić pompki.

Miny lądowe... miny kosmiczne. Tak, to jest to. Miny - te śmiertelne urządzenia, które po prostu czekają, aż cel pojawi się w ich zasięgu i zaczynają polowanie, a potem wybuchają albo jeszcze gorzej, nigdy nie stały się popularną bronią. Pomimo tego, że były najbardziej wydajną, najmniej kosztowną formą mordowania. Uczciwym żołnierzom wydawały się paskudne.

Albo przynajmniej niespecjalnie miłe.

Sten nigdy nie sądził, że zabijanie kogokolwiek może być przyjemne. A nawet gdyby tak sądził, to Sekcja Mantis wypaliłaby to w nim do cna. Widział też, jak skuteczne okazały się miny używane przez Tahnijczyków. Tahn działał pod hasłem, że mordowanie jest czymś normalnym i nie potrzebuje szczególnego moralnego uzasadnienia.

Wojskowi Imperium na ogół wiedzieli mało o minach i nie dbali o nie wcale, każdy więc, kogo uzbroili i wyposażyli, jak na przykład Mglawica Altaic, także nie powinien być w tej kwestii ekspertem.

Podczas lotu z Jochi hangar na „Victory” stał się warsztatem stolarskim. Deski, które Sten zamówił, zostały przyłączone drutem do ostrych, kolczastych konstrukcji i owinięte w folię metalową.

Kilka set tych fałszywek stało na pokładzie magazynowym.

Na rozkaz wypuszczono je, po kilka naraz, w przestrzeń. Uformowały się w strumień, rodzaj bariery pomiędzy dwiema flotami.

Dryfowały nadal z tą samą prędkością co „Victory”, rzecz jasna, ale Sten miał zamiar wprowadzić w życie swój następny krok, zanim jego „miny” opuszczą pole operacyjne.

Wywarły natychmiastowy i pożądaný efekt.

Nadciągające floty popadły w umiarkowaną panikę, kiedy czujniki Suzdalów i Bogazi wykryły owe „miny”. Dowódcy usiłowali ustalić, czym są te dziwne obiekty, które wylatują z imperialnego

okrętu jak cukierki rzucające w tłum na paradzie. Na swoich ekranach widzieli „Victory”, towarzyszącą jej ochronę niszczycieli, może kilka fregat, a potem na ekrany wlała się rzeka min.

Bardzo dobrze, pomyślał Sten. Boją się. Teraz poczekamy...

Obie floty po krótkim czasie wysłały oddziały niszczycieli na zwiady.

A teraz pokażemy im, jak nasze talerze potrafią uderzać.

- Admirale Mason?

- Tak jest, sir. Do wszystkich okrętów... wszystkich stacji bojowych - rozkazał Mason. - Cel - niszczyciele. Uważajcie na ograniczniki. Każda rakietka do jednego celu. Ci oficerowie, którzy nie posłuchają rozkazu, zostaną zwolnieni ze służby, postawieni przed sądem wojennym i usunięci.

Mason, taki ojcowski i opiekuńczy.

Kali uderzyły na razie z połową mocy. Tuż przed tym, jak Suzdalowie i Bogazi wykryli już ich obecność na swoich ekranach, przeszły na pełną moc.

Monitory na „Victory” zajaśniały, gdy Kali uderzyły, a potem rozjarzyły się aby ukazać pustkę tam, gdzie przedtem były niszczyciele.

Do macierzystych portów wyruszyły tylko trzy okręty Suzdalów i dwa Bogazi.

Każda analiza wykazałaby, że rakiety zostały odpalone z owych dziwnie wyglądających „min”.

Sten jeszcze raz skinął na Masona - i fregaty uderzyły z orbity, po której dotąd krążyły.

Dopaść, odpalić, uciekać - tak brzmiały ich rozkazy.

Ostatnie dwa krążowniki i pięć niszczycieli uległo zniszczeniu.

Bardzo dobrze, pomyślał Sten. Przykro mi, że umierają istoty rozumne, ale to nie są obywatele Imperium. I ginie ich mniej, niż gdyby nawiązała się bitwa pomiędzy obiema flotami.

Wystarczyłoby, aby flota Suzdali zdołała ukończyć swój atak na macierzyste światy Bogazi.

A teraz ostateczny cios, pomyślał Sten. Znowu ustawiamy scenę.

Ambasador Sten jeszcze raz wystąpił, rozkazując po raz kolejny, aby obie floty przerwały walkę i wróciły do domu.

Ale najwyraźniej audycja była kiepsko chroniona przed przebiciami z innych kanałów łączności. Połączeń dokonywano z „Victory”, i kierowano je dokładnie w tym kierunku, z którego okręt przybył.

Zaszyfrowano je, rzecz jasna. Ale zarówno komputery, jak i ekipa analityków ustaliły, że „Victory” łączy się z innymi okrętami, znajdującymi się poza zasięgiem czujników. I wydawało się, że czeka tam cała flota Imperium, a „Victory” to tylko zwiadowca - monstrualnie wielki i świetnie uzbrojony, ale tylko zwiadowca - naprawdę ciężkich wazniaków. Parę chwil później prognozy musiały ulec kolejnemu pogorszeniu, gdy okręt zmienił częstotliwość i szyfr, i zaczął nadawać do kolejnej, także „niewidzialnej” floty wojennej.

Suzdalowie i Bogazi mogli nie zachowywać się normalnie, jeśli chodzi o prawa obywatelskie, ale w sprawach militarnych byli całkiem niezli.

Bez potwierdzania rozkazów Stena obie floty zerwały kontakt i pełną mocą silników uciekały do domu.

Sten sapnął i opadł na krzesło.

- Cholera jasna - powiedział ucziwie, zapewne niszcząc swój wizerunek chłodnego dowódcy - naprawdę nie sądziłem, że się nam uda.

- To może się udać tylko raz - stwierdził cicho Mason, tak, że jego oficerowie nie słyszeli.

- Raz to więcej niż trzeba. Będziemy ogłupiać ich na każdym kroku, kiedy tylko się da, i mam nadzieję, że w końcu pójdą po rozum do głowy. A jeżeli spróbują znowu, wymyślimy coś jeszcze

gorszego i nauczymy ich moresu! Do diabła, admirał, taki drań jak pan zawsze wpadnie na jakiś dobry pomysł. Teraz wracajmy. Chociaż raz wyprzedzamy ich kroki. Zobaczmy, czy uda nam się utrzymać taki stan rzeczy.

Forteca Gatchin została zbudowana tak, aby przerażać i strzec. Nigdy nie miano zamiaru używać jej jako prawdziwej fortecy, a tylko jako ostatecznego więzienia dla każdego, kto sprzeciwił się Khaqanowi. Stała samotnie na małej wysepce wysuniętej w morze niemal na kilometr. Poza murami nie było ani kawałka plaży czy płaskiego lądu. Budowla wypełniała całą przestrzeń.

Alex i Sind schowali się niedaleko zbocza klifu na stałym lądzie; prowadzili obserwację.

Przygotowali się do tego zadania znakomicie, mieli coś więcej niż tylko kilka par ciepłych kałesonów zapakowanych do torby podróżnej. Leżeli pod starannie umocowanym kamuflażowym prześcieradłem, które teraz przybrało białą barwę, odpowiadającą śnieżnym zaspom i brudnym skałom dookoła. Każde z nich miało umocowaną na statywie lornetkę, czujniki ciepła i detektory ruchu skierowane na szanie Gatchin i drogę.

- Cholera, ale mi zimno - zakłęła Sind.

- Nie narzekaj, kobieto. Byłem na twoim świecie i w porównaniu z nim mamy tu lato.

- Nie żartuj - odpowiedziała Sind. - Wiesz już, dlaczego tyle z nas żyje na innych planetach.

Poza tym, czyż nie mówiłeś, że twój macierzysty świat jest zlodowaciały, zaśnieżony i tak dalej?

- No tak, ale tamten lód jest przyjemniejszy, nie wiadomo dlaczego. I nie ma śniegowych płatków spadających w dół jak w sadzie w maju.

- Widzisz coś?

- Nie. I dlatego zaczynam sądzić, że miałaś rację.

- Zdobędziemy pewność przed zapadnięciem nocy. Mam nadzieję.

- Tak. A podczas czekania opowiem ci maleńką historyjkę, która nas trochę ogrzeje na naszym obecnym mroźnym posterunku. Czy kiedykolwiek mówiłem ci, że brałem udział w konkursie limeryków? Wiesz, co to limeryki, prawda?

- Nie jesteśmy nieukami.

- Byłem wtedy młodym chłopakiem, przydzielonym do gwardii honorowej na Ziemi. Na tablicach ogłoszeniowych zapowiedziano konkurs. Nagroda - mnóstwo kredytów. Kto mógłby ułożyć bardziej pieprzne, rubaszne limeryki? Mam wspaniałe doświadczenia, jeśli chodzi o ten rodzaj twórczości.

- Nigdy tego nie kwestionowałam.

- Nie lubię płaskich komplementów, pani major. A więc wysłałem mój świński limeryk i, o rany, był tak świński, że nawet taki wyrostek jak ja rumienił się trochę, myśląc o tym, że podpisałem się pod nim.

Ale nagroda wydawała się całkiem niezła, jak już mówiłem. Bóg jeden wie, jak bardzo mały żołnierz potrzebuje czuć trochę grosza w kieszeni. Czas mijał, i nagle pewnego dnia zobaczyłem tablicę, i grom we mnie uderzył! Nie wygrałem! Nic nie dostałem!

Nagrodę otrzymał jakiś głupek o nazwisku McGuire. D.M. McGuire, z małej wyspy Irlandia, jak ją określano, z miasta Dublin. A limeryk był tak sprośny, że nawet nie mogli go wydrukować!

Jak już wyleczyłem swoje złamane serce, zaczęło mnie to gnębić. To niemożliwe, aby ktoś mógł napisać coś jeszcze bardziej nieprzyzwoitego niż moja twórczość. Wziąłem kilka dni przepustki, pojechałem do Irlandii i Dublina, i zacząłem szukać D.M. McGuire'a.

Mijały dni i tygodnie, aż w końcu znalazłem ostatniego członka tej rodziny. To była krucha staruszka. Słodka, z błyszczącymi oczami, uśmiechem na ustach, i po prostu wiedziałeś, że chodzi do

kościółka codziennie, nawet dwa razy, i żadne brzydkie słowo nie przejdzie jej przez usta.

To nie mogła być ona! To nie mógł być ten McGuire z konkursu! W przypływie desperacji zebrałem całą swoją odwagę i spytałem. Kilt niemal spadł mi z tyłka, kiedy odpowiedziała:

- Tak. To ja.

- Błagałem ją, żeby mi przytoczyła ten wiersz. Teraz ona zaczerwieniła się i stwierdziła:

- Jestem szanowaną wdową. Nie mogę użyć takiego języka w obecności mężczyzny.

Mówiła trochę śmiesznie, czasami trudno było mi ją zrozumieć. Poprosiłem więc, żeby napisała.

Ale tego też nie mogła zrobić. To musiał być najbardziej świński poemat, jaki ktokolwiek kiedykolwiek napisał. A więc kłóciłem się, błagałem, aż w końcu powiedziała:

- A czy mogę mówić „derka” zamiast nieprzyzwoitych słów?

- Oczywiście - odrzekłem - Z łatwością odgadnę, o co chodzi.

A ona wzięła głęboki oddech i zaczęła recytować:

Derka, derka...

Krótko mówiąc, cały wiersz składał się z tych „derek”. Tylko na końcu było „derka rzeka gówna”.

Po długiej ciszy rozległ się chichot Sind. Alex promieniał.

- Wiedziałem od pierwszego wejrzenia, że jest w tobie coś, co uwielbiam. To teraz trójka.

- Trójka czego?

- Trzy istoty, którym podobała się ta historia. Jedna to mors, druga lemur, a trzecia ty.

- Doprawdy, cóż za znakomite towarzystwo - stwierdziła Sind. - A teraz powiedz mi, jaki tkwi w tym morał, pasujący do naszej obecnej sytuacji?

- Jak każdy wspaniały kaznodzieja, nie sądzę, aby moje kazania potrzebowały dalszych wyjaśnień.

I cisza zawisła nad nimi.

Jak dotąd nie udało im się nic zauważyć. Ukrywali się w tej dziurze już od dwóch dni. Przez ten czas nie widzieli żadnego samolotu zbliżającego się do Gatchin, ani śladu wartowników na murach. W nocy tylko kilka światełek migotało w olbrzymiej cytadeli.

Dwie godziny później, tuż przed zmierzchem, Alex zamruczał.

- Mam coś. Nadchodzi od południa. To dwa transportowce, jak sądzę. Co robi twierdza?

- Nic - odpowiedziała Sind. - Ani jedna z tych kopulek - to chyba wyrzutnie antyrakiet - nie rusza się.

- To źle - stwierdził Alex. - A nawet jeszcze gorzej. Nie ma śladu broni, strażników, niczego. I sądzę, że wiem, co znajduje się na pokładzie tych transportowców.

Cholera. Racje żywnościowe. Racje wystarczające dla mniej więcej plutonu. Masz już ich na widoku?

- Tak - powiedziała Sind. Patrzyła, jak grawiloty osiadają na lądowisku. Po chwili ujrzała też ludzi w mundurach wychodzących im na spotkanie. Nie stwierdziła, żeby któryś z nich miał broń, chyba że nosili pistolety.

- Nie ma ochrony - obwieściła.

- Nie ma jedzenia, nie ma ochrony, nie ma strażników, to znaczy, że nie ma też więźniów, prawda?

- Racja.

- A więc gdzie doktorek przechowuje swoich podejrzanych?

Sind pokręciła głową. - Nie ma żadnych przesłanek.

- Zaczniemy szukać? Wiedząc, że wcale nie chcemy znaleźć?

W zupełnych ciemnościach, milcząc, zwinęli swój posterunek. Oboje mieli pewne podejrzenia co do tego, gdzie przebywali aresztowani oficerowie i urzędnicy.

Musieli tylko potwierdzić swoje podejrzenia.

- Odrzucone - burzył się Iskra. - Odrzucone. Spełnienie zamówienia w wymaganej ilości i czasie okazuje się niemożliwe. Personel jest nieosiągalny. Wszystkie elementy dostępne dla zaprzyjaźnionych rządów zostały przeznaczone do użycia w dalszej perspektywie.

Co się u diabła dzieje?

- Imperium wciąż jeszcze nie podniosło się całkiem z upadku, sir - powiedział Venloe, starając się utrzymać neutralny ton. - Nie ma już tylu dostępnych dóbr, jak przed wojną.

- Troszczyć się o Imperium - stwierdził Iskra. - Ale znacznie bardziej troszczyć się o to, że całkowicie podupadł system podtrzymywania sprzymierzonych władców. To Imperator wybrał mnie, abym przywrócił ład i porządek w Mglawicy Altaic. A teraz odmawia mi się narzędzi, które muszę mieć, aby skończyć moje zadanie.

Venloe miał ochotę coś powiedzieć - potężna lista zamówień Iskry była albo arogancka, albo ignorancka, a może kompletnie szalona. Między innymi domagał się na przykład pełnej dywizji Gwardii Imperialnej dla własnej ochrony, dwóch pierwszoliniowych szwadronów marynarki wojennej i podwojenia przydziału AM2 dla Altaic, nie dając żadnego uzasadnienia poza zdawkowym: „aby kontynuować ustanawianie legalnego rządu i porządku publicznego”.

- Czy te skurwysyny chcą, żebym upadł?

- Wątpię w to, doktorze.

- Imperator na pewno poinformował biurokratów, że jestem bez wątpienia jedyną osobą zdolną przynieść pokój tej mgławicy. Pomaganie mi w osiągnięciu sukcesu ma zasadniczą wagę.

Nie tylko dla moich ludzi, ale także dla całego Imperium. Jak dotąd lojalnie wspierałem politykę Świata Primy. Wątpię w to, aby ktokolwiek zaangażowany na najwyższych szczeblach władzy Imperium był zadowolony, gdy wybiorę alternatywne wyjście.

Venloe zdążył się już nauczyć ukrywania swojej reakcji na oświadczenia Iskry.

Jednak to ostatnie zmusiło go do tego, aby uważnie spojrzeć na ekran łączności, nie pokazujący nic szczególnego. Zanim odwrócił z powrotem twarz do Iskry, nadał jej wyraz łagodności i zadowolenia.

Zdecydował, że nie poprosi go o szersze wyjaśnienia. Inne wyjście? Jakie?

Rozszarpany Tahn? Duchy zmarłej Rady?

Czy szanowny doktor wyobraża sobie, że Imperator potrzebuje go bardziej, niż on Imperatora?

Ta informacja, raz przekazana, mogła z pewnością zaowocować interesującymi wnioskami.

Venloe nie miał jednak zamiaru przekazywać jej. Przynajmniej na razie.

Sten oczekiwał, że powróci do piętrzących się kłopotów i trąb powietrznych siejących zniszczenie. Zamiast tego usłyszał:

- Nie ma sprawy, szefie. Ja zrobiłem to, co najważniejsze, Sind zajęła się normalnymi zadaniami, a Otho zignorował śmiecie. Mogłeś jeszcze pobyć na tych swoich wakacjach z rok i nikt by nie zauważył, że cię brakuje.

- Zabijemy go, Sind? - zahuczał Bhor.

- Później.

- Musicie stanąć w szeregu. Degraduję was oboje.

- A dlaczego nic nie pijemy? - spytał Otho. - Aby świętować powrót naszego króla wojowników, Stena. Albo uczcić pierwszy dzień tygodnia, zależnie od tego, co wydaje się wam ważniejsze.

- Ponieważ, stary, pracujemy dziś w nocy.

Alex, wyglądający na zadowolonego z siebie, wyraźnie okazywał, że to Sten powinien składać wyjaśnienia. Sten uśmiechnął się nieco krzywo - przyjaciel był świetny, lepszy w uziemianiu go niż ten niewolnik, który szeptał: „I to przeminie” do ucha Cezara podczas triumfu.

Albo jakkolwiek inaczej brzmiał ten zwrot.

- Ta strzelba, w której założyliśmy podsłuch i pozwoliliśmy ją ukraść, musi być gdzieś przechowywana. Sądzę, że powinniśmy wykorzystać prawo do wizyt.

- Ha - powiedział Otho. - Dobrze. Nie mam zbyt wielkiego nabożeństwa do tych imperialnych żołnierzy. Ale ci dwaj zarżnięci bracia potrzebują, żeby posłać za nimi do piekła jakieś błogosławieństwo. Mam nadzieję, że ta broń nie jest sama, schowana w szafie jakiegoś domorosłego strzelca z ciemnej uliczki.

- Nie sądzę. Myślę, że schowali ją gdzieś na zapleczu przejętego sklepu spożywczego.

Otho mruknął z zadowoleniem.

- Dobrze. To nie jakiś pojedynczy zbir. Barek, hm. To dobra przykrywka. Ludzie wchodzą, wychodzą. Zapamiętam to.

- A więc najbardziej prawdopodobne, że to grupa. Czy ktoś ma jakiś pomysł na to, dla kogo mordują?

- Jeszcze nie. To jedna z rzeczy, których szukamy.

- Jak mocno mamy w nich uderzyć?

- Potrzebny jest zwiad - powiedział Sten. - Jeżeli to miejsce jest jakoś strzeżone, musimy o tym wiedzieć. Sind?

- Hm, czy masz podgląd na cały obszar? Dzięki. Dojście do zaplecza jest otwarte, potrzebujemy jednego oddziału. Wejdziemy z... zobaczmy, następny oddział od frontu, jeden pluton jako wsparcie. I kompania w rezerwie, jak sądzę.

- Nie poprosimy o pomoc pułkownika Jerety i jego gwardzistów - Alex nie pytał, uznał to za oczywiste.

- Absolutnie nie - stwierdził Sten. - Sądzę, że byłby przeciek od nich i pewne jak cholera, że wszystko by się wydało, gdybyśmy przekazywali to przez łącza ambasady i Iskry. A jeżeli zacniemy przekazywać sygnały wprost do gwardii, ktoś może coś zwęszyć.

- Czy sądzisz, drogi Stenie, że ten durny Iskra ma swoich własnych, osobistych terrorystów?

- W tej chwili, Otho - odpowiedział Sten, czując nagle zmęczenie - podejrzewam wszystkich w tej cholernej mgławicy o przynależność czy kierowanie szwadronami śmierci. Poza wami dwojgiem.

- A co ze mną, szefie? - spytał Alex.

- Ha. Powtórzę jeszcze raz. Znam was. A teraz dość już tego gadania. Pójdziemy razem z Bhorami na spotkanie z terrorem. Gurkhowie pozostaną w rezerwie.

- Nie spodoba im się to - powiedziała Sind.

- To dobrze. Właśnie taki miałem zamiar. Znosi się na to, że będę potrzebował kilku bardzo wściekłych młodych ludzi w bardzo niedalekiej przyszłości. Majorze Sind, napisz rozkazy operacyjne. Zupełna ciemność nastanie po zachodzie księżyca, o drugiej czterdzieści pięć. Wtedy wyruszymy.

W restauracji paliło się tylko jedno światło, z tyłu lady. Przez ciężkie kraty Sten mógł dostrzec, że wewnątrz było wyludnione, tak jak i ulica.

- Ktokolwiek używa tego jako skrytki - zaszeptał Alex - jest cholernie ufny. Nie wystawił nawet strażnika. Albo znalazł moją pluskwę i zostawił ją w pułapce, jako żarcik.

- Albo ufny albo raczej zapłacił za ochronę. Spójrz - Sten wskazał na policyjny grawilot, przesuwający się powoli ponad dachami.

- A co z nimi? Czy zwariowaliśmy na tyle, żeby zabijać gliny?

- Otho ma rozkaz wystrzelić kilka flar i granatów, jeżeli ktoś nam przeszkodzi - powiedziała Sind. - To zasugeruje, że ta zabawa jest dla dużych chłopców i będą się trzymać z daleka. Ale jeśli zaczną z nami, to oddamy. - Komunikator przyczepiony do jej naramiennika włączył się. - Oddział z zaplecza na miejscu. Zaczynamy.

Wszystko rozegrało się błyskawicznie.

Kilgour wystrzelił w górę; na poziomie bioder zakreślił potężnym stalowym taranem z dwoma uchwytnymi. Cios - i kraty, drzwi i futryna wpadły do środka. Alex pozwolił im upaść i rozgarnął gruzy na boki, odsłaniając drogę...

Sind wrzuciła granat czasowy...

Purpurowy błysk...

Sten rzucił się przez drzwi, przypadł za solidną ladą, broń w pogotowiu...

Sind wskoczyła, padła na podłogę...

Sten poczołgał się do przodu, w kierunku wejścia do kuchni...

Sind wstała, Sten wszedł do kuchni; Kilgour zapewniał ochronę...

Zaplecze puste...

Kilgour wstał...

- Laraz! - krzyknął Sten. Hasło, aby nie powystrzelali się nawzajem.

Drzwi wałące się na podłogę, za nimi czarna noc...

Broń gotowa do strzału... włochaci Bhorowie szukający celu...

- W porządku! - zawołał Sten. - Odwołaj swoje oddziały, Sind. Niech jeden pluton zostanie po drugiej stronie ulicy, w rezerwie.

- Otho! Trzech żołnierzy!

- Ta-est, sir.

- Tutaj, szefie. Pod piecem.

- Potrzebujesz pomocy?

- Nieee.

Kilgour odłożył broń i najwyraźniej bez żadnego wysiłku podniósł wielki kuchenny piec.

- Ale fajna kryjówka - zauważył, sięgając w dół i ciągnąc za mały metalowy pierścień, umocowany w betonowej podłodze. Pierścień - i podłoga - podniosły się gładko, odsłaniając wejście.

- Eureka - powiedział. - Szefie?

- Wstrzymaj się na chwilę. Wy trzej - Sten zwrócił się do postaci o wyglądzie goryli. - Chcę, żebyście rozerwali to miejsce na kawałki. Niech wygląda tak, jakby ktoś porozwalał mury, zanim znalazł tę kryjówkę. Nie ma sensu zdradzać wszystkich naszych sekretów.

Trzej Bhorowie spojrzeli na siebie. To nie było tak przyjemne, jak zabijanie - ale przynajmniej mogli coś zniszczyć. Z zadowoleniem rzucili się do roboty, miażdżąc, rozbijając i krusząc.



- I co my tu mamy? - Sten musiał podnieść nieco głos, aby przekrzyczeć odgłosy niszczenia.

- Mamy typowy, terrorystyczny arsenał - powiedział Kilgour.

Miał rację, to był bardzo duży terrorystyczny arsenał - piwnica, niemal trzy na trzy metry, cała załadowana bronią. Tego właśnie spodziewał się Sten: uzbrojenia, jakie dowolna grupa zbirów albo, w zależności od punktu widzenia, bojowników o wolność, mogła ukrywać.

Wybór był duży - kradziona, kupiona, zabrana broń sportowa wszelkiego rodzaju. Wyposażenie wojskowe, zrabowane czy skradzione armii Jochiańczyków. Dwa bardzo stare, wysłużone granatniki. Siedem czy osiem moździerzy. Parę bomb. Pół skrzynki granatów. Trochę amunicji do wszystkich tych strzelb. Kilka noży. Stenowi zdawało się, że widział nawet cholerny miecz. Na półce - trzy czy cztery pistolety. I dwa imperialne karabiny Willy'ego.

- No tak, jeden z nich jest nasz - oświadczył Kilgour. - Ale skąd pochodzi jego kumpel?

- Kto wie? Używane są przecież już od dłuższego czasu - stwierdził Sten. - Może ktoś w ambasadzie miał taki, zanim tu przybyliśmy. A może to Trzecia Gwardyjska zgubiła jeden i jeszcze się nie zorientowała.

Kilgour podał jedną ze sportowych strzelb Stenowi do obejrzenia. Sten przekazał ją Sind, która oceniła ją szybko i profesjonalnie.

- Jak wynika z moich wojskowych doświadczeń - powiedziała - to jest po prostu brudne.

- Nie tak bardzo, jak reszta - zauważył Kilgour. - Zaobserwowałem, że większość terrorystów woli poświęcać czas na retorykę niż na nudne czyszczenie. Szefie, musimy teraz coś wybrać. Wywleczymy to na światło dzienne, czy jak?

- Wysadzimy wszystko w powietrze tu, na miejscu - zdecydował Sten. - Czy zauważyłeś coś, co mogłoby naprowadzić nas na jakiś ślad?

- Nie, szefie. Byli na tyle profesjonalistami, aby nie zostawiać wizytówek. O rany! A to co?

Podał broń Stenowi. To był pistolet, strzelający nabojami z AM2. Sten podniósł brew.

Imperium, z oczywistych przyczyn, usilnie chroniło przed postronnymi osobami super zabójczą broń, jaką stanowiły karabiny Willy'ego. Jeszcze bardziej strzegło tajemnicy pistoletów, nawet pomimo tego, że ich wartość bojowa była znikoma. To, że taka pukawka znajdowała się w prywatnych rękach, było dość niezwykle.

Ten pistolet wyglądał przy tym zupełnie wyjątkowo. Inkrustowano go czymś, co przypominało zarówno srebro, jak i złoto. Kolbę zrobiono z przezroczystego białego rogu. I cała broń była wygrawerowana.

Sten dokładnie przyjrzał się grawerunkowi - żadnych scen z polowania czy postaci, mogących stanowić klucz do tego, z jakiego świata pochodzi ta niespodzianka.

- Czy jest kabura do tego? - spytał.

- Tak. I to wspaniała. Prawdziwa skóra, ośmielam się zauważyć - powiedział Alex.

-

Żadnych inicjałów, marki, nic.

- To - zauważyła Sind, po dokładnym sprawdzeniu broni - jest coś, co ambasador mógłby podarować władcy. Albo coś w tym rodzaju. Zastanawiam się, czy gdybyśmy znaleźli numery seryjne, to okazałoby się, że były ambasador odwiedził przypadkiem jakieś targowisko. A może to zdobycz samego Khaqana?

- Nie rozpędzaj się - ostrzegł Kilgour. - Nie posuwaj się zbyt daleko, niezależnie od tego, jak prawdopodobne są twoje podejrzenia. Mamy wyłącznie tą zabawkę. Szkoda niszczyć coś takiego.

- To prawda - zgodził się Sten. - Pasuje do lorda. Zatrzymaj to, Alex. Nie... zaczekaj.

Alex uśmiechnął się diabelsko. Nie wydawał się ani odrobinę rozczarowany tym, że stracił swoją zdobycz.

- Masz jakiś pomysł?

- Dostaniesz to następnym razem - powiedział Sten. - Kiedy odkryjemy go na nowo.

Chciałbym, żeby ten pistolet dał nam coś jeszcze. Wyjmij tę pluskwę z karabinu.

Sprawdź, czy uda się zamontować ją do tego cacka.

- Nie ma sprawy, szefie.

- A teraz, kiedy już to założysz, zostawimy ładunki wybuchowe pod tym śmiercionośnym składowiskiem - ciągnął Sten. Tylko dwa z nich wybuchną. Trzeci się po prostu sfajczy - ale upewnij się, że wypalił się naprawdę i nie ma detonatora. Nie chcemy, aby scenariusz stał się zbyt realistyczny. Ponieważ nie wszystko się uda, zniszczeniu ulegnie tylko broń długa, a pistolety zostaną jedynie przeniesione siłą odrzutu - o tu.

- Dlaczego - dopytywał się Kilgour - wszystkie te zadania spadają na mnie, a te wielkie mały mogą się byczyć?

Sten wyciągnął dłoń zaciśniętą w pięść, wystawał z niej tylko środkowy palec.

- To, panie Kilgour, jedyna odpowiedź, jaką może dać pijanym po zwolnieniu zapuszkowany wartownik. A teraz zabierajmy się do roboty, zanim lokalni patrioci usłyszą coś albo zostaną zmuszeni do zwrócenia uwagi.

Kilgour poprosił o pakiet saperski i zaczął oplatać pomieszczenie kablami. Sind kazała Bhorom zająć pozycje na zewnątrz. Sten pozostawił swojego sapersa samego. To nie było najtrudniejsze zadanie, z jakim miał Kilgour do czynienia - między innymi zdołał on kiedyś pod ciągłym ostrzałem wroga rozbroić nuklearne urządzenie i założyć minę na wielbłądzie - ale wymagało jednak odrobiny skupienia.

- Skąd wiesz - spytała Sind - że ktoś weźmie ten pistolet i w ten sposób wytropimy następny arsenał?

- Nie wiem, nie jestem pewien. Ale ludzie, których całe życie obraca się wokół różnych strzelających rzeczy, stają się nieco zwariowani na widok jakiegoś supernoża czy takiego cacka.

- Mam nadzieję, że ta broń zaprowadzi nas do czegoś więcej, niż tylko kolejnej przechowalni. Byłbym bardzo szczęśliwy, gdyby ta śliczna, ozdobna rzecz znalazła się w rękach kogoś, kto ma dość władzy, aby ją docenić.

- Jak kto?

- Na przykład kogoś, kto dowodzi całą tą organizacją. Co pozwoli nam na podjęcie otwartych działań.

- Sten, jesteś złym człowiekiem.

- Mówisz tak tylko po to, żeby dobrać mi się do spodni.

- To prawda. I pocałowałabym cię, gdyby nie stanowiło to pogwałcenia dyscypliny.

- Mojej czy Bhorów?

- Twojej, rzecz jasna.

Ale i tak go pocałowała.

Venloe usiłował odczytać wyraz twarzy widniejącej na ekranie. Nie potrafił.

- Czy to już wszystko? - spytał mężczyzna.

- Tak jest, sir.

Było tak cicho, że Venloe słyszał szum biegnącej fali.

- Czy masz jakieś sugestie?

Po pauzie Venloe powiedział:

- Nie.

- Nie krępuj się. Musimy rozważyć wszelkie możliwości.

Mężczyzna na ekranie dotknął, jakby nieświadomie, własnej piersi.

Venloe starannie dobierał słowa.

- Kiedy wyznaczył mnie pan do tego zadania, spytałem... o możliwość przegranej.

- A ja powiedziałem ci, że nie jestem przygotowany do dyskusowania na ten temat.

Nie byłem wtedy, tym bardziej nie jestem teraz. Moja polityka jest zupełnie pewna.

Doktor Iskra ma otrzymać pełne poparcie.

- Tak jest, sir. Proszę o wybaczenie.

I znowu cisza.

- Przeprosiny nie są konieczne. Nie chcę, aby moi podwładni czuli się niewolnikami. Chcę za to, aby jedna sprawa była całkiem jasna. Doktor Iskra ma być władcą Mgławicy Altaic. To najwyższy priorytet. Mimo to... to, co określiłeś jako możliwość przegranej nie może zostać zignorowane. Zbadaj prawdopodobieństwo i zależności.

Ekran opustoszał.

Venloe automatycznie skinął posłusznie głową. I chociaż nikt już nie słuchał, odpowiedział:

- Tak, Wasza Wysokość.

## Rozdział 25

Wieczny Imperator w zamyśleniu słuchał raportu Stena na temat doktora Iskry. Nie robił żadnych uwag, kiedy Sten wyliczał wszystko po kolei.

Sten opowiedział mu o masakrze studentów. Podał dowody na to, że to robota Iskry.

Omówił rozmyślną dezinformację obliczoną na wzniecenie wojny pomiędzy mieszkańcami Altaic.

Kłamstwa, jakimi Iskra pokrywał swoją kampanię terroru. Tajemnicze ataki na imperialny personel. Pustą fortecę i różne inne sprawy.

Aż wreszcie skończył. Czekał, mając nadzieję na to, że nie przesadził.

- Sądzę - powiedział Imperator - że twoje źródła informacji w tych sprawach nie są po stronie Iskry.

- Przykro mi, sir - stwierdził Sten - ale przekazywanie panu spraw, które nie są zbyt przyjemne, to moje zadanie.

- Całkiem słusznie - powiedział Imperator. - Inaczej byłbyś równie bezużyteczny, jak ci wszyscy głupcy dookoła. Jednej rzeczy co do ciebie jestem pewny, Sten - zawsze mogę na ciebie liczyć, że powiesz mi prawdę, nieważne, jak przykra.

- Dziękuję, sir. Teraz... jeśli mi pan pozwoli...

- Wstrzymaj się - oznajmił Imperator. - Nie ma potrzeby.

- Słucham, sir?

Sten był naprawdę zaskoczony. Czuł się także niepewnie z powodu tego nowego zwyczaju Imperatora, który teraz nigdy nie patrzył prosto w twarz. I te przekłete oczy.

Poruszały się tam i z powrotem, jak odbijane przez mistrza piłeczki pingpongowe.

- Powiedziałem, że już wystarczy. Wiem, jakie jest twoje zdanie. Niestety, muszę je odrzucić. Iskra zostaje. Ty nadal musisz go popierać.

- Bardzo mi przykro, że to słyszę, sir. I mam nadzieję, że nie weźmie mi pan tego za złe - ale proszę o zwolnienie mnie z tego zadania.

Oczy Imperatora wstrzymały swą niestrudzoną wędrówkę. Tylko na chwilę. Spoczęły na Stenie jak zimna stal. Potem władca roześmiał się.

- Chyba wiem, dlaczego to mówisz - stwierdził. - Sądziś, że straciłem zaufanie do ciebie.

- Możliwe, sir. Ale nie mnie to oceniać. To tylko ... no cóż, potrzebuje pan kogoś, kto na pewno wypełni pańskie rozkazy.

- Powiedziałem już, że ci ufam, Sten.

- Tak jest, sir. Ale stwierdziłem wyraźnie, że mam inne zdanie.

- Prawda. Mimo to, twoja zgoda nie ma nic do rzeczy. Takie są moje rozkazy. Powinieneś wiedzieć też, że doktor Iskra prosił mnie abym zastąpił ciebie kimś innym. Stanowczo odrzuciłem jego wniosek.

- Tak jest, sir - Sten nie umiał powiedzieć nic innego.

- I oznajmiłem mu to, co zaraz oznajmię i tobie. Jesteś zbyt blisko całej tej sprawy. Nie zauważasz lasu chodząc wśród drzew, jak powiadają.

Sten wiedział, że Imperator zapewne ma rację. Nie znał całego obrazu. W przeciwieństwie do władcy.

- Nadal nie sędzę, abym był najlepszym człowiekiem do tego zadania, sir. Jednak dziękuję za wiarę we mnie, sir.

- Wiele razem przeszliśmy, Sten - stwierdził Imperator. - Wiem, czego potrafisz dokonać, a czego nie. I sędzę, że znam twoje możliwości lepiej niż ty sam. Poza tym, sprawy w Altaic stały się niezwykle poważne. Gdybym zwolnił cię teraz, opinia publiczna stałaby się niszcząca. Być może myliłem się co Iskry. Ale nadal myślę, że stanowi on najmniejsze zło z wszystkich tych kiepskich możliwości, jakie miałem do wyboru. To bez znaczenia. Polegam na tym człowieku.

I nie chcę mieć żadnych kłopotów.

- Tak jest, sir.

- Liczę na ciebie, Sten - powiedział Wieczny Imperator. - Teraz może nawet bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Niech to wszystko działa. Zrób to, co musisz, ale niech wszystko działa.

Traktuj to jako rozkaz.

- Tak jest, sir.

- Sten?

- Tak jest, sir?

- Uśmiechnij się. Nie przeżywaj tak. To na pewno się dobrze skończy.

- Tak jest, sir - powiedział Sten.

Zasalutował, kiedy obraz Imperatora zniknął z ekranu.

## Rozdział 26

Sten nie mógł spać. Za każdym razem, kiedy już rzeczywistość zaczynała powoli odpływać, przed oczami pojawiała mu się twarz Imperatora. Jego oczy ścigały Stena. Oczy, które nigdy nie spoczywały. Oczy, które nieustannie przeszukiwały jego umysł, łowiły sekretne wątpliwości i wyciągały je na światło dzienne.

W sennym koszmarze Stena Imperator spiętrzał te wszystkie wątpliwości w wielką, wijącą się masę. Odwracał się do Stena z twarzą pociemniałą z gniewu. I te oczy podążały za nim wciąż.

Sten wiedział, że jeśli kiedykolwiek spoczną, to już po nim.

I znowu się pokazały, krążąc i wypalając w podłodze dymiącą ścieżkę. Potem podniosły się, szukając jego spojrzenia - aby je także wypalić.

Sten obudził się i westchnął spazmatycznie. Całe jego ciało pokrywał zimny pot.

Potykając się pobiegł do toalety i zaczął wymiotować do muszli. Klęczał tak przez dłuższy czas, czując się głupio z powodu koszmaru - ale bojąc się wracać do łóżka, po dalszy ciąg snu.

Miękki szmer i pachnące ciepło Sind.

- Wszystko w porządku - zapewnił ją.

- No jasne. Często znajduję zupełnie zdrowych i szczęśliwych ludzi, wijących się na podłodze łazienki i wyrzuających flaki.

- Zaraz będzie dobrze... za minutkę.

- Na pewno. Przestań się ze mną sprzeczać, kochanie. Albo wpadniesz w prawdziwe kłopoty.

Podniosła go, rozebrała i zaciągnęła pod prysznic. Strumień chłodnej wody popłynął w dół, przebudzając go gwałtownie. Warstewka potu zeszła, jak stary smar. A potem chłodna woda zmieniła się w gorącą, zakłębiła się para. Spomiędzy oparów pojawiło się nagie ciało Sind. Była uzbrojona w mydło i szorstką gąbkę.

- Obróć się - nakazała. - Zacznę od pleców.

- Sam mogę to zrobić - zaprotestował Sten, sięgając po mydło.

- Powiedziałam, obróć się. - Przeciągnęła gąbką przez jego pierś.

- Au! No dobrze, dobrze. Wygrałaś!

- Przypomnę ci na wszelki wypadek - powiedziała Sind - że ja zawsze wygrywam.

Zmoczyła gąbkę, dobrze ją namydliła i zaczęła szorowanie.

To było kojące. Zapominał o oczach.

Później, oparty o poduszki i zawinięty w świeżą pościel, pociągał gorącą, mocną herbatę, którą Sind zamówiła w kuchni ambasady. Słyszał, jak na zewnątrz wiatr hula po ulicach Rurik. To dziwne, ale czuł się spokojny. Utulony.

Sind ułożyła się obok niego na łóżku, miękka, kolorowa szata falowała wokół niej. Łagodne zazwyczaj łuki brwi ściągnęły się, jakby Sind rozważała sen Stena.

- Czy kiedykolwiek zastanawiałeś się - spytała - jak by było, gdyby Imperator nigdy nie powrócił?

Sten pokręcił głową.

- Brzmi to dla mnie jak najgorszy koszmar - powiedział. - Wszystko się trochę pokręciło, o ile sobie przypominasz.

- Doskonale pamiętam. Rzeczywiście, panował bałagan. Ale przecież radziliśmy sobie z tym. Każdy miał wiele nadziei. Jakąś wizję przyszłości.

- Sądysz, że teraz nie mamy przyszłości? Sprawy są trudne, przyznaję. Ale kiedy już wydostaniemy się z tego...

- Wrócimy do normalności? - wtrąciła się Sind. - Powiedz mi, jak ta normalność wygląda, Sten. Jestem młoda. Nie znam tych cudownych dni sprzed wojen tahnjskich.

- Nie bądź sarkastyczna.

- Unikasz odpowiedzi.

- Dobra. To nie był raj.

- A więc co?

Sten zrobił skruszoną minę.

- Podobnie jak teraz, przyznaję. Poza tym, że mieliśmy więcej wszystkiego.

- A więc ludzie żyli lepiej, tak? Ci tutaj, na Jochi, też byli szczęśliwsi, prawda? Jasne, znosili panowanie Khaqana nad sobą, ale więcej jedli. Co sprawiało, że czuli się świetnie.

Zaprawdę, raj dla uciśnionych.

- Znowu zachowujesz się cynicznie.

- A ty znowu unikasz odpowiedzi.

- Po prostu tak właśnie kręci się świat - powiedział Sten. - Ktoś musi rządzić.

Kierować wszystkim. Niestety, raz na jakiś czas trafia się drań. Tyran.

- Jak Khaqan?

- Tak, jak Khaqan.

- Jak doktor Iskra?

- Zwłaszcza doktor Iskra. Khaqan przynajmniej miał tę wymówkę, że był zniedołężniałym starym głupcem.

- Ale my otrzymaliśmy rozkazy, żeby pomagać Iskrze w podryzaniu gardeł jego ludzi - powiedziała Sind - mimo wiedzy o tym, że jest prawdopodobnie nawet gorszy niż Khaqan. Czy to ma sens?

- Tak, jeżeli spojrzysz na to z szerszej perspektywy - stwierdził Sten. - Nawet w najlepszych czasach Imperium delikatnie balansuje pomiędzy trudnymi osobowościami. A teraz, chyba się ze mną zgodzisz, nie mamy najlepszych czasów.

- Masz rację.

- Dobrze. No cóż, Iskra to może i kawał drania. Ale kawał drania należący do Imperatora. I pomaga mu powstrzymać wszystko przed ostatecznym stoczeniem się w przepaść.

- Innymi słowy, to wygodne? To właściwe, nawet jeżeli uczynimy w ten sposób tych ludzi nieszczęśliwymi na wiele pokoleń?

- Nie nazwałbym tego tak. Ale masz rację. To wygodne. Poza tym w Imperium są jeszcze tysiące

istot, o których też trzeba myśleć.

- A jak wiele z nich jest rządzonych przez kogoś takiego jak Iskra?

Sten otworzył usta, aby udzielić odpowiedzi, ale słowa mu gdzieś uciekły.

Milczał bezradnie.

Sind naciskała dalej, sama nie wiedząc do końca, do czego zmierza.

- Co tworzy dobrego tyrana, Sten? Dobrego dyktatora? Doskonałego władcę absolutnego?

Czy w ogóle istnieje coś takiego?

- Zapewne. Przynajmniej na jakiś czas. Wielu ludzi desperacko pragnie, aby ktoś im mówił, co mają robić. Kłócą się i zabijają nawzajem, dopóki nie przybędzie Człowiek na Białym Koniu, aby ich uratować. I z zadowoleniem składają swój los w jego ręce.

- Jeżeli mają szczęście, nowy władca jest kimś młodym, osobą z mocną wizją przyszłości.

Nieważne, jaka to wizja, dopóki wszyscy zgadzają się, że warto za nią podążać, robić wysiłki, aby utrzymać porządek.

- Problem w tym, że nigdy nie słyszałem o przypadku, kiedy przy takiej okazji nie wzmaga się chaos. Jak za czasów Khaqana.

- Wyjaśnij, proszę.

- Kiedy dyktator zbyt długo pozostaje u władzy, staje się powolny. Oddalony od ludzi.

Zaczyna myśleć, że jego siła pochodzi wprost od Boga na wysokościach. Zbiera wokół siebie grupę pasożytów, szakali, którzy zrobią dla niego wszystko w zamian za udział w zyskach. W końcu każdy władca - to znaczy władca absolutny - dochodzi do punktu, kiedy szakale bardziej mu są potrzebni niż ludzie. I to właśnie początek końca. Ponieważ tracą świadomość tego, kto rzeczywiście daje im władzę. A to, po prostu, ludzie, którymi rządzą.

- Dobry wykład, profesorze Sten.

- Nie miałem zamiaru dawać wykładu.

Sind milczała przez chwilę. Zajęła się paskiem przy sukni. A potem, niskim głosem, powiedziała:

- To brzmiało jak całkiem niezła charakterystyka Imperatora.

Sten nie odpowiedział. Ale kiwnął lekko głową.

- Nie uzyskałam odpowiedzi na moje pierwsze pytanie - stwierdziła Sind. - Co by się stało, twoim zdaniem, gdyby Imperator nigdy nie powrócił?

- Nie ma sensu o tym myśleć - powiedział Sten. - Zasadnicze znaczenie ma to, że bez AM2 wszyscy bylibyśmy barbarzyńcami. Nie istniałaby niemal żadna komunikacja pomiędzy najmniejszymi systemami planetarnymi. Podróże międzygwiazdne można by odbywać albo na zabójczych starych liniowcach, albo, gdyby lecieć na napędach gwiazdnych bez AM2, wyczerpałyby się zasoby systemów. Zabrakłoby postępu. Jakiego tam postępu!

Nastąpiłby regres, powrót do kompletnej ignorancji. A Wieczny Imperator - ci dumie z Rady przekonali się o tym na własnej skórze - jest jedynym, który kontroluje AM2.

- A co się właściwie z nią stało? - spytała Sind. - Nigdy tego nie rozumiałam tak do końca.

- Po prostu przestała napływać - powiedział Sten. - I nikt nie mógł tego przewidzieć, choć Rada zrobiła całą kupę prognoz, że zaopatrzenie w AM2 ustanie w momencie śmierci Imperatora... albo tego, co się z nim stało naprawdę.

- Skąd właściwie pochodzi AM2? - spytała Sind.

- Co? - Sten był naprawdę zdziwiony, wręcz osłupiały.

- Jeżeli ustało, to musiało się gdzieś zacząć - powiedziała Sind. - Nie mam na myśli jakiegoś



wielkiego, sekretnego składu czy czegoś w tym rodzaju. Bo nawet to zostałoby w końcu opróżnione i musiało ulec ponownemu napełnieniu. To znaczy, że ktoś - albo coś - powinien uzyskać gdzieś AM2. Skąd ona pochodzi? A może to głupie pytanie?

- Wcale nie głupie - powiedział Sten.

- Nie myślałam o tym. To jakoś tak nagle przyszło mi do głowy. A potem zorientowałam się, że ktoś już wcześniej bardziej stanowczo zadał to pytanie.

- Niezbyt głośno - powiedział Sten. - Imperator nie lubi, kiedy ludzie zajmują się AM2.

- Mimo wszystko, AM2 musi gdzieś istnieć. W wielkich ilościach. Całe wielkie góry, czekające na tego, kto je znajdzie. A ktokolwiek je znajdzie...

- Ktoś już to zrobił - stwierdził Sten, któremu nagle rozjaśniło się w głowie.

I nie był pewien, czy owo odkrycie uszczęśliwiło go.

- I to właśnie uczyniło go Imperatorem, tak?

- Tylko częściowo - powiedział Sten. - Ale zapominasz o jeszcze jednej rzeczy.

Sama AM2 nie wystarczy.

- Jak to?

- Znalazł też sposób na to, aby żyć wiecznie. Albo jest bardzo blisko tego.

- A, to! - powiedziała Sind. - Wielka mi sprawa! Kto by chciał żyć wiecznie? Po jakimś czasie wszystko staje się nudne. Nigdy nie masz ochoty robić takich rzeczy...

- Auu! - jęknął Sten, kiedy Sind przygryzła jego sutek ostrymi zębami.

- I nigdy nie masz tego dreszczyku, kiedy...

- Daję ci... parę godzin na przerwanie tego, co robisz - powiedział Sten.

- Ani - szeptała dalej Sind - nie obchodzi cię wcale, jeżeli...

Zwilżyła wargi i pociągnęła jego głowę. Sten poddał się jej ochoczo, mętnie myśląc, że ta kobieta we wspaniały sposób dowodzi swoich racji.

## Rozdział 27

Na łące panował spokój. Ale Miejsce Dymów nie było ciche. Wiatr targał wierzchołki drzew, powodując stały szum.

Sten, Alex, Sind i Otho stali obok grawilotów ambasady. Gurkhowie z ich ochrony wysypywali się sprawnie z towarzyszących sań grawitacyjnych.

Wytropiony przez Alexa kłusownik udzielał im nerwowych instrukcji, stojąc na zniszczonej drodze, prowadzącej w głąb prześwitu. Kiedy zobaczył, że Sind włącza kamerę, zażądał pieniędzy.

Alex zapłacił mu i zapytał, czy nie mógłby poczekać: kiedy skończą, zabiorą go z powrotem do wioski.

Nie. Mężczyzna upierał się, że wróci do domu na piechotę. Trzydzieści kilometrów?

Nieważne. Kłusownik wszedł tyłem pomiędzy drzewa, odwrócił się i zaczął uciekać, jakby goniło go sto diabłów.

Sten nie wiedział, czy ten człowiek bardziej obawiał się kogoś, kto nagrywa jego twarz, czy długich, płytkich rowów rozciągających się przez łąkę.

- To mieszczuchy tu kopały - powiedział Otho. - Wiejscy ludzie poznaliby podłoże od razu.

I przykryliby lepiej te rowy.

Nikt tego nie komentował.

- Jak wielu?

Sten pokręcił głową. Miał niewielkie doświadczenie jako przedsiębiorca pogrzebowy.

- Ludzie odważyli się zameldować o zaginięciu pięciu tysięcy - powiedziała Sind.

- Podnieś to do kwadratu - stwierdził z roztargnieniem Alex, jego spojrzenie tkwiło w przykrytych rowach. - To znaczy... że mamy - mamy jeszcze inne miejsca do odkrycia. - Odwrócił się do Stena. - Jak to rozegramy, szefie?

Sten myślał, potem podszedł do grawilotu i otworzył szafkę z wyposażeniem. Wyjął dwie łopaty i dał jedną Kilgourowi.

- Sądzę - powiedział - że potraktujemy to jak wykopaliska archeologiczne.

Wytniemy szeroką na metr szczelinę w jednym z rowów. Sind, chcę, żebyś to nagrywała.

Upewnij się, że film pokazuje grunt, który nie był ruszany od jakiegoś czasu. Są tu jakieś małe rośliny...

- Porosty - podpowiedział Alex.

- A więc porosty, które tu urosły. Nie ma żadnych śladów stóp oprócz tych, które zrobimy sami zbliżając się do... - Zawiesił głos.

- Sir - powiedział Otho. - Kopać mogą żołnierze.

Sten pokręcił głową i wskazał Sind, aby rozpoczęła nagrywanie. Potem podszedł do najbliższego rowu i ostrzem łopaty wyznaczył granice badanego obszaru. Zaczął ostrożnie kopać.

Piaskowe podłoże nie wymagało wysiłku przy odrzucaniu. Alex z równą ostrożnością pracował z drugiej strony rowu.

Sten zagłębił się mniej niż na metr, kiedy nagle przestał.

- Otho, w szafce jest saperka.

Ukląkł i kopał jeszcze delikatniej przy użyciu nowego narzędzia. Chrząknął.

Potem rozkaszał się i zwymiotował.

Otho przyniósł mu manierkę i maskę gazową. Drugą maskę dał Alexowi.

- To smród, do którego nie można się przyzwycząić.

Sten zwilżył usta i włożył maskę. Cieszył się, że zakrywa jego wyraz twarzy.

- Dwa... może trzy miesiące?

- To mniej więcej pasuje, szefie. Sind? Możesz zrobić zdjęcia prosto z grobu?

Sind podsunęła się bliżej. Przez wizjer widziała plecy kobiety. Jej ręce związane z tyłu plastikową taśmą. Obok widniała twarz mężczyzny. Resztki oczu miał szeroko otwarte, usta też, krzyk uciszony ziemią.

Sind nakazała swoim oczom, aby przestały to rejestrować - maszyna wykona całą pracę.

Nie słuchały jej.

- Dlaczego - zastanawiał się Otho - Iskra nie wrzucił tych ciał do morza? Albo nie spalił?

- Pogrzebanie żywcem - powiedział Sten - to honorowa śmierć tu, na Jochi.

Otho warknął.

- Jak morderstwo w ogóle może być honorowe?

Sten pomógł Alexowi wydostać się z grobu.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie, szefie, co zrobimy z tą zbrodnią? Nie sądzę, że zrobilibyśmy dobrze, nagłaśniając tę sprawę na całą Mgławicę. To tylko doleje oliwy do ognia.

- Masz rację. Zakryjemy tę dziurę. I zrobimy tylko tyle - przynajmniej na początek - że wyślemy kopię nagrania Sind na Primeę.

- Wyłącznie dla Imperatora? Sten, to najgorsze, co możemy zrobić na początek.

Dlaczego myślisz, że poświęci temu choć odrobinę uwagi? Jestem pewien, że widział jeszcze gorsze rzeczy w życiu.

- Nie wiem - powiedział Sten. - Ale niech lepiej zobaczy, bo miałeś rację mówiąc, że szaleje ogień. A my tkwimy w samym środku.

Wszyscy milczeli.

Nie było słyhać nic, oprócz dźwięku łopat wrzucających ziemię z powrotem do masowego grobu... i wysokiego poszumu drzew, kiedy wiatr poruszał ich wierzchołkami.

## Rozdział 28

Pytanie o to, czy rewelacje na temat Miejsca Dymów wpłynęłyby na zdanie Imperatora, nigdy nie doczekało się odpowiedzi.

Jej rodzina nie była ani biedna, ani bogata. A przynajmniej nie była biedna w rozumieniu obywateli Rurik - na wielu innych światach uważano by ich za nędzarzy. Ale znała zarówno ojca, jak i matkę, i tylko dwóch jej braci zmarło w niemowlęctwie. Zawsze jadła przynajmniej raz dziennie, a jej ubrania, chociaż przedtem należały do starszej siostry, lśniły czystością.

Urodziła się Jochianką. Ale nie przypominała sobie, żeby jako dziecko - mając szesnaście lat uważała się oczywiście za dorosłą - darzyła Suzdałów i Bogazi szczególną nienawiścią.

Nieczęsto ich widywała w swojej dzielnicy. I nigdy nie czuła nic oprócz litości dla kilku rodzin Torków, które znała.

Kilka lat wcześniej usłyszała opowieści o tym, że jej świat się zmieni na lepsze. Kiedy odejdzie ten tyran Khaqan, zaświta nowy dzień.

Przyniesie go człowiek o nazwisku Iskra. Niektórzy z jej przyjaciół dali jej broszurki, mówiące o tym, że ten szlachetny człowiek zawsze wierzył w Altaic, wierzył, że Jochiańczycy stanowią centrum cywilizacji i rozniecą nowe światło dla mgławicy.

Oczywiście nie czytała żadnych pism tego doktora. Powiedziano jej, że są zbyt skomplikowane dla kogoś jej płci i wykształcenia, i nie musi tracić czasu.

Przyłączyła się do małej organizacji, rzecz jasna konspiracyjnej, i poprzysięgła sobie, że dopomoże w nadejściu nowego dnia, w każdy dostępny dla niej sposób.

A potem Iskra powrócił do swojego macierzystego świata. Ona stanowiła część wiwatującego na jego powitanie tłumu. Zdawało się jej, że go widziała - odległą kropkę na balkonie pałacu, który należał do Khaqana.

Nowy dzień nie świtał jednak wystarczająco szybko. Torkowie nadal obnosili się ze swym bogactwem, które wyrosło na krzywdzie Jochiańczyków. Co gorsze, Jochi była ciągle skażona obecnością Suzdałów i Bogazich.

Nawet wtedy, gdy „obcy” odeszli, jakieś zło udaremniało wysiłki doktora Iskry, by zapanować nad chaosem. I oczywiście, od kiedy przywódca jej konspiracyjnej komórki wyjaśnił sens wydarzeń, widziała jak na dłoni prawdziwe łądactwo: ci imperialni usiłowali użyć doktora Iskry jako narzędzia, tak samo, jak przedtem wykorzystywali Khaqana. Teraz zdawała sobie sprawę, że Iskra był trzymany w tym pałacu niemal jako zakładnik - a nie rządził swobodnie, jak przedtem sądziła. Chciała zrobić coś, co przyspieszyłoby zmiany.

Musiał istnieć jakiś sposób, w który mogłaby pomóc.

Na ekranach widziała, co robili inni. Dwóch młodych mężczyzn i kobieta - młodsza nawet od niej - podpalili swe ciała, świadomie ściągając na siebie wstyd poprzez hańbiącą śmierć, bo tylko taki szok mógł uświadomić wszystkim Jochiańczykom, że to właśnie oni powinni się wstydić.

Powiedziała swemu dowódcy o pragnieniu śmierci. Odpowiedział jej, że zapyta swego doradcy, czy takie działanie przyniosłoby pożytek.

Dwa dni później przekazał jej, że nie taki ma być jej los. Zamiast tego otrzyma do wykonania o wiele poważniejsze zadanie, które wymiecie imperialnych z Mglawicy Altaic jak silny wiatr północny.

Była uradowana i zaszczyczona.

Uważnie uczyła się i przygotowywała.

Dwa dni po tym, jak Sten odnalazł ciała zakopane w lesie, powiedziano jej, że nadszedł czas.

- Te dranie nigdy nie słuchają - powiedział wartownik do dwóch innych żołnierzy Imperium, którzy wraz z nim pełnili służbę. - Możesz mówić im tysiące razy, że nie ma przejścia, że nie mogą dojść do rynku tą drogą, a oni kiwają głowami, uśmiechają się i następnym razem znowu próbują. Kiedy Stwórca chciał dać im mózgi, oni zrozumieli, że chodzi o bluzgi i powiedzieli: „Idź sobie w cholere”.

Posterunek ustawiono przy jednej z ulic prowadzących na Plac Khaqanów. Była teraz strzeżona, ponieważ część pałacu, przeznaczona na koszary i kwatery oficerskie batalionu z Trzeciej Gwardyjskiej Imperium, znajdowała się w odległości około stu metrów.

Wartownik ziewnął - od świtu nie minęła jeszcze godzina, co znaczyło, że mniej więcej drugie tyle pozostało do czasu, kiedy posterunek zostanie zmieniony, a on będzie mógł coś zjeść.

Podniósł karabin, zarzucił go na ramię i podszedł do budki wartowniczej.

Patrzył, jak zbliżają się do niego towarowe grawisanie. Cholerny antyk, pomyślał. Ta przeklęta rzecz nawet nie trzyma się prosto.

Przedział ładunkowy wypełniało coś, co wyglądało jak częściowo przegniłe, a częściowo potrzaskane owoce, których nikt oprócz Jochiańczyków nie zechciałby kupić, czy nawet pomyśleć o ich zjedzeniu.

Pokręcił głową. Pomyślał, że kiedy zaczynał swoją służbę, nigdy nie poskarżyłby się na cokolwiek na swoim rodzinnym świecie, widząc, jak mało mają w rzeczywistości ci Jochiańczycy.

Gdyby nie byli takimi wrzeszczącymi o nienawiści skurwielami, to można by się nad nimi litować.

Poprzez potrzaskane, brudne szyby nie mógł dostrzec, kto siedzi za sterami ciężarówki.

Trzymał obie dłonie płasko - uniwersalny znak zezwalający na lądowanie.

Grawisanie zatrzymały się, ale nie wylądowały. Posuwały się w przód i tył, szarpane porywistym wiatrem wiejącym od strony placu.

Wartownik zaklął. Przesunął się na bok. Może kierowca go nie widzi? A potem prawie uśmiechnął się z aprobatą. Ślicznotka. Poruszył się znowu - i w tym momencie grawisanie przeszły na pełną moc i przeleciały nad nim.

Mogły wyglądać nędznie, ale świeżo przebudowane generatory McLeana sprawiły, że były zdolne do takiego manewru. Wartownik miał sekundę na to, by pomyśleć, że młoda kobieta musiała źle go zrozumieć, a potem odturlał się z drogi, gdy ciężarówka uzyskała pełną szybkość.

Imperialne - i zdroworośdkowe - zasady bezpieczeństwa: wejście do jakiegokolwiek strzeżonego obszaru powinno zostać tak usytuowane, aby każdy zbliżający się pojazd, powietrzny czy

naziemny, musiał zwolnić do minimalnej prędkości. Ale ta właśnie brama miała tylko jeden zakręt.

Bloki z betonu, ciężkie płyty, a nawet drut kolczasty powinny wznosić się przynajmniej na trzy metry nad powierzchnią gruntu. W tej bramie były jedynie trzy wolno stojące zasieki z drutu.

Ciężarówka pociągnęła druty za sobą, ale nie zatrzymała się.

Imperialne zasady głosiły dalej, że konieczne jest, aby każdy obszar posiadał drugie miejsce zatrzymywania pojazdów, na wypadek, gdyby pierwsza bariera zawiodła.

Nie zrobiono nic takiego.

Pod żadnym pozorem, mówiła dalej dyrektywa, jeszcze bardziej surowo, nie można pozwolić na to, aby koszary żołnierzy były narażone na samobójczy atak.

Minimalne środki ostrożności obejmowały monitory, posterunki, umocnienia gruntowe, ruchome patrole z ciężką bronią i tak dalej, i tak dalej...

Ciężarówka znajdowała się zaledwie dziesięć metrów od stopni wiodących do koszar Gwardii Imperialnej, kiedy młoda pilotka - ten przyjazny uśmiech, do jakiego zmusiła się na widok wartownika zmienił się teraz w grymas - sięgnęła w dół do małego pudełka, pospiesznie zamontowanego na podłodze pojazdu.

Znajdowały się tam dwie małe dźwignie - jedna pomalowana na czerwono, druga na niebiesko. Poinstruowano ją, że błękitna uruchamia mechanizm czasowy, który da jej trzydzieści sekund na ucieczkę.

Ta czerwona...

Ta czerwona miała zostać użyta w nagłym przypadku.

Nie dowiedziała się nigdy, że obie dźwignie powodowały to samo, ponieważ zdecydowała się nie dopuścić do popełnienia pomyłki. To ma być strzał-błysk - widziany z daleka, z przestrzeni poza granicami Jochi i Altaic.

Ma zostać dostrzeżony na Świecie Primy, gdzie ten zły manipulator, Wieczny Imperator, będzie zmuszony do zauważenia i stwierdzenia, do czego doprowadziły jego knowania.

Pociągnęła do góry czerwoną dźwignię.

Zgineła jako pierwsza, gdy trzy tony konwencjonalnych materiałów wybuchowych, stanowiących prawdziwy ładunek ciężarówki, wybuchło.

Fala uderzeniowa przewaliła się przez mury koszar. Z sześciuset pięćdziesięciu istot prowadzących zaopatrzenie i obsługę batalionu gwardii więcej niż połowa nadal spała albo budziła się właśnie do pracy. Pięciuset osiemdziesięciu gwardzistów znajdowało się w pałacowym budynku.

Pułkownik Jerety, z filiżanką kawy w ręce, miał właśnie zapytać swojego zastępcę i majora, czy chcą dolewki, kiedy przetoczył się po nim podmuch.

Eksplozja zrównała koszary z ziemią.

Szczęśliwcy umarli natychmiast.

Ci nieco mniej szczęśliwi nigdy nie odzyskali przytomności albo zostali zmiażdżeni pod gruzami budynku.

Ale byli też i inni.

Krzyki rozpoczęły się jeszcze przed zanikiem fali uderzeniowej, kiedy pył wciąż wirował.

W połowie drogi przez miasto fala uderzyła w ambasadę.

Sten, wciąż w łóżku, rozmyślał ponuro, a Sind usiłowała przekonać go, że jego nastrój ulegnie znacznej poprawie, jeżeli położy się obok niej i pozwoli na to, aby jej język kontynuował swoją wędrówkę. Nagle poczuł wstrząs i drgania budynku; wyskoczył nago z łóżka, pewien, że to te dranie

napadają na samą ambasadę.

Stanął w oknie, ignorując krzyk Sind, że ma paść na podłogę, i patrzył jak formuje się wielki słup dymu i ognia.

Głęboko w środku czuł, że to punkt zwrotny całej historii.

Nie miał zielonego pojęcia, co będzie dalej.

Ale wewnętrzny głos powiedział cicho, że stanie się coś takiego, przy czym wszystkie morderstwa i zbrodnie, które się dotąd wydarzały, wydarzą się niczym.

## Rozdział 29

- Kiedy wróciłem, zdawałem sobie sprawą z tego, że wszystko może iść kiepsko - powiedział Wieczny Imperator - ale jak większość moich poddanych myślałem, że wystarczy tylko mocniej zacisnąć pasa i przeć do przodu.

Imperator napełnił szklanę Mahoneya szkocką i dolał też sobie.

- Byłem na tyle głupi, aby sądzić, że z małą dozą wyobraźni i olbrzymim wysiłkiem uda się przełamać kryzys.

Pozwolił, aby jego oczy spoczęły na krótko na Mahoneyu, potem znowu ruszyły w wędrówkę. Mahoney miał nagle wizję jaszczurki polującej na muchę. Odpędził to nielojalne wyobrażenie.

- Jestem pewien, że się w końcu uda, sir. Wszyscy pokładamy w panu całkowitą ufność.

Imperator roześmiał się głośno.

- Ufność to przeceniany towar, Ian. Tak, to jest towar. Powinienem to wiedzieć.

Właśnie kupiłem jej trochę - na dodatkowe zabezpieczenie.

Mahoney nie komentował tego. Wolał nie wiedzieć, o czym mówi Imperator.

- Jak mogę pomóc, sir?

- To właśnie jedna z tych cech, które tak w tobie lubię, stary przyjacielu - rzekł Wieczny Imperator. - Gdy wołam, zawsze jesteś gotów przyjść mi z pomocą.

W innych czasach Mahoney rozplątałby się pod wpływem komplementu, jakim było nazwanie go przyjacielem Imperatora. Teraz słowa te brzmiały chłodno, nieszczerze.

- Dziękuję, sir - powiedział.

Wysączył swój napój, by ukryć zakłopotanie.

- Po pierwsze pozwól mi powiedzieć, z czym musimy się zmierzyć - rzekł Imperator. - Mam pełne biurko fiszek z informacjami od moich ekspertów - grzmotnął w brzeg antycznego biurka dla podkreślenia wagi słów - informacjami, zaprzeczającymi sobie nawzajem w prawie każdym punkcie, z wyjątkiem jednego. - Imperator obrócił kciuk w dół. - Ten punkt to kierunek, w którym zmierza moje Imperium.

Optymiści mówią, że staczamy się powoli. Ich prognozy przewidują, że do kompletnej zapaści dojdzie w ciągu dwudziestu lat imperialnych. Umiarkowani twierdzą, że to kwestia pięciu, sześciu lat.

Pesymiści oznajmiają, że to już się stało. Oni uważają, że napędza nas jeszcze bezwład gospodarki. Że olbrzymi rozmiar mego imperium maskuje bezwzględne fakty, iż już jesteśmy martwi, martwi, martwi.

- Z pewnością są oni w błędzie, sir - odrzekł Mahoney. - Eksperci dorabiają się fortun na



straszeniu. Nie na dobrych wieściach.

- Nie, to nie błąd. Chyba, że mój. Po prostu ignorowałem to, co zaglądało mi prosto w twarz.

- Ale... Nie rozumiem, jak to możliwe.

Lekko wstrząśnięty, Mahoney wychylił do końca swojego drinka, potem sięgnął po karafkę by uzupełnić szklankę. Była pusta. Podniósł się i skierował w stronę barku, aby przynieść następną.

Zaczął sięgać po kolejną butelkę ze szkocką, ale zmienił zdanie, gdy dostrzegł flaszkę streggu.

Podniósł ją.

- Może potrzebujemy czegoś mocniejszego, szefie - powiedział.

Twarz Imperatora zapłonęła gniewem.

- Co to robi tutaj? - warknął. - Nie piję już tego.

Zaniepokojony Mahoney obserwował narastającą wściekłość władcy.

- Do ciężkiej cholery! - wrzasnął Imperator. - Mówiłem Bleickowi, że nie chcę nawet widzieć tego świństwa. - Następnie opanował się i skierował w stronę Mahoneya wątlą imitacją uśmiechu. - Przepraszam - powiedział. - Ostatnimi czasy małe rzeczy wyprowadzają mnie z równowagi.

Mahoney kiwnął głową i powędrował z powrotem na swoje siedzenie z butelką szkockiej.

Co do licha się tu działo? Skąd taki wybuch nienawiści z tak niewinnego powodu?

Po raz pierwszy Mahoney poczuł, że znajduje się w obecności kogoś obcego. Niebezpiecznego obcego.

Imperator kontynuował, jakby nic niezwykłego się nie stało, gdy Mahoney napełniał szklanki szkocką.

- Gdy skończyły się wojny tahnijskie - rzekł Imperator - dług, jaki zaciągnęliśmy, był zadziwiający. Ale miałem dobry, możliwy do spełnienia plan, jak poradzić sobie z nim bez konieczności ponoszenia zbyt wielu wyrzeczeń. Niestety...

Nie musiał kończyć. Mahoney wiedział całkiem dobrze, że Imperator nigdy nie miał szansy wprowadzenia tego planu w życie.

- Mimo wszystko, mógłbym poradzić sobie z tym - powiedział Imperator - ale dołożyła się jeszcze i Rada. Mój Boże, ileż oni wydali! Przy tym żadna z tych rzeczy nie była warta ani grosza.

Nie udało się odzyskać najmarniejszego kredytu, nie mówiąc nawet o maleńkim polepszeniu koniunktury.

Imperator oparł się w swoim fotelu i położył nogi na biurku.

- Dług z wojen tahnijskich - mówił dalej - stanowi tylko jedną dziesiątą obecnego deficytu.

Oceniam, że deficyt, przy utrzymywaniu tak jak teraz mocno zaciśniętego pasa w wydatkach, podwoi się w ciągu jednego roku imperialnego.

Mahoney nie był człowiekiem żadnym pieniędzy. One go nie interesowały. Wielkie sumy kłóciły się z jego rozumieniem moralności. Z całą pewnością nie rozumiał ekonomii. Ale to zrozumiał.

- Problemy Imperium osiągnęły krytyczny poziom około czwartego roku rządów Rady - kontynuował Imperator. - W tym czasie wpływ braku AM2 osiągnął punkt, z którego nie ma odwrotu. To puściło w ruch piekielną spiralę. Olbrzymi, cholerny wir wciągający nas w dziurę. Za każdym razem, gdy system ekonomiczny załamuje się i pada, pociąga za sobą inne w głąb tej trąby powietrznej. Teraz ten bałagan rządzi się własną logiką, ma własne zaopatrzenie.

Jeżeli naprawdę szybko nie podejmę jakiejś drastycznej akcji, to nawet najzdrowsze części mojego imperium zostaną w to wciągnięte.

Imperator opróżnił swoją szklankę, postawił ją na biurku i zwrócił na Mahoneya swoje

przerażające oczy. Krótkie mrugnięcie... i zrenice znówu podjęły wędrówkę.

Mahoney poczuł nagle, że jest manipulowany. Fakty przedstawione przez Imperatora wydawały się zbyt proste. Nader jasne: x razy y musi absolutnie równać się temu, co zaraz powiem.

- To jeszcze nie wszystko - powiedział Imperator - ja sam też jestem spłukany.

Grozi mi bankructwo. Jak wiesz, Ianie, w przeszłości czasami używałem moich prywatnych zasobów, aby pomóc Imperium w przebyciu wyjątkowo trudnych chwil. Ale Rada zrabowała także i te fundusze.

Teraz nie mamy nawet moich pieniędzy, aby podźwignąć się z upadku.

- Co pan planuje, sir? - spytał Mahoney.

Jego ton brzmiał neutralnie.

- Muszę mocno ukrócić wodze wszystkim, Ian - powiedział Imperator. - W całym Imperium mamy tysiące różnych przywódców, działających na tysiące różnych sposobów. - Napelnił w końcu swoją szklankę i pociągnął łyk. - A więc zacznijmy od tego, że potrzebujemy uniformizacji.

Po drugie - i najważniejsze - musimy natychmiast położyć koniec wszelkim konfliktom. Patrz, co się stało w Mgławicy Altaic, na przykład. Nasz dobry i wysoce kompetentny przyjaciel, ambasador Sten, dostaje szalu od kłopotów, jakie sprawiają mu tamte istoty. To taki rodzaj niestabilnej sytuacji, jaki wiedzie ku totalnemu zniszczeniu, takiemu, jak przy wojnach tahnijskich.

Wieczny Imperator pokręcił głową.

- Mówię ci, Ian, jedyny sposób, jaki może nas wyprowadzić z tej dżungli to ten, że wszyscy pójdą za jednym przywódcą. I moim zdaniem to właśnie ja powinienem być tym przewodnikiem.

Chcę wyrzucić pośredników, Ian. Od tej chwili tylko ja dowodzę. - Wzruszył ramionami. - Inaczej możemy wszyscy poddać się i pójść do domu na piwo. Niestety, nie ma żadnego innego domu.

- A co ja mam z tym wspólnego, sir? - spytał Mahoney.

- Chcę, abyś poprowadził cały ten cyrk - powiedział Imperator. - Chcę, abyś objął dowodzenie przy wprowadzaniu w życie mojego planu.

- To znaczy, Wasza Wysokość?

- Moi posłowie przedstawią pierwszą część tego planu w parlamencie w przyszłym tygodniu. Mam zamiar przedłożyć propozycję nie do odrzucenia wszystkim tym prowincjom, a mianowicie zachęcić je do porzucenia niezależności. Zostanie im zaoferowana szansa na otrzymanie statusu dominium mojego Imperium.

- Przepraszam, sir - wtrącił się Mahoney - ale dlaczego mieliby to zrobić?

Dlaczego mieliby zrezygnować z władzy? Jak sam pan mnie uczył, to przeczy naturze większości istot.

- Z pewnością. A więc będzie i marchewka. Tak, jak i kij. Najpierw wykorzystam ich chciwość. Jako prowincje, płacą pełną cenę za AM2. Poza tym jest ona dla nich ściśle racjonowana. Jako dominia nie tylko zapłacą mniej, ale też zapłacą i niższe podatki.

- A jeżeli odmówią, sir? Co z kijem?

Wieczny Imperator uśmiechnął się złowieszczo.

- Och, zacznę od tego, że ogłoszę dziesięcioprocentową podwyżkę podatku za AM2 dla wszystkich prowincji. A także ściślejsze racjonowanie. Co - jeżeli tylko pozwolimy działać prawom ekonomii - spowoduje podwojenie ceny AM2 na czarnym rynku.

Gardłowy śmiech. Mahoney zadrżał.

- A to tylko początek - powiedział Imperator. - Mam też kilka innych sposobów na pogrozenie palcem. Jako doświadczony kreator królów stałem się też całkiem niezły w ich detronizacji.

- Wracając do mojego początkowego pytania, sir. Co ja mam z tym wspólnego?

Mahoney nie zapomniiał, że jego prawdziwe pierwsze pytanie brzmiało: „Jak mogę pomóc, sir?”

- Chcę, abys był moim przedstawicielem w prowincjach. W podzięce zamierzam dołożyć ci jeszcze więcej medali na piersi. Podniesie to twój prestiż w oczach tych głupców, których odwiedzisz, ponieważ życzę sobie, byś złożył wizytę wszystkim głównym władcom prowincji.

Przypochlebiaj się im. Oczaruj swoim irlandzkim wdziękiem. Ale możesz też wykrecić im prawą rękę, jeśli zajdzie taka konieczność. Po prostu bądź stanowczy, Ian. Dawaj miłe obietnice. Upewnij się przy tym, że doceniają wagę kija, który ci daję.

- Czuję się głęboko zaszczycony, sir - szybko powiedział Mahoney. - Ale jestem najgorszym człowiekiem do takiego zadania. Okazałbym się nielojalny, przyjmując tę propozycję.

Takie ustalenia nie byłyby w pańskim interesie, sir.

Imperator zwrócił ku Mahoneyowi chłodną twarz.

- Dlaczego, Ian?

Pytanie było łagodne, oczy patrzyły pusto ponad ramieniem Mahoneya.

- Ponieważ sądzę, że to zły pomysł - wybuchnął Mahoney. - Zawsze prosił pan, żebym mówił szczerze, a ja zawsze spełniałem tę prośbę. Nie chcę tego zadania, sir.

Ponieważ nie wierzę w to.

- A w co tu można nie wierzyć? To plan. Nie... religia.

- Po pierwsze, sir, w mojej ocenie kij okaże się bardziej potrzebny niż marchewka. Będzie pan musiał większości z nich narzucić siłą status dominium, sir. A oni się przeciwstawia. To znaczy, że pańskie rozkazy będą spełniane co najmniej opieszale. Automatycznie naraża to wszystkie pańskie akcje na porażkę. Taka właśnie, sir, jest moja skromna opinia.

Jego profesjonalizm podpowiadał mu, że centralne zarządzanie się nie sprawdza.

Jeżeli nikt nie ma nic do podziału, to po co ryzykować porażkę? A postawa „niech się tym zajmie góra” rozwija się bardzo szybko. Plan ten obrażał też demokratyczną, irlandzką duszę Mahoneya.

Z jego punktu widzenia najlepiej było, jeśli każdy rządził się własnymi prawami.

Właśnie to w Imperium najbardziej kochał w przeszłości. Bywały kłopoty, jasne. Ale przeważnie znajdowało się dość miejsca na to, aby robić różne rzeczy na różne sposoby. Współistniały obok siebie geniusz i głupota.

Teraz zaczynał się zastanawiać nad swoim poprzednim osądem. Jak wiele było tego miejsca? Tak naprawdę?

- Zgodziłbym się z tobą w normalnych czasach, Ian - powiedział Imperator. - Mogę wyliczyć wiele przykładów z historii.

- Na przykład przejęcie starej, ziemskiej Kompanii Wschodnich Indii przez koronę brytyjską, sir - stwierdził Mahoney. - To jeden z ulubionych pana przykładów, sir. Jako lekcja porażki, jak przypuszczam.

Imperator roześmiał się. Mahoney pomyślał, że ten śmiech zawiera w sobie szczyptę dawnej iskry. Pokrzepiło go to nieco.

- No dalej, Ian. Uderzaj we mnie moją własną logiką. Niezbyt wielu ludzi odważa się na to.

To ten rodzaj dyskusji, który powoduje, że myśli krążą żywiej. Zabezpiecza mnie przed rutyną.

Pochylił się nad biurkiem, nieco zniżając głos.

- Mówię ci, Ian, że ta załoga, którą tu mam, jest w większości niekompetentna.

Tęsknię za starymi czasami. Kiedy ty i ja, i jeszcze kilka innych utalentowanych osób - jak Sten, na przykład - wprawiało wszystko w ruch. Kocham ten rodzaj politycznej żonglerki.

Imperator usiadł prosto. Dokoła niego rozprzestrzeniał się chłód.

- Niestety... to nie jest już możliwe. I nie mówię tylko o obecnym kryzysie.

Sprawy stały się zbyt duże. Zbyt skomplikowane. Demokratyczna forma rządów pasuje do szczepu.

Maksimum dwadzieścia czy trzydzieści istot. Każda osoba ponad tę liczbę osłabia efektywność ideału.

Nadszedł czas na nowy porządek, mój przyjacielu. Uniwersalny porządek. Pożądane jest nowe myślenie.

Mahoney nie umiał się powstrzymać.

- Nie jestem pewien, czy rządy przez oświeconego monarchę odpowiada definicji „nowego myślenia”, sir - wybuchnął.

Imperator pokręcił głową.

- Masz rację, ale się mylisz, Ian. Zapominasz, że jestem... nieśmiertelny.

Utkwił swój wzrok w Ianie. Jego oczy jak zwierciadła odbijały obraz Mahoneya.

- Nie umiem wyobrazić sobie czegoś bardziej doskonałego w sztuce rządzenia, jak posiadanie jednego, łaskawego władcy, który utrzyma się u steru do końca historii.

Imperator nadal wbijał oczy w Mahoneya, wierząc w nim dziurę.

- Czy widzisz to, Ian? Teraz, kiedy ci wszystko wyjaśniłem? Czy widzisz, jakie to piękne?

Zahuczał interkom. Mahoney został chwilowo wybawiony od odpowiedzi. A potem, po rozmowie Imperatora, odroczenie stało się permanentne. Iana uratowały wieści najgorszego rodzaju.

Imperator warknął jakiś rozkaz i ze złością przerwał połączenie. Odwrócił się do Mahoneya.

- Nastąpiła katastrofa w Mglawicy Altaic, Ianie - powiedział. - To znaczy, żołnierze Imperium zginęli w sposób najgorszy z możliwych.

Zwrócił twarz ku oknu i spojrzał na zewnętrzne otoczenie pałacu Arundel.

Milczał przez dłuższą chwilę, rozmyślając.

W końcu powrócił do Mahoneya.

- Zapomnij o tym, co przedtem mówiłem - stwierdził. - Później pokłócimy się na ten temat.

Mam dla ciebie coś znacznie ważniejszego.

- Tak jest, sir - powiedział Mahoney.

Wiedział, że tym razem nie będzie mógł odmówić.

## Rozdział 30

Rozkopywanie koszar Gwardii zajęło trzy ponure dni. Pięciuset osiemdziesięciu żołnierzy było w środku, kiedy wybuchła zawartość ciężarówki.

Czterystu trzydziestu siedmiu zmarło. Stu dwudziestu jeden zostało rannych - większość tak bardzo poważnie, że przeprowadzono mnóstwo skomplikowanych amputacji, a mimo to zespół chirurgów ambasady wątpił, czy więcej niż połowa pozwoli na przywrócenie sprawności kończyn.

Dwudziestu trzech pozostało nietkniętych, ale tylko fizycznie.

Na początku było ich dwudziestu sześciu. Trzech żołnierzy wykopano z gruzów bez żadnych widocznych obrażeń. Jeden z nich wstał, uśmiechnął się, powiedział: - Dzięki, łajzy, kto nalewa? - przeszedł pięć kroków i padł martwy. Pozostali po prostu umarli cicho w szpitalnych łózkach. Dwudziestu trzech, którzy przeżyli, stanowiło oczywiste przypadki psychiatryczne. Nikt nawet nie wiedział - ani nie podał - jak wielu cywilnych pracowników zginęło podczas wybuchu.

Minęły trzy dni, zanim ostatni krzyk, zagubiony pośród masy gruzu, która kiedyś była budynkiem pałacu, zmienił się w ciszę i śmierć.

Batalion Trzeciej Dywizji Gwardii przestał istnieć. Otho znalazł flagę batalionu, pogrzebaną niedaleko ciała pułkownika Jerety, i przekazał ją do wysyłki do macierzystej jednostki. Ten batalion zostanie być może zrekonstruowany po bardzo długiej przerwie. A może nigdy już nie zaistnieje na nowo.

Ranni i chorzy gwardziści, którzy przebywali poza koszarami, zostali zaokrętowani na „Victory” i ewakuowani.

Sten ustanowił Masona dowódcą operacji ratunkowej, a sam spędził tyle czasu, ile mógł, kopiąc wraz z innymi. Potem kazał Masonowi zabrać statek na Primę i wysadzić tam poszkodowanych. Przesłał na Primę kopię tego rozkazu, nie troszcząc się zbyt wiele o to, czy zostanie zaaprobowana. Nieco zdziwił się tym, że otrzymał zgodę - i krótki, zaszyfrowany dodatek mówiący o tym, że natychmiast dostanie wsparcie.

Następny komunikat z Primy zapowiadał medale. Niektóre z nich przypadły Gurkhom czy Bhorom, którymi dowodził Sten. Inne przysły dla pułkownika Jerety i wysokich oficerów batalionu Gwardii. Gdyby okazało się, że owi oficerowie żyją, mieli rzecz jasna zostać zwolnieni ze służby i w szybkim czasie zastrzeleni za niewybaczalną niekompetencję.

Sten, Kilgour i Mason także otrzymali nagrody. Były to dla nich medale bez znaczenia, nadające się wyłącznie do tego, aby je wrzucić do szuflady i zapomnieć.

Katastrofę należało dokładnie przeanalizować dla wyciągnięcia wniosków, a nie upamiętniać wstążką i metalem. Ale taka jest natura wojska. Sten miał już zresztą inny problem.

Wybuch, który zniszczył oddział Gwardii, zdawał się stanowić katalizator. Jochi wpadła w samobójczy szal.

Imperium stało się nagle wrogiem Mgławicy Altaic. Imperium potrzebuje nauzki.

Imperium nie może się wtrącać.

Sten podziwiał odrobinę tę kampanię. W pewnym stopniu było to spontaniczne - wieśniacy nigdy nie potrzebowali szczególnej zachęty do tego, żeby robić pogromy - ale w gruncie rzeczy zostało starannie wyreżyserowane.

Z początku Sten pozostawał na obronnych pozycjach: wysyłał do doktora Iskry i do tego, co Iskra jak na urągowisko nazywał rządem, praworządne protesty; udzielał właściwych odpowiedzi, usiłując utrzymać dziennikarzy w stosownej odległości... i z doskoku utrzymywał ambasadę w działaniu, a personel przy życiu.

Natychmiast ogłosił Jochi światem wysoce niebezpiecznym i poinformował wszystkie imperialne systemy gwiazdne, że każdy obywatel odwiedzający Mgławicę Altaic czyni to na własne ryzyko. Nalegał, aby Prima wymagała wizy dla każdego, kto ma zamiar przybyć do mgławicy.

Wysłał zespoły dobrze uzbrojonych Gurków i Bhorów, aby odnaleźli wszystkich obywateli Imperium i zapewnili im bezpieczną eskortę do ambasady.

Większość gości z Imperium - dzięki jakimś nie pochodzącym z Altaic bogom - to były profesjonalne istoty interesu, biegłe w wyczuwaniu kłopotów i usuwaniu się im z drogi. Ale zawsze znajdowały się jakieś wyjątki: jakaś starsza para, chcąca koniecznie zobaczyć tę część świata, której jeszcze nigdy nie widziała; młodzi w podróży poślubnej, którzy najwyraźniej wybrali Jochi z jakiegoś starego folderu. Sten uratował starszych ludzi, ale nie zdążył na odsiecz młodym.

A potem sama ambasada znalazła się w oblężeniu.

Najpierw były to małe grupki Jochiańczyków, i każda osoba czy pojazd, usiłujące dostać się na teren ambasady, były obrzucane kamieniami. Sten skonsultował się z Kilgourem.

Tak, zgodził się Alex. Wygląda na to, że sytuacja pogarsza się.

- A więc pokażemy im, jak zrobić rzetelną zawieruchę.

- Jasne, szefie.

Kilgour zabrał się do pracy, przygotowując odpowiedź. Mógł to już teraz robić przez sen.

Nie można powiedzieć, aby to był pierwszy raz, kiedy on i Sten zostali zaatakowani przez „cywilny tłum” na „pokojowo nastawionej planecie”. Mieli przygotowany bardzo skuteczny schemat oporu.

Tłum rósł. Zamiast odłamków skał rzucono teraz pociskami zapalającymi i napelnionymi gwoździemi granatami domowej roboty, skonstruowanymi z materiałów wybuchowych niższego stopnia.

Zgodnie z tym, co twierdził zausznik doktora Iskry, J'Dean, ci ludzie reprezentowali sobą sprawiedliwy gniew Jochi. Gniew na co? Sten nie zadawał sobie nawet trudu, aby o to zapytać.

J'Dean powiedział mu, że doktor Iskra, który przypadkiem jest właśnie bardzo zajęty, z zadowoleniem przyśle żołnierzy, aby oczyścili teren, jeżeli tylko Sten wyrazi takie życzenie. Jasne, pomyślał Sten. Nastąpi kolejna masakra, za którą natychmiast, bez żadnych wątpliwości zostanie obarczony winą, bo przecież wiem, że ta rozmowa jest nagrywana.

- Nie - powiedział uprzejmie Sten. - Imperium nie zrobi krzywdy niewinnym Jochiańczykom, swobodnie wyrażającym swoje polityczne opinie. - Przerwał połączenie.

Pomyślał, że nawet doskonali specjaliści Iskry od montażu nie zdołają zmienić tego w

nakłanianie do rzezi.

A potem do akcji ruszyli strzelcy. Broń dalekiego zasięgu znalazła się w rękach istot, które przeszły jakiś niewielki trening. Jedna z sekretarek została postrzelona w nogę, a inna urzędniczka oślepla na pewien czas, kiedy jakiś zabłąkany szrapnel odłupał ze ściany kawał tynku, który trafił ją prosto w twarz.

I to wystarczyło. Sten rozkazał, aby cały cywilny personel siedział w środku, a wszelkie ruchy podczas godzin dziennych miały być ograniczone do niezbędnego minimum.

Dotyczyło to także żołnierzy.

Następnym etapem nie mogło okazać się nic innego, jak tylko bezpośredni atak.

Bhorowie mieli teraz dużo zajęcia, wypełniając polecenia Kilgoura. Te potworne istoty uważano zwykle za barbarzyńskich morderców - oczywiście słusznie - ale byli także znakomitymi handlowcami i pilotami. Każdy z nich miał, jakby genetycznie przekazywany, talent urodzonego mechanika. Potrafili na przykład zespawać wszystko, po materiały radioaktywne, ręcznie, bezpiecznie, z minimalną osłoną. Albo naprawić zepsuty silnik, którego nigdy przedtem nie widzieli, nie mając żadnych narzędzi oprócz zestawu dla niedzielnego majsterkowicza i godzinę na wykonanie zadania.

Ambasadą posiadała już dwa starsze uzbrojone pojazdy do walki z tłumem. Zdjęto z nich karabiny i Alex uzbroił wieżyczki na nowo według swojego własnego wyboru. Cztery pojazdy ambasady, włączając w to błyszczące luksusem ceremonialne grawisanie, jakie Sten odziedziczył po swoim poprzedniku, zostały rozebrane, wyposażone w improwizowane uzbrojenie i te same urządzenia, co pojazdy do uciszania zamieszek.

Cztery z ciężarówek do przewozu Gurkhów także zmodyfikowano, przymocowując do maski ciężkie, żelazne ostrza w kształcie litery V. Te pojazdy ustawiono obok jednej z ukrytych furtek ambasady.

Sten i Alex konstruowali i maskowali bomby, potem umieścili je na poziomie gruntu w zewnętrznych murach kompleksu budynków ambasady.

Tej nocy Lalbahadur Thapa, którego Sten mianował komisarzem, wziął dwie nieprzerobione ciężarówki i pluton Gurkhów. Wyjechali przez jedną z bocznych bram, aby pobuszować i rabować w centralnym składzie. Wrócili bez żadnych strat, wypełniwszy swą misję, chociaż, jak powiedział Thapa Stenowi, nigdy przedtem nie widział tak wielkiego składu z tak niewielką ilością towarów.

- Jak ci Jochiańczycy mogą znajdować tak wiele czasu na to, aby mordować swoich sąsiadów, a tak mało na to, aby zatroszczyć się o własne pożywienie i dach nad głową?

Sten też tego nie wiedział.

Kilgour odwołał dwunastu członków ochrony ambasady do zadań specjalnych.

Uzbrojono ich w kradzioną broń i ochrzczono, dzięki specyficznemu poczuciu humoru Alexa, Drużyną Kocurów.

Do świtu zdołano przygotować ambasadę. Sten sądził, że szturm nadejdzie któregoś dnia pomiędzy południem a zmierzchem - zorganizowanie natarcia, sprzętu i zmobilizowanie tłumy wymaga nieco czasu.

Gurkhowie i Bhorowie stali w pogotowiu bojowym, na wszelki wypadek, gdyby tłum przedostał się przez bramy czy przeszedł przez mur, albo gdyby ich interwencja okazała się konieczna.

Pozostały dwa zadania do wypełnienia.

Alex zatroszczył się o pierwsze - zrobił ostateczny przegląd stanu bezpieczeństwa ambasady,

koncentrując się na wszystkich konstrukcjach poza jej obszarem, jakie dawały widok na cały kompleks budynków, i mogły tym samym zostać użyte jako centra dowodzenia.

Wchodziły w grę dwa obiekty - jeden nowoczesny biurowiec, drugi - prawie opuszczony wysoki wieżowiec.

Każdy z nich miał nową antenę komunikacyjną na dachu.

Oznaczono je.

Sind wzięła swoich najlepszych strzelców do ogrodu ambasady i wyznaczono cele.

Zasięg ognia był oczywiście niewielki i miał pozwolić jedynie na to, aby snajperzy upewnili się, że celowniki ich broni nie uległy uszkodzeniu w ostatnim czasie.

Sind cieszyła się z tego, że mieli strzelać pociskami z AM2 i w związku z tym nie musiała przejmować się przeliczaniem, uwzględnianiem różnych zmiennych i innymi bzdurami rodem z epoki kamiennej. Pociski z AM2 szły prosto do celu, nie ulegając żadnym odchyleniom.

Ich broń stanowiły imperialne karabiny snajperskie. Te wyjątkowo śmiercionośne urządzenia to były zmodyfikowane karabiny Willy'ego, używające standardowych naboji AM2. Ale „spłonkę” stanowił nie laser, jak w normalnych karabinach piechoty, ale przebudowany akcelerator linearny oplatający lufę. Wyglądający konwencjonalnie celownik automatycznie ustalał odległość od celu. Jeśli cel zniknął z pola widzenia - na przykład za murem - zasięg ustalano tak długo, aż trafił tam, gdzie snajper wyobrażał sobie wroga, niewidzialnego po drugiej stronie muru.

Wystarczyło dotknięcie spustu, i broń strzelała dookoła rogu.

Sind miała swoją własną, przekonstruowaną broń strzelca wyborowego, wyposażoną we wszelkie znane udogodnienia, od specyficznego spustu do ciężkiej lufy. Jeden z Gurkhów, Naik Ganjabahadur Rai, przystosował ją dla niej.

Sten miał nadzieję, że odgłos strzałów spoza murów ambasady może ostudzić nieco entuzjazm potencjalnych uczestników zamieszek, ale wątpił w to.

Czekali.

Dzień mijał powoli, pośród krzyków, kamieni, butelek i pieśni uderzających w mury ambasady. Było już popołudnie, kiedy Sten poczuł, że tłum został wreszcie doprowadzony do szału i jest gotów do ataku. Trwało to tak długo zapewne dlatego, że dzień był zimny i wietrzny: zła pogoda na niszczenie ambasady.

Przeniósł strzelców Sind na dach. Jedno piętro niżej, chowając się w biurze, z którego wyjęto okna, czekał Alex z dwiema antyrakietowymi drużynami Bhorów.

Wszyscy ludzie Stena odbierali na jednym paśmie, co zwykle owocowało natychmiastowym chaosem w eterze. Ale ponieważ miał do czynienia z wyjątkowo doświadczonymi żołnierzami - Gurkhami i Bhorami, Sten sądził, że zdoła utrzymać bałagan w rozsądnych granicach. Ich komunikatory zostały także nastawione na natychmiastowe przeniesienie się na inną częstotliwość w miarę potrzeby.

- Wszystkie sekcje, wszyscy żołnierze! - zaczął. - Pogotowie bojowe, na tej fali. Dowódcy sekcji, sprawdźcie swoje komunikatory, obie częstotliwości, i meldujcie. Koniec.

Nadawał jak leci, nie miał czasu na kodowanie ani nie było takiej potrzeby.

Jeśli ktoś, kto manipulował tą „spontaniczną demonstracją” miał ochotę posłuchać i zareagować, pasowało to do planów Stena.

Wszyscy sprawdzili swoje komunikatory i zameldowali się na czas, oprócz jednego dowódcy sekcji, który musiał wymienić dwa nadajniki. Może kiedyś, pomyślał Sten, zostanie wynalezione



takie radio, które będzie działać bez zarzutu. Ale jeszcze nie teraz.

Sten przesunął na miejsce opartą na statywie lornetę o dużym zasięgu i zdecydował, że nadszedł czas, aby sprawdzić, co dzieje się na zewnątrz.

Krzyki. Uderzenia. Błyski. Wrzeszczący podżegacze. Barykady blokujące boczne ulice.

Stłumiony odgłos strzałów z małokalibrowej broni, wycelowanej w nie wiadomo co.

Ambasada została całkowicie otoczona morzem szaleństwa. Tłum falował, ryczał.

Huczy jak wiatr nad Miejscem Dymów, pomyślał Sten, a potem zapomniał o tym.

Całkiem niezły tłum, stwierdził. Jakies... zobaczymy. Oceniał, że było tam ponad sto tysięcy istot.

- Skąd wiesz, że jest ich akurat tylu? - zdziwiła się Sind ze swego stanowiska odległego o dwa metry.

- To łatwe - powiedział. - Po prostu policzyłem ich nogi i podzieliłem przez dwa. Skup się, Sind.

Cel. Alfa. Trzynasta trzydzieści. Pięćset metrów. Brawo. Tysiąc pięćset.

Czteryście - poprawka, trzysta siedemdziesiąt pięć. Charlie. Tysiąc sześćset, czterysta.

Jeszcze jeden - Delta.

Dziewięćset, sześćset metrów. Wygląda jak wielki mózdzierz. Patrz na to, proszę.

Wyłączam się.

Strzelcy meldowali szybko. Wszystkie cele, jakie zasugerował, były poza kłębiącym się tłumem. Szukał istot stojących na jakimś podwyższeniu, przemawiających, organizujących, podnoszących temperaturę tłumy.

Ryk stawał się coraz głośniejszy. Teraz, pomyślał Sten. Jeżeli ci mówcy to po prostu gniewni obywatele, zaniepokojeni niesprawiedliwością, to za kilka chwil powinni wykrzyczeć sobie drogę na czoło tłumy.

Ale oni nie ruszali się.

A więc to profesjonalni podżegacze. Tacy, których ci, co montowali ten bal maskowy, nie mieli zamiaru poświęcać, jeśli kule zaczną świstać dookoła. Albo po prostu tchórze, a wtedy niemal mi przykro z powodu tego, co zaraz się stanie.

- Alex.

- Tak, stary.

- Jeśli ty weźmiesz tamtych dwóch, my weźmiemy te gaduły.

- Tak jest, szefie. Masz ochotę usłyszeć coś więcej na temat tego, co wykryłem?

- Nie... tak.

- Mam małego cykacza ze sobą. Tego, co jest połączony ze sprytnym urządzeniem, które mamy tam, daleko.

Sten pomyślał chwilę... A, tak. Alex mówił o detektorze, połączonym z pluskwą w pięknym pistolecie, znalezionym w tamtym arsenale z bocznej alejki.

- Przypomniałem sobie.

- Tak, jak mówiłem. Tamten gaduła go ma.

A to skurwiel, pomyślał Sten. Czyli miał rację. Dobrze mu się zdawało, że ów „motłoch” został wykreowany, poruszony i kierowany. I ten, kto stał u steru tej operacji, zaplątany był także w mały, prywatny terroryzm, zdolny do wysłania kamikadze w celu zamordowania ponad czterystu gwardzistów. Sten czuł się moralnie uprawiony do takiego sądu, chociaż nie miał na to wystarczającego poparcia w materiałach wywiadu.

- Jesteś wyłączony z operacji, Alex. Nie zgub tego cykacza.

- Tak sądziłem, że właśnie to powiesz, szefie. I chciałbym, żebyś czuł się zobowiązany w stosunku do mnie, że aż tak się poświęciłem.

Wyłączam się z sieci i będę pilnował sytuacji z centrali łączności. Odbiór.

- Sind? - Sten przysłonił dłonią mikrofon komunikatora.

Słyszałam.

Poprzez swój mikrofon nadała do sekcji snajperów:

- Tu Snajper Sześć. Delta nie jest celem. Powtarzam, Delta nie jest celem.

Odbiór.

Ten cel - ta istota - którą Sten dostrzegł z dala od falującego tłumu i uważał za dowodzącą całą hordą nosiła „nadziejany” pistolet. Chociaż bardzo chciał dorwać ją teraz, musiał na to poczekać.

- Idą!

- Nieznana jednostka! Podaj swoje dane!

- Przepraszam. Centrala główna.

Sten przesunął lornetę. Rzeczywiście, gromada ludzi podchodziła do głównej bramy.

To błąd z ich strony. Sten wydał rozkaz.

Gaz łzawiący ze świstem wydostał się z emitorów umieszczonych na szczycie muru.

Z gazem zmieszano bardzo cienki strumień barwnika w stosunku dziesięć do jednego.

Barwnik był żółty i czepiał się wszystkiego, czego tylko dotknął. Zastosowano to na wypadek, gdyby Sten albo ktoś inny chciał nieco później zidentyfikować kogoś z napastników, jako że trzeba było co najmniej siedmiu kąpieli, aby zeskrobać tę farbę.

Gaz nie powinien spowodować szczególnych szkód, raczej służył jako ostrzeżenie, że może zdarzyć się coś gorszego.

Pierwsza fala, oślepiąca, cofnęła się nieco. Potem nowi, co śmielsi napastnicy ruszyli do przodu. Tym razem wymachiwali nożami, zaimprovizowanymi włóczniami i zapalającymi butelkami.

Sten nacisnął guziki na tablicy detonacyjnej ustawionej przed sobą i zdetonował bomby skonstruowane przez niego samego i Alexa. Nie tyle bomby, co raczej puszki z płynem pod wysokim ciśnieniem. Zamaskowano je jako kosze na śmieci, latarnie i wszystko to, co mogło stanowić element normalnej ulicy. Każda z bomb zawierała co najmniej dwadzieścia litrów oleju.

Chodzenie po śliskich ulicach wokół ambasady stało się dość trudne.

Potem uderzyły Drużyny Kocurów, wybiegające z szybko otwartych i natychmiast zamkniętych furtek ambasady.

Były to dwuosobowe oddziały: jeden człowiek z karabinem, któremu kazano nie używać go, chyba że zajdzie absolutna konieczność, a drugi z wielką paką tego, co zostało zrabowane w składzie.

Łożyska kulkowe. Wiele, wiele łożysk kulkowych łapanych całą dłonią i rzuconych z całej siły.

Łożyskowa pułapka na myszy.

Kocury.

O wiele trudniej być wściekłym buntownikiem, kiedy trzeba siedzieć albo leżeć.

Tłum zawahał się. Pierwsze szeregi nie miały już pewności, co się dzieje, a tylne chciały się tego dowiedzieć i wziąć udział w rabowaniu, które przecież miało się rozpocząć lada chwila.

Furtki ambasady otworzyły się znów, wypuszczając dwa pojazdy do likwidowania zamieszek i cztery inne, zmodyfikowane przez Stena. Wystrzeliły.

Woda.

Pod średnim ciśnieniem. Nie wystarczyłaby nawet do ugaszenia pożaru.

Kilka pierwszych szeregów tłumu zdecydowało, że chce do domu. Było zimno.

Sten ponaglił ich nieco, wypuszczając z ambasady drugą falę ciężarówek. Ludzie krzyknęli i zanurkowali, usuwając się z drogi wielkich ostrzy, dopóki nie zorientowali się, że pojazdy atakują na wysokości trzech metrów.

Nie zostały pomyślane jako broń - leciały dalej z dużą prędkością, kierując się w stronę barykad na bocznych ulicach. Uderzyły w nie raz, wycofały się nieco, uderzyły jeszcze raz, usuwając z drogi spiętrzone gruzy i cywilne pojazdy. Ulice były już teraz bardzo czyste.

Ciężarówki zawróciły i pospieszyły do ambasady. Bez strat. Sten westchnął z ulgą - to stanowiło najbardziej niebezpieczną część planu, najbardziej groziło stratami własnymi.

Tłum falował niezdecydowanie.

Atak ciężarówek stanowił dowód humanitaryzmu Stena, planującego ofiarowanie „swojemu” tłumowi tylnego wyjścia, po wprowadzeniu w życie następnej części swych zamierzeń.

On też chciał, żeby poszli do domu.

- Teraz!

Zaczęli ginąć ludzie.

Palce Bhorów naciskały na spust, i rakiety wystrzeliły z wyrzutni. Były to pociski samonaprowadzające, nie mogły chybić. Oba skierowano w główny cel: jeden na najwyższe piętro zrujnowanego wieżowca, drugi w poddasze biurowca.

Istoty, które nie miały zamiaru uczestniczyć osobiście w prawdziwej walce, ani ryzykować bezpośredniego zagrożenia, miały ledwie kilka sekund na mrugnięcie. Dwie dymiące smugi dotarły do celu i rakiety wybuchły.

Zahuczała fala uderzeniowa... i inne palce nacisnęły na spust.

Alfa... Brawo... Charlie...

Uliczni mówcy także zginęli, nie mając nawet czasu na to, aby spojrzeć w górę i dostrzec chmurę dymu śmierci unoszącą się z legowiska ich przełożonych.

Tłum zamarł.

Bramy ambasady otworzyły się.

Lamenty, wrzaski, krzyki zamilkły.

Nastąpiła ostateczna cisza.

I nagle rozległ się miarowy stukot butów na gruzowisku.

Sten, otoczony przez dwudziestu Gurkhów, wymaszerował przez bramę ambasady.

Wszyscy mieli w rękach kukri, te wielkie, długie na pół metra zakrzywione noże, gotowe do użycia, trzymane przy piersi pod kątem czterdziestu pięciu stopni.

Przeszli dziesięć kroków do przodu. I bez rozkazu stanęli.

Dziesięciu Bhorów, trzymających karabiny w pozycji do strzału, wyszło i stanęło, ubezpieczając flanki. Także trzasnęli obcasami.

Rozległ się pomruk wśród tłumu. To byli mordercy. Mali, brązowi mężczyźni, którzy nie brali jeńców, którzy, jak opowiadały legendy, zabijali i zjadali własne dzieci, jeśli nie przejawiały w dostatecznym stopniu morderczych instynktów. Wszystkie te bzdury, jakie najbardziej wprawni na Jochi propagandyści rozpowszechniali o nepalskich wojownikach, bzdury, na jakie Gurkhowie nigdy nie zwracali uwagi, wypłynęły na nowo. Ci ludzie byli nawet straszniejsi niż opowiadały te historie. To nawet nie byli ludzie, tylko mordercy, którzy wchodzili z długim nożem, i wychodzili, nie zostawiając za sobą nic oprócz krwi i ciszy.

Znowu bez żadnego rozkazu, Sten i Gurkhowie zrobili jeden krok do przodu.

Stanęli.

Następny krok.

I następny.

Jeszcze pięć kroków, i zbliżą się do pierwszych szeregów.

Motłoch załamał się. Ten tłum, jeszcze chwilę temu gotów zrównać ambasadę z ziemią i rozerwać na sztuki wszystkie żywe, znajdujące się tam istoty, zmienił się w gromadę wystraszonych dusz, zainteresowanych jedynie znalezieniem sobie kryjówki, zanim komuś stanie się krzywda.

Wyjąc, krzyżąc, rozbiegli się na boki, z daleka od noży, jak najdalej od terroru.

Sten i Gurkhowie nawet nie mrugnęli okiem.

Sten lekko skinął głową i Gurkhowie, jednocześnie, odwrócili się. Równo odmierzanym krokiem weszli z powrotem na teren ambasady. Bhorowie zaczekali, aż wejdą, potem zarzucili broń na ramię i poszli za nimi.

Brama zatrzasnęła się.

Sten podszedł do muru, upewnił siebie nie można zobaczyć go z zewnątrz, i oparł się z ulgą.

Mało brakowało, pomyślał.

Komisarz Lalbahadur Thapa podszedł do niego, stanął na baczność i zsalutował.

Sten oddał salut.

- Bardzo dobrze.

- Nie bardzo dobrze - powiedział Gurkha. - Każdy może wystraszyć owce. Albo dzieci.

Śmierć Gwardii Imperialnej pozostała niepomszczona.

Sten także spochmurniał.

- Dziś wieczorem - obiecał. - Dziś wieczorem albo jutro. I nie będziemy się bawić w dziecięce gry, koniec zabawy.

Tak naprawdę trzy noce minęły, zanim poruszająca się plamka, która była oznakowanym pistoletem, stanęła w miejscu.

Rozkazy operacyjne Stena były ustne, bardzo krótkie, nie zapisano ich w żadnych aktach.

Dwudziestu Gurków. Ochotnicy. Gotowi do specjalnych zadań o dwudziestej trzeciej.

Tylko broń krótka. Ubranie koszarowe.

Alex uniósł brew na to ostatnie: dlaczego nie maskujące kombinezony?

- Nie chcę, aby ktokolwiek zastanawiał się nad tym później - powiedział krótko Sten. - To rzeź pod nadzorem, a nie prywatna zemsta.

Na ochotnika zgłosił się, rzecz jasna, cały oddział Gurków.

Ośmiu Bhorów. Sami doskonali piloci. Cztery ciężarówki. Podstawowa broń.

Sind powiedziała, że cała jej drużyna chce iść. Zaczynając od niej samej, dodała.

Sten nic nie mówił o naturze owego specjalnego zadania. Najwyraźniej nie musiał.

Żołnierze zebrali się o dwudziestej drugiej. Na zewnątrz niebo było częściowo zasłonięte, czarne chmury cwałowały poprzez oblicza czterech aktualnie widocznych księżyców.

Nie było żadnych, zwyczajnych dla Gurków, okrzyków przed bitwą. Wiedzieli. Tak, jak wiedział skądś każdy w ambasadzie. Kantyny i korytarze opustoszały.

Sten i Alex poczernili twarze, założyli kombinezony i sprawdzili broń. Sten miał kukri, swój nóż i pistolet. Alex zaś rewolwer i stalowy pręt o długości metra, który zawiesił na taśmie.

Alex wszedł do pokoju łączności, aby po raz ostatni spojrzeć na cel - mieli nie tylko umocowany

w pistolecie nadajnik, ale też posłali cztery „nietoperze” latające w tamtej okolicy i osiem innych, uziemionych w celach wywiadowczych.

Gurkhowie i ośmiu Bhorów-pilotów zebrało się w garażu ambasady. Sind stała na czele formacji.

Sten odsalutował i wydał rozkaz, aby żołnierze ustawili się do inspekcji.

Gurkhowie wyciągnęli kukri. Paski od ich miękkich kapeluszy ze spuszczonego brzegiem były ciasno zapięte pod dolną wargą, a wzrok utkwiony w nieskończoności.

Sten przeszedł się wzdłuż szeregów. Jedynie formalnie sprawdził jedno czy dwa ostrza.

Oczywiście naostrzono je jak brzytwy.

Wyszedł z szeregów i wrócił do Sind, która kazała schować broń i stanąć w normalnym szyku. Ze schodów zbiegł Alex, z ponurym uśmiechem na twarzy.

- Mamy święto u przyjaciół - oznajmił. - Sensory wyczuwają, że zebrało się piętnaście sępów. Będą bawić się albo radzić, ale wygląda na to, że cała ta cholerna komórka zebrała się razem.

Porozumiewawczy uśmiech Stena był pozbawiony humoru.

Wydał rozkazy operacyjne:

Czterooosobowe zespoły. Po wylądowaniu przemieścić się do wskazanej strefy, czekać na rozkaz do szturm. Nie używać broni, chyba że w przypadku najwyższej konieczności.

I jeszcze:

Żadnych rannych. Żadnych więźniów.

Wymaszerowali do ogrodu, gdzie czekały grawiloty. Bhorowie wślizgnęli się za stery, Gurkhowie wsiedli do pierwszych dwóch - pozostałe miały posłużyć do posprzątania - i ciężarówki uniosły się, kierując się wprost na miasto, do strefy ataku.

Cel leżał w odległości mniej niż dwudziestu minut lotu. Nikt nic nie mówił.

Sten, przewieszając się przez siedzenie prawego pilota, patrzył na wielką mapę na ekranie i mrugającą kropkę, wskazującą pistolet i jego właściciela.

Znalazła się w tym miejscu dwa dni wcześniej, w wielkiej posiadłości otoczonej rozległymi gruntami, na brzegu rzeki tuż powyżej granic Rurik. Kwatera główna? Schronienie?

Sten nie bardzo troszczył się o to. On i Alex przetrząsną to miejsce. Później.

Ciężarówki wylądowały kilkaset metrów od rozległego domu.

Z przodu znajdował się nieco zaniepokojony wartownik i drugi na tyłach. Obaj zostali uciszeni.

Alex sprawdził, czy przy głównym wejściu nie ma czujników lub zainstalowanego alarmu.

Nie było.

Sten wyciągnął swoje kukri i w jednej chwili dwadzieścia jeden innych noży zabłysło w blasku księżyca.

Potem trupi poblask znikł, zakryty przez chmury.

Weszli do środka.

Zadanie zajęło im pięć minut. Nie rozległ się żaden krzyk. Kiedy było już po wszystkim, ciała piętnastu zaszlachtowanych terrorystów i dwóch wartowników zostały ułożone na zaniedbanym trawniku. Sind przeszukała ciała, aby uzyskać coś pomocnego w identyfikacji lub inne informacje przydatne dla wywiadowczych celów. Niewiele znalazła.

Sten i Alex wzięli przenośne latarki z jednej ciężarówki i przeszukali posiadłość, szybko i dokładnie, w sposób, którego nauczyli się podczas pracy w wywiadzie. Żaden z nich nie przemówił nawet słowem.

Alex przerwał ciszę.

- Mam pewne tropy. Ten tłum składał się z wielkich fanów Iskry. Spójrz na całą tę propagandę. Wszystko to samo. Jochi dla Jochiańczyków i tak dalej. Ale przecież nie spodziewałem się, że trafimy na głównego szarlatana.

- Ani ja.

- Cholera. Dlaczego właśnie ten drań nie mógł wyslizgnąć się tego dnia, żeby naradzić się ze swoimi zbirami, a my byśmy go znaleźli.

- To się zdarza tylko w filmach.

- Wiem o tym. Ale można sobie pomarzyć, no nie? Chodź, Sten. Nie ma tu nic dla nas.

Podpalić to wszystko?

- Tak.

Ciała zostały już załadowane na dwie wolne ciężarówki. Sten zaczekał, dopóki nie zobaczył płomieni wewnątrz domu, potem nakazał odwrót.

Siedemnaście ciał miało być wywiezionych nad morze i wyrzuconych daleko od brzegu.

Terroryzm, raz wprowadzony, okazywał się obosiecznym orężem. Ludzie doktora Iskry mogli mieć nieco kłopotów przy rekrutowaniu nowych ogniów po tym, jak członkowie tego jednego znikli w ciemnościach i mgle.

A zabójcy odeszli ze swoimi długimi nożami, pozostawiając za sobą tylko krew i ciszę.

# Rozdział 31

Niewielu socjohistoryków spierałoby się z twierdzeniem, że u szczytu swego panowania Wieczny Imperator dzierżył w ręku więcej potęgi niż jakakolwiek istota przed nim.

Ci którzy go podziwiali - a było ich wielu - pisali, że przez większość swego panowania nie decydował się na nadużywanie władzy. Cynicy powiadali z kolei, że był kluczowy powód, dla którego rządził tak długo: Imperator był idealnym rozjemcą w wielu gorących i krwawych dysputach.

Mówiąc krótko, władza utrzymywała się przy nim tak długo, bo było to najbezpieczniejsze miejsce, gdzie mogła być złożona.

Tak więc gdy Imperator postanowił zdobyć jeszcze więcej władzy i dzierżyć ją wbrew swoim wrogom, stanął przed trudnym zadaniem. Gdy tylko jego intencje stały się jasne, wiedział, że będą mu się przeciwstawiać i despoci, i demokraci.

Wiedział też, że pierwszym celem, jaki wybiorą jego przeciwnicy, będzie podważenie jego kompetencji do rządzenia. Imperator był szczwanym lisem w polityce i rozumiał to, że wszystkie jego plusy mają swoje ciemne strony.

Triumfalne powroty Imperatora po śmierci poruszały biliony jego poddanych.

Wielkie parady i publiczne widowiska nie schodziły ze sceny od blisko dwóch lat. Był bohaterem nad bohaterami.

Ale wszystkie parady mają swój koniec - zwykle w bocznych alejkach, gdzie pełne kolorów flagi okazują się żałobnymi strzępami. Entuzjazm zwycięstwa wkrótce obracał się w nudę szarego codziennego dnia. W końcu zwycięstwo samo w sobie podnosiło niesamowicie wysoko poprzeczkę w rozwiązywaniu problemów. Przeciętna istota stawała się sfrustrowana tym, że jej osobiste kłopoty nie znikają.

Ogół nabierał zwykle wewnętrznego przekonania, że przywódcy o to nie dbają.

Socjohistorycy lubią roztrząsać ten aspekt. Jest to jedna z podstawowych prawd, która wyłazi jak szpilka spod uprawianej przez nich nauki. Dlatego właśnie historycy niczemu mniej nie ufają niż prawdzie.

By zrównoważyć ten podstawowy polityczny minus, Imperator musiał ukazać sukces.

W normalnych czasach rozdmuchałby rozmiary któregoś ze swych przedsięwzięć. Teraz dookoła niego nie było nic oprócz ruin i cierpienia. Żeby mieć pewność, mógł obwinić wojny tahnijskie o ruiny; cierpienia można by tłumaczyć ekscesami Rady.

Niestety, oba te warianty były - według słów mitycznego polityka, Lanslidejona - jak zbyt stare psy na polowaniu.

Imperator nie potrzebował wymówek. Potrzebował pozytywnego działania.

Kiedy zmarł Khaqan, Imperator zobaczył swoją szansę. Oto miał całą mgławicę w ruinie.

Ale można temu jakoś zaradzić. Gdyby się udało, mgławica stanowiłaby obraz całego Imperium w miniaturze: ludzie i istoty niehumanoidalne żyjące szczęśliwie razem, w ciepłym świetle imperialnej dobroćliwości.

Dlatego właśnie wybrał doktora Iskrę, który obowiązki terytorialnego gubernatora pełnił ospale, choć dobrze. Jego książki były politycznie poprawne, pasje utemperowane.

I dobrze go przyjmowano w Mgławicy Altaic. Kiedy dodano jego imię do listy potencjalnych władców, nikt się temu nie przeciwstawiał.

Na liście Jochiańczyków widniał jako pierwszy. Dla Torków plasował się na drugim miejscu - po Menynderze. Tak samo w przypadku Bogazi i Suzdalów, gdzie przed Iskrą byli tylko „ukochani synowie” - archaiczny zwrot polityczny, nie mający nic wspólnego z rodzajem rozmnażania.

Iskra zdawał się najmniejszym ryzykiem. Imperator wpadł w kłopoty, podejmując to ryzyko i rozpowszechniając na całe Imperium.

Sten został posłany do Altaic nie tylko z powodu swoich niewątpliwych umiejętności dodawania witaminy C do smacznych, orzeźwiających drinków. Jego notowania stały tak wysoko, że samo nazwisko gwarantowało uwagę mediów, legalnych czy nie.

Potem Imperator wszczął subtelną, choć rozmyślnie hałaśliwą, kampanię reklamową w mediach na temat Iskry.

Do podręczników szkolnych dołożono wyjątki z pism Iskry, dyskutowano o krytycznym położeniu obywateli Altaic, wskazywano na przepaść pomiędzy gatunkami istniejącą w przeszłości i obciążano nią zmarłego Khaqana. Prasa schlebiała bardzo profesorowi Iskrze w tych artykułach.

Często wspomniano o nim jako „uzdrowicielu ran”.

Prasa brukowa została nakarmiona obrazem „zwykłego człowieka”. Przedstawiano Iskrę jako intelekt z sercem, istotę, która poprzysięgła żyć jak Spartanin, dając przykład swojemu ludowi. Jego zwyczaje dietetyczne przedstawiano w kącikach kulinarnych, podając przepisy i twierdząc, że odnalazł on sposób na zdrowe i długie życie.

Cały ten hałas dookoła Iskry był tak głośny, że tylko głupiec - i do tego całkiem głuchy - nie zauważał, iż prestiż Imperatora zależy od sytuacji w Altaic.

Tak więc, kiedy bomba uderzyła w koszary imperialne na Rurik, unicestwiono coś więcej niż życie żołnierzy. Własne plany Imperatora znalazły się w niebezpieczeństwie ulecenia z tym samym dymem.

Jasne, że miał wielkiego psa Mahoneya czekającego gdzieś z boku. Ale nie mógł go jeszcze użyć. Najpierw trzeba było przygotować grunt.

Imperator potrzebował natychmiastowego, prostego rozwiązania.

Zareagował błyskawicznie. Rozwiązanie stanowiło utajnienie wiadomości.

Ranett była staroświecką dziennikarką, z typu tych co to „sama o siebie zadbam”.

Była także legendarną reporterką wojenną, piszącą korespondencje z wojen tahnijskich z samej linii frontu. Podczas morderczych lat Rady trzymała głowę nisko. Ale nadal notowała swoje obserwacje. Gdy powrócił Imperator, z owych zapisków zrobiła wstrząsającą serię dokumentów filmowych dotyczących zbrodni i szaleństw Rady.

Ostatni odcinek nadawano właśnie wtedy, gdy Iskra przejmował władzę w Altaic.

Biliony istot oglądały audycję. To właśnie stanowiło powód, dla którego Imperator nalegał na to, aby osobiście podziękować Ranett w dodatku do tej końcowej emisji.



Reporterka potraktowała to we - właściwy sobie sposób. Kiedy wyłączono kamery, odwróciła się do władcy i spytała:

- Wasza Wysokość, co z tym klaunem, Iskrą?

Uśmiechnięta twarz Imperatora przybladła. Udawał, że nic nie usłyszał. Jego uwaga nagle skupiła się na poważnych sprawach państwowych. Zanim Ranett mogła powtórzyć pytanie, władca w otoczeniu ochroniarzy pospieszył ku wyjściu.

Ranett postanowiła więc sama zdobyć odpowiedź. Jej wydawca nie był uszczęśliwiony.

- Mam już tych historii z Mglawicą Altaic i doktorem Iskrą powyżej zatłakanych uszu, Ranett. Kto ma ochotę na następne? Poza tym dobre wieści nie sprzedają się najlepiej.

- Wcale nie sędzę, że wszystko tam się dobrze układa - odpowiedziała Ranett. - Gdyby tak było, nie prosiłabym.

- To kupa gówna, Ranett. Każde wydarzenie w tym układzie jest dobrą wiadomością.

Byli zdołowani tak długo, że wszystko im się podoba. Nie, wolałbym, żebyś wybrała się na poszukiwanie jakiejś małej, ślicznej wojenki nadającej się na okładkę. Z mnóstwem krwi.

- Jeśli dostanę się na Altaic - powiedziała Ranett - myślę, że znajdę ci tyle krwi, ile tylko zechcesz.

- Jakie masz argumenty poza swoim reporterskim instynktem?

Ranett zerknęła na swego wydawcę w wymownym milczeniu.

Potem wzruszyła ramionami, co znaczyło: jedyne co miała to instynkt, ale na Boga, był to instynkt, na którym można zawsze polegać. Edytor odwzajemnił się jej spojrzeniem. Twardym.

Jego milczenie było równie wymowne w tym rutynowym starciu osobowości. Następnie uniósł powiekę, co oznaczało: czy jesteś pewna, całkiem pewna? Ranett znowu wzruszyła ramionami.

Wydawca westchnął.

- Ty małpo, wygrałaś. Jedź, no już.

Ranett podróżowała skromnie. Dostała wolną koję na frachtowcu zdążającym do Altaic.

Jedynymi osobami świadomymi celu jej podróży byli wydawca, urzędnik firmy, który sprawdzał rachunki i kapitan frachtowca, zdeklarowany pijak.

Ranett była jedną z tych osób, które zwykle znajdowały się w odpowiednim miejscu i w odpowiednim czasie. - Mam po prostu szczęście - mawiała kolegom w barze klubu prasowego.

Nigdy w to nie wierzyli. Jej dobre wyniki i powodzenie przypisywali kłamstwu, łapówkom i strategii. Ranett nie kłamała, prędzej zrezygnowałaby z tematu, niż posmarowała czyjąś łapę, i zachowywała się odpowiednio do tego.

Jej szczęście znów dało znać o sobie o dwa dni imperialne od Mglawicy Altaic, gdy dotarły do niej pierwsze wieści o katastrofie na Rurik. Słuchając mętnych wiadomości płynących z komunikatora statku, Ranett chichotała. Będzie na miejscu jedyną istotą z pierwszoligowego świata dziennikarskiego, która doniesie o wypadkach i ich niewątpliwie paskudnych następstwach.

Ranett pospieszyła do kabiny, by zdwoić wysiłki nad swoją „pracą domową”.

Rozłożyła olbrzymią teczkę z fiszkami na temat zafajdanej historyjki mglawicy.

Osiemnaście imperialnych godzin od Jochi, kapitan zjawił się u jej drzwi trzeźwy i z niepewną miną.

- Mam złe nowiny, szanowna pani - powiedział. - Musimy wracać.

Ranett przeszła go spojrzeniem, które było słynne z tego, że zginało daleko sztywniejsze kolana.

- Proszę mi to wyjaśnić.

Kapitan potrząsnął głową.

- Nie mogę. Wiceprezes firmy nie poinformował mnie, dlaczego. Po prostu powiedział, że mam nie dostarczać ładunku na Jochi. I zabrać swój tyłek z powrotem na Soward.

- Więc zapomnij o ładunku - odpowiedziała Ranett - Ale ciągle jeszcze możesz dostarczyć na miejsce mnie.

- Nie ma takiej możliwości, szanowna pani. Przykro mi.

- Zapłacę ekstra. Podwójną stawkę. Do diabła, wyczarteruję cały twój przeklęty statek.

Kapitan westchnął. To raniło jego kupiecką duszę.

- Zabroniono mi lądowania na Jochi. Pod jakimkolwiek pozorem.

Ranett skoczyła na równe nogi.

- Ludzie, macie podpisaną umowę z moją firmą - wysyczała. - I oczekuję, że będzie ona wypełniona - w całości!

Przycisnęła kapitana do ściany.

- Teraz daj mi tego twojego dupkowatego szefa. Słyszysz?

Kapitan słyszał.

Zaczęła od wiceprezesa i pracownicy dobijała się do prezesa linii, wprawiając w drżenie całą przestrzeń kosmiczną pomiędzy Altaic a Primą.

Niczego nie osiągnęła.

Kiedy frachtowiec obracał się dookoła i kierował się w drogę powrotną, Ranett dowiedziała się dwóch rzeczy: że linia żeglugowa była równie wściekła jak ona z powodu tego, co się działo - na pokład frachtowca załadowano cenne i psujące się towary. I że rozkaz powrotu narodził się poza spółką przewozową.

Najwyraźniej chodziło o politykę.

A to oznaczało, że działanie mogło być skierowane wyłącznie przeciwko niej.

Ktoś naprawdę ważny chciał powstrzymać Ranett przed zdobyciem wieści z Jochi.

I nic nie mogła na to poradzić.

Jej wydawca był równie rozdrażniony.

- Nikt tego nie przyzna otwarcie, ale nad tym wszystkim wisi cień imperialnego wpływu - prychnął, wisząc na telefonie w głębi kosmosu. - Szarpałem wszystkie ogniwa aż do Arundel, ale bez rezultatu. Wszyscy byli przestraszeni.

- Jak oni się zorientowali, że jestem w drodze? - zapytała Ranett.

- Szpiedzy. Podśluch. A cóżby innego? Teraz właśnie nasze biura są sprawdzane przez ochronę.

- Co robi nasza konkurencja? - chciała wiedzieć Ranett.

- To jedyna dobra wiadomość - odpowiedział wydawca. - Nikt, ale to nikt z akredytacją prasową nie może się dostać do Altaic.

Przebiegło jednak wystarczająco dużo szczegółów, by wprawić Imperatora we wściekłość.

BOMBA W KOSZARACH ZBIERA ROSNĄCE ŻNIWO W LUDZIACH, donosił krzyczący tytuł na ekranach. PORAŻKA W ALTAIC, głosił kolejny. A było jeszcze wiele innych:

RODZINY GWARDZISTÓW W SZOKU... TRAGICZNA KLĘSKA IMPERIUM NA RURIK...

Co mądrzejsi prezenterzy występowali z hasłami: ZAMIESZKI W ALTAIC ZWIĄZANE Z ISKRĄ... PYTANIA PODNOSZONE W ZWIĄZKU Z WYBRANIEM PRZEZ IMPERATORA NIEZNANEGO PROFESORA... ISKRA: SZKOLNY TYRAN.

- Następnym razem to ja napiszę konstytucję - Imperator wyrzekł gorzko. Chcę mieć Ustawę o

Tajemnicy Służbowej z prawdziwymi pieprzonymi zębami. Domagam się możliwości wsadzania do więzienia. Żądam plutonów egzekucyjnych - do licha, potrzebuję tych zasranych sal tortur.

Młoda kobieta o pulchnych kształtach i oczach starego polityka przyklasnęła mu.

- Nie ma sprawy - powiedziała. - Ostatnie sondaże opinii publicznej, które prowadziłam w mediach pokazują, że społeczeństwo jest z tobą, szefie. Dziesięć procent uważa, że wolna prasa jest ważna. Sześćdziesiąt pięć uważa, iż należy wyrzucić tych demagogów za burtę. A pozostałe dwadzieścia pięć procent jest tak tępe, że sądzi, iż wieczorne wiadomości to długi komediowy serial telewizyjny.

Wzburzenie Imperatora obróciło się w grzmiący śmiech.

- To właśnie za to lubiłem cię od początku, Avri - powiedział. - Ty zawsze tniesz do kości.

- Swój dyplom magistra w łowieniu skalpów zdobywałam na Dusable - odrzekła. - Ale doktorat uzyskałam obserwując pana w akcji. Sir... - Avri zmierzyła wzrokiem Imperatora od stóp do głów ze szczerym podziwem. - Nigdy nie spotkałam ani nie słyszałam o żywym czy martwym polityku, który osiągnąłby to, co pan osiągnął.

Imperator odchrząknął.

- Nie wynalazłem niczego. Po prostu kradłem od mistrzów. - Wyszczerył do Avri zęby w wilczym uśmiechu. - Choć oczywiście dołożyłem kilka nowych myśli do starych reguł.

- Powiedziałabym, że cholernie dobrze panu to wyszło, sir.

- Wyrzucimy to sir - powiedział Imperator. - Oczywiście wtedy, gdy jesteśmy na osobności.

Nie ma miejsca na szacunek w interesie, gdzie głosy zdobywa się po trupach.

Imperator spotkał Avri w swej długiej drodze powrotnej ze stanu śmierci do imperialnej korony. Musiał załatwić elekcję na Dusable, a ona znalazła idealnego kandydata do tego zadania: pustogłowego, przystojnego chłopaka, który zdobywał głosy jak posłuszny polityczny piesek.

Od tego czasu Imperator doceniał ostry umysł Avri. Ale w tej chwili, kiedy spojrzał na nią, ubraną w obcisłą, czarną sukienkę, inne obszary zainteresowania zaczęły przychodzić mu na myśl.

Avri pochwyciła to spojrzenie. Obdarzyła go uśmiechem mówiącym: „nie mam nic przeciwko temu” i oparła się na krzesło, aby dać mu lepszy widok. Imperator poczuł pewien dreszczyk.

Odłożył go na bok na pewien czas. Niech dojrzewa w chłodzie.

- Jak układają się sprawy w parlamencie? - spytał.

- Dobrze - powiedziała Avri, nieco rozczarowana. Ale rozjaśniła się szybko, przechodząc do swego ulubionego zajęcia: liczenia głosów na tak i nie. - Tyrenne Walsh wygłosił to przemówienie, które napisaliśmy dla niego. Ten idiota nie rozumiał ani słowa z tego, co mówił, ale brzmiało to naprawdę przekonywująco. Walsh to był ten śliczny chłopak, którego Avri i Imperator wprowadzili na szczyty władzy w Dusable - czołowy z najpaskudniejszych i najbrudniejszych starych polityków w Imperium, jeśli już o tym mowa.

Teraz Imperator zaczął omawiać z Avri swój plan przekształcenia niezależnych prowincji Imperium w podległe mu dominia.

- Widzę to właśnie tak - powiedziała Avri. - Walsh wystąpi z mową przewodnią, tak, jak to mówiłeś. Na początek weźmiemy te pięknie brzmiące słowa: obowiązek, lojalność, patriotyzm, które tak świetnie uderzają w górne tony.

Imperator kiwnął głową.

- Dobrze. Doskonale. Potem wygłasza wielkie oświadczenie, tak?

- Tego chciałeś - stwierdziła Avri - ale moim zdaniem zbyt szybko przesuujemy się do mety. To

znaczy, nie chcemy, żeby brzmiał jak twoja tuba.

Imperator zachichotał.

- Broń Boże.

- No cóż, właśnie tak by to zabrzmiało - powiedziała Avri. - A chcemy, żeby ogłosił, że ma zamiar stać się pierwszym z wielkich przywódców, który odda swój system w twoje władanie.

- Masz na myśli to, że stanie się on jednym z moich wasali.

- To, to samo - stwierdziła Avri. - Rzecz jasna w przypadku Walsha to nie ma znaczenia. I tak jest już sterowany. Przez ciebie. Ale inni przywykli postępować po swojemu.

Nie poddadzą się tak łatwo.

Imperator zrozumiał jej punkt widzenia.

- O czym myślisz?

- Umiejętnie zrobiona kanapka - powiedziała Avri. - Jeśli włożysz w nią dostatecznie dużo śmieci, nikt nie spostrzeże, jak cienkie są płatki sera i szynki. I zagłosują, a dopiero w połowie drogi do domu zrozumieją i dostaną zgagi na myśl o tym, co zrobili naprawdę.

- Mów dalej - powiedział Imperator.

- No dobrze, a więc powiewamy flagą, jak mówiłeś. - Avri zrobiła zamaszysty gest zaciśniętą pięścią. - A potem położymy nacisk na czyjeś osobiste cierpienia. No wiesz: list od starszej pani, która przesyła swoje ostatnie grosze, aby pomóc zbawić Imperium.

A ja wyświetlam film o kilku głodujących dzieciach. Dobry, chwytający za serce chłam.

Pomarańczowe włosy.

Wydęte z głodu brzuszki. Naprawdę wzruszające.

- Krew, pot i dziecięce siuski - powiedział Imperator. - To zawsze działa.

- Jasne. Bez kłopotów. Dobra, idźmy dalej. Podczas gdy oni użalają się nad biednymi dziećmi, dobiję ich zupełnie pewnym starym żołnierzem, nad którym popracowałam.

- To się staje coraz bardziej interesujące - stwierdził Imperator. - Sam bym zagłosował za tym ze cztery czy pięć razy.

- No pewnie - powiedziała Avri. - Potrzebujesz luzu na tego frajera. No, jazda.

Odnalazłam twojego starego generała. Przeszedł na emeryturę trzydzieści kilka lat temu. W jego głowie jest więcej śmieci niż rozumu. Wzięłam go na kwestię: „Imperium w kłopotach”. Niemal się popłakał.

Na koniec skoczył na równe nogi - podałam mu kule - i postanowił zawołać: „Wszystkie istoty Imperium, łączcie się”!

Jest bardzo oddany sprawie zjednoczenia Imperium. Mówi, że to największe zadanie w jego życiu. I że żadne poświęcenie nie okaże się zbyt wielkie - i tak dalej, i tak dalej - to podziała jak złoto. Gwarantuję. Wypróbowałam wczoraj na grupie kontrolnej. Ani jedno oko nie zostało suche.

A co najlepsze, audytorium opróżniło swoje kieszenie na fundusz ratowania Imperium. Najlepszy wynik na głowę, jaki widziałam.

- A potem Walsh złoży oświadczenie? - spytał Imperator.

- A potem Walsh złoży oświadczenie.

- Doskonale to zrobiłaś - powiedział Imperator. - Ale chcę jeszcze coś dodać.

- A cóż to takiego?

- To, co planuję w związku z podatkiem od AM2.

Avri skinęła głową.

- To dobry pomysł. Wystraszy tych, którzy się nie wzruszą. I co z tym?
- Chcę, żeby działało wstecz. Dla całego AM2 od końca wojen tahnijskich.

Avri gwizdnęła.

- To może ich przestraszyć za bardzo.
- Przykro mi. Musisz jakoś to opracować.

Oczy Avri nagle rozjaśniły się.

- Może niech generał umrze na koniec. Padnie jak długi przed kamerą czy coś w tym rodzaju. I wypowie swoje „ostatnie słowa”. Wydaje się całkiem słaby. Sądzę, że technikom uda się zorganizować jakiś mały udar dla niego.

- To kiepski pomysł - powiedział Imperator.

- Tak. Ktoś mógłby się dowiedzieć. Przekazać to.

- O to się nie boję stwierdził Imperator. - Tylko o to, że te słowa umierającego mogą zaćmić Walsh. A to na nim przecież spoczywa cała sprawa.

Avri zrozumiała, o co mu chodzi.

- I dlatego to ty jesteś szefem - oświadczyła. - Coś mi przyszło do głowy. To łatwe.

Pod koniec rozmowy Avri jeszcze raz obdarzyła Imperatora powłóczyстым spojrzeniem - przymrużyła oczy, przeciągnęła się.

- No więc - powiedziała - taki jest plan.

- Zgadzam się - stwierdził Imperator. - Wprowadź go w życie.

Odwzajemnił jej spojrzenie. Zmierzył ją wzrokiem z góry na dół. Potem zaczął od stóp... i powoli ciągnął w górę.

- Czy coś... jeszcze? - spytała Avri.

Imperator przeczekał chwilę.

- Może... później.

- Czy ja już wspominałam o mojej sekretarce? - zapytała Avri. Oblizwała wargi. - Ona jest... bardzo pomocna w tego typu sprawach.

- Muszę jej kiedyś podziękować osobiście - stwierdził Imperator.

- Mogę ją teraz zawołać.

- Czy podyskutujemy prywatnie? - spytał Imperator niskim głosem.

- Bardzo prywatnie. Tylko nasza trójka.

- Wezwij ją - powiedział Wieczny Imperator.

## Rozdział 32

Poyndex przeglądał raport raz jeszcze. Nie zmienił się od czasu, gdy czytał go po raz ostatni trzy minuty temu. Gdyby nie to, że pochodził od zaufanego od dawna - na tyle, na ile jakikolwiek szpieg kiedykolwiek ufa źródłom agenta, pomyślałby, że albo ktoś próbuje go nabrać, albo doniesienie pochodziło z pętli czasu, z lat minionych na długo przed dniami panowania Rady.

Poyndex obiecał sobie jeszcze na Ziemi, że już będzie „grzeczny”, przestanie prowadzić agentów i usiłować ustalić, co „tak naprawdę” się dzieje. Oczywiście nie mógł tego zrobić. Nikt, kto kiedykolwiek wszedł w świat cienia, już nie wierzył, że prawdą jest to, co znajduje się w świetle reflektorów.

Zgodnie z raportem, ktoś pakował olbrzymie ilości kredytów w kult Imperatora.

Podobnie, jak to robił Keyes z Rady dawno temu. I ten ktoś nie był żadnym łatwym do znalezienia „anonimowym dobroczyńcą”. Kredyty wpływały z wielu różnych źródeł, z których każde mogło być śledzone do pewnego punktu, a potem napotykało się na kamienny mur.

Poyndex leniwie przeglądał plik korzystając z funkcji otwartego przeszukiwania, by sprawdzić czy nie działo się tu nic więcej ciekawego.

W kilka minut uzyskał odpowiedź.

W grę wchodziły wielkie układy. Wysocy rangą członkowie sekty, na których automatycznie utworzył się program, pamiętani z dni, kiedy Poyndex pracował w Korpusie Merkurego, spełniali swoje marzenia. Byli promowani - często nad głowami swoich formalnych przełożonych - dość szybko.

Włosy stanęły gwałtownie dęba na karku Poyndexa. Jego palce walnęły w klawiaturę, skasował polecenie przeszukiwania. Czoło zaperliło się potem.

Poyndex zamyślił się, potem skrzywił.

Chyba był paranoikiem. Ale targnęło nim identyczne poczucie niebezpieczeństwa jak to, które uruchomiło brzęczyk alarmowy w jego systemie nerwowym, gdy z wnętrzości Imperatora została usunięta bomba.

Poczuł satysfakcję, że zaprogramował w swoim komputerze porządne zacieranie śladów.

Poszukiwania na przykład mogły być śledzone przez zdolnego eksperta. Ale trop prowadziłyby zapewne do otwartego terminalu bibliotecznego w dalekim świecie pogranicza.

Kult Imperatora nadal istniał...

Odsunął ukrytą z boku klawiatury pokrywę i połączył ze sobą dwa przewody, aktywizując polecenie przeładowania systemu i niszcząc ślady swego działania.

Poyndexowi na myśl przychodziła tylko jedna istota, która była w stanie poruszać tak wieloma

członkami sekty jak lalkami na sznurku, i która również dysponowała tak wieloma tajnymi kanałami do pompowania pieniędzy w...

Jego komputer natychmiast wymazał zawartość swojej pamięci do czysta i ponownie nadpisał, zgodnie z wymogami wojskowej procedury. Następnie znowu skasował zawartość pamięci... i nadpisał jeszcze raz.

Wieczny Imperator we własnej osobie...

Komputer Poyndexa kliknął i został uruchomiony trzeci, finalny krok, pliki i program, które skasowały wszelkie ślady działalności Poyndexa w ciągu ostatniego tygodnia.

Ale jakie zyski mógł osiągnąć Imperator z tych wszystkich machlojek?

Czy chciał, by uczyniono z niego bóstwo, na miłość boską?

Poyndex poczuł ogromny chłód i zrozumiał, że już nigdy nie będzie bezpieczny, już nigdy nie przestanie zerkać w tył przez ramię, wiedząc o tym, co, jak teraz uwierzył, było prawdą.

Pan Ecu, emerytowany dyplomata światowy, przechylił się w locie, niemal obrócił i pożałował, że jego rasa nie rozumiała niewątpliwych korzyści płynących z używania przekleństw.

Poniżej niego rozciągała się arktyczna pustka.

Szare morze rozbijało wysoko swe fale o samotny górski szczyt po jego prawej stronie. Po lewej pływała olbrzymia góra lodowa. Była jasnoniebieska na burej powierzchni wody - jedyny wyraźny kolor, jaki mogło wychwycić jego oko. Bolesny, samotny kolor.

Ecu nie chciał osądzać tego świata, ale odnosił wrażenie, że kryje się w nim cały urok chrześcijańskiego piekła.

W dole, na krze, poruszyła się kropka. Skupił na niej swój wzrok i kropka okazała się wielkim, opasłym wodnym stworzeniem, okrytym pokaźną warstwą tłuszczu i skórą odpowiednio grubą jak na to zamrożone piekło. To coś prawdopodobnie traktowało tę pogodę jak odświeżający wiosenny wietrzyk.

Ecu pomyślał bez sensu, że ta nieznana istota na lodowej bryle wygląda na prymitywnego rybożercę, podczas gdy w rzeczywistości może równie dobrze być jednym z czołowych filozofów tego świata czy poetów.

Porwał go nagły poryw wiatru i Ecu znowu niemal stracił kontrolę nad ruchami.

Jego długi na trzy metry ogon młócił powietrze, usiłując ustabilizować lot, a wielkie białe skrzydła obracały się, zmieniając kąt nachylenia, próbując zniwelować przechył.

Był już zbyt stary i zbyt dystyngowany na ten idiotyczny, samotny lot podczas polarnego sztormu. Czuł się jak pisklę, które właśnie odkrywa uroki latania.

Myślał też, że to wszystko, co ma zamiar zrobić, jest jakby żywcem wyjęte z kiepskiego melodramatu, uwielbianego przez dzieci i durniów, z jednym wspaniałym bohaterem i tłumem czarnych charakterów. Tylko że pan Ecu wierzył w to naprawdę, i aż drgnął na myśl, iż jest jedyną istotą, mającą świadomość tego wielkiego zła, które mogło zdruzgotać wszystko.

To, myślał dalej, zupełny absurd, i poczuł się dumny sam z siebie, że jest kimś, kto odkrył, iż prawda absolutna trafia się rzadko, i prawie nigdy nie jest oczywista. Wszystko ma różne odcienie szarości, trzeba je analizować i interpretować bardzo ostrożnie.

Może Rykor zorganizowała dla niego przywitanie, a przy tej okazji zostanie sprytnie ujęty, zaprowadzony do wyściełanego pokoju, gdzie spędzi resztę swoich, dni, mamrocząc o Wiecznym Imperatorze.

Chyba dlatego przesłał najpierw swoje materiały, które przedtem pracowicie zakodował

egzotycznym szyfrem, jakiego używali podczas pracy w trybunale, kiedy członkowie Rady mieli być sądzeni za swoje zbrodnie.

Pan Ecu, niestety bezskutecznie, usiłował doprowadzić do ładu swoje myśli, aby zmienić ten chaos w spokój. Ze smutkiem doszedł do wniosku, iż jedynym powodem tego, że jego umysł zachowywał się tak niesfornie było to, że czuł się straszliwie przerażony.

Strach to doznanie, które zawsze blokuje logiczne myślenie. Poczul się kompletnie zagubiony.

Pan Ecu służył Wiecznemu Imperatorowi przy wielu okazjach, a nawet przekonał swoją rasę do zrezygnowania z długo utrzymywanej neutralności i potajemnego powrotu do Imperium podczas wojen tahnijskich. Nie miał jednak żadnych złudzeń co do tego, co zrobiłby z nim Imperator, gdyby znał jego myśli, poglądy i zadanie.

I właśnie dlatego, między innymi, znikł ze swojego własnego świata, nie mówiąc nikomu o celu i miejscu swej misji. Jego przelot na macierzysty świat Rykor dokonał się na jednym ze statków wolnych Rzymian. Kolejne powiązanie, stwierdził, pochodzące z czasów trybunału, zainspirowane przez człowieka, który chciał, aby każdy mógł latać: Stena.

Sten wciągnął Ecu w prace trybunału dając mu prosty podarunek: holograficzny obrazek pochodzącego ze starej Ziemi „cyrku powietrznego”, gdzie uwięzieni do ziemi ludzie narażali swoje życie, latając na spalinowych dwupłatowcach, z których uśmiełby się każdy szanujący się dinozaur.

Widząc ten model, pan Ecu dziwił się: czy oni naprawdę to robili? Nigdy przedtem nie myślałem, jak to może być, kiedy ktoś jest całkowicie uziemiony przez genetyczny przypadek.

Boże, jak oni desperacko chcieli latać.

Istoty wiele zaryzykują, powiedział wtedy Sten, dla wolności.

Zastanawiał się, jak ten człowiek daje sobie radę w wypełnianiu swojego zadania na Altaic.

Miał nadzieję, że dobrze, ale podejrzewał, zwłaszcza biorąc pod uwagę ostatnie embargo na wieści z tego rejonu, że sytuacja, już przedtem kiepska, ostatnio uległa pogorszeniu.

Zastanawiał się, czy jeżeli Rykor uzna jego szaloną teorię za prawdziwą, Sten zostanie w to wpłątany. Jak? W jakim stopniu? - złościł się sam na siebie. I co miałby robić?

Czyżby zaczynał już robić to samo, co ci ludzie, i uważał że za każdym razem, gdy pojawi się najwyraźniej nierozwiązywalny problem, najlepszym wyjściem jest zbiorowe podniesienie rąk i złożenie wszystkiego w dłonie władcy w świecącej zbroi, który oczywiście okazuje się tyranem?

To właśnie stworzyło obecną sytuację.

To, Ecu poprawił się, oraz AM2.

AM2. To była główna przeszkoda. Bez AM2 wszystko w Imperium, zarówno triumfy jak i zbrodnie, byłoby udaremnione.

I to AM2 uniemożliwiało, dokończył Ecu ponuro, znalezienie jakiegoś realnego rozwiązania dręczących problemów.

Horyzont pojaśniał i Ecu dostrzegł w oddali wyspę. Była równie ponura i odpychająca jak reszta tego świata, zapchana kamienistymi szczytami sterczącymi z polodowcowych dolin.

Wyglądała na opuszczoną - ale jego białe długie czułki powiedziały mu, że gdzieś tam istniało życie.

Zaraz potem wzrok potwierdził jego wrażenie, gdy dostrzegł ruch na jednej z kamienistych plaż wyspy. Więcej istot, takich jak ta machająca do niego, było rozrzuconych na stokach przemywanych lodowatą wodą, jak gdyby były ludźmi wygrzewającymi się w tropikalnym słońcu.

Usłyszał ryk przebijający się przez wycie wiatru, gdy jedna z istot wyciągnęła się do pełnej



wysokości na tylnych płetwach i zatębiła na powitanie. Rykor... to musiała być ona.

Istota przeskoczyła zabawnie kilka metrów na lądzie, po czym zanurkowała z gracją w łamiących się falach, i znikła.

Co teraz, pomyślał pan Ecu z irytacją, jak ja mam naśladować jej zachowanie? Czy mam podążać za nią pod wodę, jakbym był trifibią?

I wtedy czarne skały rozsunęły się na boki i odsłoniło się wejście do szerokiego tunelu ziejącego w środku jednego z klifów wyspy. Dookoła i na górze, na szczycie klifu, błysnęły anteny.

Ecu zniżył swój lot i zanurkował w powietrzu, odpowiednio skręcając lotki, chociaż tunel był szeroki na tyle, aby zmieścić średniej wielkości frachtowiec gwiezdny.

Tu mieścił się dom Rykor i jej biuro.

Ian Mahoney często w żartach porównywał Rykor do morsa. Ale w rzeczywistości podobieństwo było tylko zewnętrzne, gatunek Rykor żył w środowisku wodnym i z powodu ewolucji, i z wyboru. Fizycznie też różnili się nieco - Rykor trzykrotnie przewyższała rozmiarami największy ziemski okaz morsków, mając ponad pięć metrów długości i ważąc więcej niż dwie tony.

Jej gatunek słynął ze swego intelektu, szczególnie w obszarach wymagających analizy intuicyjnej i zdolności do wyciągania daleko idących wniosków ze skąpych danych.

Bywali więc oni poetami, filozofami, planistami na skalę miast i światów. I, tak jak w przypadku Rykor, psychologami.

Kiedy przechodziła na emeryturę, miała najwyższą rangę ze wszystkich psychologów w Służbie Imperialnej. Była także niekiedy przydatna, sekretnie, Ianowi Mahoneyowi - wówczas szefowi Korpusu Merkurego - jako jego specjalista przy sondowaniu mózgu szpiegów, sabotażystów, morderców, zdrajców, zarówno imperialnych, jak i nieprzyjacielskich.

Do tego, aby wyjść z bezpiecznego cienia, została przekonana przez Stena, kiedy ustalał skład trybunału. A potem miała, jak każdy związany z tym, co wtedy zdawało się triumfem, wszelkie możliwe oferty. Jednak po powrocie Imperatora wiedziała już, dlaczego przede wszystkim przeszła na emeryturę: czekały na nią książki do napisania, książki o wzorach zachowań ludzi i innych gatunków, jakich doświadczyła tylko ona i nikt inny. I tylko ona mogła je wyjaśnić.

Poza tym miała już dość tego, co naprawdę było marnowaniem jej umiejętności w tej służbie: przekonywania pewnych osób lub społeczności, aby zachowywały się w określony sposób.

Teraz jeszcze raz zwrócono się do niej, by zrobiła użytek ze swoich talentów.

Ale dla daleko większego celu - i tym razem prosił ją Ecu.

- To jest naprawdę niezwykle - chwaliła się Rykor. - Skonstruowałam ten pokój z myślą o moich lądowych przyjaciółach i klientach. Jest to także mój osobisty żart, jako że tyle lat spędziłam, służąc Imperium ze zbiornika ze słoną wodą albo krzesła grawitacyjnego.

Pan Ecu pokiwał czułkami, uprzejmie okazując zadowolenie - jego gatunek nie potrzebował żadnego dowartościowywania się.

Ten pokój rzeczywiście był mściwym rewanżem. Znajdował się w wysoko sklepionej, szeroko otwartej, zalewanej przyplływem jaskini, której znajdujące się ponad poziomem wody wejście zamykał przezroczysty mur. Ecu pomyślał, że ściana ta prawdopodobnie może się poruszać - opadać i wznosić wraz z falami pływów. Kiedy patrzyło się na zewnątrz, na morze, wydawało się, że pomiędzy miażdżącymi grzywami bałwanów a patrzącym nie ma nic poza opryskiwanymi wodą głazami, formującymi częściowo osłoniętą zatokę. Poziom dźwięków morza i wiatru, przekazywanych przez głośniki, kontrolowano przez konsolę. Wejść do tej jaskini można było

nurkując pod wodą, jak Rykor i jej podobni, albo przechodząc solidnym korytarzem, jak lądowe istoty.

Ecu szybował tuż ponad sztucznym nabrzeżem, jakie Rykor wybudowała dla swoich przywiązanych do ziemi gości. Ono także reagowało na pływy i mogło podnosić się i opadać tak, że zawsze znajdowało się kilka centymetrów powyżej łagodnych fal wewnątrz jaskini.

Wyposażono ją we wszelkie urządzenia i udogodnienia, od monitorów po komunikatory i komputery. Ponad tym centrum konferencyjnym znajdowały się pomieszczenia mieszkalne i jadalne.

Do własnych kwater Rykor i laboratoriów docierało się podwodnymi tunelami, prowadzącymi z pomieszczenia do pomieszczenia. Wyposażenie, jakiego Rykor używała podczas normalnej pracy, było albo odporne na warunki środowiska, albo szczelnie osłonięte.

- Niezbyt dobrze - powiedziała Rykor - znam się na... etykietach i zasadach, dotyczących przyjmowania latających istot. Czy ty...

- Czy ląduję? - Wąsy Ecu drgnęły raz jeszcze.

Po chwili lekkiego zakłopotania policzki Rykor poruszyły się i jej grzmiący śmiech odbił się echem po pokoju, dopóki system akustyczny go nie wyciszył.

- Nie - powiedział Ecu. - Moja rasa ląduje, ale rzadko. I w specyficznych celach. - Nie wyjaśnił tego dokładnie, a Rykor nie pytała.

- Czy mogę zaoferować ci coś dla odświeżenia? Ponieważ Manabi nie są zbyt często goszczoną w Imperium rasą, miałam duże kłopoty, aby dowiedzieć się, co najbardziej lubicie. Ale udało mi się odnaleźć informacje, że sprawia wam przyjemność to właśnie, w formie rozproszonej.

Chociaż te organizmy nie są spotykane na naszym świecie, zsyntetyzowaliśmy tę substancję.

Wyciągnęła pletwy i dotknęła klawiszy na pływającej obok niej klawiaturze. Na ścienny ekran wyskoczył wzór chemiczny. Ecu przyjrzał mu się. I znowu poruszył wąsami.

- Twoje źródło miało rację, Rykor. Naprawdę lubimy ten organiczny kompot. Ale to wprawia nas także w pewien rodzaj upojenia, innymi słowy stajemy się zalani na biedronkę, jak by to określił nasz niegdysiejszy przyjaciel Kilgour. Może później, kiedy zaczniemy naszą dyskusję, a ja poczuję się mniej głupi, mniej wystraszony i bardziej zdolny do relaksu. A może chciałaś uspokoić mnie tym wzorem, jako że obawiam się, iż moje reakcje stają się nieprzewidywalne.

- Manabi - powiedziała beznamiętnie Rykor - przestań szaleć.

- Może właśnie zaczynam.

W jaskini nastała cisza, oprócz stłumionych dźwięków morza i wiatru nic nie było słychać.

Rykor przez chwilę unosiła się bez ruchu na fali.

- Nie - powiedziała stanowczo. - Nie oszalałeś. Przejrzałam twoje materiały.

Przeanalizowałam je pod każdym względem - intelektualnie i komputerowo. Co więcej, pozwoliłam też na to mojemu najbliższemu współpracownikowi - jest jednym z moich siostrzeńców i można mu zaufać. Korupcja w Imperium nie interesuje nas i jak dotąd nikt nie usiłował wymusić na nas prawa do łowienia ryb w imperialnej rzece na Ziemi.

Roześmiała się znów i Ecu poczuł, że zaczyna się odprężyć.

- Przede wszystkim chciałabym podziękować ci za paczkę, którą mi przysłałeś. To pierwsza prawdziwa „książka” ze starożytnej Ziemi, jaką posiadam. Mam pytanie: czy to było od początku wodoodporne?

- Ja to zrobiłem.

- Aha. Tak przypuszczałam. Bardzo mnie zainteresowała i wydała się urocza, w pewien smutny

sposób. Wyobraziłam sobie tych prymitywnych ludzi, piszących w najciemniejszym z ciemnych wieków, siedzących tam i patrzących na to, co wyrabiało się w tych straszliwych czasach.

- Nie było wówczas nikogo, oprócz znachorów. Wołano ich, jak sędzę, aby mamrotali zaklęcia i szykowali dziwaczne wywary w parujących garnkach, a opary rozpościerały się dookoła ofiarnego ognia, utrzymując w odpowiedniej odległości prawdziwe i wyimaginowane potwory ciemności. - Fuknęła z sympatią. - Tamten biedny człowiek wyobrażał sobie, że pewnego dnia powstaną zasady dotyczące psychologii. Że stanie się ona nauką. Poza tym, co - jak on to nazywał?

Psychohistorią? To fascynująca hipoteza.

Ja sama uważam to marzenie za intrygujące. Chociaż wiem o tym, że jeżeli nie potrafimy rozwiązać problemu mnóstwa ciał astronomicznych, to problem wielu elementów, które formują inteligencję, także nigdy nie podda się obliczeniom.

Muszę jednak powiedzieć, że uważam bohatera tej książki, za postać raczej odpychającą. Za bardzo przypomina mi niektórych moich dawnych nauczycieli, pełnych fałszywych prawd i paskudnych uprzedzeń.

- Ale odbiegłam od tematu - kontynuowała. - Wiem, dlaczego przesłałeś mi ten prezent, i jak to fikcyjne, uciążliwe poszukiwanie porządku w świecie pełnym entropii i równie pełnym zamętu Imperium pasuje do danych, jakie zebrałeś. Czy selekcjonowałeś materiał, uwzględniając tylko te dane, które potwierdzały twoją teorię?

- Nie - powiedział Ecu. - Usiłowałem skompletować tak dokładny zestaw, jak tylko mogłem.

- Twoje doświadczenie w dyplomacji sugeruje, że wiesz, jak zachować się fair - stwierdziła Rykor. - Postanowiłam zredukować twoje surowe dane do logiki symbolicznej.

Znowu dotknęła kilku klawiszy i zajaśniało parę ekranów. Ecu, chociaż nie używał zbyt często tej dyscypliny w swojej sztuce, znał ją.

Minęła godzina, zanim dane, nawet przetransponowane na język komputerowy, przewinęły się przez ekran.

Jako niezrozumiałe dla większości ludzi, nie robiły takiego przygnębiającego wrażenia.

Jednak nie dotyczyło to dwojga doświadczonych istot siedzących w morskiej jaskini. W końcu opustoszał ostatni ekran.

- Czy moja redukcja w przybliżeniu odpowiada rzeczywistości? - spytała Rykor.

- Nie w przybliżeniu. Dokładnie.

Skrzydła Ecu poruszyły się. Sytuacja była tak zła, jak sądził.

- Podsumowując słowami twoje tezy - ciągnęła dalej chłodno Rykor - jest oczywiste, że Imperium znajduje się w stanie najwyższego zagrożenia. Nie ma jednak powodu do totalnej paniki, ponieważ to nie pierwszy, a nawet nie pięćdziesiąty raz, kiedy nad Imperium nadciąga katastrofa.

Jednakże sugerowałeś, że ten ekonomiczny, socjalny i polityczny upadek przyspieszany jest przez samo Imperium. Zwłaszcza przez działania, jakie podejmował Wieczny Imperator po swoim... powrocie.

Pan Ecu powiedział:

- Dlatego właśnie obawiałem się, że stałem się niekompetentny w swoich przemyśleniach.

- Wcale nie. Skoro już upewniłam cię co do twojego zdrowia psychicznego, może jednak odświeżysz się nieco? Teraz nadeszła moja kolej na myślenie i dodanie pewnych interesujących danych, jakie sama zdobyłam od czasu nadejścia twojej paczki.

- Dziękuję. Chętnie skorzystam.

- Po twojej prawej ręce jest pojemnik pod ciśnieniem. Uruchamia się go tym większym przyciskiem.

Mikstura prysnęła w powietrze. Pan Ecu poczuł uniesienie i na chwilę przypomniał sobie czasy, kiedy na Ziemi widział zwykle ptaki latające w rozpylonej wodzie.

Rykor raczyła się czymś, co wyglądało jak wysuszony na ognisku torf.

- Rybia skóra - wyjaśniła. - Powieszona tuż poza zasięgiem rozprysku fal i wysuszona na wietrze. To najbardziej zbliżona do narkotyku rzecz, jaką moja niekiedy prostacka rasa zdołała wynaleźć. Ale poszukiwania nadal trwają.

Wróćmy do sprawy. Stwierdziłam, że uwzględniłeś w swoich danych nowe nieszczęście, jakiemu usiłuje zaradzić nasz młody krzyżowiec, Sten. Mgławicę Altaic. Wspomaga szaleńca, zapewne masz tego świadomość. Jakiegoś doktora Iskrę. Czy wiesz, że ten Iskra był przez lata popierany na wygnaniu przez Imperatora? Aby kontrolować przyszłego władcę.

Dowiedziałam się też, że Sten pozostaje pod bezpośrednimi rozkazami Imperatora i musi utrzymać Iskrę na stanowisku, bez względu na koszty.

Ciało Ecu zawirowało na nieistniejącym wietrze.

- Z jakich źródeł to wiesz? - spytał.

- Nie mogę powiedzieć. Moi koledzy nadal pozostają częścią systemu, i dlatego mogłoby coś im zagrozić.

Rykor przystanęła na chwilę i jej płetwa ogonowa walnęła o powierzchnię wody.

- Jakie to dziwne - zadumała się. - Słyszę samą siebie mówiącą, że życie mojego przyjaciela jest w niebezpieczeństwie, ponieważ znajduje się on blisko naszego szanownego władcy, i przekazał odrobinę prawdy.

- Ja sam czułem się tak, jakbym nieco ryzykował - zwierzył się Ecu.

Rykor nie odpowiedziała, ale kontynuowała rozważania.

- Druga rzecz. Nie przypominam sobie, kiedy się na to natknęłam. Ale zapewniam, że podczas jakiegoś legalnego śledztwa. Jak mówiłam, nie pamiętam okoliczności, ale zorientowałam się, że myślę o tym, co Imperator ma - w sensie dosłownym - ze swojego panowania. Może to było zwykłe ćwiczenie z rekompensowania władzy? Zaczęłam więc węszyć. Oczywiście bardzo uważałam z tym wścibstwem. Ale dowiedziałam się, że Imperator ma doprawdy niewyobrażalne fundusze, zainwestowane na różnych obszarach, gdzie jego polityka przynosi także wymierne, finansowe korzyści. Inwestycje poczyniono w wielkiej tajemnicy, z taką liczbą ślepych zaułków, że nigdy nie zaprowadziłyby do Imperatora. Nie uważam takiego postępowania za moralne czy niemoralne. Owe inwestycje, jak stwierdziłam następnie, wykorzystywane były w czasach nieszczęścia do podtrzymywania ekonomii... a także polityki. Co sugeruje, że większość istot uważałaby owe profity za „moralne”. Zdaje mi się, że ludzie nazywają to „funduszem smarnym”.

- Smarującym.

- Smarujący pasuje. Kilka dni temu bardzo starannie sprawdziłam kilka z tych funduszy.

Osobiste bogactwo Imperatora wzrasta z olbrzymią szybkością z sekundy na sekundę. W czasach, które spokojnie można nazwać kryzysowymi, nasz ukochany władca ciągnie wielkie zyski z biedy własnego Imperium.

- To nienormalne - powiedział Ecu bez swojej zwykłej łagodności.

- Pierwszy raz zgodzę się z twoim zastosowaniem tego słowa, choć klinicznie nie ma ono żadnego znaczenia. Nawiasem mówiąc, mogę poprzeć to, co powiedziałeś. Czy oglądałeś ostatnio

Imperatora występującego na ekranie? Coraz rzadziej to robi, rzecz jasna, i raczej przedstawiany jest wtedy z boku. Ale spróbuj przypatrzeć się sposobowi, w jaki poruszają się jego oczy; jak u bezdomnego ziemskiego psa czekającego na następne lanie albo kogoś, kto coraz bardziej i bardziej pograża się w czymś, co kiedyś nazywano psychozą maniakalno-depresyjną.

I raz jeszcze pan Ecu pożałował, że jego rasa nie używa przekleństw. Rykor sugerowała, że Imperium rządzone było teraz przez szaleńca, i myśl ta wydawała się kompletnie niewyobrażalna.

Jakiś zakątek w jego mózgu przypominał, jak wiele razy zajmował się szalonymi władcami i czuł bezosobową sympatię w stosunku do tych biednych, tyranizowanych przez nich istot.

- Następny kawałek układanki - ciągnęła Rykor. - Imperator nakazał zwiększenie produkcji militarnej. Na przykład po wojnach tahnijskich opustoszały stocznie Cairenes.

Budowanie okrętów wojennych stało się zbędne, a ich szef, Sullamora, zginął. Sama nie mogę zrozumieć, jak to się stało, że Cairenes nagle obrosły w AM2 podczas restytucji Imperium. Pamiętasz chyba, że fizyczny powrót Imperatora dokonał się na statku lecącym z centralnego systemu Cairenes do Dusable.

Bardzo dobrze, udzielono pomocy Imperatorowi, a istoty z Dusable zostały wynagrodzone.

- Tak właśnie działa polityka. A więc zignorujmy początkowe Złote Gniazdo i jego Jajo, czy cokolwiek to było.

- Ale ich prosperity nadal trwa. Podczas ostatniego roku, jak się dowiedziałam, zostało zawartych niemal sto kontraktów ze stoczniami Cairenes. Żaden z nich nie został umieszczony w oficjalnej ofercie. Po co budować okręty wojenne teraz, kiedy panuje pokój? Z wojen pozostało ich więcej niż trzeba. Doki pełne są nie odebranych jednostek.

- Czy mamy do czynienia z tym - zastanawiał się głośno Ecu - co, jak słyszałem, Imperator nazywa kupowaniem sobie wyborców? To prawdopodobne. Ale nie mogę brać pod uwagę czegoś, co nie jest oparte na faktach. To moje zawodowe uprzedzenie.

- Istnieją jeszcze kolejne kawałki układanki. Moja koleżanka - tak naprawdę to jedna z kobiet, które próbowałam nauczyć logiki - dostała ciekawe zadanie. Jej specjalnością są psychologiczne aspekty rekrutacji wojskowej. Ma ona przygotować kampanię, pod ściśle określonymi warunkami, dla światów Tahnu.

- Co?

- Tak. Naszego byłego wroga, pozostającego teraz w dołku większym nawet niż Imperium.

Na marginesie dodam, że nie zrobiono nic, aby wspomóc ich ekonomicznie. Teraz werbownicy przebiegają te światy i zbierają rekrutów.

- To złe - powiedział Ecu. - Ale wiemy z historii, że zdarza się czasami, iż wojsko ofiarowuje swoje szylingi tam, gdzie panuje największa bieda.

- Prawda. Jeśli jednak pamiętasz, to Imperator pod koniec wojny był zdecydowany, że te stare militarne szaleństwa, jakie tahniyczycy nazywali swoją morderczo-samobójczą „kulturą”, powinny zostać zniszczone. Obecnie ci imperialni werbownicy głoszą, że nadszedł już czas, aby wojownicy Tahnu podnieśli się i znów stanęli do walki, by dowiedli, że nadal cechuje ich męstwo przodków, nawet jeśli przodkowie owi walczyli w złej sprawie. Nadeszła chwila, abyś zaczął pomagać w obronie Imperium, tłumacząc każdemu. I tak dalej, i tak dalej.

Ecu poszybował wysoko w górę, aż pod sklepienie jaskini, myśląc o tym wszystkim.

- Dla ekonomicznego dyletanta może to mieć sens, aby dążyć do wyjścia z kryzysu poprzez produkowanie niepotrzebnej broni - powiedział. - Ale wtedy nie zatrudnia się żołnierzy czy żeglarzy.

Są po prostu zbyt kosztowni i sprawiają zbyt wiele kłopotów podczas pokoju. Sam żołąd i wyżywienie wiele kosztują, jeżeli potrafisz o tym myśleć na zimno. Po co szukać żołnierzy - zakończył - jeżeli nie ma wroga?

- Może Imperator widzi jakiegoś wroga - stwierdziła łagodnie Rykor. - Biorąc pod uwagę naturę władców - dodała cicho, niemal szeptem. - Biorąc pod uwagę to, kim się stają.

- Ale Imperator jest Wieczny - powiedział Ecu, tracąc swoją zwykłą równowagę, - To się nigdy przedtem nie zdarzyło.

- Nie. Nie zdarzyło. Coś się zmieniło. Ale to nie mój kłopot. - Znowu wcisnęła kilka klawiszy. - To złudne, i bardzo łatwe, dla każdego pokolenia, aby piszczeć o Armageddonie. Ale komputery nie stają się popędliwe i marudne.

Przejrzałam prognozy. Przewidywania. Zrobimy to razem jeszcze raz dzisiaj, później, kiedy oboje nieco odpoczniemy, aby upewnić się, że nie popełniłam żadnego błędu.

Narazić wysnułam z tego następujące wnioski: przykład Imperium ostatecznie dowodzi, że nie ma żadnej genetycznej huśtawki. Jak wszystkie poprzednie imperia postępuje po szlaku wiodącym do ucisku, korupcji, degrengolady, a teraz zagraża mu widmo zniszczenia. Nie z powodu procesów historycznych ani jakiegoś zewnętrznego wroga. Ale z powodu jednej istoty: Wiecznego Imperatora.

Taki też właśnie był ostateczny wniosek pana Ecu.

- Sądzę - powiedziała Rykor, kiedy przeminęło kilka chwil, parę myśli - że przybyłeś tu, aby uzyskać ode mnie coś więcej niż tylko potwierdzenie swojego zdrowia psychicznego. Jesteś zbyt rozsądną istotą na to, aby podróżować tak daleko, przy takim ryzyku dla swojej rasy i osoby, tylko po to, żeby uzyskać podtrzymanie na duchu.

- Tak - powiedział Ecu.

I nagle przemknęła mu przez głowę myśl: oto on, mistrz dyplomacji. Konsultant.

Doświadczony ekspert i doradca. Szara eminencja ponad pół tysiąca władców, istota, która nawet odważała się doradzać samemu Wiecznemu Imperatorowi, i której rady akceptowano.

Oto on, potrzebujący konsultacji Rykor, jakby był emocjonalnie niezrównoważonym młodzieńcem.

Zrozumiał teraz, dlaczego Rykor cieszyła się takim respektem.

- Chcesz wiedzieć - powiedziała Rykor - co musimy zrobić, aby temu zapobiec.

- Tak - powtórzył Ecu.

- Nie wiem. Rozważałam to, rozważę raz jeszcze. Ale nie mam odpowiedzi. Mimo to mogę poddać ci jedną myśl, ponieważ wszystko to, co dotąd powiedziałam, jest bardziej posępne niż północ. Rozważ te słowa. Co stałoby się, gdyby Imperator nie powrócił? To znaczy, nie powrócił wcale, a nie w późniejszym terminie.

- Mielibyśmy chaos - powiedział Ecu. - Popadlibyśmy w barbarzyństwo.

- Zgoda. Ale to stałoby się tylko z jednego powodu - braku AM2, prawda? Obecność czy nieobecność Imperatora nie stanowi na tyle znaczącego czynnika, aby spowodować upadek wszystkiego.

- Tak - stwierdził ostrożnie pan Ecu. - Zgadzam się z tym.

- Dziękuję. A teraz, czy mam rację mówiąc, że każda rasa, każda kultura ma swoje średniowiecze? Czasami wiele razy?

Ciało pana Ecu drgnęło, skinął potwierdzająco.

- I zawsze z tego wychodzi?

- Nie jestem w stanie powiedzieć, że zawsze - stwierdził Ecu. - Niektóre rasy mogły popaść w zupełne barbarzyństwo, i nie napotkaliśmy ich. Albo ulegały kompletnej degeneracji i samozagładzie.

- A zatem eliminujemy taką możliwość - ciągnęła Rykor. - Ale to zasadniczo prawda. Czy zgodzisz się z tym, że po zdżyczeniu następuje renesans?

- Tak. I podnosisz mnie na duchu, nawet jeśli nie wierzę, że coś takiego mogłoby przytrafić się Imperium. Ono jest zbyt wielkie, zbyt starożytne, zbyt wszechpotężne.

- Nie, jeżeli z równania zabierze się AM2.

- Ale Imperator jest jedyną istotą, która wie, gdzie znajduje się AM2 w stanie surowym, albo jak się je syntetyzuje.

- Panie Ecu - zganiła go lekko Rykor - jesteś zbyt wykształcony i inteligentny, aby pozwolić sobie na myślenie, że istnieje tylko jeden wynalazca będący w stanie wytwarzać jakiś produkt.

Albo jeden filozof zdolny wymyślić system społeczny.

Pan Ecu powiedział:

- I znowu podnosisz mnie na duchu. Ale obawiam się, że nikt nie wierzy, aby wszczęcie poszukiwania AM2 mogło przynieść jakikolwiek skutek. Rada próbowała przecież usilnie.

- Rada była, i znowu muszę użyć słowa naładowanego uczuciami, złem. Mniej emocjonalnym zwrotem jest „nastawiona na własne korzyści”. Ale ja powiem: złem.

„Zło”, jako przeciwieństwo „dobra” jest z samej definicji krótkowzroczne, egoistyczne, leniwe i nieuczciwe.

Dlatego też ich poszukiwania mogły przebiegać tylko w pewnych granicach i musiały prowadzić do porażki.

- Rykor, jak możesz pozostawać taką optymistką, pomimo swojego doświadczenia? - zastanawiał się zachwycony Ecu. - Widziałem triumfujące zło równie często, jak dobro. Jak powiedziałby Kilgour w tym prymitywnym dialekcie, który w jego przekonaniu jest zrozumiałym językiem, czysty umysł, czyste ciało. Wyciągnij wnioski.

- A teraz - powiedziała, wyciągając swe obfite cielsko z wody, na brzeg, a następnie na krzesło grawitacyjne - czy moglibyśmy przenieść się do górnej komory, gdzie czeka jedzenie i większa ilość twojego sprayu? Nie musimy wpadać w panikę już tego wieczoru.

Nawet entropia postępuje miarowym, powolnym krokiem.

Ecu leciał nad jej krzesłem grawitacyjnym, gdy przemieszczali się w górę, głębiej w otchłanie skalne, wciąż rozważając swój podstawowy problem. Zdawał sobie sprawę, iż oboje jakoś dosyć obojętnie zaakceptowali fakt, że Imperator musi być usunięty, a przynajmniej unieszkodliwiony. Odkładając na bok sprawę AM2, następne pytanie brzmiało: kogo można by sobie wyobrazić w roli bohatera, który podjąłby to ryzyko dla dobra ogółu?

Jeszcze raz przemknęło przez jego umysł to nazwisko.

Człowiek, który chciał, by wszyscy mogli latać.

Sten.

## Rozdział 33

Echa zamachu bombowego w koszarach wciąż jeszcze rozbrzmiewały, gdy Iskra rozpoczął umacnianie i rozszerzanie swojej władzy. Cisza informacyjna narzucona przez Wiecznego Imperatora jak najbardziej była po jego myśli.

Iskra wypełnił fale eteru ostrą nagonką na tych bezimiennych zdrajców, którzy upokorzyli Mglawicę Altaic swoim tchórzliwym atakiem na siły pokojowe Imperatora. Ogłosił stan wyjątkowy. Ustanowił godzinę policyjną od pierwszej godziny przed zmrokiem do pierwszej godziny po świcie. Zakazał wszelkich demonstracji, publicznych protestów i strajków. Wspomniał również mgliszcie o „innych środkach” które zostaną „ujawnione w odpowiednim czasie”.

Zakończył pełnym pasji apelem, by wszyscy obywatele „zajrzeli w swoje dusze i dusze swoich sąsiadów w poszukiwaniu jakichkolwiek śladów niełojalności”.

Po wiekach brutalnych represji obywatele wiedzieli, co miało nastąpić. Niektórzy zaczęli szperać w materacach i ogródkach w poszukiwaniu pieniędzy na łapówki. Inni robili listy nieprzyjaciół, na których mogliby donieść. Większość pochowała się w domach i czekała, aż rozlegnie się kopanie i łomotanie kolbami w drzwi.

Ale nawet przezorne i doświadczone w przeżywaniu strachu, istoty z Mglawicy Altaic nie były przygotowane na to, co miało nastąpić.

Milhouz, szczupły i dumny w swoim nowym, czarnym mundurze ze srebrną odznaką „Studenci dla Iskry” i w zgrabnym berecie, miał na jednym naramienniku kapitańskie naszywki, a na drugim opaskę Korpusu Cnoty.

Wyciągnął pistolet i wydał rozkazy swoim gorliwym, młodym podwładnym.

- Chcę, aby tym razem odbyło się to perfekcyjnie. Rozejdźcie się na pozycje - tylko cicho, do cholery! Kiedy dam sygnał, idziemy wszyscy razem. Rozumiecie?

Rozległ się przyciszony chór:

- Tak jest, sir.

Milhouz zrobił dłońmi pompatyczny gest „no to ruszamy”. Korpus Cnoty strzałem dał sygnał do akcji.

Oddział taranujący dotarł do celu. Milhouz i główne siły podążały za nim.

Wszyscy kroczyli w dół ciemnej, trzypasmowej alei, prowadzącej do centralnej biblioteki Rurik. Księżycy Jochi oblewały tę scenę przytłumionym światłem.

Tego wieczoru lampy paliły się w bibliotece do późna. Główny bibliotekarz - starszy Tork o nazwisku Poray - ciężko pracował nad tym, aby otrzymać pozwolenie na pracę w nocy, pomimo godziny policyjnej. Podał oficjalny powód: chce przeczesać zbiory w poszukiwaniu niebezpiecznych



materiałów, podpadających pod dekrety Iskry.

Prawdziwą intencją bibliotekarza było uratowanie tak wielu materiałów, jak to tylko możliwe. Poray i jego pracownicy zwołali wszystkich podobnych sobie intelektualistów. W ten właśnie sposób postępowali wiele razy podczas rządów Khaqana. Ta tradycja uratowała w przeszłości najbardziej wartościowe teksty w zbiorach biblioteki.

Kiedy czarne kształty Korpusu Cnoty Milhouza otaczały budynek, Poray jeszcze raz sprawdzał swój wybór. Nie mógł uratować wszystkiego. Musiał oddać wystarczającą ilość zabronionych materiałów, aby udowodnić niezbitą lojalną intencję społeczności intelektualistów.

Przejrzał wózki z aktami i książkami, przewożonymi do sekretnych schowków w piwnicach biblioteki. Z jednej strony stał stos rzeczy, które miał zamiar oddać podpalaczom książek.

To był bardzo mały stos.

Poray westchnął. Nie robił dobrze. Musiał ostrzej eliminować. Podniósł dwa stare tomy. To były prawdziwe białe kruki - jedyne kopie tych prac w posiadaniu biblioteki.

Jeden z nich stanowił zacytowany egzemplarz „Fahrenheit 451” Raya Bradbury’ego; drugi - dziewiczą kopię „Zdrowego rozsądku” starożytnego myśliciela Thomasa Paine’a.

Poray nienawidził bawić się w intelektualnego boga. Cierpiał nad tym, że jego gust stanowi jedyne kryterium tego, co pozostanie, a co ulegnie zniszczeniu.

Jeszcze raz spojrzął na „Zdrowy rozsądek”. Potem na książkę „Fahrenheit 451”.

Wzruszył ramionami.

Bradbury powędrował na wózek z pozycjami, które miały zostać uratowane.

„Zdrowy rozsądek” ulegnie spaleni. Przebacz mi, panie Paine, pomyślał Poray.

Rozległ się brzęk szkła i zgrzyt metalu, kiedy uderzył Milhouz ze swoim Korpusem Cnoty.

Poray patrzył, jak umundurowani na czarno młodzieńcy wkraczają do biblioteki.

Pracownicy i ochotnicy zaczęli wydawać okrzyki strachu.

- Zniszczyć inteligencję! - ktoś wrzasnął.

Milhouz podszedł do Poraya, podniósł pistolet. Poray instynktownie podniósł Thomasa Paine’a jako tarczę.

Milhouz wystrzelił.

Poray padł na ziemię.

Martwy, jak „Zdrowy rozsądek”.

Kolejka do sklepu spożywczego rozciągała się na pół kilometra. Głodne istoty setkami karnie stały w szeregu, trzymając kartki na racje żywnościowe i czekając na chwilę, kiedy otworzą się drzwi.

Tkwiły tu od chwili, kiedy minęła poranna godzina policyjna, co oznaczało siedem godzin dla pierwszej istoty w kolejce. Słońce grało niemiłosiernie.

- Codziennie otwierają coraz później - zamruczała jakaś staruszka.

- I coraz mniej jedzenia można kupić - dodała inna.

- To same śmieci - powiedziała trzecia. - Doktor Iskra powinien zejść tu na dół i popatrzeć na te pomyje. Ukaraliby właściciela sklepu za to, że taki z niego złodziej.

Zanim podjęto dalszą wymianę zdań, kolejka przesunęła się do przodu.

- Otwierają! - wrzasnął ktoś.

Zaraz potem tłum stanął. Kolejkowicze rozglądali się ze zdziwieniem. Ludzie z tyłu wyciągali szyje, żeby zobaczyć, co się tam dzieje.

Sklepu nie otwierano.

Zamiast tego szereg żołnierzy sunął wzdłuż alei, z bronią gotową do strzału.

Głos oficera zabrzmiał przez tubę nad tłumem:

- Niech nikt się nie rusza! To jest kontrola dokumentów. Trzymać karty żywnościowe w lewej ręce. Dokumenty osobiste w drugiej.

Tłum zaszemrał, jednak szybko zabrano się do wypełnienia rozkazu oficera.

Ale stara kobieta, która narzekała na długie czekanie na żywność, miała inny pomysł.

Wystąpiła z tłumu i pokuśtykała do oficera.

- Powinieneś się wstydzić, młody człowieku - powiedziała. - My wszyscy jesteśmy głodni, i czekaliśmy całymi godzinami, żeby kupić żywność dla naszych rodzin.

Oficer zastrzelił ją tam, gdzie stała. Kopnął jej drgające zwłoki.

- Więc idź, babciu. Teraz już nie musisz czekać.

Dowodząca sąsiedzkim patrolem obywatelskim Bogazi posuwała się ostrożnie wzdłuż barykady, sprawdzając, czy nie ma w niej szczelin i dokonując inspekcji straży na ich posterunkach. Barykada była równie mocna jak podczas ostatniego przeglądu, a strażnicy równie czujni jak w pierwszym dniu służby.

Bogazi rozejrzała się po śpiącej dzielnicy. Ani jednego światła w oknach, żadnego ruchu w gniazdach. To dobrze, pomyślała. To bardzo dobrze. Wtem usłyszała niski dźwięk dobiegający z tyłu. Obróciła się. Dźwięk zanikł. To tylko wyobraźnia, pomyślała. Jestem głupia.

Wóz bojowy pojawił się zniemacka nad barykadą, ziejąc ogniem karabinów maszynowych.

Komendantka wartowników została przecięta na pół, zanim zdążyła wybełkotać ostrzeżenie.

Dwa następne wozy bojowe wychyły z cienia, otwierając ogień w kierunku dzielnicy. Po kilku minutach gniazda płonęły, a Bogazi kłębili się na zewnątrz. Niektórzy byli ranni. Inni nieśli rannych. Wszystkich paraliżował strach.

Oddziały Jochiańczyków przedarły się przez barykadę. Za nimi sunęła druga linia grawisań.

Godzinę później ciężarówki były załadowane tymi Bogazi, którzy przeżyli, i skierowały się na zewnątrz, w czarną przestrzeń nocy.

Następnego dnia spychacze niwelowały razem z dymiącym gruzem ciała zmarłych. Do zapadnięcia nocy dzielnica została zrównana z ziemią.

Następnego wieczoru na ekranach ogłoszeniowych Jochi pojawiły się anonsy o nowych miejscach do zasiedlenia dla „lojalnych obywateli”. Zostały rozchwyte przed upływem nocy.

List od majora saperów Shase Marl do głównego dowódcy S’Kt, komendanta Siódmego Frontu Armii:

...i chociaż wiem, że przesłanie tego listu narusza wojskową drogę służbową, to jednak czuję, iż nie ma nikogo innego, kto posiadałby autorytet i rangę odpowiednie do rozwiązania opisanego w nim problemu.

Piszę do Pana nie tylko jako do mojego najwyższego dowódcy, ale także dlatego, że pamiętam minione lata, zanim ten zły człowiek, który nami rządził (jego pamięć niech będzie przeklęta) zmusił Pana do przejścia na emeryturę. Przemawiał Pan do mojej pierwszej klasy na Akademii Kiushev. Nigdy nie zapomnę tych słów, że oficer ma, wobec swojego honoru i swojej rasy obowiązki stojące ponad pisemnymi rozkazami. Ten list stanowi dla mnie ostatnią szansę wypełnienia tych powinności.

Problem powstał, kiedy moja jednostka została skierowana do prowadzenia operacji oczyszczania na Ochio IX, jednym ze Spornych Światów, Sektor Siódmy pańskiego frontu. Tereny te

zostały tylko częściowo spacyfikowane, nadal znajdowali się tam walczący Suzdalowie, którzy poprzez swoje siły zbrojne usiłowali udowodnić prawa do tej planety, rzecz jasna należącej do Jochiańczyków. Zostałem poinstruowany, przydzielono mi obszar do spacyfikowania i dodano kilka jednostek wspierających, ich nazwy i przydział nie mają tu znaczenia z wyjątkiem jednej. Była to Trzecia Kompania Uderzeniowa, Druga Szabla, Korpus Specjalny, a dowodził nią kapitan L'merding.

Dokonałem inspekcji tej jednostki przed jej wysłaniem i odniosłem wrażenie, że żołnierze wyglądają odpowiednio w swoich wyjściowych mundurach i są szczególnie dobrze wyposażeni w broń do operacji antypartyzanckich. Pomimo to zdawało mi się, że nie zostali wystarczająco przeszkoleni, a ich oficjalni i nieoficjalni przywódcy nie zrobili dobrego wrażenia. Nie krytykowałem, rzecz jasna, lecz powitałem tę jednostkę i powiedziałem, że daję im wyjątkową sposobność do wykazania się i dowiedzenia, że nowy korpus wart jest przynależności do Armii Jochiańskiej i służenia doktorowi Iskrze.

Jedyna odpowiedź, jakiej udzielił mi kapitan L'merding brzmiała, że mają oni swoje rozkazy i wypełnią je.

W tym momencie zwróciłem się do mojego przełożonego, pułkownika Ellmana i poprosiłem o sprecyzowanie przydziału. Nie otrzymałem go. Żołnierze wylądowali i przegrupowaliśmy się na tereny wiejskie, zamieszkałe przez mieszaną populację Torków, Jochiańczyków i Suzdalów, gdzie suzdalskie bandy partyzanckie miały mocne oparcie. Jak zwykle, Suzdalowie bronili się zażarcie (patrz: Raport 12-341-651-06, miesiąc trzeci, tydzień pierwszy, drugi i trzeci) i powodowali straty w moich siłach. Wzięto niewielu jeńców, ponieważ, jak Pan wie, Suzdalowie wolą zginąć niż się poddać.

Pierwszy problem, na jaki natknąłem się w związku z Trzecią Kompanią wynikł wtedy, gdy kapitan L'merding odmówił przeniesienia się na wieś, na moje rozkazy odpowiadając obojętnym stwierdzeniem, że prawdziwym wrogiem nie są wieśniacy - to jego własne słowa - ale raczej stojący za nimi źli konspiratorzy w miastach i miasteczkach. Stwierdziłem, że nie będę analizował tego dziwaczного oświadczenia, jako że jestem wojskowym, a nie politykiem.

Moja uwaga z początku, oczywiście, skupiała się na walce, i dopiero w trzecim tygodniu trwania operacji pacyfikacyjnej otrzymałem informacje, w które nie uwierzyłem z początku, ale stwierdziłem, że muszę je sprawdzić ze względu na honor Jochi.

Raport ten oskarżał 32. Korpus Specjalny, o najbardziej odrażające zbrodnie.

Osobiście udałem się na teren, za który odpowiadała kompania kapitana L'merdinga i stwierdziłem, że oskarżenia owe odpowiadają prawdzie. Jednostka Korpusu Specjalnego rzeczywiście mordowała cywilnych Suzdali, naruszając akceptowane zasady wojny. Ich cel stanowili, w szczególności, wykształceni Suzdalowie, a zwłaszcza nauczyciele i prawodawcy. Zwracali także szczególną uwagę na bogaczy. Istoty te zabierano z ich siedzib, po czym znikwały. Kapitan L'merding odmówił dokładnego określenia, co się z nimi dalej dzieje, ale ich los wydaje się oczywisty.

Istnieją potwierdzone raporty o mordowanych dzieciach, gwałtach na cywilnych Jochiańczykach i obrabowanych budynkach. W dodatku mordowanie nieuzbrojonych cywilów odbywało się w biały dzień, a ciała pozostawiano na ulicach. Oczywiście jest, że tak zwana kompania uderzeniowa to nic innego, jak zbiór gangsterów i chuliganów. Kapitan L'merding ogłosił na tym obszarze dyrektywę, podpisując je osobiście, że używanie języka Suzdalów w mowie czy w piśmie jest nielegalne i

Suzdalom nie wolno zbierać się w grupach większych niż dwa osobniki. Karę za naruszenie tych zakazów stanowi natychmiastowa egzekucja.

Ogłosił także inne rozkazy, równie nielegalne, ale najgorsze było oświadczenie, że każde przestępstwo popełnione przez Suzdala spotka się z najwyższym odwetem, co obejmuje zniszczenie domu rodzinnego, eliminację całej linii genetycznej oraz egzekucję stu osobników wybranych losowo. Powiedziałem kapitanowi L'merdingowi, że jest zwolniony. Roześmiał się.

Usiłowałem aresztować go. Moi adiutanci i ja sam zostaliśmy rozbrojeni, pobici, rozkazano nam opuścić obszar albo pogodzić się z najgorszymi konsekwencjami. Powróciłem do mojej własnej jednostki, zawiadomiłem komendanta batalionu o działaniach kapitana L'merdinga i poprosiłem, aby wysiano jednostkę bojową w celu ujęcia tej bezwstydnego kreatury i jego zbirów.

Pułkownik Etlman powiedział mi najpierw, żebym pilnował swoich własnych spraw. Spierałem się, a w wyniku tego otrzymałem bezpośredni rozkaz, aby zostawić bandziorów L'merdinga w spokoju.

Pułkownik Ellman poinformował mnie, że ta kompania i inne elementy Korpusu Specjalnego wypełniają rozkazy dane im przez najwyższe autorytety - rozkazy, z którymi można się nie zgadzać, ale trzeba je wypełniać, aby dokonała się ich niezwykle ważna misja. Odmówiłem zaakceptowania tego i zwróciłem się ponad głową pułkownika Ellmana najpierw do dowódcy brygady, a potem, kiedy nic nie zaszło, do dowódcy dywizji.

Powiedziano mi, że jestem winny niesubordynacji i zachowania przynoszącego wstyd Jochi.

Kiedy nalegałem, zostałem nielegalnie przeniesiony o sto numerów w dół na liście awansów, bez żadnego procesu. Jestem teraz zdesperowany, główny dowódco, i dlatego piszę do Pana.

Czy nie ma już honoru w Altaic? Czy nie ma żadnej godności u naszej szlachetnej rasy? Czy nasza własna armia, armia, której poświęciłem życie, stała się tylko bandą morderców?

List ten nigdy nie doczekał się odpowiedzi.

Sześć tygodni później saper major Shase Marl został zabity na tyłach. Dzienny raport jego jednostki stwierdzał, że nastąpiło przypadkowe rozładowanie broni i winowajca nie jest możliwy do ustalenia.

Saper major Marl został awansowany o jeden stopień, pośmiertnie nagrodzony honorową wstęgą i jedną gwiazdą i honorowo pochowany na jednym ze Spornych Światów, Ochio IX.

Główna droga prowadząca do portu kosmicznego Rurik była potężnym morzem nieszczęścia. Setki tysięcy istot szły z trudem pod ciężkimi ciosami, popychane, bite, kopane przez żołnierzy Jochi.

Nie istniał żaden podział gatunkowy podczas tego ciężkiego marszu. Suzdalowie, Bogazi i ludzie mieszały się pomiędzy sobą.

Tłum uchodźców był tak zbity, że jeśli jakaś istota padała, to jej ciało ciżba niosła dalej.

Wszyscy krzyczeli z żalu za członkami rodziny albo po prostu z rozpacz.

Na uchodźców czekały w porcie antyczne frachtowce, które Iskra zmusił do powrotu do służby. Kolejni żołnierze pilnowali wejść do tych statków, pakując istoty do ładowni, zanim nie zapełnili ich ponad wszelkie wyobrażenie.

Na sygnał zamykano drzwi i frachtowce wystrzeliwały w górę. Ledwo zdążyły wejść na orbitę, kiedy następne statki zajmowały ich miejsce.

Profesor Iskra obserwował tę scenę na ekranie z wielkim zainteresowaniem.

Naciskał klawisze na panelu kontrolnym, aby zobaczyć różne obrazy: szerokie ujęcia z zatłoczonej alei; zbliżenia zrozpaczonych twarzy; długie ujęcia ze spektaklu rozgrywającego się w

porcie kosmicznym. Kiedy jeden frachtowiec wystartował, Iskra oparł się na krzesło i pozwolił sobie na długi, pełen zadowolenia łyk swojej herbatki ziołowej.

Spojrzał na Venloe, rzadki cień osiadł mu na ustach - Venloe przypuszczał, że to uśmiech.

- Mam nadzieję, że wiesz o tym, iż obserwujesz historię rozgrywającą się na naszych oczach - powiedział Iskra. - Kto mógłby wyobrazić sobie taki exodus? Takie dokładne oczyszczenie naszego świata?

Venloe coś mruknął.

- No mów - naciskał Iskra. - Czyż nie zasługuję na co najmniej mały komplement za to, że poradziłem sobie z tym kryzysem?

- To nie moje zadanie, profesorze - stwierdził Venloe. - Poza tym, ma pan wystarczająco rozbudowaną sekcję pochlebców.

Iskra za bardzo był z siebie zadowolony, żeby się rozgniewać.

- W porządku. Nie oczekuję komplementów od ignoranta.

Venloe wskazał na ekran.

- Sądzi pan, że to genialne?

- A jak byś to nazwał, mój niewykształcony przyjacielu?

- Szalone - warknął Venloe. - Albo po prostu głupie.

- Jejku, jejku. Humanitaryzm wkradł się do zimnego serca.

- Niech pan nie myli profesjonalnej opinii z ciepłą czy chłodną naturą, profesorze - powiedział Venloe. - Powinno być oczywiste dla każdego, kto nie jest pedantycznym głupcem, że to tylko pogarsza sprawy. To jest nie tylko niepotrzebne, ale wręcz niebezpieczne. Za każdym razem, kiedy robi pan coś takiego - wskazał palcem na obraz, gdzie żołnierz walił ślaniającego się uchodźcą - robi pan sobie pięciu czy sześciu nowych wrogów.

- To nie konkurs popularności - roześmiał się Iskra. - Poza tym, zdawało mi się, że powinieneś się cieszyć. Po tym, co zaszło w koszarach, sądziłem że ucieszy cię ta zemsta za waszych biednych, zmarłych gwardzistów.

- Niech pan nie składa tego na nas - ostrzegł Venloe. - Nikt nigdy nie prosił o taki rodzaj działania. Proszę nie wciągać w to Imperatora.

- Ależ on już tkwi w tym - mruknął Iskra. - I całkiem głośno dodał: - No cóż, całe Imperium wie, jaki jestem dla niego ważny. - Wskazał na ekran. - Tak, jak niedługo wszyscy w Altaic dowiedzą się, że to w jego imieniu są czynione te ofiary.

Oczy Venloe zwęziły się.

- O czym pan mówi?

- To tylko początek - roześmiał się Iskra. - O, oczyszczenie Altaic będzie wymagało dużo więcej pracy.

- To znaczy?

- Obejrzyj moje następne wystąpienie - powiedział Iskra. - Myślę, że nawet na tobie zrobią wrażenie nowe dekryty.

Venloe uciekł wzrokiem od drwiącego spojrzenia Iskry. Na monitorze dostrzegł uchodźcę wyłamującego się z tłumu. Istota ta szybko rozwinęła ręcznie wykonany transparent.

Miał wystarczająco wiele czasu na to, by odczytać słowa na transparenecie, zanim człowiek został przygwożdżony przez żołnierzy: GDZIE JEST IMPERATOR?

## Rozdział 34

- Nie było sposobu, Wasza Wysokość, by ktokolwiek mógł przewidzieć to, czym stanie się Iskra - powiedział Venloe, dodając jeden mililitr stężonej sympatii do swego tonu. - Proszę nie dręczyć się tym. Ostatnim razem, gdy sprawdzałem, musiał pan martwić się o całe Imperium.

Ku skrywanemu zdumieniu Venloe, przelotny grymas przemknął przez twarz Wiecznego Imperatora. Zdziwienie, że ktoś się o to troszczy? Venloe nie umiał, nie ważył się interpretować tego, co widział na ekranie. Zadowolenie Imperatora szybko zmieniło się w łagodną stanowczość.

- Tak - powiedział Imperator. - Masz rację, Venloe. Zrozumiałeś trochę istotę rządzenia.

Widzę teraz, dlaczego Mahoney tak wysoko cię ceni, chociaż byliście po przeciwnych stronach.

Teraz na Venloe nadeszła kolej, aby ukazać pokerową twarz, Ian Mahoney w rzeczywistości nie tylko odmówił mu uścisku dłoni, jaki zwykle wymieniali dżentelmeni po zakończeniu walki, ale stwierdził do tego, że wolałby zabić Venloe. Powoli.

Venloe wierzył w to.

Bez zastrzeżeń.

Imperator zdawał się nie zauważać wystudiowanego braku reakcji.

- Te ostatnie działania, jakie podejmuje Iskra i jego reżim, o których raportowaliście ty, Sten i jeszcze inni agenci, są co najmniej psychopatyczne - ciągnął Imperator. - A więc musimy zająć się tym problemem bezpośrednio i natychmiast.

- Tak, Wasza Wysokość. Dziękuję za objaśnienie sytuacji. Obawiam się, że nie bardzo wiedziałem, którą opcję zastosować - kłamał Venloe, rozmyślnie łącząc bezczelnie, usiłując zobaczyć, w którym momencie padnie jakaś sławna sarkastyczna uwaga Imperatora.

Jednak Imperator patrzył na inny ekran i Venloe nie mógł się zorientować.

- Przypomniałem sobie - powiedział władca - te akta, które przygotowałeś na wszelki wypadek, gdyby coś poszło nie tak. Dobra robota, Venloe. Moje gratulacje.

- Dziękuję, sir.

- Powiem ci, którą możliwość chcę natychmiast wprowadzić w życie. Jednak najpierw pewna sprawa. Nastąpi zmiana w stosunku do moich poprzednich rozkazów. Chcę, abyś zaangażował się w to bezpośrednio. Nie ma możliwości, aby sterować tym z odległości. Tu nie może być - i nie będzie - najmniejszego błędu.

Venloe najeżył się nieco.

- Wasza Wysokość, moje operacje jak dotąd przebiegały pomyślnie, bez wyjątku, i ja zawsze jestem o krok do przodu przed wszystkimi w moich planach.

- To znaczy, że kiedy gównem wali się na głowę, ty jesteś bezpieczny poza miastem.

- Nigdy dotąd nie oskarżano mnie o tchórzostwo, sir. Przyczyną, dla której wolę zdalnie sterować operacją jest to, że chcę, aby dłonie mojego klienta pozostały czyste.

Jeżeli wykonawca zostanie złapany i złoży prawdziwe zeznania, nic to nie znaczy, ponieważ nikt poza tym agentem czy dwoma, którzy zostali rozmyślnie źle poinformowani, nie wpadnie w sieć.

Venloe pomyślał, ale nie powiedział, że ten cholerny plan działał wystarczająco dobrze na to, aby złowić największą możliwą rybę: samego Wiecznego Imperatora. Nie był przecież samobójcą.

- Teraz nie ma o tym mowy - stwierdził Imperator. - I to jest rozkaz. Chcę, abyś trzymał się blisko i osobiście korygował wszelkie błędy, jeżeli zostaną popełnione.

- Tak jest, sir.

- Bardzo dobrze. Powiedziałem ci, że Mahoney otrzymał przydział do tego zadania.

Nawiasem mówiąc, nic nie wie o tym planie. I chcę, abyś wyniósł się z Altaic, jak tylko zakończysz operację. Teraz, gdy dodamy Mahoneya do równania, twoja opcja musi zostać uzupełniona o kilka rzeczy. Po pierwsze, doktor Iskra ma zginąć. Natychmiast, Nie wolno dopuścić, aby cokolwiek podejrzewał, zanim zostanie unieszkodliwiony.

- Oczywiście, sir.

- Po drugie, biorąc pod uwagę zadania Mahoneya, jego misja okaże się o wiele prostsza, jeżeli niektórzy z tych pomagierów Iskry, kręcących się dookoła niego bezsilnych poszukiwaczy władzy, o których wspominał Sten w swoim raporcie, zostaną zlikwidowani.

Zamieszanie spowodowane ich zniknięciem jest jak najbardziej pożądane, dla dobra Imperium.

- To znaczy, że Wasza Wysokość wybiera opcję drugą lub trzecią.

- Dobrze. Będziesz wiedział którą, jeśli podam ci ostatni warunek. Imperium nie może zostać powiązane z tą sprawą. Nawet w szeptach czy najlżejszych podejrzaniach paranoików.

Najlepszym sposobem, abyśmy pozostali poza wszelkim podejrzaniem jest to, że jeden z naszych najbardziej szanowanych i zasłużonych poddanych zginie niestety podczas zamachu.

- Ambasador? Sir?

- Tak - powiedział Wieczny Imperator. - My wszyscy żyjemy po to, by służyć. I to będzie jego największe poświęcenie dla mnie. Sten musi umrzeć.

Księga czwarta  
WIR



## Rozdział 35

Venloe nie przewidywał żadnych większych problemów przy wypełnianiu rozkazów Imperatora - przynajmniej, jeżeli chodziło o zamordowanie Iskry i innych polityków jochiańskich, którzy wpadną w zasadzkę..

Nie podobała mu się specjalnie myśl o zabiciu Stena dla ukrycia spisku. Nie dlatego, aby coś do niego czuł - Sten i Mahoney wiele lat wcześniej wysłedzili Venloe'a w jego kryjówce i zmusili go do przejścia przez szokująco brutalne pranie mózgu - ale dlatego, że przypuszczał, iż Imperator planuje rozgrywkę, w której nikt nie będzie w stanie dotrzymać mu kroku.

Venloe nie sądził, by ktokolwiek w Imperium poza Mglawicą Altaic zwrócił w ogóle uwagę na to, że jakiś oślizgły dyktator został skrytobójczo zamordowany. Wielu wręcz przyklasnęłoby temu, nawet gdyby podejrzewali, że to Imperator kierował całą akcją.

Ale miał swoje rozkazy.

Sten musiał zatem zginąć.

Im bardziej się nad tym zastanawiał, tym bardziej dochodził do wniosku, że mu się to opłaci. Sten był zbyt sprytny, zbyt dobry w podzielnosci uwagi i szybkim myśleniu podczas działań wywiadu. Gdyby leżał w drewnianej skrzynce, zadanie Venloe stałoby się mniej ryzykowne.

Venloe nadal czuł gniew na myśl o rozkazie Imperatora, że ma osobiście uczestniczyć w morderczym spisku. To głupie. I dowodzi pewnego braku zaufania. Ale w końcu wzruszył ramionami i zapomniał o tym. Wieczny Imperator nie był pierwszym klientem, który miał absurdalne wymagania - a na pewno największym, z którym Venloe kiedykolwiek pracował, i musiał czuć się zadowolony.

Venloe więc miał powrócić do lat młodości i raz jeszcze okazać swoje talenty zabójcy.

Niech tak się stanie. Venloe dodał jeszcze jedną godzinę do swojej normalnej porcji ćwiczeń, zastanawiając się równocześnie, jak ma dalej postępować.

Był zbyt mądry, aby zignorować rozkaz Imperatora. Istniało wielkie prawdopodobieństwo, że ta wzmianka o „innych agentach” w Mglawicy Altaic to bluff - ale po co podejmować ryzyko?

Jedno ciało więcej - czy tuzin - nie robiło mu różnicy. Po dłuższych rozmyślaniach znalazł pewną furtkę. To było zwykłe i proste, co oznaczało, że zapewne się sprawdzi.

Brzytwa Ockhama goli nawet przy mokrej robocie.

Gdy już uda mu się uciec z jatki, wszystko, co musi zrobić, to opuścić Jochi i wydostać się z mglawicy. Dobra. Miał prywatny jacht, który ukrył na zapasowym lotnisku poza obszarem Rurik dwa tygodnie po przybyciu wraz z Iskrą na planetę.

Venloe, jak ktoś kiedyś powiedział, nie wszedł nawet do latryny bez upewnienia się, że istnieje jakieś wyjście - nawet jeżeli oznaczało ono konieczność skoku prosto w gówno. Venloe uznał to za

komplement.

Zapewniając sobie wyjście z sytuacji wiedział także, jaką będzie miał broń.

Wolał zdecydowanie wyprodukowaną przez Imperium broń ze względu na jej jakość ale ponieważ planował porzucenie sprzętu na miejscu, pomyślał, że lepiej uczyni używając lokalnego wyrobu.

Jako że był dumny ze swojego gustu, wolał, żeby nawet narzędzia morderstwa nie wyglądały jak zwyczajna konfekcja. Wybrał w końcu doskonale urządzenie: przestarzały sztucer sportowy, wyprodukowany rzemieślniczo sto lat wcześniej, przeznaczony do polowania na dzikie zwierzęta, teraz już wytępione. Odnalazł ładownicę i zrobił nowe naboje i ręcznie ładowany zapłon, umieszczony w osłonie pochwy sztucera.

A teraz kwestia morderstwa.

Właściwie morderstw, ponieważ Imperator chciał wielkiego bum.

To też było proste.

Zaczął od jednostek Korpusu Specjalnego doktora Iskry. Każdy dyktator, dla którego pracował Venloe, albo o którym tylko słyszał, miał swoich prywatnych zbirów, z jakąś etykietką - od Einsatzgruppen Fida'is, Mantisa i nowo sformowanej Wewnętrznej Służby Imperatora, aż po ową jednostkę Iskry.

Venloe nie myślał o nich zbyt wiele. Zwracał się do nich publicznie „brodacze” albo „brody” i odmawiał wyjaśnienia dlaczego. Tak naprawdę to Venloe porównywał ich do jednej z najmniej kompetentnych zbrodniczych organizacji wszechczasów, dawno temu na starożytnej Ziemi.

Pierwsza i - jak zapewne myślał Iskra - najlepsza komórka z tych jednostek Korpusu Specjalnego, głęboko zakonspirowana, zniknęła nagle ze swojego bezpiecznego domu w posiadłości na obrzeżach Rurik. Nie było żadnych plotek ani żaden oddział nie twierdził, że maczał w tym palce. Venloe zastanawiał się chłodno, czy przypadkiem Sten nie pozwolił sobie na odrobinę prywatnej przyjemności i nie wyciął ich w pień, jako że owa jednostka została wyznaczona do nękania Gwardii Imperialnej i niemal na pewno odpowiadała za wysadzenie koszar w powietrze.

W każdym razie efekt był natychmiastowy - jak zimny prysznic. Kilka całych jednostek Korpusu Specjalnego poprosiło o przeszerogowanie do normalnego wojska na innych światach, aby tam wypełniać swoje obowiązki w walce przeciwko Bogazi, Suzdalom czy Torkom.

Inni członkowie konspiracji przestali działać. Skończyło się na tym, że istoty nadal lojalne w stosunku do Iskry polowały na nich i traktowały jak zdrajców.

Tak czy inaczej, Korpus Specjalny Venloe uznał za niezły żart. Ale to nie znaczyło, że nie może ich wykorzystać. Poprosił, aby ich dowodzący wywiadem sporządził listę, które istoty, służące teraz w armii Jochi, mogą być uważane za potencjalnych zdrajców i zdolne do stawiania zbrojnego oporu, a którymi oddziały Korpusu Specjalnego nie zdążyły się jeszcze zająć.

Tak otrzymał jedną listę.

Drugą dostał z kontrwywiadu armii. Ta była nieco mniej histeryczna.

Każde nazwisko, które figurowało na obu listach, Venloe umieszczał we własnym wykazie hipotetycznie niebezpiecznych osobników. Nie mógł uwierzyć, jak długa okazała się ta krótka lista - do diabła, Iskra nie był jednak tak dobry w mordowaniu, jak Venloe myślał.

To dało mu ostateczny argument do końcowej redukcji - pozostał na liście każdy, kto przyjaźnił się czy miał przydział do tej samej jednostki z jakąkolwiek z istot, które Iskra aresztował po przybyciu na Jochi, istot, nadal według oświadczeń Iskry więzionych w Fortecy Gatchin.

Venloe wiedział lepiej, ale nie zawracał sobie głowy szukaniem gdzie Iskra ukrył ciała, skoro nie odnaleziono żadnych śladów.

Z ostatniej wersji listy był całkiem zadowolony. Poczł się jeszcze lepiej, kiedy się zorientował, że niektóre z tych istot, a wszystkie miały doskonałe powody do tego, żeby nienawidzić Iskry, złożyły przemyślane podania o przydział do pewnych jednostek.

Venloe promieniał i pozwolił sobie na szklaneczkę doskonałego wina tego wieczoru. Jedyną rzeczą lepszą od tworzenia fałszywej konspiracji jest odnalezienie już istniejącej i posłużenie się nią do własnych celów. Potem posłał swoich dwóch najbardziej zaufanych pomocników w teren, aby zorientowali się, kto kieruje tą konspiracją od zarania.

Na czele tajnej organizacji stało czterech młodych oficerów. Żaden z nich nie wydawał się mieć najmniejszego pojęcia o tym, jakie specjalne zadania postawiono przed tą formacją - ale miała zostać użyta, i to niedługo, w celu zniszczenia Iskry. Oficerowie nie byli szczególnie inteligentni ani przebiegli. Gdyby ich Venloe nie odnalazł, bez wątplenia wpadliby w ręce kontrwywiadu albo Korpusu Specjalnego i zostali poćwiartowani.

W końcu zdecydował, że może się nimi posłużyć. Bardzo dobrze. Technię mordowania, jaką chciał zastosować tego dnia, zakodował w umyśle jako Crimson Ratpack.

Używając nigdy nie kwestionowanego autorytetu Iskry, odebrał ich akta z kontrwywiadu i spalił je.

Teraz wiele mu zawdzięczali. Ocalił im życie. Mogli zatem co najmniej poświęcić je dla niego, ale tym razem po to, aby spełnić swoje marzenia, a nie skończyć jako przypalone skwarki przy Ścianie Śmierci.

Jego dwaj pomocnicy przyprowadzili owych czterech oficerów, nie informując ich, że zakulisowy doradca Iskry ma zamiar podciąć swojemu szefowi gardło. Venloe miał rację - byli wniebowzięci, zgłaszając się na ochotnika do tego samobójczego zadania.

Venloe miał już połowę aktorów. Teraz potrzebował jedynie drugiej połowy - ofiar. I teatru.

To też nie sprawiało trudności.

- Nie widzę - powiedział doktor Iskra, brnąc mozolnie przez memorandum Venloe - jaki cel ma mieć ta farsa. Co ja, to znaczy co rząd Mgławicy Altaic dzięki temu osiągnie?

- Solidarność - stwierdził Venloe.

- W jaki sposób?

- Po pierwsze, prostacy uwielbiają głupawe pokazy, jak pan to stwierdził w swoim eseju „Rewolucja musi rozumieć duszę ludu”.

- Prawda.

- Po drugie, ostatnio dało się słyszeć opowieści o pewnych zdarzeniach, w których brało udział wojsko i Korpus Specjalny.

- Takie wypowiedzi powinny zostać ukarane.

- I są - powiedział Venloe. - Pańskie jednostki z Korpusu Specjalnego działają wyjątkowo efektywnie w tym obszarze. Ale mamy teraz okazję zapewnić sobie pozytywny obraz.

Jak ktoś, obserwujący szlachetnych żołnierzy Jochi podczas defilady mógłby uwierzyć, że popełnili czyny, o jakie oskarżają ich te plotki?

- Aha.

- Do tego jeszcze taka parada stanowi doskonałą sposobność do pokazania, że pański rząd jest

popierany przez wszystkich, nie wyłączając Torków, kiedy widzowie zobaczą na ekranach przywódcę Torków stojącego tuż obok pana na trybunie honorowej.

- Menynder nie zechce.

- Ależ zechce - sprzeciwił się Venloe. - Ponieważ alternatywne wyjście, jakie mu proponujemy, na pewno mu się nie spodoba.

Iskra zastanawiał się.

- Tak. Tak, Venloe, rozumiem twój sposób myślenia. I zbyt długo już nie pokazywałem się mojemu ludowi. Jak wskazałem kiedyś w napisanej przeze mnie biografii Khaqana, tego zapomnianego potwora-tyrana, pierwsze zarodki własnego upadku posiał on, między innymi, ukrywając się w swoim pałacu. To było w drugim tomie.

- Przykro mi - powiedział Venloe. - Miałem ostatnio tak wiele obowiązków, że nie starczyło mi zupełnie czasu na czytanie. Jeszcze jedna sprawa ciągnął. - Ambasador Imperium musi otrzymać zaproszenie.

- Sten? Poprosiłem o jego zwolnienie - powiedział Iskra. - Następna pilna sprawa, na jaką nie odpowiedział tamten człowiek na Primie. Dlaczego musimy zapraszać tego Stena? I czy on w ogóle przyjdzie?

Venloe nie przewrócił oczami, choć miał na to dużą ochotę. Iskra, pomimo milionów słów i przemówień na temat polityki i rządu, nie miał o tym bladego pojęcia.

- Powinien zostać zaproszony, ponieważ to udowodni, że ma pan poparcie najwyższego stopnia. I że ich obawy dotyczące braków AM2 nie mają sensu. A Sten stawia się z jednego powodu: jest profesjonalistą.

Sten patrzył przez okno na pogodę na dworze, słuchając jak za nim Kilgour selekcjonuje nadchodzące wiadomości. Pogoda wypełniała oczekiwania Stena, zmieniając się z wilgotnej, pochmurnej, przygnębiającej na jeszcze bardziej beznadziejną. Nagłe ulewy nadchodziły tak gwałtownie, że nikt nie wiedział, jak ma się ubrać wychodząc na dwór.

- Cholerny krawiec. Nie wiem, czy ten idiota w ogóle ma rozum, żeby pojąć moje wskazówki. Będzie gwizdał „Bonnie Bells” przez zęby, biorąc pieniądze od pana Kilgoura. Daje mi taki kilt, jaki nosili starożytni Campbellowie - pasterze owiec, i twierdzi, że nie widzi żadnej różnicy pomiędzy nim a tartanem Kilgourów.

- Ha.

- No, no, co my tu mamy. Hmm, hmm. - Chichot. - Ha szefie, tu jest coś ciekawego.

Sten obrócił się do niego.

- No, co tam masz?

- Pamiętasz tego małego Petera Lake'a? Tego meteorologa marynarki wojennej, którego nam przydzielili dawno temu, w Sekcji Mantis?

- Nie bardzo.

- To było wtedy, kiedy wysadzaliśmy te tamy na planecie, gdzie mieszkały istoty podobne do łasic i tak samo śmierteczne. Mieliśmy zrobić to bum wtedy, kiedy skończy się pora deszczowa, aby nie spowodować zniszczenia, ale wystarczająco dużo zamieszania, żeby rząd poprosił o imperialne wsparcie.

- A, tak. Poczekaj chwilę. Meteorolog? Człowiek? Ten gość, którego nazywaliśmy panem Jaszczurką?

- Taaa. To ten facet.

- Dlaczego u diabła on nie siedzi w więzieniu? Uwolnił go sąd wojenny?

- Nie mam zielonego pojęcia. Może nie mieliśmy racji i tym panom na koniach podobało się to, co on robił, i sami wyskakiwali ze swoich ciuchów. Nie mogą wiedzieć.

Miewamy tu listy od niego od czasu do czasu. Całkiem niezłe mu się wiedzie. Ma szkółkę jazdy dla małych bogatych dziewczynek, z prawdziwymi ziemskimi końmi. W każdym razie napisałem do niego i poprosiłem o wyjaśnienie, dlaczego ta cholerna pogoda na Rurik jest tak cholernie cholerna.

Powiedział mi, że każda wielka planeta z przyspieszoną rotacją wokół własnej osi, rozległymi morzami i niewielkimi lądami, wysokimi pasmami górskimi i wieloma księżycami najprawdopodobniej okaże się przeklęta.

- No jasne - powiedział Sten, nie zaprzatający sobie głowy pogodą. Dla niego była po prostu jednym z elementów tego wielkiego ścieku, noszącego nazwę Rurik.

- Dał nam małe ostrzeżenie. O cyklonach. Ja, w każdym razie, poczułem się trochę nieswojo. Masz, sam przeczytaj.

Alex rzucił drugi, odręcznie napisany list na biurko Stena. Sten przejrzał go, odszukał fragment, o którym mówił Alex, a potem zaczął szybko czytać - naprawdę pamiętał pana Jaszczurkę i chciał jak najszybciej pozbyć się dokumentu z rąk, a potem starannie je zdezynfekować.

...a więc bywa fatalnie na Jochi - fatalnie zimno w zimie, fatalnie gorąco w lecie, oraz możliwe, że i jedno, i drugie podczas tej samej pory roku.

To wam posłuży, dranie.

Czymś, na co powinniście bardzo uważać - możesz, jak dla mnie, wepchnąć tego cholernego Stena w coś takiego - są tornada. Tornada to takie małe, zakręcone wiatry, które ściągną z ciebie majtki, jeśli nie schowasz się pod ziemię albo nie usuniesz się z ich drogi.

Musicie traktować je naprawdę poważnie - trąby powietrzne potrafią osiągać prędkość wirowania do prawie ośmiuset kilometrów na godzinę i zmiatają wszystko dookoła, pędząc z szybkością ponad dwustu kilometrów. W pewnym momencie psują się wszelkie instrumenty pomiarowe, nie wiemy więc, czy te liczby to maksimum. Nie uciekniesz, a zatem lepiej się schować.

Mam cały plik statystyk w swoich zbiorach, które mogę ci przesłać, jeśli aż tak ciekawia cię tornada i to, co potrafią zrobić: na przykład zabić tysiące ludzi w ciągu czterdziestu minut, zmłócić cały stóg zboża, przenieść pięć fregat, po kilkaset kiloton każda, o pół kilometra bez zawracania głowy załodze, i tak dalej.

Najlepszy przykład, jaki znam, pochodzi z Altair III, gdzie byli na tyle głupi, aby zbudować swoją stolicę w samym gnieździe tornad (wyglądało to podobnie jak Rurik, w którym jesteście). I w pewne letnie popołudnie w miasto, mające około pięciu milionów mieszkańców, uderzają siedemdziesiąt dwie trąby powietrzne, zabijając jedną piątą całej populacji stolicy. Nietrudno zgadnąć, że nie wierzyli w schrony.

Tylko po to, żeby wam udowodnić, jaki ze mnie dobry chłopak, dam wam kilka wskazówek na temat tego, co możecie zrobić, zanim lej wyniesie was na niską orbitę.

Po pierwsze, występują prądy konwekcyjne przechodzące ponad normalne warstwy inwersji. Powietrze unosi się na wysokość dziesięciu tysięcy metrów i wyżej i jest poddawane działaniu prądów strumieniowych. To zaburza warstwy inwersji.

Powietrze z prądu strumieniowego tworzy jakby gigantyczną trąbę, obracającą się gdzieś wysoko, a kiedy szczyt chmur cumulusowych natrafi na taką tubę, osadza się pośrodku wznoszącego się powietrza, odpowiednio do tempa obrotu wiatru wzrastającego wraz z wysokością.

Kiedy lej staje się bardziej pionowy, siła wiatru wzrasta wraz z wysokością, i wtedy masz już wielką, wirującą trąbę, wir powietrzny, zakotwiczony w macierzystej burzy...

...jeżeli macie coś tak prymitywnego jak radar, to w tym momencie możecie już zobaczyć ten wir, który wygląda jak rozciągnięta kocia łapa. Czasami nazywają to szóstką albo hakiem.

Istnieje też wał chmur... nazwijmy go poziomym tornadem. Zwykle bywa czarny, ale czasem nawet zielony... wał chmur przechyła się...

W dole, na ziemi, pocisz się jak wściekły, szalejesz, jeśli wierzysz w jony dodatnie, i mokniesz, bo niemal zawsze wybucha wtedy straszna nawałnica.

Powinieneś także trochę się bać...

Sten przerzucił kartkę.

...gradobicia... dół zamieniony z górą... oberwanie chmury... wszystkie leje spadają w dół i wirują dookoła mezocyklonu - najbardziej powszechnej formy tornada na południu - nie zapomnij o liczeniu, ile tych trąb dobiera się do ciebie.

Ale tylko szalenięć kręciłby się dookoła, aby je liczyć, kiedy właśnie w tej chwili wir niszczy cały twój dorobek...

List ciągnął się dalej i stawał płataniną równań - najwyraźniej pan Jaszczurka miał już dosyć tłumaczenia danych i przekazywał je wprost.

Sten przesunął list z powrotem.

- Dziękuję bardzo, panie Kilgour, za to, że pokazałeś mi następną rzecz, jaka na tym cholernym świecie może próbować nas zabić.

- Nie ma za co, stary.

Ekran zadzwieczał i Alex przyjrzał się wyświetlanemu tekstowi.

- No, tu mamy coś nawet lepszego niż małe wiry Jaszczurki. Doktorek Iskra robi defiladę żołnierzy. I doceniałby przyjemność płynącą z towarzystwa ambasadora Stena na trybunie honorowej. Intencja wydaje się jasna. Zanudzić cię na śmierć tymi wszystkimi głupotami.

Alex obrócił ekran, aby Sten mógł spojrzeć. Nikt poza cyrkiem nie urządza defilad tylko dla celów ćwiczebnych. Dlaczego zarządzono właśnie tę? Zastanawiał się. Aby podbudować morale cywilów, to po pierwsze. Po drugie po to, aby dać Iskrze sposobność do zaprezentowania się w pełnej gali - wszyscy dyktatorzy to lubią.

To za mało.

Ktoś zapukał do drzwi. Weszła sekretarka i wręczyła Alexowi kopertę. Alex otworzył ją.

- A tu mamy potwierdzenie. Ręcznie napisane, na prawdziwym papierze. Zastanawiam się - rozmyślał głośno Alex - jaki diabelski podstęp planuje nasz dobry doktorek?

Darujesz sobie, stary?

- Nie. Pójdę.

- Nie sądzę, aby to było mądre. Nie możesz powiedzieć, że zachorowałeś czy coś takiego?

Sten tylko pokręcił głową - obaj wiedzieli, że nie ma takiej możliwości. To należało do powinności ambasadora - nawet jeżeli ten właśnie ambasador nie cieszył się największym poważaniem u rządu, przed którym reprezentował Imperium. Sten musiał pokazać się i uwiarygodnić plany Iskry, jakiegokolwiek by one były.

- Skoro już idziesz - oznajmił w końcu Alex - to powinieneś mieć na sobie coś więcej niż tylko nowy wiosenny frak, kwiatek we włosach i głupkowaty uśmiech. Mówię to jako twój doradca do spraw bezpieczeństwa. Jeżeli już musisz brać udział w tych jego cholernych grach, to nie znaczy, że

masz się trzymać jego zasad.

Sten uśmiechnął się. To, co Alex proponował, stanowiło jaskrawe naruszenie protokołu dyplomatycznego. Nie do pomyślenia, aby szanowany dyplomata rozważał udanie się w pełnym uzbrojeniu i ze wsparciem na uroczystość wydawaną przez goszczący go rząd.

Ale zważywszy na to, jak szły sprawy w Mglawicy Altaic, i z jak szlachetnymi i szacownymi istotami miał do czynienia, pomyślał, że może warto zastanowić się nad podwojeniem uzbrojenia swojej obstawy.

Wielka, ciężka pięść Kilgoura walnęła w metalową ławkę. Ponieważ jednak ławka miała służyć jako stojak pod generatory McLeana, to nogi ugięły się, ale wytrzymały.

- Czy mógłbym was prosić o uwagę - zahuczał, i szmer rozmów zamarł. Kilgour stał w jednym z garaży ambasady przed zgromadzeniem Gurkhów i Bhorów. - Chciałbym też, żeby wasze oczka spoczęły na tym wykresie na ścianie.

- Będę się streszczał - ciągnął. - Swoje przydziały znajdziecie na liście, tu wyżej. Garaż został przeszukany mniej więcej godzinę temu przez mnie i kapitan Sind, i nie ma tu pluskiew. A więc nie musimy mówić ogródkami. Rzecz polega na tym, że szef ma zamiar iść jutro na tę defiladę. Na placu Khookhoosa. I nie sądzę, aby wszystko miało pójść dobrze.

Dlatego my znajdziemy się tam, gdzie trzeba, rozumiecie? Chcę, aby Gurkhowie stawili się w komplecie. Dwa oddziały na ciężarówkę. Otho, zostałeś awansowany na sierżanta i dowodzisz Bhorami. Czterech na transportowiec plus dwie drużyny z bronią ciężką. Jasne?

- Jak powiedziałeś - zamruczał Otho. - Ale co z naszym kapitanem?

- Kapitan Sind ma zająć się snajperami. Wybrała najlepszych, którzy pozostaną pod jej skrzydłami. Przed świtem wysadzimy ich po cichu na dach.

Przechodzimy do rozkazów. Jeżeli ktoś będzie usiłował uderzyć w Stena, to chcę, aby zamachowiec zginął, zanim w ogóle zdąży pomyśleć o naciśnięciu spustu. Wszystkie komunikatory mają pozostawać otwarte, aby był do nich dostęp. Macie krążyć dookoła trybuny honorowej. Nie musicie martwić się o branie jeńców i takie tam.

- Mam pytanie.

- Słucham?

- Na brodę mojej matki - zamruczał jeden z młodych Bhorów - wysyłasz gotowe do boju oddziały na podstawie samych podejrzeń.

- Tak?

- Ja się nie kłócę, sir. Ale co byś zrobił, mając potwierdzenie zamachu na ambasadora?

Twarz Alexa stężała, oczy błysnęły. Po chwili powiedział:

- W takim przypadku zamknąłbym Stena w piwnicy, a trybuna honorowa zostałaby zrównana z ziemią jeszcze przed rozpoczęciem ceremonii. No, to już wszystko.

Znacie swoje obowiązki, swoją broń, swój przydział. Pilnujcie tego. Pogotowie bojowe na godzinę przed świtem.

- Kilgour, to nie jest mój frak.

- Jasne. Zamknij twarz i nałóż to na siebie. Ta cholerna defilada zaczyna się już za dwie godziny.

- Nie pasuje - narzekał Sten, patrząc na swoje odbicie. - Kto to szył? Omar - producent namiotów?

- To jest kuloodporne i trzeba włożyć wkładki na miejsce.

- Po co? Na wypadek, gdyby ktoś strzelał do mnie z armaty?

- No, no Kilgour uśmiechnął się. - Zawsze wiedziałem, że nie jesteś taki głupi, jak twierdzi Sind. Armata to właściwe słowo. No, ubieraj się. O ile sobie przypominasz, to wszystkie te głupoty, jakie robiłem od wczoraj, są z twojego powodu. No, pospiesz się, stary.

Ja muszę nałożyć swój własny płaszczyk. Jeżeli będziesz grzeczny, to postawię ci jutro kufelek.

Jeżeli, pomyślał Kilgour, będzie jakieś jutro...

Sten lustrował tłumy po obu stronach szerokiego bulwaru, podczas gdy jego pojazd zbliżał się do pałacu.

Jeśli to miało być święto, to Iskra chyba nieco przesadził, pomyślał. Twarze, posępne jak ciemniejące niebo nad głowami, wyrażały gniew. Z początku Sten sądził, że owa wrogość skierowana jest na dwie imperialne flagi powiewające z antenek wozu, ale potem zmienił zdanie.

Wściekłość wykluczała obiektywizm i dobre obyczaje - zobaczył, jak jakiś człowiek spojrzął na jeden ze stale patrolujących grawilotów policyjnych, a potem splunął na ulicę.

Otho przyziemił uroczysty, wielki pojazd ambasady tuż za wielką trybuną honorową, zbudowaną specjalnie z boku Placu Khaqanów. Grawilot prezentował się fatalnie - obcięto mocowania karabinów i większość uzbrojenia, ale nie było czasu na to, aby wykończyć i pomalować na nowo karoserię. Pojazd wyglądał, jakby odpadł w eliminacjach do wyścigu starych samochodów.

Dwóch Gurkhów w pełnym uroczystym stroju, włączając w to kukri i karabiny, wyskoczyło z grawilotu i zaszalowało, najpierw w kierunku flagi Jochi po jednej stronie stanowiska, a potem głównego masztu, gdzie widniał wybrany przez Iskry symbol. Iskra nie pojawił się jeszcze, ale cała reszta dygnitarzy znajdowała się już na miejscu.

Sten wyszedł, Alex trzymał się tuż za nim. Kilgour zdecydował, że włoży na siebie pełny ceremonialny strój ze swojego macierzystego świata - pantofle, podkolanówki ze wzorem takim, jak na kilcie ze sztyletem ukrytym na górze, kilt z torebką zawierającą pistolet, następny sztylet przy pasie, kamizelkę ze srebrnymi guzikami, koronkowy żabot u szyi i koronkowe mankiety u koszuli. Na głowie miał klanowy beret, a przez jedno ramię przerzucony rodowy tartan.

Strój ten jednak różnił się od tego, jaki nosił na planecie Edinburgh jako lord Kilgour z Kilgour. Pantofle zostały przymocowane rzemieniem, aby nie spaść z nóg, gdyby Alex musiał biec.

Wzór na tartanie był bardzo ciemny, co Alex mętnie tłumaczył jako właściwy starożytny wzór stroju do polowania swego klanu. Sten nie miał nigdy pewności, czy rzeczywiście istniał kiedyś jakiś klan Kilgourów, czy też Alex, i kilka tysięcy ludzi w jego majątku, wymyślili to sobie, Szkoci byli całkowicie zdolni do robienia czegoś tak wypracowanego wyłącznie po to, aby nabierać innych.

Alex nie miał przy sobie swego normalnego, uroczystego miecza, także z przeczności.

Miecze przeszkadzają. I kiedy z tyłu doszedł Stena stłumiony szczeł, Sten pomyślał, że Alex pod fałdami swego stroju skrywa cały sklep z bronią.

Za Stenem szło dwóch następnych Gurkhów. Sten skłonił się przed flagą Jochi i zaciskając w myślach zęby, przed symbolem Iskry. Otho odprowadził pojazd - wolał trzymać go w gotowości w parku tuż za pałacem, przy innych jednostkach zapasowych.

Dwóch żołnierzy z Korpusu Specjalnego Iskry weszło z wykrywaczami na podnóże schodów. Alex spojrzął na nich. Nawet łobuzy czasem miewają wyczucie, więc tych dwóch ustąpiło drogi, salutując bojaźliwie.

Dwóch Gurkhów pozostało u stóp trybuny. Sten poczuł się nieco spokojniejszy, jeśli chodziło o zabezpieczenie tyłów. U podnóża trybuny, ramię przy ramieniu, stało więcej żołnierzy Korpusu Specjalnego.



- Dowiedziałem się - zaszeptał Alex - iż wszyscy żołnierze, biorący udział w defiladzie zostali ostrzeżeni, że jeśli skierują broń gdziekolwiek w pobliże tej trybuny, to zabójcy Iskry mają rozkaz strzelać bez ostrzeżenia. Masz może ochotę na robienie kariery w tym chlewie Jochi?

Sten zdziwił się dwa razy po dojściu na szczyt trybuny. Najpierw zobaczył Menyndera.

Interesujące. Ktoś albo coś wyrwało go z żałoby.

Drugą niespodzianką - trwało chwilę, zanim przypomniał sobie tego człowieka - była obecność Milhouza, buntownika, ubranego teraz w czarny mundur tego nowego studenckiego „ruchu”, jaki stworzył Iskra, co Sten zaobserwował kiedyś mimochodem.

Obok Milhouza stało dwoje starszych ludzi. Jego rodzice, pomyślał Sten. Milhouz napotkał wzrok Stena, drgnął, a potem spojrzał spode łba.

Sten uniósł brwi, jakby usiłował przypomnieć sobie twarz i nie mógł, ale z uprzejmości lekko skinął głową. Może zostaliśmy przedstawieni sobie przy jakiejś towarzyskiej okazji? - mówił ten gest.

Sten niemal poczuł litość dla tego durnia. Renegatom nikt nie ufa - wszyscy o tym wiedzą, a zwłaszcza ci, co ich werbują. Zarówno w polityce, jak i w wywiadzie. Milhouz miał określoną przyszłość - Iskra będzie go wykorzystywał tak długo, jak długo będzie potrzebował, a potem go zwolni.

Iskra to Iskra, pomyślał Sten, znając go można przypuszczać, że owo zwolnienie niemal na pewno oznacza raczej płytki grób niż nędzną emeryturę.

I na nic więcej Milhouz nie zasługiwał.

Sten, z Kilgourem za plecami, przedostawał się do wyznaczonego miejsca. Uprzejme powitanie z Douwem, teraz ubranym w pełny mundur obwieszony odznaczeniami starymi i nowymi. Skinienia głową w kierunku innych dygnitarzy i polityków.

Przystanął obok Menyndera.

- Miło mi - powiedział - widzieć, że doszedł pan już do siebie po tragedii rodzinnej.

- Tak - stwierdził Menynder. Wskazał leciutko głową, przesuwając ją dosłownie o kilka milimetrów w kierunku emblematu Iskry. - Nikt nie wie, jak bardzo się cieszę z tego, że mam kilku nowych przyjaciół, którzy podnieśli mnie na duchu, mówiąc, jak wiele znaczy reszta mojej rodziny, i że trzeba zadbać o moje starożytno posiadłości. Przekonali mnie do zrzucenia żałoby.

Tak, jak Sten sądził, Menynder został zmuszony szantażem do uczestnictwa w uroczystości.

Orkiestra wojskowa zabębniła coś, co zapewne uważała za muzykę, i doktor Iskra, z adiutantami depczącymi mu po piętach, zszedł ze schodów pałacowego tarasu i wolnym krokiem przespacerował się przez całkowicie pusty plac do trybuny honorowej.

- Czy wiesz dlaczego - zaszeptał Sten do Kilgoura - nasz doktor nie dokonuje przeglądu swoich wojsk z normalnego miejsca?

- Pytałem - zaświstał Kilgour. - Powiedziano mi, że to dlatego, iż taras jest zbyt oddalony. A doktor chciałby być bliżej swoich bohaterów.

- To naprawdę tanie kłamstwo.

- Racja. I martwi mnie nieco to, że ta trybuna nie została właściwie zbudowana.

Kilgour miał rację - trybuna wznosiła się nie więcej niż półtora metra nad ziemią.

Podstawową sprawą przy wszelkich zamieszkach było zbudowanie na tyle wysokiego stanowiska strzelniczego, aby rozszalała masa napotkała na pewne trudności przy próbach zdobycia go.

Dygnitarze zaczęli salutować, gdy doktor Iskra wszedł na trybunę.

Zadźwięczały cymbały, orkiestra wojskowa zagrzmiała i ucichła.

W nagłej ciszy Sten usłyszał pisk fujarki, na której grał jakiś uliczny minstrel pośród tłumu.

I wtedy, jakby na zamówienie, chmury rozstały się, wiatr zwinął je jak brudne prześcieradła i niemożliwie błękitne niebo zajaśniało nad głowami.

Orkiestra zafalszowała znowu. Defilada została rozpoczęta.

Plac Khaqanów wypełnił się stukotem podkutych butów, miarowym pomrukiem silników ciężarówek, brzękiem marszowej muzyki. Od czasu do czasu Sten słyszał wymuszone okrzyki gapiącego się tłumu.

Przyjmował defiladę z ramieniem odsuniętym od boku, zgodnie ze zwyczajami Altaic.

Następne szeregi przemaszerowały przed trybuną.

- Piąty Batalion, Szósty Regiment Żelaznej Gwardii Permu - ogłosił niewidzialny komentator przez głośniki na placu.

- Czyż nie widzieliśmy ich przed chwilą?

- Nie, szefie. To był Szósty Batalion Piątego Regimentu. Musisz bardziej uważać.

- Jak długo jeszcze będziemy musieli na to patrzeć?

- Nie mam pojęcia - zaszeptał Alex. - Dopóki oczy nie zaczną nam krwawić i nie zaczniemy bełkotać o cudach starego Iskry. To masowa hipnoza, stary.

- Już czas - powiedziała Sind.

Jej obserwator posłusznie odtoczył się od lornety i przypadł za własną strzelbą.

Sind wsunęła się na stanowisko, bez przerwy omiatając wzrokiem dachy pałacu i okna, które wybrała jako swój teren obserwacji.

Drugi oddział jej snajperów robił dokładnie to samo - jedna osoba patrzyła, druga czekała z bronią w pogotowiu. Obserwator mógł skutecznie pracować tylko przez kilka minut, potem zaczynał widzieć ruch, który okazywał się zasłoną powiewającą na wietrze, sylwetką, która była cieniem komina albo po prostu rzeczy, jakie nie istniały.

Architektura Placu Khaqanów dodatkowo utrudniała im zadanie, jako że zbudowano go w stylu, który można by nazwać epoką Wczesnych Nieromantycznych Gargulców.

Sind i jej obserwator zajęli stanowiska na jednym z dachów, znajdując kawałek na tyle płaski, aby móc tam trzymać zapasową broń i amunicję, potem przesunęli się bardzo powoli na szczyt dachu, aby stamtąd prowadzić obserwacje. Ciemnoszkarłatna płachta, dokładnie w takim samym kolorze jak blaszany dach, na którym leżeli, przykrywała lornetę, a oboje strzelcy pomalowali twarze brązową farbą.

Oczy Sind zaczęły nabiegać łzami z wysiłku po kilku minutach. Przepatrywała linię dachu raz za razem, rutynowo. Zatrzymała się i obróciła lornetę.

- Earle - powiedziała, szepcząc nieświadomie i niepotrzebnie. - Popatrz na to okno mansardowe.

- Mam je - odrzekł mężczyzna zza strzelby. - Jest otwarte. Nie widzę, co w środku. Za ciemno.

- Spójrz w lewo na pół palca - rozkazała Sind.

- Ho, ho.

- Ja wezmę broń.

Earle zaczął protestować, potem zajął pozycję obserwatora. Sind przesunęła się nieco, automatycznie odbezpieczając swoją broń.

Po przeciwnej stronie placu, z boku mansardy, świetlik, który wcześniej był zamknięty, trochę się uniósł. Bardzo blisko niego znajdował się niski wykusz, który stanowiłby idealną osłonę dla kogoś,

kto chciałby przemknąć około trzydziestu metrów do miejsca, gdzie ściana załamywała się, tworząc ukrytą szczelinę - idealną drogę ucieczki.

Okno znajdowało się około sześciuset metrów od trybuny poniżej i około...

- Zakres?

- Tysiąc dwieście... tysiąc dwieście dwadzieścia pięć.

- U mnie tak samo...

...dwukrotnie dalej do posterunku Sind.

Sind dociągnęła zapięcia mocujące kamizelkę komandosa, owinęła dokładnie taśmę przytrzymującą karabin wokół ramienia, aż przylegał ściśle, i zastygła w śmiertelnym bezruchu, w normalnej pozycji strzeleckiej.

Nie istniało nic poza tym otwartym oknem.

Ledwie słyszała głos Earle'a donoszącego, że namierzyli potencjalny cel i polecającego innej drużynie wykonanie rutynowego przeczesania.

Venloe był gotów. Jego monstrualna broń sportowa spoczywała na blacie stołu, stół był solidnie obciążony workami z piaskiem.

Znajdował się około trzech metrów za otwartym świetlikiem, w przemysłnym ukryciu. W mroku nie mogło go dostrzec ani ludzkie oko, ani lornetka, i nawet jeśli jakiś zwariowany bezpieczniak używałby lunety z noktowizorem, odbłask z dachów oślepiłby urządzenie.

Spojrzał jeszcze raz przez celownik optyczny, potem zamknął powieki. Już zapomniał, jak wyczerpujące jest strzelanie z ukrycia i jak brakuje czasu w decydujących chwilach.

Sześćset metrów od niego znajdowała się trybuna.

Venloe wybrał już swoje cele, a sześć rakiet rozmiarów cygara spoczywało w magazynku strzelby.

Jeżeli popełnił jakiś błąd...

Najpierw Iskra.

Potem Sten.

Potem...

Mały komunikator obok niego, nastawiony na odbiór stacji publicznej, przemówił:

- Ósma Kompania, Skrzydło Wsparcia Gwardii Bojowej. Zbawcy Gumrak.

- Za nimi Kompania Zwiadowców, Osiemdziesiąta Trzecia Lekka Dywizja Piechoty.

To było to.

Pora na Crimson Ratpack.

Grawiloty skrzydła wsparcia bojowego posuwały się do przodu, po trzy obok siebie, z niewielką prędkością. Tuż za nimi maszerowali lekko uzbrojeni zwiadowcy.

Każdy grawilot miał na pokładzie komplet żołnierzy, siedzących sztywno na baczność. Pilot grawilotu koncentrował się na utrzymaniu miejsca w szyku, a dowodzący pojazdem salutował.

W szóstym szeregu, w centralnym rzędzie, znajdował się pierwszy zabójca z drużyny Venloe. Pilot grawilotu był jednym z młodych oficerów-konspiratorów, tak jak i reszta załogi.

- Szesnaście... siedemnaście... osiemnaście...

Po doliczeniu do dwudziestu grawilot znajdował się, jak zostało wyliczone, na wysokości tyluż metrów i odległości około pięćdziesięciu od trybuny honorowej.

Pilot włączył generatory McLeana i przesunął dźwignię sterującą ostro na prawo.

Grawilot zrobił piruet, uderzył w sąsiadów, którzy stracili kontrolę i walnęli w formację,

wywołując efekt domina.

Młody oficer obniżył lot, potem posadził pojazd na gruncie. Grawilot ślizgał się w kierunku trybuny, zgrzytając przeraźliwie.

Wysypali się żołnierze, którzy po uderzeniu o podłoże zaczęli biec i strzelać - półautomatyczna broń rozrywała na strzępy jednostki Korpusu Specjalnego.

Gwardziści potrzebowali chwili na to, by oprzytomnieć, ale do tego czasu już jedna trzecia z nich padła martwa. Potem otworzyli ogień, ich kule trafiły w sam środek parady.

Skrzydło wsparcia złamało szyk, grawiloty strzeliły pod niebo i zostały zestrzelone, kiedy inne jednostki Korpusu Specjalnego zaczęły wypełniać rozkaz zabijania wszystkiego, co nie odpowiadało normie.

Pluton zwiadowców wyłamał się ze swojego szyku i padł płasko na ziemię.

Wykrzyczano rozkazy, zaszczekały karabiny.

Ich cel stanowiła trybuna honorowa.

Jedna salwa i...

- Granaty! - krzyknął ktoś.

Pluton zaatakował trybunę.

Ćwierć sekundy wcześniej czterej Gurkhowie Stena stali na baczność z tyłu trybuny. Teraz, zupełnie nagle, znaleźli się na szczycie, odtrącając na boki oszalałych ze strachu polityków. Mieli karabiny gotowe do strzału, kulki z AM2 rozrywały i kładły pokotem zwiadowców.

Sten zaczął grzebać w swoim niewygodnym stroju w poszukiwaniu pistoletu, kiedy Kilgour powalił go na podłogę. Alex wstał, odrzucił na bok ubranie i wydobył ukryty pod nim karabin i zapasowe magazynki.

Douw trwał jak w transie od chwili, gdy zobaczył jak granat spadł na deski tuż przed nim - co za udręka - kopnął go, granat spadł z podestu i dopiero wtedy eksplodował, ciskając generała na Menyndera. Obaj mężczyźni przewrócili się, Douw na wpół ogłuszony.

Menynder najpierw zaczął spychać z siebie miażdżące cielsko generała, ale potem zastanowił się. Jaka może być lepsza tarcza, zdał sobie sprawę, i zmienił taktykę, koncentrując się na jak najlepszym udawaniu własnego trupa.

Oczy doktora Iskry były szeroko otwarte. Jego brwi zaczęły się marszczyć z wściekłości, jak u profesora mającego właśnie strofować ulubionego ucznia za to, że nie umiał odpowiedzieć na łatwe pytanie. Nagle pokryta krwią kobieta wdrapała się na podium i stanęła przed nim.

Ręce Iskry uniosły się, starając się odepchnąć ten horror.

Kobieta strzeliła cztery razy w twarz Iskry, zanim jej ciało zostało zmiecione przez salwę z broni strażników.

Sten przeturlał się na bok, wyszarpnął pistolet z tylnej kieszeni i ukląkł, rejestrując umysłem krzyki dochodzące od strony tłumu, salwy karabinów maszynowych, zgrzyty z piekła, które jeszcze przed chwilą było miejscem wojskowej defilady, i świst grawilotów na pełnym gazie.

Kątem oka dojrzał ciężarówkę z Bhorami przebijającą się z parkingu do trybuny, a potem przed nim znalazło się dwóch ludzi, wycelował, strzelił... pyk, pyk... pyk, pyk... padli martwi... poszukał następnego celu...

Uśmiech zadowolenia zastygł na twarzy Venloe, gdy dotknął przełącznika na celowniku i ustawił ogniskową na cel, zawężając pole widzenia.

Iskra był martwy. Absolutnie.

Menynder i Douw zostali prawdopodobnie trafieni. Nie miało to znaczenia - nie oni stanowili główny cel.

Kolej na Stena.

Jest tam. Tego skurwiela nie da się zabić. Staje na nogach...

Trochę wyżej... wstrzymać oddech... odetchnąć delikatnie... dotknąć spustu...jeszcze raz sprawdzić cel... nacisnąć mocniej... teraz!

Odrzut, kolba broni na ramieniu. Ze strzelby wylatuje łuska, zostawiając za sobą dymiącą smugę, klik, następny nabój wskakuje do komory, odryglować, cholera, celownik zszedł z celu...

- Sten upadł - oznajmił beznamiętnie głos w komunikatorze.

Zamknij się, powiedziała do siebie Sind. Nie patrz. Nie obracaj się. Trzymaj się po prostu tego okna od mansardy, patrz, jak zasłona ulatuje pod wpływem podmuchu, ten drań jest wyszkolony, miał dość rozsądku na to, aby założyć stanowisko w środku, w cieniu.

Wysłała trzy naboje AM2 w to okno...

Ceremonialny strój Stena może nawet został przez Kilgoura uodporniony na kule.

Jednakże nie było sposobu na to, aby jakiegokolwiek ludzkie stworzenie mogło wytrzymać uderzenie masywnej kuli ważącej ponad sto gramów, pędzącej do celu z prędkością mniej więcej ośmuset metrów na sekundę. No, chyba że taki ktoś siedziałby w czołgu. Inaczej kuloodporna kamizelka ma taką samą wartość jak dla pieszego uderzonego przez autobus.

Ale Venloe wyszedł już nieco z wprawy, i uchylił się troszkę przed spodziewanym uderzeniem kolby w ramię.

Sześćset metrów to niewiele dla współczesnej broni. Ale jednak ma jakieś znaczenie.

Zwłaszcza wtedy, gdy broń dalekiego zasięgu z konwencjonalnym dopalaczem wysłała wyjątkowo ciężki nabój. Tak więc trajektoria osiągnięta przez pocisk Venloe wystrzelony z tej strzelby na dinozaury przyjęła kształt wysokiego, zapętlonego haku, poddając się przeciwnym wiatrom oraz falom ciepła i zimna.

Kula miała trafić Stena prosto w brzuch. Zamiast tego uderzyła w ciężkie krzesło obok niego i rozerwała się na kawałki. Większość z nich rozprysnęła się nie wiadomo gdzie. Ale jej lity pancerz trafił dokładnie w ubranie Stena, wprost w podstawę jednej z tych masywnych płyt, którymi Kilgour obłożył swojego szefa. Sten został zrzucony z trybuny. Samoistna siła uderzeniowa zorientowała się, że oto nadeszła jej najpiękniejsza godzina, i nagle ambasador Imperium zaczął przypominać pływającą zabawkę. Potem, kiedy zwałił się na ciała, fala uderzeniowa odpłynęła, a przed Stenem stał ktoś z bronią gotową do strzału.

Nie wiadomo jakim cudem pistolet pozostał nadal w ręku Stena. Zastrzelił tego mężczyznę, szukając następnego celu. Wreszcie do niego dotarło, że jeszcze żyje i może słyszeć to wspaniałe, najwspanialsze Ayo... Gurkhali, kiedy przybywało jego wsparcie.

Pocisk Sind z AM2 rozwalił na kawałki pokój na strychu, odrzucając osłupiałego Venloe do tyłu, aż oslepił na chwilę. Potem otrząsnął się i poczołgał w kierunku otwartego świetlika. Nie, pomyślał, przecież ktoś może czekać tam na zewnątrz, pamiętaj, co zaplanowałeś na taki wypadek, sięgnij w dół, w dół.

Dłonie Venloe odnalazły zawleczone dwa granatów dymnych; rzucił je obu stronach drogi i przypadł do podłogi.

Czekaj... czekaj." czekaj na dym.. teraz. Przez świetlik i w nogi.

- Cholera, chybiłam - zamruczała Sind, przesuając nieco celownik, gdy z otwartego świetlika

zaczął się wydobywać dym.

- Ambasador ma się dobrze! Powtarzam, ambasador ma się dobrze - oznajmił komunikator.

Czy ta eksplozja roznieciła ogień...

Do diabła. To zasłona dymna, pomyślała, widząc nagłe poruszenie, cień znikający za barierką.

Och, słoneczko ty moje...

- Earle. Seria z trzech naboju. Prosto w środek tego muru. Jeden metr od ryny.

Już!

Trzask... trzask... trzask.

Starożytny kamień barierki popękał. Sind przez swoją lornetkę mogła widzieć małą, poszarpaną dziurę.

No, a ty, tam za murem, co teraz myślisz? Czy uważasz, że jesteś wystarczająco szybki - albo, że ja nie jestem wystarczająco dobrym strzelcem, żeby trafić przez tę małą rysę?

Sind westchnęła i strzeliła. Pojedyncza kula przeleciała przez pęknięcie i eksplodowała gdzieś na oddalonej części barierki.

Tak, ty tam. Jestem na tyle dobra, że moja kula prześlizgnie się przez tę dziurę, jeśli zobaczę jakiś ruch.

Gdybym była na tyle głupia, aby znaleźć się na miejscu tego faceta, sądzącego, że tysiąc dwieście metrów i jedna droga ucieczki czynią go kuloodpornym, zapewne rozważałabym teraz na nowo sposób wycofania się.

- Earle, patrz na dym.

- Kiepsko dla faceta. Rozwiewa się.

Bardzo dobrze. Co my tu mamy? Mamy ciebie tam, leżącego plackiem za barierką.

Twoja droga ucieczki jest zablokowana przez tę dziurę, jaką zrobił Earle, i przez świadomość tego, że mogę przez nią widzieć i przez nią strzelać.

Około dwunastu metrów za szczeliną barierka kończyła się naprzeciwko okna mansardy. A więc leżysz gdzieś tam, na tym niewielkim odcinku.

Najpierw ustalimy obszar...

Posłała następny pocisk prosto w parapet okna mansardy, rozwalając go. Dobra.

No, a teraz, jeżeli leżysz tam, to czy jesteś bliżej mansardy, czy tego małego pęknięcia? Ja wybrałabym miejsce bliżej rysy, i czekała na jakiś cud, aby móc minąć tę dwucentymetrową przerwę.

Ustawiła dokładnie odległość dzielącą ją od parapetu. Jest.

Poruszyła swoim celownikiem na boki, zatrzymując przecinające się nitki na jasnej barierce, ale trzymając lufę wycelowaną dokładnie w poszarpany parapet okna.

Chyba... tu.

Akcelerator zabuczał. Gotowe.

Sind wystrzeliła.

Nabój z AM2 przeleciał tysiąc dwieście metrów. Potem, we właściwym miejscu, skręcił ostro w prawo.

Venloe leżał płasko na dachu, dokładnie tam, gdzie ustaliła Sind. Usiłował znaleźć jakiejś wyjście z sytuacji.

Pocisk trafił go w biodra i eksplodował.

Połowa ciała Venloe wyskoczyła w powietrze, nad barierkę, i rozpląszczyła się na dachu.

Potem ześlizgnęła się, zostawiając za sobą lepki ślad: ręce rozłożyły się ponad krawędzią dachu,

jakby usiłując się przytrzymać. Krwawa masa spadła dwieście metrów w dół, na plac.

Od chwili, kiedy Venloe utworzył zasłonę dymną, minęło mniej niż dwie minuty.

Milhouz stał samotnie na trybunie honorowej. Dotarło do niego w końcu, że jeszcze żyje.

Tylko on.

Tam... tam leżały ciała jego rodziców.

Będzie nosił żałobę.

Lecz dynastia przetrwa.

Iskra nie żyje.

Ale Milhouz żyje.

Cień uśmiešku samozadowolenia przemknął przez jego twarz.

Nadal stał na trybunie, kiedy znikąd wystrzeliło kukri, a głowa Milhouza zamieniła się w krwawą fontannę spadającą z trybuny i rysującą czerwone półkole na chodniku placu.

Jemedar Lalbahadur Thapa odstąpił w tył, kiedy bezgłowe ciało upadło. Wytarł kukri i kiwnął głową z zadowoleniem.

Gurkha był na Uniwersytecie Pooshkan.

Plac Khaqanów był niemal cichy, poza jękami i krzykami rannych i pomrukiem silników z potrzaskanych grawilotów.

Sten słyszał zawrodozenie i krzyki od strony tłumu, kiedy równie osłupiała ochrona zaczęła opróżniać plac. Kilka metrów dalej leżało ciało; rozpoznał doktora Iskrę.

Pogoda znów uległa zmianie. Jasny, piękny dzień się skończył, po niebie goniły burzowe chmury. To można uznać za proroctwo, pomyślał Sten.

Podszedł do ciała i odwrócił je nogą.

- To jest najbardziej martwy facet, jakiego w życiu widziałem - powiedział Alex.

- To prawda.

- No cóż - stwierdził Alex, podchodząc bliżej do Stena. - Umarł król, niech żyje król i tak dalej.

Co u diabła zrobimy teraz?

Sten pomyślał.

- Niech będę podwójnie przeklęty, jeśli mam o tym zielone pojęcie - powiedział uczciwie.

## Rozdział 36

Trzydzieści siedem godzin później przez Rurik przetoczył się grom.

Sten właśnie starannie komponował swoje sprawozdanie dotyczące zabójstwa Iskry, które podawałoby wszystkie szczegóły. Poprzedziła je wstępna depesza, wysłana do Wiecznego Imperatora i na Primę zaraz po powrocie Stena do ambasady.

Ktoś z portu kosmicznego wzywał ambasadę.

- Imperialna jednostka czy jednostki właśnie nadały, że przygotowują się do lądowania.

Ani Sten, ani Alex nie mieli czasu na nic innego poza zdziwieniem: czy to wsparcie? Jacysь obywatele z Imperium, którzy trafili tu przez przypadek? Inwazja?

Niebo zagrzmiało głośniejsze, niż jakaś wielka burza Jochi, i statki przepłynęły nad głowami.

- Słodki Jezu - jęknął Alex. - Nie widziałem takiego mrowia od końca wojny. To muszą być ... dwa, nie, trzy szwadrony. Z okrętami wojennymi. Ktoś chyba nieźle pogłódkował - albo mają nas w końcu, stary.

Sten nie odpowiedział - też patrzył na niebo. Za okrętami wojennymi nadchodziła druga fala Transport żołnierzy, zaopatrzenie, ochrona.

Sten ustalił, że przybywała pełna dywizja żołnierzy Imperium.

- Co u diabła...

- ...robisz tutaj, Ian?

- Czy chcesz odpowiedź taką, jaka była aktualna przedwczoraj - spytał Ian Mahoney - czy taką, jaką mamy po otrzymaniu twojej czarującej depeszy na Primę?

- Tę, którą zdołam znieść - powiedział Sten. Byli na mostku imperialnego pancernika „Repulse”, flagowego okrętu Mahoneya. Opustoszały przedtem port kosmiczny Rurik wypełniały teraz statki i wyglądał jak centralne wojskowe lądowisko na Primie.

Ustalenia Stena i Alexa odpowiadały rzeczywistości - siły Mahoneya składały się z trzech szwadronów pancerników i macierzystej jednostki Mahoneya - Pierwszej Dywizji Gwardii.

Mahoney przywitał się z nimi, przedstawił ich dowodzącemu siłami marynarki wojennej admirałowi - raczej nadgorliwemu typowi o nazwisku Langsdorff, wyprosił go z mostku i otworzył butelkę specjalnie robionego dla Imperatora napoju, nazywanego szkocką.

- Teraz przekażę wam obu moje rozkazy. Imperator polecił mi zebrać siły pokojowe zaraz po tym wysadzeniu koszar. Powiedział, że chce, żebym przybył z odpowiednią siłą w odpowiednim czasie. Zostanę gubernatorem Imperium. Miałem udzielić wam wsparcia i upewnić się, że Iskra pozostaje na tronie.

Sten zacisnął wargi.



- A więc nic nie zmieniło jego poglądów na temat Iskry?

- A coś miało je zmienić?

- Tak. Około dwunastu metrów sześciennych najlepszych kamieni, jakie udało mi się wypolerować, i masywny srebrny pojemnik do ich przechowywania. Nieważne. Pokażę ci moją kolekcję skał później. Sytuacja z Iskrą rozwiązała się sama.

- A moje rozkazy uległy zmianie - stwierdził Mahoney. - Altaic ma zostać poddana bezpośredniemu zwierzchnictwu Primy.

- Autonomia - zastanawiał się Alex. - To nigdy się nie sprawdza. Przykro mi, sir.

- Kilgour, w dniu, kiedy przestaniesz wścibiać wszędzie swoje trzy grosze, będę gotowy założyć mundur na nowo. Mnie to się też nie podoba. Ale tak brzmi bezpośredni rozkaz wydany przez Imperatora.

- Na jak długo?

- Nie powiedziano mi.

Sten przesuwiał swój wciąż nietknięty kieliszek pomiędzy dłońmi, szukając właściwego sposobu na zadanie nurtującego go pytania.

- Ian, co twoje rozkazy mówią o mnie?

- Nic, a powinny coś mówić?

- Nie wiem.

Sten wyjaśnił, że zwracał się wcześniej z prośbą o zwolnienie, ale Imperator odmówił.

Obecnie, gdy Iskra nie żył, a Altaic było coraz bliższe przepaścistego skraju chaosu, zakładał, że zostanie albo odesłany w niesławie do domu, albo co najmniej otrzyma inny przydział.

- Wydaje mi się - powiedział Mahoney - że masz kontynuować działalność jako ambasador.

Przynajmniej dopóki fale uderzeniowe się nie uspokoją. Przypuszczam, że potem jeden z nas zostanie przeniesiony. Nie mogę sobie wyobrazić Imperatora trzymającego zbyt długo w tej zapadłej dziurze obu swoich najwyższej klasy tępicielei kłopotów. Zbyt wiele stodół płonie dookoła.

- Racja.

- Myślę, że nie powinniśmy się martwić, iż z braku zleceń zabraknie nam na chleb. Jak sądzisz, Sten?

- Nie dlatego pytałem.

- No dobra. Wszystko ustalone. Spójrzmy, czy w aktualnej sytuacji moglibyśmy osiągnąć coś, co chociaż przypominałoby zbrojny rozejm, poczynając od jutra. Sten, wypijesz to wreszcie?

Siedząc tu pośród tych wszystkich morderczych drani, stałeś się wrażliwy i paranoicznie nastawiony do świata.

- Może i tak - powiedział Sten i wypełnił rozkaz Mahoneya, usiłując się rozluźnić.

Teraz przynajmniej miał przy sobie kogoś naprawdę wpływowego, na kim mógł się wesprzeć. Coś jednak w głębi ducha mówiło mu, że Mgławica Altaic znajdzie jakiś sposób, by pociągnąć Mahoneya, marynarkę wojenną i Gwardię Imperialną w otchłań, w stronę krwawej anarchii, którą wszyscy zdawali się kochać zbyt mocno.

## Rozdział 37

Siedzieli na brzegu zapuszczonego stawu Menyndera. Stary Tork milczał, podczas gdy Sten malował ponurą przyszłość rysującą się przed Altaic.

- Stoicie przed jednym z tych momentów w historii - powiedział Sten - kiedy katastrofa i powodzenie są równie prawdopodobne. To, co się stanie teraz, zależy od waszego wyboru.

- Nie od mojego - stwierdził Menynder. - To ludzie, którzy w coś wierzą, dokonują wyboru.

W tej chwili mam dokładnie taką samą nadzieję, jeśli chodzi o mój lud, jaką miałem kiedykolwiek na złapanie ryby w tym stawie. - Wskazał na martwe wody.

- Ktoś zastąpi Iskrę - powiedział Sten. - Istnieją pewne szanse, tymczasem wszystko, co wy chcecie zrobić, to zamienić jednego tyrana na drugiego. Dlaczego nie skorzystać z uśmiechu losu?

- Ponieważ żadna pojedyncza istota nie byłaby w stanie z powodzeniem kierować Mgławicą Altaic - stwierdził Menynder. - Na wszelki wypadek przypomnę ci, gdybyś tego nie zauważył, że nikt z nas nie ma łatwego charakteru.

- Zauważyłem - powiedział sucho Sten.

- Szczerze mówiąc, gnijemy od środka. Zabijanie jest dla nas tak naturalne, jak oddychanie.

A więc najwyższy urząd zajmuje najlepszy morderca. Z definicji... W ten właśnie sposób pracuje nasz głupi system. Największe i najgorsze plemię morduje innych, kiedy tylko może. I dlatego pozostaje wielkie i złe.

- Miałem zamiar zasugerować wam stworzenie czegoś w rodzaju rządu koalicyjnego.

Menynder prychnął.

- Koalicja? W Altaic? Niemożliwe.

- Kiedyś niemal udało ci się stworzyć coś takiego.

Oczy Menyndera zwęziły się.

- Co przez to rozumiesz?

Sten nie zawracał sobie głowy uprzejmościami.

- Ten niesławny obiad ze starym Khaqanem - powiedział. - Nigdy nie wierzyłem w tę historyjkę.

- A w co wierzyłeś? - głos Menyndera brzmiał chłodno.

- Sądzę, że Khaqan wcale nie był zaproszony - powiedział Sten. - Nie usiadłby razem z bandą Suzdali, Bogazi i Torków. A co dopiero mówić o jedzeniu. Sądzę, że ty... generał Douw...

Youtang i Diatry... nie mieliście zielonego pojęcia, że on ma zamiar się pojawić. Sądzę, że tak naprawdę siedzieliście razem w tym pokoju i radziliście, jak się go pozbyć. I to ty właśnie jesteś jedyną w tej mgławicy istotą zdolną do zawiązania intrygi łączącej wszystkie gatunki.

Sten uśmiechnął się chłodno.

- Jeżeli to prawda - dodał - to jesteś także jedyną istotą zdolną zebrać coś w rodzaju rządu koalicyjnego, o jakim myślałem.

Menynder milczał. Pochwała Stena zawierała w sobie żądło oskarżenia.

- Nie mam tylko pojęcia - powiedział Sten - jak udało się wam zabić tego starego drania.

- Ja tego nie zrobiłem - stwierdził Menynder. Po chwili opamiętał się i dodał: - My tego nie zrobiliśmy.

Sten wzruszył ramionami.

- To nie ma znaczenia.

- Chciałbyś mordercę jako władcę?

Sten spojrzał na niego.

- Powiedz mi, kto chciałby.

Menynder zastanowił się. W końcu zapytał:

- A co się stanie, jeżeli postąpię zgodnie z twoją sugestią? Zostawisz nas własnemu losowi?

Sten spojrzał na niego twardo.

- Nie tym razem.

- A więc tak naprawdę nie mam wyboru.

- Może i nie. Ale pójdzie o wiele lepiej, jeśli uwierzysz, że masz ten wybór.

- A więc lepiej będzie jeśli szybko powiem tak.

- I właśnie tak to widziałem.

- I znowu Menynder - warknął Wieczny Imperator. - Dlaczego wciąż o nim mówisz?

- Ponieważ, sir, to najlepszy człowiek do tego rodzaju zadania - powiedział Sten.

Wieczny Imperator spojrzał na niego krzywo.

- Czy to jest „a nie mówiłem”, Sten? Czy chcesz mi powiedzieć, że schrzaniłem sprawę, biorąc Iskrę?

- Nie mam prawa osądzać pańskich decyzji, sir.

- Dlaczego wciąż słyszę ton przygany w twoim głosie? - spytał Imperator.

- Profesor Iskra stanowił najlepszy wybór z podłej stawki, sir - wtrącił się Mahoney. - Każdy to widzi. I dlatego sędzę, sir, że pomysł Stena ma sens w tej sytuacji.

- Koalicje kreują zgniłe prawa - powiedział Imperator. - Zawsze tak było. Zawsze tak będzie. Zanim się spostrzeżesz, każdy z członków koalicji ma swoje priorytety, oparte na własnym interesie. Konsensus staje się żartem. Gra toczy się o władzę, pieniądze, wpływy czy wszystko razem.

Imperator wychylił swoją szklaneczkę. Jego holograficzny wizerunek poprzez miliony lat świetlnych zachęcił gestem Mahoneya i Stena, aby zrobili to samo.

- Do diabła z tymi bzdurami o rządzeniu przez koalicję - powiedział.

Ale jego nastrój ulegał zmianie.

Szklaneczki opróżniono i napełniono ponownie. Sten zaczął coś mówić, ale Mahoney kopnął go w kostkę, więc zacisnął usta i pozwolił mu przejąć pałeczkę.

- Nie mogę nie zgodzić się z panem, sir - stwierdził Ian. - Rządy koalicji mogą się okazać cholernie nieskuteczne. Ale czy w tym przypadku, sir, nie stanowiłoby to czasowego rozwiązania kwestii? Czy tak naprawdę nie mogłoby prowadzić do czegoś stałego?

- Wyjaśnij - rozkazał Imperator.

- Akt stworzenia koalicji - zaczął Mahoney - może mieć skutek uboczny w postaci uspokojenia się wszystkiego. Wylania oleju na wzburzone fale przemocy.

- Wydaje mi się to rozsądne - powiedział Imperator. - Dalej.

- Dajmy więc tej koalicji jakieś ramy czasowe i zobaczymy, co się wtedy stanie.

To i to musi być zrobione w określonym terminie. Potem przymierze rozwiązuje się.

Automatycznie.

- Coś jak zachód słońca - powiedział Imperator.

- Dokładnie. Sojusz musi zostać zastąpiony przez bardziej stabilny system do czasu, który pan wyznaczy.

Imperator pomyślał. Potem stwierdził:

- W porządku. Wygraliście. Możecie to zrobić.

- Dziękuję, sir - powiedział Sten, ukrywając ulgę w głosie. - Jeszcze tylko jedno...

Imperator machnął ręką.

- Tak, wiem. Potrzebujesz jakiegoś dramatycznego gestu, który będzie świadczył, że zgadzam się z tą całą ideą.

- Tak jest, sir.

- A co sądzisz o audiencji? Wyślij Menyndera i innych na Primę. Zrobię dookoła nich niezłe zamieszanie na dworze. Pobłogosławię świętą misję pokojową i cały ten chlām.

Powrócą jako bohaterowie. Wystarczy?

- W zupełności, sir.

Imperator sięgnął do guzika, przerywającego połączenie.

- Niech to lepiej działa - warknął. Potem jego obraz znikł.

Sten odwrócił się do Mahoneya.

- Ian... jestem ci winien naprawdę dużego kielicha.

Mahoney roześmiał się.

- No to stawiaj go na stół, stary. Stawiaj na stół.

- Mówi Connee George z portu kosmicznego Soward. Nadajemy bezpośrednie sprawozdanie. Delegacja z Mgławicy Altaic ma właśnie wylądować, szanowni państwo. Spójrz na to powitalne przyjęcie czekające na nich na płycie lądowiska, Tohm!

- To naprawdę powitanie godne Świata Primy, Connee. Mój Boże. Cóż za historyczna chwila! Jestem pewien, że wszyscy przykleili się do swoich ekranów, czekając na relację mającej wyłączność KRCAX Prima, której kamery pokażą tę dystygowaną delegację.

Zastanawiam się, o czym teraz myślą nasi widzowie, Connee!

- Zapewne o tym samym, co ja, Tohm. To znaczy - o rany! Co za historia!

- Masz rację, Connee. To naprawdę jest... ummm... Powiedz nam jeszcze, co myślisz o tym... ummm... historycznym wydarzeniu, Connee.

- No cóż, oficjalne komunikaty z biura prasowego Imperatora mówią, że na pokładzie znajdują się cztery istoty dążące ku przeznaczeniu. Przeznaczeniu, któremu na imię pokój. Ale te oświadczenia nie opowiadają nam wszystkiego, Tohm.

- Nie, naprawdę?

- Przepraszam, Tohm. Zobaczę, czy kapitan P'wers nie pozwoliłby nam podejść nieco bliżej. Czy możemy przenieść się na lewą stronę lądowiska, Gary?

- Spróbuję, Connee. Ale ruch jest dzisiaj bardzo duży i wieża daje nam popalić.

- Po prostu robią to, co do nich należy, jestem pewna, Gary. I jak to robią!

- Racja, Connee... Dobra... Trzymaj się... Rany, a skąd się wziął ten grawilot?

- To pewnie nasza konkurencja, Gary. Ha, ha. Wybacz mi to poczucie triumfu, Tohm, ale jestem pewna, że widzowie to zrozumieją.

- Absolutnie, Connee. Wiedzą przecież, że jesteśmy najlepszym zespołem wiadomości na Primie. KRCAX Prima, Connee.

- To prawda, Tohm. Patrz na ten widok!

- Naprawdę robi wrażenie. Dobra robota, kapitanie P'wers!

- Dzięki, Tohm. Cholera! Zabieraj się z mojego nieba, ty skur... - Uważaj, Gary.

W domach są dzieciaki. Ha, ha... Teraz zanosi się na wyjątkowo atrakcyjną relację.

Connee, może skończysz opowiadać.

- Dobrze, Tohm. No cóż, po tragicznej śmierci profesora Iskry Wieczny Imperator opracował plan rozwiązania żywotnych problemów Mgławicy Altaic, który według największych autorytetów stanowi majstersztyk. Na pokładzie tego statku są istoty, które powiodą swój region w nową erę pokoju. Głową szanownej delegacji jest pan Menynder. Jego rodacy, Torkowie, popierają go w stu procentach.

- Zasłużył na to, Connee. A teraz opowiedz nam o... ummm... innych. Całkiem dystyngowana grupka, nie sądzisz, Connee?

- Racja, Tohm. Przywódcą Suzdałów jest Youtang, jedna z najzdolniejszych dyplomatów na Jochi. Ze strony Bogazi przybyła Diatry, istota o równie dużym znaczeniu.

Ostatni, ale na pewno nie najgorszy, to Jochiańczyk, pan Gray - wódz bardzo ważnej populacji.

- Wspaniała relacja, Connee. A teraz opowiedz nam, jakie imprezy czekają na tych... dystyngowanych... delegatów.

- Cóż, możesz być pewien, Tohm, że mieszkańcy Primy nie mają zamiaru uchybić naszej sławnej gościnności. Po pierwsze, wielkie powitanie na Soward.

- Przepraszam, Connee, ale muszę przypomnieć naszym widzom, że będziemy przekazywać to na żywo. Jak tylko delegaci wylądują.

- Mów dalej, Tohm.

- Hmm... właśnie skończyłem, Connee. Ha, ha.

- Ha, ha. No dobra. Potem wieczny Imperator zarządził wielką, publiczną uroczystość w pałacu. I to także przekażemy państwu.

- Mamy wyłączność, Connee. Na żywo i tylko my.

- Racja, Tohm. Po uroczystości nastąpi wielki, królewski bal, wyznaczony na dzisiejszy wieczór. Potem...

- Przepraszam, że przerywani, Connee, ale wieża podaje, że statek już nadlatuje.

- Nie przepraszaj, Gary, przecież tylko wykonujesz swoją pracę. Ha, ha. A teraz zobaczmy, jak blisko uda nam się dostać. Damy naszym widzom prawdziwy obraz sprawy.

- Wieża dostanie szau.

- Nie przejmuj się, kapitanie P'wers. Tam też siedzą wspaniali kumple. Poza tym, oni tylko...

- Wiem, wykonują swoją pracę.

Menynder gapił się przez okno na przesuwaną się pod nimi port kosmiczny.

Niechętnie przyznał sam przed sobą, że czuje się podekscytowany.

Podniecony jesteś jak dzieciak, stary dumy grzybie. Ale czy to komu szkodzi?

Bądźmy szczerzy. Nigdy nigdzie w życiu nie jeździłeś. A teraz zobaczysz Świat Primy. A to przecież marzenie każdej żywej istoty od... od zawsze, cholera.

Menynder zachichotał sam do siebie i spojrzął na innych członków swojej grupy.

Niech mnie diabli wezmą, jeśli oni nie czują tak samo, pomyślał. Zauważył, że Youtang ma wyraz pyszczka jak u głupiego szczeniaka, a Diatry otworzyła szeroko dziób, patrząc na cuda Primy. Nie widział Jochiańczyka, Graya. Ale słyszał, jak wzdycha z zachwytem.

Skończ z tym, Menynder, nakazał sobie. Masz tam poważne sprawy do załatwienia.

Tak.

Jasne. Ale czy tylko przez chwilę nie mogę jeszcze pobyć dzieckiem? Przecież spotkam się z Wiecznym Imperatorem. W cholernie prawdziwym zamku. Może nawet uścisknę dłoń Imperatora.

Cholera. Cholera. Cholera. Gdyby mama mogła mnie zobaczyć...

Menynder ujrzał grawilot przelatujący przez ekran. Znak na burcie oznajmiał:

KRCAX Prima. Jacyś sprawozdawcy, pomyślał. Przez chwilę zastanawiał się, czy kapitan pojazdu nie podchodzi zbyt blisko. Nie. To przecież najlepsi z najlepszych, u licha.

Najlepsza załoga wiadomości z najlepszego Świata Primy. Absolutni profesjonaliści. Był tego pewien.

Ale - o rany! On nadal leci! Hej... Co się dzieje?

- Uważaj! - wrzasnął Gray. - Zaraz...

Menynder miał tylko chwilę, by poczuć uderzenie i zobaczyć, że okno z białego staje się czarne. A potem poczuł wielką, ciężką dłoń miażdżącą mu bok. Usłyszał, jak zgrzyta jego fotel wyrywany z posad.

Potem ruszył do przodu, ściana kabiny leciała na niego.

Usłyszał krzyk. I pomyślał... O cholera!

- Tu KBSNQ, nadająca na żywo z portu kosmicznego Soward. Dla tysięcy widzów, którzy dopiero co zasiedli przed ekranami, mamy wiadomości z ostatniej chwili: nastąpiła straszliwa tragedia na głównym lądowisku Primy. Delegacja wysoko postawionych osobistości z Mgławicy Altaic, przybywająca na zasadnicze rozmowy pokojowe z Wiecznym Imperatorem, zderzyła się w powietrzu z pojazdem wiozącym zespół lokalnych wiadomości. Wszystkie istoty znajdujące się na pokładzie uznano za zmarłe. Na miejscu są już imperialni wywiadowcy. Wieczny Imperator nakazał, aby wszystkie flagi były opuszczone przez tydzień do połowy masztu na znak żałoby.

- Wracamy teraz do naszego normalnego programu. Możecie mieć pewność, że przerwiemy go, jeśli nadejdą jakieś nowe wiadomości. Tu mówi Pyt'r Jynnings na żywo z KBNSQ. Ty nam daj dwadzieścia minut... a my damy ci całe Imperium.

## Rozdział 38

Sten siedział w rozpaczy pod ciemnym niebem Rurik. W oddali widać było tylko słaby, wieczny płomień palący się na Placu Khaqanów. Wszystko trwało w milczeniu... oczekiwaniu.

Poczuł, jak Sind dotyka jego ramienia.

- Menynder stanowił naszą ostatnią nadzieję - powiedział.

- Wiem.

- Namówiłem go, żeby pojechał. A on chciał tylko siedzieć nad tym cholernym stawem. W spokoju.

- Wiem o tym.

- Był starym, paskudnym kundlem. Ale, cholera, lubiłem go.

Jej odpowiedź stanowił mocniejszy uścisk.

- Nie mam bladego pojęcia, co teraz robić - powiedział Sten.

- Może... może Imperator coś wymyśli.

- Wierzysz w to?

- A więc Mahoney.

- On jest tak samo zagubiony, jak i ja. W tej chwili właśnie zabija okna deskami.

Przygotowuje się.

- Myślisz, że będzie aż tak źle?

- Tak, naprawdę źle.

- Ale to przecież niczyja wina. Może poza tą cholerną załogą wiadomości. To był po prostu wypadek, na miłość boską.

- Oni tak nie myślą. - Wskazał na milczące miasto. - Oni myślą, że to spisek. Że Imperator skazał Menyndera i innych na śmierć.

- To śmieszne. Po co miałyby to robić?

- Ich nie interesują powody - powiedział Sten. - Oni potrzebują kogoś, na kogo można zrzucić winą. Schrzaniliśmy sprawę, i to wszystko.

Sind zadrżała. Sten objął ją ramieniem.

- Dziękuję - powiedział.

- Za co?

- Za to, że jesteś tutaj, ze mną.

Wtuliła się w jego ramiona.

- Tylko spróbuj mnie odepchnąć - zaszeptała. - Tylko spróbuj. Pomimo swej rozpaczy Sten poczuł się nieco pocieszony. Oparł się i przyciągnął Sind bliżej.

Siedzieli tak aż do świtu. Słońce wstało wielkie, czerwone i wściekłe.

Kilka minut później usłyszeli pierwsze wystrzały.

- Mamy snajperów i zadymiarzy i rabusiów, do licha - powiedział Kilgour. - Nie jest dobrze. Ale nie jest też bardzo źle.

- A co mogłoby być gorsze? - zapytał Sten.

- Obawiam się, że to, co właśnie nadchodzi, chłopcze.

- To znaczy?

- Całkowita nieobecność armii.

- Jeżeli już o tym mówimy, to rzeczywiście nie widziałem w pobliżu żadnych jochiańskich żołnierzy. Ale myślałem, że to dobra wiadomość. No dalej. Powiedz mi, że jest inaczej.

Przywykłem do tego, że coś mnie wprowadza w nastrój przygnębienia. Będę pewnie tęsknił za tym, jak już się skończy.

- Samo siedzenie tutaj może wywrócić świat do góry nogami - powiedział Alex. - Zagłusza szczęście. Zagłusza radość. To wpływ tej cholernej pogody, jak sądzę. Jesz nienawisć na śniadanie i czujesz się chory, widząc na stole poranny salceson.

- Dzięki za przypomnienie mi o nadziewanym owczym żołądku, Kilgour. Mniam, mniam.

Czuję się teraz znacznie lepiej.

- Cieszę się z tego, stary.

- Opowiedz mi o tym wojsku.

- Braku wojska, synu.

- Niech będzie.

- No cóż, po prostu ich tu nie ma, rozumiesz? Ani jeden żołnierz, ani jedna żołnierska kurwa nie szwenda się po Rurik. Posłałem moje nietoperzyki na przeszpiegi.

Latały całe godziny, węsząc i poszukując. Zajrzały do koszar. Do kantyn oficerów i szeregowców.

- Gdzie u diabła oni się wynieśli?

- Dobrze pytanie. Postanowiłem więc poszukać lisa o srebrnym futrze.

- Generał Douw?

- Tak, stary. Jego też nie ma.

Sten wyprostował się na krześle.

- Gdzież on się podział?

- Zniknął razem ze swoimi ludźmi. Manewry, powiedział mi jego adiutant w biurze prasowym. Doroczne manewry w wysokich górach. - Alex wskazał ręką w stronę, gdzie na horyzoncie rysowały się góry, częściowo okalające dolinę Rurik.

- Manewry? Co za bzdura. Nie wierzysz w to, co?

- Niiieeee. Chyba że żołnierze Jochidzielni panowie i panie - wybierają się na manewry, zabierając ze sobą ostrą amunicję.

- O cholera! - powiedział Sten.

- Trzymaj się, stary. Nie podnoś się za szybko.

Douw może i był srebrnowłosym głupcem z ptasim mózdzkiem, ale posadzony na obozowym stołku w swoim górskim centrum dowodzenia, wyglądał w każdym calu na generała. I zachowywał się jak bardzo gniewny generał.

- Nie potrzebujemy dowodu - warknął przez stół, przy którym odbywała się wojenna narada. -



Naleganie na dowód jest ostatnią deską ratunku dla tchórzy.

- Żadnego Suzdala jeszcze nigdy nie nazwano tchórzem - warknął. Tress, władca światów Suzdali.

- Nie obrażaj się tak szybko - powiedział Snyder. Był kuzynem Menyndera i teraz de facto wojennym przywódcą Torków. - To właśnie jest nasz problem w Altaic. Za każdym razem, gdy rozważamy wspólne działanie, ktoś wtyka nos w nie swoje sprawy i cała rzecz się rozlatuje.

- Wzajemny szacunek musimy mieć - stwierdził Hoatzin, głosem szorstkim, znużonym.

Jego żona, Diatry, zginęła wraz z Menynderem i innymi. Teraz zadaniem Hoatzina było poprowadzenie sfor Bogazich do bitwy. Jeśli taka nastąpi.

- Dziel i zwyciężaj. Dziel i zwyciężaj. Tak zawsze działał Imperator - rzekł Douw.

Nie był hipokrytą. Naprawdę zapomniał, że Iskra użył dokładnie tych samych słów, chociaż w innym - i jochiańskim - kontekście.

- Przecież walczymy - powiedział Tress. - Jakie są nasze szanse przeciwko Wiecznemu Imperatorowi? Jego siły...

- Kto przejmuje się wielkością jego sił? - przerwał mu Douw. - Teren jest nasz.

Ludzie są nasi. Jeśli będziemy trzymać się razem... musimy wziąć górę.

- Imperator wcale nie tak mocny jak mu się wydaje - powiedział Hoatzin. - Walka z Tahn wiele lat. Miał zwycięstwo, tak. Ale nie takie dobre zwycięstwo. Bardzo długa wojna. Żołnierze, myślę, zmęczeni. Poza tym, jak mówi generał, ten ład nie ich. O co oni walczą?

- Mimo wszystko - odrzekł Tress - Imperator nigdy dotąd nie przegrał.

- To stanie się kiedyś - powiedział Bogazi. - Musi się stać. Dlaczegożby Imperator zniknął.

Myślę, że uciekał przed Radą.

Nikt przedtem nie przedstawił zniknięcia Imperatora w takim świetle. To był ten rodzaj błędnego myślenia, które prowadzi do zdradzieckich wniosków.

- Musimy wszyscy połączyć swe siły - powiedział Douw. - Po raz pierwszy w naszej historii musimy trwać złączeni z jednej przyczyny. Ta przyczyna to sprawiedliwość. Nasi żołnierze są odważni. Potrzebujemy tylko chęci.

Wokół stołu zapanowało długie milczenie. Gnieźdzące się ponad głowami ptaki robiły zamieszanie.

Tress podniósł się.

- Porozmawiam z moją sforą - oznajmił.

- Co im powiesz? - zapytał Douw.

- Że walczymy razem.

Historia ze snajperem wydawała się Sind całkowicie niezrozumiała.

- Przestań się martwić, skarbie - powiedział Alex. - Na tym strzelcu postawiono już wielki krzyżyk.

- Na lodowate pośladki mojego ojca, czasami jesteś strasznie tępy.

- Teraz wymyślasz mi w tej pogańskiej gwarze Bhorów. Ani odrobiny szacunku dla swojego posiwiąłego przodka. Wstydz się, wstydz, mała.

- Daj spokój, Alex. Jak on się dostał do pałacu? Jak to się stało, że mógł wybrać okno najlepsze do oddania strzału? Jakim cudem miał dosyć czasu, by ustawić cały swój majdan, zorientować się gdzie będzie siedział Sten, i jeszcze stworzyć utrudnienie dla jego ucieczki?

- Mamy cały zespół grzebiący się w tym i badający te obrzydliwe spiski, malutka Sindy.

- Nie wiązałam z tym większych nadziei - odpowiedziała Sind. - Zbyt wielu jest podejrzanych. Za dużo możliwych kombinacji. Mają większą szansę wygrania w imperialnej loterii.

- A tobie wydaje się, że ty możesz zrobić to lepiej?

Sind myślała przez chwilę, potem przytaknęła.

- Jasne. Bo oni szukają w złym kierunku. Ten facet był profesjonalistą. Od wyboru pozycji, poprzez tę starą spluwę, którą się posługiwał, aż do ręcznie toczonych pocisków.

- Okay. Twój martwy strzelec był zawodowcem. To nie jest nic niezwykłego dla snajpera.

Co jeszcze cię dręczy?

Wbrew sobie Kilgour stawał się zainteresowany. Może Sind trafiła na coś?

- Dwie rzeczy. Pierwsza jest osobista. On próbował zabić Stena. Do licha, prawie to zrobił!

Kilgour wiedział o tym, przytaknął i czekał na kluczowe wyjaśnienia.

- Co mnie naprawdę doprowadza do szału - rzekła Sind - to fakt, że był on jedynym snajperem. Cholera, to nie ma sensu. W tych warunkach powinien tu być na dachu cały zastęp strzelców. Albo nikt. Chyba że ktoś chciał mieć extra pewność, kto dokładnie zginie.

- W porządku. Wiemy, że nie musiał zasadzać się na Iskrę. Raport koronera mówi, że załatwił go atak na podium. Ale ten sam szturm ominął Stena. Więc... Ha! On próbował dosięgnąć właśnie Stena. Dzięki tobie i twojemu wspaniałemu krawcowi nie udało mu się.

Ale... mimo wszystko...

Alex zamyślił się.

- Tak... Musi być coś więcej.

- Więcej czego? - wtrącił się Mahoney. - Jaki znowu kłopot szykujecie tu we dwoje?

Obrócili się, aby zobaczyć, że Ian wszedł do pokoju. Sind przywykła do poruszających się cicho wielkich sylwetek. Spójrzmy na Alexa. Albo na jej Bhorów. Ale Mahoney nadal ją zadziwiał.

Jego wielkie irlandzkie ciało i okrągła, przyjazna twarz nie pasowały do kogoś, kto potrafi skradać się jak kot.

Chciała stanąć na baczność i zameldować się starszemu rangą oficerowi, ale Mahoney przerwał jej.

- Po prostu powiedzcie mi, jaki spisek szykujecie.

Sind streściła mu historię o tajemniczym strzelcu. Mahoney słuchał uważnie, potem pokręcił głową.

- To tajemnicza sprawa, zgadzam się z tobą - powiedział. - Ten człowiek na pewno był zawodowcem. To znaczy, że został wynajęty. Co oznacza także, że ktokolwiek go wynajął, to na pewno sprawę dobrze zakonspirował. Dlatego, jeżeli nawet uda się wam dowiedzieć, kim był ten snajper, niewiele więcej osiągniecie. To może i interesująca sprawa, chociaż zła. Ale obawiam się, że w tym przypadku x plus y równa się: a kogo to obchodzi?

- Nie sędzę, sir - stwierdziła Sind. - Nie tym razem. I to nie uczucie, a raczej intuicja.

Profesjonalna intuicja, sir. Widzi pan, kiedy na niego polowałam, robiłam, co tylko mogłam, żeby myśleć tak, jak on.

- Oczywiście - stwierdził Mahoney.

Były szef Sekcji Mantis poczuł, że zaczyna się wciągać.

- Bardzo szybko naprawdę zaczęłam myśleć jak on. Nawet nazwałam go w myślach „słoneczkiem”.

- A co czyni to „słoneczko” innym niż wszyscy? - chciał wiedzieć Mahoney.

Sind westchnęła.

- Jego wiedza na temat terenu i obranego celu. To znaczy, że „słoneczko” kręcił się przez jakiś czas koło pałacu. Myślę, że sprawdził osobiście każdy cal.

Sądzę, że zrobił, co tylko mógł, aby poznać swój cel. Inaczej nie czułby się dobrze. Nie. Na pewno chciałby wiedzieć o Stenie jak najwięcej. Poznać go dobrze. Mieć jakieś pojęcie o jego prywatnych zwyczajach. Wiedzieć którędy zechce się wycofywać podczas ataku.

- Tak... całkiem nieźle, mała - powiedział Alex. - I może... tylko może...

Mahoney walnął w stół.

- No jasne! Mógł próbować odwiedzić ambasadę. Albo przynajmniej asystować przy pewnych oficjalnych okazjach, gdzie ewentualnie pojawiłby się Sten.

- Dokładnie tak - powiedziała Sind. - To znaczy, że albo Sten, albo Alex mogą go rozpoznać.

Spojrzała na Mahoneya.

- Chcę, żeby Sten poszedł do kostnicy, sir - stwierdziła. - Zobaczyć, czy nie uda się zidentyfikować szczątków.

- Powiedz to jemu, nie mnie - stwierdził Ian, całkiem rozsądnie.

Sind podniosła brwi.

- Pomyśli, że to strata czasu, sir. Gdyby tak pan... - Pozwoliła słowom zawisnąć w powietrzu.

- Zaciągnę go za ucho - powiedział Mahoney. - Chodź, Alex. Idziemy pogawędzić z ambasadorem.

Piwniczna kostnica była biała i zimna, z filtrem odkażającym powietrze, co jednak nie chroniło przed przypadkowymi podmuchami odoru, powodującego przykry smak na języku.

- Poczekajcie chwilę - powiedział pracujący tam człowiek. - Jeszcze nie skończyłem jeść. -

Machnął im koło nosa grubą kanapką. Sos pomidorowy przeciekał przez chleb.

Sind była o krok od rozdrapania mu twarzy. Mimo nalegań Kilgoura i Mahoneya Sten uparcie odmawiał przyjścia. Jest zbyt zajęty, mówił. Po uszy tkwi w gównie.

Wreszcie uległ.

Teraz z podziwem obserwowała jego postępowanie. Zamiast warknąć rozkaz, wyciągnął z kieszeni plik banknotów i zamachał nimi przed nosem mężczyzny.

- Zawsze możesz zabrać kanapkę ze sobą - powiedział.

Posługacz złapał banknoty, machnął ręką z kanapką i ruszył naprzód. Poszli za nim.

- To jedyny sposób na to, aby zwrócić uwagę biurokraty - szepnął Sten do ucha Sind. - Wrzaski powodują, że stają się jeszcze bardziej uparci i głupsi.

Mężczyzna poruszał się wzdłuż rzędu szuflad zawierających ciała.

- Zobaczmy... Gdzie ja włożyłem tego Bezimiennego?

Skierował pilota, nacisnął guzik i ciało wysunęło się z trzaskiem. Z krypty wionęło zimnym powietrzem.

Posługacz zajrzał do szuflady. Kropla czerwonego sosu spadła na ciało. Starł ją kciukiem, potem wylizal go do czysta.

- Nie, To nie ten. - Nacisnął guzik i szuflada zamknęła się. Posługacz wybuchnął śmiechem.

- Przykro mi, że zawracałem wam głowy tym bezgłowym.

Nikt nie śmiał się z jego dowcipu. Wzruszył ramionami.

- Od czasu, kiedy umarł stary Khaqan, mieliśmy dużo pracy - powiedział. - Więcej klientów niż czasu.

Roześmiał się znowu.

- Moja żona jest szczęśliwa jak świnia w błocie. Całe miesiące wyrabiałem nadgodziny.

Jeszcze jedna dobra strzelanina i będziemy mogli kupić sobie domek w lesie, o jakim marzymy.

- Czyli dobrze się dla was składa - stwierdziła Sind.

Posługacz zrozumiał jej ton.

- To nie ja ich tu włożyłem paniusiu - powiedział. - To wasza robota. Wy ich rozwalacie, ja pakuję w worki. Robię to, co do mnie należy.

Jeszcze raz wycelował pilota i nacisnął guzik. Wysunęła się szuflada. Spojrzał w nią.

- Tak. To ten. Mogę się z wami założyć. Nadal martwy. Ha, ha. Spójrzcie tu, chłopcy.

Zobaczycie waszą przyszłość. - Zerknął na Sind. - Ty też, panienko.

Ale to Mahoney spojrzął jako pierwszy. Jego reakcja była szybka i gwałtowna.

- Matko miłosierna - zawołał. - To Venloe!

Stena aż odrzuciło do tyłu.

- To niemożliwe. - Sam zajrzał. - Cholera! To rzeczywiście Venloe.

- To nieprawdopodobne - stwierdził Alex, weryfikując ich spostrzeżenia. - Ale tak jest!

Sind nie wiedziała z początku, o czym oni mówią. Potem przypomniała sobie.

Venloe to człowiek odpowiedzialny za śmierć Imperatora!

- Myślałam, że on...

- ...siedzi w najlepiej strzeżonym cholernym więzieniu - dokończył za nią Sten.

- Kiedy słyszałem o nim ostatnio, był tak głęboko pod ziemią, że na słońce patrzył przez lornetkę.

- Musiał uciec - powiedziała Sind.

- To niemożliwe - stwierdził Sten. Spojrzał ponownie. - Ale... przecież tu jest.

- Raczej jego górna część - wtrącił Alex.

Mahoney podniósł brwi na widok stojących przed nim zastygłych postaci.

Przypomniał sobie dzień, kiedy złapał Venloe. I ich rozmowę. Venloe był istotą zdolną wywinąć się z niemal każdej sytuacji, włączając w to nawet dobrze strzeżone więzienie Imperatora.

- Ale co on tu robił? - spytała Sind. - Kto mógł...

Resztę jej pytania przerwał brzęczyk telefonu Mahoneya. Wyciągnął go z kieszeni i włączył.

- Mahoney, słucham.

Głos oficera zatrzeszczał przez głośnik.

- Niech pan lepiej wraca szybko, sir. Właśnie wykryliśmy flotę kierującą się na Jochi. Są zdecydowanie nieprzyjaźni, sir.

Mahoney był już w biegu, kiedy wyłączał telefon. Inni ruszyli za nim.

Venloe leżał zimny w swojej szufladzie za nimi, jego tajemnica została zapomniana w obliczu nadciągającego ataku.

Posługacz z kostnicy, który podsłuchał wiadomość, pospieszył, aby uczynić swoją żonę jeszcze szczęśliwszą kobietą.

## Rozdział 39

Admirał Han Langsdorff musiał albo przespać, albo totalnie olać wykłady na temat podstawowych pomyłek wojskowych jakieś pięćdziesiąt lat wcześniej.

Wziął imperialną flotyllę pancerników, aby powstrzymać nadciągające siły floty inwazyjnej Suzdalów i Bogazi, pewien siebie i zadowolony. To będzie proste, choć krwawe zadanie. Po pierwsze oczekiwał, że te prymitywne istoty - Langsdorff ukrywał to całkiem nieźle, ale był ksenofobem - zastygną ze strachu, kiedy ujrzą zbrojną pięść Imperatora. Po otrząśnięciu się z podziwu i przerażenia w najgorszym razie sformują szyk bitewny i przystąpią do frontalnego ataku.

Langsdorff wysłał jeden szwadron pancerników w charakterze wabika i uformował swoje główne siły w zakrzywione skrzydło ustawione za i w kierunku przynęty.

Gdyby wróg próbował zaatakować siły Imperium, w prosty sposób Langsdorff mógłby okrążyć jego flanki i mieć go w całości na widelcu.

Nie był to złożony plan. Ale prostota to cenna rzecz podczas bitwy. Poza tym, jak mogło jakieś sprzymierzenie przerośniętych ptaków i psów utrzymać się przeciwko Imperium?

Z pewnością nie był pierwszym kierującym bitwą dowódcą odnoszącym się z taką pogardą do nieprzyjaciela. Historia odnotowała bardzo długą listę przypadków, kiedy przydarzyło się to samo.

Długotrwała klęska Hsiung-Nu w Turkiestanie. Little Horn. Isandhlwana.

Magersfontein.

Suomussalmi. DienBienPhu. Saragossa. I tak dalej, i tak dalej.

Nawet nazwa jego statku flagowego mogła pomóc. Langsdorff mgliscie wiedział, że „Repulse”, wiele reinkarnacji temu, był okrętem wojennym pływającym po wodach.

Coś mu nawet świtało, że ten rodzaj okrętu nazywano krążownikiem. I na tym kończyła się jego wiedza.

Nie miał pojęcia o tym, iż tamten „Repulse” - i towarzyszący mu pancernik - żeglowały spokojnie po cichych wodach, wierząc, że sama obecność okrętów wojennych spowoduje u wroga paraliżujący strach; że nikt nie odważy się użyć samolotów z baz lądowych na otwartym morzu; i że oczywiście jest, iż nikt ze stukrotnie godnych pogardy mongoloidalnych podludzi nie odważy się nawet stanąć do konfrontacji ze wspaniałymi reprezentantami Imperium.

Japońskie bombowce atmosferyczne z baz lądowych potrzebowały zaledwie mniej niż godzinę na to, aby zatopić oba okręty wojenne.

Langsdorff przejrzał ekran. Czujniki Imperium wykryły połączone floty Suzdalów i Bogazi.

Prychnął. Te istoty nic nie umieją poprawnie zrobić. Gdyby to on atakował stołeczną planetę mgławicy, na pewno przybyłby ze znacznie większą ilością okrętów wojennych niż ta, na którą

patrzył - nawet jeśli miałyby to oznaczać umieszczenie wyrzutni rakiet na każdym promie księżycowym, jaki zdołałaby zarekwirować.

Dwa szwadrony wrogich krążowników uderzyły na imperialne okręty frontalnym atakiem.

Kilka minut później dwie następne formacje - składające się z fregat i ciężkich krążowników - objawiły się nad i pod siłami Imperium, jak gigantyczne szczęki dziadka do orzechów.

Okręty Imperium podjęły walkę - ale nie miały szans.

Bitwa trwała. Admirał Langsdorff nakazał, aby jego formacja przystąpiła do niej, angażując w walce lewą flankę, tak, jak kiedyś ludzie zwani Turkami postąpili w bitwie morskiej pod Lepanto. Ale w przeciwieństwie do Otomańczyków nie zachował niczego w odwodzie.

Dowódcy floty Suzdalów i Bogazi także, jak Langsdorff, wierzyli w to, że prosta strategia jest najlepsza. Ich taktyka została zaczerpnięta z oklepanego rysunku, na którym płotka połykana jest przez nieco większą rybę połykaną przez rekina połykanego przez wieloryba.

Nieco dalej, nad i pod szczękami zaciskającymi się właśnie na imperialnych krążownikach, czekały naprawdę poważne siły Suzdalów i Bogazi. Ich admirałowie czekali, aż formacja pancerników Langsdorffa zostanie nieodwracalnie związana w walce.

Wtedy zamknęli większe szczęki na dużo bogatszym łupie: całych siłach uderzeniowych Imperium. Langsdorff zginął, zanim zdążył zawołać o pomoc, która po prostu nie istniała.

Bitwa skończyła się katastrofalną klęską Imperium.

Suzdalowie i Bogazi stracili pięć krążowników, czternaście niszczycieli i rozproszone lżejsze okręty.

Imperium ocaliło jeden pancernik, trzy krążowniki, jeden lotniskowiec dla fregat i dwadzieścia mniejszych jednostek.

Flota Suzdalów i Bogazi triumfalnie przegrupowała swe szyki i ruszyła w kierunku Jochi.

Jednak ich zwycięstwo nie miało stać się przedmiotem rozważań na akademiach wojskowych.

Masakry, z jakichś przyczyn, nie za bardzo interesują żołnierzy.

Klęska Langsdorffa pozostawiła Jochi otworem dla inwazji. Pierwsza Imperialna Dywizja Gwardii została złapana w pułapkę na nieprzyjaznym świecie.

# Rozdział 40

Ambasada zatrzęsała się pod uderzeniem potężnej burzy, schodzącej z gór. Nawet tu, w pokoju konferencyjnym ukrytym głęboko w głębi budynku, Sten słyszał trzask błyskawic i przetaczanie się gromu.

Zadrżał. Nie z powodu zimnego deszczu padającego na zewnątrz, ale słów wypowiedzianych przez dziwną istotę, unoszącą się w powietrzu o metr nad podłogą pokoju.

- ...przykro mi to mówić, ale moje rozumowanie wydawało się prawidłowe. Może dlatego zaryzykowałem tak bardzo i zadałem sobie trud odwiedzenia doktor Rykor. Z fałszywą nadzieją, że trwam w strasliwym błędzie, a nasza mądra przyjaciółka łagodnie przywróci mi zdrowy rozsądek.

Pan Ecu machnął ogonem i podpłynął do Stena. Wrażliwy czulek drgnął i dotknął ręki Stena.

- Ale nie było żadnego błędu. Wieczny Imperator zupełnie oszalał i może z tego wyniknąć tylko całkowita katastrofa.

Sten milczał. Czuł się osierocony po raz drugi w życiu. Pracował i walczył dla Imperatora od czasów, gdy był nastolatkiem - po tym, jak jego prawdziwa rodzina została wymordowana.

- Ledwie mogę w to uwierzyć - powiedział Mahoney.

Chociaż podejrzewał już od dawna, jednak miał trudności z przełknięciem trudnej prawdy.

- Bardzo mi przykro, stary przyjacielu - stwierdził pan Ecu. - Ale przecież wy wszyscy wiecie doskonale, że mam rację. Mimo to... są jeszcze dwie rzeczy, o których chcę wam powiedzieć.

Zmienił pozycję, zbliżając się nieco do podłogi. Posługując się czułkiem przeszukał otwartą skrzyneczkę. Mahoney zorientował się, że to teczka.

- Mam tu akta wywiadu, jakie zdobyli moi agenci. Widzicie, kiedy uzyskałem przekonanie, że Imperator zwariował, zastanowiłem się, kto mu teraz doradza. Kto mu szeptem do ucha? Kto opracowuje jego rozkazy?

Mahoney spojrzał na akta.

- I czego się dowiedziałeś?

- Poyndex - stwierdził beznamiętnie Ecu.

Sten wciągnął powietrze w odpowiedzi na kolejny cios.

- Ale ten człowiek to renegat - zaprotestował Mahoney. - Zdradził Imperatora, aby dołączyć do Rady. Potem zdradził Radę, żeby ratować własne życie.

- To prawda. A teraz wprowadza w życie plan Imperatora, chcąc przekształcić prowincje w dominia. Zadanie, które, jak przekazują moje źródła, ty odrzuciłeś. Z powodów natury moralnej.

Mahoney, obraz czystej rozpacz, opadł na krzesło.

- Jak sprawy mogły przybrać taki obrót? - powiedział. - Po tych wszystkich latach?

Czulek Manabi wyciągnął więcej złych wiadomości. Teraz nadeszła kolej Stena. Pokazano mu dwa skoroszyty w papierowych okładkach. Jeden był niebieski, drugi czerwony. W otępieniu zobaczył widniejące na obu swoje nazwisko.

- Te zapisy w kartotece dotyczą ciebie - powiedział pan Ecu. - Wybacz, że naruszam twoją prywatność.

Sten zbył to wzruszeniem ramion. Jakie to miało teraz znaczenie?

- Pierwszy skoroszyt, niebieski, to twoja oficjalna kartoteka. Dane dla publicznej wiadomości o twoich licznych osiągnięciach w służbie imperialnej. Dokładniejsza analiza pokazuje, że w tych zapisach istnieją luki, które są zmyślnie zakamuflowane.

Sten i Mahoney wiedzieli, że tak zwane luki wynikały z sekretnych misji, jakie Sten podejmował w służbie Imperatora.

- Jeśli o mnie chodzi, to możesz się nie trudzić wyjaśnianiem tych brakujących lat - powiedział pan Ecu. - Jestem pewien, że z łatwością mogę odgadnąć, jaki był charakter misji, które podejmowałeś w imieniu Imperatora.

- Dzięki - powiedział Sten zmęczonym głosem.

- Otwórz, proszę, tę drugą teczkę, Sten - powiedział pan Ecu.

Sten odrzucił czerwone okładki, zdjął pierwszą stronę ze znakami Służby Wewnętrznej.

Zadziwiony spojrzał w górę na Ecu.

- Ja byłem... śledzony?

- Śledztwo zostało już zakończone - stwierdził pan Ecu. - Gdy będziesz miał czas na to, żeby zajrzeć do środka, zobaczysz, że dżentelmeni ze Służby Wewnętrznej prezentują inny pogląd na owe luki. Pogląd nieodwołalnie prowadzący do stwierdzenia, iż jesteś zdrajcą, Sten. Ty, najbardziej lojalny ze wszystkich poddanych Imperatora, stanowiłeś narzędzie jego wrogów.

Sten szybko przekartkował akta i zobaczył dowody oparte na zeznaniach. Zamknął czerwoną teczkę. - To tajna broń, jak sądzę? - spytał.

- Oczywiście. Gdyby nie powiodło ci się w jakimś zadaniu - albo gdybyś popadł w niełaskę Imperatora - wtedy te akta wejdą w grę. A twoje osiągnięcia przespacerują się do niszcarki.

Sten poczuł, jak pokój faluje wokół niego. To nie była burza. Uspokoił się.

- Dziękuję ci za to ostrzeżenie, panie Ecu. Ale sądzę, że miałeś na myśli coś więcej niż moją reputację.

Pan Ecu podejmował straszliwe ryzyko, składając tę wizytę. Tak... użył absolutnie bezpiecznego transportu zapewnionego przez Idę - Cyganekę, starą towarzyszkę broni Stenaz sekcji Mantis. Gdyby ktokolwiek dowiedział się o prawdziwej naturze jego misji, pan Ecu mógłby spowodować zagrożenie nie tylko dla siebie, ale także dla całego swego gatunku.

Manabi odrzucił wszelkie dyplomatyczne pozory.

- Miałem nadzieję, że zdołasz nam pomóc - powiedział.

To wstrząsnęło Stenem.

- Pomóc? Ale jak? Nie kontroluję armii i flot. Ja tylko jestem...

- Nie denerwuj się za bardzo, młody Stenie - uspokajał go Ecu. - Sam dokładnie nie wiem, o co cię proszę. Poza tym, żebyś intensywnie pomyślał... Kiedy skończy się ta paskudna sprawa z Altaic... przyjedź do mnie, na mój macierzysty świat. Ty też, Ian. Udało nam się już kiedyś dokonać cudu, pamiętacie?

- Ale to była tylko Rada - zaprotestował Sten. - A nie Wieczny Imperator.



- Sądzę, że powinniśmy go posłuchać, Sten - powiedział Mahoney głuchym szeptem.

-

Przysięgałem na wierność symbolowi. Nie człowiekowi.

Sten milczał. Jak mógł to wyjaśnić? Nie istniały słowa, aby oddać stratę, jaką właśnie poniósł. Król nie żyje, rzeczywiście. Niech żyje król. Nagle przyszło mu coś do głowy: co mnie teraz trzyma? Na czym mi teraz zależy? Poza Sind? Poza przyjaciółmi? Pomyślał o swoim schronieniu w Smallbridge. Zatęsknił za tamtejszymi borami i wzgórzami, i chatą na brzegu zamrożonego jeziora.

- Niech pan znajdzie kogoś innego - powiedział do Ecu. - Nie chciałbym, aby to zabrzmiało jak niewdzięczność, ale mam zamiar wziąć pańskie ostrzeżenie do serca i zrobić z niego bardzo samolubny użytek.

- Będę czekał, młody Stenie - stwierdził Manabi. - Wierzę w ciebie.

- Niech pan już idzie - powiedział szorstko Sten. - Moi ludzie odprowadzą pana na statek.

Życzę bezpiecznej podróży. I dziękuję za to, że robił pan sobie kłopot.

Sten skierował się do drzwi. Mahoney powoli podążył za nim.

- Rykor przewidziała, że odmówisz mi na początku! - wołał za nim pan Ecu. - Ale w końcu udzielisz zgody, powiedziała.

Sten odczuwał nierozsądny gniew. Warknął na uprzejmą istotę, która przyleciała z tak daleka.

- Chrzanić Rykor!

- Pomyśl o tym, Sten, nic więcej - usłyszał za sobą słowa Manabi. - To oszczędzi nam wiele czasu.

Sten przeleciał przez hol wejściowy jak huragan, w środku zaciskał mu się węzeł rozpalonego do białości gniewu. Chciał uciec. Gdziekolwiek. Upić się. Wgryźć w lufę pistoletu.

Mijając recepcję i kierując się w stronę drzwi do ambasady, ledwie dostrzegł bladą, przerażoną twarz oficera dyżurnego.

Wielka łapa Mahoneya spadła na jego ramię i obróciła go dookoła. Sten resztkami sił powstrzymywał się przed uderzeniem przyjaciela.

- Sten! Słuchaj mnie, do cholery! Pamiętasz, co powiedziałem ci na Primie? Zanim to wszystko się zaczęło? Teraz sądzą, że wiem, gdzie może leżeć nasza odpowiedź.

Sten zrzucił dłoń z ramienia.

- Mam już dość tych gier, Ian - powiedział. - Niech dla odmiany ktoś inny poszuka odpowiedzi. Cholera! Mnie już nawet samo pytanie nie obchodzi.

Cztery wielkie sylwetki w szarych mundurach wkroczyły w pole widzenia. Serce Stena załomotało, kiedy uprzytomnił sobie znaczenie ich obecności.

Podeszli do nich. Dowódca wyciągnął nakaz aresztowania. Inni wyjęli plastikowe kajdanki.

Sten zebrał się w sobie.

Dowódca przeszedł obok niego. Sten poczuł, że kręci mu się w głowie, kiedy mężczyzna zwrócił się do Iana.

- Gubernatorze Mahoney, pan pozwoli z nami.

Sten patrzył z niedowierzaniem. Co u diabła się dzieje? Dlaczego nie zabierają jego?

- Z czyjego rozkazu? - usłyszał huczący głos Mahoneya.

- Z rozkazu Wiecznego Imperatora - warknął dowódca. - Został pan oskarżony o niekompetencję w obliczu nieprzyjaciela. Od tej chwili jest pan zwolniony ze stanowiska dowódcy.

Będzie pan pod eskortą odwieziony na Primę i tam oskarżony... Jeżeli oskarżenie się potwierdzi,

stanie pan przed sądem.

Sten desperacko usiłował znaleźć w tym jakiś sens. Muszą mówić o tym, co zdarzyło się w Spornych Światach. O głupiej i poniżającej klęsce admirała Langsdorffa. Wszedł pomiędzy oficerów Służby Wewnętrznej a Mahoneya.

- Ale on przecież nie ma z tym nic wspólnego - zaprotestował.

- Proszę zejść z drogi, ambasadorze - powiedział dowódca.

Sten odwrócił się, żeby zawołać o pomoc, zastanawiając się, czy znajdzie się ktoś na tyle głupi, aby pospieszyć na jego wezwanie.

- Wszystko w porządku, Sten - powiedział Mahoney. - Nie pogarszaj sprawy.

Odepchnął Stena na bok.

- Jestem gotowy - zwrócił się do dowódcy.

Sten bezsilnie patrzył, jak rzucili Iana na mur, kopniakiem rozdzielili mu stopy i zrobili dokładną, upokarzającą rewizję. Ręce Mahoneya były spięte na plecach. Kajdanki założono tak ciasno, że Sten widział, jak ręce Iana puchną.

Chwilę później Mahoney został wyprowadzony z ambasady.

- Zadzwoń do Imperatora! - krzyczał za nim Sten. - To pomyłka. Wiem o tym.

Straszliwa pomyłka.

- Po prostu jedź do domu, mały! - wrzasnął Mahoney, przepychany przez drzwi. - Pamiętaj, co powiedziałem - i jedź do domu!

Świst drzwi... i już go nie było.

Sten pobiegł pędem do pokoju łącznościowego i odepchnął na bok dyżurnego oficera. Sam wstukał kod i wcisnął guzik przesyłania.

- Chcę rozmawiać z Imperatorem! - krzyknął na urzędnika, który w końcu odebrał jego telefon. - I to już, do diabła!

- Przykro mi, panie ambasadorze Sten - powiedział urzędnik. - Ale dano mi wyraźne instrukcje. Imperator nie życzy sobie rozmawiać z panem. Pod żadnym pozorem.

- Chwileczkę, ty durniu - warknął Sten. - Mówi ambasador Sten, a nie jakiś głupawy urzędniczyna.

Urzędnik udawał, że sprawdza coś na leżącej przed nim liście.

- Przykro mi. Nie ma pomyłki. Imperator wyraźnie nakazał skreślenie pańskiego nazwiska z listy dostępu osobistego. Przepraszam, jeśli stanowi to dla pana jakąś niewygodę, ale jestem pewien, że może otrzymać pan to, czego potrzebuje, poprzez oficjalne kanały.

Ekran ściemniał.

Sten odchylił się do tyłu. Jediną rzeczą, jaką teraz mógł zrobić dla Mahoneya, była modlitwa.

A to stało się niemożliwe dla człowieka, który, zupełnie nagle, nie miał już żadnych bogów.

# Rozdział 41

Usunięcie i aresztowanie Mahoneya zdecydowanie obniżyło morale sił Imperium. Dla Stena Ian był nie tylko przyjacielem i mentorem, ale także człowiekiem, który uratował jego życie na Vulcanie.

Dla Kilgoura, nie mającego zaufania do oficerów, Mahoney był, między innymi, szanowanym przywódcą - kiedyś w Sekcji Mantis prowadził Alexa, całe lata przed spotkaniem Stena.

Dla Sind, Otho i Bhorów Mahoney stanowił przykład starszego, szlachetnego i doświadczonego dowódcy. Jeżeli w jakiś sposób obraził Imperatora, to powinien otrzymać szansę na to, aby obciąć sobie brodę i czekać na wyrok - a nie pod eskortą zbrojnych ludzi zostać odesłanym do więzienia, jak jakiś kryminalista.

Dla Pierwszej Dywizji Gwardii Mahoney był nie tylko jednym z nich, tym, który zaczynał swoją służbę wojskową od najniższych stopni, ale też najbardziej szanowanym oficerem. Podczas wojen tahnijskich pełnił funkcję dowodzącego generała.

Ich dowódca, generał Paidraic Sarsfield, służył nawet pod Mahoneyem jako szef kompanii, kiedyś na piekielnym świecie o nazwie Cavite.

Nikt z nich nie potrafił zrozumieć, jaką pomyłkę, a co dopiero przestępstwo, mógłby popełnić Mahoney.

Nawet o tym nie rozmawiali. Zdarzenie, i cała sytuacja, były zbyt niewłaściwe.

Sten musiałby szybko podjąć jakąś akcję, aby podnieść ducha z powrotem na poziom umożliwiający funkcjonowanie - nie był pewien, co to mogłoby być - gdyby nie to, że zbliżał się najgorszy z nocnych koszmarów: inwazyjna flota Suzdalów i Bogazi, nadchodząca na pełnej prędkości. Sten nie widział żadnego sposobu, jak mógłby zatrzymać inwazję.

Spośród uczestników gry swoje opinie na temat usunięcia Mahoneya zachowali dla siebie Gurkhowie. I admirał floty Mason.

Alex wtargnął do biura Stena, zatraskując za sobą drzwi. Framuga zadrżała, jakby miała rozpaść się w drzazgi, ale wytrzymała.

- Zobacz - rzucił bez wstępów - właśnie rozszyfrowano nasze rozkazy marszowe. Z tym wyjątkiem, że nikt z nas nie będzie maszerował. Ścisłe tajne. Nie od naszego cholernego Imperatora, ale od jakiegoś idioty z biura imperialnego.

Podał zwinięty wydruk Stenowi. Treść była krótka.

KONTYNUOWAĆ MISJĘ JAK ZAPLANOWANO. BEZPOŚREDNIE RZĄDY IMPERATORA BĘDĄ NADAL TRWAŁY. UTRZYMAĆ PORZĄDEK PUBLICZNY.

- Bez żadnej sugestii, jak to zrobić - powiedział Alex. - Jakiś skurwiel nam tu mać, i chyba wiem kto. Ten latający gość miał rację.

Sten nie zwracał zbytniej uwagi na przekleństwa Alexa.

- Więc co powinniśmy zrobić?

Sten podjął decyzję.

- Czy potrafisz oszukać rejestr kodowanych wiadomości?

- Lewą nogą. Chcesz nadać wiadomość, że tym razem zmieniamy kurs, czy co?

- Nie trafiłeś. Zbyt trudne do uzasadnienia. Po prostu nigdy tego nie dostaliśmy.

- Tak jest, sir.

Kilgour obrócił się do wyjścia.

- Wiesz co, chłopcze, kiedy zabierzemy nasze tyłki daleko stąd, nie zostanę w służbie Imperatora.

Na dobre czy na złe, nie zasługuje już na moją przysięgę.

- Lepiej najpierw pomartwmy się o te nasze tyłki i odwrót. To jest wystarczająco mało prawdopodobne, żeby mogło nastąpić - poradził Sten tak neutralnym tonem, na jaki mógł się zdobyć.

- Admirale Mason, odwołuję pana z dowodzenia „Victory”.

- Tak jest, sir.

- Chcę, żeby objął pan resztki tej cholernej floty Langsdorffa i statki eskortujące, które pozostały z transportami gwardii.

- Tak jest, sir.

- „Victory” będzie wycofana i oddana pod moje rozkazy, podobnie jak lotniskowiec dla fregat, któremu udało się wrócić.

- „Bennigton”, sir.

- Dziękuję.

- Jak brzmią moje instrukcje? - zapytał Mason, ciągle tym samym lodowato obojętnym tonem.

- Przygotowujemy ewakuację wszystkich imperialnych podmiotów z Jochi i Mgławicy Altaic. Jak to zrobić, przy możliwie najmniejszych stratach własnych, nie jestem pewien.

- Co z Pierwszą Dywizją Gwardii?

- Będę za nią również odpowiadał.

- Tak jest, sir. Czy mogę skomentować?

- Może pan - odpowiedział Sten.

- Czy rzeczywiście uważa pan, że ma odpowiednie kwalifikacje jako generał?

- Admirale, nie uważam by ktokolwiek był odpowiednio wykwalifikowany do kierowania odwrotem pod ostrzałem, a właśnie to zamierzamy podjąć. Przypomnę panu, że już mam jeden za sobą. W czasie wojny. Na planecie zwanej Cavite. A teraz, czy ma pan jeszcze jakieś obelgi?

- Nie, ale chcę zadać kolejne pytanie.

Sten skinął głową.

- Co zmieniło sytuację? Myślałem, że Imperator chciał utrzymania Altaic.

Wydawało mi się, że ta mgławica ma jakieś duże znaczenie dyplomatyczne, o którym nie wiem.

- Wysłałem informacje operacyjne dziś rano na Prima kłamał Sten. - Mówiące, że Altaic nie może być utrzymane. Nie otrzymałem odpowiedzi. W związku z tym proponuję, żeby wdrożyć procedurę wycofywania. Jeśli sytuacja się zmieni, będzie pan wśród pierwszych poinformowanych.

To wszystko.

Statki zwiadu doniosły, że flota Suzdalów i Bogazi była o trzy dni od systemu słonecznego Jochi.

- Generale Sarsfield, czy jest pan sam?

- Tak, sir.

- Chcę, żeby pańska dywizja szykowała się do drogi. Proszę zapakować i przygotować wszystkie przedmioty, które nie są związane z walką. Cokolwiek nie jest absolutnie konieczne dla misji związanej z walką na planecie, może być przeniesione na transportowce.

Jaki minimalny czas wystarczy pańskiej dywizji na to, aby się przegrupować?

- Regulaminy mówią, że potrzeba dziesięciu godzin na osiągnięcie stanu pełnej gotowości.

Możemy to zrobić w pięć.

- Dobrze.

- Czy mogę zapytać, gdzie się wybieramy?

- Do domu. Mam nadzieję. Ale może być kilka wycieczek po drodze.

- To wystarczy - rozkazał Sten, pocierając oczy, które niemal wypadały mu z oczodołów.

Wygasił wszystkie ekrany w pokoju konferencyjnym i kiedy ucichł jazgot nadchodzących wiadomości, nastąpiła cisza.

Podszedł do stołu, gdzie stała nie zauważona przez niego wcześniej przykryta taca. Podniósł jedną z pokrywek i wziął kanapkę. Była tylko trochę nieświeża. Wyciągnął ją w stronę Alexa i wziął następną dla siebie.

Z tyłu znalazł pojemnik. Wyjął korek i pociągnął nosem. Stregg.

Czy to rozsądne?

Czemu nie? Klęska będzie taka sama na trzeźwo czy po pijaku.

Nalał drinki, wręczył jeden Alexowi, i wzniesli toast.

Za zdrowie Sind. To ona musiała zadbać o przyniesienie poczęstunku w czasie, gdy przejęła dowodzenie ochroną ambasady.

- Masz już opracowaną jakąś genialną strategię? - próbował dowiedzieć się Alex, gdy pochłonął już jedną kanapkę i sięgał po następną.

- Nie za bardzo i chciałbym, żeby było lepiej niż na Cavite - odpowiedział Sten.

Mahoney rozpoczął wtedy wycofywanie przetrzebionych, pozbawionych broni sił imperialnych z tego świata, a Sten dokończył zadanie. Udało mu się wyciągnąć stamtąd cywilów i mniej niż dwa tysiące żołnierzy Imperium. Sam Sten zakończył jako jeniec wojenny.

Otrzymał najwyższe medale za to osiągnięcie, i był fetowany jako wspaniały dowódca wojenny. Sten nigdy tak nie uważał, sądził raczej, że Cavite była kompletną katastrofą, a jego wysiłki w najlepszym wypadku działaniami w celu ograniczenia strat.

Teraz przynajmniej nie było zbyt wielu cywilów z Imperium, poza personelem ambasady.

- Tak - zgodził się Alex, chociaż nigdy nie oceniał Cavite tak surowo jak Sten.

- Mam trochę pomysłów - kontynuował Sten - ale w tej chwili mój mózg zastrajkował.

- Nic dziwnego - powiedział Alex. - Brakuje już tylko godziny do świtu. Chyba najlepiej zrobimy, jak zdrzemniemy się chwilę.

Sten ziewnął, nagle poczuł się bardzo śpiący.

- Dobra myśl. Zamów budzenie za dwie godziny.

Ktoś zapukał do drzwi.

- Jak ja...

- Wejść! - zawołał Sten.

Drzwi otworzyły się. Stali za nimi trzej Gurkhowie. Sten poczuł się nagle nieco dziwnie.

Pomimo późnej pory, wszyscy ubrali się jak na inspekcję w koszarach.

Wstrzymał jęk. Gurkhami okazali się Jemedar Lalbahadur Thapa, świeżo awansowani

Havildarowie Chittahang Limbu i Makhajiri Gurung.

Ostatni raz to trio nawiedziło go na Primie, kiedy zaoferowali mu siebie samych i dwudziestu czterech pozostałych Gurkhów, łamiąc długą tradycję, że nepalscy najemnicy służą wyłącznie Wiecznemu Imperatorowi. Oferta owa najwyraźniej nie podobała się władcy.

Gurkhowie zasalutowali. Sten oddał salut i powiedział, że mogą stanąć na spoczynku.

- Bardzo nam przykro, że przeszkadzamy wam o tej godzinie - stwierdził formalnie Lalbahadur. - Ale to jedyna chwila, jaką udało nam się znaleźć. Chcielibyśmy porozmawiać z panem na osobności, jeśli można.

Sten skinął głową. Alex przełknął kanapkę, splukał ją streggiem i znikł. Sten zaoferował im krzesła. Woleli stać.

- Mamy jedno czy dwa pytania o naszą przyszłość, na które nie potrafimy odpowiedzieć - ciągnął Lalbahadur. - To rzecz jasna najwyższa głupota, jako że bez wątplenia te złe, opierzone kapłony, jakie zbliżają się ku nam, posiekają nas na małe kawałeczki i zgarną te szczątki do worków na śmieci, żeby ich przyjaciele szakale też mogli się zabawić. Czy nie mam racji?

- Masz bez wątplenia całkowitą rację - zgodził się Sten.

Wszyscy czterej uśmiechnęli się, a przynajmniej wyszczerzyli zęby.

- Jeżeli przypadkiem uda nam się wycofać z tej bagnistej sterty gnoju, to jakie będą nasze następne obowiązki?

- Myślę, że powrócicie do służby u Wiecznego Imperatora. Przynajmniej dopóty, dopóki ważne są wasze kontrakty. - Stena zaintrygował cel ich wizyty. Zastanawiał się, dlaczego Gurkhowie marnują jego czas, ale coś w myślach podpowiadało mu, że ci żołnierze często podchodzą ogródkami do tego, co ich naprawdę obchodzi.

- Nie sądzę - stwierdził stanowczo Lalbahadur. - Musimy skonsultować się z naszym królem na Ziemi i naszymi przełożonymi, aby uzyskać całkowitą pewność. Ale doprawdy nie sądzę.

- My, Nepalczycy, wycofaliśmy się z imperialnej służby po zabiciu Imperatora, odrzuciliśmy wszystkie oferty otrzymane od tych pomiotów yeti, nazywających siebie Radą i od innych gangsterów, i powróciliśmy tylko dla Imperatora.

- To stara historia, Jemedarze. A ja jestem bardzo śpiący.

- Już przechodzę do sprawy. Nasza opinia jest taka, że wracając popełnilibyśmy błąd. Ten Imperator, któremu służymy, ostatnio nie jest tym samym, któremu zgodziliśmy się służyć. Sądzę, że to nie ten, który urodził się na nowo, ale Rakasha. Demon noszący jego twarz.

- Dziadek mojego dziadka - dodał Makhajiri Gurung, rozwijając kwestię - powiedziałby, że przypomina on Bhairave, Przerazającego, i może być poważany tylko po pijanemu.

- Bardzo lubię spotykać się z wami, szanowni panowie - powiedział Sten, czując jak fale wyczerpania zwalają go z nóg - ale czy moglibyśmy wreszcie przejść do sedna sprawy?

- Bardzo dobrze - stwierdził Lalbahadur. - Jeżeli nie będzie to stanowiło pogwałcenia naszych kontraktów, a nawet wtedy rozważałbym ich zerwanie, chcielibyśmy wstąpić na stałe do pańskiej służby, sir. I jeszcze raz powtarzam, że mówię nie tylko w imieniu nas trzech, ale także tamtych dwudziestu czterech.

Cudownie, pomyślał Sten. To jeszcze bardziej skłóci go z Wiecznym Imperatorem.

- Dziękuję wam. Czuję się zaszczycony. I nie zapomnę o waszej ofercie. Ale - chociaż nie wiem, co będę robił po wydostaniu się z tej kupy błota - wątpię, czy będę potrzebował ochroniarzy.

- Myli się pan, sir. Zobaczy pan to później. I dziękuję za uczynienie nam zaszczytu.

Gurkhowie zasalutowali i wyszli, zostawiając Stena zastanawiającego się nad tym, o co tu właściwie chodziło.

Do diabła z tym. Był zbyt zmęczony. I nadal musiał wymyślić jakąś drogę wydostania się z Altaic.

- Baza... tu Małe Ucho Trzy Cztery Bravo - zatrzeszczał komunikator głosem starannie wytrenowanym aby nigdy nie okazywać napięcia, stresu, strachu. - Mam wielu, wielu nieprzyjaciół na ekranie, zdążających w waszym kierunku. Przybliżony czas przybycia - dwie jednostki astronomiczne od was, dwadzieścia godzin. Główna orbita, główny kurs jednostek...

Sygnal ze statku zwiadowczego zanikł.

Oficerowie w pokoju łącznościowym nowego statku flagowego Masona, „Caliguli”, wiedzieli, że Cztery Bravo nie odezwie się już.

- Admirale Mason - powiedział Sten. - Proszę przygotować się do przyjęcia rozkazów.

- Tak jest, sir.

- Życzę sobie, aby wystartował pan z Jochi, zabierając ze sobą całą flotę. Chcę, aby zajął pan pozycję ofensywną - według własnego wyboru - około pięciu jednostek astronomicznych od planety.

- Tak, sir. Nie spieram się, ale przypuszczam, że jest pan świadomy tego, iż moje okręty są w stosunku do liczebności nieprzyjaciela co najmniej jak jeden do ośmiu.

- Bardziej dokładnie byłoby powiedzieć około jednego do dwunastu. Ale to nie ma znaczenia. Nie powinien pan, powtarzam, nie powinien pan angażować się w walkę z nieprzyjacielem. Ma pan tylko odpowiadać na ataki jakichkolwiek okrętów Suzdałów czy Bogazi, usiłujących szturmować pana ustaloną pozycję. Ma pan utrzymać, o ile będzie to możliwe, integralność tego, co nazywamy naszą flotą. Czy to jasne?

- Tak jest. A więc ma pan zamiar blefować?

- Dokładnie. Ma pan wolną rękę w robieniu przerażających gestów i paskudnych min, dopóki oni nie pogwałcą moich rozkazów.

- A dlaczego sądzi pan, że będę w stanie pociągnąć ich za sobą albo przynajmniej skupić ich uwagę? Nie jestem pewien, czy uwierzą, że albo mam jakąś sekretną broń, albo zamierzam zachować się jak kamikadze.

- Gdyby pan był Suzdałem albo Bogazi, i właśnie świeżo zobaczył numer, jaki wyciął ten idiota Langsdorff, to czy nie myślałby pan, że imperialni są zdolni do wszystkiego? Przynajmniej dopóki jest to głupotą?

Mason rozważył to.

- Warto spróbować.

Nie mówiąc już ani słowa, wyłączył ekran i zerwał połączenie.

Sten miał nadzieję, że Mason to przeżyje. Do cholery z ciemną uliczką i zasadzką - Sten miał zamiar załatwić go na cacy na chodniku w biały dzień, na samym środku placu defilad Pałacu Arundel.

- W porządku, panowie. Podejdźcie tu!

Krzyk Stena odbił się echem po wielkim hangarze fregat na „Victory”. Wszyscy jego piloci fregat i piloci z dwóch innych szwadronów z „Bennigtona” zostali zwołani na tę odprawę.

- Zrobimy to szybko. Możecie przeprowadzić niezależnie odprawy dla waszych załóg. Oto krótki obraz sytuacji. Nadchodzi flota inwazyjna, ciężka i gorąca. Nie możemy ich zatrzymać.

Spróbujemy tylko na tyle utrudnić tym draniom życie, abyśmy my, tchórzliwi cywile i bohaterscy

żołnierze mogli uratować nasze tyłki. Wy, chłopaki, zrobicie to dla mnie.

Wybaczę wam wtedy te wasze białe szaliki i wysokie pensje, na które idą moje podatki.

Piloci roześmiali się i odprężyli. Wszyscy znali wspaniałe osiągnięcia Stena jako pilota fregaty i dowódcy bojowego.

- Admirał Mason ma tę ciężką broń, jaka nam została. Zamierza urządzić dziki taniec i przekonać naszych przyjaciół, że zaraz zaatakują. Będą musieli przynajmniej uformować coś w rodzaju linii obronnej pomiędzy okrętami a naszymi jednostkami. I wtedy nadejdzie wasza kolej.

Sten nagle stał się zupełnie poważny.

- Dowódcy skrzydeł... dowódcy szwadronów... atakujecie taką formacją, jaką chcecie.

Waszym celem są transportowce. Tylko transportowce. Wykończcie je. Jeżeli uderzycie w nie w przestrzeni, nie kręćcie się dookoła, aby dobić. Jeśli wejdą w atmosferę, upewnijcie się, że żaden z nich nie zdoła dokonać lądowania. Gdyby zdążyli wypuścić kapsuły zanim traficie macierzysty okręt, zlikwidujcie kapsuły.

Kiedy znajdziecie się w atmosferze, niedaleko gruntu, i zobaczycie jakichś nieprzyjacielskich żołnierzy - zabijcie ich. To dotyczy Suzdalów, Bogazi, Jochiańczyków i Torków. Załóżcie podwójne magazynki do karabinów maszynowych. Jeżeli wasze okręty mają bomby przeciwpiechotne, weźcie je i użyjcie. To bezwzględny rozkaz.

Macie przede wszystkim zabijać. I jakkolwiek pilot, który będzie próbował grać asa czy gwiazdę, zostanie przeze mnie osobiście uziemiony i załatwiony. I pamiętajcie - każdy żołnierz, któremu pozwolicie wylądować na Jochi, to osobnik, który zrobi, co tylko w jego mocy, żeby zabijać gwardzistów Imperium.

To wszystko. Możecie odejść.

Sten czuł się bardzo zmęczony ciągłym powtarzaniem: „To bezwzględny rozkaz”. Ale chciał, aby żaden z jego pilotów czy kapitanów nie łudził się, że ta bitwa to coś innego niż rozpaczliwa walka o przetrwanie.

Wieki temu miał okazję zobaczyć, co się stało, kiedy jedna ze stron usiłowała walczyć w cywilizowany sposób - i nie tylko widział, jak jego pierwsze komando zostało wyrżnięte, ale także pochował osobiście zbyt wiele ciał przyjaciół, aby czuć coś innego niż żądzę mordowania w stosunku do spragnionych krwi istot Altaic.

Admirałowie Suzdalów i Bogazi zanalizowali sytuację, kiedy ich floty zaczęły zbliżać się do Jochi. Wydawało się, że nie ma żadnych jednostek Imperium w atmosferze i przestrzeni kosmicznej.

Jedynymi okrętami wojennymi, widocznymi w systemie, była ta mała flota imperialna orbitująca na pozycji pomiędzy dwoma księżycami Jochi. Pierwsze pytanie: czy można zignorować tę flotę? Nie. Jeżeli zaatakują, może spowodować spustoszenie wśród transportowców. Drugie pytanie: czy można przystąpić do lądowania przed zniszczeniem tej floty? Także nie - opóźnienie nie było znaczące.

Jeden z obytych w polityce Bogazi doradził:

- Nasza koalicja nie całkiem sklejona. Torkowie. Jochiańczycy. Suzdalowie.

Wcześniej czy później zaczną zachowywać się normalnie i wsadzą nóż w plecy. Najlepsza kolejność: zdobyć Jochi, zniszczyć żołnierzy Imperium, zniszczyć okręty Imperium. Mając Jochi jako bazę, z łatwością opanujemy jakiegokolwiek zmiany w sojuszach.

Największe okręty wojenne Suzdalów i Bogazi zmieniły kurs i ruszyły w kierunku floty Masona, przegrupowując się w formację obronną. Czekały.



Pomniejsze transportowce skierowały się w stronę planety, chronione jedynie niewielką osłoną niszczycieli.

Pierwsza fala imperialnych fregat uderzyła na nich w egzosferze Jochi.

Hannelore LaCiotat była cholernie dobrym pilotem, jak sama mówiła. Każdy się z tym zgadzał, włączając w to innych pilotów z jej szwadronu. Nie tak dobrym, jak sama sądziła i na pewno nie tak cholernie dobrym, jak oni, ale z pewnością niezłym.

Zabrała drugi hełm do sterowania wyrzutniami raket ze stanowiska oficera-artyleryzisty na swoje własne stanowisko przy sterach. Twierdziła, że to pomaga widzieć na ekranie nie tylko to, co robi jej okręt, ale i to, jak ma zamiar zadziałać wróg.

Transportowiec zajął prawie cały ekran. Po obu jego stronach migwały odczyty, wskaźniki przeskakiwały po nich, czytały, odkodowywały. LaCiotat je ignorowała.

- Przybliża się... przybliża się... zakres... zakres... - monotonicznie mruczał jej artylerzysta.

- Gotowość...

Transportowiec rósł.

- Zredukować Kali - warknęła LaCiotat, a jej artylerzysta zmienił rodzaj broni z wielkich, zabójczych dla okrętów raket dalekiego zasięgu na średniej wielkości Gobliny.

- Zakres... zakres... zakres...

LaCiotat uważała siebie za cholernie dobrego pilota - ale, niestety, miała pewien sekret: nie była cholernie dobrym strzelcem. Nigdy więc nie odpalała raket, kiedy nie była pewna, że trafi, i wołała podchodzić bliżej.

- Gotowość... cholera!

Czujniki transportowca musiały zaobserwować obecność fregaty i wystrzeliły kapsuły ratunkowe, wypływając drugie tuby pełne żołnierzy w atmosferę Jochi.

- Transportowiec...

- Nadal na celowniku.

- Odpalaj pocisk! Przerwij odliczanie!

Zsunęła hełm na tył głowy, ignorując niewyraźny obraz rakiety uderzającej w transportowiec, bezbronne dryfujący w przestrzeni. Palce i stopy zatańczyły na kontrolkach, poprowadziła fregatę z powrotem - śmiertelny sokół, krążący nad wystraszoną ptactwem.

- Zakres... zakres...

- Gobliny... Wielokrotne odpalenie, odróżnianie pojedynczych celów... ustawić!

- Ustawione! Zakres... zakres...

- Ognia!

Fregata niosła osiem wyrzutni raket typu Goblin, każda załadowana trzema raketami.

Wyrzutnie jęknęły... okręt zatrzęsł się, kiedy dziesięć raket poszło salwą.

Dziewiętnaście kapsuł ratunkowych rozprysnęło się na kawałki, wypływając wrzeszczących, umierających wysoko w atmosferze, czepiających się pustki żołnierzy, dopóki grawitacja nie ściągnęła ich w dół, na daleki grunt.

Nagle LaCiotat przestała postrzegać swoje cele jako animację na ekranie komputera, a stały się one dla niej ludźmi - po których śmierć przyszła nagle, straszliwa, kiedy płuca zamarzały w chłodnej atmosferze albo litościwa dla tych, którzy stracili przytomność.

LaCiotat zobaczyła tę śmierć z bliska. Jej żołądek wywrócił się, nagle zrobiło się jej niedobrze i zwymiotowała na ekran i konsolę sterowania.

Sten oglądał rzeź na ekranie w pokoju ambasady, oszukując sam siebie, że te pojawiające się i znikające punkty są zupełnie czymś innym niż to, co naprawdę oznaczały.

Mógł wyjść z piwnicy i tam przez okno nad schodami patrzeć na wielką bitwę huczącą nad górami otaczającymi dolinę Rurik. Ale to byłoby jeszcze gorsze.

Dookoła niego ostatni pozostali pracownicy ambasady pakowali w pośpiechu akta i wyposażenie, jakie mieli zamiar zabrać ze sobą.

Na zewnątrz wznosiły się wysoko płomienie ognisk, w których palono resztę akt ambasady.

Sten dziwił się nieco, że nie ma żadnej paniki ani kłopotów. Kilgour wyjaśnił: pożyczył do ochrony ambasady kompanię gwardzistów, kazał Bhorom i Gurkhom odłożyć broń i pomagać przy ewakuacji. Z jednym doświadczonym weteranem wojennym na każdych czterech cywilów trudno było o jakąkolwiek dezorganizację.

- Jak dotąd, szefie, idzie nam lepiej niż na Cavite. - Na Cavite Alex dowodził ewakuacją ludności cywilnej i zaklinał się na wszystko, co możliwe, że już nigdy więcej nie podejmie się czegoś takiego. - A co zrobimy z ambasadą? Wyszadzimy w powietrze? Czy może tylko zostawimy trochę min?

- Nie ma zgody ani na jedno, ani na drugie. Być może pokaże się tu kiedyś jakiś kolejny ambasador. Po co utrudniać mu życie?

Spojrzenie Kilgoura przypominało lodowiec.

Kogo obchodzi to, co stanie się przy następnym reżimie, albo gdy trafi się następny idiota na tyle głupi, aby skusić się na imperialne grosze?

Ale nic nie powiedział.

- Czy ma pan prognozy dotyczące lądowania, generale? - spytał Sten.

- Przybliżone - powiedział Sarsfield. - Pojawili się zapewne w liczbie, no, niech będzie dwudziestu dywizji. Powiedzmy pięć na pierwszą falę, pięć na drugą, to samo na trzecią, i pięć w rezerwie. Takie są moje przypuszczenia, i tak właśnie ja sam bym zrobił. Żadna z komputerowych prognoz nie mówi inaczej, mam więc zamiar trzymać się tego.

- Dobrze.

- W tej chwili, powiedziałbym - i to całkiem stanowczo - że zdołają wysadzić na planetę nie więcej niż osiem. Reszta albo zginęła podczas lądowania, albo pozostała nadal na orbicie po przerwaniu inwazji.

Sten zdusił drżenie, chociaż ci, co zginęli, byli nieprzyjaciółmi. Pierwsza Dywizja Gwardii w pełnym składzie liczyła około osiemnastu tysięcy istot.

Podsumowanie - a ekran nie opodał, ukazujący dane wywiadu dotyczące przebiegu bitwy potwierdzał te wyliczenia - wskazywało na tę samą liczebność sił desantowych Suzdalów i Bogazi.

Ponad pięćdziesiąt procent sił inwazyjnych Suzdalów i Bogazi zostało straconych zanim jeszcze zaczęła się prawdziwa walka.

- Oczywiście - ciągnął raźnie Sarsfield - straty nie były całkowite. Jakieś części wszystkich jednostek desantowych zdołały wylądować. Ale rozproszeni, ranni i tak dalej nie mogą być na serio brani pod uwagę.

Sarsfield prezentował sobą wzór prawdziwego gwardzisty. Wydawało się, że nie martwi go wcale to, że na Jochi przebywało teraz co najmniej sto pięćdziesiąt tysięcy nieprzyjaciół, wspomaganych przez milicję Torków - zapewne około stu tysięcy ludzi, i jeszcze pół miliona służących w armii Jochi. Trzy czwarte miliona przeciwko osiemnastu tysiącom.

- Cieszę się, że jak dotąd nie widać jeszcze - dodał Sarsfield - aby wylądowała jakaś ciężka broń i artyleria.

Nie potrzebowali jej, Sten doskonale o tym wiedział. Douw i Jochiańczycy mieli jej dość dookoła.

Zastanawiał się, jak wiele czasu im trzeba na przegrupowanie i zaatakowanie miasta?

Znał odpowiedź. Nie więcej niż trzy dni.

Straty Imperium nie wyglądały poważnie - tylko pięć fregat zostało zestrzelonych. Ale ta piątka była nie do zastąpienia.

Sten, Sarsfield i Mason konferowali we trójkę, usiłując zaplanować następne kroki.

Zadanie polegało na tym, aby wsadzić imperialny personel na statki i wysłać w głęboką przestrzeń, do domu.

Ale po drodze czyhały dwa problemy: flota inwazyjna i nadchodząca armia aliantów.

Niemal tuzin nietoperzyków odkryto i zestrzelono, zanim Kilgour uzyskał potwierdzenie raportu, że armia konfederacji Altaic jest w drodze.

Sten miał na swoim koncie dwa atuty: po pierwsze, okręty Masona poza Jochi, które wystarczały, żeby spędzić sen z powiek nieprzyjacielskich admirałów. Po drugie, miał wsparcie powietrzne w atmosferze, albo przynajmniej tyle jednostek, aby zapewnić ludziom bezpieczne niebo nad głową.

Wydawało się mało prawdopodobne, aby ciężkie jednostki floty nieprzyjaciela zawisły w przestrzeni kosmicznej i wysłały pociski raketowe dużego kalibru na siły Imperium w środku Rurik. Wojska konfederacji, włączając w to dwie niehumanoidalne rasy, nie uznałyby też zapewne za chwalebne zwycięstwo zniszczenia całego Rurik - długoletniej stolicy całej mgławicy. To jednak stanowiłoby nazbyt Pyrrusowe zwycięstwo nawet jak dla tych istot.

Również flota nie zniżyłaby się do polowania na takie szprotki, jakimi były fregaty. Nikt przecież - chyba że w ostateczności - nie poświęciłby pancernika czy krążownika, aby zestrzelić piętnastoosobowe maleństwo.

Z drugiej strony nadchodząca armia Douwa mogła powoli rozciągać parasol powietrzny, zabierając przestrzeń jednostkom Imperium, tak, że była to tylko czasowa przewaga.

Nagle dostrzegł dwa następne promyki słońca. Po pierwsze dysponował wyszkolonymi, zdyscyplinowanymi siłami - Pierwszą Gwardyjską - świeżą, jeszcze nie biorącą udziału w bitwie.

Po drugie zorientował się, że jeśli zdoła zabrać ich z Rurik, to niebezpieczeństwo pościgu znacznie się zmniejszy.

Samo wyprowadzenie sił Imperium z Altaic można by już uznać za sukces.

Przynajmniej tak pomyślą jego mieszkańcy.

W milczeniu słuchał, jak Mason i Sarsfield analizują różne koncepcje i rezygnują z nich po kolei, usiłując wypracować jakąś drogę ucieczki z pułapki Altaic, w jakiej znalazły się oddziały Imperium.

Coś mu zaświtało. Zaczął się zastanawiać. Warto spróbować. Zapewne nie zadziała, ale przecież i tak sytuacja nie może już ulec pogorszeniu.

- Panie Kilgour - zwrócił się oficjalnie do Alexa, który usiadł gdzieś z boku, niewidoczny na ekranie. Nieco to zdziwiło Masona i Sarsfielda, nieświadomych dotąd jego obecności. - Czy mamy jakiś niezbyt skomplikowany szyfr? Nie całkowita łatwizna, ale coś, co umieliby złamać, przynajmniej częściowo, bez wielkiego wysiłku?

Alex wzruszył ramionami i zawołał głównego szyfranta ambasady. Mason zaczął coś mówić, ale Sarsfield uciszył go machnięciem ręki. Pięć minut później Kilgour zaprezentował wybór pięciu

kodów, co do których szyfrant miał pewność, że są do złamania, jeżeli nie całkiem do chrzanu.

- Bardzo dobrze. A może zrobilibyśmy tak... - i Sten wyłożył pierwszą część swojego planu.

Sarsfield, jako że ta pierwsza część nie angażowała ani jego samego, ani jego podkomendnych, nic nie powiedział. Sten widział, jak Mason usiłuje zachować się fair, ale w głębi ducha jest pewien, że cokolwiek by ten cholerny Sten nie wymyślił, i tak nie ma to żadnej wartości.

- Mam wątpliwości - stwierdził po dłuższej chwili - ponieważ już tego próbowaliśmy.

- Niezupełnie, admirale - powiedział Sten. - Zastosowaliśmy jedynie najprostszą wersję.

Czy kiedykolwiek grał pan w „kamień, nożyce, papier”?

- Oczywiście. Byłem kiedyś dzieckiem.

Sten wątpił w to, ale kontynuował.

- Kiedy po raz pierwszy pan w to gra, to pan kłamie. Potem - mówi prawdę. Potem znowu kłamie. Eskalacja nieuczciwości. I tak właśnie postąpimy, dopóki ktoś nie wymyśli czegoś lepszego - albo wskaże, gdzie tkwi pomyłka.

I tak rozpoczął się wielki blef.

Najpierw z floty Masona wycofano niszczyciele i posłano je w kierunku światów Imperium i samej Primy.

Znajdując się już poza zasięgiem wrogich jednostek, nadały zakodowany przekaz, zarówno do reszty floty Masona jak i do obleganej poczty imperialnej w Rurik.

Sten poczekał sześć godzin, obserwując za pomocą nietoperzyków Alexa, jak lądowa armia Altaic zbliża się do Rurik. Dzięki czemuś, co można by przekornie przypisać bogom Otha - Sarli i Laraz - poruszali się powoli. Według Stena powodem była zarówno ostrożność, jak i niesamowite trudności w koordynacji działań aliantów, zwłaszcza że przywykli oni do wzajemnej nienawiści.

Nakazał, aby fregaty uruchomiły swoją artylerię, wysyłając rakiety powietrze-ziemia w kierunku wcześniej ustalonych celów - skrzyżowań, głównych dróg i temu podobnych.

Obaj oficerowie łącznościowi, zarówno Freston, jak i jego odpowiednik u Masona, zameldowali: nastąpiła nagła, nerwowa transmisja pomiędzy okrętami floty nieprzyjaciela, przesyłana rzadko używanym - co sugerowało wysoki stopień - szyfrem. Wysłano także wiadomości w stronę stołecznych światów Suzdalów i Bogazi.

- Panie Mason?

- Tak jest, sir. Jestem w drodze.

Najwyraźniej ryba połknęła haczyk.

Sten po prostu wykorzystał drugą wersję tego blefu, jaki on i Mason zastosowali kiedyś, udając, że przesyłają wiadomości do nadciągającej floty Imperium.

Niszczyciel, którego odkomenderował do tego zadania, nadał przekaz, w tym łatwym do złamania kodzie, pozornie pochodzący ze straży przedniej ciężkich imperialnych sił uderzeniowych. Owe mityczne siły kazały Masonowi porzucić swoją pozycję w pobliżu Jochi - oblężone oddziały na planecie musiały przez chwilę bronić się same - i służyć jako przednia tarcza dla tych nadciągających jednostek.

Przekaz trwał dalej, informując Masona, że całkowita odprawa zostanie przeprowadzona w późniejszym terminie, ale te siły uderzeniowe otrzymały zadanie specjalne ukarania zbuntowanych Suzdalów i Bogazi - sprytnie nie czyniąc żadnych wzmianek na temat humanoidalnych odszczepieńców - poprzez zaatakowanie ich stołecznych światów.

Sten przedobrzył, obmyślając swoje kłamstwo - zapomniał o tym, że tak właśnie postąpiłaby na

miejscu Imperium każda z ras czy kultur zamieszkujących Altaic.

Trzy godziny później ciężkie okręty Suzdalów i Bogazi opuściły swoje orbity i popędziły na pełnej mocy do swoich własnych systemów.

Sten, usiłując dokonać w pamięci skomplikowanych obliczeń z astronawigacji, sądził, że zapewne polecą do swoich macierzystych światów kursem, który nie będzie krzyżował się z miejscem pobytu Masona, a z całą pewnością nie zejdzie nawet w pobliże przypuszczalnego kierunku, z jakiego miała nadciągać flota uderzeniowa Imperium.

Ho, ho. Wszystko to miało lekki posmak egzotyki dla kogoś, kto w Szkole Pilotów potrzebował korepetycji w prostej nawigacji jednego statku. To nie zadziała - przynajmniej nie na dłuższą metę. Sten miał nadzieję, że wystarczy czasu na następny krok, i na to, aby Mason pokręcił się dookoła nieprzyjacielskiej floty i wrócił tam, gdzie okaże się potrzebny.

Przynajmniej jedna połowa szczęki zaciskającej się na oddziałach Imperium zniknęła.

Cztery godziny później jednostki zwiadowcze wojsk konfederacji Altaic wkroczyły na przedmieścia Rurik.

Sten powiedział Sarsfieldowi o swoich nadziejach, nie przekazał jednak rozkazów.

Nie chciał, aby Pierwsza Gwardyjska czuła, że została odkomenderowana do odegrania czegoś w rodzaju Termopil.

Zatrzymać ich. Niech się okopują. Niech myślą, że kontratakujemy.

Sarsfield, jak Sten, policzył wszystko. Żaden z nich nie sądził, aby powiódł się trzeci podstęp. Bardzo trudno jest oszukać kogoś, kto ma trzy asy i jokera na wierzchu i trzyma karty mocno przy sobie, a przeciwnik dysponuje tylko blotkami, i to w różnych kolorach.

Zwiadowcy nieprzyjaciela nie niepokojeni posuwali się do przodu.

Jednakże przechodzili też próbę nerwów. Tu znaleźli porzuconą barykadę. Tam przewrócone samochody. Gdzieś wyciągnięte anteny. Tajemnicze szyfry namalowane na chodniku.

Zwiadowcy poruszali się coraz ostrożniej.

Nie widzieli żadnych śladów żołnierzy Imperium.

I mało prawdopodobne, aby mogli je zobaczyć - specjaliści od wczesnego rozpoznania umiejętność krycia się opanowali do perfekcji.

Z postępów konfederacji cały czas zdawano raporty.

Nietoperzyki utrzymywały się za liniami, czekając aż pierwsze ciężkie uzbrojenie i ciężarówki wkroczą do miasta. Nikt nie chciał ryzykować utraty drogiego transportowca ani jeszcze bardziej kosztownego grawilotu w szurzej pułapce walki ulicznej. Ale żołnierze Altaic nie mieli wyboru.

Wpadli w pułapkę.

Sarsfield nakazał artylerii otworzyć ogień. Jego własna armata i wyrzutnia rakiet ziemia-ziemia celowała we wcześniej ustalone obiekty, zajmowane teraz przez pojazdy nieprzyjaciela.

Fregaty wyleciały ze statku-matki, postawionego na wielkim parkingu obok ambasady, gdzie Sten kazał umieścić wszystkie transportowce.

Cholernie dobry pilot Hannelore La Ciotat poderwała swoją fregatę do góry, zobaczyła pluton nieprzyjaciela i działą czołgu zaczynające dokonywać obrotu, oddała salwę rakiet z wyrzutni umieszczonej przy podwoziu swojego statku, wystrzelała dwa magazynki z karabinu maszynowego i znikła.

La Ciotat klęła niemal bez przerwy. Cholera. Równie dobrze mogła się zapisać do tej pieprzonej piechoty. Skierowała swoją fregatę w dół ulicy, znacznie poniżej dachów budynków, szukając

następnego obiektu.

Pluton został zniszczony, a atak chwilowo uległ załamaniu.

Ale nie przestali nadal napływać.

Oddział bojowy ciężkiej piechoty zmotoryzowanej Jochi przesuwiał się prędko i sprawnie w kierunku centrum miasta. To była wysoko wyszkolona jednostka poruszająca się po znajomym terenie. Czołgi zniszczyłyby wszystko, co pozostałoby po ataku fizylierów, a żołnierze z bronią przeciwpancerną nie mieli szans w zetknięciu z obrońcami pełzających przyjaciół.

- Bateria A... ognia!

Cztery pojazdy Imperium pozornie eksplodowały. Każdy wybuch w rzeczywistości był salwą z czterdziestu ośmiu rakiet zamontowanych z tyłu pojazdów. Nieuzbrojone wozy podniosły się na pełnej szybkości i pospieszyły szukać następnej lokalizacji.

Rakiety były złożone po prostu z materiału wybuchowego, głowic i korpusu. Ich dokładność wynosiła około pięćdziesięciu metrów na czterysta. Bardzo kiepsko.

Ale kiedy sto dziewięćdziesiąt rakiet, każda z pięćdziesięcioma kilogramami materiału wybuchowego w głowicy, równocześnie uderzy w obszar o boku stu metrów, a obszar ten zajmują jednostki piechoty zmotoryzowanej z czołgami, wynik może robić wrażenie.

Fizylierzy Jochi zostali wybici do ostatniego.

Kilka trafionych czołgów eksplodowało. Ale większość nadal nadawała się do walki.

Dwuosobowe drużyny z bronią przeciwpancerną wysunęły się więc z ukrycia w gruzach i podjęły ogień samonaprowadzającymi się raketami.

Niebo poczerniało, a w pewnej odległości widać było ogromne chmury rodzącej się burzy.

Kilgour wytarł pot z czoła.

- Jeżeli pogoda się załamie, to stracimy fregaty.

Sind uśmiechnęła się. Statki były odporne na każdą pogodę. Ale nikt nigdy nie przypuszczał, aby okręt kosmiczny miał latać w sercu miasta, zwalczać obiekty naziemne, co oznaczało osiągnięcie widocznych celów, i nie marnować zbyt wiele czasu na studiowanie lokalnej architektury.

Albo, jeśli architektura była tak masywna jak w Rurik, niszczenie.

Kilka sekund później wybuchła burza, wielkie krople deszczu spadały na dół.

Kilgour zaklął, szukając nieistniejącego schronienia, a potem jego słownictwo uległo dalszemu pogorszeniu, kiedy deszcz zmienił się w grad.

Cholernie cudownie, pomyślał. Nie wystarczy, że mamy przeciwko sobie wszystkich ludzi, nie wspominając o innych rasach, ale i pogoda się na nas uwzięła.

Podoficer La Ciotat stała obok swojej fregaty, obojętna na deszcz walący w otwarte drzwi hangaru „Victory”. Okręt wylądował tuż obok ambasady, a drugi, lotniskowiec dla fregat, obok.

- Sir. Chciałabym spróbować - nalegała. - Po prostu możemy użyć czujników Kali na zewnątrz wyrzutni, a ja podążę za wskazówkami instrumentów i pošlę w obiekt raketę.

- Nie - powiedział jej dowódca. - Jesteśmy uziemieni. Niedługo przystąpimy do podróży międzygwiazdnej. Będziemy musieli przeprowadzić naprawdę samobójcze rajdy, a nie tylko wykonać bliskie podejście, jak chciałaś. To rozkaz.

- Mam doniesienia - powiedział Sarsfield obojętnie - że moi artylerzyści strzelają już ładunkami przeciwpiechotnymi na niewielkie odległości. Oni są już blisko, Sten.

- Powiedz im, żeby rzucili broń i przenieśli się na transportowce.

- Tak jest, sir.

- Jaki jest stan zaokrętowania?

Sarsfield naradził się z adiutantem.

- Załadowano już wszystkie bataliony, poza jednym, który teraz wchodzi, i Pierwszym Batalionem na jego pozycji defensywnej na placu. Plus baterie artylerii, spieszące teraz na okręt.

- Sądzę - powiedział Sarsfield - że Pierwszy będzie walczył, aby ubezpieczać akcje gwardii.

Cholera - dodał ze smutkiem - przynajmniej zgłosili się na ochotnika do tego zadania.

Jak i wszystkie pozostałe bataliony Pierwszej Dywizji Gwardii, Sten wiedział o tym.

- Cały personel ambasady został już zaokrętowany - powiedział Sten. - Jak kazałem, ma pan podnieść wszystkie okręty Imperium, kiedy Pierwszy Batalion zaangażuje siły nieprzyjaciela.

„Victory” pozostanie na ziemi do ostatniej chwili, aby zdążyć zabrać wszystkich żołnierzy Gwardii, którzy nie zdążą na wasz odjazd. Zamykam teraz tę stację nadawczą.

- Rozumiem. Przenosi się pan na „Victory”?

- Nie - powiedział Sten. - Będę z Pierwszym Batalionem.

Sarsfield nie miał nawet czasu na to, aby zaprotestować. Sten wstał, rozciągnął zeszywniałe mięśnie i sięgnął po kombinezon bojowy, który Alex, podobnie wyposażony, trzymał w gotowości.

Zeszli ze schodów. Kilgour obrócił się i pociągnął za przewód, potem poszli w stronę parteru.

Dziesięć sekund później ładunek wybuchowy rozwalil pokój łącznościowy i konferencyjny.

- Masz jakiś plan? - zapytał Kilgour.

- Jasne - powiedział Sten. - Wiele, wiele planów. Modlić się o pokój. Nie dać się zabić.

Dotrzeć do „Victory”, zanim odleci. Zerwać połączenie o zmroku, przeniknąć na wieś i przypaść do ziemi.

- Jak długo potrwa - zastanawiał się Kilgour - twoim zdaniem, zanim cholerny Imperator przyśle oddziały na ratunek człowieka, który nie posłuchał rozkazów?

- Miej wiarę, Alex - powiedział Sten. - Wcześniej czy później dowiemy się, jak dolecieć do domu.

W ogrodzie Sten ujrzał Sind, Gurkhów i Bhorów ustawionych w szeregu. Czekali.

Nie zdziwił się.

Ale niemal się rozplakał.

Sind zasalutowała mu, deszcz skapywał jej z nosa.

Oddał salut, i jego zmoknięta mała formacja stanęła w dwuszeregu i wymaszerowała w kierunku Placu Khaqanów, aby dołączyć do ostatniego posterunku.

Admirał floty Mason patrzył ponuro na ekran, pokazujący sunący w jego stronę układ planetarny Jochi. Nad całym tym zadaniem wisi przekleństwo, pomyślał. Najpierw służyć jako szofer temu fanfaronowi Stenowi, na tym cholernym jachcie, który mu dano. Potem marnuję czas tańcząc dookoła, udając głupka i patrzcie no, nie ma już całej gromady ludzi i obcych. Wszystko tonie w cieniu, dokładnie tak, jak mówiłem Stenowi, wtedy na Primie, świecie, gdzie panuje szarość i nie ma prawdy.

Zasłużył na więcej ze strony Wiecznego Imperatora, pomyślał z wściekłością. I zastanawiał się jak, kiedy już skończy się ta katastrofa, powie o tym swojemu władcy.

Przynajmniej nie zostaną usunięty i postawiony przed sądem wojennym, jak to przytrafiło się Mahoneyowi, nie wiadomo dlaczego, pomyślał. Dokładnie wypełniałem moje rozkazy.

A żołnierz nie może zasługiwać na złą ocenę, kiedy tak robi.

- Orbita Jochi... dwie godziny - oznajmił oficer dyżurny.

Żołnierze Altaic weszli pewnie na Plac Khaqanów. Opór zmalął, a potem całkiem znikł.

Teraz mogli wreszcie zająć pałac i przejść do ostatecznego zniszczenia znieawidzonych imperialnych sługusów. Aplauz rósł. To było centrum, to był tron. Z tego miejsca pochodziła wszelka władza. Teraz - i o tym każdy żołnierz myślał inaczej, w zależności od rasy - władca Mgławicy Altaic będzie całkiem inny.

Uderzyło kontrnatarcie.

Wyrzutnie rakiet zostały zdemontowane z grawilotów i ukryte za balustradami, tarasami, a nawet posągami. Dotknięto spustów, i rakiety wystrzeliły, rozpruwając cały plac.

Eksplozje odbiły się szerokim echem, i wtedy Pierwszy Batalion przystąpił do ataku, zbijając z nóg żołnierzy Altaic i przesuwając ich do tyłu.

Kilka sekund później rozległ się kolejny grzmot. Ale nie pochodził z chmur burzowych ani broni rakietowej gwardii.

W ciemność, teoretycznie będącą dniem, buchnęły płomienie, kiedy transportowce Imperium podniosły się z parkingu i pożeglowały na pełnej mocy w przestrzeń kosmiczną.

Sten patrzył, jak znikają w burzowych chmurach. Bardzo dobrze. Lepiej niż na Cavite.

A teraz zobaczmy, czy uda mi się uratować mój własny młody tyłek.

Deszcz zacinał teraz z ukosa, niesiony przez wiatr, w ryk wiatru hulającego na wielkim placu przed Sind wdarł się huk gromu.

Przyciskała się do ziemi, używając obtłuczonych przez rakiety schodów jako kryjówek. Nie zwracała uwagi na kałużę, w której leżała, kałużę szkarłatną od krwi wyciekającej ze znajdującego się obok gwardzisty.

Jej własny karabin leżał obok, wzgardzony.

Precyzyjna snajperska broń nie nadawała się tutaj do niczego. Daleko, za placem, wypełnionym potrzaskanymi grawilotami i zniszczonymi czołgami, z których pomimo burzy błyskał ogień, siły konfederacji zbierały się do następnego szturmu.

Czas płynął. Ile go minęło, nie wiedziała.

Nieprzyjaciół przegrupował się i ruszył do szturmu.

Najpierw spróbowali z czołgami - ale gwardziści z bronią przeciwpancerną, przyczajeni na wyższych piętrach pałacu, trafiali w słaby punkt - zawsze dostępny górny poziom czołgów.

Potem wyruszyły lekkie grawiloty, usiłując przedrzeć się przez coraz to malejące szeregi gwardii. Zostały zatrzymane.

Wreszcie konfederacja wypuściła falę ludzką. Ramię przy ramieniu atakowała piechota, mężczyźni i kobiety krzyczący dla dodania sobie otuchy i maszerujący odważnie, samobójczo, na niemal lity ogień karabinów.

Ginęli - ale gwardziści też umierali.

Zobaczyła Alexa schylającego się i przykładającego polowy opatrunek na krwawiącą, chociaż powierzchowną, ranę od szrapnela na udzie. Natychmiast wrócił do rzezi.

Otho także został trafiony, ale po opatrzeniu ran pobiegł do szeregu, wspierając załogę moździerza.

Sind zastanawiała się, czy zdołają wytrzymać dwa, trzy, może i jeszcze więcej ataków, zanim fala zmyje ich z powierzchni.

Sten padł na ziemię obok niej.

Oboje uśmiechnęli się. Zakrwawieni - ale przynajmniej krew była cudza. Ich oczy błyszczały.



- No cóż?

- Zostały mi dwa magazynki, szefie.

- Masz. - Podał jej kolejny magazynek z kulami z AM2.

- Bądź melodramatyczny - zasugerowała. - Pocałuj mnie.

Sten uśmiechnął się, zaczął wypełniać jej prośbę, potem spojrzał w tył, kiedy usłyszał warkot nadjeżdżających czołgów.

- No cóż. Niech będę przeklęty. Spójrz.

Tym razem w ataku brały udział czołgi i fizyliery. A na prowadzącym szturm pojeździe stał...

Sind złapała swoją snajperską strzelbę i westchnęła. Zobaczyła przystojną twarz i srebrne włosy.

- To on! Czy chcesz mieć ten przywilej?

- No, dalej. Ostatnio miałem dość zabawy.

Mężczyzna na czołgu to był generał Douw. Sind przypuszczała, że uważał to za ostatni atak, który zniszczy siły Imperium i dlatego postanowił poprowadzić go osobiście.

Odważny.

Odważny, ale głupi, pomyślała Sind, dotykając spustu. Kula z AM2 rozerwała pierś Douwa na strzępy.

- Dziękuję - powiedział Sten.

Sind znów sięgnęła po karabin. Śmierć przywódcy nie została nawet zauważona przez nadciągających żołnierzy.

Fala po fali wlewali się na plac. Sind liczyła ich szeregi - potem zdecydowała, że zaczeka, aż podejda bliżej.

Podniosła głowę, aby sprawdzić - i jej oczy rozszerzyły się.

- Jamchyyd i Kholeric - zaszepiała tonem pełnym szacunku, zwracając się do zapomnianych bogów Bhorów, jakby rzeczywiście wierzyła w ich istnienie. - Sarla i Laraz.

Ponad dachami miasta, wijąc się jak wielkie czarne węże, nadchodziły trąby powietrzne, zbierając w biegu swój pokos. Za pierwszym wirym... następny. Jeden... dwa...

Sind naliczyła ich sześć, kręcących się tam i z powrotem jak biodra tancerki.

Sten przypomniał sobie:

...zabić tysiące ludzi podczas czterdziestu minut... zmłócić cały stóg zboża... przenieść pięć fregat, po kilkaset kiloton każda, o ćwierć mili...

Tornada zbierały po drodze gruz. Dach. Hangar. Grawilot. Jakiś pojazd. Rozwaloną fregatę.

Człowieka. Okręcały je, rujnowały, zmieniały nie do poznania, a potem używały jako broni.

Sind zatkało uszy, przełknęła ślinę.

Ryk brzmiał teraz głośniejszy niż odgłos broni maszynowej i żołnierze Altaic przystanęli.

Obrócili się i zobaczyli wiry cyklonów.

Potem pierwsza trąba powietrzna wkroczyła na Plac Khaqanów.

Wciągnęła żołnierzy i ich broń jak odkurzacz zbierający kłębuszki kurzu.

Wyrzucała wszystko w górę, a potem na boki.

Sten skoczył na nogi.

Krzyczał. Wrzeszczał. Machał rękami. Ale nikt go nie słyszał.

- W tył - uciekać! Do „Victory”!

Drugie tornado wkroczyło na plac. Oba wiry obracały się i kręciły, jak gdyby niepewne, czy powinny kontynuować zniszczenie.

Żołnierze Imperium odsuwali się od nowego demona, któremu nikt nie byłby w stanie sprostać.

Ale nie wpadali w panikę. Poruszali się powoli, pomagając iść rannym. Nieśli ze sobą broń, albo rzucali ją, by pomóc tym, co zostawiali w tyle.

Sten i Alex stanęli tuż przy wlocie bulwaru, którym Sten posłał „Victory” zbliżającą się z hukiem do ambasady, wieki temu.

Plac był jednym wielkim wirym, na scenę weszło jeszcze jedno tornado. Mury pałacu rozdzieliły się, obracając się w bliskim próżni obszarze niskiego ciśnienia, zostały pochwycone przez cyklon, podniesione tysiące metrów w górę, we wszechobecne chmury.

Potem wir jeszcze raz ruszył dostojnie do przodu, wiatr ryczał i rozwalał budynki, wreszcie dotarł do pałacu, który kiedyś stanowił dumę Khaqanów, a potem - na krótko - gościł Iskrę.

Pałac zniknął w wirze.

Inne trąby powietrzne, zrodzone w wielkiej, ponurej ścianie chmur, podeszły, nieubłaganie zmiatając żołnierzy Altaic, drżącą konfederację, za którą walczyli, i tę nie mającą już znaczenia pustkę pałacu, który oznaczał władzę w imieniu Rurik.

Nie pozostawiły nic - oprócz chaosu.

„Victory” nadal stała na ziemi, czekając.

Oddalony o jedną jednostkę astronomiczną od Rurik Sten nadał depezę otwartym kodem, na pełnej mocy, wprost na prywatny komunikator Imperatora, a także do wiadomości biura Imperium:

WSZYSTKIE JEDNOSTKI IMPERIUM Z POWODZENIEM EWAKUOWANE Z RURIK. SĄ TERAZ W DRODZE NA ŚWIAT PRIMY. MGLAWICA ALTAIC ZBUNTOWAŁA SIĘ OTWARCIE PRZECIWKO IMPERIUM. STEN.

A teraz postaw mnie przed sądem wojennym, pomyślał.

Ty szalony bękarcie.

## Rozdział 42

Mahoney czekał w celi więźniów przeznaczonych do transportu w podziemiu pod wielkim nowym budynkiem, który stanowił kwaterę dowództwa Służby Wewnętrznej. To był mały pokój, z białymi, plastikowymi ścianami, podnoszoną pryczą i dziurą w podłodze na nieczystości.

Za kilka minut mieli zabrać go na przesłuchanie przed wielką ławą Imperium.

Musiał włożyć biały kombinezon, wymagany przez prawo dla oskarżonych przestępców. Kolor był symboliczny. Biel wskazywała na domniemanie niewinności. Wskazywała także na to, że zeznania więźnia nie zostały wymuszone torturami.

Mahoney musiał przyznać, że w jego przypadku odpowiadało to prawdzie. Jak dotąd traktowano go z szorstką, ale profesjonalną uprzejmością. Pewnie, że go bili.

Pierwszy raz wtedy, kiedy ładowali go do transportowca na Primę. Ale robili to tylko po to, aby uświadomić mu jego nowy status życiowy - sińce i krew pokazywały mu dobitnie, kto tu rządzi. W biciu nie wyczuwało się żadnego uczucia. Nic osobistego. To samo zachodziło na każdej „stacji przesiadkowej”, kiedy jedna grupa Służby Wewnętrznej przekazywała go drugiej.

Kiedy bicie skończyło się, Ian wiedział, że ustalono już datę jego przesłuchania. To była rutynowa procedura. Aby upewnić się, że wszystko zdoła się zagoić, zanim pokażą go publicznie.

Mahoney dobrze znosił to doświadczenie. Nie dlatego, że odnosił się filozoficznie do swego losu. Nie chciał o tym myśleć. Rozwodzenie się nad zdradą mogło go tylko osłabić wewnętrznie - przed przesłuchaniem.

Zamiast tego wspominał dawne przygody. Przyjaciół. Kochanki. Nigdy nie myślał o jedzeniu. Cieszył się, że posiłki serwowane w więzieniu są niewyszukane, choć wystarczające.

Inaczej mógłby przypomnieć sobie te dania, jakie przygotowywał dla niego osobiście Imperator.

Zjeżyły mu się włoski na karku, stara intuicja z czasów Mantis słała znaki.

Ktoś go obserwował. Odprężył się. Potem usłyszał grzebanie przy drzwiach celi.

No cóż, przyszli w końcu, Ian. Uspokój się, serce. I wy, płuca. Nie potrzebujecie tyle powietrza. Spokój. Ma być dobry, irlandzki spokój, Poyndex patrzył z korytarza, jak strażnicy wyprowadzają Mahoneya z celi dla więźniów przeznaczonych do transportu. Zdziwił się widząc, jak dobrze ten człowiek wygląda i zastanawiał się, jak on sam by się zachowywał na jego miejscu.

Odepchnął tę myśl od siebie. Ten właśnie talent wolałby pozostawić w ukryciu.

Wyszedł na środek, aby zatrzymać Mahoneya i strażników, Ian zobaczył go. Z błysku w jego oku Poyndex zorientował się, że został rozpoznany. Błysk zniknął, ustąpił miejsca uśmiechowi.

- Ho, ho. A więc szef przysłał swój najlepszy zespół - powiedział Mahoney. - Powiedziałbym, że czuję się zaszczycony, ale wtedy bym skłamał.

Poyndex roześmiał się.

- Nie chcę być winnym kłamstwa - stwierdził. - Wolałbym, żebyśmy nie rozpoczęli z lewej nogi postępowania przed wielką ławą przysięgłych.

Nakazał strażnikowi, żeby zdjął Mahoneyowi kajdanki, potem odesłał go machnięciem ręki.

- Ja będę twoją eskortą - powiedział do Iana. - Jestem pewien, że nie spróbujesz czegoś... głupiego.

Mahoney pocierał swoje nadgarstki.

- A dlaczego miałbym to robić? Jestem niewinnym człowiekiem. Z radością czekającym na sprawiedliwość. - Roześmiał się.

Poyndex uśmiechnął się krzywo w odpowiedzi i wskazał na dalekie drzwi do korytarza.

Obaj zaczęli iść, Poyndex pół kroku za Ianem.

- Przybyłem tu, aby upewnić się, że rzeczywiście stanie się ona twoim udziałem - powiedział Poyndex. - Imperator pragnie całkowitej sprawiedliwości.

- O, jestem tego pewien - zachichotał Mahoney. - I powiedz mu, że jego stary przyjaciel, Ian Mahoney, jest szczerze wdzięczny za jego uprzejmość.

Poyndex zmusił się do aprobującego śmieszku. Miał zdecydowanie ambiwalentne uczucia w stosunku do tego zadania, Ian Mahoney był dla niego jedynym konkurentem do władzy, jaką teraz się cieszył. Hańba położyła kres rywalizacji.

- Powiedz mu, żeby się nie martwił - dodał Mahoney. - Podczas przesłuchania będę trzymał się faktów. Nie mam zamiaru wspominać jego imienia.

- Niepotrzebna obietnica - powiedział Poyndex łagodnie. - Ale jestem pewien, że ucieszy się z tego, iż nadal dbasz o jego interesy i pamiętasz o waszym niegdysiejszym związku.

Mahoney niegdyś zajmował jego stanowisko. Był zaufanym powiernikiem Wiecznego Imperatora przez dziesięciolecia. Kiedy Poyndex patrzył na Mahoneya zmierzającego ku swemu przeznaczeniu, zaczął obawiać się o własne. To właśnie ci się przydarzy, jeśli wypadniesz z łask, pomyślał.

Jakiś szept w jego umyśle podpowiedział: nie jeśli... tylko kiedy.

- Powiedz szefowi, że pamiętam - powiedział Mahoney. - Pamiętam bardzo dobrze.

- Zrobię to - stwierdził Poyndex. - To obietnica.

Zanurzył dłoń w kieszeni, wyjął broń. Kiedy dotarli do drzwi, Poyndex przycisnął lufę do miękkiego miejsca na karku Mahoneya.

Nagle ochłodzona skóra drgnęła lekko.

Poyndex strzelił.

Mahoney pochylił się do przodu. Uderzył w drzwi. Upadł.

Zadziwiony Poyndex stał nad ciałem. Na twarzy Iana nadal widniał ten cholerny irlandzki uśmiezek.

Schylił się, przycisnął lufę do głowy Mahoneya i strzelił raz jeszcze.

Z człowiekiem takim jak Ian Mahoney nigdy dosyć ostrożności.

## Rozdział 43

Alex nucił pod nosem smętną pioseneczkę o wybrzeżach dalekiej Sycylii, myśląc tęsknie o wielkim piwie, jakie strzeli sobie, kiedy tylko flota pozbędzie się wszystkiego, co przypomina Mgławicę Altaic.

Niecierpliwie bobrował po różnych publicznych kanałach, nadających z leżących przed nimi światów Imperium. Niedaleko siedział Sten przy stacji nadawczej. Obaj mieli jeszcze na sobie podarte i brudne kombinezony bojowe.

Na mostku panowała cisza - zapewne dlatego, że nikt nie spodziewał się, że im się uda.

- Sport - mruczał Alex, znajdując kolejną audycję. - Nie wiem dlaczego te istoty sądzą, że w kopaniu małego woreczka ze skóry od jednej linii do drugiej tkwi coś szlachetnego.

- Przypomina mi to - zwrócił się do Frestona, który siedział obok przy konsoli - jak próbowałem kiedyś tego cholernego sportu, który dżentelmeni nazywają krykietem.

Z początku myślałem, że to strasznie głupie...

I zamknął usta.

Nikt nie pamiętał dokładnie, jak brzmiały słowa wypowiedane na ekranie. Ale ich treść była jasna:

Hańba... niegdyś bohater wojen z Tahnem... gubernator generalny... najwyższa kara... Ian Mahoney... imię zostanie wymazane ze wszystkich kronik i pomników... zdradziecki...

Sten stał obok. Twarz mu zbieleła.

- To straszne - zaszeptał.

Kilgour zaczął coś mówić, ale przerwał. Przełknął ślinę.

Usłyszał, jak oficer wachtowy za nim warknął:

- Patrz na ekrany, chłopcze. Co to było, co właśnie przeleciało?

- Umm... przepraszam... to zaszyfrowane.

- Sam wiem, że zaszyfrowane - powiedział oficer. - Do kogo? Od kogo?

- Sir... Myślę... z Primy. I... i jest przeznaczone dla „Kaliguli”... Jak sądzę.

- Nie myśl. Masz to wiedzieć!

- Sir... nie mamy tego szyfru. Nie ma go w spisie.

Sten zdusił w sobie szok i gniew z powodu zamordowania Mahoneya.

- Co to za sygnał?

- Nie wiemy, sir. Z Primy na okręt „Kaligula”, sir.

- Słyszałem. Połącz mnie z Masonem.

- Tak jest, sir.

- „Kaligula”, tu „Victory”, odbiór.

- Tu „Kaligula”, odbiór.

- Tu „Victory”. Jaką transmisję właśnie odebraliście?

- Poczekaj chwilę... rozszyfrowujemy sygnał...

- Dlaczego u diabła - powiedział Kilgour, czując, jak jeżą mu się włosy na karku - oni mają ten szyfr, a my nie?

- Sir! „Kaligula” przerwała połączenie.

- Łączcie jeszcze raz.

- „Kaligula”, tu „Victory”, odbiór. „Kaligula”, tu „Victory”. Czy odbieracie nasz przekaz?

- Sir, „Kaligula” nadaje.

- Dobrze.

- Ale nie do nas, sir. To łączność dalekosiężna. Zakodowany przekaz. Nie odbieramy go.

Sten usiłował się zorientować, co u diabła się dzieje. Potem spojrzął na główny ekran.

„Kaligula” wyłamał się z szyku floty razem z czterema niszczycielami, które normalnie osłaniały pancernik. Wszedł na nowy kurs...

- Jaki jest teraz tor lotu „Kaliguli”?

- Chwileczkę, sir... Zdaje się, że przeciwny do kierunku całej floty. Prosto - ustalam - z powrotem na Jochi?

Rozległ się pomruk zdziwienia.

- Cisza na mostku.

Sten usiłował zmusić swój mózg do pracy. Co u diabła się dzieje? Zorientował się, że powiedział to na głos.

- Sir? - To Freston. - Wydaje mi się, że chyba wiem.

- Mały promyczek światła. Mów!

- Hmm... sir, zanim przydzielono mnie do pana, byłem oficerem łącznościowym na okręcie „Churchill”. I kapitan dostał prywatny szyfr, kiedy objął dowództwo. Druga kopia spoczywała w sejfie, aby przekazać ją zastępcy czy komuś innemu, kto by dowodził w przypadku straty dowódcy.

- No dobrze. Ale dlaczego „Kaligula” - albo Mason - mają szyfr, którego my nie mamy?

Przecież jesteśmy statkiem flagowym.

- Tak jest, sir. Ale my nie wieziemy niszczyciela planet na pokładzie.

Oczywiście. Imperium nie lubiło nawet przyznawać się, że ma broń zdolną do zniszczenia całej planety. Ale miało. Niszczyciele planet nigdy nie zostały jeszcze użyte, nie odpalono ich nawet podczas najgorszych momentów wojen tahnijskich.

Dla Imperatora nie łączyło się to z moralnością. Ludobójstwo to kiepska polityka, mawiał kiedyś. Taki był jego punkt widzenia. Najwyraźniej, ponuro myślał dalej Sten, Wieczny Imperator zmienił zdanie. Być może teraz nie miewał problemów moralnych. Ale na pewno ze Stenem było inaczej.

- Czy „Kaligula” odpowiada? - spytał Sten.

- Nie, sir.

- Kapitanie, czy ma pan fregatę w pogotowiu?

- Oczywiście.

- Chcę jeden statek i najlepszego pilota na „Victory”, uzbrojonego w Kali. Czas wylotu - kiedy tylko dotrę do hangaru.

Kilgour skoczył na równe nogi, zamierzając towarzyszyć Stenowi.

- Alex! Chcę, żebyś został na mostku. Będę nadawał z fregaty, ale ma to wyglądać, jakbym siedział na „Victory”.

- Nie potrzebujesz mnie do tego, stary.

- I chcę mieć syntezę pasującą do analizy.

- Dobra. Mam ją już. Powodzenia, stary. Sten pobiegł w stronę hangaru „Victory”.

Fregata wyskoczyła ze statku macierzystego i ledwie oderwawszy się od niego przeszła na pełną moc.

- Jaki punkt spotkania?

La Ciotat nie musiała patrzeć na ekran.

- Pięćdziesiąt trzy... pięćdziesiąt jeden minut, sir.

- Dobrze. - Sten usiadł na miejscu artylerzysty, dopasowując hełm kontrolny do własnej głowy.

- Oto obraz sytuacji. „Kaligula” kieruje się z powrotem na Jochi. Ma zamiar odpalić niszczyciela planet.

La Ciotat, zwykle dumna ze swojej pokerowej twarzy, nie była w stanie powstrzymać reakcji.

- Admirał Mason zbuntował się, czy...

- Nie musi pani tego wiedzieć. Chcę, abyśmy trzymali kurs blisko „Kaliguli”, a komunikator ma być otwarty na połączenie z „Victory”. Żądam, aby zawiadomiła mnie pani, kiedy znajdziemy się... pięć minut od „Kaliguli”. Czy ma pani jakiś problem z tymi rozkazami?

- Nie, sir.

- Proszę utrzymywać nas poza zasięgiem obserwacji niszczycieli. Jestem pewien, że mają rozkaz zatrzymania tej fregaty.

- O tym nawet nie trzeba mówić, sir.

Sten niemal się uśmiechnął - brzmiało to tak, jakby La Ciotat była naprawdę cholernie dobrym pilotem.

- „Kaligula”, tu „Victory”. Admirale Mason, mówi Sten, odbiór.

- Nadal nie ma odpowiedzi.

- „Kaligula”, tu Sten, odbiór. Połącz się ze mną. To rozkaz, odbiór.

- Siedem minut do spotkania, sir.

- A niech to diabli...

Ekran na fregacie nagle pojaśniał i Sten zobaczył Masona.

Mason - a przynajmniej Sten miał taką nadzieję - widział Stena albo jego komputerowy wizerunek na mostku „Victory” i nigdy nie pomyślałby, iż jego odpowiedź jest niemal natychmiastowa i że w rzeczywistości Sten znajduje się na pokładzie fregaty zaledwie kilka minut od „Kaliguli”.

- Admirale Mason, sądzę, że rozumiem pańskie zadanie - zaczął Sten.

- Mam rozkazy, sir, aby nie dyskutować z nikim na ten temat.

- Nie interesuje mnie dyskusja, Mason. To nie towarzystwo dyskusyjne. I wiem, że kazano panu zniszczyć Jochi. Nie może pan tego zrobić.

- Mam swoje rozkazy, sir.

- Czyje pan zweryfikował? Mason, czy chce pan być pierwszym człowiekiem, który wymaże z mapy całą planetę? Nie wszyscy tam są tacy źli, Mason.

Figura na ekranie nie odpowiadała.

- Nie widzę żadnego sensu w przeciąganiu tego połączenia - powiedział w końcu mechanicznie

Mason.

- Mason... poczekaj chwilę...

Sten zamknął swój mikrofon i naciągnął hełm kontrolujący broń na głowę.

- Pani La Ciotat, odpalam Kali.

- Tak jest, sir. Na pełnej mocy... punkt spotkania za trzy minuty... teraz dwie minuty...

Sten dotknął czerwonego guzika na panelu kontrolnym - jedyny gest, jaki musiał wykonać.

Olbrzymia rakietę wysunęła się z tuby, stanowiącej kręgosłup fregaty. Była długa na dwadzieścia metrów, a głowica zawierała dwadzieścia megaton śmiertelnie niebezpiecznego materiału.

Rakietę wystrzeliła z fregaty, a Sten kierował ją poprzez hełm w kierunku raptownie przybliżającej się małej konstelacji, jaką stanowił „Kaligula” i jego eskorta, idące na trzech czwartych mocy.

Otworzył szeroko oczy, a Mason zamajaczył przed nim na ekranie.

- To moja ostatnia próba, admirale Mason. Wie pan, że pracuję dla szaleńca.

Właśnie słyszeliśmy - Imperator kazał zastrzelić Mahoneya.

Oczy Masona błysnęły, ale potem znowu stał się automatem.

Sten spróbował raz jeszcze, wiedząc, że to nie ma sensu.

- Słuchaj, człowieku. Czy chcesz, żeby twoje imię wymawiano w ten sposób? Mason - morderca planet?

Mason nagle prawie się uśmiechnął.

- Sten, to właśnie różnica między nami. Wydaje ci się, że masz coś w rodzaju ofiarowanego przez bogów przywileju, aby osądzać, który rozkaz należy wykonać, a który nie.

To zachowanie buntownicze, i wiesz o tym doskonale. Może właśnie dlatego Mahoney został stracony. Czy kiedykolwiek myślałeś o tym? Ja postępuję zgodnie z wyraźnymi rozkazami Imperium, mój panie.

Nie, Sten. Nie zostanę zdrajcą.

Ekran zgasł.

Sten zamknął oczy i niemal wcielił się w Kali. Włączył pełne pogotowie.

- Zbliżamy się... zbliżamy... - mgliście słyszał zawodzenie La Ciotat. - Podchodzisz... przebijasz się przez ekran... przybliżanie... prognoza: przechwycenie niemożliwe... przybliżanie... cel... pal!

Świat Stena eksplodował.

Ściągnął hełm z głowy i zobaczył, jak na ekranie „Kaligula” przestaje istnieć.

Nastąpił błysk eksplozji, a potem po prostu nic. Ekran mógł równie dobrze pokazywać czarną dziurę.

Zastanawiał się, czy Kali nie zdetonowała przypadkiem niszczyciela planet.

Domyślał się, że niszczyciele „Kaliguli”, jeżeli jakieś przetrwały, będą próbowały odpalić antyrakiety, ale ekran pozostawał czarny.

Nie obchodziło go to. Uratowanie ich to już zadanie La Ciotat.

- Szanowna pani - powiedział ze zmęczeniem. - Wracamy na „Victory”.

Mason umarł tak, jak żył - wypełniając rozkazy.

Sten nie przejął się tym.

Ale razem z Masonem zginęło więcej niż trzy tysiące istot - i Sten wątpił, czy kiedykolwiek stanie pomnik ku ich pamięci, gdzieś tu, w ciemnościach i milczeniu przestrzeni międzygwiazdnej.



## Rozdział 44

Sten nadal działał jak automat. Po powrocie na „Victory” poszedł na mostek i wydał rozkaz przerwania łączności z kwaterą główną.

- Czeka nas teraz strycek, synu - powiedział Kilgour.

Jego głos był niski. Ale przywrócił Stena do rzeczywistości.

Spojrzał na przyjaciół. Okrągła twarz Szkota promieniała spokojem, jakby właśnie omawiali obiadowe menu.

Sten powiódł wzrokiem po mostku „Victory”. Nagle zrobił się tu tłok.

Tam stał Otho z grupą Bhorów. Obok szczupli Gurkhowie, którym przewodził Lalbahadur Thapa. I wielu innych.

Twarze znał, ale ze wstydem uświadomił sobie, że nie pamięta ich nazwisk.

Zobaczył Sind.

Miała taki sam wyraz twarzy jak inni. Oczekujący. Liczyli na jego decyzję.

Sten wytarł wilgoć z kącików oczu.

Oni wszyscy byli razem z nim.

Sten bardzo chciał wziąć Sind w ramiona, żeby utuliła go i pocieszyła.

Pragnął czułych zapewnień, że wszystko skończy się dobrze.

Potem uprzytomnił sobie, co tak naprawdę zrobił.

Znalazł się poza prawem. Zgubił te ufające mu dusze.

Wkrótce Wieczny Imperator dowie się o jego zdradzie i wyśle ich śladem tropiące psy.

Sten musi uciekać. Wszyscy muszą uciekać.

Zaczął mówić. Zna tuziny kryjówek. Należy tylko wybrać i podać współrzędne.

Przerwał.

Żadne miejsce nie było bezpieczne. W końcu siły Imperatora zawsze by go dopadły.

Sten raz jeszcze popatrzył na twarze tych, którzy mu ufali.

Pomyślał o panu Ecu. I jego propozycji.

Jaki z tego pożytek?

Żałował, że nie ma z nimi Iana. Mahoney wiedziałby, co robić. Powiedziałby: „Przestań jęczeć, stary. Jesteś zdrowy. Masz swoją kobietę. Masz tego paskudnego Szkota, Kilgoura, i wielu innych lojalnych przyjaciół. I do ciebie należy ten cholernie wielki okręt wojenny. Własny okręt Imperatora!”

W tym momencie Jemedar Lalbahadur zaszeptał do swojej grupy. Wszyscy kiwnęli głowami.

Gurkhowie słuźbiście wzniesli salut swoimi kukri.

- Jesteśmy na twoje rozkazy, panie!

I Sten podjął decyzję.

Jeżeli zaczną uciekać, Imperator go dopadnie.

To on musi więc pierwszy dopaść Wiecznego Imperatora.

Wydał rozkazy.

KONIEC tomu 7